

Emocje
Namiętność
Pasja miłości

W POSZUKIWANIU KRAINY SZCZĘŚLIWOŚCI

TANYA VALKO

ARABSKI RAJ

Prószyński i S-ka

TANYA VALKO
ARABSKI RAJ

Prószyński i S-ka



Drodzy Czytelnicy

W tym roku do Waszej kolekcji trafi dziesiąty tom *Orientalnej sagi* pt. *Arabski raj*.

Nigdy bym się nie spodziewała w 2010 roku, że aż tak się rozpędzę i napiszę tyle powieści. Najpierw powstała *Arabska saga*, poczynawszy od *Arabskiej żony* przez *Arabską córkę*, *Arabską krew*, na *Arabskiej księżniczce* kończąc. Później, jako krótki przerywnik, dałam Wam *Azjatycką sagę*, w której zmieniło się jedynie otoczenie, bo z krajów arabskich przenieśliśmy się wspólnie do Azji, moi główni bohaterowie pozostali jednak ci sami. To dwie powieści: *Okruchy raju* i *Miłość na Bali*. Potem znów wróciliśmy do ukochanego przeze mnie regionu świata wraz z powieściami *Arabska krucjata*, *Arabski mąż* i *Arabski syn*. Ze względu na tematykę i miejsce akcji wszystkich moich książek pozwalam sobie zaliczyć je do *Orientalnej sagi*.

Arabski raj to kontynuacja losów moich ulubionych i mniej lubianych bohaterów – Doroty wraz z jej córkami Marysią vel Miriam i Darią vel Darin oraz ich życiowych partnerów Hamida Binladena i Jasema Alzaniego. Nowa książka to również nowe twarze; część z nich należy do osób znanych, publicznych, tak jak as libijskiego wywiadu Musa Kusa czy niepisany następca zabitego pułkownika Muammara Kaddafiego Sajf al-Islam. Oprócz nich na kartach powieści spotkacie zwykłych ludzi, kobiety, mężczyzn i dzieci rozmaitej narodowości, targanych różnymi uczuciami i przeżywających swoje szczęśliwe lub mniej szczęśliwe bądź wręcz dramatyczne losy. Akcja powieści toczy się zarówno na Bliskim Wschodzie w Królestwie Arabii Saudyjskiej, gdzie zapowiadają się liczne zmiany, w Iranie, w którego obyczajowości nie widać zmian, oraz w Afryce Północnej, w tak bliskiej mojemu sercu Libii, w której spędziłam ponad trzynaście lat. Jedna część książki rozgrywa się także w Polsce, którą ukazuję oczami pół Polki, pół Arabki Marysi – Miriam. Przyjezdna pragnie osiedlić się w swoim rodzimym kraju nad Wisłą i zaaklimatyzować w zupełnie nowych, obcych jej warunkach. Wszystko wydaje się takie proste i idealne, lecz w rzeczywistości pod nogi bohaterki co chwilę rzucane są kłody. Poprzez przeżycia Marysi Salimi ukazuję Wam swoje własne przejścia związane z powrotem do Polski po ponad dwudziestu latach na obczyźnie – tak, ja sama w mojej ojczyźnie czuję się w pewnym sensie cudzoziemką. Polska mekka jest wymarzonym miejscem dla uchodźców, i to nie tylko z Bliskiego Wschodu, którzy przeważnie wybierają kraje Europy Zachodniej. Jest rajem dla naszych wschodnich sąsiadów oraz przybyszy z dalekiej Azji – Indii czy Pakistanu.

Mam w zwyczaju dawać swoim powieściom wieloznaczne tytuły. Tak jest i tym razem. *Arabski raj* to nie tylko koraniczny eden z pięknymi hurysami, rzekami mlekiem, miodem i winem płynącymi. Taki raj fałszywie jest obiecywany *szahidom*, islamskim męczennikom, którzy krocząc drogą źle pojętego dżihadu, odbierają życie nie tylko sobie, lecz także innym, będąc zamachowcami-samobójcami. To raj dla wierzących muzułmanów, a nie dla islamskich fundamentalistów. Innym edenem, o którym marzy większość ludzi na całym świecie, jest raj na ziemi. Gdzie się znajduje? Gdzie można odnaleźć krainę szczęśliwości? Czy jest to bogaty Bliski Wschód? Czy jest tam, gdzie petrodolary zalewają rynek i wszyscy są obrzydliwie bogaci? Czy dla wojennych uchodźców z Syrii, Iraku lub Ukrainy raj jest tam, gdzie znajdują spokój, bezpieczeństwo i przyjazny kąt? Dla wielu takim wymarzonym miejscem stała się Polska. Dla innych libijska prowincja, na którą przyjdzie trafić jednej z głównych bohaterek moich powieści Darin Salimi. Czy będzie tam szczęśliwa? Czy pozna smak prawdziwej miłości? Jakie niespodzianki szykuje jej życie?

Może i Wy, moi Czytelnicy, odnajdziecie wraz z bohaterami tej książki swoje szczęśliwe miejsce na ziemi. Być może uszczęśliwi Was lektura mojej najnowszej powieści *Arabski raj*. Z całego serca tego życzę.

Tanya Valko

*Zaprawdę, bogobojni
będą przebywać w miejscu bezpiecznym
wśród ogrodów i źródeł,
ubrani w atlas i brokat,
zwróceni do siebie twarzami.*

Tak będzie!

*I połączymy ich w pary
z hurysami o wielkich oczach.*

*Oni tam będą wołać o wszelkiego rodzaju owoce,
bezpieczni!*

1 Koran, Sura XLIV, wers 51–55, tłum. J. Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

Prolog

Książę Anwar al-Saud jak grom z jasnego nieba wpada do *safe house*² w dzielnicy Bata w Rijadzie, stolicy Królestwa Arabii Saudyjskiej, i od razu naskakuje na rezydujących tam zacnych gości:

– Co wy sobie wyobrażacie?! Jak nas traktujecie? Jak ślepców czy głupców?! – Od natężenia jego tubalnego głosu aż drżą mury, a po wielkim na ponad osiemdziesiąt metrów salonie niesie się echo. – Albo jesteście po tej samej stronie barykady, albo kończy się nasza współpraca!

– Nigdy nie kooperowaliśmy bliżej niż teraz – tonuje go Musa Kusa³, w ogóle nie obruszając się na agresję i impertynencję przybyłego. Od samego początku zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później wszystko się wyda. *Nadal jesteście pastuchami, mój ty jaśnie oświecony księciuniu*, kpi w duchu Libijczyk. *Dzięki ropie i płynącej z niej forsie możecie przeskoczyć każdą przeszkodę i dokonać niewyobrażalnego postępu technologicznego w dwie dekady, ale nadal słoma wam z butów wychodzi. Samozwańcze królewęża z bożej łaski...* – Możemy się nienawidzić, pogardzać sobą nawzajem, ale dla celów wyższych i bezpieczeństwa międzynarodowego narody kooperują tak jak my teraz. Tylko prymitywy chowają głupie urazy – otwarcie ogłasza stary mentor.

– Saudyjczycy i Libijczycy zrobili cyrk w dwa tysiące trzecim roku, kiedy na szczycie Ligi Arabskiej Kaddafi nazwał panujący w Arabii ród Saudów amerykańskimi sługusami, a nasz ówczesny następca tronu, późniejszy król, książę Abdullah odparował, że Kaddafi jest kłamcą i starym dziadem stojącym nad grobową deską. – Z kpiarskim uśmiechem na ustach potwierdza już spokojniej dawne swary książę Anwar, wygodnie rozsiadając się w fotelu.

– Określenie Kaddafiego wariatem i poważniejszym zagrożeniem dla Libijczyków niż jakkolwiek wróg zewnętrzny, czy pajacem, komediantem i największym nieszczęściem Libii to też nic. – Musa Kusa oddycha swobodniej, ciesząc się z rozwagi ich obecnego sprzymierzeńca i głównego sponsora. – To tylko kompromitacja i kłótnia arabsko-arabska, którą mogły zobaczyć setki tysięcy widzów, oglądających na żywo relację z posiedzenia. Gorzej, że Kaddafi był zamieszany w udaremniłą próbę zamachu na ówczesnego następcę tronu Abdullaha, za co w rewanżu Abdullah czynnie przyczynił się do zabicia przywódcy libijskiego, destabilizując tym samym całą Afrykę Północną.

W bezpiecznym miejscu mężczyźni pozwalają sobie mówić na głos o tajnych sprawach, choć za podobne informacje niejednen trafiłby na tamten świat. Udowadniają tym samym, że nie mają przed sobą żadnych sekretów i że są ze sobą szczerzy aż do bólu. Milkną na chwilę, by przebrzmiały bolesne słowa, a haniebna przeszłość odeszła w niepamięć.

– Nasi przywódcy popełnili mnóstwo błędów, ale obecnie ani jeden, ani drugi antagonistą nie żyje, a my usiłujemy naprawić błędy swoich przodków. – Anwar znów rzuca iskry swymi czarnymi jak noc oczami, co wskazuje na jego zapalczywy, typowo arabski charakter. – Dlaczego więc jesteś wobec mnie nieszczerzy? Myślałem, że gramy w otwarte karty.

– Bo gramy – potakuje starzec.

– Czemuż więc nic mi nie powiedziałeś o roli, jaką odgrywa w twoim planie Jasem Alzani vel⁴ *dzhadi*⁵ John vel... już sam nie wiem kto, a na koniec vel Muhamad Arabi⁶, twój, jak się okazuje, kompan?

– Bo nie zapytałeś. Myślałem, że cię to nie interesuje – interlokutor kłamie jak z nut. – Nie mów mi, że nie wiedziałeś o naszych kontaktach. Nie kryłem się ze znajomością tego gagatka zarówno w Katarze, jak i tutaj. – W jego głosie brzmi ironia, bo takiemu znakomitemu wywiadowcy nie ma prawa umknąć tak istotny fakt.

– Bliskowschodnie służby wywiadowcze znowu zawaliły i będę musiał im za to zmyć głowę – przyznaje ucziwie Anwar. – Oni widać też potraktowali to jako błahy detal. Wszyscy uznaliśmy to za przypadek.

Książę Anwar al-Saud nie jest tym, za kogo bierze go najbliższa rodzina, znajomi czy przyjaciele. Książę ma dwa oblicza i od lat prowadzi podwójne życie. Jedno jawne – zblazowanego jaśnie pana, marnotrawnego syna i bogacza-rozpustnika, a drugie utajnione – szpiega, członka saudyjskiego *secret service*⁷, człowieka honoru, którego znają tylko nieliczni. Wahabicka⁸ rodzina królewska już lata temu zaangażowała się w krzewienie islamu na całym świecie, co niejednokrotnie dawało tragiczne efekty. Sianie ziarna nie zawsze przynosi urodzajny plon, a często daje plewy, co powoduje zawieruchy i wojny. Tak się stało w Syrii, którą Anwar regularnie odwiedzał, namawiając jej mieszkańców do przestrzegania islamu sunnickiego, bliskiego Koranowi. Jednak silna wiara obywateli tego kraju pod wpływem biedy i niezadowolenia przybrała postać fundamentalizmu. Teraz Saudowie wraz z ościennymi krajami, takimi jak Katar i Kuwejt, które też dążyły do pogłębienia wiary muzułmańskiej w Syrii, muszą naprawić swój błąd. Dlatego tak żarliwie walczą z fundamentalizmem islamskim. Anwar został oddelegowany, żeby przeniknąć w szeregi najgorszych, najbardziej przebiegłych terrorystów. Idzie mu to bardzo sprawnie, jest specjalistą najwyższej rangi i dlatego nawet taki przebiegły kalifacki lis jak Jasem zaufał mu i wierzy w każde jego słowo, nie podejrzewając swojego pseudoprzyjaciela o zdradę i podwójne oblicze. Obecnie jednak sprawy zaczynają się komplikować i wymykać spod kontroli, co doprowadza Anwara do szału.

– W Katarze ja również sądziłem, że wasze spotkanie to czysty zbieg okoliczności, i zlekceważyłem je, a tutaj, w Arabii, umknęło mi parę spraw – wyznaje smutno. – Myślałem, że chodzi o romans, a ja *mutawwq*⁹ nie jestem.

– Romans? – dziwi się Musa Kusa. – Z naszą panną Dżamilą Muntasir?

– Tak to wyglądało.

– To dobrze. Bardzo dobrze. – *Szabbani*¹⁰ wybucha śmiechem i szelmowsko zaciera ręce. – Tylko potwierdzasz trafność i chytryść mojego planu. – Libijczyk jest uszczęśliwiony. – Muntasir. To cholernie dobre libijskie nazwisko. Dziadek Dżamili, Umar Mahmud al-Muntasir¹¹, był niezwykle ciekawym człowiekiem. Wykonywał swoje obowiązki z najwyższym poświęceniem i profesjonalizmem dla każdej władzy, zawsze robiąc wszystko dla dobra naszej ukochanej ojczyzny. Ojciec zaś, Omar Mustafa al-Muntasir¹², pomagał pułkownikowi Muammarowi Kaddafiemu budować nasz nowoczesny kraj, naszą Dżamahirię¹³, co zresztą kontynuowała jego córka.

– Co ty knujesz, człowieku? – Anwarowi aż włos się jeży na głowie. – Na co ci ten zbrodniarz w twoim ukochanym kraju? Mało tam masz rzezimieszków spod ciemnej gwiazdy, którzy znaleźli azyl podczas bezkrólestwa?

– Ciszej, proszę. – Musa Kusa konspiracyjnie kładzie palec na ustach i spogląda na solidne drzwi prowadzące na pokoje. – Nie wspomniałem ani słowem pięknej dzierlatce Dżamili, kto tak naprawdę kryje się pod nieciekawym bladym europejskim fizys Seana O’Sullivana, które tak ją podnieca. Inaczej moja młoda przynęta mogłaby jeszcze zrezygnować z szalonej miłości i burzliwego romansu, który w przyszłości, i to niedługo, ma się zakończyć związkiem małżeńskim. Tego też nie wie moja mała rozpustnica. – Libijczyk nie jest tak nowoczesnym i wyzwolonym Arabem, na jakiego pozuje, i wcale mu się nie podoba takie romansowanie arabskich kobiet. – Obawiam się, że panna Muntasir nie potrafiłaby udawać cudownej kochanki i szczęśliwej żony kryptodżihadysty, zdając sobie sprawę, że jej mężunio jest mordercą na globalną skalę i sadystą, jakich mało.

– Co ci da ich szczęśliwy związek? Nie zrobisz z niego Libijczyka – zastanawia się Saudyjczyk, który wciąż nie potrafi przejrzeć tajemniczej intrygi starego asa libijskiego wywiadu. – A jeśli nawet, to po cholere?

– Rusz głową, przyjacielu! – Musa Kusa jakby odmłodził, bo jest teraz w swoim konspiracyjnym żywiole. – Mnie, przyszłemu premierowi Libii, ten przeklęty fundamentalista jest bardzo, naprawdę bardzo potrzebny. Jednak żeby oficjalnie wprowadzić go na arenę polityki libijskiej, trzeba go powiązać z dobrym, libijskim nazwiskiem, połączyć z rodziną, do której naród ma pełne zaufanie, dać mu korzenie.

– Dlatego Dżamila jest panu niezbędna?

– Właśnie tak.

– A w jakim cyrku i na jakiej linii będzie skakał Jasem?

– Jasem Alzani vel Muhamad Arabi Muntasir będzie miał oficjalne, rządowe stanowisko i zadanie, by w białych rękawiczkach unicestwić wszystkich podłych, zboczonych i szalonych fundamentalistów oraz ortodoksów, swoich byłych koleśków nadal wypełniających *dżihad*¹⁴ i popleczników kalifatu, którzy po upadku pseudo-Państwa Islamskiego znaleźli bezpieczne schronienie na terenie niestabilnej, pełnej chaosu Libii. Oni zwąchają swego i będą do niego lgnęli jak do miodu, by – mam nadzieję – w nim utonąć. Mniej groźnych niedobitków wygnam z Dżamahirijji już sam. Wszystko zmierza do tego, by moja ojczyzna znów stała się takim eldorado, jakim była kiedyś – wyznaje z rozmarzonym wzrokiem staruszek. – Libia to był raj na ziemi i ja spowoduję, że znów się nim stanie.

– Nie bierze pan pod uwagę, że sytuacja może się wymknąć spod kontroli? – pyta saudyjski ksiądz, zauważając pychę i nieobliczalność swojego współnika. – Jasem Alzani był i jest *dżihadystą*, mordercą, a przy okazji bardzo inteligentnym i nieobliczalnym człowiekiem. On nie da sobą kierować. Nie ma mowy!

– Z gorszymi miałem już do czynienia. I skakali tak, jak im zagrałem. Dla władzy człowiek zrobi wszystko. Wyda nie tylko kolegów, ale nawet rodzinę.

– W tym wypadku nie sędzę, aby to się udało. Ten człowiek skrzywdził i zabił setki, może nawet tysiące osób. Niedoceniając go to wielki błąd. Strzeż się pan tego typu! Od tej chwili osobiście i bardzo uważnie będę kontrolował wszystkie wasze ruchy, a pan będzie mi zdawał raporty z każdego swojego kroku. I to jeszcze zanim go wykona.

– Nie było takiej umowy! – broni się Musa Kusa, oburzony tak dogłębną inwigilacją.

– Zatem od teraz jest. – Anwar kończy rozmowę, wstaje i kieruje się do wyjścia. – Jasem Alzani wraz z małżonką Darin i synem czeka już na pana i pańskich towarzyszy w Bengazi. Oby Allah chronił nas przed *dżihadystami*, a wam dał spokojną, mlekiem i miodem płynącą ojczyznę, wymarzony raj. Wszystkim pozostałym zaś pokój. *As-salamu alejkum*¹⁵.

– *Wa alejkum as-salam*¹⁶.

2 *Safe house* (angielski) – bezpieczny dom, przenośnie kryjówka, meta, azyl, ukrycie; takie miejsca rozsiane po całym świecie mają wszystkie agencje wywiadowcze, począwszy od CIA, a skończywszy na KGB i MI6.

3 Musa Muhammad Kusa (ur. 1949) – libijski polityk i dyplomata. Studiował socjologię na Michigan State University. Pracował jako przedstawiciel służb bezpieczeństwa w kilku libijskich placówkach dyplomatycznych w Europie. W 1980 r. został mianowany ambasadorem w Wielkiej Brytanii. W latach 1992–1994 był zastępcą ministra spraw zagranicznych, a następnie (1994–2009) stał na czele wywiadu. W 2009 r. został mianowany ministrem spraw zagranicznych. W 2011 r. podczas arabskiej wiosny grupa opozycjonistów libijskich, przebywających w Wielkiej Brytanii, zaapelowała o postawienie Muammara Kaddafiego, Sajfa al-Islama Kaddafiego i innych osób blisko związanych z reżimem (w tym Musy Kusy) przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze. W marcu 2011 r. władze USA zamroziły jego aktywa na obszarze Stanów Zjednoczonych. Pod koniec marca, korzystając z prywatnego odrzutowca, Kusa przyleciał do Londynu. Poinformował tam media, że nie reprezentuje już rządu Muammara Kaddafiego, zrzeka się stanowiska w jego administracji i zamierza pozostać w Wielkiej Brytanii. Stale nagabywany przez media i obawiający się o swoje życie, udał się do Kataru, gdzie wysłedziło go CNN. Tam mieszkał i żył w ukryciu do czasu wydostania się na wolność syna Muammara Kaddafiego, jego następcy.

4 *Vel* (łacina) – lub, albo, raczej; często stosowane pomiędzy nazwiskami, co oznacza, że dana osoba znana była pod dwoma nazwiskami lub przezwiskami.

5 *Dżihadi* (arabski) – przymiotnik od słowa *dżihad* – zwolennik *dżihadu*, *dżihadysta*.

6 Arabi (arabski) – arabski.

7 *Secret service* (angielski) – wywiad.

8 *Wahabizm, wahhabizm* (arabski) – islamski ruch religijny i polityczny powstały w XVIII w. na terenie Arabii. Opiera się na fundamentalizmie, czyli głosi powrót do źródeł: pierwotnej czystości

islamu, prostoty i surowości obyczajów. Za podstawy wiary wahabici uznają Koran i hadisy, interpretowane dosłownie. Nazwa *wahabizm* pochodzi od imienia twórcy tego ruchu, muzułmańskiego teologa Muhammada Ibn Abd al-Wahhaba. Wahabizm jest szczególnie popularny w Arabii Saudyjskiej, gdzie w XVIII w. wahabici zawarli sojusz z dynastią Saudów, co wywarło znaczny wpływ na późniejszy kształt tego najbardziej konserwatywnego z państw muzułmańskich. Ponieważ wahabici sprzeciwiali się zazwyczaj wprowadzaniu innowacji technologicznych i modernizacji, od dziesięcioleci trwa w tym państwie spór między ortodoksyjną i reformatorską frakcją elit saudyjskich. Wahabizm uznaje wyższość islamu nad wszystkimi religiami oraz potrzebę uzyskania dominacji nad nimi.

9 *Mutawwa* (arabski) – funkcjonariusz policji obyczajowo-religijnej.

10 *Szabbani* (arabski, dialekt) – starzec, staruszek.

11 Umar Mahmud al-Muntasir (1903–1970), polityk libijski, premier Libii w okresie włoskiej dominacji (1951–1954) oraz w niepodległej Libii (1964–1965). W latach 1951–1954 równolegle z funkcją premiera piastował urząd ministra spraw zagranicznych Libii. W 1954 r. został mianowany ambasadorem Libii w Londynie. Po zamachu stanu dokonanym przez Muammara Kaddafiego 1 września 1969 r. al-Muntasira aresztowano, a następnie zmarł we wrześniu 1970 r. Istnieje podejrzenie, że popełnił samobójstwo z powodu złego traktowania, ale nigdy nie zostało to potwierdzone.

12 Omar Mustafa al-Muntasir (1939–2001), polityk libijski, od 1987 do 1990 r. sekretarz Generalnego Komitetu Ludowego, czyli premier Libii. W latach 1992–2000 minister spraw zagranicznych Libii.

13 Dżamahirijja (arabski) – państwo ludu. Termin polityczny, neologizm wymyślony przez Muammara Kaddafiego. Pełna nazwa to Wielka Arabska Libijska Dżamahirijja Ludowo-Socjalistyczna. Do czasu obalenia rządu Kaddafiego była to oficjalna nazwa państwa. Ustrój polityczny Libii miał charakter republikański. Rządy należały do junty, kierowanej przez pułkownika Kaddafiego, który w 1975 r. wydał *Zieloną książeczkę* – sformułował w niej zasady swego ustroju jako alternatywy wobec komunizmu i kapitalizmu. Było to połączenie arabskiego socjalizmu i politycznego islamu (tzw. trzecia teoria świata).

14 *Dżihad* (arabski) – pierwotnie oznaczał walkę w imię propagowania islamu, zarówno przez akcję zbrojną, nawracanie niewiernych, pokojowe działania, jak i wewnętrzne zmagania wyznawcy; często rozumiany tylko jako święta wojna; fundamentaliści twierdzą, że jest to szósty filar islamu i obowiązek każdego muzułmanina, a dżihadyści mają za zadanie unicestwienie wszystkich innowierców na kuli ziemskiej.

15 *As-salamu alejkum* – dosł. pokój z tobą; dzień dobry, witaj.

16 *Wa alejkum as-salam* – z tobą także (pokój); odpowiedź na powitanie.

NIEZWYKŁE LOSY

Idealna para

W pięknym wielkim apartamencie gościnnym Binladenów Dorota oddaje się rozmyślaniom. Dziwne to jej życie, bardzo dziwne. Nie jest przecież aż taka stara, a wydaje się jej, że jak kot przeżyła już co najmniej dziewięć żyć. W dodatku ich treść stanowiły głównie związki damsko-męskie. *Wszystko przez tych chłopów*, myśli, z niedowierzaniem kręcąc głową. Poprawia opadające ramiączko jedwabnej, długiej do ziemi wrzosowej podomki, wykończonych przy dekolcie i na plecach cienką jak mgiełka francuską koronką, i rozsiada się wygodnie w fotelu przed toaletką. Z paru metrów obserwuje swoją piękną, niezwykłą twarz, okoloną tlenionymi blond włosami, mruży błękitne oczy, chcąc lepiej dostrzec detale swej urody i dowody upływu lat. Po chwili jednak zadowolona uśmiecha się do siebie i ciężko opada na oparcie fotela. *Jestem niebo a ziemia w porównaniu z tamtą niby ładną nastolatką, która wyszła za Libijczyka Ahmeda Salimi*, podsumowuje z zadowoleniem. *Wtedy byłam zieloną gąską, a teraz jestem damą. Dama z malej miłośnicy pod Poznaniem z osiedla w wielkiej pycie. Nieźle.*

Na parterze panuje cisza, choć wszystkie przygotowania idą swoim torem. Dorota wie, że w dniu swojego kolejnego ślubu, tym razem z Saudyjczykiem Aszrafem al-Ridą, nie ma co się spieszyć, więc beztrząsco odpoczywa, a wspomnienia zalewają jej serce i przesuwają się przed oczami jak w kalejdoskopie.

– Ale z nas była piękna para – mówi szeptem, widząc jak żywą twarz Ahmeda, swojej pierwszej i największej miłości, ojca jej dwóch córek, Marysi i Darii. – Nie dawali nam więcej niż pół roku, a tyle lat razem się mordowaliśmy. – Na jej ładnej twarzy pojawia się kpiarski grymas. – W całym miasteczku i na weselu nie mówiono o mnie inaczej jak arabska kochanica, a potem arabska żona. Ech, arabska żona z brzuchem... – Uśmiecha się z przekąsem, pamiętając, jak najpierw wkładała gorset, ukrywając ciężowy brzuszeczek podczas matury, a potem w trakcie ceremonii ślubnej.

Zaraz po ukończeniu liceum Dorota wyszła za człowieka, który wszystkich urzekł swoją urodą i ogładą dżentelmena, choć tak naprawdę był z niego niezły łotr i zwyrodnialec. Po paru latach burzliwego małżeństwa w Polsce, kiedy raz było wspaniale i niezwykle, ale przeważnie nie do zniesienia z powodu różnic kulturowych, obyczajowych i religijnych, małżonkowie wraz z małą córeczką Marysią pojechali do Libii w odwiedziny do bogatej rodziny Ahmeda. Wakacyjny z założenia wyjazd przeciągnął się na kilka długich i bardzo bolesnych lat. *Ależ ja go kochałam... Jak wariatka!* Dorota przymyka oczy i z niedowierzaniem obejmuje głowę rękami, bo wstydzi się swojego uzależnienia, wręcz niewolniczego poddania się mężczyźnie. Do tego stopnia zaangażowała się uczuciowo, że ze wszystkiego zrezygnowała i poświęciła siebie dla dobra rodziny. *Piękna para małżonków Salimi. Szkoda, że tylko na fotografii*, podsumowuje swój wieloletni związek, bo już teraz nie czuje ani tęsknoty, ani sentymentu do pierwszego męża.

Dorota myślała, że ma szczęście, kiedy poznała Polaka Łukasza. *Mówili, że stanowimy piękną parę. Typowi Słowianie, jasnowłosi, jasnoocy, o bladej karnacji. Bez żadnych kontrastów i znaków szczególnych. Bzdety. Pozornie tacy sami ludzie wcale nie muszą do siebie pasować.* Bogatsza o kolejne życiowe doświadczenie, denerwuje się na samo wspomnienie swojego drugiego męża. *A Łukasz, nie dość, że ciepłe kluchy, to jeszcze okazał się dziwkarczem. I kto by się po nim tego spodziewał?* Pogardliwie wydyma swoje wciąż namiętne usta. *Żeby się zakochać w najgorszej, malej, indonezyjskiej kurwie?* Nazywając rzeczy po imieniu, od razu lepiej się czuje. Ech, te głupie chłopy!

Wtedy w Indonezji, niewiele myśląc, szybko i bezproblemowo dała rozwód swojemu mężowi. Zresztą sama nie pozostała mu dłużna. Szybko wdała się w burzliwy flirt z Balijszczykiem, pięknym chłopakiem o ponad dwadzieścia lat młodszym od niej. Romans jednak zakończyły siły wyższe. *Do tej pory nie mogę uwierzyć, że zabiły go duchy zmarłych, które na Bali żyją i mają się świetnie, choć teraz już wiem na sto procent, że mieszkałam w nawiedzonym domu.* Z niedowierzaniem kręci głową i cyka językiem o podniebienie w typowo arabski sposób. *Mało tego! Zabił go ponoć duch mojego męża Ahmeda, którego osobiście zglądziłam. Co za bzdura! Ależ brednie!*, chichra rozbawiona

nieprawdopodobną historią, choć z obawy przed nadprzyrodzonym światem bojaźliwie rozgląda się na boki.

Ledwie kobieta otrząsnęła się z magii i czarów, zadała się z Australijczykiem Brendanem. Ładnie się razem prezentowali i mówiono, że pasują do siebie jak ulał. Przez tego drania Dorota trafiła do więzienia za rzekomy współudział w handlu narkotykami. Wylądowała w najgorszym indonezyjskim karczerze – Kerobokan na Bali. Wydawało się, że nierozsądnej Polce nic już nie pomoże, lecz wtedy na horyzoncie pojawił się zbawca rodziny – Hamid Binladen, który zaangażował się w wyciągnięcie swojej byłej i ulubionej teściowej z więzienia. Przy okazji on i Marysia znów się w sobie rozkochali. Taki miłosny kogel-mogel. Życie kobiet z rodu Salimich nie jest nudne, a koleje ich losu często są naprawdę niesamowite. Tak widać jest im pisane.

Dorocie udało się wybrnąć z patowych sytuacji prawie na wszystkich frontach. Pomimo życiowych zawirowań, bólu i krzywd, jakie ją spotkały, okazało się, że Pan Bóg jednak nad nią czuwa. Zupełnie nieoczekiwanie znalazła kolejną miłość – i zanoszą się, że będzie ona największa i najwspanialsza, taka do grobowej deski. Właśnie tego oczekuje dzisiejsza panna młoda. Saudyjski doktor Aszraf al-Rida nawet się nie spodziewa, jak wielkie nadzieje są w nim pokładane i jak trudno będzie mu je spełnić, gdyż Dorota ma niełatwy charakter. Jednak zakochani takich detali nie widzą i oby tak pozostało na wieki.

Kto raz pokocha Araba, nie jest już w stanie pokochać mężczyzny innej nacji. I nie chodzi bynajmniej o potencjał seksualny, z którego są znani, podsumowuje z zalotnym uśmiechem na ustach arabska żona o europejskich korzeniach i słowiańskiej urodzie. Jestem taka szczęśliwa, dlatego że mój przyszły mąż jest śniadym, przystojnym Arabem z krwi i kości. Ma też najlepsze cechy charakteru swojej rasy i autentyczny szarmancki sposób bycia. Nie ma popieprzone w głowie żadnym szariatem¹⁷, zresztą w ogóle nie jest zbyt religijny. Będzie dobrze. Nadzieja nie opuszcza serca kobiety. Wierzy ona, że tym razem się nie zawiedzie i będzie szczęśliwa aż do końca swoich dni.

Dorota jest zmęczona podsumowaniem swojego życia uczuciowego, które nawet jeśli nie było szczęśliwe, z pewnością okazało się bardzo burzliwe.

– Nie ma co się zatruwać złymi wspomnieniami – mruczy sama do siebie. – Nie ta okazja, nie ten dzień...

Bierze do ręki swój telefon komórkowy i przez chwilę w zamyśleniu stuka się nim po brodzie. Potem z szelmowskim uśmiechem otwiera zakodowane w pamięci albumy. Podchodzi do łóżka, pada na miękką wzorzysty pled i zaczyna sentymentalną, pogodną podróż.

* * *

Na dzień wesela swojej matki Marysia zaplanowała wszystko już grubo wcześniej, a dzisiaj skoro świt zarządziła ostatnie przygotowania. Nie ma teraz nic innego do roboty, jak odpoczywać i szykować się na wieczór, choć większość zabiegów pielęgnacyjno-upiększających wykonały wyszkolone wizażystki, zamówione specjalnie z salonu SPA. Pół-Arabka jest podekscytowana, bo jej mąż na wesele teściowej, które wyprawia w swojej rezydencji, zaprosił znamienitych gości. Będzie wśród nich nawet jeden oryginalny saudyjski książę, znany i lubiany na całym świecie miliarder Walid bin Talal. Marysia w swoim życiu obracała się już w tak różnym, także doborowym towarzystwie, dlatego niewiele osób jest w stanie ją speszyć i rzadko która sytuacja wyprowadza ją z równowagi. Jest bardziej ciekawa niż spanikowana.

– Ależ weselicho będzie mieć ta moja mama... – wzdycha, siadając w antresoli na piętrze, by przez zaciemnione okna obserwować ogród.

Obsługa z Rijadh Palace Hotel uwija się jak w ulu. Pracownicy ustawiają blaty na bufet, stelaże na nieodłączne szawormy i kebaby, stoły na pieczone barani udziec i wołową polędwicę, a co najważniejsze – przenośne klimatyzatory, by goście nie dostali udaru z powodu zastraszająco wysokiej temperatury, która w dzisiejszy pogodny, letni dzień sięga pięćdziesięciu stopni w cieniu. Przed rezydencją Binladenów z samego rana rozstawiono wielki jak barak namiot, w typowych dla tego regionu kolorach czerwieni i granatu. Zajmuje on cały chodnik i blokuje jezdnię, ale żaden z sąsiadów

nie narzeka na te niedogodności, bowiem taka jest tradycja i są do tego przyzwyczajeni. Takie same namioty stoją przed domami zamożnych przez cały długi miesiąc ramadanu¹⁸, by biedni czy będący w potrzebie mogli w nim spożyć *iftar*, ramadanowy posiłek z okazji wieczornego ustania postu. Dzisiaj zaś każdy, kto tylko zechce złożyć życzenia, zostawić ozdobną kartkę czy symboliczny prezent dla państwa młodych, zostanie ugoszczony właśnie pod tą pałatką. Dla odwiedzających, którzy w większości będą nieznajomi dla gospodarzy, nie przygotowuje się gorszego jadła, bo byłaby to wielka hańba i wstyd dla wydających przyjęcie. Już od paru godzin na rożnie piecze się duży, uprzednio zamarynowany w specjalnych ziołach i przyprawach baran, nafaszerowany orientальnym ryżem z rodzynkami, migdałami i cynamonem. Jedynie na zewnątrz rezydencji w miejscu publicznym gospodarze nie mogą serwować przypadkowym gościom alkoholu, bowiem jak Arabia Saudyjska długa i szeroka, jest on surowo zakazany. Jednak za zamkniętymi drzwiami, wysokim murem i zaryglowanymi bramami często pija się tu doborowe trunki, zwłaszcza w tak dobrze urodzonym towarzystwie.

Moje wesele też było niczego sobie, podsumowuje Marysia, myśląc o tym najważniejszym, bo pierwszym ślubie, który odbył się w Jemenie. *Ależ byliśmy piękną parą z Hamidem Binladenem! Ależ wszyscy nam zazdrościli!* Uśmiecha się z dumą, lecz po chwili w jej oczach pojawiają się łzy, a usta wyginają się w żalną podkówkę. *I co z nas zostało? Co zostało z tej pięknej pary i naszej wielkiej miłości? Naszej urody, hartu ducha i wiary w siebie? Niech to szlag!*, klnie całkiem nie w arabskim stylu. *Niech to lichy porwie!* Jej wybuchowy charakter daje o sobie znać i krew się w niej gotuje. Po chwili jednak przywołuje się do porządku i z nieobecny wyrazem twarzy wraca myślami do tamtych czasów w odległej krainie cudownej jeszcze wtedy Arabii Felix¹⁹. Pamięta wszystko, jakby to było wczoraj, nawet dźwięki i zapachy starej *medyny*²⁰. Wczesnym popołudniem wśród domów – wież na starym mieście w Sanie rozległy się dźwięki bębenków i trąbek. Tłum kupujących, przechodniów i turystów rozstał się na boki, a dzieciarnia torowała drogę grupie wystrojonych mężczyzn. W środku dumnie kroczył ukochany Marysi – Hamid Binladen, w odświętnym jemeńskim stroju: na białą jak śnieg *dżalabiję*²¹ nałożył czarną kaszmirową marynarkę, a za ręcznie haftowanym pasem zatknął najdroższą i najpiękniejszą *dżambiję*²², którą wykonał wuj panny młodej, znany jemeński snycerz. Głowę miał owiniętą białą chustą, a na niej wianek z kolorowych kwiatów, na ramieniu zaś opierał miecz w błyszczącej złotej pochwie. Wokół niego szli mężczyźni bogatego rodu na czele z *hadżem*²³, ubranym w tradycyjny strój saudyjski i wyglądającym jak czystej krwi księżę. Miał na sobie nieskazitelnie białą *tobę*²⁴ z brylantowymi spinkami przy mankietach, z głowy opadała mu biała *ghutra*²⁵ umocowana za pomocą czarnego *igala*²⁶. Na ramiona narzucił satynową, przewiewną pelerynę w czarnym kolorze z szeroką złotą lamówką. Pozostali członkowie rodziny odróżniali się od starca tym, że nosili typowe dla swojego regionu biało-czerwone chusty i brązowe, mniej strojne płaszcze. Z tyłu podążali przeważnie jemeńscy reprezentanci obu rodzin, w większości ubrani konserwatywnie, choć zdarzali się też młodzi chłopcy w strojach europejskich, takich jak dżinsy i podkoszulki polo bądź kraciaste sportowe koszule.

Marysia została wyprowadzona z domu przez wuja, sprawującego nad nią pieczę, i w tym samym momencie ulicę zalało głośnie *zaharid*²⁷. Arabska panna młoda miała na sobie tradycyjną szatę ślubną w złoto-bordowe pasy, misternie wykonaną kolię ze złota sięgającą po pas, a na jej głowie spinkami przymocowano złoty diadem i wianek z kolorowych małych kwiatów. Jej niesforne włosy, pomimo butelki lakieru i żelu, kręciły się wokół tej dekoracji niczym węże. Twarz dziewczyny wyglądała jak maska pod grubo położonym fluidem i różem, choć malujące ją krewniaczki były bardzo dumne ze swego dzieła. Mężczyźni z rodziny panny młodej pomogli jej wsiąść na tradycyjnie na tę okazję wystrojonego osiołka z kutasami przy uszach oraz bogato zdobionym, tkanym siodłem w czerwono-czarnych barwach. Wuj, jako męski opiekun dziewczyny i jej *mahram*²⁸, wręczył cugle Hamidowi, w ten sposób symbolicznie przekazując mu Marysię. Wtedy powietrze wypełnił nieziemski hałas trąbek, bębenków, *zaharid*, pisków i krzyków. Państwo młodzi, czyniąc zadość tradycji, doszli w ten sposób do *Bab al-Jemeni*²⁹, a później, płacząc się w długich szatach, przesiedli się do białego mercedesa, ozdobionego balonikami i kwiatami, z wielką lalą siedzącą na masce. Kierowca ruszył

z piskiem opon i rykiem klaksonu, żeby za chwilę utknąć w korku. Reszta aut podążyła za młodymi i skierowała się w stronę *Wadi Dhahr*. Po pokonaniu tłoku na drogach wszyscy szczęśliwie dojechali na miejsce wesela nowiutką asfaltową szosą, ufundowaną przez bogatego pana młodego, i rozeszli się do wielkich, kilkudziesięcioosobowych namiotów, z których jedne przeznaczone były dla kobiet, a drugie dla mężczyzn. Rozwrzeszczane dzieci, których było bez liku, wszędzie miały wstęp wolny. Podczas uczyt mężczyźni wykonali słynny arabski taniec z szablami, żując przy tym nieustannie *kat30*, a dziewczyny podglądały ich i piszczały z radości, zaś stare kobiety, siedząc w swoim namiocie na materacach, oplotkowały wszystkich i wszystko dokoła. Jedzenia, jak to na takich uroczystościach, były niewyobrażalne ilości, więc przyjęcie ciągnęło się przez długi tydzień aż do wyczerpania zapasów i sił. Marysia z szelmowskim uśmiechem wspomina, że cnotę straciła dzień wcześniej, a kiedy nadeszła chwila wywieszenia zakrwawionego prześcieradła w noc poślubną, ona i jej młody mąż wylali na nie keczup i wystawili na krótką chwilę ze swojego wielkiego namiotu nowożeńców. *Ależ to były czasy!* Kobiecie aż łała się w oku kręci. *Że też tyle przeszłam w swoim krótkim życiu. To niesamowite!* Wzdycha ciężko, a po marsie na jej czole widać, że walczy ze smutnymi myślami. *Kiedy tylko poczuję nudę, zaraz ją sobie urozmaicam. Prawie wszystkie kłopoty zawdzięczam sobie. Ale przynajmniej zawsze coś się dzieje.* Podśmiechuje się, postanawiając po wszystkich swoich ciężkich i tragicznych przygodach brać życie lekko i wszystko, co jej się przydarzy, traktować z pogodą ducha. *Na przykład taki romans z libijskim kuzynem Raszidem...* Zamyśla się, a na jej policzkach wykwita rumieniec wstydu. *Gdyby nie tamten flirt, nie byłoby mojej ślicznej córeczki Nadii.* Dziwnie interpretuje zdradę, przez którą doprawiła rogi najprzystojniejszemu człowiekowi na ziemi. Raszid był przepięknym mężczyzną. Miał nie tylko niezwykłą urodę jak większość Arabów – jak Hamid – ale też to coś, od czego wszystkie kobiety czują motyle w brzuchu. Miał charakter, seksualność i nieograniczone pokłady testosteronu. *Miłość z nim to nie była czułość i lzy wzruszenia, lecz wieczne zmaganie, a spełnienie sięgało gwiazd,* podsumowuje Marysia, czując zalewające ją ciepło i delikatne pulsowanie łona. *Nawet teraz bym mu się nie oparła.* W zamyśleniu podchodzi do okna i przez chwilę obserwuje sielski obrazek pełen bogactwa i przepychu. Potem ponownie rozsiada się na sofie i zamyka oczy, choć nie jest śpiąca. Wzięło ją dzisiaj na wspominki, i to te damsko-męskie. W dniu ślubu swojej mamy nie ma ochoty rozpamiętywać wojen i zawieruch, w których brała udział, nie chce pamiętać o aktach terroru, w których straciła najbliższych, począwszy od babci Nadii w Jemenie, a skończywszy na ataku zamachowca-samobójcy w obozie dla uchodźców w Jordanii, przed którym w ostatniej chwili udało się jej uciec. Nie, dzisiaj opanował ją romantyczny nastrój i przed jej oczami przewijają się znajome twarze kochanych mężczyzn, poruszając serce i zmysły.

Małżeństwo Marysi z Hamidem przeszło próbę w postaci zdrady i nieślubnego dziecka, w którym przybrany arabski ojciec zakochał się bez pamięci. Jednak rodzice nie dali sobie rady, kiedy ukochaną córeczkę porwano. Ich związek tego nie przetrwał. Oskarżali się nawzajem o wszystko. Matka chciała szukać swojej pierworodnej aż do śmierci i nawet na końcu świata, ale ojciec był racjonalny i nie wierzył w cuda. Przez to Marysia wyjechała aż do Tajlandii, gdzie zaginęła małeńka Nadia. Pół-Polka była młoda, silna, zdrowa i wolna, bo już rozwiedziona, więc nie było żadnych przeciwwskazań, żeby się z kimś związała. Poznała Karima, pół Saudyjczyka, pół Indonezyjczyka, znakomitego lekarza z powołania, i wszystko wskazywało na to, że w jej życiu wreszcie na dobre zapanuje stabilizacja. *Ech, ten Karim al-Nadźdi! Był takim niesamowitym, lirycznym, czułym i kliwym człowiekiem! Jemu nie dało się odmówić, nawet ręki.* Stanowili tak przepiękną, egzotyczną parę, że podczas ślubu, który odbył się nad brzegiem Morza Balijskiego, we wspaniałych ogrodach hotelu na czarownej indonezyjskiej wyspie, turyści i weselni goście robili jedną fotkę za drugą, by uwiecznić cudowny obraz nowożeńców i otaczającej ich tropikalnej, bujnej przyrody.

Jednak pierwszej miłości nigdy się nie zapomina. Tak jak jej matka pokochała do jego grobowej deski swojego podłego męża Ahmeda, tak Marysia nie mogła przestać kochać dobrego Hamida. W Dżakarcie przez przypadek wpadła na swojego byłego i zanim się obejrzała, oddała wolność Karimowi, po czym wróciła do Hamida. Ale zamiast docenić rodzinne szczęście, młodzi podjęli ryzykowną walkę ze światowym terroryzmem, przez co ich ścieżki ponownie się rozeszły. Po

zniewoleniu Marysi na Pustyni Syryjskiej przez Beduina dżihadystę małżonkowie Binladen cudem się odnaleźli i podjęli kolejną próbę wspólnego życia, tym razem w Rijadzie. Jednak czy będą jeszcze tą idealną parą jak z obrazka? Czy potrafią pożądać siebie nawzajem tak jak kiedyś? Ich miłość jest już inna, straciła na sile i atrakcyjności, nie mają zdrowia, a ich ciała nie są tak perfekcyjne jak kiedyś. Marysia i Hamid są wrakami ludzi, tak pod względem psychicznym, jak i fizycznym. Na domiar złego nie wiedzą, jak wybrnąć z patowej sytuacji. Kto może im pomóc? Psycholodzy? Psychiatrzy? Na to nigdy się nie zdecydują, bo zwierzenie się ze wstydu nie leży w ich arabskiej naturze. Marysia cierpi na wstrząs pourazowy po tym, jak przez pół roku jej pseudosyryjski mąż pastwił się nad nią psychicznie i fizycznie, a Hamid ma depresję w związku z incydem kardiologicznym i utratą zdrowia po otruciu przez Beduinkę. Poza tym jest Arabem – choć przede wszystkim typowym mężczyzną – i nie potrafi przejść do porządku dziennego nad tym, że inny facet posiadał jego ukochaną żonę. Nie może przestać myśleć o długotrwałym seksualnym zniewoleniu swojej ukochanej i nie chodzi o to, że ma do niej pretensje, ale jest zwyczajnie zazdrosny.

Marysia, idąc do małżeńskiej sypialni, mija pokój gościnny, z którego dochodzi chichot Doroty. Córka zatrzymuje się i niepewnie rozgląda dookoła. *Pana młodego tutaj nie ma, więc kto tak rozbawia moją mamę?*, zastanawia się, marszcząc czoło. Uśmiecha się półgębkiem, kiedy słyszy hamowany śmiech. *Co tam jest takiego zabawnego?* Delikatnie puka do drzwi, po czym, nie czekając na zaproszenie, wchodzi do pokoju.

Kiedy matka ją widzi, w pierwszym odruchu przyciska telefon do piersi, chcąc zasłonić to, co wyświetla się na ekranie, lecz po chwili wybucha gardłowym rechotem i pada na poduszki.

– Co tam masz? Pokaż! – Marysia wskakuje na łóżko i pochyla się nad swoją rodzicielką.

– Oj, nie! Chyba nie powinnam... W końcu jesteś moją córką... – broni się Dorota.

– Och, ty zbereźnico! – wykrzykuje Marysia, widząc zdjęcie Doroty w ramionach młodego mężczyzny. – Na starość takie kosmate wspomnienia cię dopadają? I to akurat dzisiaj?

– Przecież to się nie działo ani dzisiaj, ani wczoraj, lecz wieki temu. Reminiscencje – tłumaczy się Dorota z wypiekami na twarzy.

– Ładny był ten chłopaczek – podsumowuje córka, unosząc telefon do oczu, by lepiej się przyjrzeć ślicznej twarzy Balijszczyka Ariego. – Był w moim wieku, nieprawdaż?

– Tak, w twoim wieku, ale...

– Nie tłumacz się. Miałaś fart, mamusku. – Córka z niedowierzaniem kręci głową. – Jednak dzisiaj, wchodząc na nową drogę życia, powinnaś skasować te wszystkie słodkie focie. I dla pewności usunąć je z kosza. I z chmury!

– No coś ty! Przecież oboje z Aszrafem zdajemy sobie sprawę, że wchodzimy w nasze wspólne życie z bagażem doświadczeń. – Dorota nie chce się odciąć od przeszłości i nie ma zamiaru zrezygnować ze wspomnień.

– Wiesz co? Opowiedz mi, jak to dokładnie z wami było! Tak dla rozweselenia, bo coś mnie dzisiaj na sentymenty wzięło – proponuje Marysia, układając się wygodnie w wielkim łożu i piętrząc pod plecami poduszki. – Jak wszystko się zaczęło, jak się kochaliście i jak się skończyło. Zawsze ogromnie się wstydziałaś tego romansu i zbywałaś mnie półsłówkami.

– Chyba się nie dziwisz? To był wielki balijski skandal! – Dorota sama ma chęć zwierzyć się córce, która jest jej najbliższą i w zasadzie jedyną przyjaciółką. – Będąc dojrzałą kobietą, zdawałam sobie sprawę z uwielbienia, jakim darzył mnie śliczny jak malowanie młodzieniec, lecz traktowałam to z przymrużeniem oka, jako platoniczną pierwszą miłość chłopaka – zaczyna snuć opowieść tonem, jakim czyta się bajki dzieciom. – Trochę mi nawet imponowało, że taka stara baba jak ja mogła rozpalic uczucie w dwudziestoparolatku.

– Od razu stara! – Córka spoziera z miłością na piękne liczko swojej rodzicielki, dochodząc do wniosku, że z roku na rok jej uroda zyskuje. – Taka miłość może podłechtć własne ego, ale musisz zdawać sobie sprawę, że ze swoją jasną karnacją i blond włosami w Azji stanowiłaś niezwykłe

zjawisko. Byłaś dla nich jak bóstwo czy anioł.

– Na Arabów działałam tak samo – dorzuca mimochodem Dorota. – Jednak na Bali ani się obejrzałam, kiedy nasza znajomość stała się bliższa i bardziej zażyła. Bez żadnego skrępowania, konkretnego umawiania się czy wydziwiania co wieczór spotykaliśmy się przy nadmorskiej promenadzie. Tak po prostu. Zwyczajny odpoczynek po pracy. – Filuternie mruga okiem i szelmowsko się uśmiecha. – Przesiadaliśmy w pewnym oddaleniu od hotelu, w którym oboje byliśmy zatrudnieni, w knajpce prowadzonej przez rodzinę chłopaka. Zajadaliśmy się tam świeżo złowionymi rybami, krewetkami z grilla czy krabami, które własnoręcznie rozłupywałam dziadkiem do orzechów.

– Ach, owoce morza były tam znakomite! – zgadza się córka i aż ślinka napływa jej do ust. – Ale nie mów, że skupialiście się jedynie na konsumpcji małż.

– Ty jak zawsze, Marysiu, jesteś w gorącej wodzie kąpana. – Dorota dla żartu szturcha córkę w ramię. – Typowa Arabka. A tam była Azja, magiczna wyspa Bali i nigdzie nikomu się nie spieszyło. Co komu było pisane, to i tak na niego padło. Ot, co! – Robi wymowną minę. – Zawsze, kiedy z Arim byliśmy razem, mieliśmy szampański humor, śmiechom i wygłupom nie było końca. Czułam się tak, jakbym wróciła do liceum, jakby w magiczny sposób ubyło mi ponad dwadzieścia lat. Całkowicie dałam się ponieść urokowi chwili i miejsca oraz adoracji ślicznego, delikatnego jak motyl Balińczyka.

– No i? – pogania niecierpliwa córka, głodna konkretów i pikantnych scen.

– Kiedy młody przelotnie dotykał mojej ręki, odnosiłam wrażenie, jakby iskry przelatywały między naszymi dłońmi, a dreszcz rozkoszy przechodził mnie od stóp do głów.

– Och! – Marysia poprawia się na poduszkach. – Ale romantycznie... – wzdycha, żałując, że cały jej osobisty romantyzm umknął w zawierusze tego paskudnego świata.

– Wiesz sama, że zupełnie się nie przejmowałam niestosownością swojego zachowania i nie zdawałam sobie sprawy, że daję Ariemu złudne nadzieje. Egoistycznie uważałam, że jedynie skromnie go czaruję, a on, wariat, zakochał się we mnie na śmierć i życie. Tak jak mówisz o postrzeganiu nas, białych kobiet, w tym regionie...

– Nie „nas”, mamuś. – Marysia wybucha młodzieńczym śmiechem, a Dorota cieszy się, że córka powoli wraca do siebie po przeżytej traumie. – Ty popatrz na mnie, kochana! Jestem śniadą Arabką o ciemnych włosach i oczach. Niewiele mamy ze sobą wspólnego.

– Podobno charakterki – rzuca rozbawiona matka. – Cokolwiek by powiedzieć, młodziutki Balińczyk Ari był we mnie zapatrzony jak w Madonnę i tak też mnie traktował. Biała kobieta stała się dla niego całym światem; tym pięknym, obcym i niezwykłym, do którego on nigdy nie miał wstępu, a wtedy pojawiła się przed nim nikła szansa.

– Co? – Marysia nie może uwierzyć własnym uszom. – Co ty gadasz?

– To, co słyszysz, kotku. Co byś powiedziała, gdybym zdecydowała się wtedy na taki odważny, trwały i usankcjonowany prawnie związek?

– Oj, mamuś, nie przyprowadzaj mnie o zawał serca – żartuje z kwaśną miną.

– Przemawia przez ciebie rasizm, zaściankowość czy babska zazdrość? – kpi matka, patrząc na córkę z rozczarowaniem, choć właśnie takiej reakcji się spodziewała.

Pamięta jak dziś, co czuła, kiedy Ari przygniatał ją swoim młodym, jędrnym ciałem, a ona wcale się nie wzbraniała przed jego spragnionymi ustami, które piły z niej żądzę wielkimi haustami, napełniając ją równocześnie niewinnym młodzieńczym uczuciem. Kiedy doszły do głosu fizyczność i seksualność, każdą wolną chwilę kochankowie spędzali razem. Uprawiali miłość w hotelowych ogrodach, nad stawem z rechoczącymi żabami czy na plastikowych łózkach na plaży. Koniec końców podstarzała oblubienica dała się potajemnie zaprowadzić do pokoju pięknego amanta w skrzydle hotelu przeznaczonym dla indonezyjskich pracowników. Z czasem związek Doroty i Ariego stał się tajemnicą poliszynela.

– A jak zareagowali ludzie, kiedy wasz romans wyszedł na jaw? – indaguje ciekawska Marysia, wytrącając matkę z sentymentalnych wspomnień. – Ktoś was wspierał? Podobało im się to?

– Chcesz porównywać swoje odczucia, jako osoby wykształconej, z doznaniem prostych sprzątaczy i ogrodników?

– Pragnę tylko poznać opinię społeczną, a ty właśnie w takiej grupie się wtedy obracałaś i jakkolwiek romantycznie by tego nie nazwać, miałaś kochanka z nizin. Kobieta światowa i wykształcona zadała się z barmanem. – Marysia aż prychnęła, bo robi się wściekła na samo wspomnienie, a matka obawia się, że miłe pogaduszki o seksie mogą się zakończyć zwykłą awanturą.

– Kochanie, to przeszłość – próbuje załagodzić. – Było, minęło. A biedny Ari już dawno został skremowany.

– Dobrze, przepraszam... Po prostu ja na pewno zareagowałabym bardzo przewidywalnie i stereotypowo. Powiedziałabym, że stara dupa zwariowała i kwitnie, bo ją młody ogier użyźnia, ot co! – szczerze wypala Marysia.

– Dosłownie to o mnie mówiono. Oczywiście za moimi plecami – potakuje skonsternowana Dorota. – Było jeszcze coś o tym, że wiekowe białe baby nie mają przyzwoitości.

– No widzisz! Nie jestem wyjątkiem. A ty jesteś moją mamą, chcę dla ciebie jak najlepiej i wiem, że w takim ekstrawaganckim związku długo nie byłabyś szczęśliwa. Na pewno nie w zaściankowej Polsce, bo właśnie tam opinia publiczna by cię zniszczyła, a plotkary zjadły na śniadanie.

– Słyszałam też opinie, że sprytny balijski przystojniak liczy na to, że wielka pani wyciągnie go z indonezyjskiego bagna i zapewni mu świetlaną przyszłość w bogatej Europie. I to mnie z tego związku całkiem wyleczyło. Nie spodziewałam się takiego negatywnego, wręcz komercyjnego nastawienia. Nie rozumiałam przede wszystkim ich oburzenia, bo przecież cała Azja, w tym Indonezja razem z wyspą Bali, to mekka seksu i rozwiązłości, więc skąd to zgorzenie?!

– Może gdybyś mu płaciła? – wypala Marysia, ale zaraz gryzie się w język. – Sorry, ale z seksturystyki żyje tam połowa populacji.

– Wiem, jednak to nie miało nic wspólnego z romantycznym Arim.

„Ależ ja cię kocham!”, Dorocie wciąż brzmi w uszach wyznanie byłego kochanka. Ze łzami w oczach spogląda na zdjęcie w telefonie przedstawiające pięknego Balińczyka i serce jej się kraje na wspomnienie, jak marnie skończył.

– Widziałam niekłamana czarną rozpacz i tragiczną żalność malujące się na jego twarzy – kontynuuje. – Kiedy z nim zerwałam, w tej jednej krótkiej chwili całe jego życie, uczucia i marzenia legły w gruzach. Wszystko przez to, że pomimo wielkiej sympatii i sentymentu do niego nie miałam w sobie na tyle głębokich uczuć ani odwagi, by zdecydować się na tak ekscentryczny związek. Czułam się, jakbym to ja skazała go na śmierć.

– *Wallahi*31, mamó! – Marysia skacze na posłaniu i przysiadła na piętach, spoglądając w zażawione oczy rodzicielki. – Miałymy sobie poświntuszyć na temat twojego młodocianego kochanka, a tu zrobiła się stypa. Jesteśmy niepoprawne! Ze wszystkiego potrafimy zrobić awanturę albo dramat.

– Och! Masz rację...

Dorota wstaje, lecz nie jest już tak rześka jak na początku rozmowy. Widać, że wspomnienia ją przybiły.

– Cieszę się, mamuś, że spotkałaś na swej drodze Aszrafa – wyznaje Marysia, chcąc zmienić temat. – Może dlatego, że przywykłyśmy już do *toby*, ten facet zdecydowanie bardziej mi do ciebie pasuje – podśmiechuje się z ich arabskich upodobań. – Poza tym, już bez żartów, on ma klasę.

– Do tej pory nie mogę uwierzyć w mój ogromny fart. Ten związek to istny cud – wyjawia Polka, otrząsając się z nostalgii. – Może rzeczywiście jest to dobry czas, żeby skasować głupie zdjęcia i sentymentalne wspomnienia.

– Właśnie! Zapomnij o tym, co było, i ciesz się dniem dzisiejszym. Czasami nie można przekreślić przeszłości i wtedy człowiek już nigdy nie będzie szczęśliwy. Nie będzie żył pełnią życia... – podsumowuje Marysia, obarczona tragicznym doświadczeniem.

* * *

Daria dochodzi do wniosku, że jej życie jest beznadziejne i na pewno już nigdy nie będzie

lepsze. Jest przegrana, wyklęta, przeklęta... Po prostu ma cholernego pecha. Trafił się jej ten wymarzony mężczyzna w życiu i akurat musiał się okazać jednym z największych i najgroźniejszych terrorystów. Marysia miała kochanków jak psów, matka tak samo, a ona ugrzęzła ze swoim fundamentalistycznym wybrankiem prawdopodobnie do końca życia.

Wspomina przypadkowo zasłyszane słowa Doroty, które okrutnie ją zabolowały. Jej własna rodzicielka podsumowała ją niezbyt pochlebnie. Potępiła w czambuł tych, którzy usiłowali postępowanie Darii usprawiedliwiać syndromami, medycznymi terminami, bo ona sama uważa, że właśnie przez jej córkę *dżihadi* John zabił wspaniałego człowieka, przyjaciela rodziny i byłego męża Marysi, Karima al-Nadżdi. W całą intrygę wplątała się Bogu ducha winna Saudyjka, młodzianka lekarka Afra, którą również załatwili fundamentaliści, emiracka agentka wywiadu Aruba, kobieta na schwał, mistrzyni sztuk walki, straciła męża, Hamid Binladen, pupilek całej rodziny, został otruty i teraz ponoć ledwo żyje, a Marysia, nie dość że otruta, to jeszcze pohańbiona, wielokrotnie zgwałcona i zapłodniona przez jakiegoś beduińskiego pastucha. Daria nie wiedziała o tym wszystkim i gdyby nie podsłuchana rozmowa w rijadzkim parku, do tej pory żyłaby w błogiej nieświadomości. Matka jak najęta wymieniała wszystkie ofiary, które zginęły na drodze pokonanej przez szaloną Marysię i Hamida, by ci mogli dotrzeć do Darii do Rakki, stolicy kalifatu. Tak więc zginęły przez nią bezimienne, nieznanne bohaterskie jezydki, w tym kultowa pieśniarka tej eksterminowanej nacji, kurdyjskie żołnierki, które nie znają litości ani strachu, poszła w piach cała chrześcijańska rodzina syryjskich mleczarzy – matka, ojciec, siostry i dziesięcioletni brat, którego uwięziona wtedy w haremie Daria знаła osobiście. „Wszystko to przez jeden wybryk mojej najmłodszej córki i po to, by pomóc jej wydostać się z kalifatu”, podsumowała Dorota. Jej elegancka mama nazwała ją wtedy cholerną małą upartą impertynentką, arogantką, wichrzycielką i anarchistką, którą wszyscy usiłują wyciągnąć z gówna, w które na własne życzenie wdepnęła. *Ale moja staruszka jeszcze nie wie o czymś dość istotnym...* Na ustach Darii wykwita okrutny, zły uśmiezek. *Gdyby miała tego świadomość, chyba wylądowałaby w psychiatryku, a rodzinka w końcu dałaby sobie spokój z odbijaniem mnie z rąk wroga.* Niegdyś strachliwa i niewinna Daria własnoręcznie zamordowała swoją rywalkę o względy Jasema, jego drugą żonę – Jasmin, rewelacyjną agitatorkę quasi-Państwa Islamskiego w Europie, która była w stanie każdego zmylić, ukryć się i obronić przed wszystkimi, ale nie przed bezwzględną młodą pół-Polką. Potem na liście ofiar znaleźli się dwaj pseudoochroniarze z Rakki, którym zamiast wypełniania obowiązków po głowie chodziły amory i drobny gwałcik na bezbronnej, pozostawionej pod ich opieką kobiecie. Te zabójstwa można by wytłumaczyć, bo zostały dokonane w stanie wojny, w ekstremalnych warunkach w Rakce. Ale ostatni okrutny mord jest nie do usprawiedliwienia. *Jak mogłam?* Daria często płacze w poduszkę po nocach. *Dlaczego? Po co? Biedna Krysia! Nieszczęsna ciocia i jej stary, kochający ją ponad wszystko mąż... Tego dokonaliśmy we dwoje.* Właśnie w tym znajduje usprawiedliwienie. *To Jasem wsadził mi truciznę do rąk. Niezła z nas para, nie ma co! Bonnie i Clyde!*

Podczas lotu prywatnym odrzutowcem saudyjskiego księcia Anwara Daria ma sporo czasu na rozmyślanie, jednak wciąż zbyt mało, żeby się przygotować na niewiadomą przyszłość. Próbuje coś wyciągnąć od swojego tajemniczego męża, ale jest to bardzo trudne przedsięwzięcie. Mężczyzna zamknął się w sobie, jak to dawniej miał w zwyczaju, i nie chce puścić pary z ust.

– Dlaczego lecimy do Libii? – Daria usiłuje nadać swojemu głosowi miłe brzmienie, lecz słysząc w nim ewidentną irytację. – Co będziemy tam robić?

– Mam parę spraw do załatwienia – odburkuje partner, po czym wygodniej rozsiada się w fotelu, zamyka oczy i opiera głowę na zagłówku. Ma to dać kobiecie do zrozumienia, że nie ma ochoty na pogawędkę.

– Niedawno mówiłeś, że z Rakki zabierzesz mnie w elegancki i bogaty świat...

– Już tam byłaś! – Mężczyzna gwałtownie przerywa, siadając i pochylając się w jej stronę. – Już pokazałaś, że nie potrafisz się zachowywać jak praworządny człowiek i być normalnym obywatelem. – Sprawia wrażenie, jakby chciał ją uderzyć, a wzrokiem zabić.

– Co ty gadasz? Ty śmiesz mi coś takiego zarzucać?! – Oburzona Daria podnosi głos, niechcący

budząc smacznie śpiącego synka, Ahmeda. Matka stara się uspokoić, lecz ledwo łapie powietrze. – Ty to mówisz? – syczy teatralnym szeptem.

– Tak, ja. W Katarze szlajałaś się jak najgorsza, tania kurwa do czasu, aż twoją koleżankę po fachu ktoś załatwił. Nawet w Rijadzie, i to na przyszpitalnym osiedlu, gdzie mieszkaliśmy, otrułaś swoją krewniaczkę. Myślisz, że nie odkryli twoich linii papilarnych na szklance, którą w jakimś idiotycznym odruchu wyrzuciłaś do kosza? Że nie zebrali twojego DNA z mieszkania? Już prawie cię mieli!

Daria ze zdziwienia aż otwiera usta.

– To niby przeze mnie w pośpiechu opuszczamy Arabię Saudyjską? – Zna już swojego męża na tyle, by wiedzieć, że będzie usiłował wpędzić ją w poczucie winy. – Ja jestem nic niewartą dziwką, jak sam wspomniałeś, ale to ciebie poszukują wszystkie światowe agencje. Żebyś nie wiem jak zmienił sobie gębę, twoje bebechy i geny pozostaną te same. Namierzyli cię, mój ty ptaszku, najpierw w Katarze, a teraz w Arabii, ot co! A cel naszej podróży wybrałaś specjalnie, bo aktualnie w Libii jest taki bajzel, że nikt cię tam nie odnajdzie.

– Sama zgrabnie odpowiedziałaś na swoje pytanie, dlaczego lecimy do Libii. – Pół-Syryjczyk jest zadowolony, mając u boku inteligentną partnerkę, którą w Katarze tak naprawdę krytykował jedynie za nadużywanie alkoholu, co było wynikiem jej zagubienia w normalnym świecie, nigdy jednak nie podejrzewał jej o rozpustę. Teraz zarzuca jej to tylko dlatego, by dotknąć przyzwoitą kobietę do żywego.

– Będziesz próbował odbudować to wasze cholerne pseudopaństwo? – pyta z drżeniem serca Daria. – *Daesz32?* – ironizuje, chcąc dopiec mężczyźnie. – Znow będziecie zabijać i ciemnić normalnych ludzi? Będę musiała nosić *abaje33?* – indaguje nawet w takiej przyziemnej sprawie.

– Ależ ty jesteś ciekawska. – Jasem kręci na boki głową, lecz w sumie cieszy go zainteresowanie żony, z którą ostatnimi czasy całkiem się oddalili.

– To ważne dla naszego syna i jego przyszłości.

– Nie pieprz. – Mężczyzna wybucha charakterystycznym dla siebie gardłowym śmiechem, który jednak zaraz tłumi. – Jesteś zaintrygowana, bo po wielu latach wracasz do swojej, było nie było, ojczyzny, nieprawdaż?

– Masz rację.

Daria, już spokojniejsza, sięga do barku naprzeciwko fotela i znajduje butelkę szampana Dom Pérignon. Ustawia kieliszki, a jej mąż bez słowa, starając się zrobić to jak najciszej, otwiera butelkę.

– Jak tam będzie? – Kobieta jest wręcz podekscytowana.

– Nic nie będę odbudowywał, bo Państwo Islamskie to była pomyłka, a jego istnienie zakończyło się sromotną porażką. – Jasem powoli rozwiewa jej wątpliwości, haustami opróżniając kieliszek napoju bogów, a Daria stwierdza, że wybrała sobie na swoją drogę życia nieziemskiego chama. – Z mordowania też nici, bo Libia to kraj o dużej powierzchni, który ciągle boryka się z niewielką liczbą ludności. Choć przyrost naturalny, jak to w każdym kraju arabskim, mają wysoki, liczba obywateli nie rośnie, a wręcz ciągle spada. Nie wiem, czy po arabskiej wiośnie i późniejszej rewolucji jest ich choćby z sześć milionów.

– Mama zawsze z dumą powtarzała, że obszar Libii jest pięciokrotnie większy od terytorium Polski, więc jest potężny, a wszystkich Libijczyków można by pomieścić w jednym mieście.

– To może i dobrze. Nie ma hałastu pieprzonych krzykaczy – stwierdza dżihadysta, jakby już dzierzył w dłoniach ster władzy. – Tak więc kalifatu nie będzie, wojny, walki i mordowania też nie, bo niedługo nie byłoby kogo zabijać, *abaje* nigdy nie były tam popularne... Hm... – Z przebiegłym wyrazem twarzy udaje, że nad czymś się zastanawia.

– Co ty tam będziesz robił? – Kobieta zadaje drażliwe pytanie, dolewając do kieliszka kosztownego trunku.

– W coś się wkręcę.

– W co?

Przez jakiś czas kontynuują podróż bez słowa. Mija wiele minut, zanim Daria ponownie się

odzywa:

– Masz nową kobietę? – Musi to wiedzieć, a teraz jest idealny moment na szczerą rozmowę. – Czy ona jest Libijką?

Jasem dalej milczy jak zakłęty, wbijając przed siebie wściekły wzrok, bo jego nastrój potrafi się zmienić w ciągu sekundy.

– Pieprzyłeś się z nią już w Rijadzie. – Tym razem żona nie pyta, tylko odważnie stwierdza. – Czulałam od ciebie zapach jej kiepskich, tanich perfum, damskiego potu i spermy. Czy znowu chcesz sobie wziąć drugą żonę?

Mąż bardzo uważnie lustruje jej twarz, lecz jego oczy nie wyrażają żadnych emocji, żadnych uczuć. Daria zastanawia się, czy czasami nie zamierza jej zabić i odesłać do księcia tym samym samolotem.

– Mogłaś ode mnie odejść w każdej chwili, ale tego nie zrobiłaś – mężczyzna odzywa się w końcu głuchym głosem. – W Rijadzie całkowicie przekreśliłaś sobie możliwość powrotu do praworządnego społeczeństwa.

– Wiem. – Daria będzie żałowała swojego kroku do końca życia, ale oczywiście nie powie tego na głos. Wie, że w tej chwili waży się los jej i jej syna. – Kiedyś się w tobie zakochałam, Jasem, pamiętasz? Pamiętasz Dubaj, Paryż, Hurhadę? A Damaszek, kiedy opiekowałam się tobą po operacji plastycznej, gdy wdało się zakażenie? – Kobieta walczy o swoje życie, instynktownie czując, że wisi ono na włosku.

– Mam nadzieję, że nadal mogę na tobie polegać, Darin. – Mąż marszczy czoło i ściąga brwi. – Podjęłaś decyzję i trzymaj się jej.

– Tak zrobię.

– Z wdzięcznością. Bez pyskowania.

– Oczywiście. Jestem ci wdzięczna. – Serce tłucze się w jej młodej piersi jak schwytyany do klatki ptak.

– Nigdy nie występuj przeciwko mnie.

– Czy kiedyś to robiłam? Nawet mi przez myśl nie przeszło.

– Jeśli nawet będę miała drugą żonę, to ją też szanuj... – Jasem zawiesza głos i ściąga wargi. – Będziesz żyć dotąd, aż ona będzie zadowolona i nie będzie się na ciebie skarżyła.

Daria niemo potakuje, bo zdaje sobie sprawę, że dopiero teraz zaprzedała duszę diabłu. Wcześniej to były tylko igraszki.

– To nie kalifat – ciągnie dżihadysta. – Nie będzie żadnych niespodziewanych, tajemniczych okoliczności czy nieoczekiwanych zniknięć. Wbrew pozorom tutaj nic się nie rozmyje we mgle. To Libia. Tu znikają tylko ci, którzy mają zniknąć i o których nikt nie będzie się upominał. Reszta jest jak na widelcu. Rozumiemy się?

– Oczywiście.

– Jeśli Dżamili coś się stanie, skręci nogę albo dostanie kataru, to wszystkiemu zawsze będziesz winna ty. Więc lepiej się z nią zaprzyjaźnij. Jasne?

– Tak, kochanie. – Daria kładzie swoją lodowatą, drżącą, mokrą od potu dłoń na wrzącej twardej prawicy męża. – Mamy syna... – Próbuje uderzyć w jego czulą strunę, ale takie zagrania do niego nie przemawiają. To człowiek, który własnoręcznie zabił swoich rodziców, a także doprowadził do poronienia przez Darię ich pierworodnego.

Po tej mało przyjemnej rozmowie Jasem patrzy na żonę długo i wymownie, ale dzięki temu, że się kajała i nie sprzeciwiła mu słowem czy gestem, taksuje ją już trochę łagodniejszym wzrokiem. Potem bierze ją za rękę i bez słowa ciągnie do komfortowej pokładowej łazienki z toaletą, prysznicem i małą leżanką. Kiedy tylko wchodzi do środka, popycha kobietę na małe łóżko. Darię coś aż skręca w środku. Nie może patrzeć na tego mężczyznę! Tak bardzo go nienawidzi i nim gardzi! Jednak lęk jest silniejszy, dlatego spogląda na niego pokornie. To już nie jest jej kochanek, to już nie ten mężczyzna, dla którego gotowa była poświęcić wszystko. Ani nie przypomina go z wyglądu, ani jak dawniej nie emanuje żadną przyciągającą aurą. Może kiedyś miał pospolitą, brytyjską urodę, ale z jego

twarży było to coś – charyzma, pogarda i pyszałkowatość, które tak zauroczyły młodą dziewczynę. Teraz chirurg plastyczny zrobił z niego nijakiego człowieka, który wtopi się w tłum i nikt go nie zauważy. O to przecież chodziło.

Jasem też nie ma ochoty spoglądać w potulne oczy swojej żony. Nie ma mowy o czułych słówkach czy pieściznach. On chce seksu, chce się wyżyć i sobie ulżyć. Dlatego obraca ją do siebie plecami, zdiera z niej majtki, chwytą w pasie i wchodzi w nią od tyłu jak zwierzę. Jego twardy penis wręcz rozsądza delikatną, od dawna nieużywaną muszelkę kobiety, lecz ta się nie wzbrania, nawet nie mruknie. Mężczyzna spoconymi rękami łapie ją to za ramię, to za szyję, a Daria zastanawia się, czy czasem nie wzmocni uścisku i nie skręci jej karku. Parokrotnie boleśnie uderza czołem o ścianę, rozpląszcza sobie na niej nos, ale znosi to z godnością, nadstawiając obolałe pośladki na kolejne pchnięcia. W końcu czuje spływającą po jej skórze cuchnącą spermę. Oddycha głęboko i łapczywie, żeby nie zwymiotować z obrzydzenia i przerażenia. Pot spływa jej spod cienkich włosów, które przyklejają się do czaszki, pokrywa plecy i uda, po których Jasem co rusz ją klepie, co pobudza jego i tak niewyobrażalną potencję. Zalicza swoją arabską żonę wielokrotnie. Po zaspokojeniu chuci podciąga portki, przygląda kędzierzawe włosy, zrasza twarz zimną wodą i bez słowa wraca do kabiny.

Kiedy Daria na miękkich nogach dochodzi do pasażerskiego fotela, mężczyzna już śpi. Jego twarz nie wyraża żadnych uczuć; jest to maska, pod którą może kryć się wszystko.

Daria moczy usta w ciepłym już i odgazowanym francuskim szampanie, po czym przenosi się na drugą stronę kabiny. Poprawia pled, okrywający drobne ciało twardo śpiącego synka, usadawia się w swoim fotelu przy oknie i wbija wzrok w ciemność. Przymyka powieki, spod których wypływają rzęsiste łzy, i oddaje retrospekcji, która zalewa jej serce i umysł.

Mój cudowny mąż, jak sądziłam na początku naszego związku Brytyjczyk, tak namieszal mi w głowie, a przede wszystkim w sercu, że żaden wewnętrzny głos nic mi nie podpowiedział. Moja intuicja została uśpiona przez szaloną miłość i dziką namiętność, które całkowicie mną zawładnęły. Patentowana idiotka! Kobieta nie może uwierzyć w swoją ówczesną naiwność. Czy ja rzeczywiście nie widziałam, co się dookoła mnie dzieje? Czy tylko nie chciałam dopuścić do świadomości i zakochanego serca żadnych podejrzeń?, pyta samą siebie, usiłując wskrzesić odczucia z tamtych odległych czasów. Wakacyjna trasa, którą brytyjski John Smith vel syryjski Jasem Alzani przygotował dla swojej kochanki, była wspaniałą, wręcz oszałamiającą. Każda młódka dałaby się nabrać. *Dubaj, Paryż, Barcelona i Tossa de Mar...* Żona dżihadysty wylicza w myślach miejsca ich pobytu i ogarniają ją wspomnienia niewyobrażalnego szczęścia. Mężczyzna na niczym nie oszczędzał, by pokazać jej blichtr wielkiego świata. Mieszkali w najdroższych pięciogwiazdkowych hotelach, jadali w najbardziej znanych restauracjach, kawior zapijali szampanem, pogryzając dojrzałe, aromatyczne truskawki. Rejs prywatnym jachtem, lot prywatnym odrzutowcem saudyjskiego księcia... *Tego samego księcia, który dzisiaj znów ratuje nam tyłki.* Daria uśmiecha się z przekąsem, dolewa sobie szampana i wypija go duszkiem, na koniec z rozkoszą mlaskając językiem o podniebienie. *Było tego aż nadto, żeby zwykłej dziewczynie namieszać w głowie i stłumić głos intuicji,* usiłuje się wytłumaczyć sama przed sobą. Sielanka skończyła się w Egipcie. To tam rozmowa z córką obalonego prezydenta fundamentalisty wstrząsnęła nieświadomą kochanką dżihadysty, choć nie przyczyniło się to do podjęcia jakichkolwiek asekuracyjnych kroków. Bo czyż można sobie wymarzyć coś bardziej romantycznego niż ślub zawarty przed szejkiem w meczecie w Hurghadzie, modnej turystycznej miejscowości? Pary, by powiedzieć sakramentalne „tak”, jeżdżą na Bali, Haiti czy Fidzi, ale dla kobiety, która – przez płynącą w niej krew ojca Libijczyka – z krajami arabskimi była związana od zawsze, to właśnie egipska miejscowość nad Morzem Czerwonym była tą wymarzoną do takiej ceremonii. W cieniu minaretu, przy pełni księżyca, cykaniu cykad i szumie fal pan młody czule całował jej usta. Nie pomyślała wtedy, że ślub muzułmański mogą zawierać tylko muzułmanie. Ona po mieczu była odpowiednią kandydatką, bo przecież kiedyś nosiła nazwisko Salimi, jednak John uchodził wtedy za stuprocentowego Brytyjczyka. Nawet tak oczywista kwestia nie zasiała ziarna nieufności w główce zakochanej dwudziestolatki. I na tej wspaniałej ceremonii cała magia ich związku się zakończyła. Choć jeszcze przez chwilę serce młodej mężatki nie chciało uwierzyć w to, co niezaprzeczalne, niedające się usprawiedliwić i widoczne

gołym okiem. Nie dopuszczała do siebie myśli, że spośród milionów mężczyzn na całym świecie wybrała tego najgorszego – mordercę i sadystę, międzynarodowego zbrodniarza i szaleńca. Daria nie dawała wiary nawet słowom matki Jasema, Muniry, oskarżając ją o obłąd i na jej barki składając całą winę. Kiedy jednak posypały się zbrodnie za zbrodnią, do czego przyczynił się pobyt w kalifacie, młoda wiekiem, lecz stara duchem kobieta nie miała już żadnych złudzeń. Mimo to wspólne ciężkie życie w kraju ogarniętym wojną, cięża oraz karkołomna ucieczka zbliżyły ich do siebie, jakby związały niewidoczną nicią. Daria myślała, że już na wieki. Że są sobie pisani na dobre i na złe. Bo przecież pomimo swojego zbrodniczego charakteru Jasem sprawiał wrażenie, że ją kocha i że jest od niej tak samo uzależniony, jak ona od niego. Dlatego nie była w stanie go porzucić. Dlatego nie dała sobie pomóc, nie pozwoliła się wyrwać ani z łapsk zbrodniarza, ani z kleszczy fundamentalizmu. Dzisiaj się okazało, że całe uczucie, jakie żywił do niej mężczyzna, wyparowało, zniknęło, wypaliło się. Może stało się to w Katarze, kiedy tak bardzo się od siebie oddalili? Daria wiodła tam samodzielne, wyemancypowane życie, odseparowana od męża tak duchowo, jak i fizycznie. Może doszło do tego w Arabii Saudyjskiej, gdy mężczyzna znowu zaczął znikać na całe dni i noce? Teraz Darii trudno to zweryfikować, ale jedno wie na pewno: jej los jest w rękach zbrodniarza, a życie jej i jej syna jest zagrożone jak nigdy dotąd. W sercu dżihadysty nie pozostała bowiem ani iskierka z ognia, który kiedyś płonął tylko dla jego arabskiej żony Darin. *To palec boży, spięta i podenerwowana do granic możliwości kobieta po wielogodzinnym locie nawet nie myśli o śnie. Lecimy do kraju moich przodków. Nie mogę tam zginąć. Muszę znaleźć przyjaciół, popleczników i w końcu się od niego uwolnić. A jeśli jedynym sposobem, by to osiągnąć, będzie zabicie go, nie zawaham się. Zrobię to dla mojego syna. Mój Ahmed musi żyć. Prędeż sama odejdę do Boga, niż pozwolę sobie zabrać kolejne dziecko.*

– Kończ już lepiej tę butelkę. – Daria słyszy nad głową nieprzyjemny głos męża. – W Libii panuje stuprocentowa prohibicja, więc będzie ci musiało wystarczyć na długi czas.

– Oczywiście, Jasemie. – Daria wychyla swoją czarę goryczy, patrząc przymilnie w oczy terrorysty.

– Nie nazywaj mnie tak, kobieto! – Mąż od niechcienia wymierza jej policzek. – Jestem Muhamad Arabi. Niedługo pan Muntasir.

17 *Szariat* (arabski) – dosł. droga prowadząca do wodopoju; prawo kierujące życiem wyznawców sunnickiej, jak i szyickiej odmiany islamu. Islam nie uznaje rozdziału życia świeckiego i religijnego, dlatego reguluje zarówno zwyczaje religijne, organizację władzy religijnej, jak i codzienne życie muzułmanina. Szariat opiera się na założeniu, że prawo musi dostarczać wszystkiego, co potrzebne dla duchowego i fizycznego rozwoju jednostki. Wszystkie czyny muzułmanina są podzielone na pięć kategorii: konieczne, chwalebne, dozwolone, naganne oraz zakazane. Podstawą określenia czynów koniecznych jest pięć filarów islamu.

18 *Ramadan* (arabski) – dziewiąty miesiąc kalendarza muzułmańskiego. Dla muzułmanów jest święty, gdyż w tym miesiącu rozpoczęło się objawianie Koranu – archanioł Gabriel (arab. *Dżibril*) ukazał się prorokowi Muhammadowi, przekazując kilka wersów przyszłej świętej księgi islamu. Podczas trwania ramadanu od świtu do zmierzchu muzułmaninowi nie wolno spożywać żadnych pokarmów, pić żadnych napojów (w tym wody), palić tytoniu ani uprawiać seksu. Ostatni posiłek przed kolejnym dniem postu jedzą przed świtem. W momencie, gdy usłyszą wołanie do porannej modlitwy *fadżr*, powstrzymują się od dalszego jedzenia i picia. W ramadanie muzułmanie zwykle spożywają dwa posiłki – *iftar* po zachodzie słońca oraz *suhur* przed świtem. Jednak obowiązkiem muzułmanina podczas ramadanu jest szczególna wstrzeźliwość nie tylko wobec doznań cielesnych, ale i wewnętrznych złych skłonności do fałszu, obłądki, obmowy i kłamstw. W średniowieczu wstrzymywane były nawet działania wojenne, swary czy przekładane bitwy.

19 *Arabia Felix* (łacina) (Arabia szczęśliwa) – stosowana przez Rzymian nazwa południowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego (żyzne wybrzeże wraz z miastami portowymi i wyżyny Hadramautu).

20 *Medina* (arabski) – miasto; stare miasto.

21 *Galabija/dżalabija* (arabski) – męski lub damski strój w formie długiej sukni/płaszczka

z rozcięciem pod szyją.

22 *Dżambija* (arabski) – zakrzywiony nóż, tradycyjnie noszony za pasem w Jemenie, ale również w innych krajach arabskich.

23 *Hadżdż*, *hadż* (arabski) – pielgrzymka do świątyni Al-Kaba w Mekce. Odbycie pielgrzymki przynajmniej raz w życiu jest obowiązkiem religijnym każdego dorosłego muzułmanina płci męskiej, który jest do niej zdolny fizycznie i finansowo. To jeden z pięciu filarów islamu. Uważany jest za najliczniejsze coroczne zgromadzenie ludzi na świecie (w 2018 r. ok. 2 mln). *Hadż* jest demonstracją solidarności muzułmanów oraz ich oddania wierze w Allaha. Pielgrzymi wchodzi w stan uświęcenia, a zbliżając się do świętego terytorium Mekki, przywdziewają białą szatę. Pielgrzymka rozpoczyna się kazaniem w meczecie i siedmiokrotnym okążeniem Ka'by. Przez kolejne trzy dni wyznawcy wędrują po okolicy, docierając do różnych symbolicznych miejsc, m.in. doliny Mina, góry Arafat, wzgórze Al-Muzdalifa. W tym czasie odmawiają wiele modlitw i sprawują liczne symboliczne obrzędy, jak np. kamienowanie szatana. Przez kolejne trzy dni odpoczywają. *Hadż* gromadzi corocznie kilka milionów wyznawców islamu, których nazywa się *hadżdżi* (pielgrzymi, *hadżdż* mężczyzna, *hadżdża* kobieta). Udział w pielgrzymce wyznawców innych religii jest zabroniony.

24 *Toba* (*thoba*) (arabski) – rodzaj męskiej koszuli długiej do ziemi, z tradycyjnym kołnierzykiem lub stójką i manszetami, zapinanej na guziki tylko do pasa.

25 *Ghutra* (arabski) – biała, w biało-czerwoną lub czarną kratę chusta na głowę dla mężczyzn.

26 *Igal* (*iqal*) (arabski) – obręcz pleciana z czarnego sznurka, którą umieszcza się wokół głowy dla przytrzymania chusty.

27 *Zaharid* – zob. przypis na s. 391.

28 *Mahram* (arabski) – męski opiekun muzułmańskich kobiet; ojciec, brat, kuzyn, dziadek.

29 Bab al-Jemeni (arabski) – Brama Jemeńska.

30 *Kat* (arabski) – czuwaliczka jadalna – gatunek zimozielonej rośliny z rodziny dławiszowatych. Występuje w Afryce Wschodniej i Arabii. Współcześnie stosowana zwłaszcza w Jemenie, gdzie jej uprawy stanowią ponad 40% wszystkich upraw roślinnych i są źródłem dochodu dla ok. 90% rodzin jemeńskich. Właściwości stymulujące czuwaliczka zawdzięcza alkaloidowi znanemu pod nazwą katynon. Jej świeże lub suszone liście są używane do żucia oraz do sporządzania naparu. Posiada właściwości narkotyczne, w Polsce jest zakazana.

31 *Wallahi* (arabski) – Na Boga! Na Allaha!

32 *Daesh* (daesz) (arabski) – to akronim od skrótu ISIS, czyli Islamic State of Iraq and Syria (Państwo Islamskie w Iraku i Syrii), ale u Arabów ma szersze znaczenie. Syryjczycy uznają je za określenie pejoratywne i obraźliwe, bowiem oznacza kogoś nieudolnego, ale też szkodliwego, kto sieje niezgodę i nieporządek. Daesz znaczy tyle co głupi, małostkowy, niepoważny, zacofany, ciemnogród. Słowo to weszło do międzynarodowego nazewnictwa i jest używane przez polityków, np. François Hollande'a, Baracka Obamę czy Johna Kerry'ego, którzy wolą omijać połączenie Państwo Islamskie i nie używać słowa „islam” w stosunku do terrorystycznego quasi-państwa.

33 *Abaja* (arabski) – wierzchnie tradycyjne okrycie w krajach muzułmańskich; szeroki, luźny płaszcz noszony przez kobiety i mężczyzn.

Życie we własnych rękach

Długą podróż lotniczą ze stolicy Arabii Saudyjskiej Rijadu do Bengazi w Libii Jasem poświęca na przemyślenia, planowanie i knowanie. Jest wściekły, że musi rozpocząć swoją nową drogę z balastem w postaci Darii i Ahmeda. Nie spodziewał się tego. Był przekonany, że młoda kobieta zatęskni za rodziną, starymi kątami i w końcu da mu spokój. Po wspólnym życiu w Katarze, kiedy Daria zachłysnęła się wolnością i bogactwem, całkowicie się do niej zraził. W porządku – żona nadal trzymała jego stronę, ale takie poparcie można sobie kupić. Jego uczucie wypaliło się do cna i nawet nie ma za bardzo ochoty z nią współżyć, mając na podorędziu młodą, ładną i napaloną libijską dzierlatkę. Daria nigdy nie była takim wulkanem seksu jak Dżamila. Na początku drogi krążył mu po głowie diabelski plan pozbycia się jej, co Daria błyskawicznie wyczuła, jakby takie rzeczy docierały do niej przez skórę. Nie wiedział, jak kobieta zareaguje na wieść o jego osobistych planach i chęci poślubienia Dżamili Muntasir, ale okazało się, że wykazała się rozsądkiem. W innym razie musiałyby ją „zutylizować”. Tak właśnie o niej myślał. Jak o śmieciu. Pięknego syna jego nowa, wysoko sytuowana żona na pewno z chęcią przygarnie. W końcu to Arabka.

Po regenerującej drzemce mężczyzna budzi się pełen nowych sił i wigoru. Z Darią sprawa została załatwiona, nerwy ostudził ostrym seksem, a teraz najwyższy czas przystąpić do działania. Żona siedzi jak najdalej od niego, jest obrócona w stronę okna i ma zamknięte oczy. Pewnie śpi. A jeśli nawet nie, Jasem nie zamierza z niczego robić tajemnicy – po prawdzie ta kobieta wie tyle, że mogłaby go pogrzebać z kretesem. Jednak nie leży to w jej interesie, więc mężczyzna czuje się w pełni bezpieczny.

Aktualnie wszystko całkiem nieźle się układa, a do niebezpieczeństwa i komplikacji Jasem jest przyzwyczajony, nie deprymują go nawet zmiana miejsca czy korekta twarzy. Niepokoi go tylko jedna jedyna osoba pod słońcem, która mogłaby mu realnie zaszkodzić, pokrzyżować jego dalekosiężne plany. Jest to znów Hamid Binladen, cholerny Saudyjczyk, który się na niego zawziął i na dokładkę nie wiadomo jakim cudem rozpoznał go w Klinice Gwardii Narodowej w Rijadzie. Po nitce do kłębka i wszyscy będą znali jego nową twarz, jego nowe, nieskazitelne oblicze, które miało mu zapewnić spokój i dać szansę na nowe dobre życie. Dekonspiracja zaczęła się już w Katarze, teraz doszła wpadka w Arabii Saudyjskiej, stąd wniosek, że list gończy z fotografią fizys Jasema za chwilę będzie krążył po całym Bliskim Wschodzie. Pół-Syryjczyk postanawia wykorzystać swoje pozostałe kontakty. To as w jego rękawie. Nadal istnieją kryptofundamentalisci, ortodoksi różnych nacji i religii, którzy zajmują wysokie pozycje i jeśli będą czerpali z tego korzyść, pociągną za sznurki, zrzucając z piedestałów oficjeli, prezydentów czy premierów, a nawet królów, także w praworządnym świecie. Były dżihadysta wie, komu zlecić zadanie likwidacji swoich antagonistów i w której części świata szukać sprzymierzeńców. Tym razem jest to Iran, odwieczny wróg Arabii Saudyjskiej.

Jasem dziękuje Bogu, że kiedyś, gdy był na początku swej fundamentalistycznej kariery, pomimo że działał w amoku zabijania, podarował życie pewnemu człowiekowi. Zyskał tym jego przychylność, wręcz dozgonną wdzięczność. A było to w momencie podbojów kalifatu, jeszcze przed zajęciem Palmiry, gdy na terenie Syrii każdy walczył z każdym i nie wiadomo było, kto jest sprzymierzeńcem, a kto wrogiem.

– Wypuść nas... – błagał Ghasem. – Nie jesteśmy nieprzyjaciółmi.

– Jakże nie? Zamordowaliście parę setek rewolucjonistów, Syryjczyków, moich braci.

– Żadni bracia. Jeszcze się o tym przekonasz.

– Walczą przeciwko rządowi i prezydentowi Baszarowi Asadowi. Są głęboko wierzącymi sunnitami³⁴ i niedługo do nas dołączą. Zasiłą nasz kalifat, ty kłamliwy, przebiegły Persie! – Jasem zdemaskował intruzów po samym wyglądzie, nie mówiąc o ich akcencie i dziwnym sposobie wysławiania się.

– Jesteś w błędzie. – Tak jawną negacją schwytany jeszcze bardziej ryzykował życie, ale też

grał w otwarte karty. Wygraną miało być życie jego i jego kompanów. – Te pseudoreligijne dziady, farbowani sunnici nie dołączą do ciebie, chyba że ich zniewolisz lub przekupisz. Wystąpią przeciwko każdemu i do byle kogo będą się łączyć, byle dostać pełną miskę – obojętne, czy od Ruskich, Jankesów czy swoich. Sprzedadzą każdego, bo to szmaciarze bez kręgosłupa. Posłuchaj starszego i doświadczonego człowieka, który może ci się jeszcze przydać.

– Ty mnie? Do czego? Ja jestem zdobywcą i panem...

– Nie mów tylko, że panem świata. – Ghasem kpiarsko się uśmiechał, a wściekły, ale i zaintrygowany Jasem miał ochotę zedrzyć mu ten grymas z twarzy. Starszy mężczyzna znajdował się w tragicznym położeniu, ale nadal zachowywał honor i dumę. – Jesteś panem obecnej sytuacji – podjął. – Możesz zakończyć naszą znajomość tu i teraz i nic z niej nie mieć, nie wyciągnąć żadnych korzyści. Możesz też zachować ją na przyszłość, na czasy, które dopiero nadejdą.

To wtedy Jasem dostał brudny, wytargany skrawek papieru z irańskim numerem telefonu. Teraz dzięki temu otrzyma oczekiwane wsparcie. Jest pewien, że stary odważny Irańczyk dotrzyma danego słowa.

– Witaj, Ghasemie. – Dżihadysta bez pardonowo korzysta z telefonu pokładowego i łączy się z Teheranem. Nie przejmuje się kosztami, w końcu na biednego nie trafiło, poza tym kto by sprawdzał billingi księcia. – Jak tam rodzina? Jak ojciec, matka, żona i dzieci? – zadaje kurtuazyjne pytania identyczne w arabskiej i perskiej kulturze. – Może wybralibyśmy się dzisiaj na piwo do pubu Swan przy Hyde Parku? – Chce dokładniej się przedstawić rozmówcy, a ten błyskawicznie odczytuje hasło.

– Coś słabo cię słyszę. Tracę zasięg. Daj mi chwilę, wyjdę do ogrodu. – Na łączach słychać delikatne chrobotanie, co oznacza włączenie zabezpieczającego szyfrowania po drugiej stronie linii.

– Jesteś tam? – Jasem, jak zawsze w gorącej wodzie kąpany, od razu się denerwuje.

– Tak, oczywiście. – Głos mężczyzny jest zniekształcony, ale zrozumiały. – Zaskoczyłeś mnie, stary druhu. Jak ci się udało spierdolić z tego piekielka?

– Jakoś.

– Ty to masz fart!

– Takie sprawy nie zależą od fartu, lecz od planowania i inteligencji. – Pomimo tragicznych doświadczeń i wielu rozczarowań Jasem nie stracił nic ze swojego zuchwalstwa.

– Też prawda. – Irańczyk nie będzie go wypytywał o miejsce pobytu, stan zdrowia i finansów, bo nic mu do tego. Wie, że Syryjczyk na pewno dzwoni w jakiejś ważnej sprawie. W końcu obaj są profesjonalistami. – A więc...

– Jak tam Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej³⁵? Napracowaliście się nad sabotażem podczas walk o zdobycie Rakki? – Jasem wskazuje, jakiej siły będzie potrzebował, i daje znać, że jest na bieżąco.

– Nie było tak ciężko. Prawie wszyscy kalifaczczyki zwiali, włącznie z tobą. – Irańczyk wybucha złośliwym chichotem. – Zostało samo mięso armatnie, które zostawiliśmy tym głupkom Amerykanom. Wspierają rewolucjonistów i demokrację, ale nie mają zielonego pojęcia o arabskiej demokracji.

Jasem marszczy brew, bo wolałby od razu przejść do sedna sprawy, zamiast słuchać opowieści zupełnie niezwiązanych z tematem.

– Jaka arabska demokracja? – indagueje kurtuazyjnie.

– No właśnie, dobre pytanie. Coś takiego jak arabska demokracja nie istnieje. – Pers podśmiechuje się, jakby prowadził koleżeńską dyskusję, lecz tak naprawdę gra na zwłokę, by zdenerwować Jasema. – Wszystko się tym niby-sprzymierzeńcom w głowach pomieszało. A że nie korzystają z żadnych sensownych doradców, znających region i kulturę, robią tam więcej złego jak dobrego. Bajzel na całego!

– Tak to z nimi jest – potwierdza Jasem, kierując rozmowę na właściwe tory. – A jak twoi bracia w oddziałach al-Kuds³⁶?

– Nieźle.

– Niezmiennie zainteresowani królestwem?

– Którym? – Ghasem nadal prowokuje.

– Arabii Saudyjskiej oczywiście. – Jasem jest już spocony z wściekłości. Żałuje, że jednak nie ściał głowy temu przebiegłemu pyszałkowi, który prawdopodobnie w ogóle nie chce mu pomóc.

Po drugiej stronie słyszy spokojny głos:

– Nic się u nas nie zmieniło. Teraz, po upadku kalifatu i Państwa Islamskiego, większość naszych skupia się właśnie na tym tworze szatana.

– Jest tam paru szczególnie niebezpiecznych i godnych waszego zainteresowania. Przekłęci wahabici! – Kryptodżihadysta podburza rozmówcę, wiedząc o jego nienawiści do wyznawców tego odłamu islamu, gdyż to właśnie ten irański generał wydał rozkaz zabicia tysięcy sunnitów w Syrii, zaagitowanych na ortodoksyjny islam przez Saudyjczyków.

– Interesujące. Mów dalej, przyjacielu.

– Jeden to księżę Anwar al-Saud, którego z łatwością namierzycie. – Jasem najpierw oferuje wisienkę z tortu i choć wielokrotnie korzystał z pomocy księcia, który ratował jego fundamentalistyczną skórę, nie podaruje mu, że odgrażał się, iż już nigdy w życiu go nie wesprze, a na pożegnanie wręcz na niego bluzgał. Takich słów do *dżihadiego* Johna się nie mówi. Mogą one wiele kosztować. Nawet życie. – Byle jaki chłystek z domu królewskiego – prycha.

– Już od dawna go śledzimy. Dziwiliśmy się, że zadajesz się z kimś takim. – Generał aż cyka językiem o podniebienie. – Sądził, że to jakieś dawne, młodzieńcze sentymenty.

– Dlaczego? Przecież był po naszej stronie. Był pomocny – podkreśla Jasem twardym głosem.

– Po czyjej stronie? Bo chyba nie fundamentalistów, ortodoksów, dżihadystów ani sunnitów czy szyitów³⁷, Państwa Islamskiego czy kalifatu – wylicza całą litanię religijnych ugrupowań na Bliskim Wschodzie. – On knuje ze wszystkimi możliwymi rządami Zachodu i denuncjuje, kogo się da. Pije whisky z Amerykańcami, wino z Hiszpanami, u Niemców zaś podpira się piwem.

– Niemożliwe! – Jasem jest zszokowany, że tak ważny fakt umknął jego uwadze. Reaguje impulsywnie, ponieważ gryząc się w język.

– Niemożliwe do zrozumienia jest to, że nie wiedziałeś. Podobne pomyłki są niewybaczalne. Nie spodziewałem się po tobie takiego braku profesjonalizmu, dlatego twoje postępowanie tłumaczyliśmy sobie tym, że to wszystko ma jakiś głębszy sens. – Kiedy wojskowy przekonuje się o poważnym niedopatrzaniu aktualnego sojusznika, sam zaczyna się zastanawiać, czy chce dalej rozmawiać z kimś tak głupim i niewiarygodnym, jak Jasem Alzani. On, irański generał, prześwieśla w pierwszej kolejności właśnie przyjaciół i popleczników, a dopiero później wrogów, o których i tak wie, kim są.

– Wykorzystałem tego jaśnie pana do moich celów tak długo, jak tylko się dało. Teraz na przykład lecę jego prywatnym odrzutowcem do Libii – oznajmia Alzani dumnym, impertynenckim tonem. – Jednak na tym się kończy moja z nim współpraca. *Chalas, habibi*³⁸! – podsumowuje typowo po arabsku.

– Jeśli tak mówisz, tak będzie, *ja sadiqi*³⁹. – Udobruchany Pers odzyskuje wiarę w przebiegłość dżihadysty.

Jemu i jego brygadzie chodzi tylko o likwidację jak największej liczby ważnych sunnitów, w tym wahabitów, i wywołanie chaosu wśród nich, a Jasemowi – o władzę, a nie o żadną religię. Generał doskonale to wyczuł już na samym początku ich znajomości. Nie ma między nimi rozbieżności interesów i nikt nikomu w drogę nie wchodzi, a pomagając sobie nawzajem, mogą czerpać z tego same korzyści. Irańczyk potakuje, bo wie, że utracenie saudyjskiego księcia będzie premią za pomniejsze, nic nieznaczące eliminacje pionków.

– Następnym jest Hamid Binladen, Saudyjczyk, wahabita, choć o korzeniach jemeńskich. – Jasem już chciałby zakończyć tę pełną napięcia rozmowę.

– No, no. Wybierasz same szyszki. Czy to krewniak Osamy?

– Tak. Jednak matka Hamida pochodziła z plemienia al-Huti, popieranego przez wasz rząd w dążeniach do zdobycia władzy i przejęcia Jemenu, więc ten człowiek jest ewidentnym zdrajcą zarówno wobec jemeńskich szyitów, jak i wobec was.

– Ciekawe. Popracujemy nad tym – obiecuje zamyślony Ghasem Sulejmani. – Właśnie przszeregujemy siły i wzmacniamy ofensywę na terenie Arabii. Dwa dodatkowe cele nie czynią nam większej różnicy. Ale zdajesz sobie sprawę, że tym samym spłacam swój dług z nawiązką, a ty stajesz się z kolei moim dłużnikiem. Za takie dwie VIP-owskie figury trzeba się szczególnie odwdzińczyć.

– Zawsze wypełniam swoje zobowiązania.

– Wspomniałeś, że dokąd lecisz?

– Do Libii. – Jasem uśmiecha się z przekąsem, bo doskonale wie, że to zachłanne ugrupowanie religijne od zawsze miało chrapkę na panowanie również w tym regionie świata. – Niedługo o mnie usłyszycie, choć z twarzy niekoniecznie mnie poznacie.

– Libia to teraz dobry cel i miejsce pobytu dla podobnych tobie. Na tamtejszym odludziu łatwo się zgubić, choć ty nie z tych, którzy lubią się ukrywać. Jednak w chaosie łatwo jest też wypłynąć, a należysz do ryb, które uwielbiają pływać po niebezpiecznych wodach. – Irańczyk wypowiada się w typowy dla swojej nacji kwiecisty sposób.

– Zgadza się – potwierdza Jasem, całkiem już uspokojony.

– Powodzenia, bracie. Jeszcze się spotkamy. Może nawet w Libii.

– Kto wie.

Irański sojusznik dżihadysty postanawia przy okazji nękania Królestwa Arabii Saudyjskiej załatwić paru niewygodnych dla niego wahabitów, by zdobyć zaufanie i wsparcie człowieka, który nadal pozostaje w grze. Człowieka, którego z gry bardzo trudno jest wyeliminować, a on sam sięga coraz wyżej i wyżej, bo jego apetyt na władzę jest niewyobrażalny i nieograniczony.

– W takim razie teraz ty wisisz mi przysługę, bracie. – Ghasem postanawia upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, dlatego znów wspomina o honorowym długu. – Pamiętaj o tym.

– Nie ma problemu, przyjacielu. Jakbyś czegokolwiek potrzebował, wal jak w dym.

– Byłaby to przysługa bardzo osobista... – wypala strapiiony ojciec. – Wręcz rodzinna.

– Tak?

– Związana z moją córką.

– W porządku, nie ma sprawy. Czy będę w Trypolitanii, Cyrenajce czy na pustynnym Fezzanie, zawsze możesz na mnie liczyć.

Jasem w ciemno oferuje pomoc, myśląc, że to tylko kurtuazja, lecz po zakończeniu rozmowy zastanawia go nerwowy tembr głosu rozmówcy, który podświadomie zasiał w jego sercu niepokój.

Generałowi Ghasemowi Sulejmani kamień spadł z serca. Jasem nigdy by się nie spodziewał, że sprawi taką radość twardemu mężczyźnie, człowiekowi, który bez mrugnięcia powieką wydaje wyroki śmierci, a nawet własnoręcznie – z dużą przyjemnością i satysfakcją – torturuje politycznych czy religijnych więźniów. W głowie Irańczyka błyskawicznie narodziła się myśl. Jasem poddał mu genialny pomysł, stanowiący zarazem jedyne rozwiązanie, którego tak długo szukał. Cały czas, dniem i nocą dumał nad tym, jak uratować swoją piękną, ale niesforną, niepokorną i głupią córeczkę Hudę.

Mężczyzna opuszcza biuro, nikomu z niczego się nie tłumacząc. Niecierpliwie odgania ręką kierowcę i postanawia sam pojechać przez zatłoczone o tej porze miasto do swojej luksusowej willi w elitarnej dzielnicy dla wybrańców na północnych obrzeżach Teheranu.

– Chadidża! – od progu woła notorycznie zamartwiająca się małżonkę. – Będzie dobrze!

– Z czym niby? – Kobieta nie wierzy już w powodzenie ich małej rodziny.

– Z naszą dzieciną. – Ghasem uśmiecha się czule.

– Nie pozwalasz jej wykonać aborcji tu, na miejscu, na zabieg za granicą jest już za późno, a facet nie chce się żenić, bo go aresztowałeś, skatowałeś, poddałeś wymyślnym torturom i zapewne umiera ze strachu przed takim teściem.

– Każdy lekarz, który wykonałby zabieg usunięcia ciąży u mojej córki, chwilę później doniosłby o tym do władz, żeby się odznaczyć, dostać nagrodę, zniszczyć mnie, moją pozycję i moją

rodzinę. Taka jest prawda, więc nie mów, że ja czegoś nie chcę, bo przez wasze babskie romanse osiwałem i przyjdzie mi chyba zwariować. – Mężczyzna teatralnie chwyta się za głowę, ale szczerze zmartwienie bije z jego twarzy i czarnych jak noc, smutnych oczu. – I nie rozmawiajmy już o tym gnojku, młodocianym ogierze, który pohańbił naszą czystą, nieskalaną różyczkę. – Macha pogardliwie ręką, marszcząc krzaczaste brwi. – Mogła wybierać spośród najlepszych, a nie zadawać się z jakimś zawszonym studenciakiem, w dodatku o dysydenckich korzeniach, który zapewne nie ma grosza przy duszy i tylko liczył na bogatą partię. Wszyscy wiedzą, z jakiej rodziny pochodzi Huda, a jej się wydaje, że na uniwersytecie jest incognito⁴⁰.

– Czy znasz takie słowo jak miłość? – Żona uderza w czuły punkt, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że ojciec kocha swoją córkę na zabój, lecz na swój pokrętny sposób.

– Nie grzesz, kobieto! Inna dziewczucha już by nie żyła, więc nie gadaj po próżnicy. – I w tym kraju ojciec ma prawo zabić rozwiązłą, niemoralną córkę, czego Ghasem w życiu by nie zrobił.

– Więc co wymyśliłeś? – wzdycha Chadidża, która nie spodziewa się optymistycznych nowin.

– Wydamy ją za męża.

– Można by było, gdyby kandydat dał radę podpisać kontrakt ślubny. Ale z połamanymi palcami i zerwanymi paznokciami będzie mu trudno. – Kobieta dalej czyni przytyki mężowi, o którym wie wszystko, bo zaczynał jako współpracownik jej ojca, zajmującego się tym samym brudnym procederem.

– Co ty bzdurzysz, kobieto? Już przestań! To przeszłość! Nie przyszedł do mnie jak uczciwy człowiek, nie poprosił o rękę mojej córki, tylko najpierw ją pohańbił. Wstyd! Tego szmaciarza już w naszym życiu nie ma! Koniec, kropka, szlus! – wykrzykuje podenerwowany generał, a żona gardzi nim jeszcze bardziej i spodziewa się, że kiedy ich córka się o tym dowie, to zabije albo ojca, albo siebie. – Musiałby się mocno postarać, chcąc o nią ponownie zabiegać. – Mężczyzna mimo wszystko się asekurowuje, bo przecież nigdy nic nie wiadomo. – Jednak na chwilę obecną mam dla niej kandydata na pewnego męża. Mnie ten gość nie odmówi. Polecą sobie nasza Huda jak na wycieczkę nad Morze Śródziemne, podpisze fikcyjny kontrakt, a po rozwiązaniu w każdej chwili będzie mogła wrócić. Tak to załatwię.

– Cóż ty wykombinował i jakiego konkurenta jej znalazł? – zastanawia się podejrzliwa kobieta, bo zna swojego męża jak zły szeląg i niczego dobrego się już po nim nie spodziewa. – Aż się boję.

Małżonkowie wchodzą do zamkniętego na klucz ciemnego pokoju. W oknach są tu kraty, okiennice i żaluzje, a całość zakrywają dodatkowo ciężkie firany i zasłony. Jest to całkowita ciemnica, istna izba odosobnienia. Na wielkim łożu pod różowym tiulowym baldachimem leży szczupła, piękna jak malowanie dziewczyna, ubrana w europejskim stylu. Bujne rozpuszczone włosy opadają jej do ramion.

– Huda, córeczko! – Ojciec przysiadł na łóżku i ujmując ją za rękę, jednak ta szybko się wyrzywa. – Wkrótce pojedziesz w daleką podróż – oświadczają już znacznie chłodniej.

– Tak? – Młoda odwraca twarz, wpatrując się w zaryg-lowane okna. – Będę mogła zrobić skrobankę, tak żeby mnie nie ukamienowali?

– Przestań wymawiać takie złe słowa! Skrobanka... Ukamienowanie... Kto to słyszał? Takie podłe rzeczy zdarzają się innym, nie nam. – Ojciec boi się, że nawet w jego domu ściany mają uszy.

– Tak... Pewnie, pewnie... – Dziewczyna patrzy martwym wzrokiem na człowieka, którego uwielbiała przez całe swoje krótkie życie, a znenawidziła w ciągu jednej sekundy. – Dokąd mnie wysyłasz?

– Do Libii. – Ogłasza zadowolony z siebie obrońca honoru i życia swojej córeczki. – To piękny i wielki kraj.

– Dalej się nie dało? – pyta kąśliwie Huda, po czym odwraca się plecami do ludzi, którzy byli całym jej światem i ostoją bezpieczeństwa, a teraz stali się największymi wrogami.

Matka, choćby nie wiadomo co robiła, ponosi odpowiedzialność zbiorową i w oczach córki stoi po tej samej stronie barykady co ojciec. Huda może teraz pojechać nawet na koniec świata, byle dalej

od swoich fałszywych, podłych rodziców.

* * *

Marysia z Dorotą nie słyszą dzwonka do drzwi, lecz służba otwiera i wzywa Hamida, bowiem goście przybyli do niego. Gospodarz, kuśtykając z powodu trawiącego go bólu po operacji szpotawych kolan, stara się jak najzgrabniej zejść po marmurowych schodach na parter. Z góry widzi siedzących w salonie *szabbaniego* al-Ridę, ojca dzisiejszego pana młodego, ich starego wspólnego przyjaciela Fajsala al-Nadźdi oraz... O zgrozo! Księcia Anwara al-Sauda! *Co on tu robi? Co oni wszyscy kombinują?*, poruszony Binladen pyta sam siebie, bo pamięta, że to właśnie dzięki pomocy księcia Jasem Alzani vel *dżihadi* John wraz ze szwagierką Darią znaleźli tajny środek transportu i prywatnym odrzutowcem uciekli przed pościgiem w Katarze, by wylądować w Rijadzie, a potem, po przypadkowym spotkaniu z Hamidem, znów rozmyć się we mgle. Hamid nie miał ochoty na kolejną audiencję w królewskim pałacu i dociekanie, czy i tym razem możnowładca wsparł *dżihadystę*, bo za dużo oskarżeń rzuconych na jego książęcą głowę przez zwykłego obywatela królestwa mogłoby się srogo na tymże obywatelu odbić i bardzo źle dla niego skończyć. Tak jak obiecał swojej żonie Marysi, postanowił definitywnie skończyć z aktywną walką ze światowym terroryzmem i całkowicie oddać się doradztwu oraz analityce. W końcu chciał też poświęcić więcej czasu na zarządzanie rodzinnym biznesem Binladen Group, którym przez tyle lat kierował jego wuj, mający aktualnie prawie dziewięćdziesiąt lat. Czas najwyższy, żeby przeszedł na zasłużoną emeryturę.

– Przepraszamy, że przeszkadzamy w tak ważnym dniu. – Stary al-Rida usiłuje się podnieść z głębokiego klubowego fotela, lecz Hamid hamuje go gestem dłoni, sugerując, by się nie trudził. – Ostatnio w naszym królestwie niezbyt dobrze się dzieje. Z moimi byłymi współpracownikami z ministerstwa spraw wewnętrznych, gdzie czasami jeszcze służę pomocą i doświadczeniem, skontaktował się ten oto jaśnie pan z prośbą o umożliwienie nieoficjalnego spotkania z tobą.

– Tak? Niemożliwe! – Binladen nie ma zamiaru ocieplać chłodnych stosunków między nimi, lecz kurtuazyjnie wyciąga dłoń, a następnie siada naprzeciwko i patrzy z wyczekiwaniem na przybyłych.

– Wczoraj późnym popołudniem miała miejsce katastrofa śmigłowca, na pokładzie którego mieli się znajdować książę Anwar al-Saud, wysokiego szczebla wojskowi oficjele oraz załoga. Nieoczekiwanie książę został zatrzymany w Rijadzie i dlatego żywy siedzi tu dziś z nami. – Fajsal wprowadza Binladena w sytuację.

– Maszyna nie była zepsuta – dorzuca książę tubalnym głosem. – Nowiuteńka amerykańska sztuka. Rano jeszcze rutynowo sprawdzana.

– Służby specjalne zebrały szczątki helikoptera i ofiar i wszystko poddały dokładnej analizie. – Al-Rida nadal traktowany jest w resorcie jako nieśmiertelny szef, więc o wszystkim jest informowany na bieżąco.

– Okazało się, że jeden z naszych oficerów podczas swoich ostatnich zagranicznych wakacji zaprzyjaźnił się z ajatollahem⁴¹ – burczy Anwar, kpiarsko modulując głos, a Hamid znów marszczy czoło, nie wyczuwając kąśliwej ironii. – Skurczybyk Irańczyk wdarł się niepostrzeżenie w łaski towarzystwa i omotał tego saudyjskiego, chorego na raka matolka. Na chwilę obecną nie wiadomo dokładnie, co mu zaoferowano, czym zaszantażowano, bo facet rozmyślnie roztrzaskał maszynę i oczywiście sam również zszedł z tego świata. Jego żona, dwie córki i syn byli już daleko, kiedy moja brygada dotarła do ich domu w Rijadzie. Prawdopodobnie chodziło o bardzo duże pieniądze dla rodziny i nieruchomości w hrabstwie Sutherland Shire, gdzie osiedli nowobogaccy, których i tak dostaniemy w swoje ręce i przykładowie ukarzymy. Każdego można kupić, więc trzeba zacząć wymierzać sprawiedliwość również familiom, które czerpią zyski z samobójstw, bo to jedyna metoda ukrócenia tego procederu.

– Czyli zamach był wymierzony w jego wysokość, tak? – upewnia się gospodarz, wskazując na księcia.

– Mam swoje zwyczajne arabskie imię. Nazywam się Anwar. W pracy przestaję być jego

wysokością, choć wzrostu Bozia mi nie pożałowała – żartuje.

Hamid podświadomie zaczyna żywić do księcia sympatię i trochę żałuje, że nigdy lepiej go nie poznał, z góry przesądając o jego złych zamiarach i szufladkując go jako zmanierowanego członka rodziny królewskiej.

– Mamy jeszcze parę innych zamasków – drwi al-Rida, którego poczucie humoru Hamid zdążył poznać i polubić wieki temu, kiedy jeszcze ramię w ramię współpracowali ze sobą w saudyjskim wywiadzie.

– Od jakiegoś czasu irańskie pociski latają nad Rijadem jak wróble. – Anwar ma zmartwioną minę. – Wszystkie zostały wystrzelone z ogarniętego wojną Jemenu, z terytorium rządzonego przez zajdyckie plemię Huti, którego separatystyczny ruch jest wspierany przez Iran i zaopatrywany przez nich w broń. A Iran to nasz główny rywal w drodze po miano regionalnego hegemonu.

– Walka szyickiego Iranu i sunnickiej Arabii o wpływy na Bliskim Wschodzie trwa nie od dziś⁴². – Hamid nie chce bagatelizować sprawy, ale też nie ma zamiaru wpadać w panikę, bo ktoś postanowił sprzątnąć saudyjskiego księcia. W tym regionie świata zamachy są praktycznie na porządku dziennym.

– Tak, wszyscy o tym wiemy. Ataki tłumaczy się jako odpowiedź na bombardowania Jemenu. Sytuacja się zaostrzyła w dwa tysiące piętnastym roku, kiedy rebeliantów w Jemenu zaczęła zwalczać koalicja państw arabskich pod przywództwem Saudi i przy znaczącej pomocy USA. – Anwar nie odkrywa przed żadnym z obecnych Ameryki spod kapelusza, bo wszyscy siedzą w regionalnej polityce od lat. – Teraz jednak mamy eskalację konfliktu. Dotąd nie obawialiśmy się otwartej wojny, bo naszym potęgom wystarczała wojna zastępcza, jednak aktualnie robi się coraz goręcej i to nie dlatego, że ktoś chciał mnie skrócić o głowę, ale ponieważ zagrażają naszym cywilom u nas w domu.

– Cholera! Mówcie dalej i przejdźcie w końcu do sedna, moi panowie. – Hamid nie znosi przydługich opowieści jak z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, woli od razu wyłożyć karty na stół, co niestety w kulturze arabskiej jest prawie niemożliwe.

– Dzisiaj rano jedna rakietka została w ostatniej chwili przechwycona nad międzynarodowym portem lotniczym imienia Chalida w Rijadzie – minorowym głosem oznajmia Anwar.

– Co? – Gospodarza bardzo niepokoi ten fakt, bo dotyczy bezpośrednio jego i jego rodziny, znajomych i przyjaciół. – To już nie są przelewki! Chcieli zbombardować cywilne lotnisko?

– Tak.

– Jednak co lepsze – do rozmowy włącza się al-Rida, zadowolony ze sprawności i szybkości swojego *secret service* – trzeba ci wiedzieć, że ten ajatollah, jak nazwał go *said*⁴³ Anwar, Irańczyk, który przekupił naszego oficera, a którego nasz wywiad ma już u siebie, okazał się utrzymywać kontakty z dżihadystami. To oni, ukryci bezpiecznie gdzieś w świecie, dostarczają naszym wrogom informacji o asach wywiadu i naszych szpiegach. Aktualnie Irańczyków nie tylko interesują zwyczajni zjadacze chleba, jak zawsze chcą hurtowych mordów sunnitów w meczetach czy na sukach⁴⁴, lecz teraz pragną także dorwać jednostki, osoby najbardziej decyzyjne.

– Czyli zagrożeni są również król i jego następca? – Hamid aż drży na myśl o upadku monarchii, bo z historii wie, że takie zmiany często niosą ze sobą rewoltę, śmierć i chaos.

– Nie, mój drogi! – żywo zaprzecza Anwar. – Na razie mają w nosie króla. Chcą nas. Swoich największych bezpośrednich antagonistów. Wywiadowców i działaczy w terenie. Szpiegów i śpiochów.

Nagle, jakby na potwierdzenie jego słów, rozlega się ogłuszający huk, pękają szyby w oknach, tynk sypie się na głowy, a ziemia ucieka spod nóg.

– Atak bombowy! Bomba! Uciekać! – rozlegają się spanikowane wrzaski.

Marysia z Dorotą, obie w peniuarach, pojawiają się u szczytu schodów. Są oszałamiająco piękne i diametralnie różne. Biała Madonna z rozwianym prostym, farbowanym blond włosom i czarna Madonna o śniadej karnacji, miotająca szaleńcze błyski ciemnymi oczami.

– Co się dzieje? Gdzie dzieci? – zdławionym głosem woła Marysia.

Fajsal jak młodziak rzuca się w kierunku zniszczonych drzwi, trzymających się jedynie na

mocnych zawiasach, a w jego ręku nie wiadomo skąd pojawia się broń maszynowa. Wyważa je barkiem i wyskakuje na frontowy podwórzec. Stary Muhammad wyrwa kałasznikowa z rąk zagubionego młodego chłopaczka z ochrony i żwawo podąży za swoim przyjacielem.

– Trafiło w dom Fajsala! – informuje Anwar sparaliżowanych przerażeniem mieszkańców. – Ale przy okazji zwało pół ulicy i wasz ślubny namiot.

– Gdzie jest Retno? – Fajsal z rozpaczą w głosie pyta o swoją ukochaną, wieloletnią azjatycką żonę. – Retno! – Spanikowany, pogrążony w bólu, wygląda, jakby uszło z niego powietrze. W ciągu paru sekund z zażywnego mężczyzny robi się rozdygotany dziadunio.

– Retno była z naszymi dziećmi! – Stojąca już w połowie schodów Marysia szaleje z niepokoju. Nie zwraca uwagi na to, że przebywa między arabskimi mężczyznami prawie półnaga, bo jedynie w delikatnym jak mgiełka szlafrocuku. – Nadia! Adil! – woła córkę i synka, rwąc włosy z głowy. – Dzieci!

– Mamuś! *Ummi!*⁴⁵ – Maluchy wbiegają przez szklane drzwi tarasowe prowadzące z ogrodu do salonu, które o dziwo ocalały w wybuchu. – Co się stało? Wszystko się poprzewracało. Jedzenie jest na ziemi. Jak ludzie będą jeść?

– Gdzie *saida*⁴⁶ Retno? – pyta Miriam drżącym głosem, tuląc smukłą Nadię i niemal miażdżąc w objęciach silnego i pulchnego Adila. – Była z wami...

– *Chalati*⁴⁷ poszła na chwilę do domu po prezent niespodziankę dla babci... – Przerażona Nadia idzie w stronę wyjścia na ulicę i patrzy na dymiące ruiny rezydencji zaprzyjaźnionych sąsiadów. Wysoki na trzy metry mur, odgradzający ich włości, również legł w gruzach. – Nie! – Dziewczynka zaczyna szlochać, a mama przyciska ją do siebie i gładzi po głowie. Dla małej to pierwsza namacalna strata i zetknięcie ze śmiercią bliskiej osoby.

Obok Binladenów i Nadżdich są inni, mniej lub bardziej poszkodowani. Okoliczny sklepikarz stracił markizę oraz wystawione na zewnątrz artykuły spożywcze, ale na szczęście nic nie zagraża jego życiu, choć był tak blisko epicentrum. Podmuch powietrza wepchnął go do marketu i wbił w kąt magazynu między miękkie produkty, takie jak mąka, worki z ryżem, kuskusem i cukrem. Mężczyzna, wciąż będący w szoku, nawet nie czuje bólu potłuczonej głowy i innych uszkodzonych części ciała. Wygląda jak śniegowy potwór, cały oprószony białym pyłem, a jego czarne oczy, wielkie z przerażenia, tylko straszą dzieci. Większość mieszkańców sąsiednich rezydencji straciła jedynie szyby w oknach, a jeden bogacz witraże, których Marysia tak mu zazdrościła. Gdziekolwiek widać szczyrbę w wysokim na trzy metry murze, lampy czy kamery wiszą na kablach, lecz wielkie, zbrojne, ozdobne metalowe bramy nadal strzegą prywatności mieszkańców. Tylko po wielkim luksusowym domu Fajsala, najlepszego i najbliższego sąsiada Binladenów, niewiele zostało. Rakietą uderzyła centralnie w budynek, niszcząc go dokumentnie. Teraz trawi go pożar, a całość zasnuwa dym i popiół. Hamid z wielkim Anwarem trzymają poszkodowanego starca, który nadal się wyrwa, chcąc wejść w ruiny i zgłiszcza w poszukiwaniu swojej ukochanej Retno.

– Panie, to nie ma sensu – oponuje książe. – Za sekundę przyjadą brygady ratownicze i zajmą się wszystkim.

– Ale ona może leżeć pod jakimś zawałonym murem! – Dziadek się nie poddaje. – W takiej sytuacji liczą się sekundy! Jest malutka jak kotek, może w jakimś kącie przycupnęła...

Zahartowanym przez szkolenie i tryb życia, lecz czułym z natury arabskim mężczyznom łąza się w oku kręci.

– Przyjacielu, chodź do domu, napijesz się zielonej herbaty. – Stary druh Muhammad bierze kuma pod ramię. – My tu nic nie zdziałamy, a jeśli ona leży gdzieś pod betonową płytą, to nie będziemy jej po brzuchu chodzić. Psy ją wytropią, a ratownicy sprawnie uwolnią.

Nieoczekiwanie na zrujnowaną ulicę wjeżdża swoim bentleyem doktor Aszraf, dzisiejszy niefortunny pan młody. Za nim prują karetki pogotowia oraz służby specjalne, brygady antyterrorystyczne i zwyczajna policja. Na koniec, ze względu na obecność księcia, pojawia się Gwardia Narodowa.

– Tylu ludzi to już na pewno zaradzi. – Al-Rida podchodzi do swoich i szybko wydaje im

dyspozycje, a księżę Anwar, wskazując rękami, każe zabezpieczyć teren przedstawicielom gwardii.

– Lecę do centrum dowodzenia. – Anwar ściska dłoń Hamida, który jest jak piąte koło u wozu, a chciałby, żeby było inaczej, żeby było jak dawniej. To on zawsze był tym, który zarządzał i wydawał rozkazy, to jego słuchano, jemu czapkowano. Teraz czuje się jak emeryt, jeszcze gorzej niż Fajsal, nie wspominając o al-Ridzie, który będzie czynny zawodowo najprawdopodobniej aż do śmierci. – Musimy namierzyć, skąd to cholerstwo wystrzelono – dodaje wściekły księżę. – Wiadomo, że pociski ziemia-ziemia wyprodukowano w Iranie, ale wystrzeliliwują je z Jemenu, a ja chcę znać ulicę i numer domu, jeśli takowy tam stoi, bądź każdy centymetr kwadratowy piędzi ziemi, na której postawiono raketnicę.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby ktoś strzelał w dom emerytowanego szefa Komisji do spraw Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom⁴⁸ w Rijadzie. Nawet bardzo nie lubiany *mutawwa* nie jest wart takiego zachodu – kpi al-Rida. – Myślę, że źle wymierzono.

– Ale powiedzcie mi, drodzy panowie, kto konkretnie zleca te akty terroru. – Hamid jednak nie może się powstrzymać od komentarza. – Nie sądzę, żeby rząd w Teheranie interesował się takimi pionkami jak my. Bez hec! Anwar, my jesteśmy nikiem. Zwłaszcza ja – dorzuca szczerze. – Moim zdaniem wrogowie wahabitów jednak przywaliliby w króla czy miejsca publiczne, żeby zyskać większy wydźwięk. Jeśli to wszystko koordynuje Iran, sądzę, że zaszczyliśmy za skórę komuś z naszej branży, to znaczy wydziałowi specjalnemu. A jeśli wydział specjalny, to od razu wiadomo, że to brygady Kuds. Notabene⁴⁹ wyjątkowe dranie. Personalnie nic do nich nie mam ani z nikiem od nich nie zadarłem. Więc o co tu chodzi? – dywaguje świetny analityk, bo ta sprawa ewidentnie mu śmierdzi.

– I to jest nasze zadanie na dzisiaj – potwierdza al-Rida, na co Anwar żywo kiwa głową. – Kto za tym stoi i dlaczego?

– Liczę na naszą bliższą współpracę, panowie. – Anwar al-Saud szczerze spogląda w oczy swoich krajanów. – Jednak nie taką oficjalną i z musu. Nie może być tak jak dotychczas, że królewska безпеka sobie, a państwowa sobie. Chcemy czy nie, musimy kooperować. Do tej pory, Hamidzie, ty i ja ścigaliśmy terrorystów podwórkowych czy regionalnych, a teraz mamy do czynienia z globalistami i żeby ich dopaść, musimy połączyć siły. Aktualnie w Hiszpanii jakiś dżihadysta ma wiatry, a pierd rozlega się na Bliskim Wschodzie. Świat stał się globalną wioską, w której za sznurki koniecznie chce pociągać popieprzony szyicki Iran. – Księżę zabawnie się uśmiecha pod nosem, po czym całkiem zgrabnie, jak na swoje gabaryty, wskakuje do forda eskalatora, podciągając długą do ziemi *tobę*. – Wszystkiego najlepszego dla państwa młodych! – krzyczy jeszcze przez okno. – Prezent przyślę jutro!

Marysia i Dorota, które nie raz już znajdowały się w ekstremalnych, stresowych sytuacjach, błyskawicznie się ogarniają, zwłaszcza że ich najbliżsi nie zostali poszkodowani. Szybko narzucają na swoje zwiewne koszulki czarne *abaje*, owijają głowy długimi ciemnymi szalami i wychodzą na ulicę. Wydaje się, że panuje tam totalny zamęt, lecz kiedy się przyjrzeć dokładnie, widać, że wiele służb pracuje na różnych frontach działań. Gwardia Narodowa pojechała z księciem, lecz pozostali wywiadowcy i specjaliści od zamachów bombowych wraz z ratownikami przekopują ruiny willi Fajsala kamień po kamieniu, w poszukiwaniu zarówno zaginionej Retno, jak i śladów rakiety, która zawsze jest swoistym podpisem zamachowca. Medycy pomagają przypadkowym poszkodowanym na wąskiej uliczce – sklepikarzowi sprawnie bandażują potłuczoną głowę, za pomocą specjalnej kamizelki unieruchamiają połamane żebra, a także wsadzają w szynę uszkodzoną rękę. Następnie błyskawicznie odwożą poszkodowanego do najbliższego szpitala. Tuż obok inna ekipa zajmuje się kierowcą, który akurat przejeżdżał tędy z rodziną.

– Po co się tu pchałem? – Saudyjczyk pyta retorycznie, strzelając na boki rozwścieczonym wzrokiem. – Na cholere mi to było! Niech Allah wybaczy mi te nikczemne słowa – kaja się zaraz i przeciera ręką usta, jakby chciał z nich zetrzeć brud przekleństwa.

– Tatusiu, a co z mamą? – Dziesięcioletek ubrany w tradycyjną *tobę* i klapki poklepuje rannego ojca w ramię. – Ona... Obcy panowie... – Na buzi dziecka maluje się dezorientacja.

– To jej wina! – krzyczy ojciec. – Zachciało się jej oglądać rezydencje bogaczy, to ma za swoje! Po co nam to było...

Mężczyzna rzuca okiem w stronę zgniecionego przez wielki kawał muru samochodu, marnego jak na Arabię Saudyjską, i aż brakuje mu tchu. Dwaj paramedycy i technicy straży pożarnej po rozcięciu blachy auta powoli wyciągają ciało, obleczone w czarną materię. Nie widać ani skrawka skóry, począwszy od czubka głowy aż po bezwładne stopy, obute w mokasyny, lecz gdy opada ramię, czarna rękawiczka zsuwa się z bezwładnej dłoni, odsłaniając jasną karnację nieprzytomnej ofiary.

– Hej! Zostawić! Nie ruszać! – wrzeszczy mąż poszkodowanej, po czym skacze na równe nogi, odpychając ratowników, i rzuca się w stronę małżonki. – To kobieta! – oznajmia coś, co dla wszystkich jest oczywiste, a dla niego wstrząsające. – *Imszi barra!*⁵⁰ – klnie jak szewc, nie zważając już na zakazy Koranu.

– Panie! My jedynie usiłujemy udzielić pomocy – burczy jeden z paramedyków, patrząc na oponenta jak na wariata. – Możliwe, że trzeba unieruchomić jej szyję i założyć kołnierz ortopedyczny. Uderzyła się w głowę i być może uszkodziła kręgi szyjne.

– Ranna krwawi, ale nie potrafimy zlokalizować źródła, bo cała jest zakryta zwojami *abai* i *nikabu*⁵¹ – do rozmowy włącza się zde gustowany sytuacją Aszraf. Na szyi ma już stetoskop, a na dłoniach gumowe sterylne rękawiczki. – Musimy jak najszybciej zlokalizować ranę.

Wszyscy obserwują, jak krew przecieka przez gruby materiał szat kobiety, tworząc coraz większą kałużę.

– Nie ma mowy! – Wahabicki mąż nie pozwala udzielić pomocy nawet dyplomowanemu doktorowi. Jak wariat macha rękami na potwierdzenie swoich słów. – Nie będziecie macać mojej żony, wy zboreźnicy!

– Co ty gadasz, człowieku? Chcesz zostawić ją na pewną śmierć, kiedy dookoła jest tyle osób mogących udzielić jej pomocy? – Nawet Saudyjczycy, którzy znają to pradawne prawo, są oburzeni, bo obecnie rzadko się stykają z taką zaściankowością, choć widać nadal ona pokutuje.

– Najwyraźniej taka jest wola Allaha – stwierdza konserwatywny mąż.

Marysia i Dorota przysłuchują się awanturze, a stary al-Rida opuszcza zgliszcza domu Fajsala i zbliża się do nich.

Gromadka dzieci ortodoksyjnych rodziców siedzi na krawężniku i cicho pochlipuje, co oznacza, że w domu jest trzymana bezwzględna dyscyplina. Dziewczynki, które ledwo co odrosły od ziemi i nie mają więcej jak sześć lat, również noszą *abaje*, lecz widać ojciec nie przymusił ich jeszcze do zasłaniania włosów, dłoni i stóp oraz twarzy, bo nawet w Arabii w ich wieku wyglądałoby to bardzo podejrzenie.

– Ewentualnie kobieta mogłaby jej dotknąć – oznajmia ortodoks, patrząc na dwie niewiasty ubrane w tradycyjne szaty, jednak kiedy Dorota zbliża się do rannej i podnosi wzrok, ukazując swe błękitne jak bławatki oczy, Saudyjczyk odtrąca ją gwałtownie, aż ta traci równowagę i chwieje się na nogach. – Tylko muzulmanka! Niewierna precz! – Facet drze się jak obłąkany, na co Aszraf, zwykle łagodny jak baranek, robi krok do przodu, gotowy sprać mu gębę.

Bezwładne ciało rannej wyślizguje się z rąk zdezorientowanych ratowników, których Saudyjczyk brutalnie odpycha. Marysia nie daje sobie rady z takim ciężarem i w końcu ciężko pada na ziemię. W żadnym ambulansie nie ma kobiety ratowniczką, pielęgniarki ani lekarki. Saudyjka leży na gorącym asfalcie i się wykrwawia. Jęczy cichutko, coraz słabiej, aż po chwili całkiem milknie.

Kiedy Aszraf, nie zważając na sprzeciw jej męża, dotyka chorej i usiłuje założyć jej opatrunek, ortodoks pada na kolana i rycząc jak zarzynane zwierzę, wali głową w bruk, aż na jego czole pojawia się krew.

– Nie macie co jej ratować! Pohańbiliście ją! Już nie jest moją żoną! Hańba mi! Hańba! Już nigdy nie przyjmę jej pod swój dach. *Anti taliq!*⁵² – Mąż tylko raz wypowiada magiczne, podłe rozwodowe słowa, kiedy rozlegają się strzały oddane w jego kierunku. Ponieważ zawodowcy – stary al-Rida i Fajsal – strzelają z ciężkiej broni, czaszka mężczyzny pęka jak arbuz. Z broczącego korpusu bez głowy tryska czerwona posoka.

Marysia otwiera usta do krzyku, lecz tylko raz za razem łapie powietrze, bowiem zbiera się jej na mdłości. Dorota wybałusza oczy i ścisza szczękę, aż bolą ją zęby. Następnie obraca się i szybko wchodzi do domu, bojąc się, że zemdleje na środku ulicy. Hamid cieszy się, że nie zareagował w tak brutalny sposób, bo jego kobiety znienawidziłyby go do końca życia. Tymczasem Aszraf stwierdza, że jego ojciec to prawdziwy skurwysyn. Saudyjski ortodoks może być szalony i denerwujący, lecz to kandydat do szpitala psychiatrycznego, na terapię antyfundamentalistyczną, którą Arabia Saudyjska stosuje od lat w specjalnych ośrodkach resocjalizacyjnych, ale nie pretendent do kary śmierci! *Za co?*, pyta siebie w duchu wstrząśnięty syn. *Teraz nie wiadomo, kto jest większym dewiantem! Co sobie Dorota pomyśli? Aszraf jest przerażony. Co wszyscy pomyślą? Jak można tak postępować?!* Nie mieści mu się w głowie.

– Terrorysta! – Były minister spraw wewnętrznych, pokazując palcem na drgające jeszcze zwłoki, ogłasza niezaprzeczalny według niego fakt.

Jego ludzie ze specjalnej brygady kiwają głowami ze zrozumieniem i aprobatą. Następnie biorą czarny worek, wrzucają do środka jeszcze ciepłe ludzkie szczątki i ładują nieporęczny bagaż na pakę wojskowego pick-upa.

– Idzie ku nowemu... – szepcze jeden z wojaków do kolegi.

– *Sah53* – potwierdza kompan.

* * *

Po kolejnych ciężkich przejściach Marysia postanawia znów zmienić swoje życie, choć w zasadzie ciągle kręci się wokół tego samego.

– Chcę zrobić kursy ratownictwa medycznego – oświadcza najbliższemu, z którymi konsultuje każdy krok, choć zazwyczaj i tak stawia na swoim. – To nie do pomyślenia, że tyle saudyjskich dziewcząt i dojrzałych niewiast co roku umiera tylko dlatego, że nie może im być udzielona pomoc medyczna, gdyż nie ma w pobliżu przygotowanej do tego kobiety.

– Wiesz, że o tym samym myślałam? – Dorota wspiera córkę. – Ale w Saudi nie organizują żadnych tego typu szkoleń. Może wy powinniście? – Patrzy na Aszrafa, swojego młodego stażem mężusia, zakochanym wzrokiem.

– Nie mamy żeńskiej kadry. A ja nie mogę uczyć kobiet z tego samego powodu, z jakiego ostatnio nie mogłem udzielić pomocy tej biedaczce, a wielokrotnie wcześniej innym poszkodowanym. Co za zaściankowość! – oburza się nowoczesny Saudyjczyk. – Ciemnogród!

– W takim razie pojedę do Polski i tam odbędę szkolenie – decyduje Marysia. – Czytałam w internecie, że osoba bez wykształcenia medycznego może zrobić kurs kwalifikowanej pierwszej pomocy. Taki kurs ma dokładnie określony przepisami prawa program i prowadzą go uprawnione organizacje, takie jak straż pożarna, straż graniczna czy wojsko.

– Znowu to wojsko! Masz do niego jakąś szczególną słabość – docina córce Dorota.

– Mamuś, nie przesadzaj. Teraz to kursy medyczne, a nie sztuki walki. – Marysia uśmiecha się z przekąsem, wspominając zajęcia ze swoją przyjaciółką Arubą, która przygotowywała ją do wyjazdu do kalifatu w Syrii. – Aktualnie wszystko będzie pokojowo. – Robi niewinną minkę, bo wie, że kiedy chce postawić na swoim, musi być miła i słodka jak miód. – Zobaczcie, co te kursy oferują, zanim zaczniecie krytykować. – Rozdaje wszystkim ulotki programu i widać, że bardzo jej zależy na tym szkoleniu. – Interesujące, nieprawdaż? – pyta, gdy towarzystwo zagłębia się w lekturze. – Nie tylko ciekawe wykłady, ale też intensywne ćwiczenia i symulacje. Solidne przygotowanie wspierają materiały szkoleniowe, kadra jest ponoć bardzo doświadczona, a zajęcia prowadzą wyłącznie czynni zawodowo ratownicy medyczni i doświadczeni strażacy. Kursanci ćwiczą w centrum szkoleniowym, na poligonie ratowniczym, w jednostkach straży pożarnej, na basenie i w terenie. I najlepsze: w pozoracjach wykorzystuje się sztuczne rany i ukształtowane statystów! Aż można się przestraszyć, mówię wam! – relacjonuje z wypiekami na twarzy. – Do tego mają nowoczesny, drogi sprzęt edukacyjny, taki jak oddychające fantomy, manekiny ewakuacyjne o realistycznej wadze oraz dosłownie wszystko, co stosują zawodowe służby ratownicze. – Marysia promocyjną ulotkę zna już na

pamięć. – Kwota chyba nie powinna nas powalić – podsumowuje. – To jakieś grosze.

– Ile trwa cały ten kurs? – pyta Hamid, który z jednej strony jest rozczarowany na myśl o tym, że żona znów chce go opuścić, ale też ma nadzieję, że taka rozłąka odświeży ich związek. *To i tak sukces, że nie wyjeżdża do jakiejś zagrożonej wojną strefy, tylko do spokojnej Europy, gdzie zwyktemu człowiekowi żadna krzywda nie powinna się stać*, konkluduje w duchu.

– Sześć dni. W sumie sześćdziesiąt sześć godzin. Potem jeszcze trzeba zdać egzamin państwowy – informuje Marysia z poważną miną i za chwilę wysuwa kolejną osobliwą propozycję: – Myślę, że powinnam później pozostać w Polsce przez co najmniej trzy miesiące, by nabrać wprawy i popraczkować. Na ratowników wszędzie czeka praca. Przyjmą mnie z otwartymi ramionami.

– Aha... – Dorota tylko tyle jest w stanie wyartykułować, lecz nie panuje nad kwaśną miną, podsumowując w duchu, że jej córka długo na pupie w jednym miejscu nie usiedziała.

* * *

– Kochana moja! Huda! – Matka z rozwianym włosom wpada do sypialni internowanej córki. – Może się uda i nie będziesz musiała jechać w nieznane, do jakichś prymitywnych dzikusów!

– To znaczy? Do jakich znów dzikusów? – Dziewczyna ma wszystkiego dość. Kolejne niespodzianki zatrwają jej serce, gdyż teraz już wie, że po ojcu może się wszystkiego spodziewać.

– To znaczy, że kiedy u nas trzy tysiące lat temu kwitła kultura, sztuka i nauka, w Libii pastuchy goniły za kozami w marnym przyodziewku, śpiąc na piasku i z kamieniem pod głową.

– Myślałam, że kamieniem to oni sobie dupę podcierali... i podcierają do dziś – kpi Huda, ale w jej głosie da się wyczuć nutkę nie tyle sarkazmu, ile rozpaczy i żalości. – Coś ty znów wymyśliła, *ummi*? – Podchodzi do matki i zagląda, co ta przyniosła na pięknej srebrnej tacy. Wciąga w nozdrza zapach z parującej porcelanowej filiżanki i podsumowuje: – Śmierdzi.

– Znalazłam odpowiednią kobietę. – Matka odstawia napar na mały kawowy stoliczek, bierze córkę za rękę i prowadzi na sofę stojącą w wykuszu okna. – Ponoć jest dobra w swoim fachu. I jedyna, która może zaradzić w twojej sytuacji. – Kobiety, zamiast patrzeć sobie w oczy, spoglądają przez niedawno zamontowane kraty w oknie na cudowny, wielki ogród rozpościerający się przy willi rodziny Sulejmani.

– Niby jak się do niej dostanę? Teraz jestem jeszcze bardziej zniewolona niż dotychczas. – Młoda nienawidzi swojego położenia, otaczających ją ludzi i kraju, w którym żyje. – Jestem więźniem we własnym domu! – wykrzykuje drżącym głosem. – Nigdzie nie mogę wyjść!

– Może obejdziesz się bez wychodzenia – pociesza matka. – Wypij napar z korzenia dzikiej maliny, kochanie. Niektórym pomaga. Nie jest aż taki niesmaczny, jak może się wydawać po zapachu.

– Matko! Co ty, do diabła, wygadujesz? Słyszysz ty siebie?! – Huda już nie wytrzymuje. – Mówisz tak, jakbyś serwowała mi ziołową herbatkę na przeziębienie. *Wallahi!*

– Potraktujmy to właśnie w ten sposób. Jako chwilową niedyspozycję – proponuje kobieta. – Musimy tak zrobić, żeby nie zwariować. Napij się ziółek, to może twój wstydlivy problem sam się rozwiąże.

Jakaś ty głupia!, myśli córka, sięgając po kubek. Zaciska usta na samą myśl o tym, że ma wziąć choćby łyk tajemniczej trucizny. *To jest wasz wstydlivy problem, twój i ojca, nie mój. To wina was, mięczaków, tego kraju i systemu. Wszystkich religijnych pojebów, którzy go opanowali prawie pół wieku temu i do tej pory trzymają w szachu. Bez szacha, pokpiwa w myślach. Żeby taki naród, taka potęga, tak się dał usidlić!* Oburza się, jednak małymi łydkami pije obrzydliwy wywar. *Oby tylko Faris żył. Oby go nie zabili. Jeszcze się odnajdziemy, jeszcze obalimy ten reżim i mojego tatusia razem z nim. Chciałabym patrzeć, jak wisi na żurawiu.* Uśmiecha się bezwzględna anarchistka. *Tak jak oni zamordowali kulturę i naukę w naszej ojczyźnie, tak my usuniemy tych pastuchów ich metodą. W naszym kraju do nikogo nie przemawia już nic innego jak zamordyzm. Ale młodzi powstaną i oczyszczą nasze perskie żyzne ziemie z plew. Odbudujemy imperium Achemenidów!*54

Huda kładzie się na łóżku i wsłuchuje we własny organizm. Jest już w czwartym miesiącu ciąży, więc czuje ruchy płodu, ale jedynie jako przelewające się wewnątrz niej bąbelki. Po spożyciu

cudotwórczych ziółek gazów, zgrzytów i wizgów jest w jej brzuchu coraz więcej i więcej.

– Co teraz nastąpi? – pyta poniewczasie matkę, która jest bardziej spocona i zdenerwowana od niej.

– Mogą się pojawić bóle brzucha, wymioty, biegunka, no i ostatecznie krwawienie. Chyba czytałaś coś o ludowych specyfikach? Miałas dostęp do internetu nawet w komórce. Ojciec niczego ci nie bronił aż do...

– Aż do momentu, kiedy przestałam tańczyć tak, jak mi zagrał. Och! – Dziewczyna chwyta się za brzuch i zwija w kłębek. Po chwili niepewnie staje na ugiętych nogach i wlecze się do łazienki. Pomimo że mocno zaciska pośladki, ekskrementy wydobywają się z niej i spływają aż do stóp, brudząc perski dywan.

Matka stoi za zamkniętymi drzwiami i nasłuchuje żalosnych jęków i zduszonych krzyków swojej pierworodnej. Serce jej się kraje i przeklina męża, że zabronił dziewczynie w kulturalny i godziwy sposób usunąć ciążę i że muszą się posuwać do prymitywnych, ludowych metod. Znalazłby się irański lekarz, który usunąłby płód w domu. Ryzyko, że przestępstwo się wyda, było duże, ale przynajmniej upokorzenie dziewczyny mniejsze. Chadidża boi się, że córce coś się stanie po nieznanym ziółku i wyląduje w szpitalu, a wówczas medycy pewnością odkryją, że niezamężna dziewczyna jest brzemienna i że usiłowała usunąć niechcianą, bezprawną ciążę, i będzie z nią koniec. Nawet wysoko postawiony ojciec nie wyciągnie jej z więzienia, nie uchroni przed karą – straszliwą karą ukamienowania. Można też było polecieć do Francji, Anglii, Ameryki, gdziekolwiek, i bezpiecznie dokonać aborcji. Nikt by się o niczym nie dowiedział. Ileż irańskich nowoczesnych kobiet tak robi! Jednak rodzice za późno odkryli sekret córki i żaden porządny doktor nie chciał się podjąć zabiegu, a tych, którzy zrobiliby to poza prawem, nie znajdzie się w książce telefonicznej. *Niech to diabli!*, klnie w duchu mocno wierząca szyitka. *Wszystko moja wina. Za mało czasu jej poświęcałam. Powinnam ją była bardziej kontrolować, przychodzić podczas kąpieli, oglądać jej ciało. To też mój grzech! Grzech zaniedbania!*

W końcu zaniepokojona matka wparowuje do łazienki, z której od jakiegoś czasu nie dochodzi żaden dźwięk.

– Huda! Córeczko! – Jest przerażona, widząc dziewczynę leżącą na marmurowych płytach przy ubikacji we własnych wymiocinach i fekalich. – Na Boga! Co teraz? Co to będzie?

Drżącymi palcami wybiera numer komórki męża, a ten bez zbędnych słów przyjeżdża najszybciej jak się da.

– I co? Chciałaś wziąć sprawy we własne ręce? – kąśliwie pyta mężczyzna, popychając żonę na ścianę. – Chcesz być odpowiedzialna za jej śmierć?

– Nie! Skądże!

– Ale będziesz, ty stara lampucero!

– Dlaczego? Zaraz zadzwonię po karetkę, i już!

– No tak, szybko chcesz się jej pozbyć. Ja tu robię wszystko, żeby ją uratować, a ty jednym telefonem skazujesz ją na śmierć.

– To co teraz pocniemy? – Przerażona kobieta patrzy na ukochaną córeczkę, której blada twarz przybrała zielonkawo-żółtą barwę. – Co robić? Co robić? – pyta jak nakręcona, ocierając z policzków smugi rozmazanego od łez tuszu.

– Przynies dzban ciepłej wody i lejek – zarządza pan domu. – Natychmiast! A potem wynoś się stąd.

Żona Ghasema nie wie o swoim mężu wielu rzeczy. Między innymi tego, że jest on jednym z najlepszych wojskowych ratowników medycznych, który zna się i na truciznach, i na odtrutkach. Mężczyzna otwiera sporych rozmiarów apteczkę i od razu sięga po adrenalinę. Kiedy córce wracają funkcje życiowe, spokojnie oczyszcza jej organizm z toksyn. Trutka polecona przez akuszerkę prędzej zabiłaby młodą matkę niż jej dziecko, które najwyraźniej na dobre umościło się w ciepłym łonie i nie zamierza go opuścić przed czasem.

34 Sunnizm – jeden z trzech głównych ortodoksyjnych odłamów islamu (pozostałe to szyizm

i charydżyzm), wierny ortodoksyjnej tradycji Sunny, uznający wszystkich kalifów do 1258 r. za prawowitych następców proroka Muhammada. Stanowią oni 75–90% wszystkich muzułmanów. Sami siebie określają jako ludzi tradycji i wspólnoty. Po upadku kalifatu w 1924 r. sunnici stracili władzę zwierzchnią. Duże znaczenie wśród wielu sunnitów, głównie pochodzenia arabskiego, zdobył fundamentalistyczny ruch wahabitów w Arabii Saudyjskiej. *Sunna* (arabski) – dosł. droga, ścieżka; w kontekście islamu sunnickiego jest to zbiór opowieści (hadisów) z życia proroka Muhammada, jego opinie dotyczące wiary oraz prowadzenia życia.

35 Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej to jedna z dwóch gałęzi irańskich sił zbrojnych obok Armii Islamskiej Republiki Iranu. Założona w 1979 r. armia odpowiedzialna jest za obronę granic i porządku wewnętrznego Iranu, podczas gdy korpus odpowiada za obronę rewolucji islamskiej i jej osiągnięć. Do jego zadań należy zwalczanie ruchów niechętnych ustrojowi Iranu jako republiki islamskiej, wspieranie proirańskich organizacji zbrojnych poza granicami kraju i zwalczanie wpływów obcych w Iranie. W strukturze Korpusu Strażników funkcjonują siły lądowe, powietrzne, marynarka, służby wywiadowcze, specjalna jednostka – siły Ghods oraz paramilitarny Związek Mobilizacji Uciemionych. Łączna liczba żołnierzy szacowana jest w granicach 160 tys. Korpus odegrał kluczową rolę w wojnie iracko-irańskiej, wspierał formacje zbrojne poza granicami kraju, w tym m.in. Palestyński Islamski Dżihad i Hamas w Palestynie, Hezbollah w Libanie (tworzony przez przedstawicieli korpusu). Oficerowie korpusu i tworzone przez nich milicje szyckie biorą udział w wojnie domowej w Syrii, walcząc po stronie wojsk rządowych prezydenta Baszara Asada, jak również w wojnie z Państwem Islamskim w Iraku. Korpus posiada znaczące wpływy w polityce wewnętrznej Iranu oraz w jego gospodarce. Od 2007 r. USA uważają KSRI za organizację wspierającą terroryzm.

36 Siły Ghods (także Kuds, Al-Kuds, brygada al-Kuds, dywizja al-Kuds, Święte Oddziały) – elitarna jednostka specjalna w strukturze irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, podlegająca bezpośrednio irańskiemu Najwyższemu Przywódcy, odpowiedzialna za prowadzenie operacji wojskowych poza granicami Iranu oraz organizowanie, szkolenie i zaopatrywanie islamskich organizacji współpracujących z rządem irańskim. Liczy około 15 tys. żołnierzy. Jej dowódcą od 1998 r. jest generał Ghasem Solejmani. Siły Kuds są obecne na całym świecie. Siedzibą dowództwa formacji jest dawna ambasada Stanów Zjednoczonych w Teheranie, przejęta przez Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej po rewolucji islamskiej i uwięzieniu personelu ambasady USA. Brygada została oskarżona o nieudaną próbę zamachu na ambasadora Arabii Saudyjskiej w Waszyngtonie.

37 Szyizm (arabski – stronictwo Alego) – obok sunnizmu i charydżyzmu jeden z trzech głównych nurtów współczesnego islamu, drugi po sunnizmie co do liczby wyznawców. Rozdział w islamie na sekty dokonał się w wyniku sporu o sukcesję po śmierci proroka Muhammada. Według szyitów prawowitymi następcami ostatniego proroka są jedynie członkowie jego rodziny, potomkowie Alego i córki proroka, Fatimy. Szyici nie uznają rządów trzech pierwszych sunnickich kalifów (a także ich kontynuatorów z dynastii Omajjadów i Abbasydów) jako prawowiernych, twierdząc, iż uzurpowali oni władzę należną od samego początku tylko Alemu i jego potomkom.

38 *Chalas, habibi* (arabski) – Dość, kochanie!

39 *Sadiq/sadiqa* (arabski) – przyjaciel/przyjaciółka; *ja sadiqi* – mój przyjacielu (wołacz).

40 Incognito (z łacińskiego *incognitus*) – nieznany; określenie wyrażające sytuację, kiedy osoba, grupa osób lub jakikolwiek inny podmiot występuje, nie ujawniając swojej tożsamości bądź z tożsamością zatajona, nie dając się przy tym rozpoznać.

41 *Ajatollah* (perski) – znak Boga; to honorowy muzułmański tytuł naukowy w szyizmie imamickim, nadawany wysokiej rangi uczonym, znawcom teologii, nauk islamskich i prawa religijnego. Tytuł ten kojarzy się z Iranem i jego przywódcami duchowymi, tj. ajatollah Chomeini, który dokonał w kraju rewolucji religijnej i obalił szacha Rezę Pahlawiego.

42 Jemeński i saudyjski rząd oskarżają Iran o wsparcie finansowe szyckich rebeliantów z plemienia al-Huti. W 2009 r. jemeńska marynarka wojenna przechwyciła broń transportowaną przez irański statek. Ponadto Jemen sugeruje, że rebelianci byli szkoleni w irańskich obozach na terenie

Erytrei. Oprócz tego Iran oferował wsparcie logistyczne i militarne. Na terytorium Jemenu działali oficerowie wywiadu, Al-Kuds, tzw. Brygady Jerozolimskiej, skrzydła Gwardii Rewolucyjnej. Irańska marynarka wojenna pływała na wodach Zatoki Adeńskiej w ramach walki z piractwem, ale ostatecznie weszła do jemeńskich portów, by przekazać broń rebeliantom. Amerykański wywiad potwierdza, iż jemeńskie bojówki były dozbrajane oraz sponsorowane przez irański Al-Kuds. Siły specjalne za pomocą przemytników szmuglowały karabiny AK-47, granatniki przeciwpancerne i inne rodzaje broni dla szyickich rebeliantów. Kilka transportów zostało przechwyconych przez jemeńskie służby. Proceder wspierania szyitów w Jemenu miał umocnić strefę wpływu Iranu na Półwyspie Arabskim, jednakże Iran za każdym razem zaprzecza wszelkim oskarżeniom.

43 *Said* (arabski) – pan.

44 *Suk, suq* (arabski) – arabski targ, market z różnorodnymi towarami.

45 *Ummi* (arabski) – moja matka.

46 *Saida* (arabski) – pani.

47 *Chalati* (arabski) – moja ciotka.

48 Saudyjska policja religijna, zajmująca się egzekwowaniem przestrzegania szariatu (islamskiego prawa religijnego) na terenie całej Arabii Saudyjskiej, gdzie jest ono podstawą prawa państwowego.

49 *Notabene* (łacina – *nota bene*) – wyraz wtrącony w tekst zdania, poprzedzający jakąś dodatkową, ale ważną informację.

50 *Barra* (arabski) – wynocha, won; *Imszi barra* (wulg.) – spierdalać, spierdalać.

51 *Nikab* (arabski) – tradycyjna muzułmańska zasłona zakrywająca twarz kobiety i odsłaniająca jedynie oczy, czasami kawałek czoła; używany głównie w Arabii Saudyjskiej i Jemenu oraz tak zwanym Państwie Islamskim.

52 *Anti taliq* (arabski) – jesteś rozwiedziona; jesteś odrzucona, oddalam cię. Trzykrotne wymówienie tej formuły przez męża powoduje oddalenie małżonki.

53 *Sah* (arabski) – dobrze, tak jest.

54 Imperium Achemenidów było szczytowym momentem politycznej potęgi Irańczyków. Przełomowym wydarzeniem w historii Iranu było przybycie na jego terytorium Ariów, przodków dzisiejszych Irańczyków, pod koniec II w. p.n.e. Początkowo najpotężniejszym z ich plemion byli Medowie, którzy pod koniec VII w. p.n.e. zniszczyli państwo asyryjskie i założyli własne imperium, rozciągające się od Lidii na zachodzie do Baktrii na wschodzie. Ich państwo przejął jednak ok. 550 r. p.n.e. w wyniku buntu władcy Persów z dynastii Achemenidów Cyrus II (559–529 r. p.n.e.). Wkrótce podbił on Lidę i Babilonię, a jego następcy rozciągnęli władzę Achemenidów także na Egipt i dolinę Indusu. Imperium zostało podbite przez Aleksandra Wielkiego w IV w. p.n.e.

Czarne chmury nad królestwem

To jakaś paranoja, żebym była kontrolowana przy wjeździe do dzielnicy, w której mieszkam, na bramie osiedla przy Szpitalu Gwardii Narodowej, gdzie rezyduje moja matka z mężem Saudyjczykiem, czy przed szkołą naszych dzieci! – oburza się Marysia, siadając do kolacji w wyremontowanym domu w ekskluzywnym rewirze Rijadu Mudżama Nachil.

Hamid tylko uśmiecha się półgębkiem na kolejny atak furii żony, zaś dzieci patrzą na nerwuskę z przyganą, bo nie dodaje im apetytu takie wybuchowe zachowanie.

– Czym ty się tak denerwujesz, mamó? – pyta Nadia, która zawsze ma coś do powiedzenia, nawet wtedy, gdy starsi rozmawiają. – Do szkoły nigdy nie wolno było wjeżdżać samochodem, co też cię wpieniało. Zawsze jednak twierdziłaś, że słusznie ustalono ten zakaz, bo żaden zboczony terrorysta bomby między dzieci nie wwiezie. – Ośmiolatka gada jak stara.

– Już przestań z tymi bombami! – Marysia znów podnosi głos. – Wiesz, że teraz nie wolno wypowiadać tego słowa w miejscach publicznych. Jak powiesz „bomba” na lotnisku czy w centrum handlowym, mogą cię powalić na ziemię, zakuć w kajdanki i aresztować.

– Naprawdę? – Dziewczynka nie wierzy w taki brutalny scenariusz. – To prawda, tato?

– Musisz taką pytać? – wścieka się matka. – Mnie już nie wierzysz?

– Ty, mamuś, lubisz przesadzać – podsumowuje pyskata obserwatorka. – Zwłaszcza jak się złościysz. Zupełnie jak babcia... Może nawet trochę bardziej.

– Ale czy nie mam racji?

– Nie, kochanie – spokojnie odpowiada Hamid. – Zarówno szkoła, jak i pozostałe miejsca, w których gromadzi się ludność cywilna, powinny być szczególnie strzeżone. Amerykanie dwa razy w tygodniu wydają anonsy dla swoich obywateli i amerykańskich przyjaciół w Arabii Saudyjskiej o aktualnym stanie zagrożenia na terenie naszego wspaniałego królestwa.

– To najlepiej jeszcze, żeby rząd Saudi codziennie podawał w porannych wiadomościach, gdzie w tym dniu wolno iść, a gdzie nie, bo nam dupę odstrzelą.

– Hm... – chrząka mężczyzna. – Może nie przy dzieciach.

– Dupę, dupę, dupę! – powtarza rozbawiony Adil, pakując jedzenie do buzi.

– Każdy powinien wiedzieć, no, może z wyjątkiem małych dzieci – Hamid wymownie patrzy na zasłuchaną, poważną Nadię i rozbawionego, nieprzejmującego się niczym Adila – że obecnie kiepsko trzymamy z bezpieczeństwem publicznym. Zamachy terrorystyczne przeprowadzane są coraz częściej, i to zarówno na szyitów przez fundamentalistów sunnickich, jak i na sunnitów, znienawidzonych przez szyitów. Jedni muzułmanie wykańczają drugich, w dodatku dość regularnie.

– Szyici... sunnici... – Nadia chwyta się pod brodę i robi mądrą minkę. – Nic mi to nie mówi, ale wiem, że to ta sama muzułmańska religia, tylko jej wyznawcy o coś się pospierali⁵⁵ – po dziecięcemu podsumowuje główny konflikt religijny na Bliskim Wschodzie.

– Jak nie wiadomo, o co chodzi, to przeważnie chodzi o pieniądze albo o władzę. – Ojciec postanawia wprowadzić nad wiek rozwiniętą córkę w sprawę. – W tym wypadku poszło o władzę.

– Z władzą, szczególnie nad wielkim imperium arabskim, wiążą się gigantyczne pieniądze – dorzuca Marysia, ale kwestie materialne dla dziewczynki są jeszcze mniej przejrzyste niż polityka.

– W poniedziałek na lekcji mieliśmy szkolenie na wypadek ataku terrorystycznego – chwali się Nadia, zmieniając temat. – Bardzo fajne! Najważniejsze to *run, hide, call*⁵⁶. I nie wolno udawać bohaterów.

– Widzisz, Miriam. Bezpieczeństwo i czyhające na nas zagrożenia to poważny problem – zaznacza Hamid.

– Były też zajęcia z ratownictwa medycznego – kontynuuje dumna córka. – Powiedziałam panu Amerykaninowi z ambasady, który je prowadził, że moja mama też chce być ratowniczką, a on pogratulował takiej decyzji. – Nadia chwyta Marysię za rękę. – Mówił, że w Arabii jest to bardzo

potrzebne, zwłaszcza jeśli idzie o kobiety.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – Marysia nie może się nadziwić.

– Przecież ciągle o tym gadacie, a ja mam uszy! – oburza się dziewczynka. – Nie jestem takim małym głupkiem jak Adil. Musicie zdać sobie sprawę, że macie w domu już prawie dorosłą dziewczynę. – Posyła rodzicom wymowne spojrzenie.

Hamid dochodzi do wniosku, że ta przemądrzała spódniczka za szybko rośnie i jest skórą zdartą z jego ukochanej żony i ulubionej teściowej. *Oj, nie będzie lekko, kiedy wejdzie w wiek dojrzewanania, konstataje zaniepokojony ojciec. Co za mała niezależna kokietka o włosach koloru oberżyny, ciemnej arabskiej karnacji i szafirowych słowiańskich oczach!*

Czterooosobowa rodzina Binladenów kończy kolację w ciszy. Dorośli zastanawiają się nad przyszłością i drżą przed zagrożeniami, które czyhają na nich i na ich dzieci we współczesnym świecie, a szczególnie w królestwie. Nadia wspomina uderzenie rakiety w dom sąsiadów, w wyniku którego zginęła Retno, jej ulubiona opiekunka i przyjaciółka rodziny. Najszczęśliwszy jest Adil – do beztroskiego, pogodnego dziecka jeszcze nie docierają obawy.

– Guzik mnie obchodzi, że w całym kraju zapanował amok i wszyscy mieszkańcy wpadają w panikę. – Marysia dzwoni do Doroty. – Nie zabarykaduję się w betonowym schronie ani nie będę przesiadywać w *safe roomie*57. W piątek idę z dziećmi na zakupy. Nie wybrałybyś się z nami? Potem możemy wstąpić na lunch do restauracji.

– No jak chcesz, ale... – Dorota wyraźnie się waha.

– Wolisz siedzieć na tej twojej wsi?

– To nie wiesz, tylko bezpieczne obrzeża miasta. Tak, wolę. A was zapraszam do siebie. Mam niespodziankę, o której już dawno chciałam ci powiedzieć, ale nie za bardzo wiedziałam jak. Teraz jest okazja.

– Co to za niespodzianka?

– Nie chcę mówić przez telefon.

Matka jest niezwykle tajemnicza, bo do tej pory, szczególnie po powrocie Marysi z Syrii, rozmawiają czy piszą na komunikatorach codziennie, i to godzinami, mówiąc sobie o wszystkim.

– W takim razie zwałamy się do ciebie jutro. – Marysia nie potrafi długo czekać na sekretne wieści. – Odbiorę dzieci ze szkoły i w korkach jakoś się dowlecemy.

Adil i Nadia ogromnie się cieszą z wyjazdu do babci. Przez ostatni rok z okładem, kiedy rodzice przebywali w kalifacie na terenie Syrii, a potem Marysia w Jordani, a Hamid w Emiratach Arabskich, bardzo się żyli z Dorotą. Pomimo że tęsknili za najbliższymi, babcia godnie ich zastępowała. Także teraz Dorota jest dla nich kimś wyjątkowym i niezastąpionym. Łączy ich nierozzerwalna więź i dzieci często same z własnej inicjatywy dzwonią do niej czy dopraszają się odwiedzin. Bardzo polubili też osiedle mieszkaniowe przy Szpitalu Gwardii Narodowej, choć to rzeczywiście odludzie, gdzie króluje okrutny pustynny klimat, a piasek wdziera się w każdą szczelinę. Aszraf nie tyle zastąpił ich przyszywanego dziadka, Łukasza, bo ten nigdy nie okazywał im większego zainteresowania, ile stał się ich prawdziwym dziadziusem. Takim, jakiego zawsze im brakowało.

– Kochani! Wchodźcie przedziutko i zamykajcie drzwi. – Dorota wita ich w progu i wciąga z panującego na zewnątrz upału w przyjemny chłód klimatyzowanych pomieszczeń. – Ale dzisiaj przygrzało. Można się ugotować na miękko! – Śmieje się figlarnie, a jej twarz emanuje szczęściem i spokojem, co ogromnie cieszy Marysię, która uważa, że matce należy się od życia trochę radości.

– Mów, co to za niespodzianka, mamuś! – Córka bardzo się niecierpliwi.

– Jesteś gorsza niż dziecko! – Dorota żartuje z jej popędliwego charakteru. – Zdejmij najpierw tę paskudną *abaję*. – Jak zawsze kpi z czarnej szaty, która pomimo niechęci do jej noszenia potrafi być niezwykła i piękna, po czym bierze z rąk córki ciężki od półszlachetnych kamieni satynowy płaszcz i z namaszczeniem wiesz go w szafie. – Napijcie się koniecznie zimnej wody i wygodnie rozsiądźcie. Za chwilę przyniosę zieloną herbatę i wasze ulubione słodycze...

– Bahlawa58! – wykrzykuje Nadia.
– Bahlawa! – Adil, największy łasuch w rodzinie, aż klaszcze w ręce.
– Właśnie. A później kogoś wam przedstawię.
– Och, mam! Daj spokój! Nie dręcz mnie dłużej! – Marysia z nerwów aż wyłamuje palce. – Kogoś? Czyli masz gości, o których mi nie powiedziałaś? Ech... – Siada ciężko na skórzanej sofie w obszernym, pięknym salonie i robi naburmuszoną minę.
– Babciu, lepiej powiedz wszystko mamie, bo za chwilę pęknie z tej ciekawości – zaznacza Nadia.
– Nie mam gości, ale nowych mieszkańców naszej willi... Nowych członków rodziny. – Dorota mówi powoli, nie wiedząc, jaka będzie reakcja, choć na pewno żywiołowa.
– Dzieci Aszrafa wróciły z zagranicy? Niemożliwe! – Marysia wyrzuca ręce do góry i gwałtownie gestykuje. – Będą z wami mieszkać? Przecież to dorośli ludzie! Nie pozwól na to, bo zaraz zaczną się wtrącać i spieprzą cały wasz szczęśliwy związek!
– Marysiu, nie demonizuj... Nadia, Adil, przedstawię wam kogoś. – Gospodyni przemierza pokój i otwiera drzwi, za którymi stoją dwie przerażone saudyjskie dziewczynki. – Oto Fatima i Abla.
Dzieci Binladenów bez strachu podchodzą do nowych koleżanek i wyciągają ręce na przywitanie, lecz małe ściskają tylko czubki palców Nadii, a od Adila odskakują jak od zarazy. Mają przerażenie w oczach.
– Skąd ty je wytrzasnęłaś? Przecież to jakaś hołota! – Marysia nie jest zachwycona takim tradycjonalistycznym zachowaniem i krytykuje głupie gąski, mówi jednak po polsku, żeby całkiem ich nie przerazić.
– Zaraz wszystko ci opowiem – obiecuje Dorota. – Ale nie jest to historia dla uszu wszystkich, więc najpierw musimy naszych milusińskich wyekspediować do bawialni.
– Masz bawialnię? Zwariowałaś? – Córka z niedowierzaniem kręci głową. – Te dzikuski jeszcze mi Adila pobiją. To jakieś tałatajstwo o średniowiecznych zwyczajach. A daj ty mi spokój!
– Kochani, idźcie do ogrodu zimowego i nakarmcie ptaszki. Weźcie ze sobą ciastka. – Dorota zarządza towarzystwem z dużą pewnością siebie i córka orientuje się, że decyzja matki jak zawsze jest nieodwołalna.
Kiedy dzieci wychodzą z salonu, pani domu uśmiecha się szelmowsko i patrzy Marysi głęboko w oczy.
– Nie myśl, że chcę się odmłodzić i znów być mamą maluchów – zastrzega. – To nie tak. I wcale nie jest to łatwe.
– Więc o co chodzi? Przygarnęłaś je, mam nadzieję, tylko na chwilę?
– Adoptowaliśmy je z Aszrafem...
– Co? Zwariowałaś?! – Marysia ze zdumienia wytrzeszcza oczy. – Kompletnie ci odbiło! Skąd je wzięłaś? Może pochodzą z rodziny dewiantów? A może terrorystów? Seryjnych morderców? Sprawdziłaś to w ogóle?
– Na pewno są z rodziny ortodoksyjnie wierzącej w islam – Dorota zniża głos. – Pamiętasz ten atak raketowy w dniu mojego ślubu? A tamtą saudyjską rodzinę? Kobieta zmarła, choć można ją było uratować, gdyby pozwolono na to lekarzom czy ratownikom medycznym.
– Tak. To wtedy ostatecznie zdecydowałam o wyjeździe do Polski i zrobieniu kursów ratownictwa medycznego. – Marysia już sobie przypomina zbitą gromadkę cicho płaczących dzieciaków.
– Stary al-Rida, mój teść, zamordował ich ojca. Trochę koszmarny prezent ślubny, nie sądzisz?
– Znasz moje zdanie. Byłam zbulwersowana. Jednak ten facet tyle lat pracował w ogromnym stresie i obciążeniu, walczył z najgorszymi zbrodniarzami, że poniekąd sam nabrał ich manier. – Marysia trochę usprawiedliwia zabójcę, bo wie, że staruszek jest przyjacielem Hamida i jego guru, jednak cieszy się teraz w dwójnasób z faktu, że jej mąż zrezygnował z czynnej szpiegowskiej działalności. Inaczej może i on bezkarnie mordowałby ludzi na śniadanie.
– Po wypadku dzieci natychmiast oddano do sierocińca – podejmuje Dorota. – Aszraf, chcąc

zrehabilitować się za tatkę, z łatwością je odnalazł. Okazało się, że chłopca zabrała do siebie dalsza rodzina, ale płęć piękną olali i nie wyrazili najmniejszego zainteresowania tymi słodzinami. Dziewczynki są trochę dzikie, tak jak mówisz, ale mają czyste, dobre serduszka. Musiały od urodzenia przeżywać niezłą gehennę z tatusiem ortodoksem. Ale czy to mogło wypaczyć ich charakter? Teraz pójdą do normalnej szkoły, będą się stykały ze zwykłymi ludźmi i zapomną, co wbijano im do głów od urodzenia. Nikt nie rodzi się zły.

– A geny? DNA? Głębokie pokłady pamięci?

– Nie filozofuj, Marysiu.

– Wszystko już prawnie sfinalizowaliście? Nikt nie będzie mógł się do was przyczepić?

– Wiesz, jaki skrupulatny jest Aszraf. Wszystko jest okej, a będzie jeszcze lepiej. – Dorota się śmieje, choć serce jej drży, bo wyobrażała sobie, że opieka nad dziewczynkami będzie łatwiejsza.

Nie chodzi tu o codzienne czynności, naukę, jedzenie czy posłuch, lecz o nawyki Fatimy i Abli, które wydają się nie do wykorzenia. Ich zasadniczą bolączką jest paniczny strach przed mężczyznami i chłopcami. Kiedy widzą Aszrafa, chowają się pod łóżko lub do szafy. Dzisiaj pokazały, że tak samo reagują nawet na małych, ale obcych chłopców. W takiej sytuacji trudno powiedzieć, co będzie z międzynarodową koedukacyjną szkołą, do której Dorota chciała je jak najszybciej wysłać. Jak się potoczy ich dalsze domowe życie? *Zawsze muszę sobie wszystko komplikować*, podsumowuje Polka. *Nudno mi było, za dobrze, za wygodnie i zbyt beztrosko. Niech to szlag!*, klnie w duchu. *Co ja sobie chciałam udowodnić?*

* * *

Kiedy Aszraf jest na dyżurze, co lekarzowi klinicznemu zdarza się dość często, Fatima i Abła poruszają się po całym domu, lecz wygląda to tak, jakby się skradały. Nie krzyczą jak to dzieci, nie śmieją się, nawet ze sobą nie rozmawiają, nie wspominając o żartach czy wygłupach. Truchtają przy ścianach, kryją się po kątach, chowają za meblami.

– *Szinu tibbi59?* – W środku nocy Dorota zrywa się z łóżka, widząc dwa małe cienie w białych nocnych koszulkach stojące przy jej łóżku. – O co chodzi? Chcecie pić? Jesteście głodne?

Dziewczynki patrzą na nią czarnymi, gorejącymi oczami i nic nie mówią, a po chwili obracają się i uciekają do swojej sypialni.

– To istny horror... – szepcze przyszywana matka, bo wie, że do białego rana już nie uśnie. – Sceny mrozące krew w żyłach, na których w kinie człowiek krzyczy.

Dorota zastanawia się, kiedy dziewczynki będą gotowe do pójścia do szkoły i jak będą się zachowywały wśród obcych ludzi, gdy po ponad miesiącu dom wciąż jest dla nich obcym, przerażającym miejscem. A przecież muszą kontynuować edukację, i to jak najszybciej, bo inaczej stracą rok.

W końcu kobieta dzwoni do swej dorosłej córki, licząc na pomoc.

– Marysiu, chciałaś iść na zakupy – zagaduje zupełnie niewinnie.

– Pewnie! Muszę się obkupić przed wyjazdem do Polski. Nie chcę robić tam za dziadówkę, żeby traktowano mnie jak jedną z tysięcy arabskich imigrantek.

– Na pewno tak źle nie będzie. Zwłaszcza że chcesz zamieszkać w Wilanowie, najbogatszej i najbardziej snobistycznej dzielnicy Warszawy. – Matka uśmiecha się z przekąsem, bo córka nigdy nie ujawniała podobnych kompleksów. – Ponoć jeździ tam więcej bentleyów niż w Rijadzie.

– Dlatego właśnie taki jest mój wybór. I Hamid go popiera.

– Oczywiście! Przecież sam doskonale by tam pasował.

– Może znajdziemy ostoję w jakimś spokojnym kraju, bez terrorystów na dzień dobry i rakiet na dobranoc. – Marysia mówi to niby bez troski, choć zagrożenie w Arabii stało się obsesją wszystkich, nawet tych, którzy mają nieograniczone pokłady pogody ducha. – Fajsalija Tower czy Burdż al-Mamlaka? A może Sahara Mall60? – Kobieta chce ustalić miejsce spotkania.

– Zdecydowanie za dużo tu tych galerii handlowych! Ale najbardziej lubię Mamlakę. – Dorota przywykła do luksusów Saudi i w sumie cieszy się, że tutaj mieszka.

– W porządku. To widzimy się po siedemnastej⁶¹. Oczywiście z dziećmi. Inaczej jak nic zatrzymają nas porąbani *mutawwowie*.

– Jest ich zdecydowanie mniej niż przed twoim wyjazdem do Syrii, ale nadal się zdarzają. Weźmy dzieciaki, bo chcę wyprowadzić z domu moje dzikie gąski. Zobaczymy, jak będą się zachowywały w miejscu publicznym – wzdycha Dorota.

– To jeszcze nigdzie z nimi nie byłaś? – Marysia utwierdza się w przekonaniu, że jej mama popełniła kolejną głupotę. – Mój Boże...

– Na razie poruszamy się po terenie osiedla. Będzie dobrze. Już jest dużo lepiej.

Córka wyczuwa, że Dorota straciła swój pierwotny zapał i optymizm, i postanawia pomóc jej w rozwiązaniu kolejnego problemu, który sobie sama zafundowała. *Może uda się je oddać?*, myśli bezwzględnie. *Może ich własna familia jednak by je wzięła? Jak się zapłaci...* Postanawia, że po powrocie z zakupów porozmawia o tym z Hamidem. W końcu to on jest specjalistą od beznadziejnych spraw i może jemu uda się przemówić Dorocie do rozumu. *Żeby adoptować dzieci w ciemno! Na pewno nic nie sprawdzili, na pewno nie zbadali rodziny, z której pochodzą. Stary Rida jak nic o niczym nie wie. Może ich krewni nie są jedynie zaściankowi i mocno wierzący, ale mają na sumieniu coś znacznie gorszego? Już na pierwszy rzut oka zachowanie dziewczynek mi śmierdzi.* Marysia bardzo się niepokoi i postanawia jak najszybciej ukrócić poczynania Doroty.

– Ty nie jesteś córką pani Blondi – stwierdza Fatima, kiedy siadają w małej kafeterii w centrum handlowym, by zjeść francuskie naleśniki, odpocząć i nabrać sił na kontynuowanie zakupów.

– Czemu tak twierdzisz? – pyta Marysia. – Przecież mówię do niej *ummi*.

Całe towarzystwo rozmawia po arabsku, żeby adoptowane dziewczynki czuły się bardziej swojsko i rodzinnie.

– Ona jest *adźnabija*⁶². Ma blond włosy i te oczy! W życiu takich nie widziałam. – Mała z dezaprobaty aż cyka językiem o podniebienie, a Marysia cieszy się, że jej dzieci i Dorota tego nie słyszą, bo akurat składają zamówienie przy ladzie. – Jak u *szejtana*⁶³ – szepcze dziecko, konspiracyjnie pochylając się w stronę Marysi i jeszcze mocniej ściskając rękę małomówniej siostry.

– Bzdurzysz! Ludzie mają różny kolor oczu i włosów – usiłuje wytłumaczyć pół-Polka.

– Ale my, Arabowie, mamy czarne. Rozejrzyj się.

– Nie tylko Arabowie żyją na ziemi. Są też inne nacje. Nie uczyłaś się o nich w przedszkolu czy w szkole?

– Tamci wszyscy są *kafirami*⁶⁴ – odpowiada natychmiast Fatima, całkowicie zbijając Marysię z pantafelku.

– Kto ci takich bzdur do głowy nakładł?! – Kobieta impulsywnie podnosi głos, lecz zaraz się hamuje; spuszcza głowę i bierze kilka głębszych oddechów. – Moja matka, Dorota, jest chrześcijanką i nie wolno jej nazywać *kafirą*. Zrozumiano?

– To grzesznica, która omamiła muzułmanina. – Fatima zaciska wargi i wcale nie jest jak zazwyczaj przestraszona, lecz odważnie podnosi zezłoszczony wzrok. – Grzesznica! Ona jest *kafirą* i *adźnabiją* i nie powinna mieszkać w naszym kraju. W państwie wahabitów nie ma dla takich miejsca!

Marysia milczy, lecz postanawia bezzwłocznie wyciągnąć Dorotę z niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znalazła. Czy będzie tego chciała, czy nie.

Kiedy Marysia z Nadią i Adilem wchodzi do domu, dzieci błyskawicznie biegną na piętro, by w spokoju nacieszyć się prezentami, które dostały. Kobieta, po zrzuceniu *abai* i *hidżabu*⁶⁵, postanawia jak najszybciej odnaleźć Hamida, przeklinając w duchu, że ich dom jest tak duży.

– Hamid! Gdzie jesteś, do cholery! – Jak zawsze szybko się denerwuje. – Hamid!

Zagląda do kuchni, lecz widząc czekających na nią w usługowej pozie kucharza i służących, niecierpliwie macha ręką.

– Widzieliście pana?

– Wyszedł. Zaraz po tym, jak pani wyjechała z dziećmi do sklepu.

Marysia marszczy brew, zastanawiając się, co Hamid może robić wieczorem poza domem. Poszedł na fitness czy do biura? A może znalazł sobie kochankę, miłą i potulną Arabkę lub ekspatriantkę⁶⁶, która nie będzie mu stwarzała tylu problemów? *Ależ ze mnie kretynka*, podśmiechuje się na tę myśl, mając świeżo w pamięci rozpacz i depresję męża, kiedy myślał, że już nigdy jej nie zobaczy. *Tacy faceci nie mają kochanek. Oni kochają miłością bezwzględną i bezkrytyczną nawet takie szalone furiatki i france jak ja*. Miłość do męża maluje się na jej twarzy i łagodzi napięcie. Pełna energii idzie do sypialni, wyciąga z szafki nocnej zawsze naładowany aparat telefoniczny BlackBerry i dzwoni z bezpiecznej szyfrowanej linii do tajnej pracy męża. W antyterrorystycznym wydziale specjalnym miał bywać sporadycznie, ale w obecnej sytuacji w królestwie jest to niemożliwe. Marysia doskonale to rozumie.

– Mam złe przeczucie. – Kobieta od razu przechodzi do sedna sprawy. – Ci idioci, mama i Aszraf – dość bezpardonowo określa łatwowierność swoich ukochanych najbliższych – adoptowali dwie saudyjskie dziewczynki, które według mnie jak w mordę pochodzą z fundamentalistycznej rodziny. Nie tyle ortodoksyjnej, ile właśnie fundamentalistycznej. – Podkreśla tę ogromną różnicę. – Widzieliśmy ich tatusia w akcji i powiem ci, że teraz zaczynam się zastanawiać, czy stary Rida nie miał nosa, strzelając mu w łeb.

Szybko relacjonuje mężowi dzisiejszą rozmowę z Fatimą, która nią wstrząsnęła i zasiała ziarno nieufności w jej wrażliwym, zazwyczaj sceptycznym sercu.

– Muhammad koordynował tę adopcję? – pyta rzeczowo Hamid.

– Obawiam się, że nie. Mama powiedziała tylko, że Aszraf jest skrupulatny.

– Ale co on wie? Nie ma pojęcia o realiach w naszym kraju, nie mówiąc o terroryzmie! – oburza się zwykle spokojny mężczyzna. – Nie poradził się ojca? Pomyślał, że stary jest zwykłym mordercą, bo ustrzelił tego oszołoma.

Marysia milczy, gdyż sama przecież też tak oceniła z drugiej strony uroczego staruszka.

– Cóż. Zaraz do niego zadzwonię i podejmiemy odpowiednie kroki – zapewnia Hamid. – Ale żeby tyle lat żyć w naszym wspaniałym wahabickim królestwie i podejmować takie głupie działania. – Wzdycha ciężko. – Dorota dobrała się z tym całym Aszrafem jak w korcu maku. Para prostodusznych... – chciałby powiedzieć „głupków”, ale kończy: – dzieci. Trzeba ich będzie bardzo uważnie pilnować, Marysiu.

– Zgadzam się. Masz rację, kochanie.

– Sam będę nadzorował operację.

Kobieta jest już całkowicie spokojna, bo kiedy Hamid Binladen mówi, że coś zrobi, rzecz na sto dziesięć procent zostanie zrobiona i problem będzie rozwiązany. Żona wierzy swojemu mężowi bezgranicznie i bezgranicznie go kocha, pomimo że rozdzieliły ich tragiczne przejścia, a źli ludzie zbrukali ich idealny związek. Jednak nic i nikt nie rozdzieli Binladenów na zawsze. Oni byli i są sobie pisani po wsze czasy.

Zadowolona i rozluźniona Dorota, która zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jakie zmije hoduje na własnym łonie, z uśmiechem wchodzi do domu.

– Podobają się wam prezenty? – zwraca się do dziewczynek, które pomimo młodego wieku noszą *abaje* i z własnej woli chcą zakrywać włosy, wychodząc z domu czy nawet pod dachem, ale w obecności Aszrafa⁶⁷. – Fajnie było w wesołym miasteczku? Lubicie pływać w gondolach? Jak wam smakowały naleśniki?

Polka nie doczeka się odpowiedzi, bowiem niespodziewanie zakamuflowany napastnik wynurza się z cienia i uderza ją w bok. Kobieta wydaje przeraźliwy krzyk, chwytając się za pulsujące bólem miejsce i pada na podłogę.

– Ty porywaczko! Ty złodziejko! – Agresor przyskakuje do niej i raz za razem kopie, gdzie

popadnie. – Zabierać dzieci uczciwych, prawowiernych muzułmanów i konwertować je na niewiarę to dopiero przebiegłość! Prowadzić nasze niewinne duszyczki prostą drogą do piekła! Zdrada! Ty niewierna, przeklęta *szarmuto!*⁶⁸

– Podła *kafira!* I dom *kafira!* – Z półmroku salonu dochodzi drugi męski głos, a Dorocie serce chce wyskoczyć z piersi z ogromnego strachu, który ją owładnął. – Ten doktorek tylko udaje, że jest muzułmaninem. Zdeprawowali nasze dziewczynki. Zbrukali je! Hańba nam! Hańba im! – mówi jak w amoku.

Dwaj napastnicy stoją nad drżącym ciałem Doroty, zastanawiając się, co z nią zrobić. Jak się zemścić za przygarnięcie sierot, dla których lepiej byłoby, gdyby szczyły, niż dostały się w ręce niewiernych. Jeden z mężczyzn, zwolennik kary fizycznej, chwyta *abaję* i zdiera ją z Polki, a potem ciągnie za chustę, która przesuwa się i zasłania całą twarz kobiety. Szarpie tak długo, aż jej blond włosy rozsypują się dookoła głowy. Ubrana w dżinsy i bluzkę z długim rękawem, Dorota czuje się tak, jakby była naga, Arabowie zaś otwierają gęby na widok lśniącej bujnej czupryny i alabastrowej karnacji.

Saudyjskie dziewczynki nie reagują na przemoc wobec ich wybawicielki, patrzą na nią tylko złym, twardym, pełnym pretensji wzrokiem. Kiedy Dorota spogląda na agresorów spode łba, chcąc przewidzieć ich kolejne nikczemne czyny, ci odступują ją na krok, jakby zobaczyli zjawę. Jej twarz jest obita, a oczy nabiegły krwią. Barwa tęczyówek pozostaje jednak niezmienna – czysta i jasna, w kolorze bławatków, co szokuje prymitywnych Arabów.

– *Szejtan!* – krzyczą jeden przez drugiego. – *Szejtan!* – Uważają, że każde piękno musi być złem.

Jeden z mężczyzn powoli, jak na zwolnionych obrotach, wyciąga zza pazuchy zakrzywiony kindżał. Robi krok do przodu. Drugi też sięga za poję kurty. Dorota wstrzymuje oddech. Na twarzach Fatimy i Abli wykwita krzywy uśmiech satysfakcji. I wtedy przed willą gwałtownie zatrzymuje się jakiś pojazd – na rozgrzanym asfalcie słychać pisk opon. Potem następny. Po paru długich jak wieczność sekundach do uszu napastników dociera ciche chrobotanie w zamku drzwi wejściowych.

– W nogi! – krzyczy Arab z nożem w ręce, a jego zagubiony kompan drepcze w miejscu, nie wiedząc, co robić: uciekać czy mordować?

– Trzeba wykonać zadanie! – Towarzysze zbrodni stawiają się nawzajem do pionu. – Grzech musi zostać ukarany!

– Wypleniona zaraza!

– Zaraza! Grzech! *Kafira!* – powtarzają jak mantrę, przeczuwając, że w obecnej sytuacji wykonanie misji będzie równoznaczne z ich śmiercią.

Fundamentalista poprawia uchwyt na nożu i w profesjonalny sposób, bez wahania ani drgnienia ręki, jednym cięciem podrzyna gardła stojących obok siebie, niczego się niespodziewających dziewczynek. Dorota, wyczuwając śmiertelne zagrożenie, mobilizuje wszystkie siły, podciąga kolana do brody, a po chwili niezdarnie staje na nogi i wlecze się w stronę sofy, byle dalej od napastników. Krok przed celem upada, tłukąc kolana i kości biodrowe, lecz nie bacząc na to, turla się za kanapę. *Może zdążyć?* Jest pełna ostatniej nadziei. *Może sforsują te cholerne drzwi... Marysiu, ratuj! Hamid, pomocy!*

Widać zamek w antywłamaniowych drzwiach jest zbyt profesjonalny, a zabezpieczenia mocne, bo ostatecznie dopiero po eksplozji ładunku wybuchowego podwoje się uchylają, umożliwiając przybycie odsiecz. Po mieszkaniu najpierw błąka się czerwona linia laserowego optycznego celownika, a dopiero później do środka wpadają funkcjonariusze brygady antyterrorystycznej. Pojawiają się z każdej strony: głównego wejścia, sypialni, kuchni i wejścia dla służby, tarasu i zimowego ogrodu Aszrafa, który przy okazji całkowicie rujnują. Ale kto by się teraz tym przejmował. Najważniejsze jest uratowanie ofiary. Napastnik, pomimo że trafiony wieloma kulami, skacze w stronę Doroty, chcąc wykonać swoje szalone, podłe zadanie i odebrać jej życie. Aby go powstrzymać, konieczne jest bezpośrednie starcie, więc jeden z zakamuflowanych wojskowych bez namysłu zasłania kobietę własną pierśią. Cios kindżału trafia go w tors, chroniony kamizelką kuloodporną. On zaś

szybko, jednym ruchem skręca mordercy kark, zrzuca go z siebie, ściąga czarną kominiarkę i pochyła się nad Polką.

– Jak tam? Żyjesz? – pyta zbyt obcesowo jak na saudyjskiego mężczyznę i funkcjonariusza, przez co pozostali członkowie brygady patrzą na niego krytycznie.

– Hamid! Kochany mój! Jakże się cieszę, że cię widzę! – Biała, starsza kobieta o blond włosach i błękitnych oczach zarzuca mężczyźnie ręce na szyję. – Jak to dobrze, że znów jesteś w akcji!

Potem wybucha niepohamowanym, histerycznym płaczem, a policzki Binladena zalewa rumieniec nie tyle skromności, ile dumy.

* * *

– Trochę się boję odwiedzać takiego wielmożnego pana. – Marysia mruga figlarnie do matki.

Postanowili pojechać w dwie pary jednym samochodem, a że to wysokie progi, wybierają najlepszy wóz, jaki mają w rodzinie – bentleya Aszrafa. Hamid wprawdzie zastanawiał się nad wypożyczeniem rolls-royce'a, lecz znaki firmowe wypożyczalni samochodów głupio by wyglądały.

– Po cholere w ogóle nas tu ściągnął? – Dorota się denerwuje. – To rewanż za kurtuazyjne zaproszenie na ślub? Po coś go zaprosił, synku? – zwraca się do zięcia.

– Dorotko, dzięki temu zaproszonku i kontaktom z elitą tego kraju w ciągu miesiąca mamy z Marysią wyremontowany dom, a Fajsal w niewiele więcej czasu wybudowany całkiem nowy, i to dwa razy większy i porządniejszy niż przed atakiem rakietowym. Za darmo i bez wysiłku.

– Ale Retno chyba nie ożywili? – ironizuje zniesmaczona kobieta, bo nie lubi przyznawać, że pieniądze rządzą światem.

– Wiele może, ale Panem Bogiem nie jest.

Wszyscy znoszą humory Polki, wiedząc, jak dotkliwie została ona zraniona przez saudyjskich fundamentalistów, a małe, wydawałoby się niewinne, dziewczynki okazały się równie skrzywione jak starzy zbrodniarze. To straszliwy cios dla kogoś, kto oddał swoje serce na tacy, a w zamian otrzymał cios pod żebra. Hamid również nie jest zachwycony wizytą w pałacu, bo przypomina mu to czasy młodości, kiedy romansował z księżniczką Lamią i był u niej stałym gościem, co zresztą skończyło się tragicznie.

– Obcowanie z wielmożami jest toksyczne – podsumowuje Aszraf, który także nie przepada za takimi koneksjami. Z jaśnie panami ma do czynienia tylko w szpitalu; obłudnie bogaci ludzie uważają, że zdrowie i życie również mogą sobie kupić, przez co lekarze często mają kłopoty i tak naprawdę nikt nie wyraża ochoty się nimi zajmować. Sto razy bardziej medycy wolą zwykłych pacjentów.

– Ale brama wjazdowa! – Marysia przykleja nos do szyby luksusowego samochodu. – Zawsze myślałam, że tu jest jakiś las czy park. – Obserwuje piękne, gęsto rosnące sosny.

Po zaprezentowaniu oficjalnych zaproszeń przy głównych podwojach i dokładnej kontroli tak gości, jak i samochodu, mogą ruszyć zacięzioną aleją strzeżoną przez prywatną uzbrojoną ochronę. Po prawie pięciominutowej jeździe na końcu wyłożonej marmurami ścieżki z rozległym podjazdem i lądowiskiem dla helikopterów ich oczom ukazuje się wielki pałac, zbudowany na wzór francuskich rezydencji z czasów Ludwika. Kamerdynerzy otwierają drzwi samochodu i towarzystwo wysiada. Nigdzie nie widać gospodarza, lecz wszyscy są kierowani do środka.

– Obawiam się, że nie będzie to skromny, kameralny lunch, lecz jakiś cholerny spęd – szepcze Marysia po polsku do ucha matki.

– Muszę się nauczyć polskiego – konkluduje Aszraf. – To wielka frajda móc się posługiwać językiem, którego nikt dookoła nie jest w stanie zrozumieć.

– Ja niby rozumiem, chociaż mówienie to wciąż gehenna – mówi Hamid. – Z żadnym językiem nie miałem tylu problemów.

– Tak, polski brzmi jak szeleszczenie – przyznaje Aszraf. – Ale damy radę.

Mężczyźni bardzo się polubili i trzymają razem; obaj mają żony cudzoziemki, choć Marysia nadal jest bardziej arabska niż polska.

– I on twierdzi, że do tego wszystkiego doszedł sam. – Pół-Arabka nadal kpi, ale teraz szepcze

w lokalnym języku, obracając się w stronę panów. – Co za pruderia. Bogactwo Walida bin Talala to w dużej mierze zasługa rodziny.

– Tylko po części masz rację. – Hamid ostrożnie stawia kroki na marmurowej posadzce w pałacowym holu. – Dziadek ze strony matki był pierwszym premierem Libanu, a dziadek ze strony ojca, Abd al-Aziz – założycielem Arabii Saudyjskiej. – Saudyjczycy znają koligacje najważniejszych członków rodziny królewskiej i wszystkie plotki o nich, a Walid na pewno jest wśród tych, którzy się wyróżniają.

– I już mamy odpowiedź – kwituje Marysia.

– Jednak rodzinna historia głosi – Aszraf zawsze stara się wszystkich usprawiedliwić – że Walid po powrocie z college’u w Stanach Zjednoczonych otrzymał od ojca jedynie trzydzieści tysięcy dolarów w prezencie, a zaraz potem trzysta tysięcy pożyczki i dom. Jak na wyższe sfery to niezbyt dużo.

– Kto wierzy w te bzdury? – pyta Dorota, patrząc z politowaniem w dobre oczy męża. – Księżę, kiedy tylko odniósł pierwszy sukces, dostał od rodzinki jeszcze więcej.

– Słuchajcie, plotkary! – Hamid ma dość ostrych babskich języków. – Powiem wam jedno. Mimo początkowej pomocy nie można odmówić Bin Talalowi nosa do interesów. Zaraz na początku swojej błyskotliwej kariery biznesmena za osiemset milionów dolarów kupił akcje banku Citi, które już po paru latach były warte prawie dziesięć miliardów – podkreśla swoje słowa, kiwając karcąco palcem. – Ja też mogłem kupić te akcje, wszyscy mogli, ale tego nie zrobili. Bali się.

– Sam się nad tym zastanawiałem – przyznaje doktor. – Stwierdziłem jednak, że każdy giełdowy boom ma swoje dno.

– Faceci! Wy mówicie o milionach!

– Nie, mamuś! O miliardach! – Marysia wybucha histerycznym śmiechem, dając Dorocie żartobliwego kuksańca. – Hello! Z kim do gości?

Matka i córka usiłują postawić swoich partnerów do pionu, ale im się to nie udaje. Oni po prostu są bogaczami i postrzegają świat w zupełnie innych kategoriach.

– No widzisz. – Hamid bierze Aszrafa pod ramię i grupa zmierza w stronę baru z napojami bezalkoholowymi, by zwilżyć czymś gardło. – Taki sam z ciebie chojrak jak ze mnie, a i tak, sza’allah⁶⁹, do najbiedniejszych nie należymy. – Burzuje podśmiechują się w mankiet *toby*, tak u jednego, jak i u drugiego spięty brylantowymi spinkami. – Bin Talal, którego majątek szacuje się na jakieś dwadzieścia miliardów dolarów, posiada udziały w takich gigantach, jak Apple, Citigroup, Twitter, Four Season, a także 21st Century Fox i News Corp, wchodzących w skład konglomeratu medialnego Ruperta Murdocha. Ma też parę akcji mojego Binladen Group, więc niech mu się dobrze wiedzie.

– Nikt mu źle nie życzy, ale co za dużo, to niezdrowo. – Marysia ma dość krytykanctwa, bo przecież sama też spija śmietankę Bliskiego Wschodu. – Teraz jednak widzę na własne oczy, że wszystkie plotki o nim i jego kulcie bogactwa są prawdziwe. – Spogląda z zadziwieniem i lekkim niesmakiem na marmurowe antyczne rzeźby, na malarskie arcydzieła na ścianach oraz przepiękne kolonialne meble. Są tu także szklane witryny i kredensy z porcelaną zarówno chińską, jak i europejską z najlepszych źródeł. Kobieta zauważa małą porcelanową miseczkę z czerwonymi zdobieniami, służącą podczas oficjalnych ceremonii na dworze chińskiej dynastii Ming, która została zakupiona przez saudyjskiego miliardera na aukcji w nowojorskim domu Christie’s za niebotyczną sumę dziesięciu milionów. Kryształowe żyrandole są tak wielkie, że wiszą w holu z antresolą przez wysokość dwóch pięter; wyglądają jak diamentowe wodospady pełne światła, lśniąca tysiącem kolorów, gdyż cięte szkło jest nie tylko białe, ale też niebieskie, granatowe i różowe.

– Spójrzcie tylko na te witraże. – Dorota zadziera głowę i patrzy w wysoko umieszczone iluminatory z kolorowych szyb, które wpuszczają do środka zabarwione promienie słońca. – Co za ekstrawaganckie wzory!

– Wielu ludzi takie montuje. – Aszraf chce załagodzić zawiść kobiet, a Hamid już się nie odzywa, bo doskonale wie, że to nic nie da. Zna obie panie aż za dobrze.

– Dzięki brukowcom, a nawet tak poważnemu magazynowi jak „Forbes”, wszyscy wiedzą, że

codzienne miejsce zamieszkania Bin Talala jest absurdalnie luksusowe. Teraz widzimy, że to nie przesada ani dziennikarska kaczka. Raz napisali prawdę. – Marysia toczy ręką dookoła, a jej mąż spieka raka, bo takie zachowanie jest całkiem nie na miejscu. – Poczytałam co nieco na ten temat. Ponoć ten jego główny, ociekający marmurami i skompletowanymi na chybił trafił dziełami sztuki pałac w Rijadzie, w którym aktualnie się znajdujemy, ma czterysta dwadzieścia pokoi, pełno basenów i portretów gospodarza.

– Spójrzcie tam. – Dorota szelmowsko chichocze i pokazuje na obrazy w ramach kąpiących złotem, umieszczone pomiędzy francuskimi i włoskimi arcydziełami malarstwa renesansu.

– Kiedy jaśnie pan musi wyjechać służbowo, ma do dyspozycji własnego boeinga 747, takiego samego jak Air Force One, z tą tylko różnicą, że w jego samolocie jest tron – Marysia kontynuuje opowieść o Bin Talalu, który działa jej na nerwy, choć faceta jeszcze na oczy nie widziała, gdyż ze względów bezpieczeństwa po eksplozji rakiety na wesele jej matki nie dotarł.

– Żeby tylko nie dowiedział się o tym następca tronu, bo go zniszczy – martwi się Hamid, który o tronie nic nie wiedział.

– Dlaczego? – dziwią się panie. – Chyba bardziej można mu zazdrościć kasy niż głupiego pozłacanego krzesła.

– Dlatego, moje kochane, że tron naszego królestwa ma należeć tylko i wyłącznie do młodego Ibn Salmana. Obawiam się, że niedługo da to do zrozumienia wszystkim męskim członkom swojej rodziny.

– W nosie z władzą. Książę Walid ma wszystkiego pod dostatkiem i byłby idiotą, gdyby chciał się borykać z tak trudnym do rządzenia krajem. – Dorota traktuje sprawę zdroworozsądkowo.

– Masz rację, moja droga – nagle za ich plecami rozlega się tubalny głos. Towarzystwo podskakuje, ale wszyscy oddychają z ulgą, widząc innego księcia z rodu al-Saudów, od niedawna zaprzyjaźnionego z nimi Anwara. – Władza jest niepewna, zwłaszcza teraz i zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, a szczególnie w takich krajach jak nasz, gdzie żyje się jak na bombie z opóźnionym zapłonem.

– Nie strasz nas, stary! – Hamid klepie kolegę po fachu po potężnych barach. – Bo dostaniemy zawału serca. Panie tu ciągle plotkują i nie pozostawiają suchej nitki na gospodarzu, więc chyba więcej nas nie zaprosi.

– Nie przejmujcie się. Walid twierdzi, że u niego można wszystko robić i wszystko mówić, bo nie ma kamer ani mikrofonów. Każdy ma się tu czuć swobodnie, więc możecie sobie folgować do woli – uspokaja obyty na salonach jaśnie pan. – A swoją drogą, jeszcze zobaczycie, że wszyscy z rodzinki Saudów, którzy mogliby pretendować do tronu albo nawet tylko pomyśleć o sukcesji, zostaną nieźle przeczołgani.

– Tak myślisz? – W końcu pojawia się Walid, prowadząc za rękę cudowną hinduską piękność. – Nie odpuści nam?

Wszyscy w tym gronie wiedzą, o kim mowa, bo jak Saudia długa i szeroka nikt nie mówi o niczym innym, jak tylko o młodym, ambitnym następcy.

– Nie sądzę, bracie – odpowiada Anwar, po czym mężczyźni czule się obejmują i całują w oba policzki.

Dorocie na ten widok przypominają się oficjalne powitania polityków ze Wschodu w czasach komuny, gdzie wszyscy mężczyźni dawali sobie buzi i ściskali jak polarne niedźwiedzie.

– Nie ważcie się go obgadywać, bo lada moment ma się tu pojawić. – Gospodarz jest rozbawiony zachowaniem pań, bo na jego widok opadły im szczęki, pobladły twarze i teraz gapią się w niego jak sroka w gnat. – Robię, co mogę, żeby pokazać kuzynowi moją życzliwość, a że niewiele mogę, to niewiele robię – kpi ze swojej nieciekawej sytuacji, bo przecież w prostej linii pochodzi od założyciela królestwa i ma pełne prawo ubiegać się o tron, stanowiąc tym samym nie lada zagrożenie dla żadnego zaszczytów młodzika.

– Po coś go tutaj ściągnął? – Anwar aż tupie ze złości.

– Nie tylko jego. Jest tu cała wierchuszka naszego kraju, czyli większość krewniaków,

przeważnie starszków nad grobową deską, ale młodych, którzy jeszcze nie uciekli, też się paru przypalało. Zaproszenie otrzymały również misje dyplomatyczne i kilku moich kumpli z zagranicy. Chodźcie do ogrodów, bo utknęliście w tym wejściu jak kołki. Całe towarzystwo już tam jest.

– Po co on ci tutaj? – ponawia pytanie Anwar.

– Chciałbym wam przedstawić moją narzeczoną, Sunilę. – W końcu mężczyzna wysuwa przed siebie towarzyszącą mu ślicznotkę. – Ibn Salman będzie naszym świadkiem na ślubie. Ot co!

– Mądrze. – Hamid i Anwar kiwają z aprobatą głowami, zaś Dorota i Marysia wlepiają rozanielony wzrok w znaną gwiazdę bollywoodzkiego kina.

– Nie robi młodej żony wdową – wypala Binladen.

– Jesteście niepoprawni! – śmieje się Walid i z udawaną przyganą klepie rubasznym gości po rękach. – Doktorze, niech pan nad nimi zapanuje – zwraca się do Aszrafa, który nie lubi się angażować w codzienną politykę, a w tę wielką to już za żadne skarby, więc stoi na marmurach pałacu jak na rozżarzonych węglach i pluje sobie w brodę, że dał się namówić na przyjście tutaj.

– Dobra, już dobra. – Anwar bierze krewniaka za ramię i kierują się podcieniami w stronę wyjścia do ogrodu. – Wiesz, że my jesteśmy proste, zwykłe chłopcy. Dobroduszne naiwniaki – chichra dowcipniś.

– Słuchajcie! – W ostatniej chwili przed oficjalną częścią Walid bin Talal obraca się do swoich faworytów, bo uwielbia ludzi prawdomównych, a nienawidzi tych, którzy mu kadzą. – W najbliższym czasie będę chciał trochę zwolnić tempo i się odizolować – mówi cicho, patrząc w ucziwe oczy słuchaczy. – Może odwiedzić mnie w moim kompleksie wypoczynkowym? Mam tam wszystko, czego dusza zapagnie: parę sztucznych jezior, małe zoo, miniaturę Wielkiego Kanionu, pięć przestronnych domów, tak że nie przeszkadzalibyśmy sobie, oraz kilka miejsc do wspólnego biesiadowania na zewnątrz. Można tam rezydować nawet z pół roku, co wy na to?

– Na weekend bardzo chętnie. – Anwar uprzejmie kiwa głową, a reszta jest tak zaskoczona, że zapomina języka w gębie. – Nie zapominaj, że wszyscy pracujemy.

– Przedłużony weekend i będzie fajnie. – Książę Walid zachowuje się tak swobodnie i normalnie, że nawet Marysia i Dorota zapominają o początkowej zawiści i zaczynają darzyć bogacza sympatią.

– To rzeczywiście niezwykły człowiek – podsumowuje Marysia, rozkoszując się smakiem najlepszego francuskiego szampana w ogrodach Bin Talala.

Temperaturę powietrza obniżono tu z plus pięćdziesięciu do przyjemnych dwudziestu stopni, a umieszczone w klatkach słowiki i skowronki obwieszczają swoimi trelami nowy, szczęśliwy związek jaśnie pana, saudyjskiego księcia Walida bin Talala al-Sauda z piękną Sunilą.

* * *

Korupcja i defraudacje trawią Królestwo Arabii Saudyjskiej już od dawna i są stałym elementem systemu, lecz dopiero teraz powołano Komitet do Walki z Korupcją, którego przewodniczącym zostaje ambitny, młody i prężny następca tronu. Po co komu ta zmiana? – pytają wszyscy, a przewidujący odpowiadają, że w celu skonsolidowania władzy, która postanawia mocno trzymać w ręce wszystkie aktywa. W prasie i innych mediach podaje się, że przez korupcję i defraudacje Saudia w ostatnich dekadach straciła aż sto miliardów dolarów, a to przecież kawał grosza. Zatrzymano jedenastu książąt, w tym znanego Binladenom miliardera, najbogatszego człowieka świata arabskiego – Walida bin Talala, i prawie czterdziestu byłych ministrów, deputowanych oraz drugie tyle biznesmenów. Zarzucono im między innymi pranie brudnych pieniędzy, korupcję i wymuszanie na urzędnikach państwowych różnych decyzji, a także malwersacje, zatrudnianie nieistniejących pracowników w kierowanych przez siebie resortach lub firmach. Co najgorsze, ministrowie ponoć ustawiali międzynarodowe kontrakty, w tym jeden na kwotę aż dziesięciu miliardów dolarów. Oskarżonych, ogromnie zamożnych i ważnych ludzi, umieszczono nie w więzieniach, aresztach, na posterunkach policji czy w specjalnych miejscach internowania pod specjalnym nadzorem – na sądową rozprawę czekają oni w luksusowym sześciogwiazdkowym hotelu

Ritz Carlton tuż obok Diplomatic Quarter⁷⁰ w Rijadzie. Złe się nie mają, bo do ich dyspozycji – a często też ich rodzin i prywatnej służby – oddano cały hotel, który na czas dochodzenia został zamknięty i przeznaczony tylko dla podsądnych i ich asysty.

Hamid w zamian za leciwego, bo dziewięćdziesięcioletniego wuja, który od lat jest prezesem korporacji Binladen Group, oddaje się w ręce sprawiedliwości i przyjmuje oskarżenie o korupcję. Zostaje zatrzymany, ale niedaleko od domu, bo jedyne dziesięć minut jazdy samochodem.

– Może wykorzystaj ten moment i zrób swój wymarzony kurs – przez telefon sugeruje zszokowanej żonie. – Popracujesz tam tak długo, jak będzie trzeba, żebyś nabrała doświadczenia.

– To nie jest dobry czas. Nie mogę zostawić dzieci samych – odmawia Marysia. – Kiedy planowałam wyjazd, sądziłam, że będą przynajmniej z ojcem. Zresztą sytuacja w Saudi jest bardzo niebezpieczna. Rakiety latają nad naszymi głowami, do diaska! – Kobieta denerwuje się tak jak dawniej, co paradoksalnie uszczęśliwia Hamida, bo teraz wie, że wróciła jego dawna Miriam. Widać pozierała się z depresji i wygnała z pamięci straszne przeżycia.

– Kochanie, nasze dzieci notorycznie zostawialiśmy same. A teraz nie jesteśmy im już tak bardzo potrzebni do szczęścia. Są bardziej przywiązane do twojej matki, co zresztą jest całkiem zrozumiałe, bo babcie zawsze rozpieszczają wnuki do nieprzytomności.

– Masz rację – wzdycha Miriam. – To też mnie boli. Jesteśmy rodzicami od święta... Ale planowałam to zmienić.

– Daj spokój, nie obwiniaj się. I tak są szczęściarzami, że mają nowoczesnych starych, a nie twarogłowych ortodoksyjnych Arabów. – Hamid niezbyt przychylnie podsumowuje swoją nację. – Może znajdziesz nam dom w bezpieczniejszym miejscu i kiedyś wszyscy razem wyniesiemy się z tego bliskowschodniego zapalnego wadołka. – Uparcie namawia żonę do wyjazdu, bo uważa, że każdy powinien się realizować, gdyż to daje ludziom szczęście. Tak mężczyznom, jak i kobietom.

* * *

Korzystając z pomocy księcia Anwara, Marysia usiłuje przed wyjazdem zrobić swojemu internowanemu mężowi niespodziankę. Chce się dostać do Ritz Carltona, zajętego przez aresztantów oraz pilnującą ich policję, i spędzić z Hamidem upojną noc.

– Książę Anwarze... – Dzwoniąc na prywatną komórkę, zwraca się do al-Sauda bardzo oficjalnie. – Proszę mi tylko powiedzieć, czy nie sprawię tym jakiegoś kłopotu.

– Najmniejszego, moja droga. – Mężczyzna, studiując akta kobiety, poznał ją już dość dobrze i uśmiecha się pod nosem na jej kurtuazję, bo wie, że nie jest prawdziwa. – W zasadzie mogłaby pani przenieść się do apartamentu męża, gdyż nie ma pani bliższego *mahrama*, a opieka męża należy się pani jak psu zupa. – Chichocze, rozbawiony paradoksami saudyjskiego prawa. – Czasami głupie zasady mogą działać na naszą korzyść.

– Nie uśmiecha mi się rezydować w strzeżonym przez gliny hotelu – odmawia Marysia. – Zresztą za chwilę jadę za granicę, więc nie będę nikomu głowy zwracać. Chciałabym tylko pożegnać się z moim ślubnym, ot co.

– Mogę po panią przyjechać i osobiście zawieźć do miejsca internowania naszych biednych, skorumpowanych milionerów – proponuje cyniczny książę.

– Ależ nie chcę jaśnie panu zabierać czasu...

– Jaśnie pani – Anwar niecierpliwi się na takie konwenanse – czy byłaby pani tak łaskawa i mówiła mi na ty? Bardzo mnie krępuje taka oficjałka. – Chciałby się zbliżyć do tej kobiety nie ze względu na jej olśniewającą urodę i zabójczy temperament, lecz z powodu jej siostry, Darii, w której kocha się od lat.

– Okej. To o której będziesz? – Marysi dwa razy nie trzeba powtarzać. Zresztą polubiła tego wielkoluda od pierwszego spotkania, a u księcia Walida okazał się świetnym kompanem do zabawy i wygłupów, co u sztywnych Saudyjczyków nie jest dość częste. – Siódma może być?

– Super – potwierdza książę, ale wciąż się nie rozłącza. Po chwili szczerze wyznaje: – Hamid ma cudowną żonę, z którą nigdy nie będzie się nudził. Pozazdrościć.

– *Ila liqa*⁷¹. – Marysia ignoruje komplement, mając jedynie nadzieję, że ten wysoko urodzony Saud nie chce jej adorować, bo wtedy ich znajomość skończyłaby się bardzo szybko i bardzo nieprzyjemnie.

Wydawałoby się, że do wieczora kobieta ma wiele czasu, lecz kiedy chce się naprawdę dobrze przygotować i olśnić swojego mężczyznę, pięć czy nawet siedem godzin na orientalne zabiegi upiększające to mało. Wzywa zaprzyjaźnione masażystki i wizażystki, żeby wykrzeszały z jej młodego, ale mocno nadwerężonego ciała całe niegdysiejsze piękno. Na skórze gdzieś ma znamiona i blizny, pamiątki pobytu w kalifacie, a później w niewoli u syryjskiego Beduina. Najbrzydszy i największy jest ślad po ataku nożem w obozie dla uchodźców w Zaatari, gdzie straciła swoje nieślubne i niechciane dziecko. Szrama biegnie przez pół brzucha i kończy się na wysokości nerek. Marysia dotyka jej delikatnie opuszkami palców i wzdryga się z obrzydzenia. Na co dzień stara się już o tym nie myśleć, ale też nie obserwuje swojego ciała tak uważnie jak teraz. Od powrotu do Saudi ona i Hamid nie spali jeszcze ze sobą. Owszem, leżeli w jednym łóżku, trzymali się za ręce, rozmawiali, nawet się całowali, ale oboje nie byli gotowi na prawdziwie intymną bliskość. Lecz dłużej tak być nie może. Albo są małżeństwem, albo nie. O tym przekonają się właśnie dzisiaj.

Po regenerujących i upiększających zabiegach Marysia w końcu zostaje sama. W lekkim peniarzu wraca do swojej sypialni i wyciąga z szafy zakupioną specjalnie na tę okazję seksowną bieliznę: haftowany biustonosz na fiszbinach, stringi z miękkiej jak mgiełka, jedwabnej koronki i samonośne pończochy. Nakłada je z prawdziwym namaszczeniem. Kiedy dotyka miękkich materii i swojej gorącej skóry, dreszcz ekscytacji przebiega jej po plecach, a w dole jej brzucha narasta podniecenie. Co chwilę odgarnia kaskady włosów w kolorze oberżyny, spadających na jej śliczną twarz. Kiedyś miała takie naturalne, a teraz musi tę barwę podkreślać i wydobywać specjalną odżywką. Jej śniada skóra lśni od olejków i balsamów. Po pobycie w Azji Marysia zmieniła swój ulubiony zapach z lawendowego na słodki kokosowy, który świetnie się komponuje z jej naturalną wonią. Na koniec staje przed dużym lustrem kolonialnej toaletki, które przez lata pokazywało odbicie niejednej piękności, lecz na pewno nie tak fascynującej i orientalnej jak ona. Mocny makijaż podkreślający miodowe ciemne oczy pół-Arabki wydobyl ich migdałowy kształt, a tusz renomowanej firmy pogrubiał i jeszcze bardziej podkreślił jej długie rzęsy. Typowo arabski *kohl*⁷² dopełnił dzieła. Zadowolona z siebie kobieta kokieteryjnie uśmiecha się do swojego odbicia. Zastanawia się chwilę, krążąc po pokoju w krwistoczerwonych butach od Jimmy Choo na zabójczo wysokim obcasie, a następnie bierze z szafy jedną ze strojnieszszych *abai*, wyszywaną kryształami Swarovskiego, która lśni nawet na odległość. Narzuca ją na swoje niemal nagie ciało, zapina od góry do dołu na zatraski, a na koniec zakłada na włosy i twarz *nikab*, którego tak nie znosi, jednak dochodzi do wniosku, że w tym kraju, jadąc jednym samochodem z niespokrewnionym mężczyzną, i to na dokładkę księciem z rodziny królewskiej, lepiej się zabezpieczyć. Zresztą gdyby ów mężczyzna wiedział, jaki strój ma pod czarnym płaszczem, możliwe, że nie byłby taki subtelny i szarmancki jak zazwyczaj. Marysia go nie zna i woli nie ryzykować niepotrzebnych komplikacji i kłopotów.

– *As-salamu alejkum*. – Anwar wita się uprzejmie, skłaniając głowę.

Al-Saud stoi przed krwistoczerwonym bugatti chiron, najbardziej medialnym autem świata, i uprzejmym gestem zaprasza zszokowaną Marysię do środka. Kobięcie aż brakuje tchu na widok niewyobrażalnej perfekcji i designerskiej ekstrawagancji wehikułu. Zauważa nawet tytanowe nadwozie inspirowane lotnictwem, bo pogłoski o uwielbieniu tej ekscentryczności wśród młodych mężczyzn z rodziny królewskiej krążyły po całym kraju. Ten kosmiczny samochodzik z tą dodatkową opcją kosztuje nie mniej niż trzy miliony dolarów amerykańskich.

– Jak się masz? – Z oszołomienia wytrąca ją tubalny, ciepły głos, a kobiecie ciarki przechodzą po ciele i sama nie wie, czy jest to reakcja na postawnego, przystojnego mężczyznę w białej jak śnieg *tobie*, pachnącego perfumami na bazie drewna agarowego, czy na ekskluzywne, niesamowite auto.

– *Ahlan wa sahlán*⁷³. Dziękuję, dobrze – odpowiada przyjacielskim tonem i ze ściśniętym

strachem gardłem sadowi się w kubełkowym siedzeniu wyścigówki, która ponoć osiąga nawet trzysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Wydaje się jej, że siedzi na ziemi, gdyż auto ma tak niskie zawieszenie. Jej długie nogi ledwo się mieszczą, a kolana ma aż pod brodą. Zapięcie pasów również stanowi problem, bo ich zasadnicza część przechodzi między nogami pasażera. Dlatego zakwefiona, okryta czarną *abają* Marysia z nich rezygnuje, gdyż musiałaby podciągnąć płaszcz, a tym samym odsłonić swoje gołe uda. Aż jej się chce śmiać z tego wszystkiego.

Anwar też ma niewyraźną minę, bo jeszcze nigdy nie wiozł żadnej kobiety swoim autem i nie spodziewał się takich komplikacji.

Kiedy silnik zaczyna agresywnie burczeć, Marysia bierze głęboki wdech. *Ależ auto!* Rozemocjonowana aż piszczy w duchu. *Ależ będzie jazda!* Zaplatała swoje długie palce i kładzie dłonie na podołku.

Zanim ruszą, książę wręcza jej plastikową kartę.

– Proszę, oto przepustka.

– Dziękuję. I za tę hecę z wyścigowym autem również. – Pół-Arabka zawsze jest szczerą i nie wyobraża sobie, żeby nie miała wyrazić swoich uczuć. – Chciałeś mnie zabrać na wyścigi? – pokpiwa sobie ze szpanerstwa możnego, który na parkingu przed swoim pałacem ma zapewne z dziesięć samochodów i jakieś mniej ekstrawaganckie cacko na pewno by się znalazło.

Anwar, widząc tylko i wyłącznie piękne, ale teraz wyjątkowo wielkie, bo podekscytowane oczy pasażerki, podśmiechuje się protekcjonalnie.

– Na ten glejt, tak jak wspomniałem, możesz nawet zamieszkać z mężem w hotelu, i to na koszt państwa, więc warto się zastanowić, czy nie zrobić sobie takich wakacji – namawia książę. – To w końcu sześciogwiazdkowy Ritz Carlton. Ponoć szóstą gwiazdkę odebrano mu za brak alkoholu, ale nadal jest całkiem niezły.

– Na co tam można wydawać państwowe pieniądze? Możliwości zaszalenia w sercu Arabii Saudyjskiej są chyba mocno ograniczone. – Już trochę spokojniejsza Marysia przekrzykuje silnik superauta. – Szampana Dom Pérignon się nie zamówi.

– Ale truskawki z Hiszpanii i kawior z białugi owszem. A także najlepszego norweskiego łososia. Oprócz tego mają całkiem niezłe SPA, które masz w pakiecie. Moje żony nie zrezygnowałyby z takiej możliwości. – Saudyjczyk lekko wspomina o swoim wielożeństwie, co krępuje Marysię jeszcze bardziej, bo uważa takie postępowanie za bigamię i nigdy nie zaakceptuje.

– Fajne miejsce internowania. – Z niedowierzaniem kręci głową. – To jakaś kpina, a nie kara za korupcję!

– W sam raz dla utytułowanych i niewyobrażalnie bogatych ludzi. Nie ma co narzekać – stwierdza Anwar.

– Poniekąd masz rację. Ja i Hamid nie mamy co narzekać. Byłabym jeszcze bardziej oburzona i rozgoryczona, gdyby mój mąż za niewinność wylądował w więzieniu. Jednak winni milionowych nadużyć i wykroczeń, których dopuściła się większość internowanych, powinni zostać uwięzieni w zakładzie penitencjarnym. Inaczej z sądów i saudyjskiego prawa robi się szopkę. Cały świat się z nas śmieje!

– Cóż, co kraj, to obyczaj. Świat się śmieje przez łzy zazdrości, bo choćby nie wiem na ile okradano nasz kraj, on i tak nie zbiednieje.

– Dziwne podejście.

– Bogaci przestępcy oddadzą grube pieniądze, a biedniejsi dostaną jakąś tam karę. Lepsze to niż nic. – Mężczyzna nie nawykł rozmawiać z kobietami na tak poważne tematy i aż się poci, tłumacząc Marysi poczynania rządu i swoich krewniaków. W końcu też przechodzi do meritum sprawy, która go nurtuje od samego początku: – Chciałbym zamienić z tobą słowo na temat Darii.

– Tak? – Marysia dziwi się, że książę zna imię jej siostry. Zapomina, że Anwar pracuje w tej samej branży co Hamid, o czym jeden i drugi wspomniał jej dość ogólnie. – O co chodzi? – Staje się podejrzliwa, bo co temu księżęciemu szpiegowi do jej rodzinnych spraw.

– Wiem, że razem z mężem ścigaliście *dżihadiego* Johna przez pół świata. – Ten temat dla wielkiego Saudyjczyka też nie jest łatwy, bo z kobietami w swoim zawodzie rzadko współpracuje, a Aruby, koleżanki po fachu, nie uważa za kobietę, lecz za maszynę do zabijania. – Pierwszy raz spotkałem Darin w Hiszpanii, w Tossa de Mar. Potem nawet użyczyłem im swojego prywatnego odrzutowca.

– Czynałeś to wielokrotnie, tym samym wspierając dżihadystę i umożliwiając mu ucieczkę! – Marysia podnosi głos. – Ukrywałaś i wspierałaś mordercę i porywacza!

– Byłem wtyczką i nie mogłem się zdekonspirować. On i jemu podobni mieli mi ufać, zdradzać swoje najskrytsze tajemnice i plany. Tak też się działo. Jednak obecnie mam tego drania jak na dłoni, a do tego sprzymierzeńców, którzy pomogą mi go schwytać.

– Czemu mi o tym mówisz? Po co? – Marysi chce się płakać. Już tyle razy mieli Darię niemal na wyciągnięcie ręki, a jednak nigdy nie udało się jej pomóc. Nie powiodło się przywrócenie jej do normalnego, praworządnego społeczeństwa, na łono rodziny. Nie udało im się nawet spotkać.

Anwar, zbliżając się do Ritz Carltona, opuszcza drogę szybkiego ruchu, ale zamiast skierować się do hotelu, zjeżdża po drugiej stronie autostrady, wjeżdżając do dyplomatycznej dzielnicy. Zatrzymuje się na zaciemnionym o tej godzinie parkingu. Jego samochodu nikt nie będzie sprawdzał, nikt nie każe otwierać drzwi i pokazywać dokumentów, bo na numerze rejestracyjnym widnieje cyfra jeden, oznaczająca sam wierzchołek rodziny królewskiej. Tacy mogą wszystko – nawet uprawiać seks w samochodach pod samym nosem *mutawwów*.

– Chciałem tylko powiedzieć, że Daria na przestrzeni ostatnich lat bardzo się zmieniła. – Mężczyzna obraca się w stronę Marysi, lecz w sportowym aucie nie ma zbyt dużej swobody ruchów ze względu na swoje gabaryty, które bynajmniej nie są idealne do wyścigowych aut.

– Musiała się zmienić... – szepcze zasmucona kobieta. – Wszyscy jesteśmy dziś zupełnie innymi ludźmi niż przed powstaniem kalifatu. Wiele doświadczyliśmy. Ja, Hamid, Daria i mnóstwo nieznanych ci osób, zaangażowanych w wydobycie mojej siostry z niewyobrażalnej gehenny.

– Przypuszczamy jednakowoż – Anwar bierze głęboki wdech, bo ma do oznajmienia niemiły fakt – że Daria ma trochę więcej na swoim sumieniu niż wy, obrońcy sprawiedliwości, uczciwi i porządni ludzie.

– To znaczy? – Marysi serce bije jak młotem, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że wojna niesie zło, które czynią nie tylko sami zepsuci od podszewki ludzie, ale także ci zwyczajnie dobrzy, którzy w normalnych warunkach byłiby prawi i szlachetni. Sama ma krew na rękach i to nie ma znaczenia, że zabiła, czy nawet jedynie dobiła, dżihadystę Haszima, który ją zniewolił, a sam zgładził setki lub tysiące niewinnych istot. Zabójstwo to zabójstwo. Nie powinno się szukać żadnego usprawiedliwienia, a jednak... – Z takiego piekła nikt nie wychodzi bez skazy – broni zarówno siostrę, jak i siebie.

– Podejrzewamy, że to Daria otruła waszą znajomą. Chodzi o Krystynę, tę Polkę.

– Co ty gadasz? Niemożliwe! W życiu w to nie uwierzę!

– Dlatego nie dopuściłem do tego, żeby Jasem został schwytyany w królestwie. Nie pozwoliłem na aresztowanie ich tutaj i na osądzenie. Zdajesz sobie sprawę, że żona dżihadysty nie zasiadłaby na ławie oskarżonych, przez co byłaby w wielokroć gorszej sytuacji od zbrodniarza wojennego. Jej zasądzone by wyrok *in absentia*⁷⁴.

– Dlaczego?

– Nie rozumiesz? – Anwar spoziera na Marysię zaskoczony, bo nie pojmuje, czemu tak zaćmiło jego rozmówczynię, która uchodzi przecież za inteligentną. – Bo jest kobietą!

– Racja. Czasami mi to umyka. – Posapując, Marysia już bez skrupowania ściąga zasłonę ze spoconej twarzy. Po takiej dawce złych wieści usiłuje się uspokoić i doprowadzić do porządku. Facet, który tak szczerze z nią rozmawia, nie może być zagrożeniem. Jest raczej kimś bliskim, zupełnie jak brat. – Zakochałeś się w niej? – pyta otwarcie.

– Tak się głupio złożyło... – Mężczyzna wzdycha ciężko i opiera głowę na zagłówek. Zamyka oczy i widzi jak żywą twarz młodej kobiety, rozczulając się nad jej urodą i zupełnie nie zważając na to, że siedzi przy nim prawdziwe bóstwo, istna królowa nocy. – Od pierwszego wejrzenia.

– Smutne... Wręcz tragiczne... A ta idiotka chyba nadal kocha mordercę – bezkompromisowo podsumowuje Marysia, wylewając na Saudyjczyka kubel zimnej wody. – Durna baba!

– Myślę, że już nie za bardzo, ale jest w matni i nie wie, jak się z niej wydostać. – Zakochany zawsze znajdzie usprawiedliwienie dla wybranki swego serca.

– Po co mi to wszystko mówisz? – pyta zdezorientowana Marysia.

– Żebyście z Hamidem wiedzieli, że nie odpuszczam terrorystom i nie jestem po ich stronie. Ten wyjątek potwierdza tylko regułę, bo mamy do czynienia z siłą wyższą.

– Miłość rzeczywiście jest zrozumiałym wytłumaczeniem i siłą czasem nie tyle wyższą, ile wręcz zabójczą.

– Ale nie w Arabii Saudyjskiej. W naszym kochanym kraju takie uczucie z założenia jest niezrozumiałe, niewyobrażalne, a przede wszystkim grzeszne. Absolutnie nie powinno zaistnieć. Na dokładkę miłość do kogo? Do mężatki? Terrorystki? Dżihadystki? Wiem, że kto jak kto, ale wy, Binladenowie, mnie zrozumiecie. Nie myślę się, prawda?

– *Sah!* Twoje czyny zostały usprawiedliwione, *ja achi*⁷⁵. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że wydostaniesz Darię całą i zdrową z tej przeklętej ojczyzny mojego i jej tatusia. Z Libii.

Pełna dobrych, pozytywnych myśli Marysia wysiada z samochodu księcia, którego wszyscy doskonale tu znają. Ochrona otwiera drzwi auta, usłużnie kłaniając się w pas, i nie podnosi wzroku z marmurów, którymi jest wyłożone wejście. Konsjerż zaprasza, wskazując ogromną bramę wejściową, za którą stoi rentgenowska prześwietlarka bagażu oraz torebek podręcznych marki Heimann. Kobieta zupełnie zapomniała o środkach bezpieczeństwa obowiązujących we wszystkich hotelach w tym regionie świata i stoi teraz strapiiona, obiema rękami ściskając swoją dużą czerwoną torebkę od Louisa Vuittona. Bezmyślnie zapakowała do niej butelkę czerwonego chilijskiego wina, nie myśląc o kontroli i całkowitym zakazie spożywania alkoholu w Saudi. Aktualnie zastanawia się, jakie są kary za samo posiadanie trunku, ale przewidujący książę błyskawicznie wybawia ją z kłopotu – zabiera jej zakazany owoc i pewnym krokiem rusza przed siebie. Lakierowana karminowa torba świetnie się komponuje z jego białą, długą do ziemi *tobą* z brylantowymi spinkami przy manszetach. Anwar obchodzi skaner bokiem i macha na Marysię, żeby podążyła jego śladem. Oczywiście nikt nie śmie nawet zwrócić im uwagi, nie mówiąc o zatrzymaniu.

– Trzeba było powiedzieć, że masz przy sobie zabójczą broń – śmieje się książę, gdy sytuacja jest już opanowana.

– Ależ skąd! Tylko wino... – Marysia bierze go na poważnie.

– Jakie?

– Santa Carolina. Nic takiego.

– Podesłę wam całą skrzynkę, bo po butelce niebezpiecznie jest wnosić. Kary za przemycanie małych ilości są jedynie dla przykładu, a za dostawy płynące kontenerami z Emiratów Arabskich żadne.

– Dzięki. Reserva Merlot Valle de Colchagua. – Korzystając z okazji, Marysia podaje swoją ulubioną markę.

– Dobry wybór. Dla siebie też wezmę.

– To ja już pójdę. – Kobieta żegna się bez wyciągnięcia dłoni i bez uścisku, gdyż tutaj mogłoby to zostać odczytane jako czyn erotyczny. Z tego powodu Saudyjczycy i wszyscy pozostali mieszkający w tym kraju są zmuszeni do okazywania braku dobrego wychowania i fałszywej skromności.

– Lepiej zaprowadzę cię pod same drzwi – upiera się Anwar. – Lubię kończyć to, co zacząłem.

Typowo saudyjska para – mężczyzna w białej koszuli sięgającej ziemi, kobieta zakwefiona od stóp do głów – niezatrzymywana przez nikogo przechodzi przez cudowny hotelowy hol, wykończony w stylu lodowego, zaczarowanego pałacu, wyposażony w najwyższej jakości sprzęty w śnieżno-błękitnych barwach. Przed szeregiem wind kolejny odźwierny kłania się im nisko,

a następnie zawozi ich na wybrane piętro, o nic nie pytając ani nie sprawdzając dokumentów. Marysia zastanawia się, czy dzieje się tak, bo wszyscy znają księcia, a może dlatego, że wymogi bezpieczeństwa są przestrzegane jedynie na pozór i do ekskluzywnego hotelu może wejść każdy, byleby miał złotą lub platynową kartę kredytową. Małżeństwo czy kochankowie, nikogo to nie obchodzi, byleby zapłacili horrendalny rachunek. Policjantów, którzy mają strzec internowanych, również nie widać, więc Marysia stwierdza, że wszystko w tym kraju zakrawa na farsę.

– Witaj, Hamidzie. – Anwar zasłania sobą całe wejście do pokoju. – Przywiołem ci niespodziankę. – Staje z boku, odsłaniając kopiec nakryty czarnymi zwojami materiału, pod którym kryje się ukochana żona Binladena. – Bawcie się dobrze – dodaje, po czym odchodzi.

– Ależ mnie zaskoczyłaś! – Hamid, ubrany w biały frotowy szlafrok, stoi jak wryty.

– I o to chodziło, kochanie. – Marysia delikatnie popycha go do środka, wchodzi do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Kobieta jednym ruchem rozchyła poły pięknej markowej *abai* i zatrzaski rozpinają się jedna za drugą. Następnie zrywa z twarzy zasłonę, ukazując swe piękno w całej krasie.

Hamid jest skrępowany jak na pierwszej randce. W tym obcym miejscu, bez wspomnień i obciążeń, z cudną Arabką w seksownym stroju czuje się jak z obcą kobietą. Zapomina o swoim kalectwie i wciąż obolałych kolanach, o ranach Marysi, zarówno na ciele, jak i na duszy, bierze ją na rękę i zanosi do sypialni. Kładą się w wielkim łóżu na satynowej pościeli i obracają twarzami do siebie.

– Kocham cię, Hamidzie Binladenie. – Słowa niczym miód wypływają z krwistoczerwonych ust Marysi. – Nigdy nie przestałam i nie przestanę. Jestem twoja na wieki.

– Nie istnieję bez ciebie, najdroższa – wyznaje mężczyzna. – Gdy nie stoisz przy moim boku, jestem nikim. Nikt i nic się dla mnie nie liczy, tylko ty.

Ich wargi zbliżają się do siebie, a dłonie delikatnie dotykają twarzy, oczu i włosów, jakby badały, czy wszystko nadal jest na swoim miejscu. Hamid nieoczekiwanie obraca się w stronę szafki nocnej i sięga do dekoracyjnego pudełka. Wyciąga z niego garść jedwabistych jednorazowych chusteczek i wręcza żonie.

– Dla mnie jesteś doskonała i nie musisz się upiększać. – Delikatnie wyciera szminkę z ust ukochanej oraz grube pokłady fluidu i różu z policzków. – Jesteś idealna, Miriam.

– Nikt nie jest. – Kobieta szybko rzuca okiem na zamię, biegnące przez pól jej brzucha.

– Jedni dobrowolnie niszczą swoje ciało, wsadzając w nie pirsy i robiąc tatuaże, a ty masz sznyt, który dodaje ci tajemniczości – szepcze mężczyzna, całując nierówną, głęboką bliznę, a kobiecie dreszcz rozkoszy przebiega po plecach.

Hamid nie ma za bardzo z czego rozbierać swojej żony, tak jak ona jego, bo pod szlafrokiem mężczyzna jest goły, jak go Pan Bóg stworzył. Ich ciała spletają się ze sobą. Małżonkowie na nowo je odkrywają, badają każde wgłębienie i wypukłość, każdy centymetr skóry. Całują się delikatnie, piśzczą opuszkami palców, badają językami i miażdżą w uścisku. Ich oddechy przyspieszają, a puls osiąga najwyższy punkt. Marysia czuje zdecydowane ruchy swojego męża, wyraźne pulsowanie jego członka we własnym wnętrzu i poddaje się temu rytmowi z upojeniem. Otacza ją mgiełka saudyjskich intensywnych męskich perfum – charakterystyczny zapach Hamida. Kobieta nie chce pamiętać tego, co przeżyła na Pustyni Syryjskiej, lecz co chwilę w jej podświadomości pojawiają się reminiscencje i zamiast Hamida słyszy obrzydliwe jęki Hasana, swojego prześladowcy. Chowa wtedy twarz we wgłębieniu ramienia męża, zamyka oczy i wydaje się jej, jakby była bezpieczna tylko tutaj, poza realnym, podłym światem, który ją przytłoczył i tak mocno zranił. Mężczyzna w akcie spełnienia bierze w dłonie jej śliczną buzię i całuje namiętne wargi.

– Miriam... – szepcze. – Miriam... Kochana moja...

Żona patrzy w ciemne, zamglone uniesieniem i rozkochane zwierciadła duszy swojego wybranka. Łzy płyną jej po policzkach, po skroniach, wpływają do uszu i moczają włosy, lecz są to łzy oczyszczenia i rozkoszy, a nie bólu czy rozpacz. Powoli z godziny na godzinę złe mary odchodzą, zostają wypędzone przez czyste uczucie i prawe dusze. Już nie ma ponurych wspomnień, jest tylko tu i teraz, radość i wesele. Nieśmiało i delikatnie przebłyskuje przed nimi przyszłość, która w końcu musi

być pomyślna, bo ta para na taką zasłużyła.

Nad ranem wyczerpana Marysia, leżąc na ramieniu swojego wspaniałego kochanka, oświadcza:

– Już nigdy nic złego nas nie spotka. W naszym życiu będą tylko miłość i dobro. Spokój i zrozumienie. Ty i tylko ty jesteś w stanie mi to dać.

* * *

Po miesiącach przepychanek i sfingowanych procesów oraz wpłaceniu przez większość oskarżonych o korupcję i defraudację ogromnych grzywien za często niepopołnione przestępstwa w łącznej kwocie osiemdziesięciu pięciu miliardów dolarów wszyscy aresztanci opuszczają miejsce internowania i hotel w końcu może powrócić do normalnego funkcjonowania. Spłat dokonywano w postaci różnych przedmiotów majątkowych, w tym także nieruchomości, spółek handlowych, papierów wartościowych i gotówki. Zwolnieni to albo ci, którzy przyznali się do postawionych im zarzutów i poszli na ugodę, albo ci, wobec których nie znaleziono wystarczających dowodów. Tymi ostatnimi, których można było policzyć na palcach jednej ręki i którzy niesłusznie odsiedzieli parę miesięcy komfortowego, ale niesprawiedliwego aresztu, byli między innymi książę Walid bin Talal oraz Hamid Binladen.

Marysia czekała na moment zakończenia tego politycznego widowiska, żeby opuścić Arabię Saudyjską, kiedy jej mąż wróci do domu i przynajmniej jedno z rodziców pozostanie z dziećmi. Podczas uroczystego piątkowego obiadu kobieta informuje Hamida i pozostałych członków ich małej, jak na arabskie warunki, rodziny, że dodatkowo chce zrobić kurs instruktora pierwszej pomocy i ratownictwa.

– Instruktora? – Dorota od razu reaguje, bojąc się, że córka znów wymyśliła coś głupiego. – Po co ci to?

– Tak, właśnie instruktora – potwierdza zapalona młoda kobieta. – Bo nic nie da, kiedy tylko ja jedna będę chciała i mogła pomóc kobietom jako ratownik w naszym cudownym ortodoksyjnym kraju. Jedna ratowniczką na tyle milionów kobiet! To kropla w morzu potrzeb. No zastanówcie się. Żeby cokolwiek się zmieniło, trzeba wyszkolić kadrę. Kobiet ratowników powinno być więcej, w każdym większym mieście kilka lub kilkanaście, przynajmniej jedna na karetkę pogotowia.

– Co racja, to racja – potakuje Aszraf. – Osobiście uważam, że to świetny pomysł. Mogę ci przygotować bazę szkoleniową w moim szpitalu. Miejsca mamy pod dostatkiem.

– Co taki instruktor może? Jakie szkolenia będziesz mogła prowadzić? Niewykluczone, że się na jakies zapiszę... – Dorota ma za dużo czasu i stanowczo chciałaby się zająć czymś kreatywnym.

– Po ukończonym kursie i zdanym egzaminie instruktor może prowadzić wiele różnych kursów o międzynarodowym charakterze. – Marysia uśmiecha się zadowolona, widząc aprobatę i zainteresowanie słuchaczy. – Kursy ratownika lub ratownika medycznego w kilkudziesięciu krajach są niezbędne do wykonywania niektórych zawodów, zatem jest na nie zapotrzebowanie. A do tego mają charakter międzynarodowy i nie wymagają nostryfikacji za granicą.

– Ta informacja, moje dziecko, jest najważniejsza! – Aszraf z ekscytacji aż wymachuje rękami.

– W międzyczasie nasz doktor – Marysia skłania głowę w stronę Saudyjczyka – przy pomocy swoich koneksji załatwi miejsce i wszystkie saudyjskie zgody, żeby certyfikat, który uzyskam w Europie, był respektowany również w Arabii.

– To się przeprowadza na szczeblu ministrów, moja droga. – Al-Rida poważnieje, bo nie chce obiecywać dziewczynie gruszek na wierzbie.

– Dla ciebie to przecież bułka z masłem. – Pół-Arabka podchodzi do nowego ojczyma, obejmuje go za szyję i składa siarczystego buziaka na policzku mężczyzny, wywołując tym samym krwisty rumieniec. – To jest właśnie to, czego szukałam i co chcę robić w życiu – ogłasza wszem wobec z błyskiem szczęścia w oku.

– Jednak powinnaś jeszcze, kochana, bezpośrednio skontaktować się z organizatorem tych kursów i dopytać, czy jest to, o czym myślisz, i co ci jest potrzebne. W internecie czasami sprawy wyglądają inaczej niż w rzeczywistości. Przed wyjazdem lepiej się upewnić – doradza Aszraf,

a Marysia ma do niego takie zaufanie i szacunek, że postanawia posłuchać. – Mnie osobiście wydaje się, że tygodniowy kurs nie może przygotować wykwalifikowanego ratownika medycznego, ale może jestem w błędzie. U nas, zacofanych Arabów, trzeba na to studiów, a przynajmniej licencjatu. Nie wykluczam jednak, że w nowoczesnym, europejskim świecie tak kompresują wiedzę i są tacy zdolni, że w te kilka dni się uwiną.

Popołudnie przebiega szczęśliwej rodzinie bez zakłóceń. Dzieci biegają między dorosłymi, co rusz zawracając im głowę, zrelaksowani panowie rozmawiają o podróżach oraz planach wakacyjnych, starając się nie mówić o pracy, czyli polityce i chorobach. Zaś panie, to dyrygując kucharzami i kelnerami, to chodząc po nagrzanym od słońca ogrodzie, co chwilę chwytają się za ręce i szepczą sobie na ucho. Raz wybuchają śmiechem, innym razem zatykają usta dłonią i tylko ramiona im się trzęsą.

– W końcu jestem szczęśliwa, córeczko – wyznaje Dorota swojej pierworodnej.

– Ja też, mamus. I tak bardzo pragnęłabym, żeby ta chwila trwała wiecznie. Nigdy nie doceniałam tego, co posiadam, ale teraz jest inaczej. Nic więcej nie pragnę i niczego nie chcę zmieniać.

– To samo ze mną, ale życie pokaże, czy nam się to uda. Ty za chwilę wyjedziesz...

– No właśnie. – Córka się zamyśla. – Dlatego cały czas zwlekam. Chcę, ale boję się, że kiedy się rozdzielimy, znów dosięgnie nas jakiś nieprzewidziany kataklizm.

– Nie można żyć w ciągłym strachu. Nasz los jest już gdzieś zapisany, a my musimy tylko dobrze odegrać swoją rolę – pociesza matka. – Hamid chyba wrócił do czynnej służby, ty podejmujesz kolejne ryzyko, decydując się na rozstanie, ale musimy wierzyć, że wszystko potoczy się po naszej myśli i dobrze skończy.

Kobiety siadają w swoim ulubionym zakątku nad basenem i trzymając się za ręce, czerpią siłę z wzajemnego oddania. Matka i córka, tak wydawałoby się różne, lecz pomimo odmiennego wyglądu, rozbieżnych poglądów i związanych z tym licznych awantur zawsze się wspierają, bo ich serca są sobie bardzo bliskie. Grają na tej samej nucie honoru, dobra i uczciwości.

Okazuje się, że Aszraf oczywiście miał rację. Kiedyś tygodniowy kurs kwalifikowanej pierwszej pomocy wystarczał, żeby pracować jako ratownik medyczny zarówno na SOR-ze, jak i w karetkach pogotowia, ale obecnie bardziej się dba o kwalifikacje kadry medycznej i nie ma mowy, żeby ktoś tak kieszko przeszkolony decydował o ludzkim życiu.

– Studia? – Marysia jest załamana, bo cały jej misterny plan diabli wzięli. – Licencjat? Uniwersytet?

– Niestety. – Chłodny głos polskiej biurokratki stawia ją do pionu. – Trzeba mieć kwalifikacje. Tygodniowy kurs może sobie pani zrobić w każdej chwili jako pracownica korpo albo przyszła ochraniarka. Pomoże pani w znalezieniu pracy w dziale administracyjno-kadrowym lub w służbach mundurowych. Każdy policjant, strażak czy ochroniarz musi mieć taki certyfikat.

– Ale ja chciałam pracować w służbach medycznych, a nie w księgowości! – Marysia podnosi głos, bo jej marzenia właśnie sięgnęły bruku. – Nie mam tyle czasu, żeby teraz, przed trzydziestką, rozpocząć kolejne studia!

– Słyszałam, że na Uniwersytecie Warszawskim można zrobić licencjat w trybie zaocznym.

– To znaczy? – Kobieta, która tylko przez chwilę była studentką, nie ma pojęcia o systemie studiów wyższych.

– Studia niestacjonarne organizowane są w formie dwudniowych zjazdów. Jednak ich integralną częścią są praktyki zawodowe, czyli to, co się pani marzy: zajęcia na szpitalnych oddziałach ratunkowych, na oddziałach intensywnej opieki medycznej, na blokach operacyjnych i izbach przyjęć, a także w zespołach ratownictwa medycznego.

– Wszystko cudnie, ale ja nie mam trzech lat na licencjat. A tak bym chciała... – Ambitnej pół-Polce aż się zbiera na łyzy.

– Gdyby miała pani już jakieś studia medyczne albo chociaż jakiegokolwiek zdane egzaminy... –

Rozmówczyni robi się żal zdeterminowanej kobiety, bo przecież właśnie takich w tym fachu potrzebują.

– Mam rok czy nawet więcej medycyny na Akademii Medycznej w Rijadzie.

– Gdzie?

– W Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej.

– Trzeba by to było przetłumaczyć przynajmniej na angielski, potem złożyć z odpowiednimi podaniami i może się zgodzą na indywidualny tok studiów. Niech pani się postara o zaświadczenie z ocenami i zaliczeniami. Po arabsku, nie po arabsku, ale w końcu to medycyna.

Marysia wie już, kto będzie mógł jej pomóc. Jedyna osoba decyzyjna i życzliwa jej jak nikt inny. Ta, która została wtajemniczona w losy ich rodziny już dawno temu, jeszcze przed wyjazdem Binladenów do Syrii, wtedy, gdy pół-Polka rezygnowała ze studiów i normalnego, bezpiecznego życia. Pani rektor doktor Zina, która namówiła swoich przyjaciół Karima al-Nadźdi i saudyjską ginekolożkę Afrę do wyjazdu do Syrii z organizacją Lekarze bez Granic. Oni zginęli, a ona do końca życia będzie się obciążała winą za ich śmierć. Między innymi dlatego Marysia czuje, że rektorka zrobi wszystko, by jej pomóc.

– Pani Binladen! Pamiętam panią. Jakże się cieszę, że udało się pani wrócić z tego niewyobrażalnego piekła na ziemi. – Łamiąc konwenanse, Zina przyjmuje Marysię w swoim gabinecie, a na przywitanie czule ją obcałowuje. – Czy mogę ci w czymś pomóc, moje dziecko?

– Tak, droga pani. Mam takie marzenie... – Marysia wyłuszcza swój problem, roztaczając przed rektorką wizję swojej przyszłej działalności ratownika medycznego w Arabii Saudyjskiej.

– Genialny pomysł! Wspaniale! Obyśmy mieli więcej takich pionierek! – Doktorka aż klaszcze w ręce. – Pokaż mi swój indeks.

Kiedy dostaje prawie pustą książeczkę, nie komentuje, tylko przechodzi do rejestru komputerowego.

– Zanim wykreśliliśmy cię z listy studentów, minęły dwa lata – informuje, szelmowsko się uśmiechając i unosząc brew. – Z tego wniosek, że byłaś studentką medycyny długie trzy lata, moja panienko. Bierz długopis i uzupełniaj rubryki. – Wskazuje palcem i rozpoczyna dyktowanie. Na koniec zabiera Marysi indeks i mówi: – Dobrze. Zgłoś się u mnie za jakiś tydzień. Przygotujemy też arkusze ocen i sprawozdania z zajęć. Wszystko oczywiście po angielsku. Powodzenia w dalekiej Polsce, dziewczyno.

– Dziękuję! Ratuje mi pani życie. – Marysia żałuje, że nie przyniosła jakiegoś подарunku, ale czy godne byłoby płacić za czyjąś życzliwość? Ale jeszcze to nadrobi. Hamid na pewno będzie wiedział, co w takim wypadku będzie odpowiednie. Bo przecież nie bukiet kwiatów.

Hamid Binladen, dowiedziawszy się o uprzejmości, jaka spotkała jego żonę ze strony rektor Ziny, bez zastanowienia kupuje małe zgrabne bmw na nazwisko Saudyjki, a voucher na odbiór samochodu z salonu przesyła do rąk własnych lekarki. Prezent zostaje przyjęty bez mrugnięcia powieką. Po indeks i dokumenty niczego nieświadoma Marysia wysyła kierowcę. Sama ma na głowie zbyt wiele obowiązków związanych z wyjazdem na ekspresowy licencjat, który ma trwać maksymalnie pół roku i ograniczyć się do zajęć praktycznych.

* * *

– Widziałem wykaz gości zaproszonych do centrum pustynnego dowodzenia naszego następcy i zauważyłem cię na liście. – Anwar dzwoni do Hamida Binladena, bo aktualnie kontaktują się prawie codziennie, konsultując swoje działania w dwóch różnych *secret service*, tym królewskim i tym państwowym. – Masz już jakiś pomysł, jak tam dojedziesz? Czy twoje biuro cię podrzuci?

– Gdzie to w ogóle jest? – Hamid nie jest zadowolony z takiego wyróżnienia. – I czemu akurat ja mam się tam tłuc? Książę powinien się spotykać z innymi książętami. Tak zawsze było. Najwyższa władza od wieków pozostawała w rękach Saudów. Czasami tylko, ale bardzo rzadko, ktoś spoza tam się wślizgnął.

– Ale teraz ma być inaczej. Znosi się na czystki w domu królewskim, nie słyszałeś?

– Oczywiście, że słyszałem. Każdy saudyjski dzieciak słyszał. Następca tronu, ledwie trzydziestoparoletni syn stareńskiego króla Salmana, który stoi już nad grobową deską, wielki i wspaniały Muhammad ibn Salman zapowiada reformy – Saudyjczyk kpi bezkarnie. – Młody już ma ogromną władzę w ręku, bo jest wicepremierem i ministrem obrony, no i oczywiście oficjalnym następcą tronu tatusia. Ale w dalszym ciągu nie rozumiem, czemu zaprasza ludzi spoza rodziny.

– Dowiemy się na miejscu – ucina Anwar, bo to raczej on może się obawiać tego mityngu w odludnym miejscu. – Nie trzęś portkami. Pomyśl, co ja mam powiedzieć. – Ciężko wzdycha i po raz kolejny przelatuje mu przez głowę myśl, czy nie udać się w jakąś bardzo długą, wręcz bezterminową zagraniczną podróż. Nie poddaje się jednak pokusie tchórzostwa. – Lecisz ze mną?

– Samolotem?

– Nie. Helikopterem.

– Znowu chcesz dać okazję zamachowcom?

– Nie. Sam będę pilotował. Nic się nie bój. Znam się na tym. A swoją drogą, nie mam czasu tłuc się cały dzień na czterech kółkach po piachach, żeby zamienić z jaśnie panem dwa słowa. Mam dwie żony, które muszę zadowolić, a obie są wyjątkowymi chadrami. – Kpi z wielożeństwa i swojej parszywej sytuacji, bo tak naprawdę marzy mu się jeden, za to prawdziwy, spełniony związek. I spokojne normalne, wręcz nudne życie. Szczególnie z Darią.

Panowie Anwar i Hamid przelatują w fatalnych warunkach pogodowych nad pustynią Rub al-Chali⁷⁶. Binladen widzi, że kolega al-Saud jest świetnie wyszkolonym pilotem i doskonale zna docelowe miejsce, więc pomimo wietrznej aury bez strachu skupia się na utrzymaniu równowagi i na niezwykle widokach, nie analizując, czy rozbiją się już, czy za kilka minut. Na horyzoncie widzi całkiem sporych rozmiarów jezioro, które zapewne jest zbiornikiem sezonowym, a nad jego brzegami osadę, składającą się z parudziesięciu namiotów w różnych rozmiarach. Największy z nich, wysoki chyba na dwa piętra i stanowiący centralną część obozowiska, jest w kolorze czarnym, mniejsze są białe lub piaskowe. Te na obrzeżach mają wojskowy kolor khaki i wystają z nich lufy karabinów maszynowych. Wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze-ziemia stoją tuż obok, skierowane promieniście na zewnątrz osady. Obok głównego pałatkowego pałacu ustawiono wielkie generatory prądu oraz cały skomplikowany system wyciszenia, by nie przeszkadzać przebywającym wewnątrz wielmożom. Oczywiście są tu gigantycznych rozmiarów klimatyzatory, bo Arabowie bardzo nie lubią wysokiej temperatury, a na pustyni osiąga ona nawet plus sześćdziesiąt pięć stopni Celsjusza. Na tyłach widać samochody dostawcze – chłodnie na artykuły spożywcze, pick-upy okolicznych rolników, którzy w oazach uprawiają warzywa i hodują najlepszy drób – ale też małe ultralekkie samoloty, które dowożą towar z daleka, może nawet z zagranicy. Krajobraz urozmaicają liczne potężne anteny satelitarne i kręcący się radar, dzięki któremu ochrona może lepiej zadbać o bezpieczeństwo gości przebywających na tym odludnym terenie.

– Ale widok! – Kiedy tylko lądują i ustawiają maszynę w rzędzie obok innych helikopterów, Hamid ze zdumienia kręci głową. – Tradycja i nowoczesność. Ktoś w dalekiej Europie czy Ameryce powie, że Saudyjczycy są prymitywami, bo dalej żyją na pustyni i śpią w namiotach, lecz ci dyletanci nie wiedzą, jakie to namioty!

– Ty też jeszcze nie wiesz. – Anwar śmieje się rubasznie. – I lepiej podwiąż sobie szczękę, żeby ci nie opadła.

Nie mają więcej czasu na pogaduszki, bo podchodzi do nich służba, odbiera z ich rąk niewielki bagaż i kieruje w stronę wejścia do pałacu współczesnych koczowników. Hamid tylko strzela na boki oczami, bo jest wszystkiego ciekaw, a skrzywienie zawodowe każe mu zapamiętać jak najwięcej szczegółów, bowiem nie wiadomo, kiedy ta wiedza może się przydać. Poza tym obiecał Marysi, że po powrocie zda jej dokładną relację.

Tak jak powiedział Anwar, przepych w namiocie jest niewyobrażalny. Istny pałac – począwszy od perskich dywanów, a skończywszy na kryształowych, wielkich żyrandolach zawieszonych u sufitu.

W głównej sali, ni to konferencyjnej, ni audiencyjnej, ustawiono sofy i rozłożyste fotele, przy których stoi mnóstwo małych stolików pełnych drobnych przekąsek, takich jak daktyle, orzechy czy modne teraz chipsy. Są też przepięknie zdobione szisze⁷⁷, gotowe do zapalenia. Niektórzy już się nimi rozkoszują, a dookoła unosi się przyjemny zapach tytoniu i suszonych jabłek czy wiśni. Mężczyźni trzymają w rękach małe czarki lub filiżanki z napojami – typową dla tego regionu zieloną herbatą albo zieloną kawą z kardamonem. Oszronione kryształowe karafki z zimną wodą zajmują cały jeden długi stół. *Nic się nie zmieniło i nic się nie zmieni*, myśli Hamid. *Faceci w białych sukienkach nigdy nie będą nowoczesni, nie siądą w tym głupim stroju na wysokich barowych stolikach i nie hkną piwa albo mocnej whisky. Każdy z nich boi się donosu do głównego mułły⁷⁸ o złamaniu prawa szariatatu. Każdy, choćby za granicą jadł wieprza, smalec i chlał gorzałę, nigdy nie robi tego w domu, i to na dokładkę w towarzystwie rodaka.*

Służba prowadzi Hamida i Anwara przez zatłoczoną już salę, po czym wskazuje miejsca dość blisko wielkiego fotela w kształcie tronu, skierowanego w stronę audytorium. Wiadomo oczywiście, kto będzie go zajmował.

– Czemu siedzimy w pierwszym rzędzie? – szepcze Hamid, a błądy, równie niezadowolony z wyróżnienia książkę unosi tylko brew.

W tej samej chwili Binladen czuje na ramieniu małą, ale mocną dłoń i słyszy znajomy głos byłego ministra spraw wewnętrznych al-Ridy:

– Bezpieczeństwo narodowe na pierwszym miejscu. Taka polityka.

Staruszek uśmiecha się pod nosem i siada niedaleko obu panów, co daje im do myślenia. Gdzie zasiądą książęta? *Już nie ma za dużo tych, którzy chcieliby się bawić w politykę*, dywaguje Hamid, wypijając kolejny kubek zielonej, słodkiej jak ulepek herbaty. *Osiemdziesięcioletni król, tatuś Ibn Salmana zdymisjonował paru kluczowych ministrów z rodziny, a następnych pochłonęła akcja korupcyjna*. Mężczyzna rozgląda się i rzeczywiście widzi same nowe, a na dokładkę młode twarze. Czystka sprawiła, że rodzina byłego króla Abdullaha straciła swoje ostatnie wpływy i żaden z jej geriatrycznych członków nie piastuje już znaczącego stanowiska. Co za tym idzie, pozycji księcia Ibn Salmana nikt już nie będzie w stanie zachwiać, a on sam musi sobie dobrać współpracowników i ludzi współzadających razem z nim państwem spoza domu królewskiego. *Cholera!* Nagle do Hamida dociera przerażająca perspektywa niechcianego awansu. *Strach się bać...*

Ibn Salman pojawia się na sali z dwugodzinnym spóźnieniem. Po usadowieniu się w wygodnym, wielkim fotelu obwieszcza:

– Mam pewną wizję, panowie. – Na jego przeważnie zachmurzonej twarzy widnieje uśmiech. – Mam wiele wizji, ale niektóre są pilniejsze, a inne mogą trochę poczekać. – Widać zadumę w jego dużych, inteligentnych oczach. – Są to wielkie plany dla naszego państwa. Mam nadzieję, że wszyscy pamiętają, iż w ubiegłym roku ogłoszono program reform „Wizja 2030”, w ramach którego Arabia Saudyjska ma odejść od gospodarki opartej na ropie i zdywersyfikować swoje dochody, między innymi poprzez inwestowanie w nowe technologie. Projekt nadzoruję osobiście, a podwaliny programu już są. Te inwestycje realizowane są przez państwowy fundusz, który do dwa tysiące trzydziestego roku ma zebrać prawie dwa biliony dolarów.

– Spora kwota.

– Państwo nie da rady tego sfinansować.

– Kupa kasy...

Zaproszeni panowie od razu stają się sceptyczni, a co poniektórzy boją się, że będą musieli na te pomysły wyłożyć z własnego budżetu.

– Nie przesadzajmy! Stać nas na to! – Przyszły król jednym gestem ręki ucisza pomruki niezadowolonych. – Może ta inicjatywa bardziej się wam spodoba?

Na wielkim ekranie pojawia się plan zabudowy, a potem szkice jakiegoś osiedla.

– Oto projekt NEOM, czyli plan wybudowania megamiasta na wybrzeżu Morza Czerwonego. Jego budowa miałaby pochłonąć co najmniej pięćset miliardów dolarów. – Salę zalewa szum podenerwowanych głosów. – Metropolia ma mieć powierzchnię około dwudziestu pięciu tysięcy

kilometrów kwadratowych...

Mało kto już słucha, bo zebrani wymieniają zdania między sobą w typowy dla tej nacji burzliwy i głośny sposób.

Następca tronu nie jest zbyt zadowolony. Na spotkanie wezwał młodych bogaczy, którzy powinni być kreatywni i pełni inicjatyw, a oni wykazują się zaściankowością i każda podana kwota ich bulwersuje. *To towarzystwo mogłoby się złożyć na te wszystkie wydatki tutaj i teraz, wypisując czeki, książę podsumowuje w duchu swoich ograniczonych rodaków. A najbogatszy z nich mnie olał i w ogóle się nie pojawił. Co za drań!* Przyrzeka sobie, że odpłaci Walidowi bin Talalowi pięknym za nadobne. *Jeśli on by tu był, wystarczyłoby słowo, a wszyscy skoczyliby za nim w ogień.*

Wraz z rosnącą pozycją w państwie Ibn Salman kreśli coraz ambitniejsze wizje, które w pewnym stopniu chce już wprowadzić w życie w swoim nieoficjalnym sztabie na pustyni, wśród ludzi, między których chciałby podzielić stery państwa, przyszłej, nowoczesnej Arabii Saudyjskiej. Oni zaś zachowują się tak, jakby nie zdawali sobie z tego sprawy, a do tego drą się jak przekupki na wiejskim targu.

– Moi drodzy! – Ibn Salman wstaje z prowizorycznego tronu, chcąc zapanować nad chaosem i skończyć prezentację. Z trudem przywołuje na twarz pogodny uśmiech i podekscytowany macha rękami. – Właśnie dzisiaj, właśnie wam chcę po raz pierwszy oficjalnie ogłosić moje główne zamierzenie. – Mężczyźni uspokajają się i wstrzymują oddech, bojąc się, żeby za chwilę nie posypały się głowy. W końcu w Arabii takie rzeczy się zdarzały i dziś też są całkiem możliwe. – Pragnę, by Arabia Saudyjska wróciła do umiarkowanego islamu, zmieniając w ten sposób codzienne życie Saudyjczyków. Realizacja tego planu wymaga przejęcia aparatu przymusu i resortów siłowych. Potrzebne będą czystki i usunięcie ewentualnych oponentów, ale te koszty musimy ponieść, bo to działanie znacząco przybliży nas do realizacji pozostałych planów.

Na sali zapada martwa cisza. Można by usłyszeć muchę, jeśli ośmieliłaby się tu latać. Saudyjczykom nie za bardzo to odpowiada, bo przecież wszyscy pochodzą z ortodoksyjnych, wahabickich domów i przynajmniej na pozór przestrzegają prawa szariatu. Czy teraz będą musieli z tego zrezygnować? Z tej bezpiecznej kurtyny, która oddziela ich od zgnitego Zachodu i tłumaczy ich niejednokrotnie niegodne postęпки? Nie wszystkim się to podoba. W zasadzie nie podoba się większości. Nie sądzili, że dziś zostaną postawieni pod murem i będą musieli się natychmiast za czymś opowiadać. Teraz zdają sobie sprawę, że plany rozwoju przemysłu czy budownictwa zostały przedstawione tylko dla uśpienia ich czujności.

– Bravo! – Stary al-Rida wstaje z fotela i klaszcze w ręce, wyciągając je nad głowę. – Wreszcie skończymy ze średniowieczem! Wejdziemy w dwudziesty pierwszy wiek!

Tuż po nim rozlegają się pojedyncze głosy:

– Wspaniały pomysł!

– Precz z Komisją do spraw Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom!

– Precz z *mutawwami*! Z ortodoksyjnymi imamami i mułłami!

– Do piachu z fundamentalistycznymi sędziami!

– Sprawiedliwe sądy!

– Drodzy rodacy! Dziękuję za wasze wsparcie. – Książę Ibn Salman ostatecznie jest zadowolony, choć zapewne zdaje sobie sprawę, że większość zebranych popiera go wyłącznie ze strachu. – Zatem przeberzmy się jak cywilizowani ludzie do kolacji. Zapraszam za pół godziny.

– Już teraz wiesz, po co mu służby bezpieczeństwa? – Anwar, na osobności, zwraca się do Hamida. – Czystki wśród ortodoksów i fundamentalistów są murowane.

– Będzie musiał znaleźć dobry pretekst, żeby społeczeństwo nie stanęło okoniem. – Nie wiadomo jakim cudem staruszek al-Rida ma taki dobry słuch, bo doszły do niego słowa księcia. – Tak jak my kiedyś gotowi byliśmy poświęcić jednego z rodziny królewskiej, by dostać *carte blanche*⁷⁹ na wytropienie i usunięcie z naszego kraju Al-Kaidy⁸⁰. – Mężczyzna patrzy porozumiewawczo na Hamida, bo przecież razem brali udział w tej akcji.

– Byliśmy gotowi złożyć w ofierze następcę tronu, dzisiejszego króla Salmana – przypomina

Binladen. – Czy sądzisz, że obecny następca jest gotowy na takie poświęcenie? Że złożyłby własne życie na ołtarzu nowoczesności?

– Nie sądzę – burczy Anwar. – Chodźcie, odświeżmy się i włożmy te durne smokingi do kolacji. Będzie cała sala przebierańców, pseudo-Jamesów Bondów. Ale za to może pojawią się też dziewczyny Bonda? – Mruga porozumiewawczo, lecz jego towarzysze nie są za bardzo zainteresowani takimi rozrywkami.

– Cyrk i paranoja – szepcze al-Rida. – Nie wolno nic na siłę, choć do naszych rodaków, jak w zasadzie do wszystkich Arabów, przemawiają tylko rozwiązania siłowe.

– Myślisz, że wszyscy włożą ten strój? – Hamid również nie lubi być do niczego zmuszany i zastanawia się, czy na złość, pokazując swój twardy charakter, nie pozostać w zniechęconej *tobie*.

– Ci, którzy zostaną, na pewno się przebiorą. – Książę wskazuje na kilka odlatujących helikopterów i odjeżdżających aut z napędem na cztery koła. Siedzący w nich prominenci zrezygnowali z władzy i współpracy z młodym reformatorem.

– Zaistniała sytuację skomentuję krótko – mówi do swoich zaufanych przyjaciół Hamid. – W naszym Królestwie Arabii Saudyjskiej toczy się gra o tron. Trzeba do niej dołączyć albo uciekać gdzie pieprz rośnie.

* * *

– Hamid! – W przeddzień wyjazdu do Polski Marysia z niedowierzaniem patrzy na główną szpaltę „Saudi Gazette”, w której zawsze znajduje niesamowite newsy. – Hamid! Chodź no tutaj! – Nie jest w stanie uwierzyć własnym oczom i pilnie potrzebuje wsparcia męża.

– Co się dzieje? – pyta zaniepokojony Binladen, wbiegając do jadalni na parterze.

– Załatwili ich. Nie odpuścili. – Kobieta pokazuje palcem na gazetę, z której spoglądają na nich piękne migdałowe oczy Sunili. Reszta twarzy i ciała została oczywiście zakryta przez cenzurę. – „Narzeczona księcia Walida bin Talala zginęła tragicznie w dniu wczorajszym” – czyta na głos. – „Po wstrząsającej stracie księżę pozostaje w żałobie. W związku z powyższym udał się na leczenie terapeutyczne do kliniki w Szwajcarii”...

– „Następca tronu złożył swemu kuzynowi kondolencje” – Hamid kończy smutną lekturę, po czym spogląda głęboko w oczy żony.

– Co za kanał! Co za oszuści! Mordercy! – wybucha Marysia, z rozpaczki waląc pięściami w stół.

– Cicho. Ściany mają uszy, kochanie.

– Już nie pojedziemy do jego posiadłości na prowincji.

– Słyszałem, że mają tam otworzyć ośrodek wypoczynkowy. Tak to się u nas załatwia. W białych rękawiczkach przejmuję się czyjeś mienie i anektuje na skarb państwa rachunki bankowe.

– Myślisz, że on żyje, czy może też go sprzątnęli?

– Myślę, że musimy jak najszybciej się stąd ewakuować. Szukaj nam bezpiecznego miejsca w Polsce albo gdziekolwiek indziej.

– Ale to przecież nasz dom! W sumie kocham ten okropny kraj. – Marysi łzy napływają do oczu. – Nie chcę być uchodźcą, nawet bogatym!

– No to mamy przekichane. – Mężczyzna z zaskowaniem łapie się za głowę. – Niech to licha!

– Człowiek nie wybiera sobie gniazda, ale powiem ci, że po tej aferze ja też mam dość. Czy zrobił to ten, o którym myślę? Którego imienia nie wymawiamy i którego ty też się obawiasz? – Marysia chwyta Hamida za rękę i patrzy na niego z wyczekiwaniem.

– Nie zwracaj sobie tym głowy. Nie ma na to żadnych dowodów, a sami nie będziemy dociekać. – Saudyjczyk nie chce się nad tym rozwodzić. – Najważniejsze, że mamy siebie i rodzinę. I dobrych przyjaciół. – Usiłuje pocieszyć żonę, dla podkreślenia swoich słów mocno całując ją w usta.

– Jak widzimy na przykładzie miliardera Walida bin Talala, który miał setki przyjaciół, znalazł cudowną miłość i też miał całkiem niezłą rodzinę, to wszystko nie chroni uczciwego człowieka przed zbrodnią i nienawiścią – wzdycha Marysia.

– Rodziny, tak jak ojczyzny, się nie wybiera. Czasami bywa śmiertelnie toksyczna – podsumowuje Binladen, zastanawiając się, czy powinien przyjąć czy lepiej odrzucić zaoferowaną mu właśnie propozycję następcy tronu.

55 Religia muzułmańska dzieli się dziś na trzy najważniejsze nurty. Pierwszym z nich, a zarazem tym najbardziej licznym, jest sunnizm. Liczba sunnitów oscyluje w granicach 85% wszystkich muzułmanów. Drugim pod względem wielkości odłamek są szyici, którzy stanowią ok. 10% wierzących w Allaha. Najmniej liczną grupę stanowią przynależący do pierwszego z nurtów, jaki oddzielił się od islamu – charydżyzmu. Rozłam islamu na sunnitów i szyitów nastąpił po śmierci proroka Muhammada, czyli w 632 r. n.e. Jako że nie zostawił on męskiego potomka, doszło do sporu między wiernymi o przejęcie jego schedy. Jedni uważali, że następcą powinien zostać najszlachetniejszy z towarzyszy proroka, a drudzy postać tę widzieli w Alim. Ali ibn Abi Talib był bratem stryjecznym, przybranym synem i zięciem Muhammada. Doszło wtedy do wielu walk, a rodzina Alego (wraz z nim samym) została wymordowana. Kolejnym kalifem został Mu'awija I, którego nie zaakceptowała część wiernych – nazywana dzisiaj szy-itami. Za prawowitych następców proroka Muhammada uznają oni jedynie potomków Alego i Fatimy, natomiast sunnici nie odrzucili następnich kalifów i to w nich widzą kontynuatorów.

56 *Run, hide, call* (angielski) – uciekaj, ukryj się, zadzwoń.

57 *Safe room* (angielski) – bezpieczny pokój; betonowe pomieszczenia bez okien ze zbrojonymi drzwiami, budowane w willach czy apartamentach na terenie osiedli mieszkaniowych w Arabii Saudyjskiej, służące jako miejsca ukrycia podczas ataku terrorystycznego. Na budowę takich pomieszczeń dostają pieniądze przeważnie obcokrajowcy pracujący na kontraktach w KAS.

58 *Bahlawa* (arabski) – orientalne ciastka z orzeszkami pistacjowymi lub ziemnymi zalane topionym masłem i miodem.

59 *Szinu tibbi* (arabski, dialekt) – Co chcesz? Czego potrzebujesz?

60 Centra handlowe w Rijadzie z licznymi sklepami wszystkich światowych marek.

61 W Arabii Saudyjskiej czas zakupów jest podzielony ze względu na płeć klientów. Od rana do południa zakupy mogą robić same kobiety, od 17.00 do zamknięcia – całe rodziny. Najgorzej mają samotni mężczyźni, dla których nie ma wyznaczonego konkretnego czasu. Jednak w godzinach przeznaczonych dla rodzin zatrzymywani przez policję obyczajowo-religijną są przeważnie nastolatki płci męskiej, samotne kobiety oraz niezamężne pary.

62 *Adźnabija* (arabski) – cudzoziemka.

63 *Szejtan* (arabski) – diabeł.

64 *Kafir* (arabski) – niewierny; różna interpretacja terminu niewierny: najbardziej fundamentalistyczne szkoły muzułmańskie (m.in. wahabici w Arabii Saudyjskiej) stosują nazwę *kafir* do wszystkich niesunnitów, a więc nie tylko wyznawców religii niemuzułmańskich, ale też np. szyitów; zdecydowana większość szkół teologicznych określenie *kafir* stosuje do wyznawców religii innych niż islam; liberalne doktryny muzułmańskie określają mianem *kafir* wyłącznie wyznawców religii innych niż islam, chrześcijaństwo i judaizm. Wyznawcy trzech monoteistycznych religii, których prorocy uznawani są za wysłanników Allaha, tworzą grupę tzw. ludzi Księgi, których nie można już nazwać niewiernymi; niektóre, bardziej liberalne interpretacje Koranu określają mianem *kafir* wyłącznie osoby, które odrzuciły wiarę w Boga oraz moralność (np. satanistów), nie zaś wyznawców innych religii ani nawet ateistów.

65 *Hidżab* (arabski) – kwadratowa chusta, noszona przez muzułmańskie kobiety, zakrywająca włosy, uszy i szyję; może być kolorowa.

66 Ekspatriant – tak w Arabii Saudyjskiej nazywa się cudzoziemców pracujących na kontraktach.

67 Prawo szariatu wymaga, by dziewczyny, które osiągnęły dojrzałość płciową, tj. po pierwszej menstruacji, zasłaniały włosy. Małe dziewczynki ubierane są na kolorowo nawet w ortodoksyjnej, wahabickiej Arabii Saudyjskiej i nie mają obowiązku noszenia czarnych płaszczy ani zasłaniania włosów.

68 *Szarmuta* (arabski) – dziwka, kurwa, prostytutka.

69 *Sza'a Allah* (arabski) – Allah tak chce; Jak Bóg da.

70 *Diplomatic Quarter* (angielski) – Dzielnica Dyplomatyczna; nazwa dzielnicy w Rijadzie; mieszkają tam głównie dyplomaci, znajdują się ambasady, konsulaty i rezydencje korpusu dyplomatycznego.

71 *Ila liqa'* (arabski) – do zobaczenia.

72 *Kohl* (arabski) – barwnik do oczu zawierający wyselekcjonowane mieszanki ziół dobrane tak, że służą nie tylko do upiększania oczu, ale również naturalnie je pielęgnują. Działają leczniczo na zapalenie spojówek, jęczmień czy jaglicę.

73 *Ahlan wa sahlán* (arabski) – witam, cześć.

74 *In absentia* (łacina) – pod nieobecność.

75 *Ja achi* (arabski) – mój bracie (wołacz).

76 Pustynia Rub al-Chali jest jedną z największych na świecie, a stolica Arabii Saudyjskiej Rijad leży w samym jej sercu.

77 Szisza (arabski) – fajka wodna.

78 Mułła (arabski) – tytuł nadawany duchownemu muzułmańskiemu, znaczący tyle co: mistrz, uczony; także muzułmański sędzia, doktor prawa.

79 *Carte blanche* (francuski) – czysta karta; nieograniczone pełnomocnictwo, wolna ręka.

80 *Al-Kaida* (arabski) – dosłownie baza; sunnicka organizacja terrorystyczna posługująca się metodami partyzanckimi, początkowo miała się przeciwstawiać radzieckiej inwazji na Afganistan, z czasem przekształciła się w panislamskie ugrupowanie, którego głównym celem stało się zwalczanie wpływów Izraela, USA i szeroko pojętego Zachodu w krajach muzułmańskich.

KRETA DROGA DO RAJU

Chlubna i niechlubna przeszłość

Rodzina Alzanich, znana także jako O'Sullivan czy Arabi, ląduje w Bengazi. Czekają już na nich wysłannicy Musy Kusy, do których Jasem dostał kontakt od swojego obecnego sprzymierzeńca.

– Witajcie, witajcie! – Wyciągają ręce i ciepło się uśmiechają, patrząc na farbowanych według siebie muzułmanów z ukrytą za długimi rzęsami podejrzliwością, bowiem takich białych Arabów jeszcze w swoim kraju nie spotkali. Chyba że Tuaregów⁸¹, ale to odszczepieńcy i bezbożnicy. – *Salamu alejkum*. Niech pokój będzie z wami, przyjaciele. – Pochylają głowy, patrząc na drogie, firmowe, skórzane buty swoich gości, które tylko potwierdzają ich podejrzenia, że prawdziwymi braćmi na pewno nazwać ich nie mogą.

– Cieszymy się bardzo, że dotarliśmy do kraju, który niegdyś był znanym w świecie mlekiem i miodem płynącym edenem. Oby Allah pozwolił, by powróciły dobre czasy. – Jasem wygłasza przydługą przemowę, chcąc podłechtać ego ubogich popleczników.

– *Sza'a Allah* – potwierdzają, znów kłaniając się w pas, na co Daria dochodzi do wniosku, że to żaden naród bojowników, lecz zwykli niewolnicy, skoro tak się korzą przed byle kim, czyli przed jej mężem.

– Gdzie się zatrzymamy? – Po zwyczajowych grzecznościach pół-Syryjczyk przechodzi do konkretów, bo w tej części świata szybko zapada zmrok i dobrze by było przed nocą gdzieś się zakwaterować.

– Zarezerwowaliśmy jaśnie państwu apartament w pięciogwiazdkowym hotelu Tibesti – ogłasza z dumą jeden z ludzi Musy Kusy. – Pamięta dawne dobre czasy. Pięknie położony.

Rodzina i dwóch lokalnych emisariuszy wsiada do starej toyoty camry, która kiedyś może była luksusowym autem, ale było to bardzo dawno temu, za czasów świetności Libii. Za ich wozem ruszają dwa inne, jeszcze starsze terenówki, ale za to na pewno mocniejsze, z uzbrojoną aż po zęby ochroną na pace.

– Piękne miejsce! – wrywa się Darii, która w obecności samych mężczyzn zdecydowanie powinna siedzieć cicho, zwłaszcza że co chwilę któryś rzuca na nią ukradkowe, ciekawskie spojrzenie. – Niezwykła promenada!

– *Sah, ja saida*⁸² – przyznaje zadowolony z komplementu Libijczyk. – Promenada nadmorska zawsze była miejscem towarzyskich spotkań mieszkańców naszego miasta. To także teren do joggingu i randek. – Podśmiechuje się lubieżnie. – Strefa ogłoszeń i anonsów. Zbiorek skautów i mityngów przedstawicieli rządu. – Nagle pochmurnieje i patrzy prosto w oczy przybyłej, co po pobycie w Arabii Saudyjskiej jest dla Darii niezwykle krępujące. – Po zakończeniu arabskiej wiosny i rewolucji, po przejściu przez nasz kraj, wydawałoby się, najgorszej nawałnicy, na tymże deptaku zbierali się potajemnie przedstawiciele przekłętego pseudo-Państwa Islamskiego, rekrutujący ochotników na krwawą wojnę w Syrii lub rzezie w Afryce – wypala niespodziewanie libijski patriota. – Takie dranie! A nasi obywatele to głupi naiwniacy. Mam nadzieję, że coś się u nas zmieni, że w końcu przyjdzie lepsze, bo ileż możemy pokutować za grzechy przeszłości? Ileż możemy cierpieć za haniebne zabójstwo naszego wodza, naszego ojca... – Ukradkiem ociera łzę.

Daria od razu nabiera szacunku i sympatii do tego człowieka. Tacy zawsze byli Arabowie. Czuli, wrażliwi, niewstydzący się swoich uczuć. *Może ten kraj rzeczywiście ma jeszcze szansę? Może się odrodzi?*, myśli, choć w głębi duszy spodziewa się, że więcej podobnych im uciekinierów z Państwa Islamskiego znajduje tu obecnie schronienie. Libia już nie jest miejscem rekrutacji, lecz świetną kryjówką. Kraj bezprawia przygarnie każdego zbrodniarza, a dżihadyści nigdy nie przestaną szukać nowej lokalizacji dla swojego chorego państwa i kalifatu, nowej pseudomekki⁸³.

Jasem nerwowo przełyka ślinę. Nie chciałby być od razu złapany i uwięziony, a w tym dziwnym kraju bez Musy Kusy czuje się bezbronny jak dziecko. *Niechże ten stetryczały dziad w końcu przyleci!*, zaklina w duchu. *Niech ten kiepski polityk rozłoży nade mną ochronny parasol, a potem już*

sam sobie poradzę. Na pewno nie będę się opierał na takich mięczakach jak ten tutaj zasmarkany gnojek, z politowaniem myśli o patriotcie, lecz patrzy na niego z doskonale udawanym szacunkiem. Jasem jest wytrawnym graczem i nigdy się nie zdradzi ze swoimi uczuciami.

– Czemu zatrzymujemy się w hotelu? – pyta džihadysta, mało zainteresowany urokami nadmorskiej panoramy. – Nie macie dla swoich ludzi bezpiecznych domów czy rezydencji?

– Tam jest najbezpieczniej – przekonuje organizator. – Nie dość, że jest ochrona hotelowa, to jeszcze zostawimy wam naszą.

– Nie byłbym tego taki pewny. Parę miesięcy temu właśnie przed hotelem Tibesti wybuchł samochód pułapka. Zginęło siedem osób, a ponad trzydzieści zostało rannych. – Terrorysta wie o wszystkim z mediów, od swoich dawnych koleśków po fachu czy też od nowych popleczników.

– Nie przed hotelem, ale kawałek dalej, na placu targowym. Na *suku* – tłumaczy skwaszony przewodnik. – Jak mówię, że jest najbezpieczniej, to tak jest. – Denerwuje się, zaciskając pięści. – Z solidnego budynku nawet jedna cegła nie odpadła, jedna dachówka się nie obsunęła i nie pękła żadna szyba. Wszystkie oficjalne delegacje, rządowe czy biznesowe, właśnie w tym hotelu stacjonują podczas pobytu w naszym mieście. Jaśnie pan Musa Kusa też tam będzie spał – podaje ostateczny argument, zamykając usta antagoniście.

– Bardzo ładny, wielki gmach. – Daria, która zawsze ma coś do powiedzenia, postanawia rozładować ciężką atmosferę. – A jakie genialne położenie! To prawdziwa perełka waszej architektury, prawda? Pamiątka dawnych czasów.

– Ma pani rację – potakuje rozmowniejszy Libijczyk, tymczasem drugi mruk, przygryzając wargi, w milczeniu prowadzi samochód.

W coraz większych korkach mijają zrujnowane kamienice, pokonują wyboiste, dziurawe drogi bez poboczy, by znaleźć się bliżej bulwaru, gdzie jest więcej światła i przestrzeni.

– Głodni? – pyta szofer i nie czekając na odpowiedź, skręca w boczną, ciemną uliczkę.

Teraz już i Jasem, i Daria siedzą jak na szpilkach, bo włóczenie się nocą po biednych dzielnicach nie jest ani bezpieczne, ani interesujące. Zdecydowanie bardziej cenią sobie spokój niż niepotrzebne ryzyko i woleliby uniknąć głupiej, przypadkowej śmierci. *Tyle przeszedłem, z tyłu łap się wyrwałem, uniknąłem wymiaru sprawiedliwości w tyłu krajach po to, żeby zarznął mnie jakiś libijski pastuch? Jasem pluje sobie w brodę. Trzeba było poczekać na Musę Kusę, a nie uciekać na wariata.* Daria natomiast żałuje, że nie działała szybciej, że nie odezwała się do matki, kiedy ta była na wyciągnięcie ręki, że nie została u życzliwych Polaków, Krysi i Andrzeja, tylko haniebnie otruła gospodynię trucizną, którą wcisnął jej w rękę mąż morderca. *Czemu nie wróciłam do rodziny? Teraz jej życie znowu niebezpiecznie się komplikuje. Po Rakce przylecieć do Libii, która nadal jest ogarnięta wojną domową, podzielona między watażków i kacyków i gdzie codziennie giną ludzie? Co za głupota!* Ze strachu aż szczęka zębami.

– Zaraz się przekonacie, co w naszym kraju jest najsmaczniejsze. – Przewodnik otwiera drzwi i zachęca swoich gości do wyjścia z samochodu. – W hotelu tak nie zjecie. Poza tym tam drogo jak jasny gwint! – Uśmiecha się przymilnie.

Daria zastanawia się, czy ten mężczyzna mógłby jej pomóc. Kiedyś. W przyszłości. Czy może on też jest mordercą, który na potrzeby chwili gra potulnego baranka.

– Szaworma pikantna czy łagodna? A dla młodego kawalera buriki⁸⁴, prawda?

Ahmed, który przespał cały lot, żywo kiwa głową. Jest rześki i wypoczęty, a dzięki świeżemu libijskiemu powietrzu całkiem zdrowo wygląda.

Daria rozgląda się z ciekawością po mieszanym towarzystwie. Goście siedzą przy plastikowych stolikach umieszczonych na krzywym chodniku przed całkiem sporą restauracją. Młodzi i starzy, ubrani umiarkowanie tradycyjnie lub całkiem według zachodniej modły, większość to mężczyźni, ale zdarzają się też kobiety. Wszyscy z zadowolonymi minami delektują się aromatycznym jadem, rozmawiając ze sobą, żartując i śmiejąc się.

– Arabskie przyprawy! Ale pachną... – rozczuła się Daria z ustami pełnymi pikantnej szawormy doprawionej harissą⁸⁵. – Tylko w Libii sypie się je tak szczerze do potraw. W całej Saudi,

Katarze, Emiratach, Syrii ani Egipcie nie mają pojęcia o doprowadzaniu jedzenia.

Po jej wypowiedzi nikt się nie odzywa. Jasem ma tylko nadzieję, że żaden z mężczyzn nie słucha głupiej baby albo chociaż nie rozumie jej bełkotu. Ich towarzysze jednak są agentami libijskiego *secret service* i byli w stanie rozszyfrować już mniej czytelne wypowiedzi swoich torturowanych ofiar. Zastanawiają się teraz, co też ich szanowany i ukochany szef planuje i do czego jest mu potrzebna ta dziwna para. Kobieta jest według nich naiwną, bezbronną i uczciwą gąską, a facet nieodgadnioną tajemnicą. Zimno-krwistą rybą, nieokazującą emocji. Poprawnym dżentelmenem o sadystycznych skłonnościach, które czają się na dnie jego oka. W jakim celu Musa Kusa go tu ściągnął? Dowiedzą się, i to już całkiem niedługo, bo będąc prawą ręką naczelnika, są o wszystkim informowani. Tak im się przynajmniej wydaje.

Po dwóch dniach oczekiwania w Bengazi, stolicy Cyrenajki⁸⁶, lądują stary Musa Kusa i dziewczynka Dżamila, z którą były ortodoksyjny dżihadysta Jasem, nie zważając na nic i na nikogo, czule wita się w lobby hotelu Tibesti. Daria zastanawia się, czy jej mąż nie wziął sobie kolejnej żony już w Arabii Saudyjskiej, lecz dochodzi do wniosku, że młoda ten wspaniały dzień będzie chciała przeżyć u boku bliskich, a nie w obcym kraju, gdzie zapewne też byli niezbyt mile widzianymi gośćmi.

– Mamy całe piętro dla siebie. – Po przedstawieniu się Musa Kusa podaje Darii ramię, wybawiając ją tym samym z bardzo niezręcznej sytuacji. Jego kapusie, wcześniej opiekujący się rodziną Alzani, tylko wybałuszają oczy, bo nic już nie rozumieją z tego całego damsko-męskiego kogla-mogla. – Chyba będzie nam wygodnie – dorzucą nadal przystojny, zażywny i postawny siedemdziesięciolatek.

– I bezpiecznie. – Pół-Polka mocniej chwyta go za łokieć. – Teraz, kiedy już pan tu wylądował, jestem całkiem spokojna – oświadcza.

Mężczyzna patrzy najpierw na parę rozochoconych zakochanych, którzy szybkim krokiem zmierzają do pokoju Dżamili, a potem na delikatną białą kobietę i zupełnie nie rozumie, jaka jest jej rola w tym dziwnym układzie.

– Cieszę się, moja droga. – Musa Kusa postanawia dowiedzieć się czegoś na temat Darin Alzani, ale przede wszystkim poznać jej prawdziwe nazwisko i tożsamość, bo do tej pory zupełnie bagatelizował jej istnienie. *Może uda się jakimś cudem wyciągnąć ją z tego gówna*, zastanawia się dobrodusznie, bo na starość dziadek złagodniał i czasem nawet pojawiają się w jego sercu ludzkie, ciepłe uczucia. – Jutro odbędzie się bankiet. Mamy zaproszenie od amerykańskiego ambasadora. Robi w konsulacie małe przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości.

– I zaprosił nas? – dziwi się kobieta, bo to oznacza, że aktualny sponsor jej męża nie jest byle kim. Obiło się jej o uszy nazwisko Musa Kusa, ale sądziła, że to postać z odległej przeszłości, z czasów Kaddafiego, jednak teraz już nic nieznacząca, ukrywająca się persona. – Przepraszam, to znaczy... was – szybko się poprawia.

– Jako żona Muhamada Arabiego ty też będziesz uczestniczyć w tego typu fetach... Przynajmniej na początku.

– Dopóki mój mąż nie ożeni się z tą wiejską rzepą? – podsumowuje złośliwie Daria, wspominając, nie bez satysfakcji, solidne uda i dużą pupę dziewczyny.

– Ma niezłe nazwisko i mocne plecy – tłumaczy energiczny staruszek. – Jej ród Muntasir zawsze był w tym kraju przy żłobie. Niczym się nie przejmowali. Jednego im zabili, to wystawiali następnego.

– Po trupach do celu.

– Właśnie. Pamiętaj o tym, moja delikatna pani. – Mężczyzna sygnalizuje zagrożenie, patrząc wymownie w oczy Darii, bo czuje coraz większą słabość do tej kruchej niewiasty.

– Od lat muszę na wszystko uważać. Na każde słowo, na każdy czyn. A teraz, kiedy mam syna, najlepiej byłoby nie oddychać, żeby nikomu się nie narazić. – Daria wspomina trasę do Bengazi, ostrzegawczą rozmowę z Jasemem i mężowski gwałt na pokładzie odrzutowca.

– Po co się za nim ciągniesz? Czemu nie odeszłaś? – szepcze niespodziewanie prosto z mostu Libijczyk. – Dlaczego nie uciekłaś?

– Mam swoje powody. – Daria błyskawicznie orientuje się, że jej rozmówca wie, z kim ma do czynienia, a mimo to hołubi jej męża. *Musi być niezłym draniem i desperacko go do czegoś potrzebować*, błyskawicznie konkluduje. *Ale do czego może być potrzebny były dżihadysta? Do mordów, siania chaosu, wymierzenia „sprawiedliwości” tam, gdzie uczciwą drogą nie da rady. Znowu będzie się działo!* Wzdycha ciężko, spodziewając się najgorszego, po czym dodaje: – Mam wiele swoich powodów.

– Syn? – Musa Kusa oczywiście zna najczęstszą przyczynę zmuszającą kobiety do pozostania przy mężu w krajach muzułmańskich. Pragnienie bycia z dzieckiem. Po rozwodzie często staje się to niemożliwe, gdyż mężczyźni, zgodnie z prawem szariatu, zabierają matkom potomstwo. – Ze względu na chłopca? – Patrzy z atencją na pięknego malucha, reprezentującego klasyczną arabską urodę, który uśmiecha się, ukazując równe, białe jak perełki ząbki i czarując wszystkich dookoła.

– Tak, zgadza się. – Daria chce, żeby dziadunio myślał o niej w samych superlatywach. Nie może się domyślić, że z niej też jest niezłe ziółko i że tkwi przy mężu terroryście z wielu innych powodów, z których żaden nie jest honorowy.

Daria nieoczekiwanie zdaje sobie sprawę, że Libijczyk jest bardzo blisko prawdy, bowiem złapała Jasema dosłownie w drzwiach hotelu przy Szpitalu Gwardii Narodowej w Rijadzie, kiedy z Ahmedem na ramieniu trzymał już rękę na klamce. Jednak wtedy nie potraktowała jego zachowania podejrzliwie i znów uwierzyła w każde jego słowo. Myślała jeszcze, że są ze sobą na dobre i na złe.

– Co się dzieje? – Słyszając ruch, wychyliła wtedy głowę z łazienki. – Dokąd idziesz? Czemu Ahmed jest tutaj, a nie na oddziale?

– Musimy uciekać – odparł wściekle Jasem, patrząc na nią niedobrym wzrokiem, czego wówczas zupełnie nie zauważyła. – Spotkałem Hamida Binladena...

– A ja w parku moją matkę – wyrwało się jej.

– No i co? – zapytał podniesionym głosem, po czym posłał jej podły, kpiarski uśmiech. – Ją też zabiłaś?

– Nie. Nikt nie wcisnął mi do ręki narzędzia zbrodni. – To mówiąc, Daria szybko narzucała na siebie byle jakie ubrania, na koniec zasłaniając wszystko czarną *abają*. – Zamierzałaś uciec? Beze mnie?

– Skąd ten pomysł?

– Twoje zachowanie...

– Stoję tu przecież i czekam, tracąc cenny czas – wysyczał przez zęby wściekły dżihadysta.

– Bez leków nasz syn nie przeżyłby miesiąca. Następnym razem o tym pamiętaj – ostrzegła, wrzucając medykamenty do torby, a następnie pobiegła za zniecierpliwionym mężem.

Resztę szczegółów na temat zdrady Jasema poznała w samolocie. Podczas długiego rejsu domyśliła się, że mąż jednak chciał ją porzucić, a kiedy plan się nie powiódł, zgodnie z tym awaryjnym miał ją zabić. Śmierci uniknęła cudem dzięki swojej kobiecej przebiegłości. Teraz, mając poplecznika w osobie Musy Kusy, wyrok na nią być może znów ulegnie odroczeniu. Ale musi bardzo uważać, nie narażać się i nie prowokować. Ani Jasema, ani tej wulgarnej dziwki Dżamili.

* * *

– Czy ma pani w co się ubrać? – Musa Kusa zna się na protokole i nie chce wprowadzić na eleganckie dyplomatyczne przyjęcie kopciuszka. – Ponoć przylecieliście z jedną torbą.

– Fakt. Nie za bardzo mam co włożyć na grzbiet. – Daria uchyla szerzej drzwi, zastanawiając się, czy wpuścić obcego mężczyznę do swojego apartamentu, czy lepiej nie ryzykować. – Rzeczywiście nie miałam czasu na pakowanie. – Nie owija w bawełnę, bo i nie ma przed kim robić tajemnicy.

– Tak też myślałem. – Staruszek odwraca się i kiwa ręką na czarną kobietę ubraną w białą uniform służącej, która stoi w hotelowym korytarzu i skromnie splata duże, spracowane dłonie na

podołku. – To Eve, dziewczyna z Togo. Pomyślałem, że przyda się do pomocy i do opieki nad dzieckiem. Czarnulki wiedzą, co to serwis i usługiwanie. A te z Togo czy Ghany są w tym najlepsze, bo liznęły przynajmniej deko edukacji, potrafią czytać i pisać.

– O mój Boże! – woła zadziwiona Daria. – To w Libii też można mieć pomoc domową?

– Oczywiście. Inaczej nasi bliźsi i dalsi czarni sąsiedzi pomarliiby z głodu, a my zgnilibyśmy z brudu – żartuje kąśliwie stary. – Eve pomoże ci dobrać suknię i w ogóle jakoś się ogarnąć. – Macha niezdarnie rękami od głowy aż po kolana, robiąc przy tym kolejną śmieszoną minę. – Niech pani zejdzie z nią na dół. W hotelowym lobby znajdują się niezłe butik i salony SPA.

– Ale ja nie mam pieniędzy – speszona informuje.

– A czy ktoś każe pani za coś płacić? To drobnostka. Proszę mi wierzyć.

Daria bierze za rękę grzecznego i cichego jak trusia Ahmeda i od razu chce zobaczyć, czym dysponują hotelowe sklepy. Z okien samochodu widziała w tym największym mieście regionu tylko małe sklepiczki z towarami typu szmelt, mydło, powidło, zapewne chińskiej czy tureckiej produkcji, do złudzenia przypominające te z Rakki w Syrii. Czuje do nich niewypowiedziany sentyment, ale z drugiej strony zdaje sobie sprawę, że artykuły w nich sprzedawane są kiepskiej jakości, o modzie nie wspominając.

Hotel Tibesti od samego początku zrobił na niej niesamowite wrażenie dzięki nadmorskiemu położeniu i kaskadowym ogrodom, tworzonym przez klomby z kolorową roślinnością, spływające w dół od trzeciego piętra. Gmach jest imponująco wielki, a że pamięta czasy reżimu, z pewnością to tu zawsze zatrzymywali się najlepsi goście. Pomimo ataku terrorystycznego, który miał miejsce nieopodal, nic nie jest w stanie osłabić pozycji i rangi tego miejsca. Lobby jest rześkie oświetlone i pełne gości, gwarne i nasycone zapachem świeżo mielonej kawy i palonego cukru na arabskich ciasteczkach. Daria przełyka ślinkę, lecz wciąż truchta za wysoką, długonogą Murzynką, która pewnym krokiem mija kolejne butik. Sklepy toną od obfitości zdobionych, wielobarwnych, tandetnych kreacji. Za paroma zakrętami Eve puka w szklane drzwi, zaklejone od wewnątrz białym papierem. Nie ma na nich żadnego szyldu ani choćby karteczki. Widać, kto wie, ten tu trafi, a kto nie wie, jego strata. Firma nie musi zachęcać do korzystania ze swoich usług.

– Tak? – Drzwi się uchylają i słychać zza nich burkliwy kobiecy głos.

– Od *saida* Musy Kusy – informuje Eve.

Na to hasło Murzynka, Daria i mały Ahmed zostają dosłownie wciągnięci do środka.

– Czym możemy służyć? Czego jaśnie pani potrzebuje? Dla siebie? Dla dziecka? Dla męża? Dla rodziny? Matki, babki, kuzynki? – Znajdujące się w pomieszczeniu kobiety zarzucają Darię pytaniami, a jej śmiać się chce z ich wymuszonej uprzejmości. Daje się jednak rozpieszczać i korzysta ze wszystkiego, co jej oferują, począwszy od wspaniałej kenijskiej kawy i arabskich ciasteczek, a na szampanie skończywszy. *Ponoć panuje tu stuprocentowa prohibicja, ale widać, tak jak w Arabii Saudyjskiej, ten zakaz nie dotyczy wszystkich. Będzie dobrze, powtarza sobie w duchu. Ten dziadunio nie da mi zginąć, a jak zanosiloby się na kolejną katastrofę lub inny kataklizm, to nawet mogę mu zaoferować coś więcej niż przyjaźń. Co mi zależy?* Po chwili jednak aż trzepie głową, żeby się pozbyć takich desperackich myśli.

Daria zaśmiewa się z młodymi, uprzejmymi ekspedientkami, które nie mogą się nadziwić, że Arabka ma taką jasną karnację. Proponują jej skorzystanie z centrum odnowy biologicznej i SPA, po czym deklarują, że w tym czasie dopasują do jej wymiarów wybrane wieczorowe kreacje i zwykłe, ale eleganckie ubrania, których kupiła bez liku.

Wieczorem po Darię przychodzi nie Jasem, ale Musa Kusa. Mężczyzna nie potrafi ukryć zachwytu na widok urodziwej kobiety, z której wizażystki wydobyły całą arabską urodę, malując jej oczy czarnym *kohlem*, a także barwiąc włosy i dłonie rudobrazową henną. Daria ma na sobie zwiewną jak mgiełka, srebrną suknię od Diora, na całej długości zadrukowaną delikatnymi firmowymi emblematami. Musa podziwia nie tylko olśniewającą młódkę z dużym biustem i długimi, szczupłymi

nogami, ale i jej kreację. Taką samą suknię miała Aisza, ukochana i jedyna córka Kaddafiego. Równie wspaniale się w niej prezentowała, choć Daria ma bardziej perfekcyjne kształty. *To musi być znak*, podsumowuje stary wyga, który mocno stąpa po ziemi, ale z drugiej strony jest przesądny i wierzy w ludowe gusła. *Czytaj znaki! Jej wybór to palec boży*, stwierdza i już jest pewny, że wydarzy się coś ważnego z udziałem tej kobiety. Czuje to przez skórę. Przyjazd Darii do Libii nie jest bezcelowy.

– Pięknie pani wygląda, moja droga – mówi i znów podaje jej ramię.

Daria taksuje starego przystojniaka, który w smokingu prezentuje się jak arabski James Bond.

– Pan również, przyjacielu.

– Nie wiem, co pani mąż widzi w naszej libijskiej sikorce Dżamili. – Musa Kusa niezbyt pochlebnie wyraża się o dziewczynie, po której plecach ma zamiar się wspiąć na najwyższy szczebel politycznej kariery.

– Cel uświęca środki, a swój zawsze pozna swego. Ona chce starej władzy, on chce nowej władzy, a seks to chyba tylko przy okazji. – Daria postanawia być szczerą, bo facet, który tyle lat kierował libijską bezpieką i pomimo upadku reżimu nadal ma mocną pozycję, musi wiedzieć, z kim się zadaje. Zresztą zapewne dawno już rozpracował Jasema. *Co wie o mnie?*, zastanawia się. *Ciekawa jestem, kiedy odkryje moją libijską rodzinę. Może i ród Muntasir zawsze był wśród warstw rządzących tym krajem, lecz familia Salimi też sroce spod ogona nie wypadła.*

W hotelowym lobby Jasem, wściekły do granic możliwości, przyskakuje do swojej wystrojonej żony, która rozneglizowane plecy i ramiona zakrywa pelisą ze srebrnych norek.

– Co ty tu robisz? – syczy, miażdżąc jej ramię w mocnym uścisku. – Gdzie się wybierasz? – Doskonale wyczuwa odurzającą woń francuskich perfum, spowijających kobietę niczym woal.

– Zostałam zaproszona na przyjęcie – odparowuje Daria z lekceważącym uśmiechem na ustach, delikatnie pociągniętych szminką. Jej satysfakcję potęguje szalona zazdrość malująca się w oczach towarzyszącej Jasemowi Libijki o przeciętnej urodzie, ubranej w bardzo złym guście i obwieszanej złotą tandetną biżuterią kiepskiej próby. – Prawda, Musa? – Porozumiewawczo ściska rękę swojego towarzysza, który spokojnie czeka na rozwój wydarzeń.

– Oczywiście. Jakżeby inaczej. – Libijczyk patrzy twardo na swojego protegowanego i obejmuje Darię w tali, chcąc dać mu do zrozumienia, że tutaj to on rozdaje karty i jak będzie chciał, to nawet wypożyczy sobie jego żonę na jakiś bliżej nieokreślony czas i do bardziej osobistych celów. – Amerykański ambasador wie, że ty jesteś z żoną, póki co jedną, a ja z panną Muntasir, więc wystawił dla nas dwa podwójne zaproszenia. Jest cywilizowanym człowiekiem i gardzi zostawianiem kobiet w domu za zamkniętymi drzwiami, przetrzymywaniem ich za wysokim murem i deprecjonowaniem. Libia zawsze była krajem rozwoju i postępu.

– No tak... Pewnie... Pewnie... – burczy Jasem, ale obiecuje sobie, że wyciągnie konsekwencje wobec swojej arabskiej żony. Emancypacja w ogóle mu nie odpowiada, choć właśnie pakuje się w związek z wyzwoloną i niezależną kobietą. Jednak ten mężczyzna potrafi się przymusić do wszystkiego, gdyż według niego i kanonu ortodoksyjnego islamu cel uświęca środki. Biedna Dżamila najprawdopodobniej nie zdaje sobie sprawy z tego, że kiedy już zaprowadzi swojego kochanka na szczyt, przestanie być mu do czegokolwiek potrzebna i stanie się zbędnym ciężarem. Takie osoby dżihadysta eksterminuje bez mrugnienia powieką.

Czwórka znakomitych gości na czele z Musą Kusą, reprezentującym dawny reżim, niegdysiejszą stabilność, bogactwo i dobrobyt Libii, podjeżdża pod konsulat amerykański dwoma limuzynami. Za nimi w dwóch pick-upach podąża liczna prywatna obstawa. Nikt ich nie kontroluje, bo przecież wiadomo, że są uzbrojeni po zęby, a gospodarz nawet się cieszy, bo w razie czego wesprą jego skromną, ale mocną ochronę składającą się z członków marines⁸⁷.

– *Welcome!*⁸⁸ – Ambasador ściska dłonie gości i pochyla głowę w ukłonie. – *Thank you for coming*⁸⁹ – wygłasza zwyczajową formułkę.

Nieobyta Daria bierze sobie życzliwość amerykańskiego dyplomaty do serca, myśląc, że te słowa są skierowane właśnie do niej. Na jej promiennej twarzy maluje się szczęście, przez co jeszcze bardziej wyróżnia się w towarzystwie wśród z jednej strony znudzonego dyplomatycznego korpusu,

a z drugiej zestresowanej niezwyklej miejscem lokalnej socjety.

– Amerykanie wrócili do Libii już w dwa tysiące szóstym roku, kiedy uregulowaliśmy pewne niechlubne sprawy. – Musa Kusa przemawia z dużą swadą.

Mężczyzna skupia wokół siebie większość przybyłych, którzy szepczą między sobą zdziwieni, że filar dawnego reżimu powrócił na stare śmieci. Wszyscy spodziewają się, że w najbliższym czasie dojdzie do zmian, i oczekują z drżeniem, czy będą to zmiany na lepsze czy jak ostatnio na gorsze.

– Cóż, mój drogi. – Ambasador protekcjonalnie kładzie rękę na ramieniu libijskiego byłego dyplomaty. – Kosztowało was to niemało, ale warto było spłacić dług, nieprawdaż? W krajach arabskich nazywa się to daniną krwi czy krwawymi pieniędzmi?

– Racja – wyrywa się Jasem, chcąc zaistnieć w rozmowie, wykazać się elokwencją i obyciem. – Nasza święta księga naucza nas: „Życie za życie, oko za oko, nos za nos, ucho za ucho, ząb za ząb; a za rany obowiązuje prawo talionu⁹⁰. Ale kto z ceny krwi uczyni jałmużnę, otrzyma przebaczenie”⁹¹ – cytuje po angielsku Koran, na co Arabowie z miejscowych elit tylko kiwiają głowami.

– Sajf al-Islam Muammar Kaddafi⁹² – kontynuuje Musa Kusa⁹³ – niepisany następca pułkownika, w dwa tysiące czwartym roku był negocjatorem w sprawie odszkodowań dla rodzin ofiar zamachu nad Lockerbie z osiemdziesiątego ósmego. – Swobodnie opowiada o terrorystycznej działalności ówczesnej Libii, co nie podoba się żadnemu z zebranych. – Wasze wybaczenie pożarło z libijskiego skarbu państwa ogromne pieniądze, gdyż za każdego z dwustu pięćdziesięciu dziewięciu pasażerów zapłaciliśmy dziesięć milionów dolarów.

– Za każdego zabitego, a że zginęli wszyscy, reżim zapłacił dwustu pięćdziesięciu dziewięciu rodzinom – odzywa się kolejny wysoko postawiony Libijczyk, wojskowy, marszałek⁹⁴ Chalifa Haftar, który zdradził Kaddafiego, przechodząc na stronę rewolucjonistów podczas arabskiej wiosny, i zabrał ze sobą większą część armii, wbijając tym liderowi – i swojemu krajowi – nóż w plecy i bezpośrednio przyczyniając się do upadku państwa. Teraz mężczyzna jest niepisanym przywódcą wielkiego, roponośnego regionu Libii, Cyrenajki, za co Musa Kusa szczerze go nienawidzi.

– Za błędy czasem trzeba słono zapłacić. – Ambasador chciałby już zakończyć tę poważną polityczną dyskusję dwóch aktualnie największych w Libii antagonistów. Ledwie toleruje w swoim domu Musę Kusę, byłego terrorystę, anarchistę i znanego sadystę, długoletniego szefa libijskiego wywiadu. Najchętniej kazałby go wyrzucić, a ostatecznie postawiłby go przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze. Ale niestety jest zmuszony robić dobrą minę do złej gry, dlatego przybiera sztuczny uśmiech i dodaje: – Każde państwo ma jakieś swoje ciemne strony.

– Poglądy i drogi, które nas prowadzą, nie zawsze są honorowe i uczciwe. Niekiedy można zbłądzić, ale najważniejsze to umieć naprawić własne błędy – poucza Musa stanowczo, ale łagodnie, bo nie orientuje się, że głupi, zaślepiony amerykański demokrat nie wie, iż sprzyja libijskiemu marszałkowi, który obiema rękami podpisywał się pod pseudo-Państwem Islamskim i jest głównym, nadal będącym przy władzy dżihadystą na terenie Libii. To właśnie jego pierwszego Jasem będzie miał za zadanie zdemaskować i zdyskredytować. – Polityka nigdy nie była łagodna ani wyrozumiała. Niektórzy nawet nazywają ją dziwką. – Panowie się podśmiechują, a kobiety, udając zgorzienie, zasłaniają uszy lub usta. – Najmniejszy błąd może kosztować karierę lub wręcz głowę – oświeca zebranych stary praktyk.

– Na przestrzeni ostatniej dekady w krajach arabskich już dość głów się posypało. – Jasem zmienia strategię, chcąc wyglądać w oczach Amerykanina na godnego poparcia liberała i demokratę. – Teraz nastał ostateczny czas na odbudowę. Dość krwi! – Dżihadysta wodzi zdecydowanym wzrokiem po zebranych w salonie, szukając na ich twarzach zrozumienia.

– Tak jest!

Brawo!

– Wypijmy za pokój!

– Za odbudowę!

– Jeszcze raz pokój! *Salam!*⁹⁵

W górę idą kielichy z winem i szklanki z piwem, których nawet tutaj nie brakuje.

– Niech się odrodzi wielka Libia!

– Zapraszam do stołu. W jadalni i ogrodach bufet jest już otwarty. – Ambasador czyni honory pana domu, gdyż przebywa na placówce bez małżonki. – Tym razem obejdzie się bez nudnych przemówień. Myślę, że *said* Muhamad Arabi Muntasir powiedział to, co najważniejsze. Odbudujmy nasz świat i wspierajmy się wzajemnie. Niech Libia w końcu odzyska swoją siłę, prawdziwą niepodległość i demokrację, tak jak lata temu Ameryka. Za sojusz libijsko-amerykański! *Salute!*⁹⁶

– *Salute! Salute!*

Dżamila, dumna ze swojego partnera, który od razu przyjął jej nazwisko, znane w tym kraju, ujmując pół-Syryjczyka pod ramię, patrząc na wszystkich wyniosłym, władczym spojrzeniem. Kiedy napotyka ono Darię, ta uśmiecha się nieśmiało i usłużnie, co daje Libijce satysfakcję i świadomość wygranej. O to jej chodziło. Tak jak i pół-Polce, która swoją rywalkę pragnie omamić i oszukać uniżoną postawą, a tak naprawdę z chęcią utopiłaby ją w łyżce wody.

– Ależ piękny ogród! – zachwyca się Daria, podążając za swoim przewodnikiem, który pomimo podeszłego wieku całkiem żwawo maszeruje. – Tak to można żyć!

Teren rezydencji jest ogromny, ale w całości ogrodzony trzymetrowym murem. Wszystkie ścieżki, wysypane białym żwirkiem, prowadzą do kompleksu basenowego, nad którym znajdują się kaskadowo ułożone tarasy, wyłożone lastriko lub sztuczną trawą. Stojące tam stoły i krzesła czekają na gości. Dookoła rozstawiono ludy z ogromną ilością aromatycznego jadła, które jest serwowane w wymyślny sposób i przybrane licznymi dekoracjami. Między półmiskami stoją różnej wielkości świece, jaśniejące metalowe lampy Aladyna oraz misy z wodą, w której pływają odurzające zapachem kwiaty. Przeważnie dobywa się z nich aromat jaśminu i lawendy.

Nad niektórymi basenami przerzucone są urocze drewniane mostki, co przypomina miniaturową kopię Wenecji w tym pustynnym kraju. Bar został ulokowany przy jednym z brzegów największego zbiornika, jakby zanurzony w wodzie. Okupuje go tłum gości – mężczyzn i kobiet. Wszyscy zapewne zaliczają się do *high class*⁹⁷, o czym świadczą ich eleganckie stroje, kilogramy wyszukanej, drogocennej biżuterii, którą obwiesiły się panie, oraz cygara w ustach panów.

– Nie wszyscy w Libii mają się tak dobrze jak nasz gospodarz, ale dyplomaci i politycy przeważnie nie mogą narzekać – uświadamia Darię obyty na salonach Musa Kusa.

– Tutaj nie ma co gadać o architekturze, wykończeniu rezydencji, przepychu i blichtrze, bo zwykle wille na Bliskim Wschodzie są bardziej wystawne. Wszystko rozbija się raczej o niezwykły klimat i atmosferę. – Kobieta ni to krytykuje, ni wielbi miejsce, w którym nieoczekiwanie się znalazła. – Chłodna bryza od morza jest życiodajna, a roślinność prawdopodobnie dzięki niej tak bujnie wzrasta i upojnie pachnie. I to niebo! Jakby bardziej czarne, bardziej ugwieżdżone niż gdziekolwiek indziej. Gwiazdy są dosłownie na wyciągnięcie ręki. Zaś za dnia libijski firmament przybiera kolor obłądnego błękitu. – Daria nie pamięta, kiedy ostatnio tak się rozgadała i była taka wyluzowana. Przy tym człowieku i w tym kraju czuje się jak w domu.

Slogany młódki bawią mężczyznę, ale mógłby słuchać jej paplaniny godzinami.

– Niebo błękitne... Gwiazdy... – podśmiechuje się. – Powinnaś pisać wiersze.

– Ależ to wszystko szczerą prawdą! Jest niezaprzeczalna różnica pomiędzy kolorytem i zapachem różnych miejsc na ziemi. Tamto, w którym żyłam ostatnimi czasy, było przekłete – wyznaje kobieta, nie podając żadnych konkretów. Libijczyk jednak zna losy Jasema, patrzy jej więc głęboko w oczy z pełnym zrozumieniem.

– Mam nadzieję, że Libia przyjmie cię życzliwie i gościnnie – życzy szczerze.

– Jeśli będę miała dobrego anioła stróża, to może jakoś uda mi się przeżyć – mówi kokieteryjnie Daria.

– Postaram się. – Musa Kusa zastanawia się, jak uchronić tę delikatną osobkę przed potworem, którego ona wybrała, a on tutaj zaprosił. – Będę miał to na względzie. – Wymownie ściska jej rękę, a Darii serce rośnie, bo wierzy temu człowiekowi, choć może nie powinna.

– Lata temu, będąc młodą studentką w Anglii, oglądałam bardzo ciekawy reportaż na BBC. – Chce grać ze swoim opiekunem w otwarte karty, bo sądzi, że tylko wtedy ten zechce ją chronić. –

O pewnym prominencje w rządzie Kaddafiego. Człowiek ten zapadł mi w pamięć, bo wszyscy rzucali na niego straszliwe kalumnie, ale nic nie mogli mu zrobić, gdyż niczego nie byli w stanie udowodnić.

Para siada na wygodnych ratanowych krzesłach przy stole i pograża się w rozmowie. Nikt się do nich nie dosiada, gdyż każdy widzi intymną nić zrozumienia, jaka zawiązała się między nimi. Jasem co rusz rzuca tylko okiem w stronę swojej żony i zaciska zęby. Żałuje teraz, że nie odesłał jej księciu Anwarowi w czarnym worku.

– Najpierw w tym brytyjskim programie – ciągnie Daria – oskarżano cię o zorganizowanie zamachu na samolot panamskich linii lotniczych, który wybuchł nad Lockerbie, a potem o podłożenie bomby w dyskotekę w Berlinie, by na koniec twojej politycznej kariery posadzić cię o tortury i eksterminację libijskiej ludności podczas arabskiej wiosny. Dorzucili ci jeszcze niechlubny udział w aresztowaniu i kłamliwym procesie przeciwko bułgarskim pielęgniarkom.

– Ciekawe... – Mężczyźnie skóra cierpnie na grzbiecie, nie tyle kiedy przypomina sobie zarzuty przedstawione mu przez byłych kolegów z międzynarodowych służb specjalnych czy libijskich współpracowników, ile przede wszystkim same sprawy. Najgorszy był przypadek bułgarski, bo ten precedens na skalę światową ciągnął się ponad osiem długich lat. – A co ty sądzisz? – pyta nieoczekiwanie. – Twoim zdaniem jestem winny tych wszystkich zbrodni czy nie?

– Nie mam pojęcia – wyznaje Daria uczciwie jak na spowiedzi. – Jednak jeśli tacy specje od wywiadu cię puścili, to albo jesteś bez skazy, albo potrafisz po sobie dobrze posprzątać. – Uśmiecha się figlarnie, choć tak naprawdę bardzo chciałaby już zakończyć ten temat. – Poznaliście się z Jasmem w Katarze? – Zmienia wątek.

– Tak, *ja habibi*⁹⁸. Dobrze, że on pojawił się w Libii, ale ciebie nie powinno tutaj być. – Musa Kusa odpląca rozmówczyni szczerością za szczerość. – Obecnie nie jest to najbezpieczniejsze miejsce na ziemi, a otaczające cię towarzystwo jest wręcz zabójczo szkodliwe.

– Nic się nie bój, *ja habibi*⁹⁹ – Daria celowo powtarza intymny, bardzo osobisty zwrot. – Kiedy tylko będziesz moim *mahramem*, dam sobie radę. Bywałam w gorszych opresjach, i to na dokładkę całkiem sama.

– Niestety, nie zawsze udaje mi się chronić bliskie mi osoby. Potem czuję się winny, mam ogromne wyrzuty sumienia i nie śpię po nocach. – Mężczyzna mówi to tak zwyczajnie i ciepło, że nie sposób mu nie wierzyć. Jego poczciwe, brązowe oczy zaprzeczają temu, że ponoć własnoręcznie i z wielkim upodobaniem torturował przeciwników reżimu i był najgorszym libijskim katem przez piętnaście długich lat.

– Taki jesteś wrażliwy i czuły? Były szef libijskiego wywiadu? – Daria nie może się nadziwić, bo wciąż pamięta, że w brytyjskim reportażu Musa Kusa nazwany został wysłannikiem śmierci. – Na wiele rzeczy można się ponoć uodpornić – sugeruje.

– Niekoniecznie, moja ty niewiastko o dużej inteligencji, jeszcze większym sprycie i twardym serduszkem. – Musa Kusa jest świetnym psychologiem i po dzisiejszej rozmowie rozszyfrował tylko z pozoru wiotką, wrażliwą i słabą kobietę. – Boli mnie, że niejednokrotnie nic nie mogłem poradzić na niesprawiedliwość i niepotrzebne cierpienie zupełnie przypadkowych ofiar. Takie chociażby bułgarskie pielęgniarki... – Zawiesza głos i głęboko się zamyśla. Klnie teraz w duchu, że powrócił do tego dawno już zapomnianego tematu. To właśnie ta, i tylko ta, sprawa latami spędzała mu sen z powiek. Bo w tym przypadku musiał oskarżyć niewinne osoby dla tak zwanego dobra narodowego. Szczególnie jedną osobę, bardzo mu bliską, piękną bułgarską kobietę.

* * *

– Kristina! Kristina! Gdzie jesteś?! – Musa wbiega do aresztu policyjnego w Bengazi i szlag go trafia ze złości. – *Habiti!* – Nie kryje już swoich uczuć, kiedy widzi znajome, pokaleczone dłonie wychylające się zza krat.

– Musa... – Kobieta ledwo szepcze, przytulając policzek do metalu. Patrzy na swojego kochanka spod półprzymkniętych, opuchniętych, podbiegłych krwią powiek. – Musik... – nazywa go pieszczotliwym imieniem. – Czemu oni mi to zrobili? Za co? – Cicho szlocha.

– Co za granda! Co za kurewstwo! – Szef libijskiego wywiadu się wścieka, bo doskonale zna winnego, który dopuścił się takiej podłej przemocy. – Uwięzienie ciebie jest skierowane przeciwko mnie. On od lat zabiega o mój stołek!

– Nic nie rozumiem, kochanie. Oskarżają mnie o cudzołóstwo, ale z Alim, a nie z tobą. Ja tylko raz, i to przelotnie, widziałam tego młodego doktora stażystę. – Kristina kurczowo chwyta palcami dłonie mężczyzny. – On jest chudy, brzydki i na dokładkę Pakistańczyk. Musiałabym zwariować! – Oburza się, będąc posądzona o taki zły gust i niewybredność w stosunkach damsko-męskich. – Mówią też coś o zainfekowaniu libijskich dzieci wirusem HIV. O co tu, kurde, chodzi?

– Przecież ty nie pracowałaś jako pielęgniarka w szpitalu pediatrycznym – irytuje się mężczyzna, klękając przed celą, by móc dosięgnąć ramion swojej kochanki. Musa Kusa jakby zupełnie zapomniał o metodach urzędu bezpieczeństwa w swoim kraju i o tym, że kiedy ofiara wpadnie w łapy oprawców z jego branży, a ci usiłują ją w coś wrobić, choćby była to najbardziej niewiarygodna rzecz, i tak jej to udowodnią. – Nie dotykałaś żadnych dzieci!

– Toż właśnie im to powtarzałam. Aż do znudzenia. Ale popatrz, co mi w odwecie zrobili. – Kobieta rozchyła potarganą koszulę i odsłania swoje obfite piersi. Sutki ma aż czarne od tortur, a jeden rozkrwawiony i naderwany, zaś jej biała skóra na dekolcie i brzuchu jest cała w wylewach i sińcach. – Popatrz! Tylko popatrz, kochany! Podłączali mi metalowe przyszczyпки, takie jak do ładowania akumulatora, przez które razili mnie prądem.

Musa opuszcza głowę. Jest mu żal pięknej kobiety i jest wściekły, że zbezczeszczono ciało, które należy do niego, ale przede wszystkim wstydy się swoich brutalnych, nieludzkich rodaków. Tego się nie robi niewiastom, a przynajmniej bardzo rzadko. Tortury i kaźnie to męskie sprawy.

– Nie wiem dokładnie, o co tu chodzi, najmilsza – mówi drżącym od emocji głosem. – Muszę zbadać tę kwestię, sprawdzić postawione ci oskarżenia i wtedy będę mógł coś na to poradzić.

Ich szeptań rozmowę w półmroku korytarza aresztu policyjnego, po którego obu stronach znajdują się cele z dogorywającymi nieszczęśnikami, przerywa trzask metalowych drzwi. W oddali słychać podminowane głosy. Kochankowie zrywają się na nogi po dwóch stronach kraty. Kristina szybko zapina bluzkę, a Musa przywołuje się do porządku.

– Co za bułgarskie kurwy! Ile się z tym będziemy pierdolić! Zamiast się przyznać od razu i mieć to z bańki, bezczelnie się opierają. Debilne Cyganki! – Funkcjonariusze zupełnie bez żenady wymieniają opinie na temat więźniarek, w ogóle nie zastanawiając się nad ich nierealnym występkiem, tylko nad uciążliwością swojej pracy. – I tak wcześniej czy później podpiszą przyznanie się do winy!

– Panowie, proszę otworzyć tę celę – rozkazuje Musa nieznośnym sprzeciwu tonem. – Ta osoba jest niewinna. – Wskazuje palcem w mrok, w którym skrywa się jego kochanka.

– A co pan tu robi?!

Funkcjonariusze bez pardonu puszczają bezwładne ciało kobiety, którą ciągnęli za sobą; więźniarka pada na twarde klepisko z cichym jękiem. Lustrują dziwnego Libijczyka, nieco zmieszani na widok eleganckiego garnituru i skórzanych mokasynów. *Któż to, do diaska, jest?*, przebiega im przez puste głowy. *Kto zacz?*

– Nina! Nina! – krzyczy Kristina, widząc nieprzytomną koleżankę, zakrwawioną i w potarganym ubraniu, dając tym samym dowód na to, że zna bułgarską oskarżoną pielęgniarkę. – Dziewczyno!

– Cisza mi tam! – Strażnik doskakuje do kraty, ale Musa Kusa jest szybszy i zastępuje mu drogę.

– Uspokoić się! – rozkazuje.

– Czego tu szuka? Kto go wpuścił? – indaguje w końcu przestraszony trep.

– Naczelnik, ty głąbie! Otwieraj tę celę!

– Że jak? Nie ma mowy! – Jest przerażony jak małe dziecko. – Ma jakiś papier? Oficjalne zwolnienie?

– Ta pani nie należy do waszej bajki, rozumiano? – Musa chwyta małego, niedożywnionego chłopka pod gardło, a spoglądając w jego kaprawe oczy, widzi uzależnienie od narkotyków i innych

zakazanych używek. Na dodatek z jego gęby dobywa się smród nikotyny i zgnilizny. – Ta pani jest niewinna i ja to zaświadczam.

– To znaczy kto? – charczy schwytny, a drugi tchórzliwy klawisz, widząc nietypową sytuację, bierze nogi za pas i rzuca się do wyjścia.

– Nazywam się Musa Kusa, szczerze! – przedstawia się w końcu Libijczyk, który jest szefem nie tylko naczelników czy asów wywiadu, ale też ich pomagierów, małych, podłych nędzników, którzy wykonują całą brudną robotę. – Spieprzaj do swojego zwierzchnika po klucze. Ale wcześniej wrzuc to ciało do celi! – Pokazuje na cierpiącą kobietę, która choć też jest niewinna, obchodzi go tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Kiedy po półgodzinie strażnik nie wraca, Musa pozostawia zrozpaczoną Kristinę i wychodzi z lochów. Na świeżym powietrzu oddycha z ulgą, bo wewnątrz zaczynał już się dusić. Zatykał go smród wilgoci i pleśni oraz odór niemytych, skatowanych, pokrytych krwią i ekskrementami ciał. Nerwowo pali jednego papierosa za drugim, głęboko się zaciągając. *Co robić? O co tutaj chodzi? Co z tymi dziećmi z HIV? Co z Bułgarkami?* Zastanawia się, czy nie lepiej najpierw zbadać sprawę, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję. Pomimo popędliwego arabskiego charakteru w jego poczynaniach zawsze zwycięża rozsądek, więc udaje się do głównego komendanta policji w Bengazi, swojego podwładnego, a zarazem kolegi, żeby wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji.

– Stary, nie pakuj się w to – od razu radzi druh. – To śmierdząca sprawa. Nikt nie wie, o co chodzi, ale z dnia na dzień mamy coraz więcej zgłoszeń o zachorowaniach na HIV. I wszystkie z tego jednego przekłętego pediatrycznego szpitala al-Fatah.

– Naprawdę? – Libijczyk nie może uwierzyć w jakąś niespodziewaną epidemię, lecz naczelnik kiwa smutno głową. – Mam w dupie tych wszystkich aresztowanych, co do joty, ale jedna mniej, jedna więcej Bułgarka różnicy wam nie robi. Wypuście Kristinę i będzie po kłopotach – namawia kolegę.

– Aktualnie mamy około trzydziestu zatrzymanych w związku z tą akcją. Na pewno tylu cudzoziemców nie osadzimy i nie skazemy, więc zwolnienia będą, ale nie ja o tym decyduję. Dyryguje tym nasz regionalny szef.

– Nie rozumiem jednego. – Musa ściąga brwi i jednym haustem wypija chyba już siódmą tego dnia małą czarną, a kiedy czuje przyspieszony puls, zapala kolejnego papierosa. Ta metoda zawsze mu pomagała, ale nie dzisiaj, więc gasi ciuka i przechyla szklankę zimnej wody, żeby zapanować nad emocjami i łomoczącym sercem. – Czemu ja, naczelny szef urzędu do spraw bezpieczeństwa Libii, nic o tym nie wiem?! – wykrzykuje, wałąc pięścią w stół.

– Nie mam pojęcia. Nie do mnie z tym pytaniem. Wiesz, że jestem twoim wiernym przyjacielem, *ja sadiqi*. – Naczelnikowi mięknie kolana, bo Musa Kusa znany jest ze swoich wybuchów gniewu i mściwej natury. – Dostałem wytyczne od Tarikiego i na tym koniec.

– Pokaż mi akta sprawy. I to już!

Policjant bez szemrania kładzie na stole cieniuchne papierowe teczki z paroma kartkami w środku.

– Na pewno Kristina jest ich liderką. – Wyciąga pochopne bądź narzucone mu wnioski.

– Skąd ta opinia?! – wrzeszczy Musa Kusa.

– Mówi po libijsku i angielsku, w dodatku dobrze jej się powodzi. Nie klepie biedy, jak reszta. Wręcz żyła w luksusach. – Zazdrość maluje się na twarzy naczelnika, tak jakby jemu czegoś brakowało na intratnym stanowisku, gdzie każdego dnia zbiera z łapówek wysokość swojej miesięcznej pensji.

– Co to ma do rzeczy?

– Miała kontakty pozamałżeńskie z pakistańskim lekarzem Alim. Nie tylko seksualne. Oni ze sobą współpracowali. To Kristina przekazała mu fiolkę z wirusem. Wiele osób to widziało. A HIV dostała ponoć od faceta nazwiskiem Johnny English.

– Johnny English? To jakieś żarty? – Kusa z niedowierzaniem łapie się za głowę. – Tak naprawdę nic na nią nie macie, a wątpliwe zeznania wkładacie w usta torturowanych więźniów. – Chwyta za poplamione teczki i zrzuca je ze stołu. – To wszystko nie jest funta kłaków warte!

– Mamy, mój drogi Muso. – Kolega jest wściekły, że ktoś tak jawnie sprzeciwia się sprytnie

ukartowanej linii oskarżenia. – Mamy już ponad sto dzieci zarażonych HIV, a ich liczba z dnia na dzień rośnie. To mamy!

– I? Skąd ta epidemia?

– Nie wiemy, ale pracujemy nad tym. Dowiemy się, i to niebawem.

– Dlaczego Bułgarzy?

– Nie wiem.

– Czemu nie wzięliście w obroty filipińskiej albo polskiej medycznej kadry? Przecież jest przeważająca, i to w każdym szpitalu.

– Taki był rozkaz.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Od kogo?

– Od naczelnika Tarika.

– Mojego podwładnego?! – ryczy Musa na pełne gardło. – Tego Tarika?!

– Tarika Marsudiego. Zgadza się.

– Szefa urzędu bezpieczeństwa w Bengazi, podlegającego centralnemu urzędowi bezpieczeństwa Libii, którym szczęśliwie od lat ja zarządzam?! – wyrzaskuje retoryczne pytanie, bo przecież obaj doskonale o tym wiedzą. – Dzwonź zatem do niego, że przyjeżdżam za pięć minut. Niech szykuje wszystkie dowody, które powinien był mi przedstawić w grudniu zeszłego roku. Bo wtedy, jak widzę z twoich marnych akt, wybuchła ta cała epidemia. Dowiaduję się o wszystkim, kiedy mamy ponad setkę zakażonych, a wy na chybił trafił zaczynacie aresztowania! To niewyobrażalne! – Teraz już Libijczyk wali obiema pięściami w stół i krzyczy, aż z jego ust pryska ślina. – Nie-wy-o-bra-żał--ne! – powtarza dobitnie, po czym skacze na równe nogi, kopie krzesło, z buta otwiera drzwi i opuszcza posterunek.

Policjant nie potrafi ocenić, czy jest bardziej wściekły czy przerażony. Wie jednak na pewno, że ta sprawa nie będzie ani łatwa, ani krótkoterminowa. Ten przypadek śmierdzi na kilometr i obawia się, że nawet wszechwładny Musa Kusa, któremu ponoć sam wódz Muammar Kaddafi je z ręki, nie rozwiąże kazusu bułgarskiego, nie brudząc sobie przy tym swoich wypielęgowanych rączek.

Kristina zostaje zwolniona jeszcze tego samego dnia, a z nią ponad dwadzieścia innych niesłusznie zatrzymanych osób. Żadna z nich nie zdaje sobie sprawy, że mogą jeszcze wrócić do lochów i gehenny, której przedsmak dopiero poznały. W areszcie pozostały cztery bułgarskie pielęgniarki i pakistański doktor stażysta. Teraz wszyscy zatrzymani zostali przeniesieni do jednej dużej celi i śpią na wspólnym materacu. Pociuszający jest fakt, że wstrzymano tortury, jakby na coś czekano z prowadzeniem dalszego śledztwa. Bułgarki liczą na rychłe zwolnienie, bo przecież są niewinne, ale doktor nie jest takim optymistą, gdyż żyje w tym kraju ze statusem uchodźcy od dziecka i wie najlepiej, że w Libii sprawiedliwości rzadko staje się zadość. Jeśli już tu trafił, to raczej o własnych siłach stąd nie wyjdzie i na pewno zostanie o coś oskarżony.

– Kochany, dziękuję ci. – Kristina od razu dzwoni do swojego wszechmocnego sponsora, bo z takiej opresji tylko Bóg albo on mógł ją wybawić.

– Nie ma sprawy. Chciałbym tylko się dowiedzieć, co naprawdę jest grane.

– Ja też, ale nie jestem w stanie ci tego wyjaśnić, bo sama nic nie wiem. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Przyjdiesz do mnie dzisiaj? – pyta przymilnie kobieta. – Boję się być sama. Tylko z tobą czuję się bezpieczna.

– To nie siedź sama – odburkuje Musa, nie wiadomo czemu podenerwowany jej słabością. – Wyjdź do ludzi. Najlepiej idź do bułgarskiego konsulatu – doradza, bo zdaje sobie sprawę, że obecnie tylko status dyplomatyczny może ochronić Kristinę. – Ja muszę wracać do Trypolisu.

– Dlaczego? Myślałam, że teraz ty będziesz prowadził śledztwo tutaj, na miejscu. – Bułgarka jest mocno zdenerwowana wyjazdem kochanka, bo bez jego protekcji w każdej chwili może wrócić do

więzienia. Zwłaszcza że słyszała o zatrzymaniu w areszcie paru osób jej narodowości, więc sprawa nie została definitywnie zamknięta. – Kto wyjaśni kwestię tych nieszczęsnych dzieci? Całe Bengazi huczy! To nie jest pojedynczy przypadek. Zarażonych są setki! – Wybucha histerycznym płaczem, roniąc łzy z żalu zarówno nad bezbronnymi, chorymi dzieciaczkami, jak i nad tymi, którzy będą musieli za to ludobójstwo ponieść niesprawiedliwą karę. Jest przekonana, że to jakiś szwindel i winnych nigdy nie zobaczy żadna sala sądowa. Szalony Kaddafi na wiecu, który był emitowany w państwowej telewizji, obrzucał oskarżeniami CIA i Mosad, opowiadając totalne bzdury o ich winie i udziale w zakażeniu dzieci.

– Zadzwońię do ciebie – obiecuje Libijczyk, choć w głębi duszy czuje, że to ich ostatnia rozmowa.

– Nie, proszę! Muszę cię zobaczyć! – Kristina szlocha rozpaczliwie. – Kochany mój! Nie zostawiaj swojej Kristi-nki. Mogę przyjść do ciebie do hotelu Tibesti. To tam rezydujesz, prawda?

– Lot mam o siedemnastej. Jak zdążysz...

– Zdążę! – Kristina po kobiecemu rozumuje, że jeśli jeszcze raz zadowolony swojego opiekuna, ten nie zostawi jej w tragicznej sytuacji. Kobieta nie wie, kiedy należy zrezygnować z miłości i szukać innych dróg ratunku.

W ekspresowym tempie usiłuje doprowadzić się do porządku, jednak tym razem nie jest to takie proste jak zawsze. Do tej pory była zażywną kobietą w sile wieku, pulchną, ale o twardym jak rzepa ciele i jasnej karnacji z naturalnie zaróżowionymi policzkami. Zawsze wyglądała zdrowo, nawet po nieprzespanej nocy, poruszała się żwawo, maszerując z głową podniesioną do góry i dumnym czołem. Teraz, po niespełna tygodniu w więzieniu, jej ciało sflaczało, opadło, a biała skóra w wielu miejscach jest pokryta fioletowo-bordowo-zielonymi krwiałkami. Nadgarstki i kostki ma otarte do żywego ciała, które przez więzienny brud i bakterie cieknie posoką i ropą. Wszystkie otwarte rany pielęgniarka sprawnie dezynfekuje jodyną lub smaruje maściami z antybiotykiem. Następnie dyskretnie je zasłania, choć powinna zrobić większe opatrunki z septycznej gazy i bandażu, jednak nie wyglądałyby one estetycznie, a przecież nie może się prezentować jak ofiara. Chce nadal być atrakcyjna. Dlatego pokrywa twarz grubą warstwą fluidu, na który nakłada róż, a potem robi mocny makijaż. Nie jest z siebie zadowolona, bo jej zawsze ładna buzia wygląda jak maska, a opuchlizna i sińce pod oczami i tak prześwitują.

– Trudno – podsumowuje, stając przed lustrem i taksując się surowym wzrokiem. – I tak jestem niezłą dupą, więc Musik powinien się ucieszyć na mój widok. – Uśmiecha się kokieteryjnie i obraca wokół własnej osi, oceniając krągłą pupę i kształtne nogi. – Jest lepiej niż w areszcie.

Kristina zawsze była pewna siebie i przebojowa, a krótka odsiadka nie złamała jeszcze jej ducha. Wskakuje w buty na wysokim obcasie, obciąga kolorową, teraz luźno wiszącą na niej sukienkę i wybiega na ulicę, która tonie w słonecznym świetle, pyle i hałasie trąbiących samochodów. Łapie taksówkę, a kierowca oczywiście nie może sobie odpuścić, by nie adorować jej i bezczelnie podrywać. Nie pomaga oświadczenie kobiety, że w Bengazi pracuje, i kłamstwo, że jest tu z mężem i dziećmi. W końcu podenerwowana klnie po arabsku, posyłając Libijczyka do wszystkich diabłów. Po pokonaniu korków, które zawsze tworzą się przy wjeździe na promenadę, już sprawnie docierają do hotelu Tibesti. Bułgarka, luźno zasłaniając głowę barwną chustą, na pewniaka pokonuje hol i zmierza do windy. Nikt jej nie zatrzymuje, bo pracownicy ją znają, gdyż nie raz już bywała u Musy Kusy lub wspólnie wychodzili stąd na miasto, bez skrępowania trzymając się pod rękę. Ten mężczyzna nie musi się ukrywać ani krygować. Jemu wszystko wolno, o czym wie cała obsługa hotelowa, dlatego przezornie trzyma buzie na kłódkę. Ona zaś to pielęgniarka, więc opinię ma doklejoną po koleżankach po fachu. Wszyscy Libijczycy uważają cudzoziemki pracujące w szpitalach za rozpustnice, ale bardzo przydatne, więc na wiele ich ciemnych sprawek przymyka się muzułmańskie oko.

– Witaj, kochana. – Musa delikatnie całuje Kristinę w policzek, co dla niego jest nietypowe, ale po ostatnim spotkaniu w więzieniu boi się jej dotknąć, bo pamięta dokładnie jej okaleczone ciało. Nigdy go to nie przerażało ani nie obrzydzało, bo przecież niejednokrotnie sam wykonywał wymyślne tortury, ale też wcześniej nie dotknęło to nikogo z jego otoczenia. Nigdy kogoś bliskiego jego sercu,

a od pół roku Kristina zalicza się do takich osób. – *Kif halik100, habibti?* – pyta troskliwie, całując kobietę w grzbiet dłoni, a następnie w wewnętrzną część nadgarstka, co od razu powoduje trzepot serc i przyspieszony oddech kochanków.

– *Kullu tamam101* – odpowiada Bułgarka, zarzucając ciepłe, miękkie ramiona na szyję ukochanego. – To, co się zdarzyło, to był zły sen. – Uśmiecha się smutno. – Muszę wymazać ten koszmar z pamięci.

– Lepiej potraktuj go jako przestrogę – znów ostrzega Musa, sam nie wiedząc jeszcze, na czym stoją. – Bądź rozważna.

– Nie lubię być rozważna... – Kobieta wsadza rękę pod jego rozpiętą koszulę, a drugą sięga po nabrzmiałą już męskość. – Gdybym była rozsądna i wstrzemięźliwa, na pewno by mnie tu nie było.

– Wyjedź z Libii, proszę... – Kusa zrywa jej majtki i sięga do wilgotnej z podniecenia waginy. – Przynajmniej na jakiś czas.

– Chcesz się mnie pozbyć? – podejrzliwym tonem pyta przez ściśnięte gardło. – Niedobry jesteś... – Kristina traktuje ich rozmowę jak ekscytującą grę wstępną. Zarzuca nogę na biodro kochanka i kieruje jego stojącego wielkiego fallusa do swojego pulsującego wnętrza. – Wytrzymasz beze mnie? – szepcze chrapliwym głosem prosto do ucha adoratora. – Jak długo? – Wsadza swój śliski język między jego namiętne, obfite, twarde wargi, a po chwili w ekstazie podniecenia boleśnie je przygryza.

– Kristi, posłuchaj choć raz... – charczy Musa, regularnie napierając na wrzący gejzer rozognionej kobiety. – Kristi... Kristina...

Spełnienie przychodzi szybko, ale kochankowie znają już siebie doskonale i ten styl seksualnego pożycia odpowiada jednemu i drugiemu. Po gwałtownym zaspokojeniu pierwszej chuci przychodzi czas na pieszczoty i dawki erotycznych emocji. Musa zanoszą swoją kochanicę do sypialni, lecz dziś nie jest tak wyluzowany jak zazwyczaj. Co chwilę spogląda na zegarek, zawiesza wzrok za oknem albo martwo patrzy na przeciwległą ścianę. Kristina nie zauważa niczego, nic jej nie niepokoi, bo jest szczęśliwa i zadowolona jak nigdy dotąd.

– Wiesz co, kochanie? – zagaja, przymykając rozkosznie oczy. – Dopiero gdy coś tracimy, zaczynamy doceniać tego wartość – wygłasza sentencję znaną od wieków. – Dlatego dzisiaj świat dookoła wydaje mi się taki piękny, powietrze świeże i krystalicznie czyste, słońce jeszcze bardziej jasne, a seks z tobą niewiarygodnie upojny. – Śmieje się uroczo. – Na samą myśl o tym, co robiliśmy i co za chwilę znów będziemy robić, czuję nie fale namiętności, ale sztorm w podbrzuszu, a kiedy tylko musnę twego wspaniałego, hardego ptaszka, natychmiast mam orgazm.

Pochyla się nad rozwalonym na łóżku jak pasza pięćdziesięcioletnim przystojnym mężczyzną i począwszy od jego klasycznej arabskiej twarzy, przez owłosioną klatkę piersiową, twarde, umięśniony brzuch, scałowuje pot i spermę z jego skóry. Kiedy sięga po jego penis, Musa wydaje z siebie głośny jęk i napręża ciało. Kristina najpierw delikatnie językiem pieści jego żołądź, potem co rusz wsadza ją sobie do ust, ssie przez chwilę i przestaje, ssie i przestaje, by w międzyczasie pocierać wrażliwym męskim narządem o swoje policzki. Kiedy czuje zbliżające się spełnienie, a członek mężczyzny zaczyna falować w jej dłoniach, jeszcze parokrotnie czubkiem języka dotyka odkrytego wędzidelka, by przyjąć go jak najgłębiej, aż do swojego gardła, masować o swój język, podniebienie i policzki i ssać aż do momentu, gdy wytryśnie z niego biała, pienista i gęsta lava.

Kochankowie odpoczywają po wyczerpującym, satysfakcjonującym seksie. Kristina przysypia na ramieniu ukochanego i jak zawsze czuje się przy nim bezpieczna. Jednak Musa nadal nie jest w stanie się zrelaksować i rozluźnić. Przeklina swój los, bo kiedy tylko poznał kobietę, z którą mógłby spędzić choćby i resztę życia, rzucić dla niej wszystko, wyjechać stąd, osiąść gdzieś na Zachodzie i spożytkować miliony dolarów ulokowane w szwajcarskich i londyńskich bankach, okazuje się, że jest ona uwikłana w najbardziej śmierzdzącą sprawę w jego długoletniej karierze. Ledwo zamknął Lockerbie i oczyścił skalany honor swojej ojczyzny, musi ogarnąć kolejny bajzel, w który wpędził swój nieszczęsny kraj szalony, wiecznie naćpany przywódca Muammar Kaddafi.

Jeśli Kristina jest sprytna i ma deko rozumu, posłucha go i wyląduje w bułgarskim konsulacie,

a oni wywiozą ją z Libii kanałem dyplomatycznym. Jeśli jednak jest naiwna i głupia, to zostanie w domu, ciesząc się chwilową wolnością, i zapewne po paru dniach wróci do więzienia, z którego tym razem tak szybko nie wyjdzie. Musa dowiedział się bowiem, że jego podwładny, naczelnik urzędu bezpieczeństwa na region Cyrenajki, Tarik Marsudi dostał dziwne wytyczne z samej góry, bezpośrednio od libijskiego lidera. Musi znaleźć winnych zakażenia wirusem HIV ponad czterystu dzieci z Bengazi, osadzić ich, osądzić, skazać i wykonać wyrok. I to jak najszybciej. Na dzień dzisiejszy najlepszymi kozłami ofiarnymi będą obywatelki słabej, bezbronnej Bułgarii, za którą nikt się nie wstawi, nikt nie będzie kruszył kopii. Pielęgniarki mają się do wszystkiego przyznać i tyle. Rodziny dzieci będą zadowolone, bo dostaną winnego, którego będą mogły nienawidzić i oskarżać. A kto tak naprawdę ponosi odpowiedzialność za tę aferę? To Tarika nie powinno interesować. Ale Musę Kusę interesuje, i to bardzo. On jest analitykiem, musi wszystko wiedzieć i zawsze dojść prawdy. Dlatego zostawia swoją gorącą kochankę, największą miłość swojego życia, i gna wściekły do wojskowych koszar Bab al-Azizija w Trypolisie, w których Kaddafi najchętniej rezyduje w kryzysowych momentach.

– Co jest grane z tymi bułgarskimi pielęgniarkami? – pyta od progu podniesionym głosem, nie bacząc na to, że zwraca się w ten sposób do potężnego i groźnego przywódcy roponośnego arabskiego kraju. – Co to za nowa afera z tym HIV? – Najbliższy zausznik tyrana może sobie pozwolić na taki styl bycia.

– Czemu tak się denerwujesz? – dziwi się Kaddafi, bo Musa Kusa uchodzi za zimnego drania, ma przewisko posłańca śmierci i do tej pory mało sytuacji było w stanie wyprowadzić go z równowagi. – Siadaj, przyjacielu, i napij się herbaty.

Wódz spoczywa rozparty na sofie, ma półprzymknięte oczy i twarz przypominającą maskę. Musa Kusa zastanawia się, gdzie się podział człowiek, który kiedyś zaimponował mu do tego stopnia, że w siedemdziesiątym ósmym napisał magisterską dysertację na temat wpływu pochodzenia i środowiska na wielkiego przywódcę Libii. Poznał wtedy rodzinę, przyjaciół i współpracowników największej wschodzącej gwiazdy polityki północnej Afryki.

– Powiesz mi, drogi panie, coś sensownego na temat tej afery, która zaczyna przeciekać za granicę? – Już trochę spokojniej ponawia prośbę as libijskiego wywiadu. – Jak to możliwe, że ponad czterysta dzieci złapało HIV? Tylko nie mów mi o odpowiedzialności Bułgarek. Nie traktuj mnie jak idioty! – Znów się złości, bo ostatnio nerwy ma napięte jak postronki.

– To CIA! – wykrzykuje wódz, jakby mniemał, że nadal jest na wiecu. – Widzę w tym macki Mosadu! – wskazuje innego, absurdalnego winnego.

– Co ty pieprzysz? – Musa Kusa tym razem nie może spokojnie znosić bzdur, wydobywających się z oślinionych, groteskowo wykrzywionych ust lidera. – Jakie CIA? Ledwo z twoim świątym synem Sajfem al-Islamem załagodziłem sprawę zamachu nad Lockerbie, wypłaciliśmy horrendalne pieniądze rodzinom ofiar, dzięki czemu udało się przekonać Zachód do naszej skruchy i odzyskać ciepłe stosunki z Ameryką, a ty zaczynasz gryźć ich agencję wywiadowczą, z którą coraz lepiej mi się współpracuje?

– No to co mam powiedzieć? – pyta Muammar jak zagubiony chłopiec, oczekując porady od wszystkowiedzącego, mądrego doradcy. – Dzieci zostały zakażone w szpitalu al-Fatah w Bengazi. Pracują tam pielęgniarki różnej nacji, które zostały przekabacane przez obcy wywiad... Chyba dobra bajka, no nie?

– Nie za bardzo. Czemu nie padło na przykład na Filipinki? Pracuje ich najwięcej w naszej branży medycznej.

– Sam sobie udzieliłeś odpowiedzi. – Rozmówca jakby zaczął przytomnieć, siada prosto, a jego oczy odzyskują ślad dawnego blasku i inteligencji. – Nie możemy stracić czterdziestu procent obsady medycznej, a tak by się stało, gdybyśmy oskarżyli reprezentantów tej nacji. Wszyscy by uciekli, a nasze szpitale moglibyśmy zamknąć.

– Polacy też nie? – pyta, już retorycznie, biegly polityk.

– No coś ty! – Kaddafi parska śmiechem. – Mają swojego papieża! Cały świat by się na nas rzucił za takie oskarżenie. Poza tym w szpitalu al-Fatah pracują również polskie siostry zakonne. Jeśli

włos spadłby im z głowy, zrobiliby z nas arabskich terrorystów walczących z chrześcijanami. Na to nie idę. Terroryzm już mamy za sobą. – Kpi ze swojej niechlubnej przeszłości, którą dopiero niedawno udało się odkupić.

– Więc Bułgaria. Słaba, bez międzynarodowych popleczników. Może Ruscy ich trochę wesprą, ale też nie podłożą się za taką śmierdzącą sprawę. – Musa kiwa głową, potwierdzając tym samym wyrok wydany na niewinną nację. – A tak naprawdę o co chodzi, co? Nikt mi nie wmówi, że tyle dzieci można zainfekować brudnymi strzykawkami. To historyjka dla maluczkich, a ja żądam prawdy.

– O której oczywiście nikt inny się nie dowie.

– Oczywiście. Dziwne pytanie.

– Nie pytanie, ale stwierdzenie. Jak bym mógł w ciebie wątpić. – Kaddafi chwyta swojego zagorzałego poplecznika za rękę, patrząc mu wymownie w oczy.

– No właśnie. W końcu to ja dbam o bezpieczeństwo i tajne sprawy naszego kraju. – Musa poklepuje go uspokajająco po dłoni.

– I jesteś w tym najlepszy, przyjacielu. – Wódz zwleka z odpowiedzią, bo ciężko mu wyznawać tajemnice, które bezpośrednio dotyczą jego rodziny.

– Więc kto dał dupy i dlaczego?

– Mój kuzyn...

– Co z nim? Co on ma do rzeczy? – Musa Kusa nie widzi sensu w wypowiedzi i boi się, że wódz znów wpada w narkotyczny letarg i nic już z niego nie wyciągnie.

– Jeden z moich kuzynów, Sulaiman, nasz minister zdrowia, nawiązał współpracę z młodą, nikomu nieznaną, ale obiecującą francuską firmą farmaceutyczną, od której zakupił osocze oraz leki produkowane na jego bazie. Wszystko było dobrze, oszczędziliśmy setki tysięcy dolarów, a pacjenci mieli przede wszystkim niezbędną i drogocenną krew do transfuzji, lecz po jakimś czasie okazało się, że we Francji dawcami byli najgorsi menele, emigranci z Czarnej Afryki, którzy przytargali do Europy AIDS. Tania firma nie badała zdrowia dawców albo testy robili wybiórczo, bo kiedy mieli zbyt na swój produkt do dzikiego kraju, nikt się nie przejmował, myśląc, że ewentualna zakażona dawka zginie u nas jak igła w stogu siana. Kto by się spodziewał epidemii? Kiedy kuzyn się dowiedział, że medyczny interes stulecia to paskudny szwindel, było już za późno.

– Czemu nie powiedzieć, że oszukała nas firma z Europy? – zastanawia się Musa Kusa. – Przecież to ich wina, a nie nasza. A tym bardziej nie bułgarskich pielęgniarek. – Ciągłe do nich wraca, bo wciąż ma przed oczami atrakcyjną postać Kristiny, a na języku posmak jej ejakulatu.

– Mamy się przyznać, że śpiąc na ropie naftowej i mając niewyobrażalne bogactwa naturalne, oszczędzamy na libijskim narodzie i jego zdrowiu? – logicznie tłumaczy Kaddafi. – Na dokładkę ten haniebny biznes robił mój chytry, chciwy kuzyn, więc beknę za to ja, gdyż w naszym kraju panuje odpowiedzialność zbiorowa. Doskonale o tym wiesz.

– Cóż, co racja, to racja. Musimy się z tego wykręcić. – Szef wywiadu obawia się, że będzie to bardzo trudne, bo śmierć dzieci zawsze wzbudza dużo emocji. – Czuję, że nie wyjdziemy z tego obronną ręką. Libijczycy oskarżą nas, że uderzyliśmy w opozycję, której w Bengazi zawsze mieliśmy w nadmiarze. Zakażenie dzieci zrzucą na nasze barki. A za niewinne bułgarskie pielęgniarke światowa opinia publiczna nas rozszarpie. Będziemy opluwani i atakowani z wielu stron.

– Damy radę, przyjacielu. Już ty tak tym pokierujesz, że odsuniemy od siebie odpowiedzialność. Przykro mi z powodu twojej metresy, ale dobro i bezpieczeństwo narodowe są ważniejsze. – Kaddafi, wyczerpany długą i drażliwą rozmową, opada na poduszki. Widać, że poziom narkotyku w jego krwi gwałtownie spadł i mężczyzna zaczyna odczuwać potrzebę przyjęcia kolejnej dawki. – Jak będziesz wychodził, każ tu przyjść Malice. Potrzebuję jej – prosi jeszcze słabym głosem.

– Jeśli ja mam zrezygnować z mojej kochanki dla dobra naszego kraju, to ty zrezygnuj ze swojej. Ta miłość cię zabije!

– Co ty bzdurzysz?

– Lepiej było się z nią ożenić, kiedy był czas po temu. A jeśli tego nie zrobiłeś, to ją odeślij. Oddaj jej własne życie, a ona niech się od ciebie odczepi. Niech w końcu przestanie udawać, że ci

pomaga, faszerując cię medykamentami. Panie mój! Genialny władco! Jeśli mam zostać i zająć się tym bałaganem, będę potrzebował twojego wsparcia. Naród cię potrzebuje! Ciebie, a nie nacpanej marionetki. Niech Malika Salimi zniknie z twojego otoczenia.

– Ty mi rozkazujesz? – Kaddafi próbuje się poderwać, ale mu się to nie udaje, więc jedynie mierzy swojego druha nienawistnym wzrokiem. – Jak śmiesz?!

– Jeśli tego nie zrobisz, jeśli nie pójdziesz na odwyk, zostawię cię samiuteńkiego z całym tym bajzlem. Wyjadę stąd gdzie pieprz rośnie i tyle mnie zobaczysz. A wtedy będziesz mógł się zaćpać na śmierć!

* * *

– Zjemy deser? – Musę Kusę wybudza ze wspomnień odległej przeszłości miły, młody kobiecy głos. – Coś spochmurniałeś. – Daria boi się, że czymś uraziła starszego pana.

– Przepraszam, moja droga. Zamyśliłem się nad tym, jak to kiedyś w Libii rozwiązywało się trudne sprawy. Jak było ciężko i człowiek musiał rezygnować dla pracy z własnego życia i prywatności. Trzeba było zapomnieć o miłości.

– Na pewnych stołkach tak już jest. Inni, nieważni, których życie nie ma żadnego znaczenia, czasami rzucają wszystko i idą za głosem serca. Ale to są idioci.

– Nie mów tak. To szczęściarze. – Ojcowskim gestem poklepuje ją po ręce, patrząc na nią życzliwie starczymi zażawionymi oczami.

– Niekoniecznie, ale to inna śpiewka. Więc wy w tej waszej szczęśliwej Libii kiedyś potrafiliście rozwiązać każdy problem? – zagaduje Daria, chcąc dowiedzieć się czegoś o mentalności ludzi żyjących niegdyś w tym kraju, bo obecnie wyszły tu na jaw najgorsze ludzkie instynkty, które ciężko będzie zagnać w ciemny kąt. – Mielście na swoim koncie Lockerbie i inne akty terrorystyczne. – Spoziera na staruszka z szelmowskim uśmiechem. – Oprócz tego głośną sprawę zakażenia wirusem HIV setek dzieci właśnie tutaj, w Bengazi, co zrzuciliście chyba na Bogu ducha winne bułgarskie pielęgniarki.

– Skąd tyle wiesz o moim kraju? – dziwi się Musa. – Nie mów tylko, że każde europejskie dziecko uczy się o tym w szkole. W latach, kiedy miały miejsce te wydarzenia, mogłaś być co najwyżej uczennicą podstawówki w niebieskim fartuszkach z białym kołnierzykiem i ze śmiesznymi kucykami na głowie.

– W moim domu interesowano się tym regionem świata. Mama ciągle śledziła, co się tutaj dzieje. Zresztą moja siostra również. – Daria nic więcej nie dodaje. – Ale powiedz mi, bo jestem ciekawa, o co tak naprawdę chodziło z tymi nieszczęsnymi Bułgarkami? Zawsze nas to nurtowało, a nie uwierzyłyśmy w ani jedno słowo przekazywane w mediach.

– Cóż, kiedy nie wiesz, o co chodzi, to przeważnie chodzi o pieniądze. – Staruszek uśmiecha się smutno, nadal mając przed oczami młodą twarz Kristiny. – W sumie dzięki tej wpadce wszystko w Libii zaczęło się zmieniać na lepsze, więc i ród Kaddafich musiał jakoś ewoluować. Niepisany następca pułkownika Muammara Kaddafiego, jego ukochany syn Sajf al-Islam oczyszczał nas z zarzutów i reprezentował na arenie międzynarodowej, a jedyna córka wodza, Aisza, aktywnie działała w założonej przez niego charytatywnej Międzynarodowej Fundacji Kaddafiego na rzecz Rozwoju, pomagającej zakażonym dzieciom i ich rodzinom. Piękny gest – kończy rozczulony polityk, który nigdy nie miał czystych rąk jako największy kat Dżamahirijji. Nikomu nigdy nie udało się wyciągnąć od niego prawdy, a sam do tej pory nie zechciał uchylić rąbka tajemnicy.

– Tak, tak. – Daria kiwa głową. – Słyszałam, że nieźle utargowaliście przy okazji uwolnienia torturowanej szóstki z Bengazi102.

– Powiodło się nam. – Musa Kusa chichocze. – To był dyplomatyczny majstersztyk.

– Mówiono, że to ogromny sukces Europy i prezydenta Francji Sarkozy'ego. A ja sądzę, że to przede wszystkim triumf dyplomatyczny Kaddafiego. O tym jednak nikt nie wspominał. – Libijczyk patrzy uważnie na młodą kobietę, po raz kolejny stwierdzając, że jest bardzo bystra i spostrzegawcza. – Nie tylko wasz reżim otrzymał wysokie pieniężne odszkodowania, bo aż po miliony za każde dziecko

niby od emira czy bankiera z Kataru – kontynuuje Daria – ale także obiecano wam układ o stowarzyszeniu z Unią Europejską i pomoc w takich dziedzinach, jak służba zdrowia, szkolnictwo, archeologia i kontrola granic. No po prostu super! – wykrzykuje i z rozbawienia aż klaszcze w ręce.

– Dostaliśmy też gwarancje leczenia dzieci zarażonych wirusem HIV, a to z humanitarnego punktu było najważniejsze. – Na starość Musa Kusa staje się wrażliwym człowiekiem i jest szczęśliwy, że to wywalczyli, bo ma jedną zbrodnię mniej na sumieniu. – Do tego dorzucono nam już konkretne umowy na budowę magistrali drogowej łączącej Libię z Tunezją i Egiptem, budowę kolei pomiędzy libijskimi portami a częścią stolic afrykańskich, a także restaurację zabytków archeologicznych. A wiesz, że wykopaliska na terenie żyznej i pięknej Cyrenajki we współczesnej miejscowości Tolmeita, starożytnym Ptolemais, na przykład prowadzili Polacy? Odkryli tam niesamowite zabytki! Sam port powstał w szóstym wieku przed naszą erą, a miasto w trzecim. Na powierzchni dwustu czterdziestu hektarów, czyli czterokrotnie większej od Pompei, archeolodzy odkryli liczne wille możnowładców, teatry, amfiteatr, niezwykłą, idealnie zachowaną mozaikę z mitem Achillesa, cysterny na wodę, a poza murami miejskimi nekropolie wraz z jednym z najbardziej znanych w tym regionie mauzoleów.

– Pamiętasz takie szczegóły? – dziwi się kobieta, choć sama ciągle wprawia rozmówcę w zdumienie znajomością tematu i detali.

– Tak się składa, że miałem wtedy bardzo dobre układy z ambasadorem Polski i czasami lubiliśmy sobie pogawędzić.

– Naprawdę? Niemożliwe!

– Jak on miał na imię... – głowi się polityk, bo nie lubi, kiedy coś mu umyka. – Witold! Pamiętam! Starszy elegancki pan. Coś jak ja teraz, około siedemdziesiątki. Był świetnym dyplomatą i strategiem.

– A czego jeszcze razem dokonaliście?

– Piliśmy bardzo dobre syropki. – Libijczyk mruga łobuzersko i wybucha śmiechem.

– Co? – Daria unosi brew. – Odurzaliście się?

– Raz do roku na święto Id al-Fitr103 na zakończenie miesiąca ramadanu przysyłał mi apteczkę – mówi konspiracyjnie Musa, pochylając się w stronę rozmówczyni i ścisząc głos do szeptu.

– Tak kiepsko było z medykamentami u was?

– Tak, z tymi, które tam się znajdowały, przędliśmy wtedy w Libii dość cienko. Były w niej najlepsze koniaki, whisky, gin i oczywiście polska wódka eksportowa. Ta apteczka nie raz, nie dwa ratowała moje zdrowie. Oczywiście psychiczne.

Teraz już oboje zaśmiewają się do łez.

– Ale jazda! Fajne miałeś życie, dziadku. – Daria klepie swojego nowego przyjaciela po ramieniu. – A wracając do tematu, kazuś szóstki z Bengazi cholernie wam się opłacił.

Musa Kusa znów zerka na nią czujnym wzrokiem.

– Masz rację, ale ja nadal się zastanawiam, jak mała, nawet bardzo rezolutna dziewczynka mogła tyle zapamiętać z rozmów matki i siostry o Libii. Co ciebie to obchodziło?

– Ta mała dziewczynka z czasem dorosła. Zawsze byłam ciekawa wielu rzeczy. – Inteligentka czuje się mile połączona. – Jestem specjalistką od kolekcjonowania nikomu niepotrzebnych informacji.

– Ale widzisz, jak one teraz ci się przydają?

– Co gorsza, zaśmiecami sobie pamięć, bo jak raz zapamiętam, to zostaje na całe życie. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale w którejś mojej szarej komórce mam zapisane, że reżim pułkownika Kaddafiego, który bardzo długo był krytykowany za wsparcie, jakie świadczył terrorystom, w dwa tysiące siódmym roku otrzymał przede wszystkim gwarancję normalizacji swoich stosunków z Europą. W konsekwencji Libia, która rok wcześniej pogodziła się ze Stanami Zjednoczonymi, otrzymała od Unii Europejskiej status podobny do tego, który przyznany został innym stabilnym, demokratycznym krajom Afryki. Europa z kolei, pilnie poszukująca nowych źródeł energii, znalazła je w Libii. Wilk syty i owca cała. Po dziesięciu latach embarga Libia, bogata w paliwa – bo nie tylko w ropę naftową,

ale i w gaz – oferuje nowym demokratycznym kontrahentom swój ogromny potencjał. Życie nie umierać!

– A kto pamięta o Bułgarkach i Palestyńczyku? – pyta Musa Kusa, bo sam od młodości ma żylkę badacza i widzi w tej młódce pokrewną duszę.

– Niestety, nikt – wzdycha kobieta. – Cała oskarżona szóstka mówiła, że była poddawana wstrząsom elektrycznym, bita kijami, skakano po nich, a dwie kobiety zeznały, że zostały zgwałcone. Jedna nawet próbowała popełnić przez to wszystko samobójstwo. Czytałam też o straszaniu ich rozwścieczonymi psami, podtapianiu i zrywaniu paznokci. – Daria mówi to ze stoickim spokojem, a Musa obiecuje sobie, że bezwzględnie musi zebrać informacje o tej dziewczynie, bo za chwilę pęknie z ciekawości, kim ona jest. Jej reakcje nie są typowe, a wręcz przeciwnie – bardzo odbiegają od przyjętych. *Czyżby tak jak Alzani była dżihadystką?*, zastanawia się i serce mu drży, bo bardzo polubił tę młodą, a znenawidzonym fundamentalistom zaprzysiągł wojnę na śmierć i życie.

* * *

– Niech pani mnie wpuści do Hudy! Niech pani nie będzie zacofaną kobietą! – Uniwersytecka koleżanka brzemienną irańską studentkę usiłuje wepchać się w wąską szczelinę pomiędzy drzwiami a futryną. – Muszę z nią porozmawiać. Nie możecie jej zamykać przed całym światem!

– Możemy. Kto zabroni rodzinie zamknąć dziewczynę na cztery spusty w domu? Jeszcze nas pochwalą. – Matka, choć zawsze starała się być w miarę nowoczesna i dawać córce jak najwięcej wolności, teraz tego żałuje i zaczyna konstatować, że przetrzymywanie dziewcząt w zamknięciu jest nie tylko czynem bogobojnym, ale też rozsądnym i wygodnym. *Takie panienki na pewno nie będą chodziły z niechcianym brzuchem, bo raczej nie są wiatropylne*, podsumowuje logicznie. – Wszystkie powinnyście siedzieć w czterech ścianach i się modlić, a nie włóczyć samotnie po ulicach, uczyć jakichś głupot w szkołach i na uniwersytetach i czytać romanse, które potem chcecie wprowadzać w życie. Życie nie jest bajką, moja panienko! Wasza nowoczesność prowadzi tylko i wyłącznie do samych kłopotów – kończy tyradę i opasłym, potężnym brzuchem usiłuje dopchnąć masywne, okute metalem drzwi.

– Faris by się z nią ożenił, gdyby tylko pani mąż mu na to pozwolił! – wypala dziewczyna, bo nie mając nic do stracenia, postanawia grać *va banque*¹⁰⁴.

– O czym ty mówisz? Kto taki? I niby dlaczego tego nie zrobił? Tchórz jeden! Moja córka ma długą listę adoratorów, i to z najlepszych rodzin. – Matka udaje Greka, rozglądając się bojaźliwie dookoła, bo kiedy po Teheranie rozniesie się wieść, że córka wielkiego generała Sulejmani jest w ciąży i jej ojciec to ukrywa, to zapalczywi fundamentaliści gotowi nie tylko ukamienować Hudę, ale też skrócić o głowę jej tatę. – Dajże ty spokój, dziewczyno!

– Może i macie listę kandydatów do ręki Hudy, ale jej wybranek i tak jest najlepszy. Faris jest z rodu Pahlawich¹⁰⁵ – szepcze młoda prosto w twarz przerażonej kobiecie.

– Co? – Chadidży aż oczy wychodzą z orbit. – Co ty znowu gadasz?

– To, co pani słyszy. – Koleżanka wykorzystuje krótki moment zaskoczenia upartej tradycjonalistki i wpycha się do domu. – Takiego męża w Iranie jej nie znajdziecie. On przyjechał aż ze Stanów Zjednoczonych – mówi, robiąc teatralne miny i unosząc czarne brwi do połowy czoła. Pomimo ściszonego głosu słychać ją na całym parterze willi.

Przerażona Iranka bezpardonowo zatyka jej usta ręką, bo słowo „Ameryka” jest chyba jeszcze gorsze od słowa „ciąża”.

– Po co niby miałby tu wracać jakiś Pahlawi? Nie ma już do czego. – Na twarzy kołtunki, należącej do tych, którzy ród szacha w Iranie stracili z piedestału, widać ogromne przerażenie, ale też człołobitność i służalczość prostaczki. – Czego tu szuka? Mojej Hudy? Musiał jej dziecko zrobić?

– Dostał oficjalną państwową zgodę na studia w swojej ojczyźnie. – Z dumą oświadcza zwolenniczka monarchii, bo jej rodzina również mocno ucierpiała w wyniku rewolucji, lecz nie miała tyle szczęścia, żeby uciec. – Jako że w czasach panowania swoich krewniaków i podczas rewolucji jeszcze go nie było na świecie, nic nie zawinił przeciwko panującemu rządowi, więc okazało się, że nie

ma problemu... Aż do czasu, kiedy pani mąż się za niego zabrał.

– Czyli mówisz, że ten... Jak mu tam...

– Faris.

– No właśnie, Faris jest z rodu szacha i po tym, jak zbałamucił Hude, chciałby się z nią ożenić? A potem może nawet zabrać ją do Ameryki? – Kobieta wymawia ostatnie słowo jak święte, wywracając przy tym oczami. Nie liczyła na taki wspaniały los dla swojej córki. *A ten mój głupi mąż chce ją wywieźć do Libii i wydać za nie wiadomo kogo, ale na pewno nie wyżej urodzonego. Za jakiegoś pastucha! Co za wredny typ z tego Ghasema*, podsumowuje swoją brzydszą połowę, której nigdy nie darzyła ani wielkim szacunkiem, ani miłością. *Zwyczajny idiota!*

– Nikt tu nikogo nie bałamucił, droga pani. – Studentka jest zniesmaczona postawą głupiej kobiety i współczuje koleżance takiej matki i jeszcze gorszego ojca. – Istnieje coś takiego jak miłość. Słyszała pani o takim uczuciu? – pyta bezczelnie.

– Nie w naszym kraju – szczerze odpowiada Chadidża, której czasem też marzą się namiętność i zaangażowanie. – I co z tym Farisem?

– Pani mąż się nim „zaopiekował” – ironizuje młoda. – Przesłuchiwał go. Chciał wmówić w niego anarchistrę i monarchistrę, jak w Żyda chorobę, ale mu się nie udało, bo nasz przyjaciel do niczego się nie przyznał. Nie miał zresztą do czego – szybko dorzucił. – Niech pani jeszcze spróbuje uratować przyszłość swojej córki. Może ona być tragiczna albo cudowna i radosna. Teraz wszystko zależy od pani.

– Chodźmy więc do Hudy. – Gospodyni, długo się nie namyślając, podejmuje śmiałą decyzję. – Jest trochę słaba i chora, ale...

– Usunęła ciążę? – Koleżanka jest przerażona, bo wie, jakimi metodami robi się to w Iranie i ile kobiet traci życie przez tragiczne warunki, zakażenie i brak medycznych umiejętności domorosłych akuserek.

– Nie udało się. – Matka ze smutkiem kręci głową. – Dziecko zbyt mocno się w niej zagnieździło.

– Boże... – Studentka najchętniej trzasnęłaby tę prymitywną babę w pysk, ale wie, że nie może tego zrobić. Musi za wszelką cenę wyrwać przyjaciółkę z łapsk jej strasznych, zacofanych i groźnych rodziców. – Chodźmy do niej.

Dwie kobiety – młoda, piękna i szczupła, delikatnie umalowana, ubrana w nowoczesną zagraniczną odzież z kolorową chustą, zarzuconą teraz na ramiona i odsłaniającą burzę czarnych włosów opadających na plecy, oraz stara, niska i gruba, odziana w szeroką, standardową muzułmańską galabiję, o pospolitych rysach twarzy i włosach przetkanych siwizną – przemierzają bogato urządzone dom nuworyszy, którymi małżeństwo Sulejmani pozostanie na zawsze. Wyszli z biedy i nędzy, z prostactwa i nizin społecznych, a rewolucja obsypała ich dobrami materialnymi i dała wysoką pozycję. Jednak prymitywizm i brak wykształcenia na zawsze zdominowały ich życie. Nie da się tego ukryć, nawet stąpając po pięknych, perskich dywanach, wyściełających marmurowe podłogi w niemal całym domu, które gospodyni pokonuje na bosaka.

– Huda, córeczko... – Matka otwiera ciężkie, drewniane drzwi wielkim, metalowym kluczem i wchodzi do pogrążonego w mroku pokoju córki. – Czemu nie odsłaniasz żaluzji? – Po omacku podchodzi do okien. – Nie można tak żyć! – krzyczy, lecz kiedy spoziera w wymizerowane, bledziutkie oblicze córeczki, leżącej na wielkim łożu z baldachimem, zalewa ją fala smutku. Dziewczyna jest przykryta pod samą brodę, a oczy ma półprzymknięte. – Co z tobą? Jak się czujesz? Coś nie tak? – Spanikowana kobieta podnosi głos, wspominając ostatnią zapaść córki po eksperymentach z domowymi środkami na spędzenie płodu.

– *Ahlan wa sahlan*106, *ja sadiqati*107. – Przyjaciółka jest przerażona, widząc stan brzemiennej, i zniesmaczona warunkami, w jakich jest przetrzymywana. – W tak wielkim domu daliście jej do użytku tylko sypialnię z łazienką? Co za granda! Nie mogłaby stąd wychodzić chociażby do kuchni, żeby coś zjeść? Zabroniliście jej korzystania z ogrodu? – Wygląda przez okno na cudowną oazę z wypielęgnowanymi krzewami, klombami róż i zieloną trawką wokół sporych rozmiarów altanki,

znajdującej się pod jednym z murów ogradzających rezydencję. – Raczej nie przeskoczy przez tę czterometrową ścianę z zasiekami i tłuczonym szkłem na górze. – Wygina w pogardzie usta. *Styl koszar i więzienia general przeniósł do domu. Widać dobrze, a przede wszystkim bezpiecznie, się czuje w takich warunkach*, myśli. Ojciec Hudy cieszy się wśród młodych ludzi, szczególnie teherańskich świątłych studentów, nie najlepszą opinią.

– Kochana moja! – Brzemienna, słysząc znajomy głos, wyskakuje z łóżka i podbiega do koleżanki. Tuli się do jedynej życzliwej duszy, która pojawiła się w jej samotni od miesiący. – Jak ci się udało sforsować zasieki mojego internowania? – ironizuje z niezdrowym rumieńcem na twarzy.

Studentka lustruje kumpelkę, która wygląda na chorą i starszą o dziesięć lat. Jest chuda jak szczapa, ma zapadnięte policzki, a ramiona wątłe jak patyki. Pomimo ogólnego wycieńczenia ciężowy brzuszek rośnie i widać go już pod obszerną białą koszulą nocną, która wisi na Hudzie jak na strachu na wróble.

– Jakoś się udało. – Dziewczyna obejmuje zabiedzoną przyjaciółkę, po czym obie siadają na brzegu łóżka. – Czy byłaby pani tak miła i zostawiła nas na chwilę same? – Studentka zwraca się do matki, łypiącej spode łba na dwie kochające się przyjaciółki. – Pomogę Hudzie doprowadzić się do porządku, umyć, wyszczotkować włosy, ubrać...

– Tak, oczywiście. Przecież wiesz, że zawsze cię lubiłam.

Starej robi się bardzo przykro, bo nikt nie kocha jej córeczki tak jak ona, a teraz została odrzucona, tylko dlatego że smarkuła popełniła błąd i wielki grzech, którego matka nie potrafiła zakamufłować. Do tej pory kryła córkę, ale były to błahе przewinienia. Wtedy była dobrą mamą, a teraz jest tą złą. *Ciekawa jestem, co te dwie turkaweczki wymyślą*. Jest pełna krytycyzmu do pomysłów młodocianych, które nie dość, że nie mają doświadczenia, to jeszcze pomysłu i zupełnie nie wiedzą, na jakim świecie żyją. Dzieje się tak przez parasol ochronny, który rozpościerają nad nimi ich rodziny. *Za moich czasów było całkiem inaczej*, podsumowuje Chadidża, która wiele w swoim życiu przeszła, wiele widziała i sama musiała się o siebie troszczyć. Nikt nigdy jej nie pomógł, jedynie Allah błogosławił jej pobożną drogę, a jej ojciec, ambitny polityczny działacz w rządzie ajatollaha Chomeiniego, był jej największym zagrożeniem i śmiertelnym wrogiem – tak jak i wszystkich irańskich kobiet w tym burzliwym czasie.

Ze zwieszoną głową, noga za nogą kobieta opuszcza pokój swojej uwielbianej córki, którą właśnie nieodwracalnie straciła.

Nura, piękna irańska studentka, po godzinnych zabiegach higieniczno-kosmetycznych patrzy na przyjaciółkę już bez obaw i lęku. Huda znów w miarę dobrze wygląda i miło pachnie, a uroku dodają jej wypielęgowane, bujne falujące czarne włosy i dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiecha – po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

– Kochana, mam dla ciebie najważniejszą rzecz pod słońcem!

– Przyniosłaś mi wolność? Akt zwolnienia z mojej paki? – Huda wykrzesuje z siebie nawet uśpione kpiarskie poczucie humoru.

– Nie, tak dobrze nie jest. Ale mam dla ciebie okienko na świat. – Nura wyciąga z torebki niewielki telefon komórkowy i wsadza go w rękę zszokowanej dziewczyny.

– Mogę się kontaktować z ludźmi? Mój Boże!

– Nie wiem, z iloma ludźmi chcesz się kontaktować, ale pod numerem jeden ktoś niecierpliwie czeka na twój dzwonek.

– Gdzie on jest? – Ciężarna ledwo mówi przez ściśnięte ze wzruszenia gardło. – Żyje? Hura!

– Wywinął się twojemu staremu. Jest w Stambule.

– Jak niby miałabym się tam dostać? Jak do niego dołączyć? – Kiedy słyszy nowinki, od razu z euforii popada w rozpacz.

– Nie mam pojęcia. – Nura wzrusza ramionami. – Ale Faris na pewno coś wymyśli. Musi być jakieś wyjście.

– Rodzice planują mój wyjazd do Libii – Huda uświadamia przyjaciółkę. – Może stamtąd dałoby się uciec?

– No widzisz, dla chcącego nic trudnego. Libia to dzicz i obecnie ziemia niczyja. Tam łatwo będzie się zgubić, zniknąć i przemieścić z miejsca na miejsce. Nie tak jak w naszym policyjnym państwie. Wyciągnij od ojca jak najwięcej informacji. I broń cię Panie Boże, nie daj sobie zabrać tego telefonu!

– Mam tylko nadzieję, że mężczyzna, który fikcyjnie ma mnie poślubić, nie potraktuje sprawy na serio. – Huda martwi się jeszcze bardziej, bowiem dotąd nie miała żadnej nadziei i było jej wszystko jedno, a teraz zabłysło dla niej i jej miłości słabiutkie światełko w tunelu. Młodość dziewczyny każe jej wierzyć, że ma jeszcze jakąś szansę na szczęście i dobre życie. Razem ze swoim ukochanym. Z Farisem Pahlawim.

* * *

Jasem drugiego dnia po recepcji u ambasadora Stanów Zjednoczonych, gdzie po raz pierwszy oficjalnie wystąpił jako Muhamad Arabi Muntasir, postanawia złożyć kilka kurtuazyjnych wizyt osobom, które tam spotkał. Jak od razu zauważył Musa Kusa, marszałek Chalifa Haftar nie jest mu obcy. Mężczyźni poznali się daleko stąd, w innych czasach, w innej epoce. Wtedy Muhamad był jeszcze Jasemem, a cały świat leżał u jego stóp. W każdym razie cały otaczający go świat. Tak mu się wtedy wydawało.

– Od razu cię rozpoznałem. – Marszałek przyjaźnie klepie go po ramieniu. – Dobrego miałeś chirurga, ale ja mam lepsze oko. – Chichocze.

– Nieźle. Chyba masz tam szkło powiększające. – Jasem jedynie udaje, że sytuacja go bawi, bo dekonspiracja całkowicie mu nie odpowiada. – Do tej pory spotkałem tylko jednego człowieka, który rozpoznał mnie po transformacji. Nie zamienił ze mną ani słowa, więc mój tembr głosu mu w tym nie pomógł.

– Kto to taki? Z jakiej branży?

– Szpiegowskiej.

– No to czemu się dziwisz? Musi być niezły w swoim fachu.

– Rzeczywiście. A najgorsze jest to, że zawziął się na mnie. Ale jakoś sobie z nim poradzę.

– Czyżbyś dlatego przybył aż do nas? Do tego bajzlu i bezkrólewia? Do bidy z nędzą? Ech! – Dla marszałka teraz wszystko jest jasne. Dżihadycie grunt pali się pod nogami, ot co. – Przenieść się z Bliskiego Wschodu do północnej Afryki to lekka degradacja, nieprawdaż? – Żołnierz nie owija w bawełnę. – Choć legendarny Bliski Wschód to nie tylko bogactwa Arabii Saudyjskiej, Kuwejt, Kataru czy Omanu. To też ubóstwo Syrii i Iraku.

– Zależy, jakie się będzie piastowało stanowisko i jaką powierzą ci funkcję. – Jasem oględnie wprowadza kolegę w temat, ale widząc w oku rozmówcy iskrę zawiści, od razu postanawia zmienić planowaną taktykę. – Oczywiście twojej Cyrenajki nie mam zamiaru tykać. Będziemy współpracować.

– Będziemy – mrurowato potwierdza zazdrosny, przeczulony trep, ale więcej pary z ust nie puszcza, zaś jego twarz zasnuwa maska, z której nic się nie odczyta.

– Pamiętasz, kiedy ostatnio byłeś u mnie w Rakce, to oprócz wylicytowanej superniewolnicy dostałeś jeszcze moje słowo.

– Tak?

– Jeśli kiedyś kalifat zmieni lokalizację i tak by się zdarzyło, że zajmie tereny twojej Libii, nadal będziemy kooperować i ręka w rękę budować nowe wielkie państwo islamu.

– Ja tu jestem u siebie – z marszem na czole oznajmia marszałek. – Pod sobą mam jedną trzecią Libii i w zasadzie większość najważniejszych strategicznie miejsc. Roponośnych i gazonośnych. – Libijczyk lekceważy niezbyt intratną propozycję, a oczy ma nieruchome jak jaszczur polujący na ofiarę.

– Ale cóż ci z tego, kiedy twoje rafinerie stoją, bo popadły w ruinę, a nikt nie chce przyjechać do kraju bezprawia, żeby doprowadzić go do stanu używalności i w nim pracować. Swoich

specjalistów nigdy nie mieliście, a teraz tym bardziej nie macie.

– Jesteś w błędzie. Znalazłem wykwalifikowanych robotników, fachowców oraz wysokiej klasy profesjonalistów. Ha! – Rozmowa staje się coraz bardziej nerwowa, a głos mężczyźni podniesiony, bo Haftar uważa za szczyt bezczelności przychodzenie do niego z zakamuflowaną propozycją dzielenia się władzą. *Ten Jasem zawsze był bezczelny i popierdolony*, stwierdza po wojskowemu. *Jeszcze go wyjebię z mojego kraju, aż będzie za nim świszczało. Co za typ!* Podburza się, aż żyły na skroniach mu nabrzmiwiają, a ta na jego szczęce pulsuje rytmicznie, ujawniając wielkie podminowanie.

– Naprawdę jesteś taki samowystarczalny? – Jasem jest zawiedziony, bo myślał, że będzie dla tego prymitywnego żołdaka niczym Pan Bóg, oferując mu swoich inteligentnych ludzi, rozrzuconych po całym świecie, a także ukrywających się na ogromnym obszarze Libii.

– Nie szukałem pomocy w Ameryce ani na zgnitym Zachodzie, ale w kolebce naszej kultury. – Zadowolony z siebie Haftar nieroztropnie rzuca światło na swój plan.

– To znaczy? W Syrii? Iraku? Mezopotamii, tak? – strzela podekscytowany Jasem, usiłując zgadnąć. – Tam nie został już nikt przy zdrowych zmysłach, o umiejętnościach nie wspominając. – Dżihadysta doskonale zdaje sobie sprawę, że kalifat i pseudo-Państwo Islamskie, a wcześniej terrorystyczna organizacja Al-Kaida całkiem wyniszczyły te dwa starożytne kraje, które niegdyś stanowiły źródło światowej cywilizacji.

– Całkiem blisko, mój drogi. Dowiesz się w odpowiednim czasie. – Marszałek wstaje, tym samym dając do zrozumienia, że audyencja została zakończona.

– Cóż, w każdym razie gdybyś szukał poplecznika, pamiętaj, że masz go we mnie – potwierdza jeszcze raz Jasem Alzani, w duchu obiecując sobie po takiej niemiłej, oficjalnej rozmowie rychłą zemstę na człowieku, niedoceniającym oferty, która mogła go jeszcze przynajmniej przez jakiś czas utrzymać przy władzy.

* * *

Irański generał Ghasem Sulejmani świetnie się dogaduje z libijskim marszałkiem Chalifą Haftarem. Obaj są typowymi przedstawicielami wysokiej wojskowej kasty i nie przeszkadza im, że reprezentują dwie różne nacje, zwalczające się od tysiącleci, i dwa odłamy islamu – Libijczyk sunnicki, a Irańczyk szyicki. Mężczyźni mają przed sobą nadrzędny cel, który już dawno został ustalony. Kontrakt podpisany na poziomie rządowym opiewa na jedno, a nieoficjalna, nielegalna umowa mówi o czymś dodatkowym, ale najbardziej dla obu stron interesującym. Ci dwaj muszą dograć wojskowe aspekty, omówić detale i sfinalizować tajne elementy cywilnego wydawałoby się porozumienia.

– Na początek przyjeżdża tu trzystu waszych budowniczych. Inżynierowie, architekci, mistrzowie, majstrowie i specjaliści wszelkiej maści. Zwykłych budowlańców typu „podaj cegłę” znajdzie się na miejscu. – Marszałek potwierdza wcześniejsze ustalenia. – W ciągu roku stawiamy nowe miasteczko dla pracowników kontraktu w terminalu w Ras Lanufie, bo nie ma sensu odnawiać ruiny.

– Wszystko uległo zniszczeniu? – Irańczyk nie może się nadziwić, bo w internecie sprawdził położenie i wygląd tej rafinerii ropy naftowej, a zarazem dużego portu nad Wielką Syrta, zatoką Morza Śródziemnego, i wydawało mu się, że otaczające je miasto jest czyste, ładne i nowoczesne, choć budowane w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia. – Firmy tureckie znane są z dobrego architektonicznego stylu i jakości wykonawstwa, a u was odwalili taką fuszerkę, że pozostaje wam tylko zrównać to miejsce z ziemią?

– Dla was to chyba dobrze, bo dostajecie kolejną intratną umowę. A jeśli idzie o zabudowę, to owszem, coś tam zostało, jednak teraz zajmują to Libijczycy. Nie nadaje się dla zagranicznych pracowników rafinerii. Specjaliści zajmujący się ropą naftową muszą mieć wszystko, i to na najwyższym poziomie. Kiedyś mieszkali tam Amerykanie, więc dlatego tak ci się spodobały charakter i styl zabudowy. Pełny luksus. Nietypowy jak dla nas komfort. Ponad tysiąc dwieście willi i drugie tyle apartamentów w zabudowie szeregowej, przedszkola, szkoły, nawet mała kaplica. Oczywiście znajdował się tam też szpital, zatrudniający samych cudzoziemców. To samo, albo może nawet

i więcej, chcemy zaoferować przyszłym pracownikom rafinerii. To bardzo ważny odcinek naszego przemysłu i potrafimy to docenić.

– Świetnie, ale może nie trzeba zaczynać wszystkiego od początku? – Generałowi Sulejmani wybitnie się spieszy, bo za rok będzie już dziadkiem małego szyickiego bękarta, którego jego córka nosi pod sercem od co najmniej czterech miesięcy.

– Ras Lanuf zniosło trzy wielkie kampanie wojenne podczas arabskiej wiosny i jeszcze parę bitew, kiedy walczyliśmy już o niepodległy kraj, i dlatego wszystko szlag trafił – Libijczyk smutno podsumowuje sytuację miasta.

– A gdybyśmy zrezygnowali z kaplicy, to nie byłoby szybciej? – żartuje Sulejmani, chcąc rozładować atmosferę i zdobyć kilka dodatkowych sekund na szybkie wymyślenie sposobu uratowania córki. Wolałby bowiem, żeby Huda nie była uzależniona od potwornego dżihadysty Jasema, lecz została na przykład rezydentką w ośrodku szyickim w Libii, który powstanie w pobliżu portu Ras Lanuf. Jasem miałby tylko podpisać kontrakt ślubny i na tym skończyłaby się jego rola. *To jest pomysł na piątkę*, chwali sam siebie.

– Wiem, że postawicie tam swoje szyicke świątynie. Byle nie za dużo, dobra? I nie za blisko naszych meczetów. – Chalifa mięknie, dając rozmówcy czas na opracowanie jakiegoś wariantu prawdy, który spodziewa się zaraz usłyszeć. – Więc o co tak naprawdę chodzi, *ja achi*? – zwraca się familiarnie. – Gdzie ci tak pilno?

– Chciałbym przylecieć wcześniej, jeszcze przed pierwszą grupą, i sam się zorientować w terenie. – Ghasem przechodzi do meritum sprawy.

– Kiedy?

– Jak najszybciej. – Rosnący brzuch córki niepokoi go teraz najbardziej.

– Najwcześniej za dwa, trzy miesiące.

– Nie! To ma być tylko wiwisekcja.

– Nie było o tym mowy w kontrakcie! – Haftar błyskawicznie się denerwuje.

– O brudnej bombie w rządowym kontrakcie też nie wspominamy – podkreśla z naciskiem Sulejmani.

– Masz tu jakieś swoje interesy na boku? – Wbrew powszechnej opinii o wojskowych libijski marszałek nie jest głupcem.

– Czyś ty zszalał? Myślisz, że chcę sobie u was działkę budowlaną kupić?

– Może nie byłby to taki zły pomysł. O nasze grunty nad Morzem Śródziemnym jeszcze będą się zabijać.

– To sprawa osobista... – Irańczykowi aż gardło się ściska, ale dłużej nie ma siły grać z rozmówcą w kotka i myszkę. Czas wyłożyć kawę na ławę. – A niech to szlag! – klnie podenerwowany.

– No dawaj! – zachęca go kolega po fachu.

– Muszę wywieźć córkę z kraju. Na jakiś czas. Rozumiesz?

– Zaciążyła? – Ni to pyta, ni stwierdza libijski wojskowy, bo bardzo dobrze rozumie skrępowanie irańskiego mężczyzny. Wszak tak u szyitów, jak i u sunnitów pohańbiony honor głowy rodziny znaczy to samo: wielką zniewagę i upokorzenie. Libijczyk cieszy się, że robi tajne interesy z człowiekiem, który potrafi znieść porotę z podniesionym czołem, nowocześnie, nie brudząc sobie rąk krwią córki i nie dopuszczając się prymitywnej, okrutnej zbrodni honorowej.

– Zaciążyła – wyznaje ojciec, a serce Libijczyka mięknie po takim trudnym dla muzułmanina wyznaniu.

– Trochę ocalało z miasta Ras Lanuf. Jest mały szpitalik, apteki, parę marketów. Dzielnica dla elit też nie uległa takiej dewastacji jak cała reszta. – Marszałek opowiada ciepłym głosem, jakby nagle stał się innym człowiekiem. – Mam całkiem sympatyczny domek nad samym brzegiem morza. Rzadko tam teraz jeżdżę, bo dzieci wyrosły, wnuki z takim starym zgredem nie mają ochoty przebywać, a z żoną to wiesz... – Ciężko wzdycha. – Na dłuższą metę i bez tłumu ludzi dookoła można by się pozabijać.

Starsi panowie się podśmiechują, bo w tej kwestii doskonale się rozumieją.

– Dziękuję – szepcze Irańczyk, speszony propozycją. – Mam u ciebie dług wdzięczności.

– Nie ma sprawy. Trzeba sobie pomagać. Zawsze marzyłem, żeby mieć córkę, ale Allah obdarzył mnie samymi synami. Zaopiekuję się nią. Dam wam ochronę. Nic się nie martw, przyjacielu.

– Lotnisko funkcjonuje? – Ghasema cieszy, że wykazał się szczerością, bo teraz już czuje, że wszystko dobrze się skończy.

– Oczywiście. Naprawiliśmy je jako pierwsze.

– W takim razie przylecę bezpośrednio do Ras Lanufa. Niedługo dam znać, dobrze?

– Niech i tak będzie. – Marszałek postanawia pomóc swojemu nowemu partnerowi.

Wdzięczność Irańczyka to nie lada przywilej, a ten właśnie zaciągnął u starego libijskiego żołnierza dług.

– Za pół roku będziemy mieli gotowe listy irańskich specjalistów, którzy wraz z rodzinami przylecą do was i pomogą Libii w odbudowie kraju, doprowadzając rafinerię do stanu używalności i pełnej wydajności. – Sulejmani potwierdza oficjalną część porozumienia.

– Nie Libii. Mojej Cyrenajce – poprawia go lokalny patriota, a generał stwierdza, że ma w nosie, dla kogo to robią, bo najważniejszy jest cel nadrzędny. Jego prywatny.

– Cieszę się, że to my byliśmy pierwsi i przelicytowaliśmy przetarg na ten kontrakt – Irańczyk kadzi swojemu zbawcy, bo aktualnie potrzebuje wsparcia tego człowieka bardziej nawet niż pomocy Jasema Alzaniego. – Ostatecznie mamy do was wysłać aż dwa tysiące ludzi.

– Ostatecznie macie nam wysłać jedną brudną bombę¹⁰⁸ na wzór i grupę dziesięciu naukowców, którzy już u nas, na miejscu, będą konstruować takie śmiertcionośne zabawki.

– Zgadza się.

– I dlatego wygraliście konkurs, bo podpisaliśmy umowę dwa w jednym – bez ogródek podsumowuje Libijczyk.

Na tym kończy się rozmowa – owocna dla obu stron, a jednak niewiarygodnie groźna i źle wróżąca całemu otaczającemu ich światu.

81 Tuaregowie – lud berberyjski zamieszkujący obszary Sahary, głównie w Algierii, Libii, Mali, Nigrze i Burkina Faso. Tradycyjnie są nomadami, podróżują po pustyni i jej obrzeżach, zajmują się hodowlą bydła i kóz, wytwarzaniem biżuterii i turystyką. W 2012 r. podjęli próbę utworzenia suwerennego państwa Azawad na terenie północnego Mali. W literaturze i tekstach piosenek można się zetknąć z nazwą „wolni ludzie”. Definitywne odrzucenie nazwy „tuareg” wiąże się z negatywnymi konotacjami tego słowa – po arabsku *tawariq* oznacza „bezbożnik”. Wśród tego ludu spotyka się osobniki o białej karnacji i blond włosach.

82 *Sah, ja saida* (arabski) – Racja, pani (wołacz).

83 Mekka (przenośnie) – raj, centrum, eden, eldorado, arkadia.

84 Burik, brik (arabski) – paszteciki pieczone lub smażone na głębokim oleju, najpopularniejsze są z mięsem mielonym, ale także z serem feta, szpinakiem lub mieszanymi warzywami.

85 Harissa (arabski) – pikantna pasta z chilli.

86 Cyrenajka – kraina historyczna w północno-wschodniej Libii na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Jej nazwa pochodziła od założonego przez Greków w 631 r. p.n.e. miasta Cyrena, które do III w. n.e. było stolicą prowincji. Później jej najważniejszym miastem i portem, a jednocześnie stolicą było Bengazi.

87 *Marines* (angielski) – potoczna nazwa piechoty morskiej na świecie, tak brytyjskiej, jak i amerykańskiej.

88 *Welcome* (angielski) – Witajcie.

89 *Thank you for coming* (angielski) – Dziękuję za przybycie.

90 Prawo talionu – prawo zwyczajowe.

91 Koran, Sura V, wers 45, tłum. J. Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

92 Sajf al-Islam (dosłownie: miecz islamu) – Muammar Kaddafi, ur. w 1972 r. w Trypolisie, syn libijskiego przywódcy Muammara Kaddafiego i jego niepisany następca. Ukończył malarstwo na

Uniwersytecie Al-Fatah w Trypolisie, następnie studiował na prywatnym IMADEC University w Wiedniu i w London School of Economics. W 1997 r. założył charytatywną Międzynarodową Fundację Kaddafiego na rzecz Rozwoju. W 2000 r. wziął udział w negocjacjach mających doprowadzić do uwolnienia zakładników wziętych do niewoli przez islamskich bojowników na Filipinach. W 2003 r. opublikował krytyczny raport na temat przestrzegania praw człowieka w Libii. W 2004 r. był negocjatorem w sprawie odszkodowań dla rodzin ofiar zamachu nad Lockerbie. W 2007 r. pomógł rozwiązać patową sytuację skazanych przez libijski sąd bułgarskich pielęgniarek i palestyńskiego lekarza na karę śmierci za rzekome zarażenie kilkuset dzieci wirusem HIV. W rezultacie międzynarodowych mediacji karę śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie z możliwością odbywania jej w Bułgarii, gdzie oskarżonym natychmiast udzielono amnestii. Sajf al-Islam zabierał również głos w sprawach Bliskiego Wschodu, proponując rozwiązanie konfliktu palestyńsko-izraelskiego poprzez stworzenie jednego, wspólnego państwa przez dwa narody. Po zabiciu Muammara Kaddafiego Sajf al-Islam zapowiedział zemstę na mordercach ojca i przejęcie po nim przywództwa nad ludźmi wiernymi dyktaturze. Był poszukiwany listem gończym przez Interpol za zbrodnie przeciwko ludzkości. W listopadzie 2011 r. został schwytany, kiedy usiłował przedostać się do Nigru, za co miał zapłacić milion euro. Konwój, w którym jechał, zaatakowali bojownicy Zintani, plemię nienawidzące rodziny Kaddafich. Pojmani zostali przetransportowani do miejscowości Zintan. Ogłoszono, że schwytany będzie sądzony w kraju i będzie miał sprawiedliwy proces. W 2015 r. został wydany na Sajfa al-Islama wyrok śmierci, choć nie stawiał się przed sądem, gdyż nadal był przetrzymywany przez plemię Zintani. W czerwcu 2017 r., po sześciu latach odizolowania, został zwolniony z więzienia. Plemię Zintani podało wtedy, że Sajf al-Islam nie był przez nich więziony, ale chroniony. Mówi się o ogromnym okupie, który otrzymali. Nie podaje się miejsca aktualnego pobytu Kaddafiego ze względu na bezpieczeństwo, ale przypuszcza się, że nadal przebywa na terenie Libii.

93 Zob. przypis na s. 11.

94 Marszałek (od staroniemieckiego *marchschalk* – koniuszy) – stopień wojskowy; w wielu krajach najwyższy stopień nadawany dowódcom za wybitne osiągnięcia wojenne. W kilku państwach ustępuje stopniowi generalissimusa.

95 Salam (arabski) – pokój.

96 *Salute* (włoski) – Na zdrowie!; (angielski) – pozdrowienie, hołd.

97 *High class* (angielski) – klasa wyższa, elita.

98 *Ja habibti* (arabski) – moja kochana, moja droga (wołacz, r. żeński).

99 *Ja habibi* (arabski) – mój kochany, mój drogi (wołacz, r. męski).

100 *Kif halik?* (arabski) – Jak się masz? *Kif halik, habibti?* – Jak się masz, kochana?

101 *Kullu tamam* (arabski, dialekt) – Wszystko w porządku.

102 Szóstka z Bengazi – tak nazwano pięć bułgarskich pielęgniarek i pakistańskiego lekarza, którzy pozostawali w libijskim więzieniu przez osiem i pół roku. Byli to: Kristiana Walczewa, Nassia Nenova, Walentina Siropoulo, Wala Cherwieniaszka, Sneżana Dimitrova i doktor Ashraf al Hajuj. Oskarżonej szóstce postawiono zarzut spiskowania przeciwko państwu libijskiemu i celowego zakażenia dzieci wirusem HIV.

103 Id al-Fitr – święto dziękczynienia obchodzone w islamie na zakończenie świętego miesiąca postu – ramadanu. W tym dniu muzułmanie w atmosferze radości, odwiedzając się nawzajem, pozdrawiają słowami *id mubarak*, składają sobie życzenia i obdarowują prezentami.

104 *Va banque* (francuski) – postawić wszystko na jedną kartę.

105 Dynastia Pahlawi – ostatnia dynastia perska, panująca w Iranie w latach 1925–1979. Jej założyciel Reza Szah Pahlawi obalił zasiadający wcześniej na perskim tronie ród Kadżarów. W 1941 r. przekazał władzę synowi Mohammadowi Rezie Pahlawiemu. W 1967 r. szach koronował na władczynię (szachbanu) swoją małżonkę Farah Pahlawi, która od tego czasu panowała w Persji u jego boku. W czasie rządów dynastii nastąpiło zbliżenie Iranu z Zachodem, zapoczątkowano też głębokie przemiany polityczne i społeczne, cofnięte później w wyniku irańskiej rewolucji islamskiej. Dynastia Pahlawi została odsunięta od władzy w 1979 r. przez islamskich fundamentalistów pod wodzą

ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego. Ostatni szach Mohammad Reza Pahlawi zmarł na emigracji w Egipcie. Żona szacha Farah Pahlawi wraz z synem Cyrusem i jego rodziną mieszkają w Potomac w stanie Maryland w USA.

106 *Ahlan wa sahlan* (arabski) – Witam, cześć.

107 *Ahlan wa sahlan, ja sadiqati* (arabski) – Witaj, moja przyjaciółko.

108 Brudna bomba – broń niekonwencjonalna (choć niektórzy nie zaliczają jej do takich), czyli masowego rażenia: atomowa, chemiczna, biologiczna. Jej celem jest rozsianie materiału radioaktywnego, a przez to doprowadzenie do promieniotwórczego skażenia terenu na możliwie dużym obszarze przy wykorzystaniu eksplozji klasycznego materiału wybuchowego. Brudne bomby mogą też zawierać groźne bakterie lub wirusy.

Arabska prowincja

Grupa outsiderów na krótko zatrzymała się w mieście. Po paru dniach pod eskortą jadą do Gharianu, rodzinnego miasteczka Dżamili, pięknie położonego w górach Nafusa. Daria jest zauroczona Libią, począwszy od jedzenia, a na błękitnie nieba kończąc, i teraz już rozumie, czemu zarówno matka, jak i Marysia były tak zafascynowane tym krajem. Ona wyjechała stąd jako dziecko i w ogóle nie zna tego miejsca. Nigdy by się nie spodziewała, że kiedyś przyjdzie jej tu żyć. Nie dziwi się, że patrioci, tacy jak Musa Kusa czy Dżamila, za wszelką cenę dążą do tego, aby ich ojczyzna się odrodziła.

– Ależ karawana! – Ciesz się, że tym razem będzie jechać jak jakiś VIP, a nie skradać się niczym uciekinier.

– Żadna karawana, lecz konwój, moja droga. Prawie rządowy – żartuje Musa Kusa, prowadząc ją do auta. – Oto twoja limuzyna. – Wskazuje potężnego czarnego nissana maximę. – Kiedyś te auta były przeznaczone dla średniej kasty pracowników państwowych, a dzisiaj ty musisz się takim zadowolić – tłumaczy się, choć kobiecie oczy błyszczą i z podekscytowania aż przestępuje z nogi na nogę, bo w życiu jeszcze nie jechała takim wozem, i to na dokładkę skonstruowanym na zamówienie rządu. Podziwia wzmocnione drzwi, blachy i grube na palec kuloodporne szyby.

– Dziwnym trafem to autko całkiem mnie zadowoli – pokpiwa, mrużąc oczy. – Nie potrzebuję niczego lepszego. – Uśmiecha się uroczo, a mały Ahmed, którego trzyma na ręku, aż wierzga nóżkami, chcąc jak najszybciej znaleźć się w wielkim wozie.

– Twoja służąca może jechać z tobą albo pick-upem – proponuje Libijczyk, który nie hołduje równości klas i narodów.

– Może więc pick-upem? – Daria nie ma ochoty wachać olejków, którymi namaszcza się czarnulka, a tym bardziej specyficznego zapachu jej skóry. – To długa trasa. Dobrze by było podróżować komfortowo.

– Oczywiście, moja droga.

– Jedziemy! Do wozów! – krzyczy Jasem, a jego nowa flama wskakuje do prowadzącego konwój mercedesa, który jest o parę klas lepszy od pojazdu Darii. Pół-Polce jednak nie przeszkadza taka dyskryminacja. – Długa droga przed nami, a zmiersch zapada w górach wcześniej!

Dżihadysta rzuca okiem w stronę swojej pierwszej żony i mimowolnie marszczy brwi, bo bardzo mu się nie podoba jej przyjaźń z libijskim prominentem. Teraz mężczyzna pluje sobie w brodę, że był taki słaby i nie rozwiązał niemałego problemu wiążącego się z posiadaniem dwóch żon. Znowu klnie w duchu, że nie zlikwidował Darii, kiedy była ku temu okazja, bo teraz, gdy kobieta jest pod protekcyjnym parasolem jego mecenasa – mocarnego, silnego i ważnego starca – stracił taką możliwość. *Jeszcze ci się noga poślizgnie, ty mała kurewko*, wścieka się. Uważa żonę za nierządnicę, bo przecież według prawa szariatu i prawa rządzącego wszystkimi prawowiernymi, tradycyjnymi arabskimi żonami nie ma ona prawa przyjaźnić się z żadnym niespokrewnionym ze sobą mężczyzną. Nie ma prawa z nim rozmawiać, śmiać się ani żartować. To rozpusta i grzech. *Poczekam, aż ten pieprzony dziadunio spuści cię z oka, aż mu się znudzisz, i wtedy porozmawiamy*. Syryjczyk aż zgrzyta zębami, ale nie odzywa się do Darii słowem i udaje obojętność. *Haram!109 Haram, haram!* Powtarza w duchu, na koniec siarczyście spluwa i wskakuje do auta wprost w otwarte ramiona gorącej i zażywej kochanki. Mężczyzna od razu opuszcza dźwiękoszczelne, przyciemniane żaluzje pomiędzy przestrzenią kierowcy a kabiną pasażerów, dzięki czemu podczas długiej drogi on i jego kobieta będą mogli uprawiać seks, spać, jeść i pić, nieskrępowani obecnością szofera.

Konsjerże i tragarze gonią w piętękę, a hotelowi goście zastanawiają się, któż to taki ważny wyjeżdża z parkingu hotelu Tibesti, gdyż trzy wielkie limuzyny z włączonymi światłami awaryjnymi – począwszy od mercedesa Jasema i Dżamili, volva Musy Kusy oraz nissana maximy Darii – w obstawie trzech pick-upów wyładowanych ochroną i bronią, robią mnóstwo hałasu, z upodobaniem trąbiąc klaksonami.

Tuż za bramą przejmują ich policyjny motocyklista, który ma utorować ważnym personom drogę przez zakorkowane centrum miasta. Kiedy miną jego roгатki, panowie zdecydowali, że zrezygnują z policyjnej obstawy, nie chcąc na całej swojej trasie wzbudzać zainteresowania i robić niepotrzebnej sensacji. Libia w dalszym ciągu jest niebezpiecznym krajem, w którym lepiej udawać, że jest się nikim. W przeciwnym razie można zostać zabitym, porwanym dla okupu lub zwyczajnie znaleźć się w nieciekawej sytuacji z powodu krążących po prowincji band pod przywództwem plemiennych watażków, którzy wyrosli na zbrodni arabskiej wiosny i późniejszej rewolucji. Broni, którą zostali zasypani podczas wojny przez kraje Zachodu, wspierające rewoltę przeciwko Kaddafiemu, w czasach pseudopokoju nie chcieli oddać. Dlatego też nie sposób dziś zapanować nad krajem, który stał się państwem bezprawia i terroru. Co chwilę wybucha jakaś regionalna wojna, tylko że aktualnie nie wiadomo, przeciwko komu i dlaczego się toczy. Sami Libijczycy wyniszczają się nawzajem.

Daria nie wie zbyt dokładnie, jaka jest aktualna sytuacja w kraju, a szczególnie nie zaprzęta sobie głowy czyhającym niebezpieczeństwem i zagrożeniem na prowincji, gdyż jest przekonana, że takie ważne osobistości jak Musa Kusa są nietykalne. Siedzi zatem wygodnie, rozparta na tylnym siedzeniu, na którym jest tyle miejsca, że mogłaby się nawet położyć. Z możliwości tej skorzystał mały Ahmed, który przez półprzymknięte powieki obserwuje cumulusy za oknami, czasami przydrożne palmy, a jeszcze rzadziej latarnie. Po niedługim czasie chłopiec usypia, kołysany cichym warkotem silnika i szumem klimatyzacji oraz dochodzącą z radia arabską rzewną muzyką. Krajobraz za szybą jest monotony i jakby księżycowy. Ziemię, widać że żyzną, nie są jednak uprawiane i pola stoją odłogiem. Nawet owiec, z których hodowli Libia słynęła od czasów starożytnych, nikt na nich nie wypasa. Zniknęły plantacje cytrusów, które zajmowały ogromne połacie łąd, zwłaszcza wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, bo łagodny klimat od wieków sprzyjał właśnie tym owocom. Teraz rosną tu skarłowaciałe drzewka pomarańczowe, cytrynowe i mandarynkowe, niekiedy uschnięte – smutna pamiątka dawnych dobrych czasów. Gdzieniegdzie sterczy dzika oliwka, obsiana miniaturowymi owocami, które nie nadają się do jedzenia ani przez ludzi, ani przez zwierzęta. Wygląda, jakby nawet oazy wyschły, a ich miejsce zajęły zardzewiałe, porzucone czołgi i auta bojowe, wspomnienie walk, które się tu toczyły. Nikt nie wie, ile min pozostało wzdłuż dróg czy autostrad na niegdyś uprawnych polach; może dlatego wszyscy boją się schodzić z asfaltu i zapuszczają w głąb łąd, który stanowi ziemię niczyją.

Rzadko rozsiane miasta i miasteczka są biedne, a ich mieszkańcy z lękiem spoglądają na wspaniałe czarne samochody, chowając się w bramach domów czy w meczetach ze strachu przed obcymi. Ich lęk jest konsekwencją wojny domowej, która długo trawiła ten kraj, kiedy to brat zabijał brata i nikomu nie można było zaufać. Teraz, po ośmiu latach, jest tylko trochę lepiej.

Musa Kusa jedzie volvem wraz z ochroniarzem i kierowcą. Starszy człowiek nadal jest pracowity i skrupulatny i cieszy się, że znów wrócił do gry. Wykorzystuje wolną chwilę na telefony, mailing i rozmowy na komunikatorach. Działa też na Instagramie i Twitterze. Dokładnie wie, jak prowadzić kampanię w obecnych czasach, jak manipulować opinią publiczną i zbierać poparcie ludu. Zna słowa kluczowe, których trzeba używać. Aktualnie hasłem wywoławczym jest dla niego nazwisko Kaddafi, gdyż – o ironio losu – coraz więcej Libijczyków tęskni za dawnymi czasami, kiedy krajem rządził wielki wódz, a życie było w miarę uregulowane, zasobne i spokojne. Obecnie szansą na powrót do przeszłości jest syn wodza Sajf al-Islam. Społeczeństwo libijskie nie wie, czy ich przypuszczalny wybawca żyje ani gdzie się znajduje. Do priorytetowych zadań Musy Kusy należy rozbudzić oczekiwania narodu i zdeterminować go, by pragnął powrotu dawnej ery, ale w nowej i nowoczesnej odsłonie. Resztę stary wyga już im zagwarantuje. Da im przywódcę, da im człowieka, o którego grzechach zapomną i będą wychwalać pod niebiosa jego lojalność, fachowość i patriotyzm. Da im wymarzonego młodego Kaddafiego.

Jednak pewna natarczywa myśl ciągle nie daje mu spokoju. Kim jest tajemnicza Darin? Kim jest żona dżihadysty? Jeśli ma jej pomóc, wspierać, musi wiedzieć, z kim ma do czynienia. Zasuwa dźwiękoszczelną i kuloodporną szybę, oddzielającą go od siedzeń z przodu samochodu, następnie sięga

po nowoczesny telefon szpiegowski GSM Tripleton Enigma E2 z szyfrowaniem rozmów i wybiera numer w Arabii Saudyjskiej, wiedząc, że jego rozmówca korzysta z takiego samego aparatu.

– *As-salamu alejkum* – wita się grzecznie.

– *Wa alejkum as-salam* – odpowiada basem książę Anwar al-Saud, dziwiąc się, że jego były antagonistą, a obecny kooperant kontaktuje się z nim tak szybko. – Czy coś się stało? – Niepokoi się szczególnie o Darię, bo na reszcie grupy mało mu zależy.

– Nie, *ja said*¹¹⁰. Dziękuję za zainteresowanie i troskę. – Mężczyzna jest zszokowany zaangażowaniem rozmówcy. *Coś mi tu śmierdzi*, podsumowuje, planując podpuszczenie potężnego jak groźny niedźwiedź, ale w sumie naiwnego i dobrodusznego Saudyjczyka.

– To mnie uspokoiłeś. – Anwar oddycha z ulgą i od razu postanawia kontrolować każde wypowiedziane słowo. – Czym zatem mogę ci służyć?

– Powiedz mi, przyjacielu, kim jest żona Jasema Alzaniego, Darin? Nie rozumiem, po co ją tu przywiózł, wielu innych rzeczy też zresztą nie pojmuję. Pytam, bo sam kazałeś mi się przy nim pilnować. – Łechce rozmówcę, któremu chce się śmiać z takich podjazdów.

– Nie ma co owijać w bawełnę, bo ta dziewczyna jest na listach Interpolu razem ze swoim mężem – szybko ripostuje Anwar. – Nie sprawdziłeś tego?

– Po co, skoro mam ciebie i ty podasz mi informacje z pierwszej ręki.

– Cóż, Daria, Darin, Darina... – Głos księcia, gdy wymawia te imiona, dziwnie drży. – Nigdy nie pasowała do niego, ale kiedy się w nim na zabój zakochała, przepadła. Poszła za nim dosłownie na koniec świata i na przysłowiowe dno. – Anwar postanawia jak najszybciej, niemal jednym tchem, zrelacjonować dzieje ukochanej kobiety. – Jednak do Syrii, a potem do Rakki już ją uprowadził siłą. Nigdy dobrowolnie by się tam nie pchała. Niemniej przy jej upartym jak u muła charakterku nikt i nic nie mogło jej uratować, utknęła więc przy naszym paskudnym dżihadyście na długie lata chyba w najgorszym miejscu na kuli ziemskiej. Nie pozwoliła, by ktokolwiek jej pomógł – ani siostra, ani szwagier, ani ja. Jedni nazywają to bezkompromisowością, inni silną wolą, jeszcze inni głupotą. Niektórzy twierdzili, że jej postępowanie to wynik syndromu sztokholmskiego¹¹¹, ale nawet jeśli kiedyś cierpiała na tę chorobę, na pewno już się z niej wyleczyła. Dżihadysta i jego żona to dwie różne osoby, inna natura, inna psychika. – Funkcjonariusz saudyjskiego wywiadu kłamie jak z nut, bo nic a nic nie wie o obecnym stanie ducha Darii ani o jej występkach w pseudo-Państwie Islamskim. Orientuje się tylko trochę w jej postępowaniu w Katarze i Zjednoczonych Emiratach Arabskich, a to aż nadto wystarczyłoby, by ją oskarżyć, choć jedynie o niemuzułmańskie kobiece czyny. I choć ostatnia zbrodnia – zabicie Polki w Rijadzie – świadczy niezbiecnie o jej winie, bo wszystkie zebrane dowody wskazują, że to ona się jej dopuściła, zadurzony Anwar w nią nie wierzy i pragnie z całego serca, by Daria przeżyła i została oczyszczona z wszelkich zarzutów. Teraz musi tylko przekonać libijskiego lisa, że jest czysta jak łza, choć sam ma pewne wątpliwości.

– Skąd Darin tak dobrze zna Libię i sprawy z nią związane? Po jakie licho interesuje się krajem, którego położenia nie zna większość mieszkańców naszego globu? Czemu biała inteligentna kobieta jest żoną dżihadysty? – Musa Kusa zasypuje rozmówcę gradem pytań. – Skonwertował ją na islam? Miłość miłością, ale dlaczego...

– Hej, hej! Przystopuj! – Anwar śmieje się szczerze, ale jest zadowolony, bo w głosie starego słyszy niekłamaną sympatię do pół Polki, pół Arabki. – Po kolei. Nie denerwuj się. Czyżbyś, stary druhu, zakochał się w tej młódce? – żartuje kąśliwie.

– Nic się nie bój, nie odbiorę ci ukochanej – pociesza go Musa Kusa. – Mam też nadzieję, że uda się jej tu przeżyć.

– Nawet mi nie mów takich rzeczy. Jeśli coś naprawdę będzie jej zagrażać, osobiście po nią przylecę! Tylko daj mi znać. – Zakochany jak sztubak wahabita wykłada karty na stół.

– Dam. A teraz ty daj mi odpowiedzi na przynajmniej połowę nurtujących mnie pytań.

Książę bierze głęboki oddech i zaczyna:

– Po polsku wołają na nią Daria Nowicka, po arabsku Darin Salimi, Arabi, Alzani, zaś po irlandzku Darina O’Sullivan...

– Co? Co?! – Libijczyk drze się do słuchawki. – Z tych libijskich Salimich?

– Tak. Zapewne znałeś jej ciotkę Malikę. I możliwe, że także kuzyna, Muaida, który tak naprawdę odebrał życie swojemu biologicznemu ojcu Muammarowi Kaddafiemu, ratując go tym samym przed linczem, którego rozwścieczony tłum ostatecznie dokonał na sobowtórze pułkownika.

– Wiedziałaś o tym?

– Oczywiście. Wiem, że uważasz nas, Saudyjczyków, za pastuchów, którym słoma z butów wystaje, ale...

– Z tego powodu tak się zachwyca naszym krajem! – Musa wchodzi Anwarowi w słowo, bo teraz wszystko stało się dla niego jasne. – Dlatego widzę w jej oczach, że czuje się, jakby wróciła do domu. Mimo wszystko wygląda, jakby była szczęśliwa.

– Proszę cię, pilnuj jej. Nie daj jej zginąć.

– Prosisz jako polityczny partner, kooperant czy jako przyjaciel? – Kusa kuje żelazo póki gorące i chce owinąć sobie współnika wokół małego palca.

– Jako przyjaciel – szepcze księżę, kuląc się przy słuchawce, ginącej w jego wielkiej jak bochen chleba dłoni. – Oddany kumpel.

Na linii zapada cisza. Żaden z mężczyzn nie chce przesadzić, jeden nie może za dużo powiedzieć, a drugi za bardzo naciskać. Każdy rozmyśla nad swoim losem. Stary wspomina swoją największą miłość, którą bezpowrotnie utracił, a młody myśli o ukochanej, która ciągle wymyka mu się z rąk.

– Darin miała kiedyś libijski paszport. Może byś jej taki załatwił? Na wszelki wypadek – poddaje myśl księżę.

– Nie wiem, czy to ją uratuje przed zawiścią i zazdrością Jasema. Obawiam się, że aktualnie sama jej obecność mu przeszkadza. Musimy go jakoś przekonać, że nasza pupilka może się do czegoś przydać. Że jest niezbędna dla odbudowy Libii, która bez jej udziału padnie z kretesem. – Libijczyk myśli tak intensywnie, że aż zaczyna go boleć głowa. – A jeśli nasza partia i nasz pomysł nie wypalą, to nici z kawałka libijskiego tortu, na który liczy Jasem. Nie będzie żadnym ministrem, pozostanie nikim, szcurem, który resztę swoich dni spędzi w ukryciu.

– Wiem! – wykrzykuje Saudyjczyk. – Pierwsza żona, pół-Libijka, Darin Salimi, związana przez ciotkę z reżimem Kaddafiego, może agitować Libijki w średnim wieku i te całkiem stare, które kochały Muammara, by wspierały waszą partię pojednania narodowego pod przywództwem Sajfa al-Islama. A druga żona, młoda Dżamila Muntasir, przemówi do młodego pokolenia!

– One są chyba w zbliżonym wieku. Panna Dżamila poszła w politykę już w skautach, więc to ona może być starsza, ale jedynie politycznym doświadczeniem – stwierdza stary wyjadacz, który ma już gotową taktykę agitacji. – Zaś Darin zna się na życiu rodzinnym, co dla niewiast jest bardzo ważne i mocno do nich przemawia.

– Darin przyciągnie do urn dojrzałe panie, bo ma syna, pięknego jak cherubinek, o typowo arabskiej urodzie. Kobieta z dzieckiem zawsze będzie wzbudzać szacunek nie tylko wśród kobiet, ale też wśród mężczyzn. Arabska żona to ta, która uszczęśliwi męża synem. – Anwar najlepiej zna mentalność swojej nacji, bo w swoim zawodzie musi być specem od psychologii.

– Tak, masz rację. Darin w ludowej libijskiej sukni ze swym pierworodnym na rękę i w obecności staruszki madam 12 Muntasir. Dwie liderki, dwie matki, dwie ikony. Dobry pomysł. – Musa Kusa już to wszystko widzi.

– No to masz plan działania, mój libijski przyjacielu. Na jakiś czas wystarczy. A tak z innej beczki, dostałem zdjęcia nowej żonki džihadysty i powiem szczerze, że nie wiem, jak można zastąpić Darin czymś takim. Toż to jakiś wiejski burak! – Anwar, gdyby tylko zdobył w końcu wymarzoną kobietę, ozłociłby ją, od rana do wieczora nosił na rękach, już nie mówiąc, że w życiu nie zamieniłby jej na nikogo innego. Jest to dla niego niewyobrażalne. – To tak, jakby wymienić diament na kupę rumianego gówna!

– Zgadzam się z tobą, mój ty elokwentny i spostrzegawczy rozmówco. – Musa Kusa podśmiechuje się pod nosem. – Jednak jest tak, a nie inaczej, bo są gusta i guściki. Zarówno mnie, jak

i ciebie nie powinno to w ogóle obchodzić.

– Zgadza się – wzdycha Anwar. – Nic nam do tego.

– Zatem kiedy już wiem, na czym stoję, jeśli idzie o *saidę* Salimi, to postaram się zaangażować moją półrodaczkę w kampanię wyborczą i nie dać jej zginąć. Podałeś mi świetny koncept, a ja rozwinę go w wysublimowany plan. Mam w garści sznurki, za które pociągnę, by go zrealizować.

– Proszę cię, ułatw Darin życie na libijskiej prowincji. Nie żałuj pieniędzy, a ja oddam ci wszystko zawiązką – błaga księżę, bo czuje, że wypuszczenie Darii z Saudi nie było dobrym pomysłem.

– Nic nie musisz mi oddawać. Z chęcią pomogę tej dziewczynie. Tylko powiedz mi jeszcze jedno: czy ona również dała się nabrać na te fałszywe idee fundamentalizmu? Czy jest z przekonania dżihadystką?

– Skądże! Jako młódka zakochała się w facecie, który wyglądał i przedstawiał się jako Brytyjczyk. A potem już katastrofy potoczyły się lawinowo.

– Czyli to wszystko przez głupią dziewczęcą miłość? Serce nie sługa, rozumiem. Ale czy ma czyste ręce? Nie jest morderczynią tak jak on? – otwarcie indaguje Libijczyk.

– Absolutnie nie! – zaświadcza księżę, choć ręki nie dałby sobie uciąć, czy to nie Daria zabiła Polkę w Arabii. A Bóg jeden wie, co robiła w kalifacie. – Nigdy w życiu!

– Uspokoileś mnie. Teraz już mam jasność. Kiedy sytuacja stanie się dla niej całkiem niepewna lub bardzo groźna, albo sam ją wywozę, albo poproszę ciebie o wsparcie. Tym razem na pewno Darin da sobie pomóc, ale musi się to zbiec w czasie z likwidacją naszego wspólnego największego wroga – Jasema Alzaniego. Inaczej na pewno znów będzie się bała, że wcześniej czy później dopadnie ją lub jej małego synka. – Musa Kusa zamyśla się, bo wizja w jego głowie staje się całkiem klarowna. – Teraz czuję, że wszystko będzie dobrze. Bratanica Maliki pomoże mi wyrwać Libię z łapsk fundamentalistów przy pomocy jednego z nich oraz odbudować naszą ojczyznę. Może jeszcze kiedyś poprosisz o azyl w moim wspaniałym kraju. – Nie wiadomo, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Może tak będzie – potwierdza Anwar, który z chęcią uciekłby przed swoją saudyjską codziennością. – *Sza'a Allah*.

* * *

Daria postanawia się nie poddawać i jakoś przeżyć kolejny etap swojego zafajdanego życia, nawet w libijskich warunkach. Kraj ten tak jej się podoba, szczególnie górski region, że nie dziwi się ani Muntasirom, ani libijskim góralom, którzy kochają tę ziemię.

Kiedy po długim dniu jazdy, zmęczeni dojeżdżają serpentynami do górskiej stolicy Gharianu, mercedes i volvo zatrzymują się pod wielkim, rzeświście oświetlonym piętrowym domem. Ma on arkady i drewniane, typowo arabskie balkony, duży podjazd oraz parking na wiele aut. Nissan, którym podróżuje Daria, mija wszystkich i wjeżdża na wąską szutrową ścieżkę, równoległe biegnącą do ogrodzenia, by następnie boczną bramą wtoczyć się powoli na teren rezydencji Muntasirów. Kobieta niepokoi się i strzela na boki oczami, chcąc wypatrzeć coś groźnego lub podejrzanego, jednak głęboka noc zasnuwa ogród grafitową czernią. Nie ma tu żadnych lampionów ani latarni, a jedyne, wątłe światło daje księżyc. Reflektory oświetlają coraz to węższą i bardziej zarośniętą ścieżkę, a chaszczce ocierają się o boki szerokiego, komfortowego auta, rysując lakier. Są to przeważnie wyschnięte trzciny oraz typowe dla tej okolicy kaktusy agawy i opuncji. Daria wstrzymuje dech.

– *Ejna nimszi?*¹¹³ – zwraca się do kierowcy, a on tylko wzrusza ramionami, jakby nie rozumiał arabskiej mowy albo miał zakaz rozmawiania z pasażerką. – *Mister!*¹¹⁴ – Spanikowana chwyta mężczyznę za ramię i wbija paznokcie w grubą brudną galabiję. – *Ejna...*

– *Hosz!*¹¹⁵ – warczy krótko szofer, zrzucając jej rękę.

Dziadek Musa nie pozwoliłby mi zabić, pociesza się w duchu Daria. *Przynajmniej nie tak od razu. Boże drogi... Co ja komu zawiniłam, że taki los przypadł mi w udziale?* Chce jej się płakać, ale kiedy spogląda na spokojną buźkę śpiącego Ahmeda, postanawia być twarda. Nie może się załamać. Nie może się poddać. Dla tego pięknego smyka musi być twarda.

Jakby na zawołanie ciemność powoli pierzcha, a oczom kobiety ukazuje się małe podwóreczko z miniaturową fontanną i małym domkiem, wybudowanym z prefabrykatów. Podobne stawiano jeszcze za czasów Kaddafiego, a nazywano je blaszakami, bowiem podstawowa konstrukcja była z blachy falistej. Tu obłożono ją dla ozdoby i izolacji panelami elewacyjnymi, które zapewne kiedyś były białe, a teraz są pełne burorudych, gdzieniegdzie nawet czarnych zacieków. Do niewielkiego domu wchodzi się przez werandę z ostro świecącą żarówką wiszącą na drucie, rozchwierutaną drewnianą ławeczką, zjedzoną przez korniki, zadaszoną stelażem. Kiedyś pięła się po nim winna latorośl, dziś pozostały po niej tylko uschnięte cienkie gałązki.

Darii wszystko to nie jest straszne, ale boi się, co zastanie w środku, jeśli na zewnątrz dzicz zwyciężyła nad cywilizacją. *Byleby nie było skorpionów ani węży*, modli się w duchu. *Takie opuszczone miejsca chyba powinno się okadzać, zanim wpuści się nowych lokatorów.*

Kierowca wysadza matkę z dzieckiem, wyrzuca z bagażnika dwie wielkie walizy z ubraniami, które zakupił dla kobiety i jej synka nowy sponsor, po czym odjeżdża bez słowa pożegnania.

Daria widzi klucz w drzwiach, lecz nie ma śmiałości go przekreślić.

– Mamusiu! Jak tu fajnie! – Wyspany Ahmed podskakuje w miejscu i klaszcze w pulchne rączki. – Jak chłodno! Rzeško! Super! – Chłopiec w życiu nie wypowiedział tylu słów na raz, co sprawia, że Daria odzyskuje rezon.

– Siądźmy na ganku i pomyślmy, co dalej – proponuje, a uszczęśliwiony malec wdrapuje się na jej kolana.

Nieoczekiwanie wąska droga znów ożywa. Rozświetlają ją lampy innego wozu, który podjeżdża pod próg nowej pseudorezydencji pół-Polki.

– Dobry wieczór, *maam*! 16. – Eve szybko wyskakuje z pick-upa, po czym ściąga z paki tłumok ze swoimi rzeczami, mop z wiadrem oraz pięciolitrowy plastikowy baniak ze śmierdzącym płynem. – *Warakina*! 17 najlepsza na nowe mieszkanie! Raz-dwa wszystko wymopuję. – Uśmiecha się usłużnie.

– Dziękuję. – Daria oddycha z ulgą, choć nie wyobraża sobie, że miałyby dzielić to małe lokum nie tylko z insektami, ale także z czarną służącą.

– Jasnie pan Musa Kusa kazał powiedzieć, że przyjdzie jutro rano z wizytą.

– To niewyobrażalne, żeby traktować żonę jak śmiecia albo jeszcze gorzej! – Musa Kusa stwierdza, że najlepszą bronią jest atak, i postanawia zmieszać Jasema z błotem. – Jeśli nawet nasza arabska tradycja pozwala na wielożeństwo, co inni uważają za bigamię, grzech lub wręcz zboczenie – on sam także potępia taki precedens, ale o tym już nie wspomina – to kodeks nakazuje tak samo traktować pierwszą, drugą, jak i trzecią kobietę, którą się poślubiło!

– Panie Musa Kusa... – Jasem usiłuje coś powiedzieć, ale sam nie wie, co mógłby wymyślić, bo w tej chwili Daria zupełnie już go nie obchodzi. Kiedy zaś widział ją w Bengazi, to denerwowała go jak nigdy dotąd i nikt na świecie.

– Nie czekam na wytłumaczenie, bo tu nie ma żadnego wytłumaczenia! – Wściekły Libijczyk uderza pięścią w ogrodowy stół, przez co aromatyczna kawa rozbryzguje się z filiżanek na spodki i biały obrus. – Wy sobie tu sączycie kawusię, a czy twoja żona ma co do ust włożyć? Czy dziecko, twój syn – podkreśla ogromne znaczenie tego słowa – jadł śniadanie? Czy wczoraj zjadł kolację? Hę?

– Wujaszku... – Dżamila usiłuje powstrzymać staruszka, bojąc się, że coś mu się stanie, bo zrobił się całkiem bordowy na twarzy.

– Oboje jesteście siebie warci! – Musa celuje palcem w młodą kobietę, która od razu spieka raka. – Teraz wydaje ci się, że jesteś panią sytuacji i że tak będzie wiecznie. Ale jak byś się czuła, moja droga, gdyby Muhamad wziął sobie trzecią żonę, a ciebie odstawił na boczny tor, tak jak zrobił z Darin?

– Rozwiodłabym się z nim, ot co! – natychmiast odpowiada kobieta. – Wielożeństwo, tak jak wspomniałeś, nie jest ani dobrym, ani zdrowym układem. A rozwody nawet u nas, Arabów, są coraz powszechniejsze.

– Czasami bywa tak, że kobieta nie ma dokąd pójść i rozstanie nie wchodzi w grę. Pamiętaj też o dzieciach, moja ty nowoczesna panno! – Staruszek napomina dziewczynę, którą zna od lat i wie o niej wszystko, a teraz wygląda, że całkiem straciła głowę dla takiego dżihadystycznego szmatławca. – Muhamadzie, czy pozwoliłbyś Darin zabrać Ahmeda ze sobą, gdybyście się rozeszli? – Zwraca się do nieulubianego mężczyzny, patrząc mu prosto w oczy i twardym wzrokiem zmuszając go do powiedzenia prawdy.

– Nie. Oczywiście, że nie. – W tym względzie Jasem nie ma co kłamać, bo przecież takie są zasady i tak stanowi prawo szariatu.

– Sama widzisz, Dżamilo, że nie zawsze wszystko jest proste i jednoznaczne. Nie ma rzeczy białych i czarnych, a decyzje, które tobie wydają się banalne, dla innych bywają bardzo trudne. Jako gospodyni powinnaś była pomyśleć o Darin i Ahmedzie nie jak o rywalach, lecz o swoich gościach. Ty jesteś tu panią. – Mężczyzna z dezaprobatą zaciska fioletowe starcze wargi, po czym z niesmakiem cyka językiem o podniebienie i kręci głową. Patrzy ponurym wzrokiem nad stołem, stojącym na wielkim, zrujnowanym tarasie z widokiem na zaniedbany i zarośnięty ogród.

Dżamila już bez słowa rzuca się biegiem do domu. Po chwili z kuchni dobiegają krzyki i odgłosy razów. Zapewne wyżywa się na służących lub kucharce, chcąc zrzucić na kogoś swoje zaniedbanie. Musa Kusa nie musi bardziej interweniować, bo wie, że za chwilę jego nowa pupilka zostanie obsłużona i zasypana wszelkim dobrem.

– Czegoś się tak do niej przykleił? – Jasem w końcu nie wytrzymuje i ostro, niegrzecznym tonem pyta: – Nie za późno na miłość, dziadku?

– Chybaś, mój drogi, oszalał! – Libijczyk wybucha głośnym, kpiarskim śmiechem. – Od jakiegoś czasu nie lubię krzywdzić niewinnych osób. Tak mi się na stare lata porobiło. – Uważnie obserwuje swojego współnika, marząc jedynie o tym, żeby się go pozbyć. Wydaje mu się, że zlikwidowanie tego dżihadysty, perfidnego mordercy, nie sprawi mu najmniejszych kłopotów i wręcz nie może się doczekać tej chwili. – Poza tym czuję jakąś więź z półrodaczką, która po latach nieobecności wraca do swojej ojczyzny. – Jasem strzela oczami w jego kierunku, zastanawiając się, skąd ten dziad tak szybko się o tym dowiedział. – Na dokładkę bardzo jej się tu podoba, kocha ten kraj i również chciałaby pomóc w doprowadzeniu go do dobrobytu i spokoju. Widać, ma to w genach po swojej ciotce Malice Salimi, która była wielką patriotką.

– Twoi wywiadowcy nie śpią. – Terrorysta jest pod wrażeniem. Nie spodziewa się, że Musa Kusa wie wszystko od jego byłego przyjaciela, a aktualnie wroga numer jeden – księcia Anwara, który według umowy zawartej z Irańczykiem z brygady al-Kuds powinien już nie żyć. – Na czym według ciebie miałoby polegać jej wsparcie?

– Darin musi się tu urządzić. To po pierwsze. – Kusa wymownie spogląda na rozmówcę. – Po drugie, twoje dwie żony, jako że są krajankami, muszą się nauczyć ze sobą współpracować. Powinny pracować na korzyść naszą i naszego kraju. Bo jakbyś nie wiedział, w mojej starej Libii kobiety miały dużo do powiedzenia, a ich słowo bardzo się liczyło. Tak było i tak będzie. To, co jest teraz, to okres przejściowy. Na ziemiach Dżamahirijji nigdy nie będzie kalifatu ani pseudo-Państwa Islamskiego! – Podnosi głos tak, że słyhać go w każdym zakamarku wielkiej rezydencji. – Nie będzie nami rządziło prawo szariatu, według którego niewiasta jest niewolnicą, narzędziem do zaspokojenia męskich, szowinistycznych chuci i maszynką do rodzenia dzieci.

– Oczywiście. Idziemy z postępem. – Jasem wypiera się swoich poglądów, które są głęboko zakorzenione w jego mózgu, ale przede wszystkim w jego sercu.

Pół-Syryjczyk zastanawia się, jakim cudem ten modernista akceptuje jego osobę. Jeśli wie tak dużo o nic nieznaczącej Darin, to zapewne jeszcze więcej wie o nim samym. A mimo wszystko go zaagitował. O co tu chodzi? Do czego tak naprawdę go potrzebuje? Wspominał coś o bezpieczeństwie narodowym, ale łebski facet nie wierzy, że właśnie jemu powierzono by zapewnienie pokoju i spokoju w Libii. Gadki szmatki. Miałby wywabić wszystkich ukrytych fundamentalistów i dżihadystów, by następnie ich zlikwidować, siedząc przy tym na bardzo wysokim stołku ministerialnym. Może tak, a może nie? Stary libijski naiwniak jednak nie wie, jakie plany ma dżihadysta. Bynajmniej nie będzie

popychadłem głupich Libijczyków. Nigdy w życiu! Nie on. Ale niech tak sobie myślą, niech w to wierzą. Do czasu. A z Darią jeszcze się policzy. Jeszcze się z nią policzy! Żeby musiał się tłumaczyć przed jakimś starcem! Dawna miłość i sentyment do żony całkowicie rozmyły się na ich wspólnej życiowej drodze. Kiedyś mógł się na nią złościć, ale nie potrafił rozmyślnie skrzywdzić, choć postrzegając dobro i zło na zupełnie innych płaszczyznach niż normalny człowiek, krzywdził ją wielokrotnie. Nie umiał od niej odejść, tak jak i ona od niego. Obecnie jednak jego podłe serce pozostaje dla tej kobiety całkiem nieczułe. Już nie roztkliwia się nad jej posłuszeństwem jako arabskiej żony, bo takowego dawno nie ma, nie zachwyca się urodą, kształtami ani seksapilem, a szczególnie dużym, silikonowym biustem, który mącił mu w głowie, kiedy po upadku pseudo-Państwa Islamskiego mieszkali w Katarze. Teraz widzi jedynie problemy, które stwarza, i kłody, które rzuca mu pod nogi. Ułatwiający mu mimikrę charakter kameleona pozwala mu przybierać pozytywny wyraz twarzy w każdej sytuacji, więc rozmówca nie ma pojęcia o burzy podłych myśli przelatujących przez głowę Jasema, dlatego Musie Kusie wydaje się, że jego żądania zostały zaakceptowane.

– Jeśli chcemy, żeby ludzie nas szanowali, musimy z szacunkiem odnosić się sami do siebie. Do swoich rodzin i do swoich żon – podsumowuje starzec, w duchu modląc się, żeby Jasem nie rozwinął skrzydeł, bo wtedy padnie idea odrodzonej, pojednanej Libii, jego wymarzonego raju na ziemi. A razem z nią może upaść on sam. Wielki, przebiegły człowiek, były szpieg libijski, a przyszedł premier.

Dokładnie dzień po przyjeździe do Gharianu i po tragicznym, pesymistycznym wieczorze oraz bezsennej nocy, wszystko w życiu Darii odmienia się na lepsze. Z totalnej degrengolady przechodzi do pełnego uroku świata. Z płytkiego, nerwowego snu, w który zapadła dopiero nad samym ranem, wybudza ją cudowny, niezwykle poranek. Kobieta odzyskuje poczucie rzeczywistości dzięki świeżemu powietrzu, wpadającemu przez małe okienko do niedużej sypialni, zaś śpiew ptaków i oszałamiający błękit nieba błyskawicznie stawiają ją na nogi.

– Ahmed? Ahmed! Gdzie jesteś? – Nie widząc synka przy sobie, denerwuje się, a gdy zauważy uchylone drzwi, wpada w panikę. – Dziecko moje!

– *Maam*, spokojnie. Chłopczyk jest ze mną – dobiega z dworu zachrypnięty, ciepły głos Murzynki. – Jest piękna pogoda i mały bawi się na słońcu.

Daria wygląda na zewnątrz. Błękitne niebo co chwilę zasnuwają białe, pierzaste cumulusy, co powoduje, że kolory przez głęboki kontrast są jeszcze wyraźniejsze, a światło dzienne przejrzyste jak kryształ. Ahmed moczy kijek w fontannie, którą ktoś zdążył już uruchomić, a na ganku stoi solidny stół z górami aromatycznego arabskiego jedzenia. Znajduje się tam puszysta *chobza*¹¹⁸ i cienka *chobza misrija*¹¹⁹, paszteciki *burik*, zarówno wegetariańskie, jak i ociekające jagnięcym tłuszczem, kasza *burgul*¹²⁰ na mleku, chyba specjalnie przygotowana dla Ahmeda, *leben*¹²¹ i *lebneh*¹²², które uwielbia Daria, bo przypominają jej smak dzieciństwa, oraz całe stosy warzyw i owoców.

– Skąd to? – pyta zaskoczona pół-Libijka.

– Od panny Dżamili – tłumaczy służąca, pokornie pochylając głowę. – Powiedziała, że wkrótce do pani zajrzy.

– Ohoho! – Kobieta śmieje się z niedowierzaniem. – Mam się bać?

– Nie... Czemu? – Eve nie rozumie dziwnego pytania. – Panna Muntasir dobra, pani szczodroblowa.

– Znasz ją?

– Oczywiście. Od dawna. Akurat nastąpiłam na służbę w domu, kiedy panna była nastolatką. Ja zresztą także. To były czasy... – Murzynka wzdycha z rozmarzeniem, a Darię zastanawia jej wiek, bowiem założyła, że ma nie mniej jak czterdziestkę na karku.

– Więc stąd się wzięłaś. A ja myślałam, że Musa znalazł cię w Bengazi.

– Skądże! Służby nie bierze się z ulicy.

– To jak było w tych dawnych latach w domu Muntasirów? – indaguje zaciekawiona Daria, bo

zdaje sobie sprawę, że najwięcej informacji może wyciągnąć od służki.

– Kiedy zaczęłam tu pracę, to był bardzo ważny okres dla rodziny i dla kraju. Pełen wspaniałości i dokonań. A potem było już tylko coraz gorzej, gorzej i gorzej. – W oku kobiety kręci się łaża, a Daria stwierdza, że w ciągu ostatniej dekady obywatele wszystkich krajów arabskich przeżyli gehennę. Mniejszą lub większą. I na prowincji, i w dużych miastach.

Teraz młoda Salimi żałuje, że nie wyciągnęła od mamy i siostry więcej na temat ich prawie rocznego pobytu w Libii podczas arabskiej wiosny. W ogóle jej to wtedy nie interesowało. *Co za ignorancja z mojej strony!*, krytycznie podsumowuje samą siebie. *Miałam w nosie kraj mojego ojca i dwie najbliższe memu sercu osoby, które ponoć przeżyły tu piekło. Nawet nie słuchałam, co mówiły.* Teraz usiłuje cokolwiek sobie przypomnieć, ale w głowie ma całkowitą pustkę. Pamięta jedynie, że opowiadały, iż Muaid, syn ciotki Maliki, a kuzyn Darii, zabił pułkownika Kaddafiego. Później media huczały, że pułkownik został zlinczowany przez rozgoryczonych obywateli libijskich. Wtedy te dwie rozbieżne informacje zniechęciły ją do słuchania nielicznych i enigmatycznych opowieści mamy, bo uważała, że kobieta doznała jakiegoś wstrząsu psychicznego i jest niespełna rozumu. Wszystko fabularyzowała, koloryzowała, po prostu zwyczajnie kłamała. Marysię od zawsze Daria oceniała jako egzaltowaną bardziej Arabkę niż Polkę, więc jej słowa były jeszcze mniej wiarygodne. *Jaką byłam egoistką*, stwierdza. *Zawsze. W dzieciństwie, młodości, później, w dorosłym życiu w kalifacie, i teraz. Poza czubkiem własnego nosa niczego i nikogo nie widziałam.* Zaczyna się zadręczać, lecz twardy charakter nie pozwala jej zdołować się do cna i upaść na duchu. Zagryza wargi, parokrotnie bierze głęboki oddech, a w końcu zasiada przy suto zastawionym stole i oddaje się konsumpcji.

– Zjesz coś? – Z pełnymi ustami zwraca się do Eve, która kręci się po obejściu z miotłą w rękę.

– Nie, jaśnie pani. Dziękuję. – Służąca odmawia, lecz twarz jej się rozjaśnia, gdy biała kobieta proponuje jej wspólny posiłek.

– A jadłaś już? – indaguje troskliwie Daria, choć Murzynka nie wygląda na zagłodzoną. Jej solidne ciało emanuje siłą, duży biust podskakuje sprężysto, a typowo afrykańska, potężna pupa nie poddaje się grawitacji i nie faluje, prezentując się atrakcyjnie pod opinającą ją, długą do pół łydki spódnicą.

– Jadłam. Dla mnie też dali. Była *chobza* i *burgul*. – Eve jest przyzwyczajona od dziecka, że jej jadło jest inne i że państwo nie dzielą się z posługaczami swoimi wykwintnymi daniami.

– Aha. Oddzielnie dla ciebie, a oddzielnie dla mnie i mojego syna. – Daria widzi, że zasady dotyczące służby na całym świecie są takie same, jednak teraz jej gosposia jest równocześnie jej jedyną dorosłą towarzyszką i oknem na świat, więc postanawia ten układ zmienić. – Naści. – Wciska jej w brudną rękę pajdę chleba grubo posmarowaną *lebnehem* i pokazuje na ławeczkę na ganku. Tak naprawdę chce wyciągnąć od kobiety jak najwięcej informacji o domownikach, a szczególnie o Dżamili. – Jak to było, kiedy tu nastałaś? Dżamila się z tobą kolegowała? – Poniewczasie orientuje się, że zadała głupie pytanie. – Co robiłaś? – poprawia się. – Tak w ogóle...

– To co zawsze. – Eve uśmiecha się zadowolona, pokazując wielkie, bieluteńkie i równe uzębienie. – Sprzątałam. Byłam do dyspozycji panny Muntasir. Ona taka trochę humorzasta była. Jak każda panienka z dobrego domu. Nie żebym narzekała albo coś... – Od razu boi się, że za dużo powiedziała, i już chce odejść, ale Daria zatrzymuje ją dojrzałym czerwonym pomidorem, suto polanym oliwą i obsypanym arabskimi ziołami, którego kładzie na talerzyku naprzeciwko Murzynki.

– Pewnie, że nie narzekasz, ale panna była rozpieszczona.

– Tak bywa. – Eve kiwa głową. – Każdy ma swój krzyż, więc nie ma co krytykować.

– Dżamila też miała jakieś troski? – Darii nie chce się w to wierzyć, bo panienka wygląda na rozpuszczoną jak dziadowski bicz jedynaczkę.

– Też. W tym samym czasie przechodziłyśmy przez zespół stresu pourazowego – mądrze wypowiada się Togijka, ale aż wytrzeszcza oczy, koncentrując się, żeby nie pomylić żadnego słowa.

– Tak? – Pół-Polka doskonale zna to określenie, modne na Zachodzie, kiedy jeszcze żyła w Anglii. Tam młode, naiwne dziewczyny nierzadko były gwałcone, a następnie poddawane terapii właśnie w związku z tą przypadłością. Głośno o tym było w telewizji i radiu, bo ofiary namawiano do

zgłaszania takich wykroczeń. *Ciekawa jestem, czy w Libii gwałt jest karany?*, zastanawia się, lecz jeszcze bardziej nurtuje ją fakt, kto ośmielił się tknąć taką znaną i hołubioną jaśnie panienkę jak Dżamila. – Czy wiesz, kto pohańbił twoją panią? – indaguje, a Eve patrzy na nią jeszcze większymi oczami, jakby ta kazała jej wymienić wszystkie planety Układu Słonecznego w prawidłowej kolejności.

– Panna Dżamila przeszła przez to samo co ja, ale jej życie było ważne, a moje nieważne. Ją zniewolił ktoś ważny, a mnie jakby śmieć się do dupy przykleił – usiłuje wulgarnie żartować. – Mnie nie miał kto ukarać, więc nadal żyję, a rodzina Muntasir zawsze była nowoczesna, więc nie było mowy o zbrodni honorowej. – Zwyczajnie mówi o tragicznej sytuacji zgwałconych dziewcząt i kobiet w kraju arabskim. – Familia bardzo ją wspierała, a mnie nie, bo moich zabito podczas ucieczki na granicy Togo i już wtedy nikogusieńko nie miałam.

– Jaka rodzina? Teraz nikogo wokół niej nie widzę. Co zrobili?

– Jaśnie pan ojciec, Omar Mustafa zrezygnował z funkcji ministra, a potem po roku biedulek umarł z goryczy. Od tej chwili wuj Musa Kusa był opiekunem panienki. Dobrym *mahramem*. Wtedy Dżamila wyjechała z matką do Anglii, do Londynu. Jako że wuj wcześniej pracował z Omarem Mustafą w ministrach... tych od zagranicy – tłumaczy na swój prosty, lecz bardzo klarowny sposób – to i dom tam własny miał, i jakieś apartamenty, więc było komfortowo, a panienka skończyła dobre szkoły.

– A ty jakąś szkołę skończyłaś? – pyta z zupełnie innej beczki Daria, bo interesuje ją, czy jej obecna służka jest taka inteligentna i spostrzegawcza z urodzenia, czy otrzymała jakieś wsparcie edukacyjne.

– Oczywiście! – wykrzykuje dumna kobieta. – Mam aż osiem klas zaliczonych w Togo w Lomé, więc jeszcze panience we francuskim długie lata pomagałam. Moi rodzice byli dobrzy i mądrzy. Matka i tatko nauczyciele, dlatego też myśleli za dużo i głupio się buntowali. Z tego powodu długo nie pożyli. – Na te słowa zaraz smutnieje.

– Tak myślałam, że nie tylko mądra, ale i wykształcona z ciebie dziewczyna. – Daria z aprobatą poklepuje Murzynkę po plecach.

– W Londynie jako służąca z jaśnie panienką też byłam. Klas żadnych nie zrobiłam, bo szkoły wszystkie płatne, ale na darmowe kursy dla cudzoziemców chodziłam, a potem z ciekawości podkradałam panience szkolne podręczniki. Zaś na koniec nawet pani matka kazała nam się razem uczyć, co oznaczało, że robiłam za pannę Dżamilę zadania. Ha! – Dumnie wykrzykuje Eve i szybko zapomina o nieszczęściach, które ją w życiu spotkały, bo z natury jest pogodna i przebojowa.

– Kto zatem aktualnie mieszka w rezydencji? – Świeżo przybyła próbuje się zorientować w sytuacji, bo przecież musi tu żyć i jakoś sobie radzić. Możliwe, że znajdzie wsparcie w lokalnych mieszkańcach.

– Prawie nikt. Wielki kolonialny dom ziele pustką, bo zajmują go teraz jedynie *said* Arabi, Dżamila, jaśnie wielmożny Musa Kusa oraz stary, chory na alzheimera dziadek ze strony matki. Paru przyjezdnych zawsze się tam kręci, bo taka siódma woda po kisielu zazwyczaj przykleja się do bogaczy. – Murzynka krzywi się, mówiąc o biedakach, bo dla niej szacunek wiąże się z bogactwem. – Pani też powinna tam mieszkać. – Jakby czytała w myślach Darii, bo przyjezdna czuje się tu jak zbity pies, odrzucona, odepchnięta, samotna, z dzieckiem, które bynajmniej nie jest jeszcze całkiem zdrowe i silne. – Choć może i lepiej dla was, że trochę dalej będziecie rezydować. *Maam* Blanka też się wypięła na salony. – Służąca poniewczasie gryzie się w język, ale Daria zaraz wychwytyuje ważną informację.

– Jaka *maam*?

– *Maam* Blanka... *Adžnabija* w rodzinie Muntasir. *Indžlizija*123. Babka panienki. To supermądra i elegancka kobieta. Przez długie lata ona tu rządziła, wszystkim i wszystkimi dyrygowała. Do czasu, aż Dżamila się wykształciła, wróciła z zagranicy, błyskawicznie zdobyła pozycję w rządzie w Trypolisie i nie wiadomo czemu, również tutaj zaczęła się szarogęścić. – Eve coraz szczerzej się wypowiada i Daria dostrzega, nie bez satysfakcji, że panienki to ona jednak za bardzo nie lubi ani nie

szanuje. Dzięki temu darzy swoją nową służkę coraz większą sympatią.

– Ciekawe. Z chęcią poznałabym tę panią, choć musi być już strasznie stara.

– Może i jest leciwa, ale dalej zażywna i aktywna, a i głowę ma na karku. Jak się tu ogarniemy, to zaprowadzę do niej – deklaruje Eve.

Jakby na zawołanie pod mały domek podjeżdża kilka pick-upów z materiałami budowlanymi i robotnikami na pace oraz znane już pół-Polce volvo, z którego wysiada uśmiechnięty Musa Kusa.

– Jak się masz, *habibti*? – pyta mężczyzna, całując familiarnie Darię w oba policzki. – Jak ci się spało w tej blaszance? – Spoziera krytycznym wzrokiem na domek, który pod ręką Murzynki staje się coraz przytulniejszy.

– Dziękuję, jakoś trzeba sobie radzić, prawda? – Pomimo optymistycznej pozy Daria nie potrafi zapanować nad łzami, które zbierają się w jej oczach.

– Żebyś wiedziała. – Stary bierze ją za rękę i prowadzi na mały ganek. – Nic się nie przejmuj. Z twoim przyjemnym mężusiem już sobie pogadałem. – Patrzy jej wymownie w oczy. – Nie powinno być z nim problemów. Ma liczne zadania i niewiele czasu będzie spędzał na tej zabitej dechami prowincji.

– To rzeczywiście pocieszające. – Daria uśmiecha się półgębkiem.

– Dżamila to nie jest zła dziewczyna. – Mężczyzna ciężko siada i ociera pot z czoła, bo pomimo wczesnej pory jest już gorąco. – Za młodu doświadczyła trochę nieprzyjemności, ale wyszła z tego prawie obronną ręką. – Dzięki wcześniejszej konwersacji z Murzynką kobieta wie, o czym mowa.

– Kto ją zgwałcił? – bezczelnie indaguje Daria, wkopując tym samym swoją informatorkę.

– Nigdy więcej o to nie pytaj! – Musa Kusa nieoczekiwanie wpada we wściekłość, chwytając swoją protegowaną za ramię i miażdży je w mocnym uścisku. – Przenigdy! I nie rozmawiaj o tym z Dżamilą, bo za wyciek takich faktów z jej prywatnego życia gotowa nawet zabić. Służącą na pewno wygnałaby batami i poszczuła psami, a przecież nikt nie chciałby krzywdy naszej czarnej bezmyślnej gaduły. – Staruszek doskonale wie, kto zdradził Darii te kompromitujące szczegóły.

– Nie sądziłam, że to taki drażliwy temat...

– Durna jesteś czy co?! Rozczarowujesz mnie. – Mężczyzna odsuwa się od rozmówczyni, z bólem wymalowanym na twarzy masując czoło. – To najbardziej dyskretna tajemnica w życiu każdej arabskiej kobiety. Nie wiesz o tym? Ty byś się chwaliła takimi przejściami?

– Mnie nikt nie zgwałcił. Sama dałam dupy jak głupia koza kryptodżihadysty, a potem – również sama – o sobie zadbałam. Zaś moja mama bez szczególnego wstydu i zażenowania wielokrotnie wspominała o swoim pohańbieniu. Można nawet powiedzieć, że miała obsesję mówienia o przemocy, której doświadczyła ze strony arabskiej nacji.

– Twoja matka nie była mużłmanką, Arabką. To kobieta z Zachodu i tym samym zupełnie inaczej do tego podchodziła, choć ujawnianie gwałtu nie leży w naturze żadnej z ofiar. Może szkalowanie mużłmanów i uogólnianie, że wszyscy są źli i wredni, stanowiło dla niej jakiś rodzaj oczyszczenia czy terapii?

– Może. Dlatego ja też mówię o tym tak bezpardonowo – przyznaje skruszona pół-Polka. – Parokrotnie nieszczęściczkę zniewolono. Tutaj, w Libii.

– Rodzina Salimi ją pomściła?

– Rodzina Salimi? Więc już wiesz? – Daria tylko z niedowierzaniem kręci głową, bo przecież zdawała sobie sprawę, że ten facet ma takie układy, że wcześniej czy później ją rozszyfruje. Nie spodziewała się jednak, że tak szybko.

– Naturalnie, moje dziecko, że wiem co nieco o tobie, a jeszcze więcej o twojej libijskiej rodzinie.

– Więc oczywiście wiesz również, kim jest mój mąż, a obecny kochanek Dżamili.

– Ma się rozumieć – śmieje się usatysfakcjonowany przebiegły lis.

– I nie boisz się o nią?

– Boję się. Tak jak i o ciebie. Ale czasem lubię stąpać po cienkiej czerwonej linii.

– Do czego on ci jest potrzebny?

– Wkrótce się zorientujesz.
– Dżamila wie?
– Nie. Myślę, że nie. – Zadowolenie pierzcha z oblicza Musy Kusy. – I dobrze by było, gdybyś jej nie uświadamiała. – Posapuje podenerwowany. – Jesteś dość mądra i wystarczająco przebiegła. Bezkompromisowa. – Ocenia kobiety prosto z mostu, bo w kruchym ciele widzi ogromną siłę i determinację.
– Co ja robię w tym gównie? – zastanawia się na głos Daria. – Jaka jest moja rola? Bo skoro wciąż żyję, to znaczy, że mam jakieś zadanie, prawda?
– Ja usiłuję cię uratować. A co tu robisz, tego nie wiem. Przyplątałaś się na własną prośbę.
– Co mam zrobić, żeby przeżyć?
– Działać. Jako Darin Salimi, przedstawicielka dobrej rodziny z czasów Kaddafiego. Doktor Malikę wszyscy znali. Cały Trypolis i pół Libii. Tutaj rody są cenniejsze od brylantów.
– Dobra. – Daria postanawia wziąć się w garść. – Przedstawisz mi jakiś plan?
– Będziesz współpracować z Dżamilą.
– Co?! No nie!
– To co słyszysz. Ręka w rękę. I bez gadania.
– Postaram się – pokornieje.
– Pierwsza żona, piękna Darin Salimi, i druga żona, przebojowa Dżamila Muntasir, walczą o nową, odrodzoną i pojednaną Libię. – Mężczyzna rozkoszuje się samym dźwiękiem kobiecych imion. – Co ten facet ma w sobie, że przyciąga najlepszych...
– Jasem? Najbliższy współpracownik Musy Kusy? – pyta z uśmiechem Daria. – Coś musi mieć, skoro zainteresował się nim taki stary – mruga porozumiewawczo – wyjadacz, doświadczony polityk i obyty dyplomata. Mam tylko nadzieję, że nie szykujesz go na prezydenta swojego ukochanego kraju, bo gotowa jestem stwierdzić, że oszalałeś.
– Czasami potrzebne są miotły, które wymiotają śmieci z najgłębszych, najciemniejszych kątów. Potem się takie narzędzia wyrzuca. – Musa uchyla jednak rąbka tajemnicy co do swoich planów wobec dżihadysty.
– Przy użyciu marionetek nieraz padają całe gabinety – podłapuje Daria.
– Nie denerwuj się i nie przejmuj. Nie z takimi pionkami miałem do czynienia.
– Mam nadzieję, że twój profesjonalizm i doświadczenie i tym razem wezmą górę. Obyś tylko się nie przeliczył, bo wtedy razem pójdziemy w piach.
– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. – Libijczyk, nie reagując na ostrzeżenie, zbiera się do wyjścia, bo jego misja zaangażowania pół-Libijki na chwilę obecną jest zakończona. – Jak rodzina Salimi pomściła twoją matkę?
– Nijak. – Daria staje u boku swojego nowego *mahrama*. – To mój ojciec okupił swoje fundamentalistyczne poglądy, które za Kaddafiego były przewinieniem karanym śmiercią, honorem mojej matki.
– A to drań! – oburza się staruszek. – Niewyobrażalne! Żeby Arab? Libijczyk!
– Zrujnował życie całej rodzinie. Ale moja mama ponoć odpłaciła mu pięknym za nadobne.
– W jaki sposób?
– Zabrała mu to, co miał najcenniejsze.
– Dzieci?
– Nie tylko. Ponoć odebrała mu życie – wypala z grubej rury kobieta, zupełnie się nie zastanawiając nad siłą swoich słów.
Musa Kusa zdaje sobie sprawę, że zasada oko za oko, ząb za ząb obowiązuje nie tylko w arabskiej kulturze. Przecież to starotestamentowy kanon, który w nowoczesnych krajach Zachodu całkowicie poszedł w niepamięć, ale wśród zaściankowych ludzi nadal króluje. Teraz jeszcze klarowniej widzi w tej młodej kobiecie z rodu Salimi ducha, który jest twardy jak skała, oraz upór i wytrwałość, charakteryzujące bohaterów albo zbrodniarzy. Ma jedynie nadzieję, że ona należy do tych pierwszych.

– Oto parę niezbędnych rzeczy dla ciebie. – Na odchodnym wręcza jej przestarzały model androida, zielony libijski paszport i czarną reklamówkę pełną spiętych gumką libijskich dinarów, które przy galopującej inflacji mają tak małe nominały, że na większe zakupy trzeba chodzić z workiem. – Rządź tym do woli, a jak zabraknie, daj znać. – Do tych wszystkich dobroci wciska jej do ręki dwie paczki dolarów w studolarowych nominałach.

– Dziękuję. – Daria jest wyraźnie speszona. – Mam nadzieję, że tę forszę wzięłeś od Jasema. Nie chciałabym narażać cię na koszty.

– Moje dziecko! – Mężczyzna podśmiechuje się pod nosem. – Nie zdążę wydać wszystkich pieniędzy, które nazbierałem przez lata, a zostawić też nie mam komu. Nie przejmuj się. Przyjemność po mojej stronie.

– Mój paszport! – Kobieta aż traci dech, widząc arabski dokument wystawiony na jej nazwisko. – Rzeczywiście jestem Darin Salimi. Och!

– To akurat dostałem od twojego męża. Cholerni fundamentaliści nadal mają najlepszych fałszerzy. – Musa z niesmakiem wykrzywia twarz.

– Tym razem spreparowali paszport, który z powodzeniem mógłby być prawdziwy. Nie ma w nim kłamstwa, nawet moja data urodzenia jest autentyczna.

– Dlatego go przyjąłem. A tymczasem do zobaczenia. – Staruszek całuje Darię w policzek, rozkoszując się delikatnym zapachem perfum, pomieszanym z wonią młodej, nagrzanego słońcem skóry.

– Te góry są cudowne, ale też trochę straszne – szepcze kobieta. – Boję się zostać tu bez ciebie.

– Niepotrzebnie. Jesteś pod moim protektoratem i nikt przy zdrowych zmysłach cię nie tknie. Niedługo wrócę.

– To mnie pociesza.

– Jakby co, dzwoń. W telefonie masz zapisany numer do mnie, Dżamili i parę innych niezbędnych kontaktów. Dasz radę, dzielna kobietko.

– Będę tęsknić. – Daria pąsowieje ze wstydu, ale słowa same wypływają z jej ust.

Cały długi dzień od świtu do zmierzchu robotnicy pracują nad nowym domem Darii i Ahmeda. Własna rezydencja pierwszej żony dżihadysty oraz jego pierworodnego. Kobieta myślała, że brygada syryjskich budowniczych zajmie się remontem blaszaka, ale spotyka ją wielka niespodzianka. Willa zlokalizowana będzie w bardziej ustronnym miejscu, nie przy samym ogrodzeniu, ale w głębi zaniedbanego ogrodu, który najpierw trzeba wykarczować, co stanowi chyba większy problem niż postawienie nowego domu. Dżamila miała przyjść w odwiedziny, ale jakoś do tej pory nie dociera. Teraz jednak Daria nie ma czasu się tym przejmować, bowiem sama podkasuje rękawy i zabiera się do roboty.

– Pan da tę maczetę – rozkazującym głosem zwraca się do robotnika, który niemrawo jak mucha w smole rusza się przy ścinaniu wyschniętej, twardej jak drewno trzciny. – No dawaj! – Denerwuje się, kiedy widzi głupawy wzrok chłopka.

– Ale *saida*...

– *Saida qawija*124. – Inny, całkiem przystojny Syryjczyk, z diabelskim błyskiem żigolaka w oku, uśmiecha się i bezczelnie gapi na piersi pół-Libijki. Uważa ją za białą kobietę ze względu na jej jasną karnację i proste, cienkie włosy.

– *Fisa*125, *fisa!* – pogania ich Daria, bo w tym tempie nie skończą do pory deszczowej i zimy, która w tym regionie Libii jest dość uciążliwa, gdyż w nocy panują przenikliwe chłody, a temperatura spada nieraz poniżej zera.

Sama z dużą wprawą i siłą chwyta oburącz za maczetę i z upodobaniem wycina wyrosnięte chaszczce. Mężczyźni lubieżnie ją obserwują, lecz ona czuje się bezpieczna pod opiekuńczymi skrzydłami potężnej rodziny Muntasir oraz samego Musy Kusy.

Ktoś jednak musi nadzorować pracę leniwych robotników, bo prace w ogóle się nie posuwają. Po tygodniu pojawia się lokalny majster, który traktuje budowlańców jak niewolników – wrzeszczy na

nich, klnie, nie daje odpocząć, napić się wody czy choćby wyjść na stronę. Libijski mężczyzna jest opryskliwy i gburowaty i może dzięki temu nie zawiesza oka ani na Darii, ani na Eve, a jedynie wypełnia swoje obowiązki. Przystojniak, który wcześniej adorował pół-Polkę, haruje obecnie w pocie czoła i nie w głowie mu romanse. Budowa w końcu rusza z kopyta i ani się obejrzeni, jak dom, wprawdzie w nieciekawym kształcie klocka, ale z dwoma tarasami, staje w stanie surowym, ziejąc pustymi otworami na okna i drzwi. Z jego dachu sterczą zbrojenia, co jest typowe dla tego regionu świata. Daria z zachwytem spoziera na marnej jakości budynek, który dla niej jest najpiękniejszy i najwspanialszy na świecie, bo jej własny. *Ależ będę miała w mojej willi przestrzeni!*, zachwyca się rozmarzona. Oczami wyobraźni widzi już kolorowe obrazki czy plakaty na krzywych ścianach, a na betonowych podłogach lokalne dywany. *Ależ będzie nam tu z Ahmedem dobrze*. Optymistycznie spogląda w przyszłość, zapominając o prześladowającym ją pechu.

– Trza wybrać farbę na ściany. Jakies tam kolory – opryskliwie oznajmia majster. – Jedzie? – pyta kobietę bezosobowo, patrząc przy tym nie na nią, lecz na wydeptaną szutrową ścieżkę.

Daria rozgląda się niepewnie, nie wiedząc, do kogo było skierowane pytanie, ale kiedy nie widzi nikogo obok, konstatuje, że to o nią chodzi.

– Jedzie. Poczeka, weźmie tylko pieniądze – mówi w takiej samej bezosobowej formie, bo stwierdza, że widać takie są zwyczaje językowe góralskiej *lehdzy*¹²⁶.

Wskakuje do domu i porywa reklamówkę z pieniędzmi schowaną pod materacem łóżka. Potem narzuca na siebie barwną tunikę, którą zapina pod szyję, włosy niedbale owija kwiecistą chustą, szybko spogląda na siebie w lustrze i biegnie do maleńkiej kuchni, królestwa Eve. Murzynka na co dzień równocześnie opiekuje się Ahmedem, sprząta i warzy obiad, a Daria jej nie przeszkadza. Matka postanawia nie przesadzać z troskliwością i kloszem ochronnym nad chłopcem, bowiem Murzynka zapewne niejedno dziecko wychowała, więc tylko od czasu do czasu kontroluje sytuację.

– Jadę do miasta – informuje teraz krótko. – Miej go na oku. – Pokazuje brodą na Ahmeda, który miesza w misce mąkę z wodą, zapewne na jakieś dziecięce potrawy.

– Oczywiście. Bez obaw. My tu w międzyczasie zrobimy placki z jabłkami. Paniczowi będą smakować, bo panicz wielki łasuch. – Służąca delikatnie głaszcze małego chłopczyka po główce i patrzy na niego z uwielbieniem, co całkowicie uspokaja troskliwą matkę. Eve zakochała się w jej dziecku jak we własnym i na pewno nie da mu zrobić krzywdy.

Daria wskakuje do pick-upa, bo kierowca, czekając na nią, gazuje już nerwowo, zasmradzając świeże wiejskie powietrze.

– Już jestem. – Uśmiecha się miło do niemiłego chłopca, który nie dość, że patrzy na nią wilkiem, to jeszcze cały odurzająco cuchnie potem, a jego portki niemytymi, gnijącymi w libijskim upale genitaliami. Na zewnątrz Daria tego nie czuła, gdyż wiatr rozwiewał każdą woń, ale teraz w blaszanej pace przez ten smród aż kręci się jej w głowie. Nie ma jednak wyjścia. Chcąc się dostać do miasta, musi korzystać z każdej nadarzającej się okazji, nawet w tak ekstremalnych warunkach. – To co, lecimy po farby? – zagaduje grzecznościowo, zastanawiając się, jaki zapaszek wydobędzie się z gęby chłopca, kiedy ten się odezwie. Na wszelki wypadek szybko kręci rozchwierutaną korbką i otwiera okno.

– Wybierze farby, lastriko, kabinę prysznicową czy wannę, armaturę... no wszystko.

Nagle się okazuje, że Daria może sama o wszystkim zdecydować, zarządzając dom, więc to naprawdę będzie jej lokum.

– *Wallahi!* Wspaniale! – Podekscytowana kobieta aż klaszcze w ręce. – Jakże się cieszę! – Wybucha radosnym, młodzieńczym śmiechem, a majster w końcu też okazuje deko uczuć i delikatnie, półgębkiem się szczerzy. – Całkiem niezłe te autostrady macie. – Pół-Libijka postanawia wykorzystać okazję, żeby czegoś dowiedzieć się o tym regionie Libii i jego mieszkańcach. – A serpentyny, którymi jechaliśmy z północy kraju, to aż zadziwiają.

– Pewnie, że dobre. Budowała je niemiecka firma i dlatego droga nazywa się Bilfingerówka. Jeszcze za dobrych czasów pułkownika, kiedy u nas i drogi, i farmy, szpitale, szkoły i markety się stawiało – mówi zasmucony zwolennik Kaddafiego, a Daria zastanawia się, ile kobiet z jego rodziny

mogłaby zaagitować do partii pojednania. – Potem wszystko szlag trafił.

– Szkoda. Ale może jeszcze da się coś uratować i znów powrócą czasy dobrobytu i spokoju w Libii.

– Wszystko rozkradną, psy jedne! Teraz kontroli u nas żadnej. Takie robotniki na ten przykład.

– Ni z tego, ni z owego facet się rozgaduje i zupełnie zmienia ton. Widać, przy pracownikach chce wyglądać na surowego i niedostępnego drania, ale tak naprawdę jest miłym, uczciwym, choć prostym chłopem. – Przyjeżdżają taki jeden z drugim z Syrii, a człek wie, kto zacz? Nie wiadomo. Może jakiś terrorysta albo morderca. A u nas, w Libii, wielkie przestrzenie i każdy byle zbir się schowa. Ja sam nie jestem pewny dnia ani godziny. Czy kiedyś jakiś gość, co niby dla mnie pracuje, łba mi maczetą nie odrąbie.

– Tak źle to chyba nie będzie. Straszy mnie pan tymi Syryjczykami. Oni mieszkają na mojej posesji, śpią dosłownie za moim oknem. – Daria zna takich fundamentalistycznych zbrodniarzy i czuje przed nimi paniczny lęk. – A w rezydencji panienska Dżamila też sama. Mogliby mieć z nami niezłe używanie.

– Dam wam strażę. Nie pomyślałem o tym, a *said* Musa Kusa prosił, żeby o wszystko zadbać. *Wallahi!* – Poczciwina chwytą się za głowę. – Muszę tylko kogoś znaleźć, bo to niełatwa sprawa. Ci, co mają broń, tylko czasami pracują w policji czy straży obywatelskiej, a częściej są to niebezpieczne pachołki z dawnych czasów wojny domowej. Tacy nie wiadomo komu łeb rozwałą, jakby co do czego przyszło. Jutro na początek jakiegoś krewniaka podeślę.

– Dziękuję panu ogromnie! – Daria chciałaby go wycalować, ale woal naturalnych zapachów majstra skutecznie ją odstrasza.

Aktualnie kobieta całą swoją uwagę skupia na poznaniu, przynajmniej z okien samochodu, górskiego miasteczka, w którym nie wiadomo jak długo przyjdzie jej mieszkać. W zasadzie jakby wszystko dobrze się ułożyło, mogłaby tu osiaść nawet na zawsze. Byle mieć święty spokój. Byle nie widzieć Jasema i żeby wszystkie agencje wywiadowcze o niej zapomniały. Ale czy uda się jej zapomnieć o własnej, kochającej rodzinie? O rodzinie, która szukała jej przez pół świata? Teraz o tym nie myśli, bo ma co innego na głowie, ale na dnie pokrzywdzonego serca ciągle czuje ból straty.

Z terenu włości rodu Muntasir jedzie się najpierw szutrową, a później asfaltową wąską drogą, biegnącą między odludnymi polami i chaszczami, ogrodzonymi naturalnymi żywopłotami z opuncji, by po uciążliwych dziesięciu minutach podskoków i wstrząsów wyjechać na porządną dwupasmówkę, prowadzącą do centrum. Po obu stronach drogi mijają niską piętrową lub dwupiętrową zabudowę z piaskowca, gdzie znajdują się przydrożne sklepy i mieszkania właścicieli biznesu. Przypomina to Darii architekturę Rakki, stolicy kalifatu w Syrii. Widać powstały w tym samym okresie i może nawet wybudowane zostały przez te same firmy, gdyż budowniczy z Syrii byli znani w całym arabskim świecie zarówno ze względu na niską cenę usług, jak i całkiem niezłą ich jakość. Świadczy o tym fakt, że pomimo braku konserwacji i ręki gospodarza w Gharianie budynki nadal stoją i są w dobrym stanie technicznym. Nowsze, sześć- czy siedmiopiętrowe bloki powstały i wciąż powstają na obrzeżach miasta, które stara się zachować klimat niskopiennej enklawy. Założony w latach dwutysięcznych oddział politechniki jest w pełni nowoczesny, tak jak i ogromny stadion piłki nożnej. W centrum miasta wyróżnia się wysoki ponad miarę zakład ubezpieczeń społecznych. Przychodnia zdrowia oraz klinika dentystyczna, pomalowana na obrzydliwy zielony kolor, wielki market wielobranżowy z niemodnym i lichym towarem wystawionym w witrynach czy szkoła mają maksymalnie trzy piętra, urozmaicone loggiami i licznymi podcieniami. Największy jest sklep meblowy – z różnorodnym, typowo arabskim towarem. Miasteczko wygląda na dość zamożne, co widać po jeżdżących tu samochodach, strojach mieszkańców i ogólnej schludności otoczenia. Na pasie betonowego chodnika oddzielającego strony dwupasmówki nie ma może dużo zieleni, ale brak też śmieci, z których znana była Libia w czasach sprzed arabskiej wiosny – sam Kaddafi nazywany był wszak królem śmieciarzy.

– Ma ochotę na dobry miód z pasieki? Takiego w markecie nie dostanie – wyrывa się kierowca, wybudzając Darię z zamyślenia.

– Pewnie! Jak najbardziej! – *Mam ochotę na wszystko, ale następnym razem muszę*

skombinować sobie inny środek transportu albo innego szofera, bo wydzielane przez tego aromaty są naprawdę toksyczne. Daria uśmiecha się od ucha do ucha, bo dawno nie była taka zrelaksowana i swobodna.

Mężczyzna parkuje przed długim piętrowym budynkiem i prowadzi pasażerkę do jednego z licznych zapyziałych sklepików, w których znajduje się szmelt, mydło i powidło. Panuje tu wszechobecny brud, po kątach buszują pająki, myszy i szczury, jednak za ladą króluję przesympatyczna Libijka w średnim wieku, której oczy śmieją się na widok przybyłych.

– *Habibi*, dobrze, że przyprowadziłeś panią do mnie – czule zwraca się do mężczyzny, a Daria nie może uwierzyć, że niedomyty śmierzdel może być czymś ukochanym. – Wybór detali wystroju wnętrza to kobiece sprawy.

Pomimo tuszy zgrabnie wyskakuję z kontuaru, podbiega do Darii i czule ją obejmuję.

– Jestem Darin Salimi – przedstawia się młoda, a uśmiech sam wykwią na jej twarzy. – Mieszkam przy rezydencji Muntasirów.

– Wiem, kochana. Wszystko wiem. – Libijka poklepuję ją protekcyjnie po policzku. – Trzeba ci lokum wrychtować. Córka już jedzie, żeby zastąpić mnie w sklepie, a my razem udamy się na shopping. – Śmiesznie sili się na angielskie słowa, chcąc pokazać, że jest osobą wykształconą i bywałą. – Hajat mam na imię i tak się do mnie zwracaj, biedulko.

Daria zastanawia się, czemu kobieta jest taka pełna współczucia. Przecież niemożliwe, żeby każdy jeden mieszkaniec Gharianu znał jej losy i wiedział, że ma męża džihadystę!

– Ponoć masz dobry miód – zagaduję, chcąc zabić czas i z niepokojem oglądaję się na znikającego w drzwiach znajomego majstra.

– Dobry to mało powiedziane! – Hajat chwyta ją za rękę i prowadzi do prawego skrzydła sklepu. Znajduje się tu cała galeria słoików, a ściany są pooklejane kolorowymi zdjęciami i plakatami. – Bartnictwo to w naszej rodzinie tradycja z dziada pradziada. Jeszcze od czasów króla Idrisa. Ha!

– Naprawdę? – Daria z zainteresowaniem czyta ulotki, które oczywiście są tylko po arabsku, i dochodzi do wniosku, że wyroby pszczelarskie, które na Bliskim Wschodzie kosztuję majątek, bo nieraz sto i dwieście dolarów, kobieta wycenia na maksymalnie dziesięć. – Hajat! Ty byś na tym majątek zbiła!

– Żeby na swojakach zarabiać? – Z pocziwej góralki wychodzi cała dobroć. – Nie godzi się.

– Ale to jest tyle warte!

– Warte to jest zdrowie moich sąsiadów i rodziny, a my cieszymy się tym, co mamy.

– Mama jest głupia, no nie? – Rozmówczynie nie zauważyły obecności młodej, może dwudziestoletniej dziewczyny, która po cichu się do nich podkrađła. – Tysiąc razy jej powtarzałam dokładnie to, co ty mówisz.

– Może by przynajmniej do Trypolisu czy Bengazi wysłać? – zastanawia się Daria, bo powoli budzi się w niej handlowa żyłka Arabów. – A potem spróbować za granicę. Mogę wam przetłumaczyć te ulotki, nie ma problemu. – Zupełnie się zapomina i rozmawia z nimi szczerze, nie tając swoich umiejętności.

– Widzisz, mamó! My dwie rozkręcimy ci ten interes. Za Kaddafiego cały Trypolis się obżerał naszym miodem. Pani Salimi na pewno odkopie swoje znajomości i pomoże nam znów stanąć na nogi. Może bym w końcu i ja poszła do stolicy do szkół? – Młoda jest ambitna i przebojowa i to z nią Daria wolałaby pojechać na zakupy, ale i tak cieszy się, że trafiła na uczciwą i kreatywną rodzinę. *Pomimo tego, że głowa tej rodziny śmierdzi gorzej niż skunks, mam fart, że ich poznałam*, kpi sobie w duchu, a uśmiech zadowolenia nie schodzi jej z twarzy.

– Umówimy się na jutro i pogadamy o tym? – Pół-Arabka kuje żelazo póki gorące.

– W porządku. W naszej cukierni? Mama ci pokaże, gdzie się znajduje. Wymienimy się telefonami. – Młoda wyciąga z kieszeni nowoczesną komórkę i wprowadza numer.

– Super! – woła Daria i cieszy się, że chyba trafiła na lokalnych bogaczy.

– *By the way*127, Muna jestem. – Nowa koleżanka wyciąga dużą, spracowaną rękę, na której maluję się przebarwienia, otarcia i skaleczenia. – Lokalna rzeźbiarka. Sklepiarka. Cukierniczka.

Bartnik... – Zawiesza głos. – I jeden Bóg raczy wiedzieć, kto jeszcze.

– Moja wspaniała córka. – Hajat śmieje się, a błysk dumy maluje się w jej oku. – Jedziemy, *saida* Salimi.

Kiedy wychodzą ze sklepu, nagle Darii robi się niewymownie przykro i smutno. Jakby tylko mogła sobie na to pozwolić, płakałaby jak bóbr. *Dlaczego tacy zwykli ludzie mogą tyle znaczyć w swojej małej społeczności? Zajmować ważne miejsce? Dlaczego pospolita góralka Muna ma cudowną, jedynie trochę podśmierdującą rodzinę, ich wsparcie i ogromną miłość, a ja nie mam nic? Człowiek bez rodziny jest jak pusta bańka mydlana. Może wszystkich czarować swym kształtem, wielkością, blaskiem niezwykłych, mieniających się barw, ale istnieje tylko przez parę sekund i kiedy pęknie, zniknie, rozbryźnie się, nikt już o niej nie będzie pamiętał, tylko będzie chciał następnych, nowych bezwartościowych baniek. Tak zwyczajnie, dla ozdoby, dla hecy, dla wypełnienia miejsca.* Zamyśla się, z perspektywy sklepowego progu obserwując ruch uliczny i otaczających ją przeciętnych ludzi, którzy przechodząc, jak jeden mąż uśmiechają się do niej. *Jakże mi w tej Libii brakuje mamy i Marysi! Jakże czuję tu ich nieobecność. Wręcz fizycznie, namacalnie i tak boleśnie.* Kobieta szybko chwyta rześkie i ożywcze powietrze, które przepędza złe myśli. *Kiedy następnym razem będę miała okazję do ucieczki, zrobię to, obiecuje sobie. Poniosę konsekwencje swoich czynów, ale w końcu ureguluję moje życie.*

– Najpierw materiały budowlane, bo to najmniej przemawia do nas, kobiet, i dlatego powinno pójść najszybciej. Nic niezwykłego tam nie wymyślimy. – Z ponurych rozmyślań wyrывa Darię wesoły głos Hajat, która upycha się na siedzeniu kierowcy w czerwonym, poobijanym i odrapanym peugeocie 206. – Wskakuj! – pospiesza klientkę męża, która zbaraniała, widząc niewiastę za kółkiem, bo przywykła do tego, że dla słabej płci ta czynność jest całkowicie zabroniona albo przynajmniej niepolecana.

– Dziękuję pani. – Po indonezyjsku składa ręce na piersi. – Ja też mogłabym sobie taki wozik kupić? – Od razu w jej głowie pojawia się nowy plan. Wspaniały plan. Taki na zwykłe, spokojne, komfortowe życie. A wraz z nim pierzchają złe, depresyjne myśli.

– Pewnie. Jak tylko jest kasa i prawko, to nie ma najmniejszego problemu. – Hajat rusza z piskiem opon, a Daria chwyta się za uchwyt nad drzwiami. – Z prawkiem też żaden problem. Nasz kuzyn prowadzi szkołę. – Śmieje się perliście, a po jej stylu jazdy widać, że nie zaliczyła ani jednej godziny z trenerem, a kodeksu też raczej nie czytała. – W Libii od zawsze istnieje tylko parę zasad, których należy przestrzegać – peroruje, pokonując na pełnym gazie ostry zakręt. – Zawsze miej sprawny klakson i używaj go tak często, jak to konieczne, albo jeszcze częściej. – Rechocze zabawnie. – W bagażniku ciągle woź co najmniej pięciolitrowy baniak z benzyną, bo wprawdzie ropa tryska nam z ziemi co rusz, ale stacji benzynowych nadal mamy jak na lekarstwo. Szczególnie u nas, w górach. I nie daj się zastraszyć facetom! – wykrzykuje, odrywając ręce od kierownicy i wyrzucając ramiona do góry. – Oni wiedzą, że my, kobiety, mamy bezwzględne pierwszeństwo na drogach, więc korzystaj z tego do woli.

– A zasada prawej ręki i droga podporządkowana to co? – Daria nie wierzy własnym uszom.

– Tere-fere. Gdzieś musimy być górą. Jak tylko dasz radę, wymuszaj pierwszeństwo. I niczym się nie przejmuj. – To mówiąc, kobieta bez pardonu z bocznej, asfaltowej jezdni wjeżdża na dwupasmówkę i wciska się pomiędzy samochody ciężarowe, omal nie powodując wypadku.

– Hajat! Ratunku! – Daria już nie wytrzymuje i drze się wniebogłosy. – Mam syna! Muszę dla niego żyć!

– Wiem, że masz syna. – Szalona Libijka jednak ściąga nogę z gazu. – Słyszałam, że piękny. Następnym razem przywieź go do mnie, to pobawi się z moimi wnukami. Dziecka nie wolno izolować. Na parę godzin do przedszkola też trzeba oddać. Nie bądźmy prymitywni. Młody człowiek nie rozwinie się odpowiednio, mieszając ciasto w kuchni lub mocząc kijek w kałuży – mówi, jakby znała wszystkie zajęcia małego Ahmeda.

– Masz rację.

– Wiem. Dlatego, moja pani, postanowiłam wziąć cię pod moje skrzydła – oświadcza, nie

pytając, co Daria myśli na ten temat. Samotna kobieta jedynie cieszy się, że znów będzie miała kogoś, kto za nią stanie i zaopiekuje w potrzebie. Ktoś prawie normalny, taki jak Hajat, szalony żeński kierowca, oraz majster, podśmierdujący góral, i ich córka Muna, wszechstronnie uzdolniona dziewczyna, wykonująca niezliczoną ilość zawodów. *Dobry początek*, stwierdza.

Kobiety w składzie budowlanym, który znajduje się na obrzeżach miasta, spotykają czekającego już na nie majstra, który nosi powszechne w krajach arabskich imię Mohamed. Mężczyzna wybrał już wszystkie potrzebne mu materiały, kable, rurki, płyty gipsowe, gniazda, włączniki i wyłączniki, gładzie i kleje, a z resztą surowców czeka na Darię.

– Mogę wziąć te kafle? – Kobieta pokazuje na ręcznie malowane ścienne płytki.

– Oczywiście. – Mohamed i Hajat cieszą się jak dzieci.

– Wiedziałam, że to właśnie wybierze! – Góralka klaszcze w ręce. – Toż to pani z wielkiego miasta, z wielkiego świata. Osoba z gustem. Widać to po niej.

– Nie rozumiem... Przecież są piękne. – Daria nie wie, o co chodzi. – Ręczna, precyzyjna robota. Powinny kosztować krocie, nawet więcej od marmuru, a tutaj taka niska cena.

– Kiedyś nasz region był znany również z tego wyrobu. – Mężczyzna smutno kiwa głową. – Nawet do Tunezji wysyłaliśmy wielkie transporty ghariańskiej glazury. Nie wspominając o naszych największych miastach, jak Trypolis, Sirte czy Bengazi.

– To czemu teraz tego nie robicie?

– Fabrykę nam zburzyli – oświadcza enigmatycznie, nie chcąc wskazywać winnego. – Mój ojciec nauczył fachu Munę, wtedy małą dziewczynkę, pasjonatkę, która zamiast kolorować obrazki na papierze, sama malowała je na szkłe. Pokazał jej wzory, dał szablony.

– Nie przekazał umiejętności żadnemu męskiemu potomkowi?

– Ja nie miałem zdolności, bo jeszcze to jest potrzebne. – Nie mówi nic więcej, a jedynie wbija smętny wzrok w klepisko.

– Nasz najstarszy syn jeszcze wiedział, jak się produkuje, maluje i wypala kafle – dorzuca Hajat ciężkim głosem. – Miał talent. Ale kiedy go nie stało...

– Dobra! Błękitne płytki bierzemy do kuchni? – Mohamed gwałtownie przerywa wyznania, a że we dwójkę z żoną wyglądają na przybitych, Daria postanawia nie drążyć i nie zadawać więcej pytań. – Do łazienki zaś beżowe? Może być?

Właścicielka willi tylko potakuje, bo każdy z tych wyrobów jest przepięknym dziełem lokalnej sztuki.

– Teraz wezmę cię na babskie zakupy, a potem odwiozę do domu, dobrze? – proponuje Hajat po męczących godzinach w składzie budowlanym, ciągle obejmując i poklepując Darię, doradzając i patrząc na nią ciepło jak matka.

Zanim jednak przejdą do kolejnych wyczerpujących zajęć, kobiety rozsiadają się wygodnie w przydrożnej restauracyjce, a w zasadzie budzie na kołach, gdzie serwują ponoć najlepsze szawormy w regionie.

– Jaki widok! – Daria gryzie piłę z soczystym mięsem, co chwila otwierając buzię i myśląc, że w ten sposób obniży pikantność potrawy, bo jest ona tak ostra, że z oczu lecą jej łzy, a z nosa katar. – Chciałabym codziennie jeść tu śniadanie – oświadcza, zalewając ogień w ustach gorzkim jak piołun i słodkim jak landrynka bitterem w czerwonym kolorze.

– Nic prostszego. Rano serwują tu słodkie brioszki¹²⁸, od serca posypane cukrem i cynamonem, a także wegetariańskie *buriki*.

– A o zachodzie słońca? – pyta roześmiana Daria, czując, że w końcu znalazła swoje miejsce na ziemi. Właśnie tutaj, na drewnianym, rozchwierutanym tarasie z widokiem na Bilfingerówkę, która kilometrami serpentyn ciągnie się na północ kraju, niegdysiejszego raju na ziemi, jest jej eden. – Mają jakieś specjalne menu?

– Grilliady z wszelkiego rodzaju mięs, ale najlepsze z naszej ghariańskiej jagnięciny i kurczaków – z dumą informuje lokalna patriotka, a Daria zastanawia się, czy ta restauracja nie należy czasem również do tej rodziny. – Ale co najważniejsze... – Zawiesza głos i chwyta rozmówczynię za

nadgarstek.

– Co takiego? Wszystko tak nieziemsko pikantne?

– Ha! Ma się rozumieć – chichra kobieta, zasłaniając usta ręką. – O każdej porze dnia i nocy możesz tu zjeść naszą górską szawormę i popić ją bitterem.

– Będę pamiętać.

Daria jest rozbawiona i odprężona, jak nie była od wielu lat. Mogłaby tak tu siedzieć i gapić się na drogę aż do zachodu słońca, a potem poczekać jeszcze do jego wschodu. W tym miejscu są taki spokój, stabilność i pozytywne emocje, że nie przeszkadza jej nawet smród ropy, dobywający się ze zdezelowanych dieslowskich silników starych ciężarówek. Przychodzący coś zjeść mężczyźni są bądź nijacy, bądź uprzedzająco grzeczni; kłaniają się im, pochylają głowy, a potem odwracają wzrok. Do restauracji wpadają również kobiety, które przez wszystkich są uprzejmie traktowane. Zatrzymuje się tu również autobus szkolny, z którego z krzykiem wysiadają nastolatki obu płci. Siadają przy osobnych stolikach, ale krzesła odsuwają tak daleko, że obie płcie mieszają się ze sobą, a niektórzy nawet niby przypadkiem chwytają się za ręce. Chłopcy przy akompaniamencie pisków ciągną dziewczęta za kolorowe chusty, przykrywające ich grube warkocze.

Daria chłonie te widoki całą sobą, nie tylko zjawiska przyrody, ale przede wszystkim obyczajowe obrazki. Chciałaby je zapamiętać, bo kiedy będzie samotnie kłaść się spać w swoim zimnym, obcym łóżku, pod powiekami będzie je odtwarzać. By dodać sobie kurażu i wiary w to, że od tej chwili tak prozaicznie będzie przeżywała dzień za dniem. Niech by taka banalna i stereotypowa była jej codzienność. Wieczorami młodą kobietę upaja cykanie cykad, tak głośne, że aż uszy bołą, przeraża zaś zawrodożenie dzikich psów i wilków na okolicznych wzgórzach. Czaruje ją czarne niebo z niezliczoną ilością gwiazd, które tutaj wydają się być na wyciągnięcie ręki, i księżyc, co jak najlepsza latarnia potrafi oświetlić teren na setki kilometrów. W Gharianie i okolicy panuje taka harmonia i sielanka, że każdy, najbardziej znerwicowany i załamany, człowiek stanie tam na nogi. A jak jeszcze podda się starej tradycji, nie będzie przeciwstawiał zwyczajom, a doceni to, co rządzi tą ziemią od tysiącleci, jego egzystencja może być cudowna, spokojna i bezpieczna. Teraz, mając u boku okrągłutką i szczerą towarzyszkę, Daria bezwarunkowo w to wierzy.

Kobietom nie chce się ruszać, choć jeszcze dużo mają dziś do załatwienia. Daria liczy na to, że teraz każdy dzień będzie jej leciał tak szybko, bo będzie miała towarzystwo i samych przyjaciół w otoczeniu. Panie po długim namyśle w największym chyba sklepie w Gharianie, który specjalizuje się w wyposażeniu mieszkań, wybierają tandetny narożnik w czerwonym kolorze w wielkie kolorowe kwiaty. Do tego dobierają ciężkie firany i zasłony, a pieniądze подарowane przez Musę Kusę topnieją jak woda. Kiedy nad górami zapada zmierzch, kobiety zatrzymują się jeszcze przy paru oświetlonych budach.

– Co tutaj sprzedają? – interesuje się Daria. – Taką ogrodową lampę to bym im zwędziła – żartuje, pokazując na iluminację podwórca, która rozchodzi się z glinianych, ażurowych abażurów w kształcie lamp Aladyna.

– Nie musisz nic kraść. Wystarczy kupić, ale jeśli już nie masz forsy, to mogę załatwić ci bliżej nieokreślony bezterminowy kredyt – oświadcza Hajat, akurat gdy z bramy najbliższego baraku wychodzi jej córka Muna.

– Ty jeszcze na nogach? – dziwi się młoda. – Padniecie, kobiety! Chodźcie na herbatę, a potem rozejdźcie się do domów. Bo stanę się zazdrosna, żeś mi matkę zabrała. – Niby grozi Darii palcem, ale twarz ma pogodną i życzliwą.

– Racja, ale najpierw muszę cię pozbawić przynajmniej jednej takiej pięknej lampki.

Daria odnosi wrażenie, że w ciągu jednego dnia zyskała więcej niż przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Czuje się rodziną z tymi prostymi, cudownymi ludźmi, bo zdobyła ich serca i przyjaźń. Dzięki temu wróciła stara, dobra i uczuciowa Daria, Daria Nowicka, córka mamuni i tatunia, człowiek wrażliwy i przeżywający, cierpiący całym sobą i kochający całym sercem.

Kobiety majstra budowlanego Mohameda, żona Hajat i córka Muna, ustalają wraz z Darin jej codzienną rutynę. Znalazły chętnego na poranne dostawy *chobzy* z piekarni, *lebenu* i *lebnehu* z mleczarni oraz świeżego koziego mleka i sera od rolnika dla rekonwalescenta Ahmeda. Umyślny kulawy dziadek, z jednym okiem całkiem zakrytym jaskrą, ma obowiązek wozić *saidę* Salimi rozlatującym się pick-upem tam, gdzie tylko zapragnie, i być do jej dyspozycji. Dzięki temu Daria próbuje wszelakich lokalnych przysmaków. Do pikantnej doprawionej harissą przydrożnej szawormy już prawie przywykła, ale zasmakowała także w świeżych owocach opuncji oraz pysznych ciastkach z lokalnej cukierni, pełnej czarnych i zielonych much chodzących po wyrobach. Kto by się tym tutaj przejmował? Na pewno nie lokalni, a ona już sercem i duszą do nich należy. Całymi dniami włóczy się po miasteczku; jego mieszkańcy już ją rozpoznają, niektórzy kłaniają się, inni tylko machają ręką bądź się uśmiechają. Kobieta czuje, że gdy za miesiąc czy dwa zwoła spotkanie wyborcze w auli szkoły lub klubu sportowego, przyjdzie na nie sporo osób. Dlatego też nie przejmuje się swoją misją skaptowania jak największej liczby sympatyków Kaddafiego, martwi ją jedynie fakt, że tego Kaddafiego nie ma. Ale to już nie jest jej problem, tylko Musy Kusy i jemu podobnych zwolenników byłego reżimu, których nawet w takim małym górskim miasteczku znajdzie się mnóstwo. Dżamili w ogóle nie widuje, a jedzenie, które od niej dostaje, w większości przekazuje Eve i robotnikom. Budowa idzie jak po maśle i Daria wierzy, że przeniesie się do swojej rezydencji grubo przed porą deszczy i chłódów.

* * *

– Czas najwyższy poznać *maam* Blankę – decyduje pewnego ranka Daria. – Eve, obiecałaś, że mnie do niej zaprowadzisz.

– Oczywiście, ale przecież trzeba się zapowiedzieć. – Służka lepiej zna konwenanse niż jej pani.

– A jak chcesz to zrobić? Pójdiesz do niej?

– Że jak, proszę pani? – Murzynka z politowaniem kręci głową. – Już jakiś czas temu wynaleziono telefony stacjonarne, a aparaty komórkowe aktualnie mają nawet dzieciaki w szkole.

Jednak spoufalanie się ze służbą nie owocuje większym jej szacunkiem i oddaniem, lecz rozbestwieniem, konkluduje Daria, słysząc beczelny komentarz.

– To dzwoń, kobieto! Dzwoń! – podnosi głos, a czarnulka tylko macha rękami i odchodzi na taras.

Za chwilę przybiega z informacją.

– *Maam* będzie mogła się z nami zobaczyć podczas lunchu.

– Z nami? – Daria jest w szoku.

– Ktoś musi panią tam zaprowadzić. Nie mówię, że coś będę jadła. – Murzynka patrzy spod oka. – Nie braknie wam, bez obaw!

Robi naburmuszoną minę i oddala się do swoich zajęć, które coraz częściej ograniczają się do zabaw z Ahmedem i wygrzewania się na słońcu. Służka sprzęta coraz rzadziej i prawie w ogóle nie gotuje, bo gotowe jedzenie Daria bądź przywozi z miasta, bądź jest im dostarczane. Każdego dnia pół-Polka obserwuje paradę Togijki przed robotnikami, których ta na swój nieumiejętny sposób czaruje, kręcąc się przy nich, napinając mięśnie i wypinając biust. Jako chrześcijanka nie zasłania włosów chustą, nie kryje też głębokiego dekoltu, przez co wygłodniałym najemnikom aż ślinka cieknie na taki apetyczny widok. *Ona się jeszcze doigra,* myśli Daria. *To dlatego Arabowie twierdzą, że wina zawsze jest po stronie kobiety. Trudno oskarżać o podryw niewiasty, które noszą abaje lub burki, ale może one też jakoś kokietyjają pleć przeciwną. Eve w każdym razie robi to na beczelnego. Jest coraz bardziej arogancka i harda. Zobaczymy, jak to się rozwinie, bo jeśli tak dalej pójdzie, niedługo ja będę jej gotować i sprzętać, a ona będzie odpoczywać.*

Na razie Murzynka nie ma za dużo roboty przy pani Salimi i jej małym synku, zwłaszcza że Daria większość czasu spędza na mieście z nowymi przyjacielami albo urządzając dom, który jest już prawie gotowy. Ahmed zaś nikomu nie sprawia kłopotu; zjada wszystko, co dostanie, śpi jak suseł, kiedy jest ku temu czas, sam się bawi bądź po prostu grzecznie siedzi przy dorosłych i nikomu nie

wchodzi w paradę. Rodzina górali tak polubiła dzieciaka, że kiedy Daria pojawia się u nich bez niego, robią obrażone miny.

Daria i Ahmed szykują się do wizyty u seniorki rodu Muntasir, jakby mieli odwiedzić pałac Buckingham. Kobieta to wyciąga jakieś stroje, to je chowa i zamienia na inne. W końcu bierze prysznic i ubiera się skromnie, ale schludnie. Przede wszystkim wkłada wygodne skórzane buty nad kostkę, żeby bezpiecznie przedrzeć się przez chaszczę ogrodu, oddzielając ich lokum od domu starej pani, bo jedyne, czego nadal się obawia, to węże i skorpiony, żyjące w rowach i pod kamieniami. Zaintrygowana Daria nie może już wytrzymać z ciekawości, jaka jest ta kobieta, która tyle lat samotnie rezyduje w ukrytym małym dworku. *Madam* Blanka jest oprócz niej jedyną cudzoziemką w Gharianie, co wydaje się wręcz niemożliwe. Może kiedyś, przed wojną domową, kiedy w Libii pracowało mnóstwo obcokrajowców, było tu więcej zagranicznych kobiet, ale jak tylko zaczęła się arabska wiosna, wszyscy uciekli. Nawet ci mieszkający w Trypolisie czy Bengazi, czyli największych, nowoczesnych miastach otwartych na świat.

Okazuje się, że droga do babki Muntasir nie jest długa ani karkołomna. Wystarczy wyjść na szutrową ścieżkę okalającą włości i przejść nią wzdłuż ogrodzenia niespełna kilometr, a potem znów wejść na teren rezydencji inną bramą, która także stoi otworem. Nie ma w niej żadnej furty, pozostały jedynie otwarte dla wszystkich wierzaje.

– Że też was tu nie wymordowali podczas wojny! – dziwi się Daria, ale Eve idąca przodem nie odpowiada, bo prawdopodobnie obraziła się, co też stanowi novum w stosunkach pani ze służką. – Nie dość, że obszar ogromny, to jeszcze tyle domów porzucanych na terenie latyfundiów, drzew, chaszczy, dołów i wzgórz. Można kogoś zamordować, zakopać i nikt się o tym nie dowie. – W głowie układa już kryminalny scenariusz.

– Dawniej były ścieżki i kładki, altany i zadbane oazy oraz hektary plantacji oliwek i winnej latorośli – burczy w końcu Eve. – Wszystko poszło w ruinę od śmierci pana Omara, bo nikt do tego nie miał serca. Stopniowo teren zarastał, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, a od wyjazdu młodej pani gospodarstwo całkiem upadło. – Służce daje się we znaki nowa sytuacja. Była zdecydowanie bardziej zadowolona z życia przed powrotem panienki Dżamili i drugiej, obcej dziedziczki, która obrasta w piórka z prędkością światła. – Teraz może coś zrobią, przynajmniej jeśli idzie o bezpieczeństwo, choć jak widać, nikt nie ma ochoty skrzywdzić rodziny Muntasir, bo od pokoleń była szanowana na tych terenach. *Aż jakieś przybłądy się do niej dokleiły*, myśli o nieznanym nikomu rodzinie Arabi, która od razu zaczęła się tytułować ich rodowym nazwiskiem. Eve lubiła Darię, kiedy jeszcze ta była słaba i od niej zależna, kiedy traktowała ją jak pełnowartościowego człowieka, a nawet koleżankę, ale odkąd stanęła na nogi i zaczęła się rządzić, już nie jest ulubienicą Togijki. Przez całe życie miała do czynienia z takimi pyszałkowatymi ziemiankami i zna je aż nadto dobrze.

Daria, nie zważając na humory służącej, rześko maszeruje w stronę prześwitującego przez gąszcz domu, który od razu ją zachwyca. Nie został on wybudowany w oszczędny sposób, na pewno nie konstruowali go lokalni ani arabscy budowniczowie. Nie wzniesiono go z wypalanych na miejscu, ciężkich białych pustaków, z których postawiono większość miasteczka. W kształcie i wykończeniu dworku widać włoską, lekką rękę, ale z elementami orientalnymi, zarysowanymi w podcieniach i łukach, wykończonych lekkimi ażurami. Ganek przed wejściem jest uroczy, a mozaika na podłodze wygląda, jakby pamiętała czasy starożytnych Rzymian. Antyczne rzeźby zajmują każdy kąt zgodnie z zasadą feng shui. Ława i stolik są marmurowe i wytarte od używania – swego czasu babcia musiała tu przyjmować wielu gości.

– *Ahlan wa sahlán, ja mar'a džamila!*¹²⁹ – Blanka, żona nieżyjącego od ponad pół wieku Umara Muntasira, byłego ambasadora Libii w Wielkiej Brytanii, wyciąga drobną, białą dłoń i mocno ściska rękę Darii. – Ostatnimi czasy byłam jedyną *adżnabiją* rezydującą na stałe w tym niegościnnym, ale jakże pięknym górskim terenie. Cieszę się, że do mnie dołączyłaś, bo już mi się zaczynało robić smutno.

– Ze mnie nie taka całkiem *adżnabija*. Jestem pół Polką, pół Libijką – wyjaśnia młoda. – Geny mamy widać były mocniejsze od genów rodu Salimi i dlatego brak u mnie wyraźnych arabskich rysów.

– Prawda, moja droga, bo pamiętam, że Malika miała karnację mocno śniadą, z czego oczywiście nie była za bardzo zadowolona. Pewnie szczerze znieawidziła twoją matkę, co? – Śmieje się chytrze.

– Chyba nawet nie. Mojej mamy nie da się nie lubić. – Tęsknota znów chwyta Darię za gardło, bo opowiada o swojej mamie tak, jakby była z nią w stałym kontakcie, a przecież tak długo już jej nie widziała. – Typowa słowiańska blondi, piękna i błękitnooka.

– Za to twój synek jest typowym libijskim Berberem130. – Staruszka pluje na boki i nad głową chłopca, ale Daria się nie oburza, bo doskonale zna zwyczaj odczyniania złego oka, które może paść na zbyt piękne dziecko i rzucić na nie urok.

– Cały mój tata – potwierdza. – Też Ahmed.

– Ja za to byłam podręcznikowym przykładem Brytyjki, jeśli idzie o urodę, ale miałam nietypową odwagę jak na tamte czasy – wyznaje zażywna starsza pani, która ma angielską jasną i piegowaną karnację, szczupłe i wysportowane ciało, ale mówi w dialekcie libijskim jak mieszkanka gór Nafusa i nosi się w tradycyjnych beduińskich szatach. – Działy się tutaj pańskie jaja, kiedy w zeszłym stuleciu, w pięćdziesiątym czwartym, wylądowałam w Libii. Ród Muntasir od zawsze był dość nowoczesny, ale cała Libia zacofana jak jasna cholera.

– To musiało być wspaniałe! – Daria siada na miękkiej poduszce w pokoju przeznaczonym do biesiad, którego podłogi i ściany wyścielone są grubymi ręcznie tkanymi dywanami. – Niesamowite przeżycie, prawda?

– Dla kogo? Dla mnie czy dla Libijczyków, krewniaków męża? – żartuje Blanka.

– Chyba dla obu stron.

– W owych czasach jeszcze nikt nie wiedział, że Libia leży na potężnych złożach ropy naftowej, które zaczęto eksploatować dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku. Wtedy do Libii zaczęli ściągać cudzoziemcy z całego świata, bo wcześniej siedzieli tu tylko szaleni włoscy kolonialiści, i na dokładkę cieszyli się z tego. Oni już nie byli obcokrajowcami, to byli swojacy. W Libii urodzeni, w Libii wychowani, wykształceni i wyrosli na pustynnych piaskach. Bardzo lubiałam przebywać właśnie w Gharianie, bo makaroniarzy było tu najwięcej. Pomimo że Italia rzekła się praw do Libii i ta nabyła niepodległość, mnóstwo Włochów zostało, i to właśnie w górach Nafusa.

– Nie w Trypolisie?

– Tam też, ale w górach, jak już mówiłam, nie mieszkali bufoni, pyszałki i ważniacy, którzy tylko stwarzają pozory, napinając muskuły. W Gharianie mieszkali kolonialiści przez duże „k”, prawdziwi libijscy patrioci włoskiego pochodzenia, którzy blisko współpracowali i współżyli z lokalną ludnością. Pracowali po to, by wzbogacić nie tylko siebie, ale także miejscowych. Przejęli od Arabów takie cechy jak szczodroblowość, gościnność, współczucie, wsparcie, przyjacielskość i... – Kobieta się zamyśla, jakby wróciła do dawnych dobrych czasów – ...żyło się nam naprawdę świetnie. Tak naturalnie, zwyczajnie, w bliskości natury i drugiego człowieka.

– Od kiedy tu przyjechałam, takie właśnie odnoszę wrażenie – potwierdza Daria.

– Obecnie nastały całkiem inne czasy, ale człowiekowi ze zgnitego Zachodu – Blanka puszcza figlarne oczko do rozmówczyni, bo przecież obie reprezentują tę część świata – może nadal tak się wydawać.

– Więc mieszkała pani tutaj, a nie w stolicy? Nawet kiedy pani mąż pełnił funkcje w rządzie?

– Cóż, od razu kupiliśmy tę wielką posiadłość, a potem po kawałku dokupowaliśmy. Ja miałam co robić, bo były dzieci i całe gospodarstwo, a jak zatęskniłam za salonami i wielkim światem, jechałam do Trypolisu. Raz nawet wybrałam się tam sama wózką zaprzężoną w osiołka.

– Co? – Daria robi wielkie oczy. – Naprawdę? Po tych serpentynach?

– Nie po tych. Te są nowe, budowane za Kaddafiego. Wtedy była tylko stara, utwardzana droga ghariańska. Ale była jazda!

– A jak hamowaliście, jadąc z górki na pazurki? Kopytkami?

– Nie, osłą pytką. – Teraz już obie panie wybuchają głośnym śmiechem. – Mogę cię nauczyć powozić. Niezła adrenalina – oferuje gospodyni.

Daria od początku pokochała tę starą babkę całym sercem za fason, styl i brawurę. Kobiety, które dzielą pokolenia, plotkują jeszcze długie godziny. Nie ma między nimi bariery wieku, kultury, wychowania czy intelektu. Blanka mówi zarówno w *lehdża libija*¹³¹, jak i w *fusha*¹³². Pamięta oczywiście brytyjski angielski, a także świetnie zna włoski i hiszpański. Nie narzeka też na brak oboznania z łaciną, która jest językiem martwym, ale nie w jej ustach, bo mówiąc o pamiątkach starożytności, znajdujących się na terenie Libii, ciągle wtrąca antyczne słówko lub sentencję.

– A te tatuaże, *zida*¹³³, to kiedy zrobiłaś? – indaguje bezpośrednio Daria. – Mogłaś się z nimi pokazać w Trypolisie?

– Kochana! To był dopiero fason! Robiłam furorę! Europejka z tradycyjnymi, ludowymi malunkami na ciele i ubrana jak arabska wieśniaczka. Ha! Byłam lepszą aktorką i komediantką niż sam Kaddafi! – Stara wygłupia się, pokazując dziary na dłoniach i twarzy. Najbrzydsze według Darii są kreski i kropki na brodzie, nad górną wargą i na czole, ale widać, że ich właścicielka jest bardzo dumna z oszpecenia swojego ciała. – Podczas świąt i oficjalnych państwowych uroczystości wszyscy chcieli się ze mną fotografować i rozmawiać, bo byłam wariatką, której się tu podoba i która na dokładkę chce połączyć dwie tak odległe kultury.

– Ciężka sprawa – przyznaje Daria, dochodząc do wniosku, że Brytyjka niczego nie pogodziła i nie połączyła, a wręcz zaadaptowała się do innej, prymitywnej cywilizacji, zaakceptowała obcą tradycję i zwyczaje, swoje najprawdopodobniej odrzucając. Lecz zupełnie jej to nie razi i nie przeszkadza, bo każdy powinien robić to, co przynosi mu szczęście. – Przeszłaś na islam? – pyta na koniec, ośmielona szczerością staruszki.

– Co to, to nie! Nie było takiej potrzeby, bo przecież muzułmanie mogą poślubić chrześcijanki. Tak jest napisane w Koranie, nieprawdaż?

– Oczywiście.

– Kochana moja, czas na kolację i do łóżka. – Blanka kończy spotkanie, ale proponuje: – Jutro zabieram cię na wyprawę po okolicy.

– Świetnie! Ale... pójdziemy na piechotę? – Daria martwi się o zdrowie i wytrzymałość staruszki, bo wydaje się słaba i krucha jak porcelanowa laleczka. – Może załatwię jakiś transport?

– Już zdażyłaś zapomnieć o osiołku? – Starsza pani marszczy piegowaty nosek.

– Nadal na nim jeździsz? – Pół-Polka nie jest szalona, żeby z babcią nad grobową deską wsiadać na dwukołowy wózek ciągnięty przez uparte, głupie zwierzę. – Czas na większy komfort. Jestem na kupnie samochodu, więc...

– Niech ci moja wnuczka da jeden ze swoich auto-mobili – sugeruje gospodyni. – Skoro tak nieładnie podebrała ci chłopca, który nie powinien być do podziału. – Blanka dokładnie wie, co w trawie piszczy, a przy okazji wychodzą na jaw jej twarda natura i roszczeniowa mentalność.

– O nie! Nie będę się prosić. Mam pieniądze, mój mąż ma... Naprawdę... – Daria broni się rękami i nogami, bo nie chce być dłużniczką swojej rywalki i nie chce jej niczego zawdzięczać. Póki co ich współpraca się nie zaczęła i nie zanosi się, by miało to wkrótce nastąpić, więc konkurentki żyją w zawieszaniu, udając, jakby tej drugiej w ogóle nie było.

– Podobnie jak ja przybyłaś tu z wielkiej miłości, prawda, moje dziecko? – Gospodyni zadaje nieoczekiwane pytanie. – Najbardziej kochamy takich wrednych, parszywych drani. – Coś chyba jej się przypomina, bo nagle pochmurnieje.

– Tak, *maam* – potakuje Daria. Ciekawa jest, czym haniebnym wykazał się w swoim życiu wielki polityk o ponoć nieskazitelnym charakterze Umar Mahmud al-Muntasir. – Wszystkie głupoty w swoim życiu zrobiłam z miłości i na własne życzenie.

– Cóż, brytyjska rodzina mój krok również poczytywała za głupotę, ale mimo wszystko z perspektywy całego mojego długiego życia za bardzo nie narzekam. Nie mam przed kim ani po co. A tak na marginesie, miałam niesamowite, naprawdę niezwykle życie. – Blanka znów się zamyśla, a jej błękitne, rozmyte ze starości oczy patrzą gdzieś w przestrzeń. – Za parę chwil szczęścia i ognistego seksu zapłaciłam prawie półwieczem osamotnienia i odrzucenia. Czy to wysoka cena? Jak uważasz? – pyta retorycznie, a Daria zastanawia się, czy czasami jej nie czeka taki sam los, i na samą myśl o tym

łza się jej kręci w oku. – Nie ma co! – Starowinka pogodnie. – Niczego nie żałuję. Może moja krnąbrna, głupia wnuczka Dżamila obdarzy mnie przynajmniej mądrymi prawnuczętami, które wynagrodzą mi lata udręki. Ale dla ciebie to zapewne bolesna kwestia, *miskina*134...

– Wolałabym o tym nie rozmawiać.

Daria nie ma ochoty wdawać się w szczegóły, bo prawda pozbawi staruszkę ostatniej nadziei, a to mogłoby ją zabić. Dzieci jej wnuczki może i będą mądre, ale będą również potomkami jednego z największych zbrodniarzy, jakich wydała nasza epoka, Jasema Alzaniego. W dobrze urodzonej, rozwydrzonej i pełnej tajemnic pannie Muntasir wielu pokłada ogromne nadzieje, a Daria życzy jej jedynie z dobrego, choć złamanego serca, by nigdy nie poznała prawdy o wybranku swego serca. Bo teraz to Dżamila jest prawdziwą *miskina*, choć jeszcze biedaczka o tym nie wie.

– *Marhaba!*135 – Następnego dnia, kiedy tylko pierwsze poranne ptaki otwierają dzióbki do treli, przed małym blaszanym domkiem Darii słychać krzyki i zamieszanie. – *Marhaba!* Co wy tu robicie? Śpicie jeszcze? Niemożliwe!

Nawet robotnicy nie zaczęli swojej pracy przy wykończeniówce domu, nie mówiąc o coraz bardziej leniwej Eve, więc trudno się dziwić Darii i Ahmedowi, którzy w ostrym, górskim powietrzu śpią jak susły i nabierają sił, z dnia na dzień czując się coraz lepiej i mocniej. Chłopczyk kwitnie, jego matka również. Kiedy nie widzi Jasema, to cała toksyczna trucizna tego świata rozplywa się i w końcu czuje się szczęśliwa, beztraska i pełna energii oraz wiary w siebie i pomyślną przyszłość.

– Hej! Czy ktoś tutaj je śniadanie, czy też dacie umrzeć z głodu staruszce? – Rozbawiony głos Blanki zagłuszą ryki osła i coraz głośniejsze śmiechy za oknem.

– *Maam!* Jest dopiero... – Daria, w długiej do ziemi koszuli nocnej, staje na ganku, przeciąga się i przeciera oczy. – Siódma?! – woła z niedowierzaniem.

– Kto rano wstaje...

– Ten leje jak z cebra. – Daria kończy przysłowie w bardziej frywolnej wersji, po czym udaje się prosto do łazienki.

– Co to? Konik? – Mały Ahmed jak zaczarowany patrzy na niewielkie, ale silne zwierzę, zaprzężone do fikuśnej dwukółki z daszkiem. – Ja też pojedę? – Jest tak podekscytowany, że aż brak mu tchu. – Co to, *zida*?

– Oj, jakże chciałabym mieć takiego pięknego wnuka! Ale u nas nie ma po kim odziedziczyć tak wielkiej urody – szczerza do bólu kobieta podsumowuje nikłe walory estetyczne swojej rodziny.

– Pomogę jaśnie pani. – Majster Mohamed stawia obok wózka drewnianą drabinkę i szarmancko podaje Blance rękę, a staruszka zgrabnie jak młódka zeskakuje z furki.

– *Szukran džazilan*136 – dziękuje, patrząc na mężczyznę więcej niż życzliwie.

– Nie ma za co. Jak zdrowie *maam*? – pyta grzecznościowo Libijczyk, którego pospolita twarz jaśnieje serdecznością i ciepłem.

– *Alhamdu Lillah*137. Jeszcze się po tym świecie tłukę. Nie narzekam.

– To dobrze. Cieszę się. Żona i córka zawsze pozdrawiają.

– Pozdrów je także ode mnie. – Blanka uśmiecha się, bo widać lubi i szanuje tę rodzinę. – Ale dom już byście mogli skończyć, człowieku. – Ni z tego, ni z owego zmienia ton i patrzy na majstra surowym okiem. – Chiałabym w przyszły piątek zjeść w nim świąteczny obiad. Moja wnuczka Dżamila dołączy do mnie i Darin, więc... – Usiłuje trochę postraszyć fachowca, bo panna Muntasir znana jest w Gharianie i okolicy z ostrego języka i braku skrupułów.

– Żona miodek podeśle, żeby panie mogły dobrą *bahlawę* przygotować. – Ghariańczyk wie, jak zmiękczyć damskie serce.

– Świetnie. Dziękuję.

Blanka kończy rozmowę, bo chce już wziąć na ręce pięknego arabskiego chłopczyka i zanurzyć twarz w jego krętych, czarnych włosach, pachnących słońcem i pyłem.

– Jak popędzisz mamę, to zabiorę was nad jezioro Ainzara138 – obiecuje, a Ahmedowi aż

czarne jak węgle oczy aż się śmieją. – Pojedziemy też obejrzeć pozostałości rzymskiego akweduktu. To taki most z wodociągiem – tłumaczy maluchowi.

– Pojedziemy osiołkiem? – To dla chłopca jest najważniejsze.

– Oczywiście! To najsilniejsze juczne zwierzę, nieodzowne w tutejszych warunkach.

– Moja *ummi* wsiądzie na ten wózek? – Synek nie może w to uwierzyć, bo według niego mama jest delikatną, strachliwą kobietką. Dwulatek nie ma jeszcze pojęcia, jak twardą osobą jest jego rodzicielka. Ocenia ją tylko po ilości wylanych łez, a w ostatnim czasie było tego sporo.

– Namówimy ją – szepcze babka małemu do ucha, ale kiedy widzi Darię, w drelichowych portkach i obszernej bluzie oraz kapeluszu z szerokim rondem, wie już, że ma do czynienia z przebojową jak ona sama facetką i lubi ją za to jeszcze bardziej.

– Jak tam? Gotowi do drogi? Bo ja tak! – Podekscytowana pół-Polka uśmiecha się szeroko.

– Bez jedzenia? – Staruszka wyraźnie jest głodna. – Nikt wam śniadania nie robi? – dziwi się, widząc pusty stół na ganku, przykryty brudnym, zatłuszczonym obrusem. – Miałaś służącą przydzieloną do pomocy, a Dżamila chyba też podsyłała jakieś jedzenie ze swojego dworu? – ironizuje, ciskając wzrokiem błyskawice.

– Eve coraz częściej się opieprza – wyznaje zdenerwowana gospodyni. – A panienska Muntasir też już się zmęczyła serwisem dla nas.

– Tak to nie będzie! Ona ma tam z dziesięciu ludzi na służbie! – denerwuje się Blanka.

– Ołać to – stwierdza Daria.

– Nie olać! Egzekwuj to, co ci się należy.

– Mam swoje źródła i potrafię sama o siebie zadbać. A jak moja służka się nie poprawi, to ją wyrzucę. Ot co!

Jakby na potwierdzenie jej słów, przed domek zajeżdża prawie ślepy, głuchy i kulawy dostawca z Gharianu, z którego Daria jest szczerze zadowolona. Jaki by nie był, jest jej własny.

Po obfitym śniadaniu, na które najwięcej zjadła chuda jak szczapa babka, towarzystwo wdrapuje się do całkiem stabilnej dwukółki i pod zatroskanym wzrokiem majstra Mohameda rusza w drogę. Blanka sprawnie powozi, a osiołek okazuje się pokornym, wcale nie upartym zwierzęciem. Rozsądna Brytyjka nie decyduje się na karkołomną jazdę starą górską drogą i powolutku jadą najpierw poboczem pełnej spalin dwupasmówki, by po paru kilometrach wjechać na łagodny stok i dalej poruszać się szutrowymi bądź piaskowymi polniami, spokojnymi, odludnymi drózkami.

– Ależ tu pięknie! – Uroda tego kawałka świata przyprawia Darię o zawrót głowy i sentymentalne uczucia. – Po prostu cudnie! – Żałuje, że lepiej nie potrafi się wysłowić, ale ze wzruszenia pociąga nosem i ukradkiem wyciera samotną łzę.

– Mamusiu! Czemu płaczesz? – trwoży się spostrzegawczy Ahmed.

– Mama po prostu jest szczęśliwa – tłumaczy chłopcu Blanka, która również ma wilgotne oczy.

Brytyjka żałuje, że nigdy nie jeździła ze swoją wnuczką na takie wyprawy, szczerze nie rozmawiała i nie starała się jej zrozumieć. Zresztą podobnie traktowała swojego syna, który – pomimo że jego wspaniały ojciec został uwięziony, a następnie zabity przez reżim Kaddafiego, a może nawet własnoręcznie przez lidera – pracował później na chwałę szalonego przywódcy przez długie lata. Tego Blanka nigdy nie mogła mu wybaczyć. Był taki zadowolony z siebie aż do momentu, gdy sam został dotkliwie skrzywdzony przez Muammara. Blanka powinna się cieszyć, że dosięgnęła go kara za grzechy, lecz cios dotknął całą rodzinę, a nie tylko ambitnego karierowicza i marnotrawnego syna. Brytyjka jest rada z przyjazdu nieznannej, ale uroczej kobiety, bo może przynajmniej na starość znajdzie towarzyszkę, która osłodzi jej długoletnie wyizolowanie i cierpienie. Jest gotowa podzielić się wszystkimi lokalnymi tajemnicami, byleby Daria ją polubiła i nie odrzuciła. Byle zechciała z nią dotrwać do końca jej dni.

Gdy siadają na trawce pod palmą nad lazurówoblękitnym jeziorkiem, by zjeść lunch, Brytyjka szepcze, choć dookoła nie ma żywej duszy:

– Są tu jeszcze bardziej niesamowite rzeczy niż krajobrazy czy ruiny budowli.

– Cóż może być wartościowszego od matki natury i świętego spokoju? – Daria przez

obcowanie z przyrodą leczy swoje głębokie rany na duszy i sercu. Aktualnie nie znajduje na nie żadnej lepszej terapii. Ale też żadnej innej nie potrzebuje.

– Sama zobaczysz – zagadkowo odpowiada Blanka.

– Zaintrygowałaś mnie. – Daria, leżąc na słomianej macie, rozścielonej na klepisku i przykrytej cienkim wełnianym dywanem, podpira się na łokciu. – Co to takiego?

Mały Ahmed, najedzony i napojony słodkimi sokami z pomarańczy i granatu, usypia, wtulając się w szerokie spódnice przyszywanej babci, którą już całkiem zaadoptował, podobnie jak ona jego.

– To trzeba zobaczyć na własne oczy. – Starsza dalej robi tajemnice, a młoda jest zbyt rozleniwiona, by ją naciskać. Pada na plecy przy swoim dziecku i wsłuchując się w śpiew ptaków, cykanie cykad oraz chóralne kumkanie żab, powoli wpada w ramiona Morfeusza.

Blanka, wcale się tym nie przejmując, wstaje i kieruje się w stronę małego zbiornika. Moczy w nim ręce, a lodowata, krystalicznie czysta woda dodaje jej siły i wigoru. Później wchodzi na boczną ścieżkę prowadzącą wokół jeziora i wspina się nią na niebezpieczne, śliskie skały. Wraca po półgodzinie, ściskając kraj spódnicy uniesiony do pasa. Materiał jest czymś mocno obciążony, bo staruszka porusza się ostrożnie krok za kroczkiem. Kiedy podchodzi do swojego śpiącego towarzystwa, uśmiecha się, ukazując poząłkłą sztuczną szczękę. Pochyla się, a z tłumoczek zaczynają wypadać na kolorowy dywan wielobarwne, oślepiająco lśniące wyroby z metalu, srebra i złota, niektóre wysadzone galerią klejnotów.

– Co to? O mój Boże! – Daria budzi odgłos uderzającego o siebie metalu i jego blask. – Skąd to? – Siada ogłupiała, trąc z niedowierzaniem oczy.

– Stąd. Z dawnych lat – odpowiada babka, machinalnie przesiewając między palcami starą biżuterię i antyczne monety.

– Niemożliwe! – Pół-Polka podnosi zaśniedziałą miedzianą pieniążek i pociera go palcami. Patrzy w zdumieniu na awers i rewers, obracając monetę do słońca. – To Marek Aureliusz? – pyta, a babka tylko kiwa głową. – Ten, którego łuk triumfalny stoi w Trypolisie?

– Tak. Dobrze kojarzysz.

– Toż to skarb... – szepcze młoda. – Na pewno należy do państwa i powinien znajdować się w muzeum.

– Tere-fere dudki! – Siwa Brytyjka gwałtownie macha głową, którą okalają białe jak śnieg, potargane włosy. – Do którego państwa? Do kogo konkretnie? Do Włochów, potomków starożytnych Rzymian, czy do Libijczyków, na których terenie się to znalazło?

– Nie wiem. – Daria wzrusza ramionami. – Ale na pewno nie powinno pozostawać w prywatnych rękach. Poza tym nawet nie można tego spożytkować. Nie da rady legalnie sprzedać antycznych klejnotów i monet z cesarzem rzymskim na awersie. Jeśliby natomiast oficjalnie zgłosić odkrycie, to może ministerstwo czy muzeum dałoby jakieś znaleźne.

– Antyczna Libia to *terra incognita*¹³⁹ – stwierdza Blanka. – Jeden Bóg wie, co tutaj odkryto i co jeszcze można znaleźć. Wielokrotnie mówiło się o znalezieniu takiego lub innego skarbu. Nawet parę lat przed rewolucją w Cyrenajce archeolodzy wydobyli jakieś niezwykle stare rzeźby i kilkaset monet. I co z tego?

– Jak to co?

– Skatalogowali, część przekazali do muzeum, część mieli jeszcze pod lupą, kiedy włamano się na teren wykopalisk i wszystkie okazy skradziono. Czego złodzieje nie wzięli, rewolucjoniści rozgrabili.

– To nie jest dobry przykład. Wojna i rewolucja to okres, kiedy dominują najgorsze ludzkie zachowania i rządzi bezprawie.

– W Libii było tak zawsze, podczas pokoju i podczas wojny – sceptycznie stwierdza staruszka.

– Pamiętam, że we Włoszech za dzban antycznych monet wartych milion euro znalazcy dostali kiedyś dwieście pięćdziesiąt tysiaków nagrody. Dwadzieścia pięć procent! A skarb wylądował tam, gdzie jego miejsce. W muzeum. – Daria za wszelką cenę stara się kroczyć uczciwą drogą, bo ma prawy i szlachetny charakter, a przestępstwa popełniała tylko wtedy, kiedy walczyła o swoje życie.

– Kicia! – wykrzykuje zdenerwowana staruszka, bo widzi, że do nieobeznanej z lokalnymi warunkami cudzoziemki nie przemawiają żadne argumenty. – Tutaj jest Libia!

– Trzeba i w Libii zaprowadzić ład i porządek, bo inaczej chaos was wszystkich pochłonie.

– Opowiadała mi znajoma Włoszka – babka, by przekonać szlachetnego uparciucha, zaczyna kolejną historię – że kiedy w latach czterdziestych dostała eksmisję z Gharianu, bo ona i jej najbliżsi byli paskudnymi kolonizatorami krwiopijcami, rozgrabiono jej prywatne muzeum, które było otwarte dla wszystkich, a eksponaty były wypożyczane nawet do Trypolisu...

– To zamierzchłe czasy – przerywa niegrzecznie Daria, a rozmówczyni gwałtownie macha rękami, uciszając ją.

– Posłuchaj do końca! Bo to się wiąże z tym właśnie skarbem, który masz przed nosem.

– W porządku. Przepraszam.

– Bianka, bo tak się nazywała ta kobieta, była przezorna i spodziewała się grabieżców, więc ukryła w górskim terenie jeszcze sporo antycznych dóbr. Wróciła na stare śmieci po paru latach, gdy wśród lokalnych ludzi wypalił się amok nienawiści do kolonizatorów, który ktoś niegodny zaszczerpił w ich prostych głowach i łatwowiernych sercach. Włochom pozwolono na repatriację do własnych zrujnowanych, rozkradzionych i zniszczonych domów, więc Bianka mogła zacząć od nowa. Potem już razem znajdowałyśmy kolejne cuda. Ha! – Zadowolona staruszka klaszcze w dłoń jak mała dziewczynka, a fioletowe rumieńce podekscytowania lśnią na jej zapadniętych policzkach. – Miałymy jakiś niesamowity fart, bo natknęłyśmy się na skarbiec, szukając... toalety – podśmiechuje się. – Przyjeżdżałyśmy tutaj, nad jezioro Ainzara, wraz z rodzinami, dziećmi, mężami lub kochankami. – Robi zabawną minę niewiniątka.

– Kochankami, mówisz? – Daria od razu wyłapuje ciekawostkę.

– To inna śpiewka. Nie na dzisiejszy temat! – Blanka wybucha śmiechem, a młoda jej wtóruje, konkludując, że dawno tak dobrze z nikim się nie bawiła. Na pewno nie ze swoimi rówieśnikami. – Wtedy – podejmuje babcia – chcąc pokazać, że jest taką dobrą naturalizowaną libijską patriotką, Bianka oddała część skarbu przedstawicielom libijskiej władzy. W podziękę, zamiast honorowego obywatelstwa, dostała wilczy bilet, a dziedzictwo libijskiej kultury nigdy nie ujrzało światła dziennego.

– Korupcja? – pyta szeptem Daria.

– Nie, kochanie. Zwyczajne paskudne złodziejstwo.

– *Wallahi!* Jakże to smutne.

– Z mojej części sporo zabrał mój syn i wywiózł do Trypolisu, by jeszcze bardziej wesprzeć reżim Kaddafiego. Idiota skończony! – Widać, że matka nie kochała swojego pierworodnego. – Dżamila dostała jedną kolię, ale stwierdziła, że ciężka i niemodna, więc nie wiem, co z tym zrobiła. Nigdy nie widziałam, żeby ją nosiła. Może oddała służącej? Może Eve będzie się mizdrzyć do chłopów z wioski w antycznej biżuterii? Część spożytkowaliśmy dobrze i uczciwie. Na zagraniczne studia Mohameda i nieżyjącego już jego syna, Ismaila. Po troszeczkę sprzedawali nasze libijskie dziedzictwo na Malcie i na Sycylii.

– Czemu oni? Nie rozumiem. – Daria czuje, że babcia odkrywa przed nią jakąś poważną rodzinną tajemnicę. – Ten Mohamed? Majster?

– Jaki on majster! Jest inżynierem architektem, ale woli siedzieć cicho. Jak jego ojciec, obłądny przystojniak z plemienia Zintani. – Kobięcie oczy zachodzą mgłą, a usta drżą, kiedy opowiada o tym mężczyźnie.

– Żyje jeszcze? – dopytuje pół-Polka.

– Nie! Ludzie na szczęście tak długo się nie mordują na tym padole łez i rozpaczy. Chyba tylko mnie za jakies szczególne przewinienia Pan Bóg trzyma tutaj tyle lat.

– Co ty mówisz, *żida*? – oburza się Daria. – Życie to skarb, trzeba się nim cieszyć i cenić je bardziej od brylantów i antycznych monet.

– Trzeba je też mieć z kim dzielić. Ja już przed czterdziestką byłam samotna, a potem autentycznie sama. Trochę sama, a trochę nie... – Blanka się zamyśla, a w jej oku pojawia się kokieterijny figlarny błysk. – Cóż... Więc Darin, spożytkujmy ten skarb jak najlepiej – mówi po

dłuższej chwili. – Weźmiesz, ile zechcesz, byś kiedyś gdzieś mogła być szczęśliwa ze swoim synkiem. Damy też trochę na cel wyższy, na partię pojednania pod przywództwem młodego Kaddafiego, który naprawdę jest całkowicie różny od swojego ojca. I Bogu niech będą dzięki. Niech Libia w końcu odbije się od dna.

– To dobry pomysł – uważa Daria, która nagle w jednej chwili zostaje milionerką i jest całkiem tym zaskoczona.

– Ach! I plemieniu Zintani też coś się należy – przypomina sobie babka.

Po wszystkich ustaleniach Daria, poinstruowana przez staruszkę, sama idzie do grot, znajdującej się nad taflą jeziora. Wejście do jaskini jest skryte pod kaskadą wody i pnączy, zarośnięte zielonymi chaszczami, a dodatkowo zastawione wielkim głazem, w którym jest tylko szczelina akurat dla takich smukłych niewiast jak Daria czy Blanka. Kiedy kobieta widzi ogromne bogactwo poukładane na skalnych półkach, dochodzi do wniosku, że skarby te musiały gromadzić pokolenia lub bardzo uparta długowieczna kobieta, która miała wiele czasu i nic innego do roboty.

Są tu gliniane dzbany z posegregowanymi monetami miedzianymi, srebrnymi i złotymi oraz z najstarszymi, nadgryzionymi przez ząb czasu – punickimi. O ściany oparto antyczne zbroje, a w skrzyniach leżą miecze, kindżały i sztylety, począwszy od bardzo starych, metalowych i wyszczerbionych, przez nowsze, z wysadzaną klejnotami rękojeścią, a skończywszy na krótkich arabskich ze srebra lub złota w przepysznych pasach. Starej i wartościowej biżuterii nie jest dużo, ale jest ona imponująca – ciężka, wręcz ociekająca bogactwem. Typowe arabskie diademy i wisiory panny młodej, sięgające zazwyczaj aż do pasa, oraz bransolety na nadgarstki i kostki u stóp wykonano z kiepskiej próby srebra lub złota, najprawdopodobniej libijskiego, bo gnie się ono w palcach. Znajdują się tu też pudełka i puzderka, lusterka w różnorodnych oprawach oraz elementy damskiej toalety, takie jak szpilki czy grzebienie do włosów, ze zdobieniami z półszlachetnych kamieni lub masy perłowej. Daria znajduje ogromną ilość malachitowych wyrobów, takich jak misy, dzbany, zastawa stołowa, nawet szachy czy ozdobne jaja. Męskich sygnetów jest cała skrzynia, ale są to raczej nowożytny wyroby, i to z niezbyt odległej przeszłości, gdyż są toporne, byle jakie i wykonane jak od siekiery.

– Jak miał na imię ten twój tajemniczy amant, który rozpraszał smutki samotności i porzucenia? – młódka pyta swoją ofiarodawczynię, kiedy wraca nad jezioro, z kieszeniami wypchanymi drogocенnościami i rękami zabrudzonymi antycznym kurzem.

– Mohamed. Wiesz, dość typowo.

– Tak... A jak ma na nazwisko nasz majster, inżynier architekt? – dalej indaguje, bo już wszystkiego się domyśla.

– Zintani. Mohamed ibn Mohamed Zintani¹⁴⁰. – Blanka Muntasir nie robi ze swojej historii tajemnicy, bo najwyraźniej jest to tajemnica poliszynela.

Daria i Ahmed wracają do domu karmazynowym od zachodzącego słońca zmierzchem. Po dniu pełnym wrażeń, spędzonym na włóczędze po libijskich bezdrożach, padają do łóżek i od razu usypiają snem sprawiedliwego. Jednak tuż po północy czują matkę, która od dzisiaj śpi na złocie, srebrze i starożytnych precjozach, wybudza jakiś hałas za oknem.

– Co się dzieje? – Siada wyprostowana i od razu całkiem przytomna. – Kto tam jest? Eve?

Czekając na przewodniczkę do nowego domu, w starym blaszaku kobieta nie ma zbyt dużej przestrzeni do sprawdzenia, gdy idzie z siekierą w jednej i tępym antycznym sztyletem w drugiej ręce. *Majster Mohamed czy pan Zintani, jak zwał, tak zwał, miał nam dać ochronę już ponad miesiąc temu, narzeka w duchu, bo w natłoku spraw całkiem wyleciało jej to z głowy. Cholera! Znów poczułam się zbyt bezpiecznie na diabelsko niebezpiecznej libijskiej prowincji. Niech to lichy!*

– Kto tam? Wyłazić, bo zawołam ochronę! – Udaje bohaterkę, ale nogi się pod nią uginają ze strachu, kiedy słyszy niewyraźne chrobotanie. *Szczury?*, przebiega jej przez myśl, lecz nagle do jej uszu dobiega tragiczny jęk. – O mój Boże! – Już bez wahania wyskakuje przed dom. – Eve!

– *Saida* Darin... – szepcze urywanym od szlochu głosem potężna czarna kobieta. – *Saida*

Salimi... Przepraszam...

Togijka, nienaturalnie wykręcona, leży na podeście przed schodami prowadzącymi na ganek, nad którym ktoś rozbił żarówkę, więc jest ciemno, choć oko wykol. Daria z paniką rozgląda się dookoła, ale nie dostrzega nikogo oprócz poszkodowanej. Wydaje się jej jednak, że krzaki naprzeciwko domu się poruszają, więc przerażona cofa się do środka i szybko zamyka drzwi na klucz. *Co mam z nią zrobić?*, pyta samą siebie. *Przecież nawet nie będę w stanie jej ruszyć. Co jej jest? Nie widzę ani krwi, ani uszkodzeń ciała. Jest czarna noc, a ona też czarna. Niech to szlag trafi! Co robić?! Co mam zrobić?!* Jedyne, co przychodzi jej do głowy, to telefon do panny Muntasir, gospodyni tej ogromnej posiadłości.

– Dżamila? – Po raz pierwszy zwraca się bezpośrednio do swojej rywalki.

– Tak – mówi wyraźnie rozespana Libijka. – Kto ci dał mój numer? Jak śmiesz?! – Kiedy trochę się rozbudza, od razu atakuje.

– Musa Kusa, turkaweczko – syczy przez zęby wściekła pół-Polka. – Twoja służąca Eve leży przed moim domem i prawdopodobnie niedługo wyzionie ducha – informuje przez ściśnięte gardło. – Wszystko na to wskazuje, gdyż obserwuję ją przez szybę i ani drgnie.

– To zadzwoń na policję. Czegoż chcesz ode mnie, idiotko? – Dżamila nie spuszcza z tonu.

– Koniecznie chcesz, żeby nam jakieś obce chłopy po posesji chodziły i inwigilowały nie swoje sprawy? – Daria uświadamia w sytuacji naiwną, rozpuszczoną dziewczuchę. – Pragniesz wszystkich w Gharianie i okolicy poinformować, że my tu same baby mieszkamy, bez żadnych facetów, bo nie zaliczam do takowych mojego dwuletniego synka. I bez ochrony! – Gra ostro, choć nie wie do końca, czy w głównej rezydencji nie ma straży, choć wielokrotnie mijając centralną bramę, nigdy nie widziała nawet kulawego ciecica.

– To co? Ja mam przyjść? Żeby to mnie ktoś kark skrzył? – Dziedziczka w końcu spuszcza z tonu, z czego Daria wnioskuje, że faktycznie kobiety z małym dzieckiem są na tym ogromnym, odludnym terenie całkowicie bezbronne.

– Może wsiąść do samochodu i podjedź prosto pod mój dom? Nie masz broni?

– Mam.

– Na pewno przeszedł jakieś szkolenia wojskowe u Kaddafiego. Słyszałam, że miał swoje ochraniarki. – Wszyscy wiedzą, że Dżamila pracowała w najbliższym otoczeniu pułkownika, więc i Daria nie robi z tego tajemnicy.

– Pieprzysz głodne kumety! Jestem kobietą z gór – mówi rywalka z dumą w głosie. – Zanim wylądowałam w stolicy, już umiałam strzelać i zabijać. – W jej głosie słychać ostrzegawczą nutkę, ale chwali się zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że Darię nie tak łatwo zastraszyć i że ona również umie nie tylko strzelać, ale i zabijać. – Dobrze, podjadę i razem sprawdzimy, co tam się dzieje – decyduje w końcu, bo rzeczywiście nie życzy sobie, żeby ktoś obcy wtykał nos w jej gospodarstwo.

Po niespełna pięciu minutach pod blaszak podjeżdża czarny terenowy jeep. Teren dookoła nagle jaśnieje, bowiem Dżamila oprócz świateł drogowych włączyła szperacze, znajdujące się na dachu wozu. Teraz widać nawet pajęczyny między uschniętymi gałązkami winnej latorośli i cykady śpiące na liściach krzewów bugenwilli.

W międzyczasie twarda Eve jednak podczołgała się schodami pod same drzwi wejściowe i tam padła z głową złożoną na progu domu. Obie żony dżihadysty, zaciskając nerwowo szczęki, uważnie przyglądają się ofierze. Za Togijką ciągnie się smuga krwi, a żywo czerwona posoka nadal wypływa spomiędzy jej nóg.

– A ty co? Hrabianka? – poirytowana Dżamila zwraca się do Darii. – Sama nie mogłaś nic zaradzić?

– Czy sądzisz, że byłabym w stanie przenieść to ciało? – Daria pokazuje palcem na wielką czarnulkę. – Wsadzić pod prysznic?

– Trzeba było przynajmniej dać jej ręcznik albo podpaskę, żeby zatamować krwotok – mówi

z wyrzutem, ale Daria już jej nie słucha, tylko obraca się na pięcie i pędzi do łazienki.

– Eve! Eve! – Libijka szarpie potężne, otłuszczone ramię. – Pomóż nam. Wciągniemy cię do domu, ale musisz współpracować. Rusz się! – Podnosi głos, ale nic to nie daje.

Gdy Daria wraca, napotyka wściekłe spojrzenie konkurentki, jakby to ona była wszystkim winna.

– Czyżbyś śmiała twierdzić, że to ja powinnam była pilnować tej dorosłej baby, żeby się nie szlajała? – z ironią indaguje gospodyni.

– Powinnaś była ustawić ją do pionu, wzbudzić respekt i poszanowanie, a nie żeby taka prostytutka ci na głowę weszła i robiła, co chciała. – Góralka poucza niewiele starszą od siebie kobietę.

– Nie byłam stróżem jej dupy. Miała ochotę ją dawać, a miała, to i się doigrała.

– Żeby żadnych wniosków nie wyciągnąć ze swojego życia... – Załamana i rozgoryczona Dżamila przez krótką chwilę wygląda całkiem sympatycznie, ale zaraz znów przybiera odpychającą maskę.

– Może zadzwonię do majstra Mohameda? – proponuje Daria.

– Oszalałaś?! Jeszcze nam tu tego bękarta brakuje! – wyrywa się dziedziczka.

Daria nawet się nie dziwi. Po dzisiejszym dniu już sporo wie, a jeszcze więcej się domyśla. *Niezły bajzel jest nie tylko w całej Libii, ale chyba w każdym tutejszym domu. U Montasirów na pewno, reasumuje w duchu.*

– No to napręż mięśnie, księżniczko! – Szczupła, ale silna Daria pochyla się i chwyta Togijkę pod ramiona, a Dżamila bierze w swoje mocne ręce nogi nieszczęśnicy. – Ech! – stękają, usiłując przesunąć cielsko.

Obie żony dżihadysty po raz pierwszy wspólnie wykonują jakąś pracę, wspólnie się pocą, martwią i denerwują. Z wielkim wysiłkiem wciągają ponadstukilogramową Murzynkę do małego saloniku. Niepokoi je fakt, że kobieta nie daje żadnych oznak życia, już nawet nie jęczy. Jej wielkie otyłe ciało jest całkowicie bezwolne i nie napina się na nim żaden mięsień. W domowym zaciszu, przy zamkniętych drzwiach i jasnym oświetleniu dokładnie ją badają, usiłując znaleźć przyczynę utraty świadomości. Szybko znajdują liczne rany klute i cięte na całym jej ciele, a w kroczu widzą pękniętą szklaną butelkę, którą ktoś najprawdopodobniej wbił tam kopniakiem. Na koniec Dżamila przykładą dwa palce do tętnicy na szyi służącej. Podnosząc brwi i wybałuszając wielkie czarne oczy, tylko kręci głową.

Darii nie chce się wierzyć, że cokolwiek mogło zatrzymać życie w tym potężnym, silnym ciele emanującym ogromną energią. Przykłada ucho do ciepłej jeszcze piersi kobiety, ale nie słyszy ani jednego uderzenia serca.

– Jezus Maria! – wyrywa się jej impulsywnie.

– Bierz dziecko i jedziemy do mnie – rozkazuje Dżamila. – Klucz zostaw w drzwiach.

– W porządku. – Daria nie ma ani ochoty, ani siły na dyskusję.

– Zadzwonię jednak do wuja Mohameda. On to załatwi.

– Niech to jasna cholera! – Daria po raz pierwszy wchodzi do kolonialnej pięknej rezydencji Muntasirów z tymi słowy na ustach. – Niech to lichu!

Młoda kobieta czuje straszliwe wyrzuty sumienia, bo zamiast się obrażać jak jaśnie paniusia ze dwora, mogła porozmawiać z Eve. Służąca przecież tak ją wspierała na początku jej libijskiej przygody, tak pomagała... Mogła ją ostrzec, jakoś odciągnąć od niebezpiecznych syryjskich chłopów.

– To miejsce jest przekłete. Od zawsze – stwierdza przesądna Dżamila, padając na wygodną, miękką i wchłaniającą jak bagno sofę w salonie. – *Szejtan* już lata temu nim zawładnął. – Wskazuje fotel naprzeciwko siebie swojej dotychczasowej rywalce, choć w zasadzie bardziej kobiecie, którą pogardzała i której nie rozumiała. Z biegiem czasu, kiedy widzi hart ducha i gospodarność pół-Polki, jej stosunek do niej coraz bardziej się zmienia, choć nadal wydaje się jej, że nie mogłaby polubić kobiety tak diametralnie innej niż ona sama. – Kto to mógł zrobić? Co za skurwysyn?! – Bije pięścią

w poduchy, z których unoszą się tumany kurzu.

– Cii... Cicho – szepcze Daria.

Zaspany Ahmed uchyla piękne, czarne oczy i wykrzywia buźkę, lecz czując ciepłe ramiona matki i jej znajomy zapach, kładzie główkę na jej ramieniu i ponownie zasypia.

– Zaraz przygotują sypialnię. – Dżamila wstaje i szybko wychodzi z salonu.

Za chwilę od strony kuchni dobiega jej podniesiony, władczy głos, którym wydaje rozkazy służbie.

– Ależ ze mnie do dupy gospodyni – nieoczekiwanie oświadcza po powrocie.

– Spokojnie, na razie położę go tutaj. – Daria nie chce robić problemu. – Jak już mocno usnie, to gromy z jasnego nieba go nie obudzą.

– Masz szczęście – podsumowuje Libijka, patrząc na chłopca z nieskrywaną zazdrością. – Piękny dzieciaczek.

– Tfu, tfu, na góry, na lasy – zaczyna Daria, a po chwili równie przesądna Dżamila też pluje na boki.

Następnie gospodyni podchodzi do wielkiej drewnianej komody stojącej w kącie salonu, grzebie w górnej szufladzie, głośno przewracając jakieś bibeloty, po czym wraca do śpiącego malucha.

– *Chamsa*142 na odegnanie złego oka. – Z tkliwym uśmiechem przypina chłopcu do kaftanika złotą broszkę z symboliczną ręką Fatimy. – Nie obrazisz się chyba?

– Skądże znowu. Dzięki.

– Wracając do naszej dzisiejszej akcji... – Dżamila zawiesza głos i uśmiecha się z przekąsem. – Kto mógł skrzywdzić naszą Eve?

– Był taki jeden lowelas... Syryjczyk – wspomina Daria. – Najpierw na mnie patrzył lubieżnym wzrokiem, ale ja szybko ukróciłam jego zapędy, więc widać zabrał się za Eve. Czy ona nigdy nie miała męża? Czemu nie miała dzieci?

– Bo nie.

– Ostatnio chodziła między moimi robotnikami napalona jak kotka w rui. Nie rozumiem, czemu z nikim się nie związała. Przecież to była atrakcyjna kobieta.

– Ale po przejściach. – Dżamila nie chce się wdawać w szczegóły.

Daria jednak postanawia pociągnąć ją za język, bo jest ciekawa, czy jej przypuszczenia są prawdziwe.

– Ponoć jako nastolatka doświadczyła gwałtu. Byłyście wtedy dość blisko...

– Blisko? Nie żartuj sobie! – Dżamila wybucha szyderczym śmiechem. – Była inteligentna jak na służącą. Dość edukowana. Ale wierz mi, że przyjaciółki wybierałam sobie z innej klasy społecznej. Lubiłam ją, nie powiem – wyznaje jednak po chwili miękkiem głosem. Łza kręci się jej w oku, choć ma surowy wyraz twarzy.

Dżamila zamyśla się, wstaje i podchodzi do wielkiego kredensu, pamiętającego czasy kolonialne. Otwiera dolne drzwiczki i wyciąga wielką, dwulitrową butlę z brązowego szkła. Pod czujnym okiem Darii stawia flakon na stole, ustawia przy nim kryształową karafkę, a następnie przelewa do niej szkarłatny płyn. Po całym salonie rozchodzi się zapach wytrawnego czerwonego wina.

– Napijesz się? – Libijka zabawnie unosi brew. – Za zbawienie duszy tej biedaczki. – Znajduje dobre wytłumaczenie.

– Pewnie – odpowiada ochoczo Daria, choć nie spodziewała się takiego przyjęcia.

Proporcjonalnie do ilości wypitego trunku obie żony dżihadysty spuszczają z tonu, przestają się zgrywać i boczyć na siebie i zwyczajnie gadają, choć ani jedna, ani druga w drażliwych dla siebie kwestiach nie ma zamiaru uchylić chociażby rąbka tajemnicy.

– Planujesz pozostać tutaj czy wyruszasz na szerokie wody do Trypolisu? – W końcu Daria nie wytrzymuje i zadaje to pytanie, bo wie, że jej przyszłość może ściśle zależeć od planów Dżamili.

– Nie wiem jeszcze. – Kobieta nie jest zadowolona z faktu, że jej życiem kierują teraz dwaj mężczyźni: wujaszek Musa Kusa i Muhamad, coraz częściej nieobecny mąż. – Wkurza mnie to

wszystko.

– Nie dziwię ci się.

– Jakbym wiedziała, na czym stoję, to albo spakowałabym walizki, albo zadomowiła się w Gharianie i przywróciła moją posiadłość do stanu dawnej doskonałości – ujawnia swoje sentymenty i marzenia, a Darii straszliwie jej szkoda, bo biedaczka związała się z ambitnym zbrodniarzem, któremu nie wystarczy bycie panem na włościach. – Można by tu całkiem szczęśliwie żyć.

– Zgadzam się z tobą. To cudowny zakątek świata. Mnie też bardzo się podoba.

– *Žida* Blanka mówi, że jesteś zachwycona i zakochałaś się w naszym Gharianie – ujawnia, że wbrew opiniom utrzymuje bliskie kontakty z babką.

– Owszem.

– Ciekawa jestem, czy Muhamad Arabi ma takie same odczucia? – Obu kobietom trochę głupio, że zachowują się jak typowe arabskie żony tego samego mężczyzny, które zakopały topór wojenny i zdecydowały się zaprzyjaźnić. – Jak myślisz? Ty znasz go lepiej.

– Wiesz... Teraz już nie za bardzo. – Daria się spina, bo musi uważać na słowa. Obiecała wszak Musie Kusie dochować tajemnicy, a nie chciałyby przez chlapnięcie jakiejś głupoty stracić jego życzliwości i ostatniego miejsca na ziemi, w którym chciałyby się osiedlić. – Mężczyzna dopasowuje się do kobiety, z którą się wiąże. Tobie się tu podoba, to jemu też powinno – rzuca utarte slogany.

– Nie sądzę. – Dżamila jest zbyt inteligentna, by sądzić, że to ona czymkolwiek kieruje w ich związku. – Nie w tym przypadku. Nasz mąż ma charakter – mówi dumnym głosem, co tylko utwierdza Darię w przekonaniu, że Libijka o niczym nie wie i jest zakochana w dżihadyście po same uszy. – Sean jest Irlandczykiem, którego ja i wujaszek Musa Kusa skonwertowaliśmy na islam i zaangażowaliśmy w walkę o dawną, prawdziwie niepodległą Libię. Ponieważ od lat był arabofilem, rewelacyjnie wtopił się w nasz klimat i naszą kulturę.

– Rzeczywiście. – Daria na pewno nie wyprowadzi jej z błędu, ale od razu przypomina sobie swoje pierwsze wrażenia, kiedy jeszcze w Rijadzie jej Brytyjczyk John jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniał się w Araba, tak z wyglądu, jak i z charakteru. Wtedy ona też wierzyła, że to tylko zdolności kameleona i śmieszne przebieranki. – Muhamad to niegłupi facet – mówi na koniec.

– Pewnie! Głupka przecież byśmy sobie nie wzięły! – Dżamili po sporej ilości wypitego wina język zaczyna się plątać, na policzki wykwitają rumieńce, za to wypowiedzi są coraz bardziej szczere. – Aby nasz plan się powiódł, Sean wskoczył w buty mojego kuzyna, który zginął lata temu podczas arabskiej wiosny, ale jego ciała nigdy nie odnaleziono. Dlatego od razu mógł się posługiwać moim nazwiskiem – Muntasir.

– Świetny pomysł. Czyli teraz jest już nie tylko mężem Libijki, ale czystej krwi Libijczykiem.

– Tak właśnie! Niezła intryga, no nie? – Gospodyni wybucha gardłowym śmiechem, a kompanka jej wtóruje, bo w tej chwili bardzo je to wszystko bawi. – Większość mojej rodziny nie żyje, więc nikt go nie zdemaskuje – reasumuje, mrugając szelmowsko, bo niezła z niej intrygantka i konspiratorka.

– Niezłe to wymyśliliście. – Daria widzi, że stary Musa Kusa ma łeb nie od parady, a jego współniczka jest bezkompromisową babką.

– Teraz tylko czekamy na zakończenie pertraktacji z pewnym durnym, upartym i chytrym plemieniem. A kiedy nasz lider do nas dołączy, ruszamy z kampanią.

– Ponoć mamy współpracować nie tylko na terenie gospodarstwa domowego? – Pół-Polka kuje żelazo póki gorące. – Z chęcią pomogę.

Dżamila unosi kieliszek.

– W takim razie wypijmy za naszą współpracę, *saida* Salimi.

– Za współpracę, *saida* Muntasir.

Kobiety wypijają strzemiennego, a następnie, objęte w pół, wchodzą zgodnie na piętro i udają się do sypialni. Żony dżihadyisty – jedna pełna wątpliwości i strachu, a druga przesycona nadzieją – czują, że od tej pory, choćby nie wiem co, będą ze sobą kooperować. I to bynajmniej nie dlatego, że

zostało im to narzucone, bo obie są uparte i przekorne. Różnią się od siebie doświadczeniem życiowym i pochodzeniem, a z drugiej strony mają podobny temperament. Chcą działać ręka w rękę. Daria – żeby zniszczyć swojego męża i ostatecznie się od niego uwolnić; Dżamila, by jej ukochana ojczyzna mogła się odrodzić, znów być rajem na ziemi. Cele mają diametralnie różne, ale jeśli udałoby się im je zrealizować, mogłyby być szczęśliwe. Mają też jedno wspólne marzenie: osiąść w spokoju na libijskiej prowincji w regionie Gharianu i szczęśliwie przejść przez swoje życie. Czy jest to jednak możliwe? Dla pół-Polki, która uważa siebie i całą swoją rodzinę Salimi za przeklętą, i dla Libijki, sądzącej od lat, że jest potępiona i przynosi pecha każdemu, kto się do niej zbliży? Czy uszczęśliwienie jednej pozwoli na radość drugiej? Ich wybranek, człowiek toksyczny i zabójczo niebezpieczny, bynajmniej nie dba o to, by fortuna się do nich uśmiechnęła. Daria już od dawna o tym wie, a Dżamila wciąż żyje w błogiej nieświadomości. Wydaje się jej, że nic nie zagraża jej ani jej zamierzeniom, bo wszystko zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach – jest sprytniejsza od obcego przybysza, a w dodatku działa na własnym terenie. Całe życie, już od młodszych lat, nurzała się w bagnie polityki i dawała sobie śpiewająco radę, więc liczy, że i tym razem utrzyma się na powierzchni.

– Co ona tu robi?! – powracający do domu po długiej nieobecności Jasem drze się, widząc wychodzącą z sypialni na piętrze Darię, jeszcze zaspaną i zamyśloną. – Co to ma znaczyć?! – Oczy mu wychodzą z orbit, a na policzkach wykwita krwawy rumieniec.

– *Baba!*143 *Ja baba!* – Mały Ahmed, widząc ojca po tak długiej nieobecności, nie przejmuje się krzykami. Wrywa swoją małą rączkę z dłoni Darii i biegnie na złamanie karku, wyciągając ramiona. – *Baba!*

– Czego? – Jasem marszczy brwi, bo jednak ukochał sobie drugiego syna, Abdula, syjamskiego brata Ahmeda, który w nieznanych okolicznościach stracił życie, zaś z tego malca może jedynie być dumny, ale żadnych głębszych uczuć do niego nie żywi.

– Chodź do cioci. – Dżamila, widząc minę męża, chwyta biegnące dziecko i tuli do siebie, przymykając z rozkoszą oczy. – Piękny chłopczyku...

– Cieszę się, że go lubisz. – Mąż uśmiecha się z przekąsem. Taki właśnie był jego plan, którego niestety do końca nie zrealizował i teraz pluje sobie w brodę.

Daria, która stoi w wykuszu drzwi, ledwo oddycha, patrząc na tę sielankową, rodzinną scenę.

– Tak, bardzo go lubię – przyznaje Dżamila. – Ale jego matka go kocha, i to ponad życie. – Głęboko spogląda w oczy byłej konkurentki, bo aktualnie kobiety czują ze sobą solidarność jajników, której żaden mężczyzna nie jest w stanie ani zrozumieć, ani wyeliminować.

– Też wymyśli! – Jasem po raz pierwszy ukazuje swoje prawdziwe oblicze przed młodą żoną, taksując ją nieprzyjemnym, wrogim spojrzeniem. – Do czego komu matka? – pyta, nie krygując się. – Kobieta jest surogatką i tyle – wypala w końcu.

– Nie wiem, jaką rodzicielkę ty miałaś, ale ja moją kochałam ponad życie. Była mi potrzebna jak tlen do oddychania!

Zanosi się na małżeńską kłótnię, w której Daria nie ma najmniejszej ochoty uczestniczyć, ale nie ruszy się stąd bez syna. Ahmed tymczasem zaczyna się niecierpliwie w ramionach obcej kobiety, wierci się coraz bardziej, robiąc niezadowoloną minę.

W końcu Dżamila puszcza go i delikatnie klepie po plecach.

– Idź do mamusi. – Podkreśla ostatnie słowo, patrząc wymownie na męża.

– Ona ma się stąd wynieść, i to natychmiast! – krzyczy Jasem, wskazując palcem to na jedną, to na drugą żonę. – Ma też opuścić domek gościnny, bo niedługo ktoś się tam wprowadzi – informuje enigmatycznie.

– To dokąd ma iść? Pod most? Pod rzymski akwedukt?! – wrzeszczy wściekła Dżamila. Typowa Arabka potrafi się błyskawicznie zdenerwować i robić karczemne awantury, z czego znają ją chyba wszyscy oprócz Jasema, który jeszcze tego nie doświadczył.

– Przecież wybudowano dla niej wspólną rezydencję! – W oczach zawistnego człowieka

widać błysk zazdrości.

– Która nadal nie jest wykończona – wypala Dżamila. – Na podłogach ciągle jest beton, a okna dopiero wczoraj zaczęli wstawiać.

– Gównu mnie to obchodzi! Nie wiem, kto jej to wszystko funduje, ale sam nie dałbym jej złamanego grosza na takie wielkie inwestycje.

– Ładnie traktujesz swoją pierwszą żonę i syna! Bardzo ładnie! – Libijka nie spuszcza z tonu i wygląda teraz tak buńczucznie, jakby chciała wystrzelać po mordzie swojego podłego wybranka. Biedulka nadal nie zdaje sobie sprawy, z jakim typem człowieka ma do czynienia, więc kiedy dostaje pierwszy siarczysty policzek od silnego mężczyzny, baranieje i głos jej odbiera.

– Tak traktuję, jak zasługuje! A ty zasłużysz sobie na baty, jeśli będziesz sobie mną gębę wycierać! – krzyczy mąż, a żona tylko coraz bardziej wybałusza na niego oczy. – Jestem muzułmaninem! Mam prawo karać swoje krnąbrne baby i wydawać im polecenia! „Mężczyźni stoją nad kobietami ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednym nad drugimi, i ze względu na to, że oni rozdają ze swojego majątku. Przeto cnotliwe kobiety są pokorne i zachowują w skrytości to, co zachował Bóg. I napominajcie te, których nieposłuszeństwa się boicie, pozostawiajcie je w łóżach i bijcie je! A jeśli są wam posłuszne, to starajcie się nie stosować do nich przymusu. Zaprawdę Bóg jest wzniosły, wielki”¹⁴⁴.

Słyszac cytata z Koranu, Dżamila jest w jeszcze większym szoku. Szuka wsparcia w oczach swojej nowej przyjaciółki, ale Daria marzy teraz tylko o tym, żeby stąd zniknąć, choćby miała spać pod tym przeklętym akweduktem. Jednak w przejściu na schody stoją awanturujący się małżonkowie i nie ma ich jak ominąć.

– Nie ze mną te numery, facet! – Butna druga żona nie jest potulną owieczką idącą na rzeź, a Daria stwierdza, że taka w kalifacie od razu zostałaby zabita. – W dupę sobie wsadź całe to posłuszeństwo i spierdalaj na księżyc z takimi teoriami! – Kiedy to mówi, widać, że jakaś straszna myśl przelatuje jej przez głowę, bo spoziera przed siebie zrozpaczonym, nieobecny wzrokiem. – Kalifatu już nie ma, więc siedź cicho i nie podskakuj! – Strzela w dziesiątkę, ale równocześnie sobie w kolano.

– Jeszcze pożałujesz tych słów, suko! – Zupełnie już nad sobą nie panując, Jasem chwytając kobietę za kok i szarpie nim w prawo i lewo. Ona jednak się nie poddaje. Tracąc garść czarnych, mocnych włosów, wrywa się i kopie agresora, gdzie popadnie. Mąż, chcąc ją ujarzmić, przyciska do ściany, napierając na nią swoim rozgrzanym, podnieconym ekscesami ciałem. – Dla jakiejś obcej *szarmuty* zmarnujesz swoje szczęście i życie rodzinne? – namiętnie szepcze jej do ucha i trochę spuszcza z tonu, bo przecież póki co potrzebuje tej wieśniaczki, a jeszcze bardziej jej nazwiska i koneksji. – Dżamilko, kochanie... – Ni z tego, ni z owego bierze ją w ramiona, na co Libijka mięknie; pozwala na długie, głębokie pocałunki człowiekowi, który przed chwilą dopuścił się w stosunku do niej rękoczynu.

Daria z synkiem na ręku wykorzystuje okazję – omija ich, następnie puszcza się pędem po schodach, dopada drzwi i rusza biegiem do małego blaszanego domku, który do tej pory był dla niej idealnym, przytulnym schronieniem. Teraz traci nawet takie byle jakie miejsce, w którym czuje się bezpiecznie. Znowu jest banitką i wyrzutkiem.

Jasem, niepisany i nieoczekiwany lider partii narodowego pojednania, rośnie w siłę i zdobywa sympatię tłumu w niewyobrażalnym wręcz tempie. Jest promowany przez górali, uwielbiających ród Muntasirów, oraz przez starych i młodych Libijczyków, pragnących stabilizacji rozbitego kraju, negujących zarówno czasy Kaddafiego, jak i współczesne rządy z jednej strony fałszywej demokracji, a z drugiej nasycone ideami fundamentalizmu. Wszyscy pragną kogoś nowego. Pseudo-Libijczyk organizuje liczne wiece i plemienne spotkania, które zataczają coraz szersze kręgi. Mając za sobą tysiące zwolenników, czuje się już na tyle silny, że dzwoni do Trypolis, do premiera rządu narodowej rady tymczasowej – Alego Zajtuna¹⁴⁵. To jego człowiek, znają się jeszcze z Londynu i z czasów

panowania pseudo-Państwa Islamskiego. Kolejny dżihadysta, który zmienił twarz, ale nie przekonania, w warunkach libijskiego chaosu nie musi się szczególnie ukrywać. Liberalny fundamentalista na tym terenie bezprawia jest jeszcze akceptowalny, jednak nie przez Musę Kusę, który właśnie takich przytających rzezimieszków planuje się pozbyć z terenów swojej szczęśliwej Libii. Właśnie po to ściągnął tu groźnego przestępcę Jasema Alzaniego. Musa, który ma pełnić funkcję przyszłego premiera w rządzie młodego Kaddafiego, jakby nie zauważał groźnej działalności i coraz większej popularności dżihadysty, nierozsądnie to lekceważąc, sam zaś odkrywa prawie wszystkie karty przed swoim protegowanym. Pomija oczywiście milczeniem fakt, jak zamierza sfinalizować ich krótkoterminową współpracę, czego sam nie może się doczekać.

Zniesmaczony zachowaniem Dżamili, Jaseem jedzie do Trypolisu. Potem ma w planach Bengazi, bo rozpoczyna działalność na szeroką, krajową skalę. Bynajmniej nie zadowala go proponowane mu przez Musę Kusę stanowisko ministra spraw wewnętrznych. On chce więcej. Gra teraz o najwyższą stawkę, bo znów jest kimś – decydem – i ma jeszcze wiele asów w rękawie. A kandydat na prezydenta z rodziny Kaddafich jest dla niego nic nieznaczącą, niewartą najmniejszego zachodu marionetką, którą postanawia się zająć, kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Chwilowo Sajf al-Islam nie spędza mu snu z powiek.

* * *

– Tutaj Huda – szepcze nocą młoda Iranka, ściskając w dłoni telefon komórkowy, który dostała od swojej wiernej przyjaciółki. – Halo! – mówi głośniej, bo nie słyszy żadnego odzewu, a jedynie głuchą ciszę.

– Kochana! To ty? – Po chwili trwającej całą wieczność męski miły głos krzyczy jej prosto do ucha.

Dziewczyna oddycha z ulgą.

– Tak. To ja. Dostałam komórkę od Nury.

– Zuch dziewczyna! – cieszy się Faris. – To jest prawdziwa kumpelka!

– Zgadza się. Sforsowała nawet cerbera w osobie mojej matki – podśmiewa się internowana.

– Ponoć twoi rodzice postąpili z tobą niewiele lepiej niż twój ojciec ze mną. Trzymają cię w areszcie, choć domowym. Co za prymitywy! Co za wieśniacy! – Młodzian się denerwuje, ale zaraz gryzie w język, bo to przecież najbliższa rodzina dziewczyny, którą kocha i której nie ma zamiaru urazić. – No wiesz...

– Masz rację. Całkowitą rację. Faris, wyciągniesz mnie stąd?

– Oczywiście! Ale jak? W Teheranie nie za bardzo mogę się pokazać, a tym bardziej w okolicach twojego domu.

– Chcesz mnie z dzieckiem? – Dziewczyna zmienia temat.

– Przecież to moje dziecko. Co za głupie pytanie? – obrusza się mężczyzna. – Moja rodzina już się cieszy na nowego potomka Pahlawich.

– Powiedziałeś im? To taki wstyd... Taka hańba... Jakże mogą przyjąć do rodziny taką nierządnicę... – Mentalność wykształconej Hudy jednak została skażona przez system i otaczającą ją ortodoksyjną religię, dlatego mówi teraz takie same bzdury jak wszyscy wokół niej.

– Co ty wygadujesz? Kobieto! Nasz kraj jest taki zaściankowy! Średniowiecze.

– Ojciec wysłał mnie do Libii. – Dziewczyna postanawia nie tracić czasu, bowiem musi jak najszybciej o wszystkim poinformować swojego kochanka, w razie gdyby została pozbawiona kontaktu z nim. – Tam ktoś się ze mną fikcyjnie ożeni i wtedy, przynajmniej według mojego tatki, znów będę godną szacunku niewiastą. – Ze zjadliwą nienawiścią moduluje głos, nie zdając sobie sprawy, że ojciec kocha ją nad życie i to życie usiłuje jej uratować.

– Czemu ten tajniak nie chce oddać mi twojej ręki? – martwi się Faris.

– A prosiłeś? – Huda jest miło zaskoczona i serce jej rośnie na takie wieści, choć wołałaby, żeby oświadczyły wyglądały trochę inaczej.

– Chciałem, ale jak niby miałem to zrobić? Zostałem oskarżony o anarchię, a nie o poderwanie

córki największego sadysty w naszym Ajatollahowie – kpi, a dziewczyna oczami wyobraźni widzi jego przystojną twarz z ironicznie wygiętymi, namiętymi wargami.

– Torturowali cię? Bili? – pyta szeptem. Szczere łzy zalewają jej śliczną, wymizerowaną twarz, bo robi się jej niewymownie przykro i wstyd za działania ojca.

– Mniejsza z tym. Nie ma co do tego wracać – chłodno odpowiada kochanek, ale Huda wie, że to wydarzenie będzie się kładło cieniem na całym ich przyszłym życiu, jeśli w ogóle takie będzie im dane. – Generał wysłał mnie do łagru na prowincji. Liczył na to, że albo mnie zabiją, albo wykupię się strażnikom i ucieknę. Nigdy się tego nie dowiemy, chyba że ustrój naszego kraju się zmieni i twój tato zasiądzie na ławie oskarżonych. Wtedy, jako sędzia i oskarżyciel, zadam mu takie pytanie.

– Oby... – mówi jednak niepewnie, bo młode serce Hudy bezwiednie krwawi i drży na myśl o tym, że człowiek, który dał jej życie i którego do tej pory podziwiała i kochała, nie przejmując się jego specyficzną pracą i traktując ją jako służbę państwu, miałby być sądzony i oskarżony, a może nawet skazany na karę śmierci. – Tak więc możemy liczyć tylko na Libię. Do czasu wyjazdu na pewno nie wyściubię z domu nawet czubka nosa. A i ty lepiej tu nie wracaj. Iran jest dla nas spalony.

– Nura powiedziała mi o tym planie, więc już zacząłem przygotowania.

– Jesteś genialny!

– Nie przesadzajmy – skromnie neguje Faris, jednak jest mile podłechtany komplementem. – Jakbyś nie wiedziała, wszystko w naszym kraju można załatwić za większe lub mniejsze pieniądze.

– No i? Co nasz kraj ma do Libii? O jakim bakszyszu¹⁴⁶ mówisz? Za co? Przyjedziesz tam do mnie? Jakim cudem? Jak się tam dostaniesz? – Huda zarzuca ukochanego pytaniami, bo jej żaden pomysł do głowy nie przychodzi. – Nie wiem, czy Irańczyków, szyitów wpuszczają do tego sunnickiego, policyjnego kraju.

– Kochana, spokojnie. Mój koncept jest może trochę szokujący, ale...

– Jaki koncept? Mówże, bo nie wytrzymam z ciekawości! – Dziewczyna cała aż drży. – Za chwilę zwariuję!

– Wrzuć na luz, moja piękna.

– Jakim cudem? Ojciec może mnie tam wysłać lada dzień. Nie chce powiedzieć konkretnie, kiedy ani dokładnie dokąd, a Libia jest przecież wielkim krajem. Zapewne nie będę tam miała lokalnej karty do telefonu i znów zero kontaktu ze światem i z tobą. Nie mam pojęcia, co on kombinuje, nie znam żadnych szczegółów. A najgorsze jest to, że nie wiem, kim jest facet, który ma podpisać fikcyjny kontrakt ślubny. Nic nie wiem! – Huda ponownie zalewa się łzami, a Farisowi serce się kraje, bo wiele z jej obaw jest prawdziwych i przerażających.

– Persja zawsze była krajem dążącym do ekspansji i dominacji nad całym światem – mówi ni z tego, ni z owego potomek ostatniego szacha Iranu.

– Co ty bzdurzysz? – Zszokowana Huda przestaje płakać i aż trzepie głową, chcąc uwierzyć w dyrdymały, które opowiada jej wybranek. – Co to ma do rzeczy?

– Czy byliśmy monarchią, czy pseudorepubliką, a w zasadzie religijną dyktaturą jak teraz, od czasów starożytnych po współczesne chcieliśmy dominować nad innymi.

– No i? – Coraz bardziej wściekła Iranka zastanawia się, czy to dobrze mieć partnera intelektualistę, bo taki nie stąpa twardo po ziemi, lecz kroczy z głową w chmurach. – Czas płynie, a ty...

– Właśnie zmierzam do puenty, wynikającej z ekspansywności Iranu, którą wykorzystamy we własnym interesie. – Młodemu chce się śmiać z zapalczywości kobiety, w której na zabój się zakochał. – Została podpisana bardzo intratna międzypaństwowa umowa gospodarcza pomiędzy odbudowującą się Libią a Iranem, który ostatnimi czasy świetnie prosperuje.

– Naprawdę? Nic o tym nie wiedziałam. Myślałam, że wszystkie nasze pieniądze idą na zbrojenia. Ale jeśli jest inaczej, to dobrze. – Huda nieco się uspokaja.

– Nasz rząd, idąc za przykładem poprzedników, pragnie przy okazji układu biznesowego szerzyć szyizm w odległym śródziemnomorskim kraju. Jeszcze nas tam nie było. – Faris się podśmiechuje, ale w jego głosie pobrzmiwa duma, bo wychowany w patriotyzmie, cieszy się z potęgi

swojej ojczyzny, nawet jeśli jest ona pod rządami reżimu, którego jest przeciwnikiem. – W miejscowości Ras Lanuf nad samym brzegiem morza powstaje osiedle przeznaczone dla ponad dwóch tysięcy Irańczyków, którzy będą pracować dla Libii w rafinerii ropy naftowej. Aktualnie ludzie zabijają się o te kontrakty, mając oczywiście w nosie szerzenie naszej szyickiej wiary w sunnickiej Libii. Myślą przede wszystkim o grubej kasie, którą będą mogli tam zarobić.

– Myślisz, że ojciec mnie tam umieści? – pyta Huda. – Wśród swoich? Mój przyszły, fikcyjny mąż będzie jednym z menedżerów?

– Nie sądzę. Roboty budowlane są dopiero w powijakach i jak znam arabską sprawność działania, pierwsi irańscy rezydenci zasiedlą to osiedle za rok, może dwa.

– Czemu robisz mi nadzieję, by po chwili wylać kubel zimnej wody na głowę? – Serce dziewczyny trzepocze, bo boi się obcych Arabów, o których nie ma najlepszego zdania, a gdyby wiedziała, za kogo konkretnie ojciec chce ją wydać, to zapewne umarłaby ze strachu.

– Już nie będę cię dręczył, wybacz. – Faris w końcu zdaje sobie sprawę, że niechcący gnębi psychicznie swoją ukochaną. – Żeby dostać kontrakt na wyjazd do Libii, trzeba dać łapówkę, więc dałem. Świadczenia pracy sfałszowali za mnie pośrednicy. Ubrałem się jak należy, w turban, płaszcz, zapuściłem brodę i powiedziałem, że jestem uczniem ajatollaha z Meshedu.

– Skąd?

– Z Meshedu. To jedno z najświętszych miejsc dla szyitów, więc religijnych kapłanów jest tam od groma.

– Czyli jednak zajrzałeś do Iranu? – dziwi się młoda, bo cała ta historia zaczyna jej śmierdzieć. Nie spodziewa się, że jej kochanek jest szpiegiem i autentycznie groźnym anarchista, bo przecież jej ojciec nie wypuściłby z rąk tego, który może spowodować upadek reżimu, w którym jej rodzinie tak dobrze się wiedzie. – Ponoć ledwo co uciekłeś przed policją i przebywałeś w Stambule? – Niegłupia dziewczyna nie da się tak łatwo oszukać i wychwytyje nawet najmniejsze kłamstewka i naciągania. – Co jest grane, Faris? To jakiś totalny miszmasz!

– Mam kilka paszportów. Moją rodzinę stać na taki kaprys. – Młodzian uchyla rąbka tajemnicy. – Nie poznałabyś mnie na zdjęciach – żartuje, ale rozsądnej kobiecie nie jest do śmiechu.

– Jak to? Normalny człowiek ma ledwo co jeden paszport, i to na swoje imię i nazwisko, z paroma cechami biometrycznymi. Okej, fotkę można podrobić, ale co z liniami papilarnymi?

– Wiele bym dał, żeby być zwykłym człowiekiem – smutno wyznaje Faris, bo noszenie nazwiska rodu szacha wielokrotnie komplikowało mu życie. – A biometria u nas, w Iranie, jest dopiero w powijakach.

– Zatem wyjeżdżasz jako kto?

– Mułła¹⁴⁷. Taki człowiek musi nadzorować swoje wierne owieczki od momentu opuszczenia przez nich Iranu, kolebki ich wiary, żeby czasami nie zbłądziły i nie grzeszyły z dala od domu. Mam kontrakt od pierwszego przyszłego miesiąca. Jadę z budowniczymi, którzy mają stawiać miasteczko dla kontraktowiczów.

– *Wallahi!* – Ciężarnej nie chce się wierzyć, że jest taką szczęściarą, a jej obrotny kochanek działa z szybkością światła i na dokładkę ryzykuje dla niej więzienie.

– Nie zostawię cię na pastwę losu. Kiedy wylądujesz, powinienem już być na miejscu.

– Dam znać, jak wylecę. Nie mogę się doczekać spotkania – szepcze Huda głosem pełnym namiętności. – Teraz już bezwarunkowo wierzę w twoją miłość do mnie, w miłość na śmierć i życie.

Generał Ghasem Sulejmani leci do Libii razem z córką, która wygląda jak czarny kopiec – jest owinięta w długą do ziemi, szeroką czarną *abaję*, na to ma narzuconą burkę¹⁴⁸ zasłaniającą twarz z czarną siateczką, która przykrywa nawet oczy. Huda jeszcze nigdy nie była tak zakryta, bo też nikt nie narzucał jej pełnego *purdah*¹⁴⁹. Dzisiaj jednak ojciec tłumaczy tę konieczność tym, że w samolocie irańskich linii lotniczych z Teheranu do Ras Lanufa lecą sami mężczyźni. Firma, która wygrała przetarg w Libii, wyczarterowała mały odrzutowiec, by sukcesywnie przewozić na teren

budowy swoich pracowników, a później już specjalistów od obróbki ropy naftowej i produkcji broni niekonwencjonalnej. O tych ostatnich oczywiście wie tylko ściśle grono, w tym irański generał i libijski marszałek. Przyspieszenie rozpoczęcia prac budowlanych nastąpiło na osobistą prośbę generała, który zagroził Libijczykom zerwaniem kontraktu, jeśli do trzech miesięcy nie rozpoczną realizacji umowy. Wcale mu się nie spieszy z ekspansją szyizmu na tereny Libii czy z uzbrojeniem niebezpiecznego i niestabilnego kraju w brudną bombę, lecz brzuch jego córki rośnie w zastraszającym tempie i za chwilę być może nie wpuszczono by jej do samolotu. Tradycyjny strój przynajmniej maskuje podejrzaną kształty.

– Ależ tu śmierdzi – narzeka Huda, przytykając do nosa wyperfumowaną chusteczkę. – Nie wytrzymam. Zaraz zwymiotuję...

– Nie przesadzaj. – Ojciec się niepokoi, lecz o jego zdenerwowaniu świadczą tylko szybko przerzucane koraliki różańca *tasbih*¹⁵⁰. – W tej części i tak jest lepiej. Już nic więcej nie mogłem zrobić. W czarterach nie ma typowej biznesklasy.

Iranka i jej *mahram* lecą najwygodniej, jak to możliwe, bowiem siedzą zaraz za kokpitem, w kabinie oddzielonej zasłonką od reszty przestrzeni samolotu. Mają do dyspozycji szersze i bardziej komfortowe siedzenia, a razem z nimi jest tu może z piętnaście osób – sama wierchuszka kontraktowiczów, inżynierowie, architekci i menedżerowie oraz jeden młody szyicki duchowny, który jest najważniejszy z całego towarzystwa.

– Czy żaden z nich nie myje nóg? – pyta ciężarna, co chwilę przełykając ślinę. – Czy dezodoranty są *haram*?

– Przestań już! – Ojciec pali ją wzrokiem. – Uspokój się! Myśl lepiej o tym, co cię czeka.

– Właśnie. Może w końcu mi powiesz, co mnie czeka? Jak mam myśleć o czymś, o czym nie mam zielonego pojęcia?

– Co mam ci powiedzieć?

– Tato! *Wallahi!* Przecież ty to organizujesz, ty to wymyśliłeś! Równie dobrze mogłeś mnie wywieźć do Paryża lub Londynu.

– Sądzisz, że to takie proste? To nie są rodzinne wakacje, moja ty rozpuszczona panienko.

– No pewnie... Pewnie... – lekceważąco odpowiada Huda, nie bacząc na gromiący ją wzrok rozczarowanego ojca.

– Po pierwsze, choć nie najważniejsze, skąd niby miałbym wziąć pieniądze na takie długoterminowe fanaberie? Przecież musisz rezydować za granicą co najmniej pół roku. Apartament, ubezpieczenie, wyżywienie – to wszystko kosztuje. I z kim byś tam siedziała? Z matką? Ona nie mówi w żadnym obcym języku i raczej by ci nie pomogła. Musiałbym na każdym kroku dawać horrendalne łapówki, a na to trzeba niewyobrażalnie dużych pieniędzy. Jak miałbym ci załatwić zgodę na wyjazd z naszego cudownego kraju, a potem brytyjską czy francuską wizę pobytową? Na jakiej podstawie? Ani nie mamy tam rodziny, ani nie jedziesz na leczenie czy na studia. Myślałem o stypendium, jednak w środku roku akademickiego trudno kogokolwiek przekonać, że zaczniesz naukę. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale cały czas jesteśmy obserwowani i inwigilowani. Tak to już u nas jest. A im ktoś ma wyższy stołek, tym więcej wilków się koło niego kręci, chcąc go z niego strącić. Najmniejsze podejrzenie skończyłoby się wizytą moich kolegów po fachu u nas w domu i byłabyś ugotowana. Bez wody, za to z dużą ilością kamieni. – Mężczyzna w końcu postanawia potrząsnąć córką, żeby wiedziała, na co naraziła całą swoją rodzinę i z jakiego szamba ją wyciąga.

– Przede wszystkim na Zachodzie nie mógłbyś mnie ograniczać. – Zaszlepią Huda nie wie, na jakim świecie żyje. – Nie mógłbyś mnie uwięzić, tak jak planujesz zrobić w Libii. A może wydajesz mnie za mąż za *mutawwę*? Słyszałam o takiej karze, którą wymyślają perfidni ojcowie dla swoich nieposłusznych, krnąbrnych córek.

– O co ty mnie posądzasz?! – Generałowi robi się straszliwie przykro, gdyż w określonej sytuacji postępuje nad wyraz wyrozumiale i według opinii większości muzułmanów niehonorowo, bo zachowanie twarzy i honoru mógłby uzyskać tylko i wyłącznie przez wydanie córki władzom lub dokonanie na niej zbrodni honorowej, czego sobie nie wyobraża. – Czy ty nic nie rozumiesz? Huda!

Dziecko ty moje! – W jego smutnych czarnych oczach skrzą się łzy, lecz uczucia córki do rodziców wypaliły się i jedyne, co teraz czuje, to głęboka pogarda granicząca z jeszcze głębszą nienawiścią. – Posiedzisz tu góra pół roku.

– Z kim? Gdzie? Jak to będzie? Kim jest mój przyszły mąż? – Dziewczyna wyrzuca z siebie wszystkie wątpliwości, które zalewały jej serce przez ostatnie miesiące i na które nie otrzymała do tej pory żadnego wyjaśnienia. – A jak nie będzie chciał być jedynie fikcyjnym mężem? Przehandlowujesz swoją córkę i jakiś stary, zboczony tryk będzie z nią robił, co zechce i jak często zechce! Dopuszczasz się sutenerstwa, tatku, czy jesteś tylko typowym muzułmańskim bezwzględny ojczulkiem?

Ghasem czerwienieje na te słowa. Gdyby nie obecność obcych ludzi, chyba po raz pierwszy w życiu uderzyłby swoją ukochaną córkę.

Huda, czując, że przesadziła, szybko wstaje i jeszcze dokładniej otuliwszy się tkaninami, rusza w kierunku toalety. Boi się, że w wąskim przejściu nastąpi na brzeg za długiej *abai* i się wywróci lub burka przekrzywi się na jej śliskich włosach i spadnie. Ledwo łapie oddech ze zdenerwowania, a gdy już udaje się jej nabrać powietrza, do jej nozdrzy dociera odór męskich ciał wymieszany z aromatem orientalnych przypraw, bo w samolotowej kuchni właśnie przygotowywane są irańskie potrawy. Dziewczyna czuje, że dłużej nie utrzyma zawartości swoich trzewi, więc przepycha się przez kolejkę, boksując łokciami na prawo i lewo, nie zważając, że ociera się o ciała obcych mężczyzn.

– Proszę, *ja saida*. Niech pani wejdzie bez oczekiwania. – Nagle tuż nad swoją głową słyszy znajomy głos, a gdy unosi wzrok, widzi piękne czarne oczy Farisa. Młodzian robi surową minę, idealnie pasującą do stroju szyckiego mnicha, który ma na sobie. – Proszę przepuścić tę panią! – ogłasza i wszyscy ustępują Hudzie z drogi.

Jestem uratowana albo oboje jesteście zgubieni, podsumowuje ciężarna. *To nie głupi amerykański film, w którym najbliżsi członkowie rodziny się nie poznają, bo ktoś założył kapelusz albo obciął włosy. To życie, w którym mój ojciec jest szefem wywiadu i przy tym niezłym obserwatorem. Nie ma takiej opcji, żeby nie poznał mojego kochanka, którego na dokładkę torturował. Czy ten Faris zgłupiał, czy gubi go pycha?* Nie znajduje żadnej odpowiedzi ani na te, ani na wcześniejsze pytania i wątpliwości. Przez większą część lotu kursuje tylko regularnie pomiędzy swoim fotelem a łazienką. Obrażony ojciec nie odzywa się do niej ani słowem, a Faris obserwuje ich ze swojego miejsca.

Po posiłku cały samolot usypia. Pasażerowie budzą się dopiero na terenie Libii, kiedy wielka maszyna z łomotem kół ląduje na dziurawym pasie i kolebie się w stronę prowizorycznego gmachu lotniska w miejscowości Ras Lanuf.

– Witaj, przyjacielu! – Marszałek wyciąga rękę do irańskiego partnera, nie odrywając jednak wzroku od nieszczęsnej kobiety, która stoi obok przybyłego. – W Libii, zarówno za pułkownika Kaddafiego, jak i obecnie, panie nie mają prawa ubierać się w ten sposób. – Od razu przechodzi do bulwersującej go sprawy, pokazując palcem na zakwefioną. – Taki strój grozi więzieniem lub nawet śmiercią.

– Co? – Sulejmani jest w szoku. – Czyją śmiercią?

– Szczelnie zasłonięte tradycyjnymi szatami kobiety uważa się za fundamentalistki i w najlepszym wypadku bez pardonu aresztuje. Jeśli zaś ktokolwiek podejrzewa, że pod tym materiałem ukrywa się fundamentalista czy terrorysta, to bez pardonu może do takiej osoby oddać strzał na ulicy albo obciąć jej głowę maczetą. Dlatego, moja droga, natychmiast idź do łazienki i ubierz się jak normalna muzułmanka.

– Ale... – Ghasem próbuje oponować. – To *haram*! Przecież to bogobojny strój...

– Sam jesteś *haram*. – Chalifa szturcha wojskowego kolegę w ramię, jakby miał ochotę się z nim pobić.

Irańczyk całkiem baranieje – stoi tylko na rozstawionych nogach z rozdziawioną gębą, patrząc groźnie na Libijczyka.

Tymczasem Huda bez słowa bierze reklamówkę z kolorowymi ubraniami i cała szczęśliwa

i zadowolona, odczytując to jako dobry znak, sama, bez męskiego opiekuna, rusza przez halę przylotów lotniska, by rozpocząć nowe życie. Aktualnie zupełnie się nie przejmując człowiekiem, za którego ma wyjść, choć dalej nie wie, kim on jest. Możliwe, że Faris będzie szybszy. Teraz wszystko – cała jej przyszłość, całe życie – leży w rękach ukochanego szalonego poniekąd mężczyzny, który przyleciał tutaj razem z nią.

Scenkę z dystansu obserwuje młody mułła. Już wie, dokąd się udać i gdzie szukać swojej wybranki. Stwierdza, że nie będzie lekko, bo gorzej Huda nie mogła trafić: spod kurateli irańskiego asa wywiadu przechodzi pod opiekę wojskowego libijskiego trepa. *Czyżby to on miał być jej fikcyjnym mężem?*, zastanawia się kochanek, bo do tej pory nikt, ale to absolutnie nikt nie domyśla się nawet, z czyjej pomocy Ghasem ma zamiar skorzystać i kto ma być fikcyjnym mężem brzemiennie. Pyszałkowatemu Pahlawiemu wydaje się, że jest mądrzejszy i sprytniejszy od starego Ghasema Sulejmani, ale generał nie jest aż taki głupi, za jakiego niektórzy go uważają. Tak jak pozwolił Pahlawiemu uciec z więzienia, tak od razu wyłowił go wzrokiem w samolocie. Przyjazd przedstawiciela rodu Pahlawich do Iranu od razu dał mu do myślenia. Wszystko wskazuje na to, że niedługo jego kraj czeka kolejna rewolta, a dni despotycznego reżimu religijnego są policzone. Jako że zawsze lepsze jest znane zło, nowa władza często jest wybierana spośród tych, których wcześniej obalono. Generał spodziewa się powrotu szacha i jego rodziny, stąd najlepszym zabezpieczeniem na przyszłość będzie dla niego własna córka. Ma nadzieję, że Huda podąży za głosem serca, ucieknie z Libii i wyjdzie za mąż za przyszłego irańskiego władcę, dając mu syna i tym samym gwarantując sobie niezachwianą pozycję. *Tylko co teraz zrobić z Jasemem Alzanim, którego głupio poprosiłem o przysługę?*, zastanawia się gorączkowo Irańczyk. *Ten człowiek był i jest mordercą, sadystą, zbrodniarzem pierwszej wody. Co ja narobiłem...* Pluje sobie w brodę, bo nie przemyślał do końca swoich kroków; był zdesperowany, zagubiony i idiotycznie zaryzykował. Lepsze było cokolwiek niż nic. Nie miał żadnego innego pomysłu, a nad jego córką w Iranie ukamienowanie wisiało jak miecz Damoklesa¹⁵¹. Jasem sam do niego zadzwonił i tak jakoś głupio wyszło. Ojciec sprawdził, że dżihadysta ma aktualnie dwie żony, więc na dobrą sprawę po co mu trzecia, i to jeszcze brzemienna. Dlatego też załatwił swojej córce samodzielne, niezależne lokum. Ponadto zostawił jej wystarczająco dużo pieniędzy. Po tym, jak marszałek zaoferował swoją pomoc, liczy, że Huda w ogóle nie będzie musiała oglądać podłego terrorysty. Po prostu się z nim nie skontaktuje i tyle.

Jednak stąpając po libijskiej ziemi, w nowym otoczeniu, wśród nieznanymi ludzi, stary wojskowy zaczyna się obawiać o bezpieczeństwo dziewczyny. Szczególnie teraz, kiedy ma ona ukazać swoją piękną buzię. Co będzie, jeśli zachłanny dżihadysta się tu pojawi, podpisze kontrakt ślubny, a potem naprawdę zechce ją zatrzymać? Jako mąż będzie miał do tego pełne prawo. Co wtedy?!

– Czy u was rodząca kobieta musi przedstawić w szpitalu dokumenty ślubne, czy jest już tak nowoczesnie jak w kwestii stroju? – pyta zaniepokojony Ghasem, bo na szybko musi odkręcić to, co sam namotał.

– Tak dobrze nie ma, mój przyjacielu – zaprzecza Chalifa ze smutną miną. – Bez papierów lub męża przy boku zaraz po porodzie wezmą ją do poprawczaka.

– Jak to do poprawczaka?

– A u was co? Biorą do więzienia?

– No nie... – Generał nie ma ochoty rozwodzić się nad tym, że w Iranie kobiety rodzące nieślubne dziecko, także te zgwałcone czy nierozsądne brzemiennie singielki uprawiające seks przedmałżeński, nigdzie nie są za karę przetrzymywane. Czasami tylko siedzą parę dni w areszcie. Przeważnie jednak od razu jest na nich wykonywana kara śmierci przez ukamienowanie¹⁵². W takim wypadku wszystko toczy się ekspresowo, nie potrzeba żadnego oświadczenia świadków, gdyż na popełnienie przestępstwa wskazują badanie lekarskie lub noworodek i stan cywilny oskarżonej.

– Poprawczak to taki dom dla pokrzywdzonych kobiet i matek z nieślubnym dzieckiem. – Do rozmowy włącza się żona Chalify, która razem z uśmiechniętą Hudą wchodzi do salonu letniego domku, niosąc wielką misę kuskusu. – Na całym świecie są takie przybytki, ale u nas biedaczki są internowane i nie mają prawa opuszczać miejsca zamieszkania.

– Nie narzekaj – stopuje ją mąż. – Lepiej zapytaj naszego gościa o Iran.
– Trzeba będzie coś wymyślić dla naszej dziewczynki. – Libijka obejmuje Hudę. Zawsze marzyła o córce, a teraz, na starość, ta jakby spadła jej z nieba. Nie przeszkadza jej, że dziewczyna nosi pod sercem nieślubne dziecko. Przecież takie jedno nieprawie jakoś się uchowa przy następnych, których zapewne będzie bez liku, jak to w arabskich domach. – Może nasz najmłodszy synalek, zdolny po tatusiu wojak, w końcu by się ustatkował? – Robi przymilną minkę i spogląda cięłym wzrokiem na męża. – Ismail sroce spod ogona nie wypadł i przystojny z niego chłopak. Coś wymyślimy, kochani. – Poklepuje po plecach swojego męża, a później też obcego Irańczyka, podsuwając im talerze. – Najedzcie się, a dobre myśli same was nawiedzą.

Marszałek Chalifa Haftar kocha swój kraj. Za libijskie rozległe i żyzne ziemie oddałby życie. Brudnej bomby nie chce użyć, lecz zwyczajnie ją posiadać. Dzięki takiemu uzbrojeniu będzie silniejszy, ważniejszy i cały świat ze strachu zacznie się z nim liczyć. Nie pamięta już, jak się skończyły eksperymenty Muammara Kaddafiego, Saddama Husajna czy współczesnego Baszara Asada z bronią niekonwencjonalną. Kaddafiego w latach osiemdziesiątych zbombardowano i ostatecznie zlinczowano, Husajna zabito, a Asad cudem się miga, wypierając się swoich występków. Obaj wojskowi, tak irański, jak i libijski, zdają sobie sprawę, że kroczą po cienkiej czerwonej linii, lecz Chalifa sam odpowiada za swoje czyny, bo jest panem i władcą w Cyrenajce, a Sulejmani tylko reprezentuje swój rząd.

Irańczyk jedzie na oficjalną inspekcję najpierw do miasteczka Ras Lanuf, gdzie na wydzielonym obszarze ma powstać szyickie osiedle. Teren został już przygotowany, nieliczne zachowane budynki wymagają odświeżenia, ale większość kampusu trzeba będzie wybudować od nowa. Wytyczono też miejsca pod szyicke meczety, bowiem to dla muzułmanów jest najważniejsze, choć i najbardziej kontrowersyjne, gdyż odległość świątyń od sunnickich domów modłów musi zostać bezwzględnie zachowana. Obszar jest ciekawy, lokalizacja dobra, a od morza wieje ożywcze powietrze. Nieliczne drzewka, które się tu ostały, łagodzą świeżą zielenią szarość błota i surowych betonów.

Delegaci pod policyjną eskortą na sygnale przejeżdżają wielkimi czarnymi limuzynami do ogromnego zakładu przemysłu petrochemicznego, wytwarzającego paliwa, oleje, smary, asfalty oraz inne surowce z ropy naftowej. Jest to najlepiej strzeżony w tym regionie teren, a zarazem najbardziej strategiczny punkt, o który toczyły się liczne walki zarówno podczas arabskiej wiosny, rewolucji, jak i rywalizacji o władzę w rozdartym kraju. Ostatecznie marszałek zwyciężył i dzięki ropie jego panowanie zdaje się silne i stabilne. Nieliczni libijscy specjaliści oprowadzają Irańczyka po rafinerii, która pracuje na zwolnionych obrotach ze względu na brak obsługi, serwisu i potrzebę modernizacji. Irańczycy będą mieli co robić.

Potem delegacja udaje się do portu, do którego już niedługo zaczną przybijać irańskie statki z częściami zamiennymi do urządzeń nie tylko do obróbki ropy naftowej, ale również dla innych dziedzin przemysłu. Ghasem ogląda żyzne ziemie, biedne zabudowania i obserwuje żyjących tu ludzi. Myśli sobie, że w sumie nie byłoby tak źle, gdyby jego córka mogła osiąść w tym miejscu na stałe. Oczywiście nic nie może się równać z Iranem, jego pięknem, historią i bogactwem, ale tutaj jest całkiem znośnie. Tylko z kim Huda miałaby zostać w Libii? Z Farisem, jej ukochanym? Z Ismailem, sympatycznym synem marszałka? A co będzie, jeśli Jasem ich namierzy i zapyta, o jaką konkretnie przysługę chodziło? Z drugiej strony, czemu miałby się nimi interesować? I skąd miałby wiedzieć, że generał jest na terenie Libii? Co mu do tego?

Przez cały pierwszy dzień Huda z żoną Chalify starają się urządzać wypożyczony przez marszałka dom na potrzeby przyszłej matki. Cieszą się każdą wspólną chwilą spędzoną na kupowaniu kolorowych dekoracji do dziecięcego pokoju. Libijka Fatima jest w to zaangażowana tak, jakby już była teściową Hudy. Póki co od razu stała się jej najlepszą przyjaciółką, starszą i doświadczoną, której rady młoda kobieta chłonie całą sobą.

Mężczyźni wykonują swoje obowiązki, zupełnie zapominając o rodzinnych problemach. Wieczorem, po męczącym i pracowitym dniu, zaplanowano konferencję prasową z udziałem licznych mediów, a później oficjalną kolację, zorganizowaną w najbardziej reprezentacyjnym, tradycyjnym i charyzmatycznym hotelu Tibesti w Bengazi. Generał rozgląda się po wypełnionej po brzegi sali, ale przez rażące go reflektory telewizyjne nie jest w stanie dostrzec żadnej twarzy. Osoby w pierwszym i drugim rzędzie z trudem udaje mu się odróżnić, jednak nikt nie jest mu znajomy. Trwożą go ci, którzy zajmują dalsze rzędy.

– Witaj, mój przyjacielu. – Tuż po konferencji Ghasem Sulejmani staje oko w oko z Jasemem Alzanim, swoim byłym wrogiem, a obecnym kooperantem. Nie rozpoznałby jego twarzy, ale głos jest mu znajomy. – Co cię sprowadza do mojego kraju? – Twarz dżihadysty zalewa ironiczny uśmiešek, oczy zaś krzeszą skry w kierunku marszałka Chalify Haftara, który nie chce się z nim dzielić władzą i coraz bardziej obrasta w piórka na swoich cyrenajskich włościach. – Wpadnę jutro rano do ciebie do Ras Lanufa – oświadcza, dając do zrozumienia, że znów to on jest panem sytuacji, ma tu wszystkich w garści i pociąga za sznurki. – Pozdrów ode mnie swoją piękną córkę. Nie mogę się doczekać spotkania – dorzuca na pożegnanie.

109 *Haram* (arabski) – zakazane, grzeszne.

110 *Ja said* (arabski) – Panie (wołacz).

111 Syndrom sztokholmski – stan psychiczny, który pojawia się u ofiar porwania lub zakładników, polegający na odczuwaniu sympatii i solidarności z porywaczem. Może osiągnąć taki stopień, że osoby więzione pomagają swoim prześladowcom w osiągnięciu ich celów lub w ucieczce przed policją. Syndrom ten jest skutkiem reakcji na silny stres oraz rezultatem próby zdobycia sympatii swoich prześladowców i wywołania u nich współczucia. Często zdarza się, że ofiara dołącza do oprawcy i działa wspólnie z nim.

112 *Madam* (angielski) – pani; jaśnie pani.

113 *Ejna nimszi?* (arabski, dialekt libijski) – Dokąd jedziemy?

114 *Mister* (angielski) – pan.

115 *Hosz* (arabski, dialekt libijski) – dom.

116 *Maam* (angielski) – skrót od madam, pani.

117 *Warakina* (arabski, dialekt) – chlor.

118 *Chobza* (arabski) – chleb, najczęściej w formie paluszków lub bagietki.

119 *Chobza misrija* (arabski) – chleb egipski przypominający pitę, lecz dużo cieńszy.

120 *Burgul* (arabski) – rodzaj kaszy z ziaren pszenicy, najczęściej pszenicy twardej, sporządzony z gotowanych, a następnie wysuszonych ziaren zboża, często używany w kuchni tureckiej i bliskowschodniej.

121 *Leben* (arabski) – kwaśne mleko typu maślanka.

122 *Lebneh* (arabski) – biały tradycyjny twaróg.

123 *Indżlizija* (arabski) – Brytyjka, Angielka; brytyjska, angielska.

124 *Qawija* (arabski) – silna, mocarna.

125 *Fisa* (arabski) – szybko.

126 *Lehdża* (arabski) – dialekt.

127 *By the way* (angielski) – Przy okazji; nawiasem mówiąc.

128 *Briosza/brioszka* – bułka drożdżowa.

129 *Ahlan wa sahlan, ja mar'a džamila* (arabski) – Witaj, piękna kobieto!

130 Berberowie (Berberzy) – rdzenna ludność na terytorium północnej Afryki i na Saharze. Nikt nie jest w stanie dokładnie ustalić, skąd pochodzą; jedni twierdzą, że z Libii, inni obstawiają południową Saharę. Zagadka pozostaje nierozwiązana. Stanowią w większości odrębny typ w ramach rasy białej, nazywani w nauce berberyjskim. Wielu do dziś ma niebieskie oczy i rude bądź jasne włosy. Berberowie z gór Tibesti w Libii mają czarne, proste lub lekko pofalowane włosy i ciemne oczy. Nazwa *Berber* pochodzi od łacińskiego *barbarus* – barbarzyńca. Arabowie nie zdawali sobie sprawy z jego pogardliwego znaczenia i uważali słowo *barbar* za imię praojca tego ludu. Sami siebie

Berberowie nazywają *Amazigh* – ludzie wolni.

131 *Lehdża libija* (arabski) – dialekt libijski.

132 *Fusha* (arabski) – klasyczny język arabski, używany przez ludzi wykształconych, język literatury i mediów (w odróżnieniu od *lehdża* – języka potocznego).

133 *Żida* (arabski) – babcia.

134 *Miskina* (arabski) – biedna, biedaczka, nieszczęsna, nieszczęśliwa.

135 *Marhaba* (arabski) – Cześć.

136 *Szukran džazilan* (arabski) – Bardzo dziękuję.

137 *Alhamdu Lillah* (arabski) – Chwała Bogu; Dzięki Bogu.

138 *Ainzara* (arabski) – Modre oczko.

139 *Terra incognita* (łacina) – ziemia nieznana.

140 Mohamed ibn Mohamed Zintani oznacza Mohamed syn Mohameda Zintaniego.

141 Kumety (slang) – dyrdymały, bzdury.

142 *Chamsa* (arabski) – dosłownie znaczy „pięć”, ale przenieśnionie oznacza też „ręka Fatimy”. To symbol dłoni używany w krajach arabskich w amuletach, mający chronić przed „złym okiem”. Nazwa „ręka Fatimy” nawiązuje do córki proroka Muhammada.

143 *Baba* (arabski) – tata, tatuś, papa. *Ja baba* (wołacz) – tato, papo.

144 Koran, Sura IV, wers 34, tłum. J. Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

145 Postać fikcyjna – autentyczny premier to Ali Zajdan.

146 *Bakszysz* (arabski) – łapówka.

147 *Muła* (perski) – w szyizmie: nauczyciel, interpretator praw religijnych i doktryn islamu.

148 *Burka* (arabski) – rodzaj nieprzezroczystego przykrycia głowy, noszonego dodatkowo oprócz chusty przez muzułmanki przestrzegające *pardah*. Podobnie jak *nikab* burka zasłania całą głowę oprócz małego obszaru wokół oczu.

149 *Purdah* (perski) – dosł. zasłona, ekran. Praktyka obejmująca zasłanianie kobiecego ciała odpowiednim strojem, zakrywającym ją od stóp do czubka głowy, a także wznoszenie wysokich ścian wokół domu, aby chronić ją przed spojrzzeniami nieupoważnionych do tego osób. Zwyczaj ten występuje głównie u muzułmanów, powstał prawdopodobnie w starożytnej Persji, a następnie rozpowszechnił się na Bliskim Wschodzie. Po podbojach Arabów *pardah* został przez nich przejęty i dostosowany do religii islamskiej jako jej element.

150 *Tasbih* (arabski) – muzułmański różaniec z 33 koralikami, niejednokrotnie wykonany z kamieni półszlachetnych lub szlachetnych.

151 Miecz Damoklesa – przenieśnionie: wyrok losu, niebezpieczeństwo, zagrożenie nieubłagane wiszące nad człowiekiem. Określenie wywodzi się od losu, jaki spotkał Damoklesa, dworzanina tyrana Syrakuz – Dionizjosa Starszego.

152 Obecnie ukamienowanie jako kara za popełnione przestępstwo jest dopuszczalne w krajach muzułmańskich, takich jak Iran, Somalia, Nigeria, Arabia Saudyjska, Sudan i Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Miecz Islamu

Daria, będąca świadkiem małżeńskiej scysji, opuszcza kolonialną rezydencję Dżamili, obiecując sobie, że jej noga więcej tam nie postanie. Żal jej tylko kobiety. *Wdepnęła w takie samo gówno jak ja lata temu. Zakochała się, biedaczka, w dżihadyście, myśląc, że ma do czynienia z normalnym człowiekiem.* Teraz przed Dżamilą jest gehenna odkrywania prawdziwego oblicza Jasema, którego jedynie część ujawnił podczas ostatniej kłótni. Daria nie chce jeszcze bardziej komplikować życia nieszczęśnicy, dlatego postanawia jak najrzadziej ją widywać. Gospodyni jest jej za to wdzięczna, bo okrutnie wstydzi się awantury, której świadkiem była pierwsza żona. Samą kłótnię tłumaczy sobie temperamentem męża, który ujawnił się tak nagle i niespodziewanie, oraz jego niechęcią do Darii. Kobieta liczy na to, że kiedy tamta zniknie z ich życia, chociażby zaszyje się w odludnej willi, wszystko wróci do normy i będzie mogła spokojnie realizować swój plan.

Pół-Polka znów żyje samotnie, bez niczyjego wsparcia. Dopiero teraz dotkliwie odczuwa brak Eve. Kobiety z miasta, Muna czy Hajat, mają swoje obowiązki i nie mogą poświęcać jej za dużo czasu. Natomiast babcia Blanka jest typową samotniczką i na dłuższą metę towarzystwo kogokolwiek, nawet ulubienicy, bardzo jej ciąży. Marzy o tym, chciałaby, ale już nie umie się dzielić swoim czasem, a osoba bląkająca się po jej domu i wymagająca czegoś od niej, nawet jedynie rozmowy, niewyobrażalnie jej wadzi.

W końcu Daria z pomocą robotników i majstra Mohameda przenosi się do swojej nowej willi – wielkiej i wspaniałej, ale pustej. Ma tam tyle przestrzeni, że mogłaby z Ahmedem gonić się po przestronnych pokojach i grać w berka. Jednak hula po nich jedynie echo i wiatr.

Pewnego wieczoru, gdy siada w półmroku ogrodu na swoim obszernym tarasie, wyłożonym beżowymi płytkami i obrośniętym młodymi pnączami bugenwilli, wyławia uchem ciepły, miły głos:

– Co za cudny aromat! *Wallahi!* – Ani razu nie słyszała tutaj takiego spokojnego tonu ani czystej arabskiej wymowy w *fusha*.

– *Ahlan wa sahlan.* – Daria wychyla się zza winkla.

Na szutrowej ścieżce stoi mężczyzna ubrany na europejską modłę, zupełnie niepasujący do wiejskiego otoczenia.

– Czy ktoś zechce wesprzeć człowieka na nikotynowym głodzie?

Przystojny Arab o gładko ogolonej głowie i w modnych okularach optycznych z figlarną miną i uroczym uśmiechem, ukazującym równe białe zęby, ma na sobie materiałowe ciemne spodnie od garnituru i koszulę z kołnierzykiem, co też jest niezwykle w tym regionie.

– Zapraszam. – Darii ten sympatyczny człowiek wydaje się znajomy, ale przecież ostatnimi czasy żadnego takiego eleganta nie poznała. Nie może jednak się oprzeć wrażeniu... – Czy my się znamy? – pyta wreszcie wprost.

– Sajf al-Islam – przedstawia się mężczyzna, wyciągając miękko, wypielęgnowaną dłoń, której nigdy nie zniszczyła żadna praca. – A ty jak masz na imię, piękna pani?

– Darin Arabi – strzela głupio Daria, bo sama już nie wie, pod jakim nazwiskiem ma występować i kiedy lepiej być Arabi, a kiedy Salimi.

– Och! Czyżbyś była spokrewniona z Muhamadem?

– Z którym Muhamadem? – żartuje kobieta, odkrywając jednocześnie, że jej mąż znów robi się sławny.

– Tak, rzeczywiście. Muhamadów u nas jak psów! – Sajf al-Islam śmieje się ze swojego dowcipu, za który niejednen ortodoks oskarżyłby go o bluźnierstwo lub przynajmniej potwarz proroka i w najlepszym wypadku obić. – Mam na myśli Muhamada Arabiego, męża Dżamili Muntasir, dziewczyny z najlepszej libijskiej rodziny polityków i dyplomatów.

– Tak się składa, że to jego druga żona. Ja jestem tą pierwszą, choć nie ma się za bardzo czym chwalić – kpi pokrzywdzona, odsunięta na dalszy tor kobieta.

Sajf od razu wykonuje krok w tył.

– Przepraszam panią. – Pochyla głowę przed mężatką i ma ochotę zrejterować jak typowy Arab, honorowy i dobrze wychowany, absolutnie unikający kontaktu tête-à-tête¹⁵³ z zamężną kobietą.

– Nie wydurniaj się! Mój związek z Muhamadem istnieje tylko pro forma. Na papierze, którym już dawno temu ktoś sobie dupę podtarł – szybko tłumaczy Daria, bo nie chce stracić takiego interesującego męskiego towarzystwa. – Facet liczył, że dam nogę przed przyjazdem tutaj, ale nie dałam i trzymam się go jak rzep psiego ogona. Mamy syna i tylko on nas łączy. Koniec kropka. Ja mogę odejść, kiedy tylko zechcę, ale nie za bardzo mam dokąd, zresztą bez dziecka się nie ruszę – wyznaje okrojona prawdę, bo faktów o fundamentalistycznej przeszłości Jasema nie ma co ujawniać. – Siadaj i pal do woli. Sama wpadłam tu w nałóg, bo fajki w Libii są tanie jak barszcz. I świetnie służą na samotność – pokpiwa, życzliwie patrząc na swojego nieoczekiwanego gościa.

– Nie wnिकam, jak to tam między wami jest, ale dziękuję za zaproszenie. – Przystojniak jest mocno speszony, jednak siada na krześle, bierze z ręki gospodyni czerwone marlboro, zapala i zaciąga się głęboko. Widać, że jest nałogowym palaczem, a uzależnienie od nikotyny wygrywa w nim z arabską przyzwoitością. – Jestem z Kaddafich, pewnie dlatego wydałem ci się znajomy – podejmuje. – Moja buźka swego czasu często pojawiała się w mediach. Aktualnie ukrywam się tutaj, właśnie u Dżamili Muntasir, mojej znajomej.

– Tak! – woła Daria, bo teraz już wszystko sobie przypomina. – Słyszałam, że masz przyjechać.

– No i jestem.

– Syn Muammara Kaddafiego! Ale numer! – Gospodyni wpada w euforię jak wszystkie kobiety na widok pułkownika lub nawet na sam dźwięk jego nazwiska.

– Zgadza się.

– Nie wierzyłam Musie Kusie, kiedy twierdził, że nadal żyjesz. Myślałam, że ciebie też zabili, bo po rewolucji nagłaśniano, że niezadowolony lud Dżamahirijji wymordował wszystkich synów libijskiego wodza. – Daria bezwzględnie podsumowuje nieszczęsny los rodziny. – Oj... Przepraszam! – Poniewczasie orientuje się, że popełniła nietakt, i obiema dłońmi zakrywa usta.

– Spokojnie, przywykłem do takich gadek. Ludzie są okrutni.

– Masz rację. Na takim świecie przyszło nam żyć... – Daria pluje sobie w brodę, przewidując, że mężczyzna jak nic się na nią obrazi, a wtedy znów zostanie sama jak palec. – Przypominam sobie, że jakieś plemię cię złapało i przetrzymywało długie lata – podejmuje po dłuższej chwili milczenia. – A potem zapadła o tobie cisza, jakby ktoś opuścił zasłonę.

– Zgadza się. Społeczność klanu Zintani twierdziła, że mnie nie więzi, ale chroni. Swoją drogą, jest w tym trochę prawdy, bo sąd w Trypolisie wydał na mnie wyrok śmierci *in absentia* i gdyby nie porywacze, pewnie już bym wisiał – stwierdza Sajf tak spokojnie, jakby ta sprawa w ogóle go nie dotyczyła. – Taka już jest ta nasza Libia. Porębana! – Chichocze, choć smutek wyziera z jego dużych, czarnych jak węgle oczu.

– Ja też mam libijskie korzenie. – Daria w rewanżu chce opowiedzieć coś o sobie, bo marzy się jej, żeby przybysz przebaczył jej wcześniejszą gafę i jeszcze z nią posiedział. – Mój ojciec pochodził z niezłej libijskiej rodziny, choć nie tak dobrej jak familia twoja czy Dżamili.

– Tak? Z jakiej? – Głos rozmówcy nadal jest serdeczny, choć wzrok nieobecny, bo wspomnienia tragicznej przeszłości wróciły do niego jak czarne mary. Chcąc nie chcąc, jest teraz myślami ze swoim zabitym ojcem oraz braćmi, szczególnie z ukochanym brachem al-Mutassim, którego ziemską powłoka została zbezczeszczona przez rozwyrzony, zagrzewany do najgorszej zbrodni i okrucieństwa tłum.

– Ród Salimi nie był zbyt potężny, ale swego czasu sporo znaczył. – Daria wrywa go z ponurego zamyślenia.

– Malika Salimi to twoja krewna? – Libijczyk ożywia się i spoziera na rozmówczynię pełnym zainteresowania wzrokiem. – Słyszałem od domowników, że mieszka tu Darin Salimi...

– To właśnie ja, tylko tak głupio się przedstawiłam. Malika to moja ciotka.

– Ciekawe.

– Nie pamiętam jej za dobrze, bo wyjechałam stąd, będąc dzieckiem, ale sporo o niej słyszałam od matki i siostry, która się u niej wychowała. Malika pracowała w dyplomacji. Miała coś wspólnego z rodem Kaddafich, nieprawdaż? – Daria delikatnie indaguje, uśmiechając się przy tym niepewnie, ale boi się powiedzieć coś więcej, bo przecież to syn ciotki zabił ojca jej rozmówcy. *Każdy temat jest drażliwy. Niech to licho weźmie!*, przeklina w duchu.

– Malika miała duży wpływ nie tylko na rządy, ale przede wszystkim na rządzącego naszym krajem. – Libijczykowi znów miękną rysy. – Gdyby tylko za młodu zechciała się związać z moim ojcem, to losy moje, moich braci i siostry oraz całej rodziny potoczyłyby się zupełnie inaczej.

– Ten romans na najwyższym szczeblu to coś niesamowitego! – Daria nie kryje ekscytacji. – Jak z harlequinów lub jakiejś bajki! Długie lata nie chciało mi się wierzyć, że w kraju arabskim coś takiego w ogóle jest możliwe. Sądziłam, że taki flirt może mieć miejsce tylko w romansidłach, a nie w realnym życiu.

– Bzdura! Właśnie w krajach arabskich, gdzie wszyscy jesteśmy wychowani na *Baśniach tysiąca i jednej nocy*, romantycznych kasydach¹⁵⁴ i miłosnych piosenkach, czujemy wieczną tęsknotę za miłością. Dlatego zdarzają się nam takie damsko-męskie przygody. Na skomercjalizowanym Zachodzie ludzie wolą obejrzeć film, niż komplikować sobie życie.

– Twój ojciec nie był zbyt romantyczny. Ponoć zaliczał wszystkie kobitki, jak się tylko dało, a jak się nie dało, to brał siłą. – Daria znowu wali prosto z mostu. – Przepraszam, ale gdzieś to wyczytałam... – W duchu przeklina swoją głupotę i bezczelność, ale sama przed sobą usprawiedliwia się tym, że od miesięcy przestaje przeważnie z prymitywnymi, prostymi ludźmi.

– Mój staruszek nikogo nie musiał brać na siłę – mówi niezrażony Sajf al-Islam. – Kobiety pchały mu się do łóżka jak pszczoły do miodu. Każda jedna sikała za nim po nogach – stwierdza kolokwialnie. – Nawet żony ambasadorów czy premierów szalały na jego punkcie. Taka pani Sarkozy na przykład... – Ścisza głos do szeptu i zabawnie wybałusza oczy, robiąc niby zgorzowaną minę, a Darii aż buzia otwiera się ze zdziwienia. – Miał taki poziom testosteronu, że musiał się dosłownie oganiać od spódniczek. Działał na płeć piękną jak magnes. – Piękne czarne oczy mężczyzny rozświetlają figlarne iskierki.

Ty też masz to coś w sobie, stwierdza Daria, czując, że ogień zalewa jej podbrzusze.

– I moja ciotka Malika odmówiła wyjścia za męża za takiego faceta? Nie chce mi się wierzyć!

– Ta kobieta też była gejzerem seksualności. Niektórzy z naszego otoczenia twierdzili jednak, że miała więcej testosteronu niż estrogenu, gdyż była twardą babą z jajami. Cenię sobie, że chciała być samodzielną, niezależną, wyemancypowaną, jednak jej synowi nie wyszło to na zdrowie.

– Zgadza się. Miała nieślubne dziecko z Muammarem... – Daria nagle milknie, bo jak nic ich rozmowa zmierza do reminiscencji potwornej katastrofy, która połączyła ich rodziny na wieki.

– Tragiczne te nasze losy. – Nastrój diametralnie się zmienia i teraz Sajf al-Islam kiwa głową z hiobową miną. – Kiedyś Muaida za ten czyn potępiałem, nienawidziłem jak nikogo w życiu. Teraz jednak, będąc bogatszy o nabytą później wiedzę, jak naród postąpił ze swoim uwielbianym przywódcą, z moimi braćmi czy ze mną, Bogu dziękuję, że mój przyrodni brat zabił swojego biologicznego ojca po cichu, sam na sam, u niego w domu, bo koszary były dla pułkownika domem. Cieszę się, że nie doszło do tragicznego linczu na moim tacie. – Mężczyzna używa familiarnej formy, co tylko podkreśla dramatyzm jego słów. – Wiesz, że tłum publicznie zlinczował jego nieszczęsnego sobowtóra?

– Tak. – Daria kiwa głową. – Nie chciało mi się w to wierzyć, ale to, co mówisz, potwierdza wersję mojej mamy i siostry.

– To bardzo egoistyczne podejście, ale co zrobić. Film z krwawego samosądu pułkownika Muammara Kaddafiego jeszcze długo będzie krążyć w sieci, a chorzy psychicznie ludzie będą się nim niezdrowo ekscytować, patrząc w przerażoną twarz umierającego wielkiego przywódcy ogromnego roponośnego kraju. Jednak, *szaj'a Allah*, nie jest to prawdziwa twarz mojego ojca.

– W naszym życiu tragedia goni tragedię. Jak w jakiejś okrutnej antycznej sztuce. Straszne! – Wrażliwej w głębi serca Darii łzy płyną po policzkach, lecz gdy Sajf delikatnie, kojąco gładzi ją po plecach, zaraz robi jej się ciepło na duszy i opanowuje przygnębienie.

– Nie można tak podchodzić do własnego przeznaczenia – przekonuje mężczyzna. – Popatrz na mnie. Nadal żyję, mam się dobrze, a już lata temu goniły mnie wyroki śmierci wydane przez szalonych, niewdzięcznych ludzi, moich rodaków. Cóż, cieszymy się tym, co mamy. *Carpe diem!*¹⁵⁵ – Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Z naszej rozmowy wnioskuję, że jesteśmy sobie dość bliscy, nieprawdaż? – pyta cicho kobieta, licząc, że szybko nie straci towarzystwa tego mądrego i przede wszystkim uczuciowego mężczyzny. Na samym początku znajomości przebrnęli przez najbardziej dramatyczne wspólne wspomnienia i nadal mają ochotę ze sobą pogadać lub po prostu pomilczeć. – Moglibyśmy być nawet kuzynostwem.

– Bogu dzięki nie jesteśmy spokrewnieni – oznajmia Sajf, na co młode serce Darii trzepocze radośnie. – Bliskość dusz, wspólne wspomnienia i znajomość tych samych osób wystarczająco zbliżają.

Darin Salimi i Sajf al-Islam siedzą jeszcze długo w noc, a opowieściom nie ma końca. To śmieją się, to płaczą, bo tak jedno, jak i drugie ma wrażliwą duszę, jednak długie lata musieli tłumić swoje uczucia i ukrywać je nawet przed najbliższym otoczeniem.

Począwszy od tego wieczoru, Daria myśli tylko o tym, jak rozwieść się ze swoim mężem, żeby nie doprowadzić go do furii i nie stracić dziecka. Zna Jasema dość dobrze i wie, że to pies ogrodnika. Nie kocha jej, ale nie będzie chciał zwolnić z przysięgi i oddać wolności. Jedyna nadzieja w Dżamili, która pragnie, żeby Daria usunęła się z ich życia. Tylko ona może złagodzić reakcję ich wspólnego męża.

Pół-Polka znów ma nadzieję, że nie jest do końca przegrana. Zaczyna wierzyć, że czeka ją w życiu jeszcze odrobina szczęścia.

Dzień po dniu Daria i Sajf al-Islam stają się sobie coraz bliżsi. Spędzają razem dużo czasu, bo Sajf, o dziwo, nie promuje swojej osoby na prezydenta Libii osobiście, gdyż jego partia boi się antagonistów i zamachowców. Co by to było, gdyby zabito ostatniego syna Kaddafiego? Co by się stało, gdyby zgładzono następcę charyzmatycznego wodza? Kraj prawdopodobnie już nigdy nie stanąłby na nogi. Przez długie, wyniszczające lata panowałyby bezkrólowie, takie jak teraz. Partia narodowego pojednania pod egidą Kaddafiego wzrasta w siłę, bo coraz więcej Libijczyków chce powrotu dawnego reżimu. Pod wpływem nieszczęść, które spotkały kraj i ludzi w nim żyjących, większość zapomina o krzywdach wyrządzonych narodowi przez rodzinę Kaddafich, a wszyscy zaczynają wspominać to, co było dobre. A było tego dużo. Kiedy ugrupowanie zdobędzie zdecydowaną większość głosów i poparcie całego narodu, na arenę polityczną osobiście ma wkroczyć Sajf al-Islam.

– Sajf, czy sądzisz, że dobrze się dzieje? – indaguje Daria, z którą młody Kaddafi codziennie zjada śniadanie. Zdarza się, że u niej nocuje albo przychodzi z małego gościnnego domku, który uprzednio zajmowała. – Tak się nie prowadzi kampanii wyborczej. Bez człowieka, który jest liderem, główną gwiazdą spektaklu.

– Mnie też wydaje się to trochę dziwne, ale Musa Kusa ręczy i zapewnia, że wszystko jest dobrze, a ja mu wierzę. – Mężczyzna nie spodziewa się intryg ze strony ludzi, którzy po sześciu latach wyciągnęli go z niewoli plemienia Zintani i obiecują mu fotel prezydenta. – Mamy za to więcej czasu na zwiedzanie. – Patrzy wymownie na swoją towarzyszkę, a ta spieka raka.

Długo się nie zastanawiając, Daria postanawia wykorzystać może ostatnią w swoim życiu szansę. Szansę na miłość. Swojemu kierowcy, dostawcy i ochroniarzowi w jednym, który po śmierci Eve stał się jej jedyną wyręką, każe się wozić to nad jezioro, to do marketu w centrum, na taras widokowy lub objazdówkę po starożytnych zabytkach. Wszystko to oczywiście w towarzystwie cudem uwolnionego prominentnego Libijczyka. Jednak ciągle obecność szofera, choć ten jest już niemal ślepy, nie jest dla pary komfortowa. Problem stanowi też brak opiekunki dla Ahmeda, bo dziecko, choć bardzo grzeczne i usłuchane, cały dzień asystuje mamusi we wszystkich czynnościach, a i w nocy

czasem wparuje do sypialni, która jest jedynym intymnym schronieniem kochanków.

Do zbliżenia kobiety i mężczyzny dochodzi bardzo szybko, gdyż oboje czują ogromny głód seksu i tęsknią za intymną bliskością. Sajf przez sześć długich lat internowania śnił o spódnicy, ale w najśmielszych marzeniach nie spodziewał się, że od razu po uwolnieniu trafi na piękną, delikatną i tak bliską jego sercu kobietę. Daria nigdy wcześniej nie zdradziła Jasema, nawet kiedy miała pełną swobodę i buszowała po lokalach w Katarze i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Mąż zaś poza kalifatem nie wyrażał szczególnego zainteresowania jej osobą. Podczas ich ostatniego zbliżenia – w samolocie lecącym do Libii – Daria czuła się jak zgwałcona dziwka, która oddaje swoje wdzięki za prolongatę wyroku śmierci, ten wszak zawisł nad nią już w momencie, gdy poznała zabójczo niebezpiecznego Jasema Alzaniego vel *dżihadi* Johna.

Aktualnie kobieta jest szczęśliwa jak nigdy dotąd, bo wierzy całym sercem, że w końcu znalazła prawdziwą miłość i normalnego mężczyznę, który odwzajemnia jej uczucie. Nie interesuje jej niezbyt chlubna przeszłość młodego Kaddafiego, jego dawne romanse i nałogi oraz dewiacje, o których było głośno w plotkarskim światku. Teraz to wszystko poszło w niepamięć, a Sajf zachowuje się jak zwykły zakochany, romantyczny i delikatny facet.

Jednak gdy Dżamila dowiaduje się o ich romansie, od razu postanawia go ukrócić. „Nie w moim domu! Nie z tym facetem!”, powtarza w kółko. Niestety, nie może złapać koleżanki samej, bo ta ciągle jest w obstawie swojego kochanka.

– Ty głupia torbo! – klnie, kiedy Daria po raz kolejny odrzuca połączenie.

W końcu decyduje się śledzić zakochanych, kiedy ci, podrzuciwszy dziecko babci Blance i zabrawszy jej dwukółkę, samotnie udają się w dzikie górskie rewiry. Oczywiście jadą nad romantyczne jezioro Ainzara, które o tej porze roku jest ukryte w buszu zielonych roślin, ożywających po ulewnych jesiennych deszczach i rozkwitających pod wpływem całkiem mocnego zimowego słońca. Libijka, stojąc za naturalnym żywopłotem z kwitnącego kaktusa, obserwuje nieostrożnych kochanków i stwierdza, że sama nigdy nie przeżyła czegoś równie poetyckiego, lirycznego i sentymentalnego. Odpowiedzialnością za to obarcza oczywiście osobę, która skrzywdziła ją najbardziej w życiu – tatusia szczęśliwca, który przeżywa chwile uniesień w objęciach Darii. Wszystkiemu winien jest Muammar Kaddafi, który wyłowił nastoletnią Dżamilę z tłumu ładnych i ambitnych góralek i zbałamucił.

– Darin, ty cholero! – Kobieta łapie koleżankę za rękę, kiedy ta odchodzi na stronę za potrzebą, podczas gdy jej kochanek, dla odświeżenia i nabrania sił, pławi się w turkusowym jeziorze. – Nie uciekniesz przede mną – zjadliwie szepcze.

– Nigdzie nie uciekam. Po prostu nie chcę, żebyś znów miała przeze mnie nieprzyjemności.

– Co ty pieprzysz?! Co ty wygadujesz, kobieto?!

– Jak to co? Muhamad wściekł się na ciebie, żeś mnie przygarnęła.

– To jest mały pikuś! – W niespodziewanie silnym uścisku miażdży rękę nierozsądnie zakochanej. – Zapomniałaś o poważniejszym fakcie.

– O co chodzi?

– Zapomniałaś, że jesteś arabską żoną? Pierwszą żoną!

– Ale mój ślubny już dawno mnie nie chce. Pragnie jedynie, żebym wypieprzała z jego... z waszego życia. Jak tylko wróci, poproszę go o rozwód. Zresztą chciałam cię błagać o wsparcie.

– Czy ty sądzisz, że ten skurwysyn się z tobą rozwiedzie? – pyta Dżamila, a Daria robi wielkie oczy na takie słowa w ustach, wydawało się jej, zakochanej kobiety. – Jakby on chciał, to oczywiście, ale nie kiedy ty będziesz o to żebrać. Nigdy! Przenigdy! – wykrzykuje, po czym puka Darię w czoło, żeby ta zaczęła choć trochę myśleć. – Masz tam coś czy pusto? – pyta opryskliwie.

– A niby czemu ma się nie rozwieść? Jak nie dasz mu spokoju? Jak będziesz naciskać?

– Ostatnio sama widziałaś, jak mnie traktuje, więc domyślasz się chyba, że nie wróży to nic dobrego. Nasz mąż – podkreśla te słowa, modulując głos – mocno stanął na własnych nogach. I to na moim terenie! Kurwa mać! – drze się Libijka, ale zaraz gryzie się w język i wyciera usta po niegodnym Arabki przekleństwie. – Wujaszek Musa Kusa trochę się przeliczył, zapraszając szubrawca do nas.

– Więc ty wiesz...? – Daria jest w szoku, a Dżamila w jeszcze większym, że jej koleżanka uważa ją za taką idiotkę.

– Nie bądź śmieszna! Pracowałam w rządzie i różne przewalki widziałam na własne oczy. Pomysł Musy był szalony. Teraz o tym wiem, choć na początku wydawał mi się odważny i prekursorski.

– Dziadunio Musa uważa, że nie masz zielonego pojęcia, z kim sypiasz!

– Postarzał się. Zgłupiał. – Dżamila smutnieje, bo pamięta perfidnego, wyrachowanego mężczyznę, przed którym drżeli Libijczycy i inne nacje. – Wpuścił cholerną żmiją do naszego gniazda. *Madžnun!*156 – Patriotka prawie rwie włosy z głowy.

– Nawet jeśli Jasem – Daria używa już prawdziwego imienia terrorysty – ma tu popleczników i zebrał wokół siebie dżihadystów, to nadal będzie potrzebował zaprzyjaźnionej wierchuszki władzy, do której będzie mógł się przykleić i wykorzystać do swoich celów. – Daria zapomina o kochanku i usiłuje przewidzieć działania mężczyzny, który od lat ją prześladuje i zmarnował jej życie, a tak wielu je odebrał.

– Aktualnie prowadzi kampanię wyborczą o najwyższy stołek, ale nie dla Sajfa al-Islama, tylko dla siebie.

– Jak to? Co?! – Nie może uwierzyć własnym uszom. – Niemożliwe! Nigdy aż tak wysoko nie mierzył.

– Apetyt rośnie w miarę jedzenia – stwierdza sarkastycznie Libijka. – Kiedy trafił na łatwowiernych debili, którzy ułatwiają mu zadanie, i na rozbity kraj, który przyjmie każdego, kto ma gadane i obieca wszystko, czego będą chcieli jego obywatele, to czemu nie?

– Dalej nie może mi się to w głowie pomieścić. Jak mogliście do tego dopuścić?!

– Mohamed Zintani dopiero niedawno dał mi cynk. – Dżamila systematycznie kontaktuje się z pogardzanym przez siebie wujem. – W górach na ten moment nasz małżonek wybory miałby wygrane.

– Niewiarygodne! Tylu tu macie kryptofundamentalistów i dżihadystów?

– Nie. On jednoczy wokół siebie zwykłych ludzi, czego też nikt nie brał pod uwagę. Wyobrażasz ty sobie?

– Oto cały Jasem. Pieprzony kameleon! Diabeł w skórze baranka. Zmienił wasz plan i zrujnował całą strategię. A ja ostrzegałam! – Daria wspomina swoją rozmowę z byłym asem wywiadu jeszcze sprzed paru dosłownie miesięcy. – Jak najszybciej poinformuj o zajęciach Musę Kusę! Coś z tym fantem trzeba zrobić! – Przerażenie zalewa jej serce. Wstaje i patrzy przez zasłonę z roślinności na beztróskiego mężczyznę, który pluska się w jeziorcu. – Czy on o tym wie? – Pokazuje na niego palcem, na co Dżamila tylko cyka językiem o podniebienie. – I co dalej? Co będzie? – Jest totalnie zagubiona i nie ma żadnego pomysłu na rozwiązanie beznadziejnej, śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji.

– Nie możesz dać Jasemowi pretekstu. – Libijka chwyta rozmówczynię za ramiona i mocno nią potrząsa. – Błagam!

– Jakiego pretekstu? Żeby nas wszystkich wymordował czy tylko jego skrócił o głowę? – kpiąc przez łzy, z żalością obserwuje swojego kochanka.

– Nie rób sobie jaj, proszę. – Libijka nie rozumie, jak Daria może w takiej chwili żartować. – My jesteśmy nic niewartymi pionkami. Wszystko się rozchodzi o Kaddafiego i pokładaną w nim nadzieję.

– Tak, wiem. Staram się przetrwać, lekceważąc zagrożenia, bo dzięki Jasemowi miałam ich przez ostatnie lata pod dostatkiem.

– Teraz musisz sobie dać na wstrzymanie z romansowaniem. Niestety. Kiedy Jasem dowie się o waszym flircie, będzie miał idealną wymówkę, żeby sprzątnąć swojego rywala. A według szariatu będzie miał do tego pełne prawo. Wszyscy będą mówili o zdradzie małżeńskiej i z poklaskiem zaakceptują honorową zbrodnię. Nikt nie pomyśli, że facet usuwa konkurenta nie do łóżka żony, lecz do fotela prezydenta. Arabscy faceci oczywiście dostaną amoku, nagłaśniając cudzołóstwo

i niewierność, a nie zdradę stanu. Coś takiego ich mniej rusza. Na dokładkę zrobi to u mnie w domu. – Na twarzy góralki maluje się jeszcze większe oburzenie. – W domu Muntasirów! – podnosi głos. – Hańba!

– Pomyśl lepiej, kogo zabije. – Darii bardziej zależy na osobie niż na miejscu dokonania zbrodni.

– Wiem, wiem... Ale *malesz!*¹⁵⁷ – Dżamila lekceważąco macha ręką. – Moje rodzinne gniazdo zostanie zbrukane.

– Czy ty nigdy nic do nikogo nie czułaś? Żadnych głębszych ludzkich uczuć? – Wrażliwa kobieta nie może uwierzyć w taką znieczulicę. – Myślałam, że młody Kaddafi jest twoim faworytem. Lubisz go, cenisz, podziwiasz...

– Młody faworytem, a stary był wyjadaczem – mówi nieoczekiwanie Dżamila, a na jej twarzy maluje się niesmak. – Kiedyś czułam, kochałam i wierzyłam ludziom, w tym facetom. Ale wszystko, co najcenniejsze, zabrał mi taki jeden stary drań. Bezkarany szubrawiec, który dopuścił się na mnie strasznego czynu. Od tamtej chwili moje serce pokryło się lodem.

– To było wieki temu i już dawno uległo przedawnieniu. – Daria pokrzepiająco gładzi nieszczęśniczkę po ramieniu, myśląc o tym, jaką tragedią musiało być jej życie, skoro przez długie lata pracowała dla człowieka, który w młodości ją zniewolił. – A do Jasema serce ci nie zadrżało? Kochałaś go przecież. Mnie nie oszukasz. Widziałam to w twoich oczach. – Dżamila robi niepewną minę, co oznacza, że Daria trafiła w dziesiątkę. – Co zrobiłaś, gdy się dowiedziałaś, że jest dżihadystą?

– Wiedziałam od początku, moja ty naiwna, uczuciowa gąsko. – Libijka naprawdę polubiła swoją byłą rywalkę. – Jego konwersja na islam była grubymi nićmi szyta. Ja też mam dobrych znajomych w niejednym *secret service*, a wujaszek Musa stał się dziaduniem Kusą i teraz już dokładnie widzę, że nie ma co na niego liczyć. Nie można na nim polegać.

– Wiedziałaś, że Muhamad Arabi jest terrorystą, i wpuściłaś go do swojego łóżka? Do swojego domu? Do swojej ojczyzny? – Daria nie może się nadziwić.

– W łóżku mnie to podniecało, w domu prawie go nie było, ale tego, że mój plan odrodzenia Libii weźmie przez niego w łeb, sobie nie podaruję.

– Bzdury opowiadasz! Zakochałaś się w nim i to najbardziej cię boli.

Dżamila nie zaprzecza ani nie potwierdza, spuszcza jedynie wzrok i szepcze cichutko:

– Widać mam skłonności do męskich szowinistów i skurczysynów. Taka moja karma.

153 *Tête-à-tête* (francuski) – Sam na sam; twarzą w twarz.

154 *Kasyda* (arabski) – klasyczna forma poezji arabskiej, wiersz stychiczny, czyli bez podziału na strofy, składający się z od kilkudziesięciu do stu kilku dwudzielnych wersów zwanych bajtami, monorytmiczny i monorymiczny. Jako forma literacka powstał w przedmuzułmańskiej Arabii; początkowo był przekazywany ustnie, a z czasem zapisywany. Wraz z rozwojem literatury arabskiej terminem *kasyda* zaczęto nazywać każdy rodzaj wiersza. Ponieważ specyfika kasydy odpowiada tylko normom języka arabskiego (monorym), gatunek ten nie zdobył większej popularności poza światem arabskim, gdzie do dziś jest chętnie wykorzystywany.

155 *Carpe diem* (łacina) – chwytaj dzień, ciesz się chwilą.

156 *Madżnun* (arabski) – szalony, szaleniec.

157 *Malesz* (arabski, libijski) – nieważne.

Uśmiech losu

Moja kochana młoda przyjaciółko... – Blanka Muntasir wpada niezapowiedziana do nowej willi Darii, która ostatnio stała się również domem Sajfa. – Zostałyśmy zaproszone na wielkie weselicho.

– Mnie nikt jeszcze nie zaprosił, babciu, a wpraszać się nie będę. – Ostatnio Daria woli spędzać czas ze swoim kochankiem niż z libijskimi kobietami. Zresztą jej rola dawno już spaliła na panewce.

– Zaproszenie jest adresowane do wszystkich kobiet Muntasir, więc nie ma co gadać. Nas nikt oficjalnie nie będzie zapraszał. Żadnych kart wstępu, żadnych oficjalnych kopert z kartonikiem. Po prostu mnie się mówi i hajda, idziemy. – Brytyjka zagięła parol na młodą kobietę, bo bardzo ją lubi. – Wprawdzie ja już nie wiem, czy ty jesteś Arabi czy Muntasir, czy może Kaddafi, ale w cholerę z tym. – Szelmowsko się uśmiecha, bo oczywiście o wszystkim wie, a Daria ma tylko nadzieję, że oprócz dwóch zaprzyjaźnionych kobiet nikt więcej nie zna jej tajemnicy. – Muszę cię wyszykować, tak żeby mojej wnuczce płucem szarpnęło. – Trzyma stronę pierwszej żony, bo uważa wielożeństwo za bigamię i zboczenie, a odstawioną na boczny tor partnerkę życiową rozpasanego faceta za pokrzywdzoną sierotę.

– *Żida*, ja już nie potrzebuję grać Dżamili na nosie. To całkiem fajna dziewczyna i lepiej nam jest, kiedy się dogadujemy – wyznaje Daria, ale Blanka uśmiecha się zgryźliwie.

– Zawsze tak się kończy, że obleśny, rozpasany Arab, który posiada dwie żony, wcale nie ma tak dobrze, jak by się niektórym wydawać mogło. Kiedy się narazi obu, musi spać pod przysłowiowym mostem, bo babki trzymają ze sobą sztamę i żadna z nich nie wpuści go do domu. Takie głupie te chłopy!

Koniec końców wszystkie panie Muntasir idą do salonu piękności i SPA w Gharianie i robią się tam na trzy bóstwa, świetnie się przy tym bawiąc. Biznes ten należy do Hajat Zintani, która zapewne zainwestowała część skarbu Muntasirów we własną działalność.

– Podjechać po was? – pyta na koniec Muna, która dołącza do nich na plotki. – O której?

– Jak zawsze. Pojedziemy całą paką – odpowiada babka.

Ani Dżamila, ani Daria nie wiedzą oczywiście, która to ma być konkretnie godzina, ale bawi je udawanie zgranej, kochającej się rodziny, w której ostały się same baby.

– Super! Świetnie! Rewelacja! – Kobiety cieszą się ogromnie, bo wyjście na ślub jest dla nich jedyną okazją, by się wystroić, umalować, potańczyć czy zaszaleć. Nie ma przecież na libijskiej prowincji pubów ani dyskotek, tak samo zresztą jak w Trypolisie.

Daria czuje się trochę skrępowana, bo oprócz babki Muntasir, brylującej Dżamili oraz dwóch przedstawicielek rodu Zintani na przyjęciu nie zna zbyt wielu kobiet. Po jakimś czasie wyławia wzrokiem młodą, tradycyjnie ubraną niewiastę, która z małym, może dwuletnim brzdącem na kolanach siedzi między lokalnymi kumami. Coś ją w niej zastanawia, coś nie daje spokoju i przyciąga. Jej twarz jest całkowicie pozbawiona arabskich rysów, ale najbardziej zastanawiające są oczy – ni to brązowe, ni to ciemnoniebieskie. *Judith?*, nagle do Darii powraca wspomnienie i dziewczyna staje jak żywa przed jej oczami, ale w zupełnie innej rzeczywistości. Tej strasznej, najstraszniejszej, jaką można sobie wyobrazić. Tej, którą Daria, wydawałoby się, wymazała już ze swojej pamięci. „Jestem Judith. Z małej miejsciny w Kentucky. Marzyłam o tym, żeby zjeździć cały świat. I prawie mi się udało”, w głowie rozbrzmiewa jej cienki, drżący głosik szlochającej Amerykanki, uwięzionej w syryjskim więzieniu dla kobiet w Rakce. To tam się poznały, podczas panowania na tych terenach pseudo-Państwa Islamskiego – w ekstremalnych warunkach, na skraju życia i śmierci.

Judith, jako wolontariuszka, chciała pomóc w obozach dla uchodźców, opiekując się sierotami i pokrzywdzonymi samotnymi syryjskimi kobietami. Zaczęła od Jordanii, ale pragnęła działać więcej i ostatecznie wylądowała w Syrii, w miejscowości Aleppo – centrum walk i bezprawia. Tam spodobała się jednemu rzezimieszkowi, który udawał rebelianta rewolucjonistę, głosząc wszem wobec, że pragnie

jedynie wyzwolenia spod tyranii prezydenta Baszara Asada¹⁵⁸ i wprowadzenia demokracji w Syrii. Ostatecznie jednak okazał się dżihadystą i razem ze swoimi kolesiami porwał Judith prosto z ulicy. Po prostu wrzucili ją do samochodu i przywieźli do piekła na ziemi – Rakki, stolicy współczesnego kalifatu.

Najpierw młodkę zgwałciło pięciu chłopów, którzy ją transportowali. Po drodze zatrzymali się na pustyni i zaliczyli po kolei, jeden po drugim. A potem, kiedy kalif Abu Bakr al-Bagdadi¹⁵⁹ dowiedział się, że ma w swoim więzieniu jasnowłosą i niebieskooką Amerykankę, postanowił też się zabawić, ale już elegancko, u siebie w haremie. To jedna z najstarszych metod taktyki wojennej – zhańbienie płci pięknej przeciwnika. Nie wiadomo, dlaczego przeciwnikiem kalifa była Judith, ale jako kapitalistka i przedstawicielka Zachodu, z samego założenia ich pokrętnej wiary, na pewno była wrogiem. Potem dziewczynę wrzucono do celi z ledwo żywymi innymi kobietami, które czekały jedynie na śmierć, bo dla nich gwałt był takim wstydem i niesławą, że jeżeli oprawcy by ich nie zabili, zrobiłyby to same lub ich rodziny w ramach zbrodni honorowej. Jedną spośród więźniarek była Daria Nowicka, obecnie Darin Salimi czy Darin Arabi, żona przyczajonego na ziemiach Dżamahirijji terrorysty Jasema Alzaniego vel *dżihadiego* Johna, który teraz znów przeфарbował się na Muhamada Arabiego Muntasira i usiłuje ugryźć kawałek tortu, jakim jest roponośna Libia.

Darii udało się opuścić kalifackie więzienie, by wpaść w jeszcze większe bagno w haremie, ale gdy ostatni raz widziała Judith i inne nieszczęsne współwięźniarki, ich los był przesądzony. Zostawiała swoje towarzyszki niedoli na pewną śmierć, gdyż czekała je egzekucja z rąk zbrodniarzy terrorystów. Kiedy samochód zawożący ją do haremu opuszczał teren więzienia, słyszała serię z karabinu maszynowego, a potem pojedyncze strzały. Następnie nastąpiła martwa cisza. Była przekonana, że jej przyjaciółki, zgodnie z rozkazem najwyższego przywódcy kalifa Bagdadiego, zostały zamordowane. Dlatego teraz czuje się tak, jakby zobaczyła ducha.

Jak to na libijskich weselach bywa, impreza przeznaczona dla kobiet zawsze jest udana. Mocna i słodka jak ulepek zielona herbata leje się strumieniami, dodając paniom niewyobrażalnego wigoru, tak jakby wypłyły hektolitry modnych na całym świecie energetyków. Ciśnienie rośnie, serce bije mocniej, chęć zabawy staje się silniejsza od wpajanej im od dziecka skromności. Lokalne dziewczyny, umalowane jak modelki na wybiegu, ubrane w najlepsze suknie, prezentują swoje wdzięki przed zazdrosnymi koleżankami, teściowymi albo przyszlými teściowymi, które wyławiają na takich spotkaniach kandydatki na przyszłe żony dla swoich synów. To te stare, zniszczone życiem kobiety, opychając się słodyczami, zapijając słodkimi napojami oraz plotkując do upadłego, decydują o szczęściu lub niedoli młodych.

Babka Blanka Muntasir przysiadła się do kum ze swojej grupy wiekowej, Dżamila krąży od jednych do drugich, rozdając uśmiechy, co dobitnie świadczy, że nie ma tu przyjaciółek, a Daria i pseudo-Arabka, nieobserwowane przez nikogo, zbliżają się do siebie, by w końcu usiąść w kącie podwórza pod drzewem morwy i oddać się rozmowie. Z niedowierzaniem lustrują się zaciekawionym, ale też przerażonym wzrokiem, obawiając się, czy jedna drugiej nie zdradzi. Po chwili na ich ustach pojawia się tajemniczy, a potem kpiarski uśmieszek. Ich śliczni synkowie puszczają mamine szerokie spódnice, by zająć się wspólną zabawą. Gaworząc jak brat z bratem, podnoszą kijki i objadają się słodkimi, rozpływającymi się w ustach czarnymi owocami morwy, które jak deszcz sypią się z drzewa.

– Kobieto! Co ty tu robisz? – zaczyna Daria. – Jak ostatni raz się widziałyśmy, szłaś na pewną śmierć! Stamtąd nie było ucieczki.

– A co ty robisz w dzikich libijskich górach? Słyszałam, że harem też zrównali z ziemią. Jak uciekłaś od dżihadysty? – pyta Judith, nie odpowiadając na indagację.

– Nie uciekłam. Mogłam, lecz nie wykorzystałam okazji, jak był czas po temu, i teraz mam całkiem przechłapano. – Daria, rozmawiając po angielsku, ścisza głos, choć nikt ich tu nie zrozumie. Jedynie Blanka i Dżamila, ale one stoją po jej stronie, więc nie ma co się obawiać.

– Ja też wyszłam za mąż za faceta z kalifatu, ale on tam był jak pięść do nosa. W ogóle nie pasował. – Amerykanka też mówi szeptem.

– Związałaś życie z dżihadystą? Oszalałaś? – oburza się, jakby była lepsza. – Jak mogłaś?

Judith ze złością patrzy na swoją byłą kompankę, która nie dość, że nie pomogła jej w więzieniu, to jeszcze skomplikowała jej życie i poniekąd doprowadziła do skatowania i ostatecznie skazania na śmierć. W jej oczach, zakrytych barwiącymi szklami kontaktowymi, pojawiają się niechęć i rozgoryczenie. *Jak ona śmie cokolwiek mi zarzucać? Ma czelność mnie krytykować? Kurwa jedna!*, oburza się w duchu.

– Mój Abdul to porządny gość – tłumaczy jednak. – A w Daesz znalazł się przez przypadek.

– Abdul? – pyta Daria.

– Co w tym dziwnego? – Judith ma dość. Zbiera się do odejścia, chwytając jedną ręką synka, a drugą zbierając szerokie barwne spódnice.

– Mój drugi syn miał na imię Abdul. – Pół-Polce głos rwie się ze wzruszenia. – Został zamordowany... Taki mały brzydal. – Ociera kciukiem łzę i patrzy na Ahmeda, który błyskawicznie reaguje na imię swojego znenawidzonego syjamskiego brata. *Wykluczone, żeby pamiętać*, drży Daria. *Nieemożliwe, żeby miał świadomość swojego czynu*, tłumaczy syna, po czym spuszcza głowę ze smutkiem, odrywając przerażony wzrok od jego pięknej buźki.

– Współczuję. – Amerykanka stwierdza, że nie ma co tak żywiołowo reagować na czyjeś słowa czy zachowanie, bo współczesny świat jest tak pokręcony, że nigdy nie wiadomo, jakie kto ma tajemnice i jaka rana trawi jego serce. – Abdul pojechał do Daesz ze swoją siostrą. W Libii była wielką rewolucyjną aktywistką podczas arabskiej wiosny aż do obalenia Kaddafiego, którego nienawidziła całym sercem. Potem, już w Libii, nie miała z kim walczyć, więc dołączyła do kalifatu.

– Czemu dziewczyna z gór, która nie ma nic wspólnego z wielką polityką, nienawidzi przywódcy narodu tak bardzo, że dołącza do morderców dżihadystów? Cóż jej takiego zrobił ten pułkownik?

– On tylko fizycznie, bo ją zgwałcił, ale najgorszych czynów dopuszczała się jego pseudoasystentka, a faktycznie stręczycielka, Malika Salimi z Trypolisu. – Na te słowa Darii opada szczęka, wytrzeszcza oczy na rozmówczynię, ale ani pary z ust nie puści. – Ta rajfurka jeździła po prowincji i wyszukiwała dla swojego ukochanego lidera nie wybitnych, niezwykłych dziewczyn, które mogłyby zrobić karierę w stolicy, ale młodych pięknych dzierlatek dla starego zbrojnego. Suda miała wtedy zaledwie czternaście lat...

– Taka afera na zabitym dechami odludziu? – Daria z niedowierzaniem kręci głową, choć ta wieśniaczka jest już drugą nastolatką zgwałconą przez wodza na tym terenie. *Niezła ta moja ciociusia była*, myśli sobie. *Ciekawa jestem, czy do zniewolenia Dżamili też się przyczyniła. A takie peany o niej Sajf piał. Czyżby o niczym nie wiedział? Polityka to paskudne bagno*. Najgorsze jednak jest dla niej to, że sama jest genetycznie obciążona skłonnościami do złych uczynków i nieprawości – nie tylko po libijskim ojcu, ale po całej jego pokręconej rodzinie. – Więc młoda szukała zemsty najpierw na tutejszym przywódcy, a potem na wszystkich innych? Wierni, niewierni, byleby komuś łeb rozwalić? – dopytuje zaciekawiona.

– Dobrze to ujęłaś – smutno potwierdza bladolica. – Cała pozostała liczna rodzina to poczciwiny. Naprawdę dobrzy ludzie. Twoja krewniczka, Dżamila, ponoć coś dla nich wydebiła w zamian za utraconą cnotę i godność ich córki. Rodzina prostych górali w życiu nawet nie pomyślała o zbrodni honorowej. O żadnej karze, bo niby za co? Dla nas to naturalne, że takiej biednej dziewczynie trzeba współczuć, a nie karać, ale wiesz, jak jest u Arabów. Oni pod tym względem mają popieprzone w głowach.

– No tak...

– Dobroduszna rodzina Abdula mnie też dobrze potraktowała i traktuje, uważając za pokrzywdzoną nieszczęśniczkę.

– Ale powiedz mi, jakim cudem wysłałaś z więzienia? Przecież byłaś w patowej sytuacji. Jak umknęłaś kosztusze? Pomogła ci ta biedna Suda czy może Abdul? – Pół-Polka coraz bardziej się niecierpliwi.

– Suda już wtedy nie żyła. Ta zagubiona libijska dziewczuszka działała w Brygadzie Al-Chansa160, ale nie nadawała się do zbrodni i mordów na taką skalę jak w kalifacie. Pogubiła się

w tym wszystkim i sama szybko zginęła. Abdulowi nie udało się jej ochronić, co przeżywa do dziś. Nie ma co gadać. Było, minęło. Jedynie czasem rodzina ją wspomni, choć rzadko. Raju chyba jednak nie dostała. Mam nadzieję. – Judith wykrzywia twarz z naganą, co sugeruje, że młodociana morderczyni popełniła w swoim życiu wiele złych czynów, których nie sposób usprawiedliwić. – Zaś jej brat był w cholernym pseudo-Państwie Islamskim jedynie ze względu na nią i na prośbę rodziców, a później całkiem nie wiedział, jak się z tego cyrku wypisać. Przydzielili go do grupy likwidującej nasze więzienie i kiedy zobaczył mnie, w aureoli złotych włosów i z niebieskimi oczami, wielkimi jak spodki, dokumentnie zgłupiał. Załamał się i w końcu wypisał z bajki, która nigdy nie była dla niego. *Sza'a Allah* – wygłasza jak typowa Arabka, całując przy tym opuszki palców.

Amerykanka milknie i zagłębia się we wspomnieniach, a Daria nie naciska, nie pogania, bo wie, że takie zwierzenia nikomu nie przychodzą łatwo. Obserwuje sielski obrazek z tradycyjnego libijskiego wesela. Młódki hulają do ukochanej przez cały kraj muzyki Michaela Jacksona, który dla nich pozostaje wiecznie żywy. Kiedy jedne się zmęczą, w tan idą inne. Gdy z głośników rozbrzmiewa tradycyjna arabska muzyka, dwie zażywe góralki z najbujniejszymi czuprynami wyskakują na środek polanego wodą klepiska i wykonują taniec włosów. Do uszu wdzierają się przeraźliwe piszczałki i rytmicznie wybijany na skórzanych bębenkach bit. Kobiety kręcą głowami w oszałamiającym tempie, a ich długie włosy krążą to w jedną, to w drugą stronę. Ich wprawa i wytrzymałość są niewiarygodne, a ogromny zapal pobudzają dodatkowo dopingujące okrzyki i klaskanie. Po kwadransie dołączają do nich inne młode, które nie mogą usiedzieć na miejscu, a wtedy starsze babki wykonują ze swoich wygodnych siedzisk arabskie *zaharid*¹⁶¹.

Daria i Judith, urodzone i wychowane w tak różnej kulturze niż tutejsza, zachwycają się lokalnymi libijskimi zwyczajami i tradycją. Jednej i drugiej takie proste życie bardzo się podoba. Nagle jednak w sielankową atmosferę wdzierają się drżący głos Judith:

– „To święta Miriam! Matka chrześcijańskiego proroka Isy!”¹⁶², wykrzyknął Abdul, kiedy zobaczył mnie na więziennym podwórku, pełnym leżących na kupie zakrwawionych zwłok i ofiar, dogorywających w ostatnich podrygach. „Panie! Panie oficerze! Tak nie może być!”. Podbiegł do poważnego, groźnego mężczyzny i jął go szarpać za ramię. „Panie! Oszczędź tę kobietę, proszę!”. Wiele ryzykował, mój głupiutki, kochany bohater... – wzdycha, a na jej twarzy pojawiają się uwielbienie i podziw dla zbawcy.

– Niemożliwe! – Daria nie może uwierzyć własnym uszom, bo w kalifacie taki czyn był więcej niż bohaterstwem. Przeciwwstawienie się woli dowódców to było samo-bójstwo.

– „Nie szalej!”, wydarł się oficer, który miał straszne fizys i obłęd w oczach. „Taki rozkaz, człowieku!”. Jego wojskowy ryk zagłuszył nawet zawrodozenie i płacz idących na śmierć więźniarek. „Panie!”. Mój stary zachwiał się na nogach, zgiął w pół i zatoczył w stronę kopca parujących posoką i ekskrementami ciał, na które bojownik patrzył z pogardą i obrzydzeniem, a Abdul patrzeć już nie mógł. Oficer rzucał na boki nienawistnym wzrokiem, taksując ostatnią grupkę skazanych na śmierć kobiet, wśród których byłam ja. – Na twarzy Judith pojawiają się krople potu, które bezwiednie ociera. Zaciska usta i czuje puls bijący na szyi i w skroniach. W uszach jej piszczy. Wydaje się jej, jakby znów znalazła się w Rakce, jakby znów ważyły się jej losy. – Abdul wymiotował, podpierając dłonie na kolanach, a inni młodzi *dżihadyści* rozglądali się niepewnie dookoła, nie wiedząc, czy wykonać rozkaz czy nie, zostać czy wiać. Zaś wredny, ponury typ, który okazał się także Libijczykiem, gryzł wargi i wyłamywał palce, bo nie potrafił tak na szybkiego podjąć żadnej decyzji. Mięczak! Parszywiec! Na nietypowe zachowanie buntownika całkiem zgłupiał.

– Sami tacy tam zjeżdżali. Chcieli robić za supermenów, bo w normalnych warunkach byli nikim. – Daria dokładnie wszystko sobie przypomina. I tych złych, i tych dobrych, i *dżihadystów*, i ich ofiary.

– Kiedy Abdul troszkę się pozbierał, stanął przede mną, zasłaniając mnie własnym ciałem przed plutonem egzekucyjnym. Sprawa została przesądzona. Ostatecznie na placu kaźni pozostało tylko kilka dziewczyn, dwóch bojowników i ich przywódca. „Spierdalajcie stąd!”, warknął ich komendant. „I to w podskokach, do cholery!”. Kiedy przyszło co do czego i nastał koniec tego chorego kalifatu,

spierdalaliśmy wszyscy na lewych papierach aż do samej Libii. Tutaj odnaleźliśmy nasz raj i spokój ducha. – Judith kończy straszliwą opowieść z anielskim wyrazem twarzy.

– Oficer też? – Darii na chwilę aż staje serce. Zawsze tak się dzieje, kiedy dowiaduje się, że nie tylko jej mężowi udało się zbiec z Rakki, ale również innym zbrodniarzom. Wynieśli oni stamtąd nie tylko swoje podłe ziemskie powłoki, ale przede wszystkim ducha i idee dżihadu, które teraz szerzą na całym świecie.

– Okazał się całkiem poczciwym facetem – mówi Judith. – Niejednej *sabiji*¹⁶³ pomógł stamtąd uciec. Uważam, że już odkupił swoje winy. – Nie bierze pod uwagę faktu, że zbrodni ludobójstwa nijak nie można zrekompensować. Chyba że własną głową.

– No to teraz już jesteśmy dwie *sabije* w tym regionie. – Przerażona Daria usiłuje żartować. – Ciekawa jestem, ilu bojowników stamtąd uciekło, ilu się przeniosło do tego spokojnego, cudownego kraju.

– Dużo. Teraz coraz więcej ich przybywa z miejsc, gdzie skończył się kalifat czy władza fundamentalistów. Nie tylko twój mąż, który był decydem i figurą w Państwie Islamskim, znalazł tu azyl, ale też multum zwykłych pionków. Tacy jak twój zazwyczaj jadą na Zachód, do Ameryki, tacy jak mój i jemu podobni wracają na stare śmieci, szczęśliwi, że zachowali swoje marne życie. Dlatego też zadaję sobie pytanie, co twój stary robi w dzikich, odludnych i zacofanych górach Gharianu. Choć z drugiej strony boję się odpowiedzi.

– Masz rację. Lepiej nie wnikać – ostrzega Daria. – Ale my możemy pozostać przyjaciółkami, prawda?

– Cóż... – Amerykanka nie wie, co odpowiedzieć. – Tylko nie licz na to, że będę do ciebie na herbatkę przychodzić – asekuje się przestraszona.

– A ja do ciebie mogę czasami zajrzeć?

– Pewnie. Przecież żartowałam. Chociaż na twojego męża za Boga nie chciałabym się nadziać.

– Rzadko bywa w domu, nie bój się.

Amerykanka jednak nie po to się odcięła od przeszłości, żeby nagle kumplować się z kobietą z kalifatu. *Może ona też stała się dżihadystką? Może też mordowała ludzi? Teraz trudno już stwierdzić who is who*¹⁶⁴. Te i wiele innych myśli przelatuje przez głowę farbowanej blondynie, ale kiedy spogląda w brązowe oczy Darii, nadal widzi w nich tylko zagubioną i wystraszoną dziewczynę z Rakki i uspokojona stwierdza, że jej obawy są bezzasadne.

Daria dziękuje Bogu, że spotkała na wiejskim weselu Judith, bowiem znów zostaje sama jak palec. Sytuacja w jej domu zmienia się jak w kalejdoskopie. Sajf al-Islam nieoczekiwanie zostaje włączony do kampanii wyborczej, w której nie jest już jedynym kandydatem na prezydenta. Partia narodowego pojednania zdobywa coraz więcej zwolenników. Libijczycy sami za bardzo nie wiedzą, czy lepszy będzie młody Kaddafi, obciążony licznymi oskarżeniami i ponoszący odpowiedzialność zbiorową za ojca tyrana, czy czysty jak łąza Muhamad Arabi Muntasir, reprezentujący najlepszy, honorowy i nieskalany ród arystokracji politycznej, który jednak w Libii pojawia się nagle i nieoczekiwanie, dosłownie znikąd. Szala przechyla się coraz bardziej na stronę tego drugiego. Zapewne dlatego bez słowa znika również Dżamila Muntasir, która znajduje się w bardzo niekomfortowej sytuacji. Z jednej strony, będąc zausznicką Muammara Kaddafiego, od samego początku była zwolenniczką jego syna, jednak z drugiej jest przecież żoną Muntasira. Wiadomo, że kiedy ten obejmie fotel prezydenta, uczyni ją panią prezydentową.

Daria jest ciekawa, jak kobieta wybrnie z tego impasu. Nie ma jednak z kim o tym podywagować, bo droga jej sercu Blanka Muntasir, kiedy dowiedziałyby się prawdy, mogłyby wyzionąć ducha. Zresztą kobieta wyraźnie się ostatnio postarzała. Nie jest już rześką, sprawną fizycznie i umysłowo staruszką. Teraz większość czasu spędza w pozycji leżącej bądź półleżącej, to śpiąc do południa w pięknym kolonialnym łóżu, na leżaku na ganku lub na rozkładanym łóżku w ogrodowej altanie. Daria widzi, że życie z niej ucieka, i życzy starowince, by mogła odejść w chwale

i zaszczytach, zanim wszystko legnie w gruzach, plany i marzenia się rozmyją, a tragedia okryje hańbą i żałobą ich ród na długie lata. Na to bowiem się zanosi, jakkolwiek sytuacja się nie potoczy.

Budowlaniec Mohamed Zintani i jego rodzina również odsunęli się od domu w wyniku konfliktu interesów. Plemię Zintani chroniło przez długie lata następcę Kaddafiego, Sajfa al-Islama, nie po to, by teraz, ni z tego, ni z owego, Muntasirowie wygrzebali spod ziemi swojego kandydata na fotel prezydenta. Współplemieńcy uważają to za zdradę i potwarz i pomimo otrzymanej ogromnej kwoty kilku milionów euro, rekompensującej wieloletnią opiekę, są wściekli i zawiedzeni. Czy nowy kandydat Muntasir zechce z nimi tak owocnie współpracować jak rodzina Kaddafich? Czy będzie jeszcze pamiętał i cenił to, co zrobiło dla nich plemię? Ono przecież też może wystawić swojego kandydata, ale obiecało, że tak nie uczyni, by kruche pojednanie znowu nie przerodziło się w walki i podziały. Wszyscy chcą upiec już nie tyle dwie, ile wiele pieczeni na jednym marnym libijskim ogniu, który po wieloletniej wojnie ledwo się tli. Ci, którzy mieli iść ramię w ramię, wspólnie zadbać o pojednanie i odrodzenie Libii, teraz stanęli po dwóch stronach barykady. Daria liczyła, że w pięknej ojczyźnie jej ojca w końcu zapanuje pokój, że Libia ponownie stanie się wymarzoną przez niektórych rajem, jednak teraz widzi, że znów się przeliczyła. Zresztą nie tylko ona.

– Judith, a co twoja rodzina na te wszystkie zmiany? – pyta Daria podczas kolejnej wizyty w ubogim, choć życzliwym domu dawnej koleżanki.

– Jakie zmiany? – Amerykanka ma gdzieś politykę.

– W Libii. W końcu tu żyjesz, mieszkasz...

– Owszem, mieszkam na farmie niedaleko miejscowości Al-Urban. Tutaj rosądy na wysokich stołkach się nie liczą, w ogóle nie mają znaczenia. – Lekceważąco macha rękami. – Farma żyje swoim życiem.

– Czyś ty głupia, czy tylko udajesz? – Pół-Polka nie wytrzymuje. – Ten kraj zżarła wieloletnia wojna, która zaczęła się od niezadowolenia ludu. To była wielka polityka. Jedni mieli już dość Kaddafiego, a inni chcieli utrzymać reżim – tłumaczy jej jak student koniowi. – Myślisz, że wieśniakom lżej było umierać, kiedy nie mieli pojęcia, dlaczego tak się dzieje?

– Ja z tym nie mam nic wspólnego. Mam to w nosie. – Judith nie jest zadowolona z poważnej rozmowy, bo liczyła na błahe babskie ploteczki. – Mnie to nie dotyczy i nie obchodzi. Tak jak i mojej rodziny.

– Twojego męża też nie? – Daria specjalnie o nim wspomina, bo cały czas obawia się, że jak ktoś pojechał do Państwa Islamskiego, dołączył do fundamentalistów w kalifacie, to uległ skażeniu, które musi pozostawić ślad na jego psychice do końca życia. – On tylko pasie owce i już? – trochę pokpiwa, bo nie wyobraża sobie, jak dziewczyna z maturą może spędzić żywot u boku analfabety pastucha.

– Nie interesuję się tym, co robi Abdul. Mam to w nosie.

– To też cię nie obchodzi? – Zniesmaczona koleżanka stwierdza, że wybitnie traci czas nie tylko na karkołomne dojazdy do Amerykanki, ale przede wszystkim na jałowe dyskusje. – Duży masz ten nos!

Zagubiona i samotna pół-Polka stwierdza, że zbyt wiele oczekiwała po tej znajomości. Postanawia wrócić do domu w Gharianie, choć droga niebezpieczna, a Judith zaprosiła ją na kolację i nocleg. Woli skręcić kark, niż słuchać takich banałów. Zakłamanie, fałsz, a może zwyczajna głupota Amerykanki doprowadzają ją do szału. Zresztą jazdę dwukółką zaprzęzoną w osiołka opanowała już do perfekcji, a na koźle czuje się jak na piedestale. Ahmed też ma radochę, bo siedzi w koszu małego wózka, który zazwyczaj rodzina farmerów zapełnia warzywami i owocami ze swoich upraw. Daria podziwia ludzi żyjących w takich spartańskich warunkach, ale nie chce jej się wierzyć w taką ignorancję wobec spraw ich ojczyzny. Od nieszczerości woli swoją samotność, z którą postanawia jakoś sobie poradzić.

Górska trasa niezmiennie urzeka Darię, szczególnie o świcie i o zmierzchu. Kobieta jeździ starą ghariańską drogą, która ciągnie się równolegle do nowoczesnej autostrady. Jest jeszcze bardziej stroma i usiana serpentynami, ale ten, kto nie musi się spieszyć i ma dobry pojazd, poradzi sobie. Co jakiś czas

można się zatrzymywać na kamienistym poboczu, bo tarasów widokowych i balkonów na pikniki nad przepaściami jest tu bez liku. Teraz na największym z nich samotni podróżnicy – matka i jej ukochany synek – postanawiają zjeść kolację, podziwiając oszałamiający widok na dolinę oraz czerwoną kulę słońca, które w ekspresowym tempie opada za horyzont. Do domu nie mają już daleko, bo najwyższe wzniesienie pokonali, więc niczego nie muszą się obawiać. Nawet w całkowitych ciemnościach osiołek dowiedzie ich do celu.

Kiedy Daria wyskakuje z wózka, by rozprostować nogi i udać się za potrzebą, w głębi wzniesienia na niedalekiej polanie zauważa niezwykle ruch. Przez gałęzie rzadko rosnących tu sosen zauważa, że ktoś roznieca ogień, jacyś ludzie stawiają płócienne namioty. Ahmed, zmęczony całym dniem zabaw z rówieśnikami, usypia twardym snem. Pół-Polka przywiązuje osiołka do karłowatej oliwki, bierze laskę z ukrytym w środku sztyletem – broń, którą zawsze ze sobą wozi – i zaciekawiona rusza na zwiady. Skrada się jak szpieg, umykając za każdy krzak. Nieznane jej towarzystwo błyskawicznie uwinęło się z organizacją obozowiska. Teraz zbiera się przy wielkim ognisku płonącym żywym ogniem na środku polany. To sami mężczyźni. Nie są ubrani jak typowi w tym regionie libijscy górale – w pantalone, galabije i klapki. Mają na sobie czarne kaftany i wojskowe spodnie.

– *Allahu akbar!*¹⁶⁵ – padają słowa wypowiedziane tubalnym głosem.

– *Allahu akbar!* – dołączają inni.

– *Allahu akbar!* – Niesie się po spokojnych, uspionych górach i dolinach.

– Towarzysze! – Mocny głos należy do Jasema Alzaniego. – Przyszłość Libii leży w naszych rękach! Wszystko zależy od tego, czy po nią sięgniecie! Allah na was patrzy! – straszy groźnie. – Czy chcecie kształtować swój los?! Losy innych? Losy tego świata?

– Chcemy! – Mężczyźni kierują w niebiosa zaciśnięte pięści. – Chcemy!

– *Allahu akbar! Allahu akbar!* – Nakręcają się coraz bardziej, a ich twarze wyglądają jak nawiedzone. Niektórzy mają półprzymknięte oczy, inni patrzą na świat z gniewem i nienawiścią. Twarze mają pobladłe, pokryte potem, czoła groźnie zmarszczone, bo złość ogarnia ich serca i dusze. – *Allahu akbar!*

– Prowadź, bracie! – Szczupły, fanatyczny młodzieniec wrywa się do przodu, a Daria z przerażeniem rozpoznaje w nim pozornie apolitycznego Abdula. – Wskaż nam drogę do wodopoju. *Dżihad!*

– *Dżihad!*

Pół-Polka teraz już nie ma wątpliwości co do przekonań rodziny farmerów. Jest też pewna, że Jasem, zebrawszy wokół siebie odpowiednią liczbę politycznych zwolenników, postanawia dołączyć do swoich braci w *dżihadzie* i wypełnić na terenach Libii szósty fundamentalistyczny filar islamu¹⁶⁶. Wizja Libii jako Arabii Felix i rajy na ziemi pierzcha wraz z coraz głośniejszym skandowaniem mężczyzn:

– *Allahu akbar!*

– *Dżihad!*

– *Allahu akbar!*

158 Baszar Hafiz al-Asad (ur. 1965 w Damaszku) – syryjski polityk i wojskowy, od 2000 r. prezydent Syrii i przywódca partii Baas oraz armii. Syn Hafiza al-Asada, będącego prezydentem Syrii w latach 1971–2000. Ukończył studia na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Damasceńskiego i studia podyplomowe w Londynie ze specjalizacją okulistyczną. W 1994 r. w wypadku samochodowym zginął jego starszy brat Basil, mający być następcą ojca jako prezydent Syrii. W związku z tym został zmuszony do powrotu i wstąpienia do akademii wojskowej. Po śmierci ojca w 2000 r. został wybrany na prezydenta Syrii. W polityce wewnętrznej jest znany z lekceważenia praw człowieka, częstych zaburzeń gospodarczych, spowodowanych nakładanymi sankcjami, i ze wszechobecnej korupcji. Po wyborze na prezydenta miał przyjąć bardziej liberalną postawę niż jego ojciec. Był widziany jako zwolennik demokracji w Syrii. W polityce zagranicznej al-Asad jest zdeklarowanym krytykiem Stanów Zjednoczonych i Izraela i prowadzi politykę zbliżenia z Rosją. W czasie wojny domowej w Syrii zdecydował o tłumieniu protestów skierowanych przeciw niemu, co spowodowało eskalację konfliktu

i w efekcie śmierć tysięcy osób oraz olbrzymie straty materialne. Został oskarżony o wydawanie rozkazów dokonywania zbrodni przeciwko ludzkości (użycie broni chemicznej).

159 Abu Bakr al-Bagdadi (ur. w Samarze) – przywódca sunnickiej organizacji terrorystycznej Państwo Islamskie w Iraku i Lewancie (ISIL) oraz samozwańczy kalif Państwa Islamskiego, które obejmowało okupowane przez jego organizację terytoria północno-wschodniej Syrii oraz zachodniego Iraku. Jeden z ośmiu kandydatów do tytułu Człowiek Roku 2015 magazynu „Time”. Al-Bagdadi (pseudonim) w momencie inwazji amerykańskiej na Irak był imamem w jednym z meczetów w Samarze. Ukończył studia na Uniwersytecie Bagdadzkim. Miał tytuł doktora nauk. Jeszcze za rządów Saddama Husajna należał do radykalnej organizacji islamskiej. Amerykanie przetrzymywali go przez cztery lata w Camp Bucca (zwolniony w 2009 r.) – to tam jego poglądy religijne silnie się radykalizowały. Al-Bagdadi został członkiem Al-Kaidy krótko po wybuchu wojny amerykańsko-irackiej. Równocześnie nauczał w różnych meczetach w Iraku i kierował bojówkami sunnickimi, po czym wszedł do Rady Konsultacyjnej Państwa Islamskiego w Iraku i Lewancie, a następnie w 2010 r. został jego przywódcą. Utrwalając swoją władzę, dopuścił się szeregu zamachów bombowych na cywilów szyickich, jak również zabójstw lokalnych przywódców sunnickich. W 2011 r. Stany Zjednoczone oficjalnie uznały al-Bagdadiego za terrorystę i wyznaczyły nagrodę w wysokości 10 mln dolarów za informacje, które pozwolą pojmać go, żywego lub martwego. W 2014 r. ogłosił się władcą Państwa Islamskiego, obejmującego okupowane przez jego organizację terytoria północno-wschodniej Syrii oraz zachodniego Iraku. Posługiwał się tytułem kalifa. W 2016 r. podano, że al-Bagdadi zginął podczas amerykańskiego nalotu w Rakce lub Mosulu, śmierć terrorysty nie została jednak oficjalnie potwierdzona. W międzyczasie były publikowane wezwania al-Bagdadiego do kontynuowania wojny przeciwko „niewiernym”. Najprawdopodobniej zginął w 2017 r. w Rakce.

160 Brygada Al-Chansa – złożona wyłącznie z kobiet policja obyczajowa w kalifacie. Nazwę swą oddział zawdzięcza poetce, która żyła w VI–VII w., w czasach rozprzestrzeniającego się islamu, i jest uważana za najwybitniejszą poetkę w historii literatury arabskiej. Brygada jest zaprzeczeniem powszechnie funkcjonującego wizerunku kobiet w Państwie Islamskim, z reguły przedstawianych jako stojące w cieniu swoich poślubionych bojowników Allaha, pasywne i pozbawione ambicji politycznych. Policjantki Al-Chansy mają nawet prawo do noszenia karabinu; wcześniej przechodziły trzydziestodniowy trening obchodzenia się z bronią. Zarabiały około stu pięćdziesięciu euro miesięcznie.

161 *Zaharid* (arabski) – rodzaj dźwięku wydobywanego podczas szczególnych radosnych uroczystości, który powstaje przy uderzaniu językiem o podniebienie; od wieków stosowany we wszystkich krajach arabskich. Może przypominać jodłowanie.

162 *Isa* (arabski) – Jezus; według wiary muzułmańskiej Chrystus nie był synem Boga, lecz prorokiem, takim jak muzułmański prorok Muhammad.

163 *Sabija* (arabski) – niewolnica, branka; dziewczyny i kobiety porywane przez PI (Daesz) podczas ich panowania na Bliskim Wschodzie, w Iraku i Syrii, w latach 2014–2017; głównie jezydki, ale też chrześcijanki i sunnitki. Wykorzystywane głównie jako niewolnice seksualne.

164 *Who is who* (angielski) – kto jest kto; kto jest kim.

165 *Allahu akbar!* (arabski) – Allah jest największy! Bóg jest wielki!; zwrot ten stanowi *takbir* – muzułmańskie wyznanie wiary; często powtarzany w wielu codziennych sytuacjach życiowych, a przez dżihadystów i fundamentalistów uznane za okrzyk/hasło przy wszystkich niegodnych zbrodniczych czynach.

166 Muzułmanin ma pięć obowiązków, *arkanów*, zwanych pięcioma filarami islamu, które nakreślają podstawowe obowiązki całej islamskiej społeczności, *ummy*. Są one traktowane bardzo poważnie przez wyznawców głównego nurtu tej religii, natomiast wiele ugrupowań religijnych uważa je tylko za zalecenia, symbole, i niekoniecznie się do nich stosuje.

1. Wyznanie wiary – *Szahada*. Należy trzykrotnie, świadomie i celowo, publicznie wypowiedzieć: *Aszszahadu la ilaha illa 'llah, Muhammad rasulu 'llah* – *Zaświadczam, że nie ma Boga*

prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem; zadecyduje to o przyjęciu islamu przez daną osobę.

2. Modlitwa – *Salat*. Muzułmanie powinni się modlić pięć razy dziennie. Nie muszą codziennie uczęszczać do meczetu, po prostu każdego dnia pięciokrotnie mają odmawiać *salat*. Mogą modlić się wszędzie, lecz zawsze twarzą w kierunku Mekki.

3. Jałmużna – *Zakat*. Każdy muzułmanin, biedny czy bogaty, powinien się dzielić tym, co posiada, ze swoimi współ-wyznawcami.

4. Post – *Saum*. Podczas dziewiątego miesiąca kalendarza islamskiego, zwanego ramadanem, muzułmanie winni pościć od świtu do zmierzchu. Z wyjątkiem chorych, starszych i kobiet w ciąży wszyscy muzułmanie powstrzymują się wtedy od jedzenia i picia.

5. Pielgrzymka do Mekki – *Hadżdż*. Wszyscy zdolni do tego muzułmanie są zobowiązani co najmniej raz w życiu odbyć pielgrzymkę do Mekki i tamtejszych świętych miejsc. Skupia się ona na odwiedzeniu sanktuarium Al-Ka'ba i obejściu go siedem razy dookoła.

POLSKA MEKKA

Inny świat

Och! – Marysia chwyta się za podbrzusze i z trudem łapie oddech. – Cóż to? Co się dzieje? – Skręca się na wygodnym fotelu biznes class w liniach lotniczych Emirates. *Może mam raka?*, przelatuje jej przez myśl, bo aktualnie to zagrożenie numer jeden stało się powszechną śmiertelną chorobą i obsesją przerażonych ludzi. – Co mi jest?

Histeryczny strach w oczach pasażerki i ból malujący się na twarzy zauważa troskliwa stewardesa i podbiega do cierpiącej.

– Mogę w czymś pomóc? Coś pani dolega? – pyta uprzejmie, pochylając się nad bladą Marysią, której twarz pokryła się potem.

– Coś przeciwbólowego, proszę... – Ledwo dyszy. – I może podpaskę.

– Oczywiście. Na wysokościach zawsze objawy wszelkich dolegliwości, w tym naturalnych, są wzmożone – uspokaja kobieta, głaszcząc podróżną po ręce. – Proszę zażyć lekarstwo i spróbować usnąć. Nie będę pani budzić aż do Warszawy.

Po połknięciu środka przeciwbólowego, który znieczuliłby i uspił słonia, Marysia odpływa, nie denerwując się już nawet swoim ekstrawaganckim samodzielnym krokiem i realizacją trudnej decyzji. Przed wyjazdem z Arabii Saudyjskiej była tak niepewna swego, że najchętniej zrezygnowałaby i została w domowych pieleszach przy boku kochającego męża, cudownych dzieci i szczęśliwej matki. Sama nie rozumiała, po co znów się wychyla, po co jej zmiany i włóczenie po świecie. Powinna się cieszyć swoją małą stabilizacją. Jednak nawet Hamid przekonywał ją, że wyjazd do Europy to nie wyprawa do niestabilnych krajów Trzeciego Świata czy na pole walki, jak ostatnio w ich życiu się zdarzało. Aktualnie Polska jest uznawana za jeden z najbardziej bezpiecznych krajów w tej części świata, a rasiści i nacjonaści tłumaczą to faktem, że kraj ów nie przyjmuje arabskich uchodźców. Jednakowoż nie jest zamknięty jedynie dla Polaków, bo ma także „swoich” regionalnych emigrantów. Ukraińcy oprócz tysięcy nieszczęsnych, dobrych obywateli do Polski przytargali groźną mafię, są też Białorusini, niemający żadnej bariery językowej, Ormianie i Gruzini, którzy klepią u siebie tragiczną biedę, a nawet odlegli kulturowo Hindusi i Pakistańczycy, których w każdym zakątku ziemi jest pełno. Wszystkie te nacje zasilają teraz polski rynek pracy, na którym sami Polacy nie chcą pracować. Oni wolą u bogatych sąsiadów, Niemców, Czechów, czy Skandynawów, gdzie można zarobić lepsze pieniądze. Więc cokolwiek by się robiło i jak bardzo chciało zamknąć granice i znacjonalizować kraj, to obecny narodowy kogel-mogel jest nie do zatrzymania.

W Wilanowie powinno być bezpiecznie, to dla Marysi jest teraz najważniejsze, bo po wszystkich traumach, jakie przeszła, przestała być przebojową, odważną kobietą, a stała się tchórzliwą gąską. Tak w każdym razie się czuje. Jeszcze będąc ponad siedem tysięcy kilometrów od Polski, przez internet wynajęła luksusowy apartament właśnie w tej dzielnicy.

Wilanów to najbardziej ekskluzywne osiedle Warszawy i wielokulturowy tygiel. Pół-Polka zakochuje się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia. *Ta dzielnica zupełnie nie przypomina Warszawy*, podsumowuje. *Zupełnie jak amerykańskie przedmieścia z prospektu. Tutaj mogłabym żyć.* Marzy nadal o przeprowadzce do Polski.

– Hamid, może rzeczywiście przenieśliśmy się do tego pięknego kraju nad Wisłą? – Stęskniona żona od razu po wylądowaniu dzwoni do męża i włącza kamerkę w telefonie. Nie przejmując się ogromnymi kosztami i różnicą czasu, wyciąga swojego wybranka z łóżka w środku nocy. – Tutaj są rzeki i strumyczki, a nie tylko piach i wyschnięte *wadi*¹⁶⁷ – przekonuje, włócząc się po osiedlu i całą sobą chłonąc każdy jego zakątek. – Tuż koło mojego bloku płynie Potok Służewiecki, w którym pluskają się ryby i kaczki. Ha!

– A jak tam w ogóle? Jak ty się odnajdujesz w tym raj? – Mężczyzna czeka na dokładniejsze sprawozdanie, a nie tylko egzaltowane słowa. – Przyślij jakieś zdjęcia.

– Póki co może tylko z pleneru, bo z apartamentu nie ma sensu. – Marysia jest zawiedziona swoim lokum. – Na zewnątrz pięknie, cudna pogoda, ale w domu...

– Co się stało? Jeśli wynajęliśmy kiepski apartament, to zmień go jak najszybciej. – Niepokoi się troskliwy partner. – Na razie może idź do hotelu.

– Nie jest taki zły, bo sam mówiłeś, że dla samotnej baby prawie osiemdziesiąt metrów to świat i ludzie. – Uśmiecha się zadowolona z opiekuńczości swojego mena. – Tylko trochę nieodpowiednio urządzony. Na zdjęciach meble wyglądały na stare, bo antyczne, ale w rzeczywistości są po prostu stare i zjedzone przez korniki.

– Tragedia! Zaraz dzwonię do przekłętej agentki! – Hamid wpada w furję. – Naciągacze! Niech zabierają te graty i dadzą nowe sprzęty. Jeszcze złapiesz tam jakąś zarazę. Grzybica i roztocza powodują różne groźne choroby.

– Poczekaj, nie denerwuj się. Jestem na miejscu i sama postaram się to załatwić. Powiem ci, że posiadanie służby, kucharzy i kierowców zupełnie człowieka rozleniwia, a poniekąd nawet ubezwłasnowolnia.

– Co ty opowiadasz? Czemu?

– Bo bez nich nie wiadomo, jak sobie palcem do nosa trafić! Choć widzę, że życie tutaj jest niewiarygodnie łatwe. Zupełnie inne niż lata temu, gdy przyjechaliśmy na wakacje. Pamiętasz te dramaty i komplikacje na każdym kroku?

– Oczywiście, kochanie. – Mężczyzna wzdycha, wspominając dawne czasy. – Tak się zmieniło?

– Niesamowicie! Człowieku, tu wszystko jest zdalne, każdą rzecz możesz zamówić i kupić on-line, wystarczy wypasiona komórka i aplikacje. Setki aplikacji!

– Przede wszystkim kup kartę SIM. Cały czas korzystasz z telefonii saudyjskiej? – indaguje rozbawiony bliskowschodni bogacz.

Marysia robi głupią minkę i zagryza wargi, bo rzeczywiście o tym nie pomyślała.

– Tak. – Chichra, a jej mąż do niej dołącza, szczęśliwy, że jest zadowolona i beztroska. – Nie wiem tylko, gdzie mam się najpierw udać. Gdzie cokolwiek załatwić. Wilanów to sypialnia, brakuje tu wielkich centrów handlowych, za to jest multum ekskluzywnych małych sklepików z drogocennymi wspaniałościami. W dzień widać tylko snujące się po alejkach matki z dziećmi, nawet staruszków nie ma. Jest za to od groma biegaczy i rowerzystów. Ludzie widać dbają o zdrowie i sylwetkę. Większość mieszkańców tej dzielnicy wygląda mi na celebrytów, dziennikarzy telewizyjnych, modeli i aktorów. A kobiety mają minimum metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Widziałam matki biegające albo jeżdżące na rolkach z dziećmi w wózkach. No mówię ci! – Kobieta zachłystuje się urodą kraju i żyjących w nim ludzi. – Inna grupa tutejszych lokatorów to eleganc-ka dyplomacja i zarąbiście bogata mafia.

– Jaka mafia?

– Nie wiem. Chyba ukraińska czy jakaś inna ze wschodu. Mówią po rusku.

– Że jak? Uciekaj stamtąd! – Hamid znów się niepokoi. – Jeszcze się w coś wplącesz. Ty to potrafisz.

– Nie żartuj. Ci, którzy jeżdżą bentleyami, już swoich dziesięć trupów mają na koncie, a teraz są praworządny i spokojny obywatelami.

– Skąd wiesz o trupach? – Arab nie wyczuwa dowcipu. – I czemu akurat dziesięć?

– Gdzieś o tym słyszałam. Ile osób trzeba zabić, żeby się dorobić mercedesa? Pięć? Dziesięć? – Marysi wciąż trzymają się humoreski, a zaniepokojony i przewrażliwiony Hamid dopiero po chwili załapuje kpinki. – Aktualnie nikogo nie trzeba mordować, bo auta ponoć dają na niskie raty w leasingu. Bmw, volvo, a nawet droższe marki typu bentley i rolls-royce.

– Skąd to wiesz?

– Zdażyłam się już skumać ze sklepikarką z Żabki. Żabek tu mają prawie tyle co w Stanach czy w Azji marketów Seven Eleven i Circle K!

– Cieszę się z twoich nowych znajomości, ale przyjaźnisz się ze sklepikarką? – Hamid nie kryje zdziwienia.

– Jak widzisz, to najlepsze źródło informacji. Oczywiście dziewczyna jest z Ukrainy. Oni tam mają taką paskudną wojnę, prawie jak w Syrii. Ludzie tracą domy, nie mają co jeść, sieroty błakają się po ulicach. Nie ma pracy, żadnej, nawet nisko płatnej. Tragiczna bieda z nędzą. I pomyśleć, że to wszystko w Europie!

– Nieszczęśnicy – potwierdza Hamid, który oczywiście doskonale zna sytuację polskiego sąsiada ze wschodu.

– Od Iriny wiem też, że po wszystkie niezbędne akcesoria na dobry start muszę się udać do centrum handlowego na niedaleką Sadybę. To tak jak u nas w Rijadzie załatwia się sprawunki w Sahara Mall lub w Mamlaka. Tam uruchomię telefon, zamówię internet i telewizję, kupię jakieś meble, może dywany i inne domowe pierdoły, rzucę okiem na ciuchy, a na koniec zjem pyszne sushi na lunch. Taki jest plan! – Marysia jest wyraźnie zadowolona.

– Czyli nic nowego. Dasz radę? – retorycznie pyta Hamid, bo z nerwowego pytlowania żony wnioskuje, że choć trochę się boi, jest ogromnie szczęśliwa.

– Tutaj jest mnóstwo nowych rzeczy, których muszę się nauczyć, kochanie. Chciałabym mieć to wszystko na co dzień! Na zakupy czy coś zjeść mogę pójść wszędzie i o każdej porze dnia czy nocy, byle w godzinach otwarcia. – Kobieta podśmiechuje się z oczywistości, które w Arabii Saudyjskiej nie mają racji bytu, bo dla kobiet są wyznaczone specjalne godziny korzystania ze sklepów i wydzielone zamknięte części w restauracjach czy kawiarniach. – Głowy nie muszę nikomu zwracać podwózką, bo albo wezmę taksówkę, albo kierowcę z Ubera, a w ostateczności po prostu się przejdę, ubrana w krótkie szorty i koszulkę na ramiączkach. Ha!

– Byle nie za krótkie te szorty – zaznacza zazdrośnik, słuchając radosnej żony, jakby opowiadała bajkę.

– Bez *abai*! Bez zasłaniania! – Kobieta aż podskakuje, przez co obraz na ekranie się rozmywa.

– I żaden typek, *mutawwa* czy inny podejrzliwy facet, nie będzie mi mówił, że ubieram się nieprzyzwoicie.

– Byle z umiarem – ponownie prosi Hamid, znając skłonność swojej żony do przesady.

– Oczywiście. Po prostu tu każda kobieta sama o siebie umie zadbać i określić swoje zasady. Nikt niczego nie musi jej narzucać. W Europie to nawet nie może!

– Nie wiem, czy to dobrze, że namawiałem cię do tego wyjazdu. – Hamid patrzy na twarz swojej pięknej małżonki na ekranie telefonu i tęsknota wyziera z jego oczu. – Chciałbym, żebyś już wróciła, kochanie.

– A może ty do mnie dołączysz? – Zauroczenie Marysi Polską jest tak wielkie, jak nigdy dotąd, choć przecież przyjeżdżała nad Wisłę nie raz i nie dwa. – Moglibyśmy zamieszkać w Wilanowie. Bezpiecznie, bez zamachów terrorystycznych i rakiet. Bez islamu, który niszczy narody i wypacza uczucia – stwierdza odważnie.

– To nie islam jest zły, tylko ludzie, którzy opacznie go interpretują. – Hamid poprawia żonę, bojąc się, że po powrocie do Saudi zaczną głośno głosić takie herezje, za co w jego ojczyźnie grozi kara śmierci. To prawie tak samo wielki grzech, jak *szirk*¹⁶⁸, również karany pozbawieniem życia. *Nie jest dobrze*, podsumowuje w myślach, ale uśmiecha się, nie chcąc psuć dobrego nastroju żony.

Marysia musi szybko ogarnąć życie w Polsce, bo dzień rozpoczęcia zajęć na Uniwersytecie Warszawskim zbliża się wielkimi krokami. Na razie jest w proszku i czuje się, jakby błądziła we mgle. Przede wszystkim instaluje w swoim telefonie aplikacje komunikacyjne. Jednak pobieranie opłat z saudyjskiej karty kredytowej nie zawsze się udaje, system się zawiesza, czasami zostawiając kobietę bez pieniędzy, taksówki i jakiegokolwiek odzewu.

– Dzien dobry. – Po odstaniu godziny w dwuosobowej kolejce, która porusza się w żółwym tempie, w końcu dochodzi do lady, za którą stoi bardzo młody, na oko dwudziestoletni konsultant najbardziej znanego w Polsce operatora sieci komórkowej. – Może pan radzi mi jakiś korzyść pakiet? – Marysia długo nie rozmawiała po polsku, ostatnio tylko z matką. Ta jednak, bojąc się humorów

nerwowej córki, przezornie nie poprawiała jej błędów w wymowie czy w gramatyce, dlatego teraz, nie dość że kobieta wygląda na cudzoziemkę, stuprocentową Arabkę, to jeszcze ma kłopoty z płynnym wysłowieniem się. Wydaje jej się, że za chwilę połamie sobie język.

– Oczywiście, proszę pani. – Młokosowi ledwo się sypnął ryży wąs, za to na głowie ma spletaną gęstwinę posklejanych dredów, a jego brzydką, pospolitą twarz pokrywają liczne ślady po zaleczonym trądziku. Wykrzywia w uprzejmym uśmiechu usta, ukazując modny metalowy aparat ortodontyczny, który jeszcze bardziej go oszpeca. – Proponuję pakiet z internetem, darmowymi rozmowami do wszystkich sieci, SMS-ami, MMS-ami – wymienia wszystkie korzyści. – Oczywiście lepiej wziąć abonament. Aktualnie mamy promocję: zacznie pani płacić dopiero za trzy miesiące albo nawet za pół roku. Do tego super-telefon... – Nabiera powietrza w płuca, bo przed nim długa tyrada, mająca na celu naciągnięcie klientki na jeszcze większe koszty.

Marysia bez słowa wyciąga z torebki najnowszy model komórki znanej drogiej firmy i kładzie go na ladzie.

– Mój aparat ma dopiero trzy miesiące. Brakować mu chyba tylko automatycznej fontanny. – Robi się trochę zniecierpliwiona i złośliwa.

– Może zamontujemy? – Z młodego wychodzi głupek. – Sprawdzę, czy można ściągnąć taką aplikację.

Pół-Arabka robi wielkie oczy, zastanawiając się, czy facet żartuje, czy rzeczywiście jest taka szalona możliwość.

– Nie, proszę pana. – Z nerwów ciągle kaleczy swój ojczysty język. – Podstawowy i dobry pakiet, *please*169.

– Oczywiście.

– Ile kosztować?

– Osiemdziesiąt złotych miesięcznie. Skoro nie chce pani komórki. – Rudzielec wygląda, jakby zaraz miał się rozpląkać. – Ze specjalną ochroną danych, przepływem...

– Panie! Ja wyczytałam, że mogę mieć to, to i to! – Marysia stuka palcem w ulotkę. – Za niespełna pięć dych!

– Owszem, jest taka alternatywa. – Młody marszczy czoło, bo ucieka mu kolejny naiwniak, a obstawiał, że za transakcję z cudzoziemką dostanie dobrą prowizję. – Kiedy chce pani podpisać umowę?

– Natychmiast! Od pół godziny dupę mi pan zawraca! – mówi niegrzecznie, bo arabska krew nie woda i z wściekłości kobieta aż się gotuje. – Teraz!

Kiedy po prawie godzinie Marysia wychodzi z punktu obsługi klienta, czuje się wyprana i zmęczona, jakby tonę węgla przrzuciła. A jeszcze tyle załatwiania ją czeka! Postanawia trochę odpocząć i siada w McDonalddie. Zamawia kanapkę, lecz szybko dochodzi do wniosku, że u niej w Saudi smakowała ona lepiej. Możliwe, że to wina mięsa, które w Polsce nie jest *halal*170, a przez krew nabiera specyficznego niemiłego dla niej zapachu, odrażającego muzułmanina i każdego, kto jada koszerne171 pożywienie. Wyjmuje zatem cienki mięsny kotlet pomiędzy połówką puchatej, słodkawej bułki i nie ma już co zjeść. Dochodzi do wniosku, że bezpieczniejsze i dużo smaczniejsze będą sałatki. Oddycha z ulgą, widząc zielone wyspy w pasażu centrum handlowego, i niemal biegnie do ekologicznego bistro, bo zdążyła już naprawdę zgłodnieć. Zamawia ulubionego grillowanego kurczaka, licząc na to, że będzie choć trochę przypominał aromatyczną orientálną szawormę, na poduszce z mieszanych sałat, paru kolorowych warzyw i oczywiście jej ukochanej gruszki miłości, czyli awokado. Kiedy obsługa przygotowuje sałatkę, Marysia prędko instaluje w telefonie aplikację kolejnej firmy, gdyż obiecują jej duże zniżki, rabaty, bonusy i nie wiadomo co jeszcze. Zadowolona idzie ze swoim daniem do stolika. Sięga po widelec, miesza sałatkę z sosem, wsadza do ust pierwszą porcję i... błyskawicznie ją wypluwa. Smak pysznego, zdrowego posiłku został bezmyślnie zniszczony przez smażony bekon i przypalone na starym tłuszczu kawałki ziemniaków. Marysia ze smutkiem – i już bez apetytu – patrzy na wypełnioną po brzegi miseczkę zieleniny. *Naiwni konsumenci zatykają sobie żyły cholesterolem, myśląc, że zdrowo się odżywiają, spożywając sałatkę!* Wścieka się na

krótkowzroczny przemysł spożywczy. *Co za bezsens! Nabijanie kieszeni farmaceutom! A najgorsze są te paskudne ziemniaki.* Nie próbuje nawet bawić się w Kopciuszka i oddzielać niestrawne, niezdrowe jedzenie od tego dobrego, bo wszystko bardzo dokładnie połączyło się z sosem, a spalony wieprzowy tłuszcz okleił nawet najmniejszy kawałek chudego kurczaczka i pysznego awokado.

– Cholercia, mamó, muszę tu uważać na wszystko, co jem! – Tym razem dzwoni do Doroty, która zadowolona siedzi w Rijadzie i opiekuje się wnukami oraz swoim ukochanym młodym-starym mężem.

– A co się dzieje? Jakaś epidemia? Grypa żołądkowa? – Troskliwa rodzicielka od razu zaczyna panikować.

– Nie, mamuś. Epidemia świniny. Wieprzowina chyba jest we wszystkim, jeśli dodaje się ją nawet do dietetycznych sałatek! – Trochę się wścieka, bo nadal jest głodna jak wilk.

– Przecież ty nigdy nie zwracałaś uwagi na *halal* czy nie *halal*. Pamiętam, że szynkę nawet bardzo lubiłaś. I Hamid też, zwłaszcza prosciutto.

– Ale jak chcę lekkie warzywa, a nie niemiecką sałatkę z majonezem i bekonem, to powinnam dostać coś zdrowego.

– Jak zawsze przesadzasz – podśmiechuje się uspokojona Dorota. – Ale to dobrze, bo znaczy, że aktywnie działasz i coś się dzieje.

– Tak, póki co walę głową w mur.

– Naprawdę?

– Nic się nie martw – uspokaja matkę, bo po co ją martwić błahostkami. – Może wieczorem połączę się z tobą na Skypie z mojego domowego internetu i nowego laptopa. Ha!

– Brawo, kochanie. Cieszę się, że wszystko... z wyjątkiem wieprzka idzie ci sprawnie.

Marysia, nieco podbudowana po rozmowie z matką, kupuje słodki jak ulepek napój energetyczny, a potem dzwoni do dostawcy usług telewizji kablowej, internetu i telefonii stacjonarnej. Nie chce iść do salonu sprzedaży, bo po załatwianiu abonamentu na komórkę ma już dość. Ma nadzieję, że telefonicznie pójdzie jej łatwiej i szybciej, a jeśli się zdenerwuje, zawsze może się rozłączyć.

– Tutaj największy dostawca... – Automat zaczyna odtwarzać powitalne nagranie. – Jeśli kontaktujesz się w sprawie internetu, wybierz jeden. Jeśli chcesz zgłosić awarię, wybierz dwa... Jeśli chcesz uzyskać pomoc w sprawie aktualizacji... Jeśli chcesz... – Marysia słucha uważnie, choć każda kolejna możliwość pozostawia w tyle poprzednią. Nie wie już sama, czy potrzebuje pomocy, usługi czy zmiany. – Jeśli chcesz zamówić pakiet, wybierz sześć. – Z głęboką ulgą dotyka cyfry na ekranie. – Jeśli poszerzasz dotychczasowy pakiet, wybierz jeden... – Znowu dochodzi do niej głos automatu, a spodziewała się już żywego człowieka.

– Mój Boże! – wybucha głośno, a siedzący obok pożeracze wieprza patrzą na nią z naganą. – Kurwa mać! Dłużej nie wytrzymam! – Rąbie pięścią w stół, słysząc kolejny numerik wypowiediany beznamytnym głosem.

– Proszę panią!172 – Rodowita Polka też ma problem z deklinacją. – Tutaj są dzieci! – Pulchna jejmość, siedząca sama przy stoliku, z zatłuszczonymi dłońmi i oślinionymi wargami patrzy spod oka na elegancko wystrojoną, piękną orientalną kobietę. – Przyjeżdża taka nie wiadomo skąd i nie umie się zachować. Tak to jest z tymi uchodźcami. – Z prostej kobieciny, wyglądającej na przedstawicielkę nizin społecznych, wychodzą nacjonalistyczne zapędy.

Marysia lekceważy nieprzyjemne słowa, ale rozgląda się, usiłując znaleźć wspomniane zgorzone dzieci. Żadnych jednak w pobliżu nie widzi.

– Dzień dobry. – W końcu na linii rozbrzmiewa głos konsultanta. – Czym mogę służyć?

– Chciałabym pakiet... – Kobieta wszystko szybko tłumaczy, bo wcześniej, przygotowując się do rozmowy, spisała sobie informacje w notesie.

– Wspaniale. Poproszę o adres instalacji.

– Wilanów. Ulica Sarmacka...

– Niestety – ostro przerywa pracownik, którego nie nauczono jednak cierpliwości i dobrych

manier. – Tamten region nie jest w naszej obsłudze.

– Czemu?

– Bo nie.

– A kto go obsługuje?

– Drugi dostawca mediów.

– Mógłby mi pan podać chociaż numer telefonu?

– Niestety. Nie wolno nam udostępniać kontaktu do konkurencji.

– Ale sam pan przed chwilą powiedział, że w Warszawie są dwie największe firmy i...

– Wszystko znajdzie pani w internecie. Do widzenia.

Rzeczywiście Marysia sprawnie znajduje infolinię drugiego dostawcy, a słysząc miły kobiecy głos po drugiej stronie, wreszcie oddycha z ulgą, bo bardzo chciałyby porozmawiać na spokojnie z dziećmi, siedząc w domowych pieleszach, i przede wszystkim zobaczyć ich śliczne buźki na dużym ekranie laptopa. Już niesamowicie za nimi tęskni.

– Chciałabym przede wszystkim dobry internet i tylko trochę kanałów filmowych. Nie za dużo, bo nie będę miała czasu ich oglądać – zgłasza swoje zapotrzebowanie.

– Proponuję wziąć na próbę pakiet z serialami, które cieszą się zainteresowaniem nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie – zachęca sprzedawczyni po wysłuchaniu oczekiwań klientki. – Jeśli się pani spodoba, to sobie pani zostawi, a jak nie, to zawsze można bezpłatnie zrezygnować.

– Świetnie, dziękuję.

– Proponuję też kanały sportowe...

– Nie, nie! Mieszkam sama, bez faceta, i nie jestem fanką sportu, więc...

– Ależ proszę pani! – oburza się konsultantka. – Niedługo mundial, a potem skoki narciarskie, Liga Mistrzów... W Polsce wszyscy są fanami sportu.

– Sama nie wiem... A ile to kosztuje?

– Na trzy miesiące dostanie pani gratis. Całkiem za darmo.

– Jeśli tak, to biorę!

– W pakiecie telewizyjnym jest jeszcze parę podobnych darmowych ofert na próbę. Czy chce pani?

– Oczywiście. – Marysia cieszy się jak dziecko i jak dziecko daje się nabrać.

– Zawsze będzie mogła pani zrezygnować.

– Rewelacja!

– Technik z umową oraz sprzętem przyjedzie jutro. Proszę podać odpowiadające pani godziny.

Marysia w końcu jest zadowolona, bo choć jedna rzecz jej się udała. Teraz zamawia przez aplikację w telefonie samochód z Ubera. Znana na całym świecie firma transportowa zatrudnia w Polsce, oprócz nielicznych zawodowców Polaków, wielu zagranicznych szoferów, którzy w swoich ojczystych krajach, takich jak Ukraina, Gruzja, Pakistan czy Indie, prowadzili pojazdy, ale chyba furmanki czy wózki zaprzężone w osiołki lub riksze, lecz oferta cenowa jest tak powalająca, że sknerstwo zwycięża. Zwłaszcza kiedy Marysia jedzie pod Warszawę do Janek czy Raszyna, za co zapłaci u tego przewoźnika połowę ceny. *Lepiej kupić sobie za zaoszczędzone pieniądze fajne buty, niż oddawać taki szmal złodziejskim korporacjom taksówkarskim*, podsumowuje w duchu obrotna, bogata babka, która naprawdę na niczym nie musi oszczędzać, a raczej powinna pomyśleć o bezpieczeństwie jazdy. Trasa jest długa i bardzo uciążliwa, zwłaszcza że usługa transportowa wykonywana jest najtańszym z możliwych, małym i starym samochodem z zepsutą klimatyzacją, a śniady kierowca po polsku i angielsku mówi w sumie trzy słowa na krzyż i całkowicie nie zna trasy. Opiera się jedynie na nawigacji, która rzadko kiedy się nie myli.

– Dżen dobry – wita się uprzejmie Pakistańczyk i z głupkowskim uśmiechem wybałusza na pasażerkę czarne jak węgle oczy. – Pani tesz pszyjechacz Polska. – Kaleczy język jeszcze bardziej niż Marysia, która w porównaniu z nim jest polonistką. Pasażerka stwierdza, że nie ma co się bać, bo przecież azjatyccy szoferzy obsługują cały Bliski Wschód i są świetni, dając sobie radę pomiędzy szalonymi arabskimi kierowcami. – Polska być piękny kraj, prawda?

– Prawda. – Kobieta wychowana w krajach arabskich i żyjąca długie lata w Arabii Saudyjskiej za nic nie będzie się spoufalać z pakistańskim szoferakiem, dlatego odwraca wzrok i patrzy za okno. Szybko też zawija głowę cienkim jedwabnym szalem, na poczekaniu konstruuje prowizoryczny *hidżab*, tak na wszelki wypadek. – Jedziemy – mówi opryskliwie.

Po prawie godzinnym kursie, pełnej wątpliwych atrakcji, bo kierowca bynajmniej nie stosuje się do zasad ruchu drogowego, docierają do Janek, gdzie znajdują się największe centra meblowe stolicy. Pasażerka na miękkich nogach z trudem wysiada z samochodu.

– Kto panu dał prawo jazdy? – wścieka się na pożegnanie.

– Dobra jazda, dobra jazda. – Pakistańczyk, nic nie rozumiejąc, uśmiecha się od ucha do ucha.

– *You are not a driver! Show me your driving license!*¹⁷³ – Kobieta podnosi głos i przechodzi na angielski z nadzieją, że w końcu zostanie zrozumiana.

– Ja nie rozumiem – oznajmia nieco już wystraszony imigrant, choć ciągle kiwa głową. – Licencja jest. Jest wszystko. Pani piękna hurysa. – Na koniec oznajmia ni stąd, ni zowąd, a Marysia baranieje na takie wyznanie prostaczka, ale jak każda kobieta czuje się mile połączona i od razu łagodnieje.

– Facet, moja rada – pochyla się jeszcze do okna – weź parę lekcji u instruktora, bo następnym razem kogoś zabijesz.

– Ja nie zabijam – rozumie chyba tylko jedno słowo. – *Allahu akbar* niedobra! – podsumowuje przerażony Pakistańczyk i rusza z kopyta, zostawiając swoją zszokowaną rozmówczynię na chodniku.

– Ja pierniczę... – mruczy Marysia pod nosem, uwalniając głowę z szala, bo z gorąca i zdenerwowania spociła się tak, że włosy kleją się jej do czaszki.

Szybko jednak zapomina o niemiłych doświadczeniach, widząc ogromne centrum handlowe. Patrzy z podziwem na nowoczesne, piękne wyposażenie wnętrza, wyeksponowane na czterech obszernych kondygnacjach. *Tutaj nie oszczędzamy*, obiecuje sobie z szelmowskim wyrazem twarzy i śmiać jej się chce, bo wie, że informację o każdej płatności kartą Hamid otrzyma SMS-em i mailem do wiadomości, gdyż tak funkcjonują wspólne małżeńskie konta w Arabii Saudyjskiej. *Może i dobrze, że Hamid od razu będzie wiedział o moich zakupach, bo jakby co na czas doładuje konto*. Przyzwyczała się już do takiej inwigilacji i wcale jej to nie przeszkadza, choć i tak postanawia założyć sobie rachunek w polskim banku. Chciałaby bez wiedzy Hamida móc kupić papierosy czy wino, których pragnie popróbować w tym cudownym, choć ponoć zepsutym świecie Zachodu. Zdumiewa ją, że ma takie smaki, ale też teraz rozumie innych Arabów, którym zakazany owoc w postaci alkoholu najbardziej smakuje na wyjazdach.

– Ta sofa będzie dostępna w trzydziestym siódmym tygodniu – informuje miła sprzedawczyni, ale Marysia nie rozumie, co się do niej mówi. *Jestem jak ten Pakol*¹⁷⁴, podsumowuje swoje nieobycie. *Nic nie kapuję, choć niby władamy z tą kobietą tym samym językiem*. Robi tylko wielkie oczy, nie chcąc przyznać się do niewiedzy. – We wrześniu – dorzuca ekspedientka.

– Że co? – Klientce nie chce się wierzyć. – Kiedy? To za trzy miesiące?

– Tak. Na niektóre produkty czeka się nawet cztery – z dumą odpowiada sklepowa, ciesząc się z ogromnego popytu i zainteresowania sprzedawanymi przez nią artykułami.

– Ale ja potrzebuję kanapę na już. Płacę od ręki i powinnam dostać od ręki. – Z nerwów Marysia przypomina sobie nawet zwroty, których dawno temu uczyła ją nastoletnia Daria.

– To niestety tak nie działa. – Kobieta robi kwaśną minę.

– Na czym mam spać, na czym siedzieć? Specjalnie wynajęłam prawie puste mieszkanie, a resztę sprzętów właśnie kazałam usunąć, bo chciałam urządzić apartament we własnym guście i wyposażać go w nowe meble.

– Świetnie. – Młoda pogardliwym wzrokiem lustruje bogatą, upartą i natrętą babę. – Od ręki to może sobie pani kupić na Allegro, a to i tak tylko używane rzeczy. Na nowe się czeka i już.

– Nie chcę używanych! Naprawdę nie macie nic do wzięcia? – Marysia po raz kolejny doznaje szoku i stwierdza, że chyba było jej za dobrze na bogatym Bliskim Wschodzie. W Polsce na każdym kroku jest poddawana jakimś bezsensownym próbom ognia lub raczej testom, a przecież to ponoć

normalny świat. Normalny, a jednak tak różny od tego, który zna. W Polsce wszystko jest pod górkę i załatwienie czegokolwiek wymaga pokonania niewyobrażalnych trudności, o których przyjezdna w ogóle nie miała pojęcia. *Powinny być organizowane specjalne kursy przygotowawcze do życia w tym kraju albo może nawet we wszystkich krajach europejskich*, podsumowuje i szlag ją trafia, bo zanoszą się na to, że będzie spała na metalowym rozkładanym łóżku i jadła przy plastikowym kempingowym stoliku na tarasie.

– Na moim dziale może pani wziąć jedynie tę rozkładaną sofę za czternaście tysięcy. – Z iskierką złościwości w oku informuje sprzedawczyni, oceniając grubość portfela klientki po jej markowych ciuchach, butach od Calvina Kleina i torebce od Prady. – Z ekspozycji, więc dostanie pani piętnaście procent zniżki.

– Och! Ile to będzie w dolarach? – Marysia szybko przelicza i coraz bardziej marszczy czoło. – Trzy i pół tysiąca... Hmm... – Zastanawia się, bo w Rijadzie kanapy do eleganckich salonów kosztowały nawet dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy dolarów, ale to zupełnie inna marka, rodzaj i wykonanie. Ta tutaj to zwykłe siedzisko obleczone skórą. – No dobrze. A fotele?

– Na fotele trzeba czekać. Ale będą w trzydziestym tygodniu, więc już niedługo.

– Potrzebuję także stołu, krzesel, łóżka, szafki nocnej, komody...

– Przykro mi. Wszystkie te produkty znajdują się w oddzielnych działach. Musi pani iść od parteru do czwartego piętra i tam, gdzie znajdzie pani mebel, zgłaszać chęć zakupu w punkcie sprzedaży. Pracownicy wprowadzą produkt na fakturę, która będzie sobie wisiała w sieci. Kiedy już wszystko pani uzbiera, wtedy pójdzie do kasy.

– O mój Boże! – Marysia boi się, że zakupy zajmą jej tydzień. – To jakaś gehenna!

– Spokojnie, da pani radę. To co, bierzemy tę sofę? Bardzo ładna i elegancka – namawia handlara z błyskiem w oku, bo już przelicza w głowie swoją prowizję.

– Kiedy możecie państwo ją dostarczyć? – dopytuje bogaczka.

– A to już nie nasza sprawa. – Młoda macha rękami, jakby odganiała od siebie problem. – Na koniec pójdzie pani do działu transportu, tam ustali termin i zapłaci za dostawę oraz montaż mebli.

– Kolejna skarbonka? Myślałam, że jak robię zakupy za taką bajońską sumę, to chociaż dostawa będzie gratis.

– Proszę, oto pani rachunek, do którego będą dopisywane kolejne sprawunki. – Sprzedawczyni nie ma ochoty wdawać się w jałową dyskusję. Takich trudnych klientów ma na pęczki, a dla każdego musi być miła, uprzejma i uśmiechnięta.

Marysia według zaleceń idzie od stoiska do stoiska i wyłuskuje meble, które może dostać od ręki. Okazuje się, że jest ich bardzo niewiele. Przeważnie jest to asortyment z ekspozycji, który stoi w sklepie pół roku albo i dłużej; meble wysiedziane i wymacane przez setki kupujących, a czasami pobrudzone jedzeniem przez dzieci. Kobieta, która absolutnie nie chciała używanych sprzętów, teraz płaci grube pieniądze za artykuły masowo testowane przez permanentnych oglądaczy i niedoszłych właścicieli, którzy całymi rodzinami chodzą do centrów handlowych niejednokrotnie tylko po to, by usiąść wygodnie na ekskluzywnej sofie czy w fotelu z funkcją relaks i pomarzyć. Aktualnie ich wszystkie marzenia zdeterminowana pół-Arabka bierze do domu.

– Transport dopiero za tydzień w piątek w godzinach wieczornych. Od dziewiętnastej do dwudziestej drugiej – na koniec przedstawicielka działu dostaw wylewa na głowę klientki kolejne wiadro zimnej wody.

– Nie da rady wcześniej?

– Nie. Można wziąć transport własny.

– To znaczy? – Marysia znów nie rozumie, choć pojedyncze słowa są jej znane.

– To znaczy własny! – Zmęczona długim dniem pracy i idiotycznymi pytaniami pracownica nieprofesjonalnie przewraca oczami. – Sama idzie i znajduje sobie ciężarówkę, kierowcę i dwóch tragarzy. Sama też nagrywa monterów.

– A gdzie sama ma to zrobić? – Marysia przejmuje bezosobowy styl wypowiedzi. Przypomina jej to sposób, w jaki zwracała się do niej prymitywna Beduinka, matka dżihadysty i mordercy, jej męża

Hassana, podczas zniewolenia w Syrii. Kiedy te reminiscencje opanowują jej umysł, gwałtownie blednie, zalewa się zimnym potem, a jej serce wybija rytm w zawrotnym tempie, zaś przed oczami pojawiają się czerwone pulsujące mroczki. Pochylona nad ladą, niespodziewanie chwieje się i kurczowo chwyta drewnianego blatu, chcąc zachować równowagę.

– Pani siądzie! Pani się źle czuje? Pani się napije wody! – Nagle pojawia się nad nią chmara pracowników. – Niech pani pije! Głęboko oddycha! I usiądzie!

– Dziękuję... – Marysia ociera pot z czoła. Jest jej strasznie głupio, bo wszyscy się na nią gapią jak na dziwoląga, a ona nie lubi być w centrum uwagi. – Już w porządku... – Uspokaja młodych ludzi, bo w ich jasnych, poczciwych oczach widzi szczerze zainteresowanie i niepokój. – Za dużo obowiązków spadło na moją głowę.

– Najlepiej, proszę pani, wziąć ten transport na poniedziałek i od razu z montażem – pracownica doradza już bardziej życzliwie. – Bo po nocy nikt nie będzie mógł skręcać mebli.

– Dlaczego? – pyta bezmyślnie pół-Polka, powolutku pijąc ożywczą zimną wodę.

– Sąsiedzi. Małe dzieci. Cisza nocna.

– Rzeczywiście. – Pół-Arabka znów ma inne doświadczenia. Po pierwsze, nigdy nie miała sąsiadów, bo mieszkała w domu, willi czy rezydencji, więc nie musiała się o to martwić. Małe dzieci w krajach arabskich chodzą spać w okolicach północy, bo dopiero wieczorem upalne powietrze się ochładza i da się żyć i bawić na dworze. Każdy żyjący w tropikach dosypia podczas najgorętszych godzin w środku dnia, chroniąc się przed upałem, odwodnieniem i wyczerpaniem. Zaś słowa „cisza nocna” w słowniku arabskim według Marysi nie ma, zwłaszcza podczas ramadanu. Wtedy wszyscy muzułmanie zamieniają noc na dzień, nawet wieczorem spożywając *iftar*¹⁷⁵. – To może nawet jeszcze przed przyjazdem mebli uda mi się zrobić mały remont? – Zastanawia się na głos ostatecznie zadowolona nabywczyni, a obsługa biura transportowego patrzy na nią z niedowierzaniem, choć nikt nie prostuje, że jej plany są nierealne. Może babka będzie miała szczęście?

Dostawca mediów przychodzi w umówionym terminie i po dziesięciu minutach wychodzi.

– Telewizja jest – oświadczają. – Internet będzie się wgrzywał do godziny. Umowę należy podpisać tu, tu i tu. – Stuka palcem w druk. – Pełne imię i nazwisko. Maria Salimi? Cóż to za nazwisko? Arabka? – Aż się jeży i z obrzydzeniem wydyma wargi, choć Marysia jest wobec niego uprzedzająco grzeczna i cierpliwa.

– Pół Polka, pół Arabka – mówi z dumą.

– Tej Polki to za bardzo nie widać. Cóż... Na Wilanowie pełno Arabów. Niestety. – Z tymi beczelnymi słowami na ustach technik wychodzi, nawet się nie żegnając.

– Niestety? Co za cham! – Marysia kręci się tam i z powrotem po pokoju, żeby się uspokoić.

W oczekiwaniu na internet postanawia prędko wyskoczyć do sklepu po laptopa. Przecież to dziecinnie proste zadanie, kiedy ma się saudyjską platynową kartę debetową z nieograniczonym limitem. Wystrojona, maszeruje żwawo do zamówionego wcześniej samochodu z Ubera, modląc się w duchu, żeby szofer był choć trochę bardziej kompetentny niż ten, z którym ostatnio miała do czynienia. Nie sądziła jednak, że wymodli sobie kierowcę rajdowego i na domiar wszystkiego Polaka.

– Wyprawa po sprzącik, co? – indaguje grzecznościowo mężczyzna, uśmiechając się przy tym szelmowsko i ruszając porozumiewawczo jedną brwią. – Czemu wpisała pani taki adres docelowy? W tej samej cenie zawiozę do większego centrum elektroniki. – Dodaje gazu jak na wyścigach, by za chwilę zahamować na światłach, aż Marysię rzuca do przodu, a potem na plecy.

– Wspaniale. Dziękuję panu. Informacje znalazłam w sieci – wyjaśnia, dumna z siebie. – Ponoć to największa polska sieć detaliczna oferująca elektronikę użytkową, telewizory i sprzęt RTV, duże i małe AGD, komputery, tablety, telefony, sprzęt fotograficzny, gry i konsole oraz akcesoria. Obecnie posiada multum sklepów w ponad stu miejscowościach oraz prowadzi sklep internetowy. – Czyta tekst z komórki, tak jakby mieszkaniec z nad Wisły o tym nie wiedział. – Myślę, że powinnam tam dostać wszystko, czego potrzebuję.

– Pewnie, pewnie, ale nie lepiej było kupić od razu on-line? Szybko, wygodnie.
– Obawiam się, że nie dałabym rady. Nie mam komputera, bo właśnie po niego jadę, ale przede wszystkim nie mam polskiej karty kredytowej. Mógłby być problem.

– A jaką kartę ma? – Znow ta bezosobowa forma, która doprowadza pół-Arabkę do szewskiej pasji.

– Saudyjską – odpowiada bez skrępowania, bo czegoż tu się wstydzić.

– A jak się rozlicza z Uberem? – Facet wyraźnie się niepokoi. – Jak mi zapłaci?

– Normalnie. Podałam w aplikacji numer karty i już. System zaakceptował. Przy takich groszowych opłatach nie ma problemu – podsumowuje bogaczka, a kierowca robi kwaśną minę, bo on takie grosze zarabia na codzienny byt swój i swojej rodziny.

– No nie wiem... Jak nie dostanę pieniędzy, to chyba w naturze będę musiał wziąć – żartuje uwodzicielsko jurny byczek z rozsadzającymi podkoszulek bicepsami, po czym ogląda się do tyłu, bo widać obserwacja we wstecznym lusterku mu nie wystarcza, i uśmiecha się brązowymi od kawy czy herbaty, a może nikotyny krzywymi zębami. – Wziąłbym w naturze, choć ten jej zapach to nos chce urwać. – Wraca do kółka, dodaje gazu i z wariacką prędkością mijają samochody, jadące zgodnie z ograniczeniami.

– To najdroższe na świecie perfumy na bazie drzewa agarowego...

– Andrusowego? – dalej błaznuje marny podrywacz. – Ja jestem warszawski andrus!

– Żony w Arabii Saudyjskiej nie zwykły płacić rachunków w naturze, szczególnie niespokrewnionym z nimi mężczyznom – zaznacza Marysia. – Gdyby jednak do tego doszło, mąż oderżnąłby takiemu kochasiowi najpierw łeb, a potem jaja – mówi zupełnie spokojnym głosem, ale widzi, że jej słowa przemawiają facetowi do rozumu, bo błędnie, a uśmiech pierzcha z jego ust.

Zadowolona ze swojej riposty i podbudowana na duchu, że jest taką twardą kobitką, wysiada bez słowa z tym razem rozrywkowego pojazdu i od razu kieruje się na odpowiednie stoisko w kolejnym wielkim centrum.

– Proszę mi polecić najnowszy model laptopa. Ma mieć dobry procesor, dużo pamięci, dobrą kartę sieciową i graficzną – wymienia wszystko, co wie, a że nie za bardzo zna się na elektronice, nie podaje żadnych szczegółów.

– Oczywiście. A jaka marka? – pyta wymuskany specjalista z zażelowaną fryzurą i kilkoma bransoletkami z koralików na nadgarstku. – Co pani preferuje?

– Nie wiem... HP? Lenovo? Dell? – Marysia szybko przywołuje w pamięci nazwy komputerowych firm, z którymi się zetknęła.

– W porządku. A do czego potrzebuje pani tego sprzętu? Do gier? – Fachowiec jakoś nie widzi kobiety budującej wirtualne światy, ale woli zapytać, niż trudzić się na darmo. Iluż osobom już dzisiaj podawał w kółko Maciejowi te same dane? Robi mu się niedobrze, jak o tym pomyśli.

– Potrzebuję laptopa do codziennego użytku. Do pogadania z rodziną na Skypie, na zakupy on-line, na mailing, Facebooka, Twittera... – wymienia klientka i sama się dziwi, że jej życie stało się tak bardzo skomputeryzowane. Pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno w Syrii była szczęśliwa, kiedy dysponowała przestarzałym telefonem, a jej siostra Daria nawet o takim nie mogła marzyć.

Młody człowiek prowadzi ją od jednego modelu do drugiego, a kiedy kobiecie już się jakiś spodoba, mówi:

– Przykro mi. Wyprzedany. Przykro mi. Nie mamy na magazynie.

– To co macie? – Marysia znow się denerwuje, bo przerastają ją tutejsze realia.

– Tylko zeszłoroczne modele z bardzo wysokiej bądź bardzo niskiej półki.

– Dlaczego? Przecież to największa sieć elektroniczna w Polsce! Jak tutaj nie dostanę, to już nigdzie! – Kobieta rozpacza, typowo po arabsku chwytając się za głowę, a następnie rozkładając ręce na boki.

– Cóż zrobić. Za tydzień, góra dziesięć dni znow powinniśmy mieć pełne półki i magazyny.

– A co się stało? Stanęły wszystkie taśmy produkcyjne w Polsce?

– Wręcz przeciwnie! Przez ostatnie trzy miesiące pracowały na wzmożonych obrotach...

w Chinach – śmieje się młodzian, zadowolony z przyjemnych pogaduszek. – Komunia – ogłasza.

– Co z komunią?

– No wszystko wyszło na prezenty komunijne. Super, nie?

– Ach, tak... – Marysia też się cieszy z zamożności polskiego społeczeństwa i z tego, że ludzi stać na takie drogie podarki dla siedmiolatków. – Dobrze wiedzieć. Wszędzie tak się dzieje? W całej Polsce?

– Nie mam pojęcia, ale w stolicy to musowo. Rozumie pani, pięćset plus... – Mężczyzna sugestywnie zawiesza głos, bo przecież w kraju nad Wisłą nawet dziecko wie, o co chodzi. Ale cudzoziemka jednak w tej kwestii nie indaguje, bo guzik ją to obchodzi.

– To co mam zrobić? – wraca do sedna swojego problemu. – Nie mogę czekać.

– Można wziąć z ekspozycji...

– Znowu? – Pół-Arabce chce się śmiać, bo wychodzi na to, że w Polsce zostanie zapaloną amatorką używanych rzeczy, podczas gdy w krajach arabskich nawet biżuterii nie kupowała z drugiej ręki, bo było to dla niej uwłaczające. – Mam nadzieję, że przynajmniej majtki i staniki można u was kupić nowe. – Nie potrafi się opanować i dogryza niewinnemu chłopakowi, który stara się przywrócić blask i połysk wymacananemu przez setki osób laptopowi, polerując go specjalną ściereczką nasączoną jeszcze bardziej specjalnym płynem.

Po kolejnych zakupach i bojach toczonych z poleconymi przez zaprzyjaźnioną ukraińską sklepikarkę malarzami, którzy farby używają nie tylko na ściany, ale chyba ją piją, bo znika hektolitrami, przerażona Marysia budzi się w środku nocy. Podbrzusze rozsadza jej znany już, ostry ból. Ledwo oddycha, serce wali jej jak młotem i instynktownie zwija się w kłębek.

– *Wallahi...* – jęczy. – Hamid! – woła pierwszą osobę, która przychodzi jej na myśl. – Pomocy!

Sięga po telefon komórkowy i już chce dzwonić do męża, ale zwycięża rozsądek. Przecież jej ostoja, aktualnie znajdująca się ponad siedem tysięcy kilometrów od Polski, nic nie będzie w stanie dla niej zrobić.

– Co mi jest? Mamo... – Jakże chciałaby zadzwonić przynajmniej do Doroty, ale rezygnuje z tego samego względu. – Jeszcze tego mi brakowało.

Po chwili gwałtowny ból sam z siebie słabnie, pozostawiając po sobie ćmiące zarzewie. Marysia postanawia nie lekceważyć objawów, ale oczywiście nie wie, gdzie ma się udać. Słyszała o Narodowym Funduszu Zdrowia, ale bez ubezpieczenia raczej jej nie przyjmą. Zresztą NFZ cieszy się tak złą opinią, że nawet Dorota wspominała, iż chodzi się tam tylko po zwolnienie, skierowanie do specjalisty i po to, by umrzeć. A Marysia umierać jeszcze nie ma zamiaru. W końcu przy pomocy profesora Google znajduje polsko-amerykańską klinikę, pierwszy całkowicie prywatny i profesjonalny szpital oraz sieć rozrzuconych po Warszawie podległych jej przychodni. Znając podobne placówki z Rijadu, bo Amerykanie wchodzą we wszystkie saudyjskie biznesy, postanawia z niej skorzystać. Nawet na zdjęciach polsko-amerykańskie ośrodki przypominają jej te rodzime, saudyjsko-amerykańskie. Załatwienie wszystkiego przez internet jest dla zbolelej, roztrzęsionej kobiety wręcz niemożliwe. Tym razem bardzo przydatna okazuje się infolinia. Po raz pierwszy Marysia styka się z osobami życzliwymi i pomocnymi, tak jakby specjalnie dedykowanymi wrażliwemu choremu pacjentowi.

– Mam aplikację! – Pół-Arabka jest z siebie bardzo zadowolona, bo w Saudi takich rzeczy nigdy sama nie załatwiała, a teraz staje się samodzielna i obyta w wirtualnym świecie. – Tak, działa!

– Cieszę się. – Uprzejmy kobiecie głos wpływa na nią kojąco. – Teraz proszę zapłacić za pakiet...

– Kolejny pakiet? – Cierpiąca ma już dość. – Wszędzie tylko pakiety...

– Zrobimy tak, żeby zadziałał od razu, a nie od pierwszego przyszłego miesiąca.

– Do tego czasu nie dożyję! – rozpacza chora.

– Proszę tak nie mówić! Nawet żartem. – Tembr głosu telefonistki wyraża smutek, ale zarazem

naganę. – Teraz znajdziemy specjalistę.

– Na waszej stronie widzę jakieś arabskie imię i nazwisko. Niemożliwe! – Marysia cieszy się ogromnie, że w końcu znalazła swojaczkę.

– Bardzo możliwe. Pani doktor Salma jest Marokanką, która ukończyła polski uniwersytet.

– Widzę. Nawet warszawską akademię medyczną!

– Jednak czas oczekiwania na wizytę do niej wynosi co najmniej dwa tygodnie.

– Nie dożyję... – Marysia znów popada w depresję.

– Proszę dać mi dziesięć minut. Oddzwonię do pani.

Na święte nigdy, myśli zboląta kobieta, dalej studiując informacje o arabskiej lekarce nad Wisłą. Studia na Uniwersytecie Warszawskim, i to nie dla cudzoziemców, ale dla Polaków, czyli wszystko w języku polskim. Specjalizacja w Polsce i w Londynie. Mąż tutejszy, też medyk. Na zdjęciu widać uśmiechniętą, czarnowłosą i czarnooką trzydziestoparolatkę, do której Marysia od razu czuje sympatię. *Proszę cię, przyjmij krajanekę, zanim rozsypie się na kawałki z bólu*, błaga w duchu, wbijając wzrok w zdjęcie.

Po niespełna dziesięciu minutach dzwoni telefon i radosny jak u skowronka głosik informuje:

– Ma pani termin! Wizyta dzisiaj o godzinie osiemnastej. Pasuje?

– Oczywiście, kochana moja! Jakże ja się pani odwdzięczę! – Pół-Arabka z chęcią wręczyłaby swojej zbawicielce bakszysz, bo przecież za tak wielką przysługę bezwarunkowo jej się należy.

– Pani satysfakcja jest dla mnie nagrodą – odpowiada recepcjonistka, a Marysia zastanawia się, czy mówi to z serca, czy nauczono ją tego.

– Gdzie mogę panią spotkać? – dopytuje. – W którym oddziale?

– Biura infolinii znajdują się w Katowicach. Dziękuję za telefon i cierpliwość. Proszę się z nami kontaktować, ilekroć zajdzie taka potrzeba.

Do centrum medycznego Marysia ma dosłownie żabi skok, dziesięć minut na piechotę, bo na bogatym Wilanowie znajduje się i amerykański szpital, i przychodnia. Dzisiaj jednak ciężko jest jej maszerować, ale przychodzi do kliniki równo o czasie. Od razu udaje się pod gabinet ginekologiczny i z duszą na ramieniu siada na krześle. Cierpliwie czeka dziesięć, piętnaście minut, zastanawiając się, czy nawet w prywatnej klinice pacjent musi grać fotel. W końcu traci cierpliwość i ustawia się w kolejce do rejestracji.

– Wizyta pani przypadła – informuje ją tym razem mniej życzliwa pracownica. – Nie zarejestrowała pani swojego przybycia ani osobiście na komputerze – wskazuje palcem na sprzęt umieszczony przy drzwiach – ani u mnie. Przykro mi.

– Nic się nie da zrobić? – Kobieta jest przerażona, bo boi się, że kolejnej nocy w bólu nie przetrzyma. – Cudem wskoczyłam na ten termin.

– No nie wiem... Muszę sprawdzić.

Okazuje się, że cierpiąca ma szczęście w nieszczęściu – lekarka sama decyduje o jej przyjęciu.

– *As-salamu alejkum* – doktor Salma od razu zaczyna po arabsku.

– *Wa alejkum as-salam* – odpowiada Marysia, czując, że nie tyle jest uratowana pod względem zdrowotnym, ile psychicznym.

– W czym problem?

– We wszystkim, *saida doktora*176. Jestem tu nowa i cała tutejsza rzeczywistość jest dla mnie jedną wielką niewiadomą. A teraz jeszcze te tragiczne bóle. Co mi jest? – Z oczu zagubionej kobiety powolutku spływają łzy. – Masakra jakaś!

– To może najpierw zapraszam na fotel. Zbadamy się, a potem umówimy na kawę.

* * *

Po wykonaniu serii badań i analiz, z których nic nie wynika, Salma przepisuje swojej nowej pacjentce środki przeciwbólowe i rozkurczowe, a profilaktycznie też przeciwgrzybicze, upatrując źródła bólu w stresie i zmianie klimatycznej.

– To znaczy, że nie mam raka? – upewnia się Marysia nie przy obiecanej kawie, ale przy piwie,

bowiem na Wilanowie są wspaniałe piwne krafty, gdzie można się napić chmielowego napoju rzemieślniczej roboty, który rozwiązuje języki, co na pierwszym spotkaniu bardzo się paniom przyda.

– Co za bzdury opowiadasz?

– Wiesz, taka obsesja teraz panuje. Gdziekolwiek spojrzeć, tam ktoś umiera na tę paskudną chorobę. Jakby zapanowała epidemia.

– Bez paniki, bez nerwów. Markery też zrobiliśmy, więc póki co możesz spać spokojnie.

Przeszłaś w ostatnim czasie jakiś silny uraz psychiczny?

– Cóż... Poproszę inny zestaw pytań.

– Czyli tak?

– A kiedy ja nie miałam stresowych sytuacji?

– No kiedy?

– Nie przypominam sobie, bo były to tak krótkie chwile, że zostały zupełnie wymazane z mojej pamięci przez długie okresy burzy i naporu.

– Ciekawe. A w moim życiu nie dzieje się nic interesującego – wyznaje Salma z figlarnym ognikiem w oku. – Szczęśliwe, bogate dzieciństwo i bujna młodość w Maroku, stypendium w Polsce, studia na uniwersytecie, przystojny niebieskooki blondyn, miłość, ślub, rozwód... Nuda. – Podśmiechuje się kpiarsko, nie mówiąc jednak wszystkiego, bo na dnie jej duszy tli się niezagojony, ukryty żal, którym nie tak łatwo jest się podzielić z nieznaną.

– Muzułmanka wychodząca za mąż za białego chrześcijanina to już jest afera stulecia, więc nic nie gadaj. Rodzina ci na to pozwoliła? – Marysia nie może się nadziwić.

– Mój ojciec jest wojskowym, a normalni arabscy wojskowi są niezbyt religijni w odróżnieniu od dżihadystów czy mudżahedinów¹⁷⁷, którzy na przekłamaniu religii budują swoją chorą walkę.

– A teraz pozwalają ci samej żyć w obcym kraju, samej mieszkać, decydować o sobie? To ewenement!

– Tak samo twierdzą moje koleżanki Arabki. Poznasz je niedługo, ale raczej przy zielonej herbatce i słodyczach. Piwo dla większości z nich jest *haram*.

– To tu jest tyle muzulmanek, że aż udało się ekipę skompletować?

– Kochana! Na samym twoim osiedlu mieszkają dwie rodziny. Trzeba liczyć z sześć kobiet, drugie tyle nastolatków i z tuzin maluchów. A gdzie reszta Wilanowa? Jeszcze musisz dorzucić polskie konwertki.

– Boże! Tego właśnie nigdy nie lubiłam w arabskich familiach. Ich liczebności i hurmy ludzi dookoła. Ale na obczyźnie nawet się za tym tęskni.

– Jak już tak rozmawiamy, to może mi powiesz, jakich to przejść w życiu doświadczyłaś? Może mogłabym ci pomóc? – Salma mówi spokojnym głosem, który wycisza i uspokaja Marysię. Pół Polka, pół Libijka od pierwszej chwili jest Marokanką zauroczona i traktuje ją jak najlepszą przyjaciółkę lub kochaną starszą siostrę. Mogłaby jej powiedzieć wszystko, nawet najgorsze rzeczy, o których nie wspomniała ani matce, ani tym bardziej Hamidowi.

– Szczęśliwe dzieciństwo, bujna młodość... – Marysia powtarza słowa beztrioskiej Arabki. – Obyś żył w ciekawych czasach. Tak brzmi chińskie przysłowie, albo raczej przekleństwo. Dorzuciłabym jeszcze: obyś żył w ciekawych miejscach. – Uśmiecha się smutno i milknie na chwilę, układając w głowie swoją historię, bo chce ją jak najprościej i jak najszybciej przekazać. Nie ma też zamiaru się rozgadywać, bo temat dla niej nie jest przyjemny, ale wie, że dla zdrowia psychicznego lepiej w końcu wszystko z siebie wyrzucić.

Dwie typowe arabskie piękności, a zarazem eleganckie, nowoczesne kobiety, siedzą wygodnie na plastikowych ogrodowych krzesłach w urokliwym miejscu i obserwują otaczających je ludzi. Krąży opinia, że w Wilanowie mieszkają najpiękniejsi Polacy, bowiem to tutaj osiedla się artystyczna bohema stolicy. Przyjemnie jest się przyglądać, jak odpoczywają po lub przed pracą, która nie zostawia odcisków na ich dłoniach ani potu na czole. Ubrani są ekstrawagancko i bogato, noszą wyglancowane markowe buty i wielkie modne skórzane torebki. Jeśli idzie o nałogi, to największym w tej dzielnicy jest bycie fit i eko, co widać po zatłoczonych traktach do biegania, ścieżkach rowerowych czy fitness

klubach, których jest już chyba więcej niż sklepów spożywczych. Marysia relaksuje wzrok i daje odpocząć duszy, podziwiając pulsującą, podświetlaną kolorami fontannę na tle zieleni i sącząc zimny trunek, który przyjemnie musuje na podniebieniu.

– Moje dzieciństwo nie było różowe – podejmuje opowieść – choć wtedy oczywiście nie zdawałam sobie z tego sprawy. Skutki nieodpowiedzialnego postępowania otaczających mnie dorosłych były tragiczne, a kiedy mnie dosięgnęły, cierpiałam. Moja głupia i łatwowierna polska blond mama prosto po maturze, będąc już w dość zaawansowanej ciąży ze mną, wyszła za mąż za Libijczyka, z którym nie miała łatwego życia. Tym jednym jedynym krokiem zagwarantowała mi wesołą przyszłość i niezłe jazdy – kpi, a Salma rozsiada się wygodniej, bo czuje, że będzie to długa, zapierająca dech w piersiach historia. – Pojechaliśmy do Libii, kiedy byłam małą dziewczynką i jeszcze nie chodziłam do szkoły. Wszyscy widzieli, że mój tatulek Ahmed traktuje mamę w szowinistyczny, typowo arabski sposób. Jak chciał, to był miły, czuły, kochający i dawał jej szczęście, tym samym przywiązując ją do siebie coraz bardziej. Częściej niestety był sobą, to znaczy odpychającym, wrednym draniem o sadystycznych skłonnościach. Potem, już jako dorosła kobieta, dowiedziałam się, że znęcał się nie tylko nad nią. Molestował też swoją młodszą siostrę Samirę.

– A to dziad jeden! – oburza się Salma. – Drań cholerny! – mówi po polsku.

– Co gorsza, cała rodzina wiedziała o tym i nic nie mogła poradzić. Samcza bezkarność w arabskim kraju!

– Gówno prawda! – wykrzykuje Marokanka. – Zależy w którym kraju i w jakiej rodzinie! U mnie byłoby to nie do pomyślenia.

– To super miałaś. Już ci mówiłam, że musisz mieć niezwykłą i nietypową arabską rodzinę.

– Smutno słuchać, jak powszechnie jest wykorzystywanie kobiet przez mężczyzn w imię prawa szariatu. Niech to licho! Sama w sobie religia muzułmańska naprawdę nie jest taka zła.

– Wiem, nie przejmuj się. – Marysia poklepuje zbulwersowaną po drobnej dłoni. – Moja mama próbowała się wydostać z Libii, ale mogła to zrobić tylko i wyłącznie sama, beze mnie, bo jak wiesz, według muzułmańskiego prawa dziecko należy do ojca, a nie do matki. Dlatego też Dorota została w Libii i poświęciła siebie dla dobra rodziny. Po pewnym czasie, dla mnie w miarę spokojnym, ojciec wywiózł nas z Trypolisu na farmę pod miastem. Dla dzieciaka tam było fajnie – otwarte przestrzenie, świeże powietrze, piasze wędrowniki, nieograniczona wolność. Nie mogę też powiedzieć, pięknie ją urządził, ale dla mamy to musiała być złota klatka na całkowitym odludziu. Jednak tak ja, jak i ona przeżyliśmy tam chwile szczęścia. Kolejnym owocem chorej miłości moich rodziców była moja młodszą siostrą Daria. Jednak beztrudne życie trwało dosłownie chwilę. Później zaczęło się prawdziwe piekło. Ten idiota, mój tatuś, związał się z fundamentalistami.

– O jasny gwint! – Arabka sztywnieje, bo nie chce mieć z takimi ludźmi nic do czynienia, a nie wie, czego ma się spodziewać po Marysi, której przecież tak naprawdę wcale nie zna.

– Nie bój się, ja nie z takich! – Chichra pół-Polka, choć spodziewa się, że kiedy w końcu poda nazwisko swojego męża, Marokanka będzie w szoku. *A może nie mówić?*, zastanawia się, bo nie chciałaby stracić nowej przyjaciółki.

– To mnie uspokoiłaś. – Salma oddycha z ulgą. – I co? Posadzili twoją tatę? Skazali? – pogania wciągnięta w opowieść słuchaczka.

– Niestety, nie, choć ekstremizm w Libii zawsze karany był śmiercią. Po fundamentalistycznej aktywności ojca wszyscy się spodziewali, że pójdzie on w piach nie tylko wraz ze swoją libijską rodziną, ale także z nami.

– U nas też tak jest w tym względzie – przytakuje lekarka. – Ale tak powinno być, żeby zaraza się nie rozpleniła. Dzieci, wychowane w takich ekstremistycznych grupach, są zainfekowane i wyrastają z nich późniejsi terroryści. – Wychodzi na to, że jednak ma typowo orientalne podejście w kwestii sądownictwa i kar.

– Mój ojciec, Ahmed Salimi, załatwił sobie dyspensę – z goryczą w głosie snuje opowieść pół-Libijka. – Kochający mąż bez namysłu i skrupułów sprzedał żonę, czyli moją mamę, za swoją pieprzoną fundamentalistyczną skórę, a przedstawiciel libijskiej policji do walki z terroryzmem przyjął

zapłatę za jego wolność w naturze.

– Niewyobrażalna podłość! – kwituje Salma i zaciska zęby, bo w swojej pracy na co dzień styka się z ofiarami seksualnej przemocy i wie, jaki stres pourazowy przeżywają te nieszczęsne kobiety.

– Po pohańbieniu ojciec wywiózł swoją żonę, już bezużyteczną, na Saharę do dalekiej rodziny, zaś mnie i Darię oddał pod opiekę babci Nadii i jej córek, naszych ciotek.

– Sahara... Jak biała kobieta mogłaby tam przeżyć? – wtrąca Salma. – Muszę poznać twoją mamę.

– Koniecznie. Na pewno mnie odwiedzi, to będzie dobra okazja. – Marysia czuje, że Dorota nie zrezygnuje z wizyty, a z Salmą na pewno się polubią.

– Rozumiem, że dała radę ta twoja matka-bohaterka?

– Oczywiście! Chociaż przez Beduinów była traktowana jak wyrzutek społeczeństwa i niewolnica do wszystkich najcięższych robót. Po dwóch latach uciekła z niewoli. Widzisz, jaka babka! – Marysia aż klaszcze w ręce z radości. – Na Saharze natknęła się na swojego następnego męża, który szczęśliwym trafem był tam na wycieczce. Notabene zdążyła się z nim rozwieść.

– Już ją lubię! – żartuje wyzwolona Arabka. – A co w międzyczasie działo się z tobą? Jak dawałaś sobie radę z rozłąką z rodzicami i dziecięcą traumą?

– Byłam z siostrą, ciotkami i babcią Nadią. Zwiedziłam trochę świata, bo los rzucił nas aż do Ghany.

– Ale bez mamy.

– Oczywiście. Byłyśmy same kobiety z rodu Salimi i może dlatego było tak fajnie. Odpoczywałam od ojca, a miłość do mamy ukryłam głęboko na dnie mojego małego serduszka.

– Tak to się dzieje, choć uraz wcale nie znika.

– Kiedy tylko mama wróciła z Sahary do Trypolisu, postanowiła odzyskać mnie i Darię.

– To rozumiem! – Salma znów reaguje żywiołowo, najpierw wyrzucając ramiona do góry, a następnie przytykając dłonie do ust. – Istna bojowniczką o prawa kobiet!

– Nie ciesz się zawczasu. Niestety, byłam krnąbrna już jako dziecko, nie wspominając o okresie dojrzewania, więc jak uparta kretyńka zostałam na długie lata przy libijskiej rodzinie. Nie dałam się przekonać. Głupia gęś ze mnie. – Po tak długim czasie Marysia mówi o tym już prawie spokojnie. – Sama sobie byłam winna.

– Mieszkałaś potem jeszcze w Libii?

– Przez chwilę, bo znowu trzeba było uciekać przed ojcem. Tym razem jedynie z babcią udałyśmy się do dalekiej rodziny do Jemenu. Byłam tam bardzo szczęśliwa. Zupełnie zapomniałam o mamie i moim prawdziwym domu. Jednak właśnie w Arabii Felix po raz pierwszy zetknęłam się z groźnym terroryzmem i fundamentalizmem islamskim.

– Mój ty Boże! W jaki sposób? To zwykłych ludzi nie dotyka i nie dotyczy!

– Widać jestem niezwykła. – Pół-Polka uśmiecha się tajemniczo, zastanawiając się szybko, czy to dobry moment, by ujawnić nazwisko Hamida. – Moja babcia zginęła jako przypadkowa ofiara zamachu na mały spożywczy markecik – mówi, nie podając szczegółów. – A my z moim ślubnym wyjechaliśmy wtedy do Arabii Saudyjskiej.

– Ty nie masz pecha, dziewczyno, po prostu jesteś zawołaną brawurową podróżniczką, która na swej niezwykłej życiowej trasie spotyka niebezpieczeństwo – na swój sposób określa jej perypetie Salma. – W sumie też bym tak chciała. Libia, Ghana, Jemen, Arabia Saudyjska... Co dalej?

– Dopiero po ponad piętnastu latach rozłąki odnalaz-łyśmy się z mamą właśnie w Rijadzie.

– Ale jazda! – Teraz Salma się ekscytuje. – Chwalić Pana!

– Jednak, jak to u mnie bywa, sielanka nie trwała zbyt długo. Obie z Dorotą mamy straszliwie skomplikowane życie. A może same je sobie komplikujemy? – Marysia zastanawia się na głos, po czym wyznaje ze smutkiem: – Wybrałyśmy się w sentymentalną podróż do Libii akurat w momencie wybuchu arabskiej wiosny. Straciłam wtedy praktycznie całą najbliższą libijską rodzinę. Znalazłyśmy się w złym miejscu i o złej porze. A potem już nie było odwrotu.

– Jakim cudem udało się wam stamtąd wyrwać?
– Uciekliśmy dopiero po zakończeniu libijskiej rewolucji, ale przed wojną domową, więc nie było jeszcze aż tak źle.

– Szczęście w nieszczęściu...

– Potem oddałam się życiu rodzinnemu, miałam córeczkę... – Wzdycha ciężko. – Jednak ją straciłam. – Wspominając tamte czasy, Marysia ma łzy w oczach.

– Mąż ci ją zabrał? Ach, ci wahabici!

– Nie, została porwana przez pewną wredną saudyjską księżniczkę...

– Jaja sobie ze mnie robisz? – Marokanka marszczy czoło. – Opowiesz mi jakieś bajki?

– No, kochana, mówiłam, że u mnie trauma goni traumę. Sama chciałaś słuchać tych moich opowieści.

– I dalej chcę! Ale ty masz fantastyczne życie! Może nie zawsze radosne i szczęśliwe, ale niepowtarzalne! – Arabka tęskni za przygodami, jakby nie zdawała sobie sprawy, że nadmiar ekscentryzmu to klątwa. – Ja nawet jak mam radość, to przyziemną, a jak tragedię, to podobną do tej, jaką przeżywają miliony. Córka, kiedy odchodzi, to umiera, a nie zostaje porwana akurat przez jakąś fantastyczną księżniczkę.

– To prawda, oryginalności mi nie brakuje – podśmiechuje się Marysia, nie zwracając uwagi na zakamuflowane wyznanie nieszczęśliwej kobiety, która pod pogodną maską ukrywa swój ból. – Przez to największe nieszczęście, jakiego może doświadczyć matka, rozwiodłam się z porządnym i cudownym facetem i wyjechałam do Tajlandii. Tak na marginesie, odchodząc, byłam w ciąży z Hamidem, który na pożegnanie podarował mi naszego synka, Adila.

– O ja nie mogę! Ależ z ciebie aparatka! – wykrzykuje podekscytowana Salma. – I co dalej?

– Moja kolejna rewelacyjna decyzja: oddałam syna jego ojcu. Dobrowolnie. – Arabka już nic nie mówi, nie komentuje, tylko podnosi do góry swoje czarne brwi i wytrzeszcza oczy. – Byłam wolna, więc kiedy poznałam dobrego pół Azjatę, pół Araba, wysłałam za niego za męża.

– I gdzie tym razem powiozłaś swoją chudą dupę? – Marysia stwierdza, że Salma jest ewidentnie zazdrosna o jej przygody, pomimo że w większości są one tragiczne w skutkach.

– Z Tajlandii do Indonezji. – Postanawia jednak kontynuować opowieść, żeby dobić interlokutorkę ostatnimi swoimi dziejami i wyleczyć z pragnienia ekscytujących przeżyć i żądz niebezpieczeństwa. – Moje decyzje wpłynęły na całą moją rodzinę, bo mama z mężem Łukaszem, moją siostrą Darią i przyrodnim bratem Adasiem przylecieli na mój ślub i zakochali się w Azji. Dorota zamieszkała na Bali, a Łukasz w Dżakarcie ze swoją młodą indonezyjską kochanką. Rozwiedli się bardzo ugodowo, ale wtedy zaczęła się kolejna lawina nieszczęść w ich i moim życiu.

– Jasna cholera! U was to rzeczywiście nie ma chwili spokoju. Człowiek nie może być niczego pewny. – Arabce aż się kręci w głowie. – Gehenna!

– Cóż, teraz wspomnę o mamie i mojej rodzinie, bo to wszystko się wiąże. Dorota miała romans z Balińczykiem, pięknym chłopakiem o ponad dwadzieścia lat młodszym od niej, ale problem sam szybko się rozwiązał, bo go zamordowali. Błyskawicznie się z tego pozbierała i zadała z Australijczykiem, który handlował narkotykami. Przy okazji jego uwięzienia schwytano współniczkę handlarza, piękną Polkę w wieku średnim, i zamknięto w więzieniu Kerobokan, które rozstawia rajską wyspę Bali na cały świat. Mamusia ledwo co wymigała się przed wyrokiem śmierci, który jest zasądzany wszystkim powiązanym z narkotykowym biznesem, winni czy niewinni.

– Ech! Ale ty to wszystko ze swadą opowiesz! – Rozbawiona Salma z wypiekami na twarzy z uciechy aż klepie się po udach. – Powinnaś o tym napisać książkę!

– Żeby czytelnicy mieli traumę? Daj spokój. – Krasomówczyni lekceważąco macha ręką, choć pochlebstwa sprawiają jej wielką przyjemność. – Jestem zwyczajną gadułą, ot co.

– To gadaj dalej, kochanieńka, a ja zamówię nam następne piwko – proponuje lekarka, puszczając oko do Marysi i dając znak kelnerce. – Za taką opowieść należy ci się!

– Mówiłam ci, życie moje i mojej rodzinki niestety nie jest nudne, choć wiele bym za takie dała. Koleje pisanego nam losu często są niesamowite i nie do wyobrażenia. Tak widać musi być.

– Jak twoja mama wydostała się z azjatyckich lochów? Uciekła?

– Pytanie za sto punktów! – Marysia podnosi głos, chcąc podgrzać i tak już gorącą atmosferę i wzmóc efekt kolejnej szokującej informacji. – Mój były mąż, który miał, i wciąż ma, niezłe układy, przyjechał do Indonezji ze swoją młodą żoną i naszym synkiem Adilem. To on wyciągnął Dorotę z tego najgorszego pierdła na świecie.

– Ładnie. – Salma już się domyśla ciągu dalszego, bowiem tym razem jest to logiczny bieg wypadków.

– Hamid zaangażował się w wyciągnięcie byłej teściowej z więzienia, a przy okazji znów rozkochaliśmy się w sobie, choć w zasadzie nasza miłość nigdy nie wygasła. Jednak nie chcąc krzywdzić naszych ówczesnych partnerów, musieliśmy zapanować nad naszym uczuciem. Wyglądało na to, że wszystko zaczyna się w miarę układać. Mama odzyskała wolność, Łukasz wyzwolił się spod wpływów indonezyjskiej kurewki i wszyscy spotkaliśmy się w cudownym wakacyjnym resorcie. Przez krótką chwilę wydawało się nam, że już nic nami nie wstrząśnie, że wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie. Jednak na naszej drodze stanął fundamentalista, terrorysta samobójca, który właśnie tam musiał się wysadzić. Pieprzony *shahid!*178

– Nienawidzę ich – syczy Salma z groźnym błyskiem w oku. – Nienawidzę ich całym sercem.

– Ja też ich nie znoszę. W tym zamachu zginęło mnóstwo ludzi, również moja ówczesna teściowa i młoda żona Hamida, a drugie tyle zostało rannych. Po tym wszystkim moi rodzice z Adasiem wyjechali do Polski, zaś ja z mężem Karimem i mój były Hamid z Adilem – do Rijadu. Towarzyszyła nam moja siostra Daria, której w Anglii się nie powiodło i liczyła na łatwe życie u naszego boku. Jednak najgorsze dopiero miało nadejść...

– Co znowu?

– Romans i zniknięcie młodzietki Darii. – Marysia ciężko wzdycha. – Od tej chwili zaczęły się już totalne pańskie jaja.

– Kogóż ona poznała? Zwykłego drania czy wyrafinowanego opryszka?

– W samolocie do Rijadu natknęła się na takiego jednego bandziora. Bezczelny, impertynencki, pewny siebie i patrzący na człowieka z wyższością i pogardą. Farbowany Brytyjczyk, John Smith, omotał moją siostrę.

– Bił ją? Znęcał się? – Marokanka rozpatruje nieudany związek ze zwykłej perspektywy.

– To nie ta para kaloszy, moja droga – zaprzecza ironicznie pół-Polka. – Najpierw zafundował jej cudowną podróż po Azji, Europie i Afryce, by wziąć ją za żonę w Egipcie, a na koniec zniewolić w Syrii.

– W Syrii? Toż tam niebezpiecznie! Czego on tam szukał?

– Kalifatu.

Zapada cisza. Każda z kobiet przeżywa sytuację na swój sposób. Salma boi się, że ta wypisz wymaluj Arabka jest jednak związana z fundamentalizmem, a Marysia cierpi od nowa, wspominając utratę siostry.

Marokanka odzywa się pierwsza:

– Nadal tam są? Współczuję ci.

– Ja z moim aktualnym saudyjskim mężem, tym pierwszym i jedynym ukochanym, do którego w końcu powróciłam, głupio postąpiliśmy i pojechaliśmy za Darią, żeby osobiście sprowadzić ją do domu. – Marysia przechodzi do najciekawszych i najświeższych wieści, spod oka obserwując rozmówczynię.

– Że co? Wybraliście się do Państwa Islamskiego? – Salma ścisza głos i pluje przez ramię, by odegnąć zły urok. – Oszałeliście?

– Chyba tak. – Wątpliwa bohaterka uśmiecha się ze smutkiem. – Cały czas byliśmy o jeden krok za nimi, jednak odnaleźliśmy ją dopiero w Rakce.

– W Rakce? Stolicy kalifatu? – Rozmówczyni niebezpiecznie błędnie. – Nie chce się wierzyć...

– Z powątpiewaniem kręci na boki głową. – To coś niesamowitego. Nie-wy-o-bra-żał-ne!

– Tam gehenna Darii dopiero się zaczęła. Jej mąż okazał się fundamentalistą. Jasem Alzani

alias179 *dżihadi* John urządził niejedną krwawą jatkę, nawet na jej oczach. Zbiegiem okoliczności w jego łapska dostał się mój drugi, wtedy już były mąż Karim, który udał się do Syrii w konwoju Lekarzy bez Granic.

– Sama miałam taki szalony pomysł, by z nimi współpracować. Chciałam pomóc nieszczęsnym ludziom w okupowanym kraju – wyznaje lekarka. – Ale stchórzyłam. – Ze wstydu zaciska szczęki i spuszcza wzrok.

– Nie masz czego żałować – pociesza ją przyjaciółka. – To by było samobójstwo. Na scenie teatru w Palmirze *dżihadysta*, mąż mojej siostry Darii, osobiście maczetą obciął głowę doktorowi Karimowi. Zabito wtedy mnóstwo niewinnych ludzi, w tym ochotników z charytatywnego transportu. *Dżihadyści* urządzili sobie igrzyska śmierci.

– *Wallahi!* I co dalej? Gdzie ta nieszczęśniczka teraz jest?

– Jeszcze przed upadkiem kalifatu uciekli stamtąd jak szczury z tonącego okrętu. Jasem zmienił tożsamość i wygląd. Wspólnie udali się do Kataru.

– A ty za nimi – podśmiechuje się zbulwersowana kobieta, która myślała, że miło na luzie spędzi popołudnie, a tymczasem po strasznych opowieściach sama jest w traumie i aż się spociła jedynie od słuchania wstrząsających historii.

– Nie tak prosto, moja siostró – pokpiwa Marysia, zastanawiając się, czy powinna opowiedzieć przerażonej, delikatnej kobiecie o swoich ostatnich przejściach. – Ja zostałam w Syrii. – Wypala ostatecznie.

– Jak to? Ona uciekła, a ty zostałam?

– Tak właśnie.

– Spodobało ci się czy jak? Kurwa mać! – Salma przeklina typowo po polsku i wali małą piąstką w stół.

– Mnie i mojego męża schwytały fundamentalistyczne świnię.

– Na Allaha! Nie!

– Jego niemal na śmierć otruli, a mnie zabrali ze sobą. Prawie rok byłam w niewoli u *dżihadysty* Beduina, który wziął mnie za żonę.

– Dobrze, że teraz jesteś tutaj. Bezpieczna. – Salma chwyta Marysię za rękę i ściska pokrzepiająco. – Moja ty nieszczęśniczko! Wszystko będzie dobrze. Już wszystko będzie dobrze... – Głos jej się łamie i prawie szlocha.

– Tak, wiem. Udało mi się stamtąd wydostać.

– A ta blizna na twoim brzuchu? – Lekarka z dyskrecji nie zapytała w gabinecie, ale cały czas ją to nurtuje.

– W obozie dla uchodźców w Jordanii, gdzie ostatecznie wylądowałam, w babskiej awanturze dostałam kozikiem i straciłam dziecko. Spłodził je terrorysta, więc niby nie ma czego żałować...

– Zawsze to niewinne nienarodzone życie.

– Nie pierdol, kobieto! – niegrzecznie klnie pół-Polka, bo od tych wszystkich traumatycznych reminiscencji już szumi jej w głowie. Jednak gdy Salma od niej odskakuje, od razu się beszta: *Za dużo powiedziałam. Nikt by tego nie wytrzymał. Już mam po przyjaciółce...*

– Co z twoim mężem? – głucho pyta urażona Marokanka.

– Żyje. Cudem ocalał. Jest schorowany, ale najważniejsze, że wciąż chodzi po tym świecie.

– A twoja siostra?

– Z Kataru udała się do Arabii Saudyjskiej, ale nie zechciała ani nas odwiedzić, ani do nas wrócić. Ona już nie jest nasza – należy do niego. Arabska żona *dżihadysty*.

– Nie wiesz tego do końca. Nie przekreślaj jej. – Dobre serce Marokanki każe jej wybaczać każdemu.

– Może. Ale na pewno nigdzie już za nią nie pojedę. Już nie będę dla niej narażać siebie ani nikogo innego. Aktualnie Daria najprawdopodobniej jest w Libii.

– W Libii? Czyli tak jakby wróciła do domu...

– To żaden jej dom. Wyjechała stamtąd jako bobas, a teraz jest dorosłą kobietą.

– A dla ciebie który kraj jest ojczyzną? – Lekarka chce zmienić temat, bo widzi, że Marysia zrobiła się drażliwa. – Polska, Libia, Arabia Saudyjska?

– Myślę, że Arabia. W głębi serca jestem cholerną Arabką, przez co w tym cudownym kraju nad Wisłą nie czuję się jak u siebie.

– Na początku zawsze tak jest. Każdy w nowym miejscu się boi i ma wrażenie wyobcowania. Szok kulturowy. Polska to najwspanialsze miejsce na ziemi – wyznaje naturalizowana Słowianka. – Ja zakochałam się w niej dwadzieścia lat temu, od pierwszej chwili, i do dziś mi nie przeszło.

– Możliwe – wzdycha Marysia. – Mąż przed moim wyjazdem prosił, żebym poszukała dla nas spokojnego i bezpiecznego miejsca. Tutaj, w Europie.

– To kiepski moment. – Salma robi kwaśną minę i cyka językiem o podniebienie, wyrażając negację. – Za dużo arabskich uchodźców.

– Też mu to mówię, ale on twierdzi, że ma fach w ręku, nie jest biedakiem ani terrorystą, więc może miałby szansę. We dwójkę skłaniamy się ku lokalizacji naszego ośrodka życiowego tam, gdzie cudzoziemcowi może nie jest łatwo, ale za to może się czuć bezpiecznie. To teraz liczy się najbardziej. A takim miejscem jest właśnie Polska, więc wygląda na to, że będę musiała spróbować się tu odnaleźć.

– A co takiego robi ten twój men? Jest lekarzem? Tych zawsze i wszędzie niedosyt.

– Nie, jest inżynierem architektem. – *Ifunkcjonariuszem saudyjskiego wywiadu*, dorzuca w duchu pół-Polka.

– Wiesz, inżynierów tutaj jest jak psów. Sorki, że ci to mówię.

– Ale nowy deweloper może jeszcze gdzieś by się wcisnął?

– W jakiej firmie pracuje?

– Binladen Group.

– Binladen? To przedsiębiorstwo tych Binladenów?

– Tak. Realizują projekty nie tylko w Arabii Saudyjskiej, ale też w Emiratach, Egipcie, Jordanii czy Katarze. Wchodzą na rynki azjatyckie i wygrali przetarg na budowę lotniska w Kuala Lumpur w Malezji.

– Brzmi imponująco.

– Stawiają uniwersytety, hotele, porty lotnicze i budynki tak niezwykle, że od razu stają się legendą.

– Jednak zagraniczne firmy muszą zatrudniać lokalnych pracowników. Dokładniej mówiąc, w Polsce dawać pracę Polakom.

– Pewnie.

– Ciężko będzie się załapać inżynierowi na zagraniczny intratny kontrakt do śmietanki kierowniczej, no nie?

– Chyba nie.

Salma robi wielkie oczy.

– Zapłacił bakszysz? Ma takie nieziemskie układy? Zna szefa?

– On sam jest szefem – wyznaje w końcu Marysia. – A w zasadzie właścicielem. Mój mąż to Hamid Binladen.

* * *

Wbrew obawom Marysi Salma nie ucieka od niej po pierwszym spotkaniu, lecz bierze ją pod swoje opiekuńcze skrzydełka. Dzięki temu wszystko teraz wydaje się łatwiejsze, bo czego sama nie może załatwić, Marokanka zdobywa dla niej przebojem. Po polsku, o zgrozo, mówi lepiej od niej, w zasadzie prawie bez obcego akcentu, i przez to wszędzie, gdzie dzwoni, traktują ją jak swoją i poważnie podchodzą do tematu. Tak załatwia internet, który oczywiście od podłączenia nie działa. Na dokładkę każe zwrócić pieniądze za techników, którzy z chęcią zamieszkaliby u Marysi, bowiem za każdą niepotrzebną wizytę żądają pięćdziesięciu złotych. Opiernicza ukraińskich malarzy i robotników, na których doskonale działają polskie wulgaryzmy, które płyną wartkim strumieniem z krwistoczerwonych usteczek filigranowej kobietki. Na koniec lekarka wysyła chciwego hydraulika

do wszystkich diabłów, kiedy za usługę przetykania toalety przy użyciu gumowego przepychacza liczy Marysi sto złotych.

– Panie! Idzie się zesrać na taką kwotę! – wykrzykuje mała kobietka na wysokim obcasie, stając jeszcze na palcach, by sięgnąć wielkiemu jak tur robotnikowi chociaż do ramienia. – To rozbój w biały dzień!

– Właśnie pani koleżaneczka się zesrała, tylko że na twardo. Jakiś granat wypuściła albo pocisk raketowy. – Marysia spieka raka i ucieka z łazienki, w której toczy się burzliwa dyskusja na temat jej kału. – Niech się taka elegancka panusia lepiej odżywia, więcej jarzyn jeść, błonnika, a nie samo mięcho, byle było *halal*.

Obie kobiety robią wielkie oczy na gościa, który okazuje się elokwentnym erudytą. Przyjezdna za same porady dałaby mu już tę stówkę, ale nie Salma, która jest tutejsza i zna się na takich naciągaczach.

– Panie! Ile ta maszynka kosztuje? – Marokanka pokazuje palcem na przepychacz w rękach hydraulika, nadal kapiący wodą na podłogę.

– Niedużo.

– Ile „niedużo”? Pięć złotych? – strzela, bo przecież nie ma pojęcia.

– Z dziesięć trzeba dać. – Sprostowuje mężczyzna.

– To pan chcesz zarobić na mojej przyjaciółce, która ma chorobliwe obstrukcje, na dziesięć takich urządzeń? Sumienia pan nie masz?

– To ile pani da?

– Pięć dych i jesteśmy kwita.

– Kwita. A przyjaciółka niech je więcej błonnika. – Gościu wyciąga do lekarki dłoń na przybicie targu, a Marysia, obserwując ich zza winkła, krzywi się, bo już sobie wyobraża, ile zarazków musi być na tej spracowanej prawicy po całodziennym grzebaniu się w gównie.

Ledwo drzwi się zamykają za hydraulikiem, Salma i Marysia, sprawczyni całego zajścia, padają na łóżko, śmiejąc się do rozpuku.

– Kobieto, jedz więcej błonnika! – Lekarka dosłownie wyje z uciechy.

– Gówniana robota! – rzy Marysia.

– Przesrane życie!

Po dobrej półgodzinie, kiedy łzy z oczu i katar z nosa lecą im całymi strumieniami, kobiety powoli się uspokajają, lecz ich makijaż nadaje się już tylko do zmycia.

– Patrz, jacy kłamcy – narzeka pół-Polka z czarnymi smugami na twarzy. – Wodoodporne gówno.

– Wierzysz reklamie? Wodo-, ale nie łzoodporne. – Marokanka też ma całą buzię w zaciekach.

– Wyglądamy jak zombi!

Znów wybuchają wesołością i boją się, że opanowanie tego wariackiego rozbawienia będzie wymagało jeszcze dużo czasu. Ostatecznie ratuje je lodowata woda, którą chłódzą rozgrzane twarze, choć od czasu do czasu któraś jeszcze chichra cichutko. Koniec końców doprowadzają się do ładu, bo muszą się przygotować na wieczorek zapoznawczy Marysi z okolicznymi Arabkami i muzułmankami.

Spotkanie nie jest daleko, ale niewiele brakowało, żeby dwie szalone przyjaciółki nie dotarły. Wychodzą z bloku na wewnętrzne podwórze i przechodzą jedynie parę kroków, by wejść pod arkadami na kolejny zadbane i spokojny dziedziniec, pełen drzew i krzewów oraz kolorowych dekoracji, które wyglądają zza żywopłotów prywatnych małych i większych ogródków. Przy ścieżce stoją drewniane ławki i kosze na śmieci, a wszędzie jest tak czysto, że można by jeść z chodnika.

Kiedy wchodzi na klatkę schodową bloku, w którym mieszkają zaprzyjaźnieni Arabowie, do ich nozdrzy dociera zapach smażonej cebuli z czosnkiem, przecierem pomidorowym i kolendrą. Kobietom ślinka napływa do ust, bo taki sos jest powszechnie lubiany przez ich nację, ale Marysia zastanawia się, czy dla polskich sąsiadów nie jest to tak samo nieprzyjemna woń jak dla muzułmanów aromat smażonej, duszonej lub pieczonej wieprzowiny.

W progu wita je hurma ciekawskich i uśmiechniętych kobiet.

– *As-salamu alejkum!*

– *Wa alejkum as-salam.*

– *Ahlan wa sahlan.*

– *Ahlan.*

– *Kif halik? Kullu ques?180 Kullu tamam?* – Jedna przez drugą zadają kurtuazyjne pytania.

– *Ismi*181 Miriam – przedstawia się Marysia, wciągnięta za fraki do mieszkania.

– *Ismi* Fatima... Nura... Sana... Dżasmina... Galiya... Hana... – Nowe koleżanki prezentują się gościowi.

– *Ismi* Laila. – Na koniec wąż dłoń wyciąga biała młoda dziewczyna, ubrana najbardziej tradycyjnie ze wszystkich.

– Jak się masz? – pyta po polsku Marysia, lecz Laila, która ewidentnie jest Polką, powolnym krokiem odchodzi do salonu.

– Ona całkiem zgłupiała – szepcze Salma. – Zapomniała swojego rodzimego języka, a arabskiego ni cholery jeszcze nie zna.

– Ja się mam, proszę pani, dobrze. Dziękuję. – Mała dziewczynka, na oko ośmiolatka, odpowiada rezolutnie na pytanie, choć nie było skierowane do niej. – Mówię biegle po polsku. Mogę panią nawet uczyć.

– Dziękuję. Jestem pół-Polką. – Marysia głaska dziewczuszkę po głowie. – Jak widzisz, ja też mówię w tym dziwnym, szeleszczącym języku.

– Tamta to dziwna jakaś. – Tuściutka kobietka pod pięćdziesiątkę, najprawdopodobniej pani domu, marszczy wymownie twarz. – Mąż kazał zaprosić, bo my, muzułmanie, mamy się ponoć integrować z lokalnymi mieszkańcami. Ale co to za integracja z konwertytką, która jest bardziej muzułmańska od nas? Jak ona się ubiera?! Cała na czarno, i w dodatku gębę zasłania. A modli się chyba z sześć razy dziennie.

– Chore jakieś, nie? – szepcze inna Arabka, bez pardonu oglądając się na krytykowaną. – Ledwo wyszła za mąż za Saudyjczyka, już jej się we łbie pomieszało.

Marysia postanawia się nie wypowiadać, żeby nikogo nie urazić, zwłaszcza że baby wyglądają na niezłe plotkary.

– On jest nikim w ambasadzie. Jakiś radca polityczny od siedmiu boleści. Ponoć nawet gabinetu nie ma, więc jaki z niego radca? Przynieś, wynieś, pozamiataj. Nie wiadomo, co tak naprawdę robi. Już mój stary ma wyższą pozycję w konsulacie – z dumą oznajmia gospodyni.

– To pani jest tu czasowo? Na wizie dyplomatycznej? – indaguje Marysia.

– *Sza'a Allah* mamy kartę pobytową. – Starsza aż promienieje z radości. – My byśmy chcieli zostać tu na zawsze – szepcze skrycie, robiąc tajemniczą minę. – I kto by pomyślał, że wszystko to dzięki córce, Zajnab. Ha! – Uhennowanym182 palcem wskazuje chudą, ładną Arabkę z klasycznym dużym nosem i chmarą niczym nienakrytych czarnych kręconych włosów.

– Naprawdę? Brawo!

– Przyjechała do Polski na stypendium studiować medycynę, a my razem z nią, bo mąż jest jej *mahramem*. Wciąż jeszcze nie ma męża, bo tylko nauka jej w głowie. A że damski krawiec z tego mojego chłopca, to pozostałe trzy młodsze córki też muszą z nami siedzieć, bo kto by się nimi opiekował u nas w Qasim.

Po nazwie miejscowości Marysia od razu się orientuje, że rodzina należy do bardzo ortodoksyjnej kasty w Arabii Saudyjskiej. Wprost nie może w to uwierzyć, kiedy patrzy na kolorowe stroje dziewcząt i kobiet, zwłaszcza że widziała je tak ubrane również poza domem. Na zewnątrz zasłaniają jedynie włosy, ale robią to kokieteryjnie, kolorową chustką, spod której zawsze wypuszczają jakiś niepokorny kosmyk.

– Świętej pamięci król Abdullah dobry miał pomysł z edukacją dziewcząt, nieprawdaż? – zadaje retoryczne pytanie, na co pozostałe kumy z wdzięcznością kiwają głowami i wykonują tradycyjne gesty, to całując opuszki palców, to przytykając je do serca i wyrzucając ręce w górę w podzięcie.

– Też mi dobre pomysły! – odzywa się aroganckim tonem skonwertowana Polka. – Miejsce kobiety jest w domu.

– Wrócisz do Saudi, to dasz się zamknąć. My już nie chcemy – ostro odburkuje gospodyni, po czym wymownie odwraca się do konwertytki plecami i rozmawia już tylko w zaufanym gronie, do którego od razu przyjmuje Marysię. – Mój mąż nie jest dyplomata, ale za to dostał dożywotnią ciepłą posadkę w ambasadzie, więc może się uda i do śmierci tu posiedzieć. – Otwarcie wyraża swoje marzenie, trzymając kciuki, by się spełniło. – Kraje arabskie teraz są takie niebezpieczne!

– Racja. Przed moim wyjazdem rakiety wybuchły w centrum Rijadu – przyznaje Marysia.

– *Wallahi!* To już koniec świata! Jak królestwo padnie, to cały Bliski Wschód się zawali.

– *Ja ummi!*¹⁸³ Już dajmy spokój temu krakaniu. Ja też mam pracę. W szpitalu robię specjalizację pod okiem doktor Salmy. – Młoda, przeraźliwie chuda dziewczyna chyli czoło przed Marokanką. – A w ambasadzie dorabiam w prywatnej klinice, lecząc Saudyjki.

– Jednak dostała również inne ważne zadanie. – Widać, że matka jest dumna ze swojej córki. – I właśnie tak poznała Lailę. – Ten fakt sprawia jej już mniej radości.

– Działam w islamskim instytucie kulturalnym. – W oczach młodej nie widać żadnego entuzjazmu, a jedynie zagubienie i dezaprobatę. – Nauczam tam arabskiego, świadomości życia w muzułmańskiej rodzinie, świadomości bycia saudyjską kobietą, żoną... bla, bla, bla – otwarcie wyraża niechęć do propagandy wahabickiego islamu. – Czytam i tłumaczę na polski i angielski polskim kobietom Koran i hadisy¹⁸⁴. Zachęcam do wstąpienia do naszej *ummi*¹⁸⁵.

– Czyli jesteś muzułmańską agitatorką – wypala szczerze Marysia.

– Zrobiłabym wszystko, żeby tu zostać. Skakałabym nawet jak małpa w cyrku. Moim największym życiowym nieszczęściem jest to, że pochodzę z najbardziej ortodoksyjnego muzułmańskiego kraju na świecie. Mam jedynie cudownych rodziców i dużo, dużo szczęścia.

– A to najważniejsze, moja droga Zajnab. – Salma obejmuje wątlę ramiona dziewczyny, by wesprzeć tę kruchą istotę. – Nie możesz tego zmarnować. Pamiętaj! – Patrzy porozumiewawczo w oczy wychowawcy, a Marysia od razu robi się ciekawa, co w trawie piszczy.

– A pani to tutaj na długo? – Siedzące dookoła salonu kobiety chcą się dowiedzieć czegoś o Marysi. I tak wykazały się subtelnością, nie inwigilując od razu. – Bo pani Saudyjka, prawda?

– Nie ma co pytać. Po perfumach czuć! – podśmiechują się zazdrosne dowcipnisie, gdyż nie każdą stać na taką ekstrawagancję.

– Niekoniecznie. Jestem pół Polką, pół Libijką. – Marysia uśmiecha się grzecznie, choć nie lubi publicznie mówić o sobie. – Mam męża Saudyjczyka.

– Widzisz ją! – Polska Laila aż podskakuje na te wieści, a Salma na migi pokazuje Marysi, żeby nie puściła więcej pary z ust, zwłaszcza w kwestii nazwiska Hamida. – Nie rozumiem zatem, jak możesz się tak ubierać? – Konwertytka jest coraz bardziej oburzona. W ogóle cały czas jest sfrustrowana, nie w humorze i lustruje wszystkie kobiety niechętnym, pełnym krytyki wzrokiem.

– Mój mąż jest nowoczesnym mężczyzną – tłumaczy Marysia. – Nigdy niczego mi nie narzucał.

– Brawo! To jest gość! – Zebrane bardzo się cieszą ze szczęścia kobiety, tak jakby należała do ich rodziny i była bliska ich sercu.

– *Insz Allah* Zajnab też znajdzie takiego dobrego mężczyznę. – Matka młodej lekarki, dzisiejsza uroczą gospodyni Fatima błagalnie wznosi oczy do nieba.

– Niby jak? – odpyskowuje Laila. – Żaden uczciwy Saudyjczyk nie weźmie takiej, co to po nocy się szlaja nie wiadomo z kim. A w szpitalu z obcymi, niespokrewnionymi facetami ręka w rękę pracuje. Może jeszcze się obmacuje, kto wie!

– Co ty gadasz?! – wybucha Marysia i uderza dłonią w stół, a wszystkie zebrane Arabki aż skamieniały od takiej obelgi i oskarżenia. – Co za cholerny prymityw z ciebie!

– Laila, jesteś niedobrym człowiekiem – kwituje spokojnie, acz stanowczo doktor Salma.

– Mój mąż Saudyjczyk... – Marysia chce wesprzeć przerażoną, bladą Zajnab, dla której takie pomówienie może być wyrokiem. – Mój mąż osobiście wysłał mnie do Polski, żebym zrobiła studia

ratownictwa medycznego i potem pomagała saudyjskim kobietom, których prymitywni, zacofani wahabicy mężowie nie pozwalają dotknąć męskiemu medykowi, niejednokrotnie skazując je tym na śmierć.

– I dobrze! Lepsza śmierć niż pohańbienie! – Skonwertowana na islam wygłasza okrutne hasła, co wybitnie świadczy o tym, że ma wyprany mózg. – Czystość jest najważniejsza!

– Takie teorie głoszą najwięksi ortodoksi, którzy aktualnie w Królestwie Arabii Saudyjskiej są krytykowani i coraz mniej akceptowani, bo utożsamia się ich z fundamentalistami, a tych już się wyłapuje, więzi i niejednokrotnie skazuje na karę śmierci. – Marysia już się nie kryguje i postanawia ostro potraktować polską fanatyczkę. – Zastanów się nad tym, co mówisz, bo również w Polsce za takie wywrotowe ideały możesz pójść do pierdła – wbija ostatni gwóźdź do trumny młodej konwertytki.

– *Jalla!*¹⁸⁶ *Saidati!*¹⁸⁷ – Tłuściutka pani domu przerywa wymianę zdań, bojąc się, że Laila doniesie na jej córkę do saudyjskiej ambasady. Dosłownie rzuca się do kuchni, skąd po chwili wychodzi z wielkim parującym półmiskiem. – *Jalla!* Jedzenie gotowe. Częstujcie się. *Bissahha!*¹⁸⁸

Na długim stole w salonie łądają oprócz czerwonego makaronu arabskiego na bazie właśnie tego sosu, który było czuć na całej klatce schodowej, domowej roboty humus¹⁸⁹, *falafele*¹⁹⁰, sałatki *mutabbal*¹⁹¹ i *tabula*¹⁹² oraz uwielbiane przez wszystkich Arabów maleńkie gołąbeczki *dolma*¹⁹³ z sosem koperkowo-czosnkowym na bazie jogurtu. Kobiety, dziewczyny i dzieci obu płci rzucają się na jedzenie, jakby tydzień nie jedli; tak to już jest w tej kulturze. Po chwili wszyscy mają wypełnione z górką talerze, a na stole jest istne pobojuwisko. Nie dziw zatem, że nawet w bogatych domach pod półmiski podściela się ceratę. Na deser gospodyni serwuje *szaj al-achdar*¹⁹⁴ oraz *gahwa arabijja*¹⁹⁵. Oba napoje mają w sobie więcej cukru niż herbaty czy kawy, istne ulepki. Do tego pogryza się jeszcze bardziej słodkie *bahlawy* oraz *kakawijje*¹⁹⁶. Żadna orientalna dama nie jest w stanie sobie tego odmówić, nawet Marysia i Salma, na co dzień dbające o linię, zjadają przynajmniej po jednym ciasteczku. Zanim kobiety odetchnęły po obfitym jedzeniu, już zaczynają się kręcić na swoich miejscach, bo przecież każda ma mnóstwo zajęć, do których musi pędzić, a wspólny lunch był tylko krótką przerwą od codzienności.

– Czas na *salat*¹⁹⁷ – ogłasza nagle mocnym, pełnym nagany głosem Laila, a reszta, zdegustowana jej zachowaniem, wzdycha i patrzy po sobie, bo przecież obowiązki nie mogą czekać.

– Kochana, to nie Arabia Saudyjska. – Gospodyni kładzie głęboko wierzącej muzułmance dłoń na ramieniu. – Jak masz ochotę, to proszę bardzo, idź do naszego pokoju modłów, znajduje się obok łazienki. Ale obawiam się, że spóźnienia z powodu *salat* w Polsce nie będą respektować ani w pracy, ani na uczelni, w szkole czy banku, więc większość koleżanek musi już lecieć. – Gościnną skądinąd Arabka modli się w duchu, żeby ta baba jak najszybciej opuściła jej dom i żeby to niefortunne spotkanie już się zakończyło.

– W szkole Raszida na pewno muszę być o czasie. Biegnę odebrać syna ze świetlicy. – Młoda śliczna Tunezyjka pierwsza daje nogę.

– My mamy zajęcia na uczelni – kłamie jak z nut Zajnab, chwytając za rękę Salmę i Marysię. – *Ustaza*¹⁹⁸ nie odwoła ich nawet z powodu trzęsienia ziemi.

– Ale będziecie na piątkowych modłach w meczecie? – Zawiedziona Polka nawołuje się jak na targowisku. – To obowiązek każdego muzułmanina i muzułmanki!

– Kobiety nie mają obowiązku chodzić do domu modłów! – wykrzykuje jeszcze buntownicza Miriam, ale Salma ciągnie ją za sobą.

Trzy podenerwowane, wyzwolone Arabki przenoszą się do pobliskiego apartamentu Marysi. Pół-Polka i wyemancypowana Marokanka natychmiast zabierają się za czerwone wino i zapalają papierosy, żeby uspokoić się po niespodziewanej awanturze i poprawić trawienie po obfitym, tłustym arabskim jedzeniu. Saudyjka, która przestrzega zasad wahabickiej wiary, rozkoszuje się jedynie zimnym sokiem pomarańczowym, unikając wszelkich używek. Wszystkie od czasu do czasu rzucają okiem na babskie seriale, przede wszystkim jednak obgadują konwertytkę, nie zostawiając na niej suchej nitki. Kiedy w końcu im się nudzi, przechodzą na luźne, wesołe tematy. Hitem, który przebija

wszystkie inne, jest opowieść o usługach autorytetu hydraulicznego. Dwie lekarki ze śmiechem udzielają Marysi szczegółowych przezabawnych rad żywieniowych i dają mnóstwo idiotycznych informacji na temat błonnika.

* * *

Zanim Marysia pojawi się na uczelni, a potem w dziale szkoleń, gdzie organizowane są praktyki kwalifikowanej pierwszej pomocy, postanawia zmienić image¹⁹⁹. Nie może pójść między zwykłych, przeważnie niezbyt zamożnych ludzi w ciuchach od Prady czy Gucciego, na wysokich szpilach, z torebką od Hermesa i wypchniona saudyjskimi perfumami. Byłaby na z góry przegranej pozycji, znienawidzona przez studentów, tępiona przez wykładowców i egzaminatorów. Przed wszystkim jednak sama głupio by się czuła. Jako przyszła medyczka ściąga hybrydowy lakier z paznokci, skraca je, tak samo jak i włosy, które następnie zaplata w gruby warkocz. Kupuje zwykłe dżinsy, chińskie pod-koszulki, kraciaste flanelowe koszule oraz popielate bluzy, a na placu targowym dodatkowo przejściowe kolorowe kurteczki. Nie wiadomo czemu bierze ich takie ilości, ale dopiero w domu orientuje się, że jak zawsze przesadziła. *Jak już skończę uczelnię, to wszystko oddam dla biednych*, obiecuje sobie. *Może dla uchodźców. Zrobię paczkę i wyślę do Caritasu*. Po tych wewnętrznych przyrzeczeniach od razu lepiej się czuje.

– Jak ci się podobam? – Pokazuje się na Skypie swojemu ukochanemu mężowi, za którym bardzo tęskni i już chciałaby być z powrotem w domu. – Przytyłam? – Kręci się przed kamerką, pokazując to z przodu, to z tyłu.

– Pięknie, kochanie! – Hamid uwielbia swoją żonę i jest w niej bezgranicznie zakochany, więc nie widzi w niej żadnych mankamentów, a swoją drogą ta kobieta takowych nie posiada. – Jesteś zgrabna i piękna! A w tych łaskach przypominasz mi moją dawną Miriam z Kobane. Tam też musiałaś zmienić odzież, wyzbywając się tej markowej.

– Niczego nie zapomniałam, kochany. Przez to kurdyjskie miasto przeszliśmy na naszej trasie do Rakki. – Zamyślają się oboje, ale teraz już nie widać ani stresu, ani napięcia na ich twarzach. – Pamiętasz, jak się tam kochaliśmy w szkole na wąskim połowym łóżku?

– Pewnie! – Hamid podśmiechuje się przez ściśnięte gardło, a podniecenie od razu oddziałuje na jego męskość, która błyskawicznie staje mu na sztorc. – Chciałbym, żebyś już wróciła...

– Ja też tego pragnę. – Kobieta przybliżyła twarz do kamery. – Najpierw planowałam kurs, a potem zrobiły się z tego całe studia. Jak mi się uda psim śwędem skrócić trzyletni tryb do pół roku, to będzie majstersztyk. – Podśmiechuje się, a Hamid z niedowierzaniem kiwa głową. – Później wypadałoby zdobyć jakąś praktykę. To są trudne rzeczy. Nie wiem, czy sobie poradzę...

– Poradzisz. A czas szybko leci. Niedługo będę cię witał na lotnisku króla Chalida²⁰⁰.

– A może ja ciebie na Okęciu? – Marysi coraz bardziej się podoba w Polsce i wierzy, że daliby sobie tu radę.

– Zobaczymy. – Pomimo szczyrych chęci Hamidowi trudno jest przekreślić całe życie i ruszyć w nieznaną, tym bardziej w okresie nagonki na arabskich uchodźców. – Przede mną na pewno odwiedzi cię mamusia.

– Co? Kiedy? – Dorosła córka aż podskakuje na krześle.

– Nie mam pojęcia. Wspominała, że poczciwy Aszraf mógłby wziąć udział w konferencji medycznej w Polsce i że skoro ty tam jesteś, taka samotna i stęskniona – ironizuje, chichrając w kułak – to chyba ona też zdecyduje się na tę daleką drogę, żeby cię wesprzeć.

– Mój ty Boże! Byle nie podczas egzaminów i obrony!

– Zatem musisz się pospieszyć i jak najszybciej do nich przystąpić.

– Już bardziej się nie da przyspieszyć! To i tak jest niezły przekręt. – Kobieta cały czas się boi, że ostatecznie jej nie przyjmą lub wyrzucą, kwestionując naciągane dokumenty z Arabii Saudyjskiej. – *Insz Allah* zaczynam zajęcia od najbliższego poniedziałku.

– Widzisz, Dorota zawsze potrafi cię zmobilizować! – Hamid robi sobie hece z małpiej miłości matki do córki, choć sam całym sercem kocha jedną i drugą.

– Nie jest pani Polką, więc nie da rady. Nikt tutaj nie będzie pani nic tłumaczył. My tu mówimy po polsku. – Z góry źle nastawiony, niemiły instruktor opryskliwie zwraca się do Marysi, która rzeczywiście wyróżnia się w tłumie, ale tylko kolorem skóry i urodą. Wielką urodą.

– Proszę pana, mam polski paszport i polskie obywatelstwo. Dowód osobisty dostanę za tydzień. Mam nawet PESEL, więc niech się pan ode mnie odczepi i nie robi rasistowskich wycieczek.

– Kobieta nie z takimi opryszkami miała już do czynienia i wie, jak błyskawicznie usadzić gnojka.

– Jak wyszło, że Polka, to od razu pyskata się okazała – żartuje speszony instruktor, po czym wzrusza ramionami i usiłuje się uśmiechnąć, ale nie za bardzo mu to wychodzi.

Marysia zaś dziękuje Bogu, że tak szybko odświeżyła sobie język polski, bo teraz rzeczywiście pytluje jak najęta.

– Teorię zaliczono mi na uczelni warszawskiej, bo mam parę lat studiów medycznych – kłamie jak z nut. – A u pana wylądowałam tylko na praktyki. Tak postanowiono. Jest decyzja rektora. Ze względu na moje osiągnięcia ustalono dla mnie indywidualny tok studiów – zmyśla, bo gdyby nie biurokratyczne wsparcie i sympatia, którą wzbudziła najpierw u rektorki Ziny w Rijadzie, a potem u dwóch pań prorektorek w Warszawie, nic by nie wskórała, a studentką na saudyjskim uniwersytecie była gorzej niż mierną. – Mam złożone niezbędne dokumenty, w tym podanie, świadectwo dojrzałości, trzy fotografie, ksero paszportu, bo jak już wspomniałam, dowód osobisty dostanę za chwilę, aktualne zaświadczenie od lekarza medycyny pracy, stwierdzające brak przeciwwskazań do podjęcia kształcenia na obranym kierunku i do formy kształcenia. – Nabiera powietrza w płuca, postanawiając wszystko wymienić, by ostatecznie zagadać faceta na śmierć i nie pozostawić żadnej wątpliwości. – W mojej teczce znajdzie pan też wniosek o potwierdzenie i uznanie efektów uczenia osiągniętych w ramach edukacji formalnej i nieformalnej. W moim przypadku dotyczy to uniwersytetu medycznego za granicą. Złożyłam też podanie o przyjęcie na wyższy rok studiów, do którego dołączyłam oryginalny dokument potwierdzający dotychczasowy przebieg nauki w akademii medycznej, obejmujący w szczególności wykaz zaliczonych przedmiotów, z określeniem liczby godzin, formy zaliczenia, uzyskanych ocen, punktów i potwierdzenie zaliczenia danego roku studiów. Mój wniosek spotkał się z aprobatą, to znaczy dostałam zgodę. Nie wspomnę o takich detalach jak opłata za legitymację i rok czesnego z góry. Czy o czymś zapomniałam? – pyta na koniec ze słodkim uśmieszkiem.

– Ma tu plan zajęć i się z nim zapozna. – Mężczyzna wciska w rękę studentki plik kartek i pokazuje palcem na otwarte dwuskrzydłowe drzwi do wielkiej sali.

– Wie pan co? Ja nie jestem bezosobowym niczym. Może mi pan mówić po imieniu, bo takowe posiadam, i to dość typowe, polskie. Maria. Może pan też zwracać się do mnie per pani albo po nazwisku. Też nietrudne do wymówienia. Salimi. Da radę? – Teraz ona pyta w trzeciej osobie, po czym, nie czekając na odpowiedź, kieruje się do auli.

– Nieźle mu dogryzłaś. – Wysoki, dobrze zbudowany młodzian o jasnej jak mleko karnacji, z uroczymi piegami, zielonymi oczami i burzą falujących brązowych włosów zagaduje pół-Arabkę. – Koledzy ostrzegali mnie przed tym typkiem.

– Jest aż tak znany?

– Owszem. To paskudny złośliwiec, który krwi człowiekowi napsuje samym gadaniem i kąśliwością. Ale ponoć krzywdy nie robi.

– Ulżyło mi. – Marysia wzdycha uspokojona, bo już przeklinała samą siebie, że nie poskromiła języka i pyskowała do instruktora. – Teorię mam z głowy, ale muszę zrobić te praktyki, bo inaczej nie dopuszczą mnie do obrony. Nie ma innej opcji.

– Ja też. Robię studia na zaocznych. Swoją drogą, Marek jestem. Nie bezosobowe nic. – Facet podśmiechuje się ze słów elokwentnej kobiety, która podoba mu się jak żadna w życiu.

– Marysia. Awanturnica – kpi z samej siebie.

– Po co ci papiery ratownika medycznego? Ten licencjat jest naprawdę profesjonalny z odpowiednią ilością godzin na teorię i szkolenie i prowadzony przez najlepszych i przy tym bardzo

wymagających specjalistów. Ciężko go zrobić.

– Nie udało mi się z medycyną, to przynajmniej chcę być ratownikiem. – Marysia postanawia nikomu z kursantów nawet słowem nie wspomnieć o Arabii Saudyjskiej. Aż taką głupią paplą to już nie jest.

– Dobry pomysł. Ja jeżdżę karetką jako kierowca i w zasadzie także noszowy. Chcę czegoś więcej, bo już nie raz, nie dwa pomagałem moim kolegom ratownikom uratować czyjeś życie, a lekarze podczas większych karamboli na drogach wydają mi polecenia, jakbym był jednym z drużyny. Pragnę być jednym z nich. Uwielbiam ten zawód i bardzo chcę pomagać.

Marysia jest w szoku na takie szczere wyznanie młodego pasjonata. *Dobry człowiek i... całkiem ładniutki*, stwierdza nieoczekiwanie dla samej siebie.

– Zetknęłaś się już w praktyce z pierwszą pomocą czy jesteś świeżynką? Tylko teoria? – Marek szepcze tuż przed uroczystym otwarciem, zbliżając twarz do ucha Marysi i sycąc się zapachem jej świeżo umytych włosów i delikatnych kwiatowych perfum.

– Teoria ze studiów – odpowiada szybko kobieta, czerwieniąc się, bo ten silny byczek dziwnie na nią działa. A przecież zawsze twierdziła, że białasy to brzydale, wręcz nie wyobrażała sobie, jak mogą się podobać, a tu taka niespodzianka. – Na pewno nie mam takiego doświadczenia jak ty.

– Pomogę ci. Będzie lżej – proponuje Marek, ciepło się uśmiechając, a Marysia dostrzega urocze dołeczki na jego świeżo ogolonych policzkach.

– Mam szczęście. – Kobieta kładzie delikatną dłoń na dużej, spracowanej ręce mężczyzny i czuje nieoczekiwane łaskotanie w podbrzuszu.

– Skoro już przebrnęliśmy przez sprawy organizacyjne, przejdźmy do dzisiejszych zajęć – informuje surowy instruktor. – Lekarzy i ratowników, których dzisiaj z nami nie było, poznać zapewne na nadchodzących zajęciach. – Mężczyzna patrzy na liczną grupę ochotników spod zmarszczonych brwi, tak jakby miał do nich pretensje, że w ogóle się tu pojawili. – Najpierw teoria, ale w pigułce, bo wszystko już przerobiliście podczas wykładów. Potem praktyka. Raz-dwa!

– To jakiś maraton czy co? – szepcze Marysia do swojego kompana, czując się o wiele pewniej w jego towarzystwie i dziękując Bogu, że taki miły gość się jej tutaj trafił. Miły i przystojny na dokładkę.

– Przechodzić do pierwszych rzędów! – wrzeszczy po wojskowemu prowadzący i dla wszystkich jest już jasne, z kim mają do czynienia. – To nie szkoła podstawowa, żebyście się chowali po kątach! Nikt nie będzie zdzierał dla was gardła.

– Nie musi nic zdzierać, bo chyba ma tubę zamiast strun głosowych. – Marysia jednak pokornie przechodzi do przodu.

– Spójrzcie na ekran. Dzisiaj zapoznać się z prawnymi i psychologicznymi aspektami ratownictwa medycznego. – Wojak pokazuje palcem na wyświetlony tekst. – Żadnych zdjęć, do diaska! – znów drze się, a wszyscy wyciągający telefony komórkowe i tablety aż podskakują. – Zapłaciliście za wersje papierowe. Ty, czekoladka! Przyjdzie tutaj i rozda wszystkim. – Wskazuje na Marysię, a grupie robi się głupio, że nadal tak oficjalnie ją szkaluje.

– Jeszcze jeden rasistowski tekst, a straci pan swoją intratną fuzzkę. – Kursantka pochyła się w stronę ksenofoba. – Gwarantuję to panu. – Patrzy na niego lodowatym wzrokiem, rzucając iskry poczerńiałymi ze złości oczami.

– Straszysz mnie?!

– Ostrzegam.

– Może jednak... – Facet chce kontynuować zabawę, ale widząc nieugiętą postawę kursantki, przykleja do ust jeden z ironicznych krytykanckich uśmieszków. – Bierze i zmyka, a nie zawraca mi dupy jakimiś dyrdymałami. Sczytujemy materiał, pytania i przechodzimy do następnego tematu. Już!

– Czy żaden cywil nie prowadzi szkoleń? Wszystkie organizowane są przez służby mundurowe, które każdego traktują jak gówno? – Podczas pięciominutowej przerwy Marysia wraz z innymi wychodzi na papierosa.

– Nie łam się! – Rafał, ryży chłopak o piegowatej jak indyjskie jajo karnacji, wspiera ją. – Dasz

radę.

– To wyjątkowy skurwysyn. – Niewysoka, drobniutka dwudziestolatka, wyglądająca na nastolatkę, dosadnie określa instruktora. – Zobaczycie, jak będzie się nade mną znęcał podczas symulacji i treningów reanimacyjnych. Myśli, kutas jeden, że chucherko ze mnie, a ja po ostatnim oblanym egzaminie tak przypakowałam na siłowni, że mogę mu zmiażdżyć jak w imadle te jego wielkie i twarde jak kamienie jaja.

Zebrani wybuchają gardłowym śmiechem, wyobrażając sobie jednocześnie tę scenkę.

– Już raz oblałaś? Jest duży przesiew? – Marysia jest w szoku, gdyż myślała, że egzamin jest formalnością. Przecież kto chciałby pracować w takim niewdzięcznym zawodzie i sądziła, że kandydatów trzeba ze świecą szukać, więc każdy chętny jest na wagę złota.

– Dwa razy mi się noga powinęła. Ale chuj! – Pół-Polka mruga oczami, bo nie wie, co tutaj ma do rzeczy męski członek.

– Trzeba było iść do innego organizatora – doradza Rafał. – Na inną uczelnię, która nie współpracuje z tymi trepami.

– Coś ty! Jak będę miała certyfikat, na którym drukowanymi będzie napisane, że szkolenie przeszedłam w tej firmie, to ustawi się do mnie kolejka pracodawców i to ja będę dyktowała warunki. – Kruszyńska z radości wykonuje taniec hula.

– No, chyba że tak. W takim razie cieszę się, że ja też tu jestem. – Marysia już nie żałuje. – Potrzebuję najlepszego przygotowania.

– Dobrze trafiłaś. Bez dwóch zdań. Aga jestem. A teraz spierdalajmy na zajęcia, bo nas zajebią – mówi młoda dość kolokwialnie, ale Marysia postanawia się tym nie przejmować, bo wie, że wulgarny język o niczym nie świadczy.

– Druga transza dzisiejszych zajęć to sytuacje nadzwyczajne. – Postawna kobieta w mundurze donośnym głosem przechodzi do bardziej interesującego tematu. – Możliwe, że nigdy w życiu nie będziecie w czymś takim uczestniczyć, ale musicie wiedzieć, jak się zachować w takich sytuacjach. Tak więc – zaczyna wymienianie – powódź, huragan, śnieżycy, toksyczne środki przemysłowe, zagrożenia środkami biologicznymi, pożar i katastrofy budowlane. A także atak terrorystyczny, który jest zmurą współczesnych czasów. Oto parę filmów, które wprowadzą was w klimat.

Młodzi ludzie z zapartym tchem oglądają straszne sceny, zastanawiając się, czy daliby sobie radę, gdyby się znaleźli w podobnej sytuacji.

– Miniporadnik jest niezły. – Marysia pokazuje książeczkę siedzącym obok kursantom. – Bardzo klarownie uczy, jak postępować w razie niebezpieczeństwa.

– Pani rozgadana, zapraszam do mnie. – Instruktorka życzliwie wskazuje śniadą kobietę. – Panów poproszę do wyłożenia sprzętu. Teraz poznacie wyposażenie używane podczas klęski żywiołowej. Wspólnie ustalimy, jak zabezpieczyć dom. Pokażę wam, jak posługiwać się sprzętem gaśniczym. Bardzo ważne jest też, jak zapobiec panice po katastrofie czy ataku.

– Tak, to nieodzowne – niepytana Marysia zabiera głos i opowiada o zamachu terrorystycznym w Paryżu, w którym uczestniczyła. *Dżihadi* John strzelał wówczas do tłumu, a ona z Arubą wyprowadziły bezbronnych ludzi z lokalu *Brasiliana Tropical*. Nie podaje oczywiście żadnych szczegółów, udając, że była jedną z przypadkowych ofiar.

Wszyscy słuchają jej z otwartymi buziami.

– Dziękuję. Pani Maria już ten temat ma zaliczony, a cała reszta niech się zastanowi, co zrobiłaby w takiej sytuacji. – Wojaczka protekcjonalnie obejmuje Marysię w pasie, a kursantka cieszy się, że bije punkty.

Następny dzień jest lepszy od poprzedniego. Przed wszystkim kursanci nie mają do czynienia ze złośliwym trepem, głównym instruktorem i organizatorem szkoleń kwalifikowanej pierwszej pomocy. Notabene szefem najlepszego zespołu ratownictwa medycznego w Polsce.

– Dzisiaj zajmiemy się anatomią, a potem przejdziemy do ratowania życia. Byście czasami

nieumyślnie kogoś tego życia nie pozbawili. – Dojrzały lekarz, który pół wieku przepracował w karetkach pogotowia, postanawia przelecieć teorię i jak najszybciej przejść do treningów.

– To coś dla ciebie. – Marek znów nie odstępuje Marysi na krok. Od razu skupili wokół siebie kilkoro studentów, którzy są tak samo zdeterminowani, otwarci na nowe doświadczenia oraz pomimo stresu pogodni i życzliwi. – Ona jest po paru latach medycyny, więc wie więcej niż zwykły ratownik – informuje pozostałych, nie do końca świadomy prawdy.

– Ja mam dwa lata i co z tego? – Krzywi się Aga. – Ni chuja nie pamiętam z anatomii – dorzuca po swoim, ale nikogo to już nie dziwi.

– *Wall...* – Marysia już chce rzucić swoje ulubione *wallahi*, ale w ostatniej chwili gryzie się w język. – Cholercia! – przeklina w stylu swoich nowych kompanów. – Pamiętam nazewnictwo tylko po łacinie. – Nie chce mówić, że studiowała po arabsku i w tym języku mogłaby wszystko, co wykuła na blachę, odtworzyć nawet o dwunastej w nocy. – Anatomia i fizjologia podstawowych układów organizmu człowieka nie jest taka trudna.

– Raczej nie będą nas obligowali do znajomości wszystkiego. Ostatecznie to nie jest medycyna.

– Na co nam łacińskie nazwy?

– Co za debilizm!

Towarzystwo się oburza, nie wiedząc jeszcze, czego tak naprawdę będą wymagać.

– Najważniejsza jest triada przeżyciowa, czyli układ nerwowy, krążenia i oddechowy. – Marysia aktywnie uczestniczy w zajęciach i co chwilę się zgłasza. – Centralny układ nerwowy odpowiada za regulację i koordynację czynności organizmu, a także umożliwia jego przystosowanie do środowiska.

– A układ krążenia? – Wykładowczyni rozgląda się po sali, chcąc zaangażować kogoś jeszcze, ale niestety, nikt nie wyraża chęci. – Pani Mario?

– Odpowiada za transport substancji na przykład odżywczych czy hormonów w organizmie, regulację temperatury ciała, jak też za ochronę przed zakażeniami. Zaś układ oddechowy odpowiedzialny jest za wymianę gazów oddechowych z atmosferą. Powietrze pobierane jest do płuc, gdzie tlen dostaje się do krwi, natomiast wydostaje się z niej dwutlenek węgla, który jest wydalany z powrotem do atmosfery – studentka recytuje, tak jakby uczyła się tego wczoraj.

– Dzięki pani Marii wiemy już, na jakich frontach będziemy walczyć o życie naszych pacjentów. Nie dziwię się, że dostała pani zgodę na indywidualny tok nauczania, bo to, co inni wbijają do głów przez trzy lata, pani spokojnie opanuje w pół roku. Przy znajomości teorii praktyka nie powinna pani sprawić problemów. Moje gratulacje. – Instruktorka jest zadowolona, bo tym razem ma do czynienia z dobrą, ambitną grupą i niezaprzeczalną orientalną liderką. – Przechodzimy zatem do zasad bezpieczeństwa podczas udzielania pierwszej pomocy. Czy ktoś już wie, jak postępujemy w miejscu wypadku?

Tym razem rękę podnosi Marek.

– Jaka jest kolejność czynności ratowniczych? Wymieńcie podstawowe zabiegi resuscytacyjne u dorosłych. Jak przebiega resuscytacja krążeniowo-oddechowa dziecka? – padają kolejne pytania.

Kursanci coraz to zabierają głos, czekając tylko na zajęcia praktyczne, bo bez dwóch zdań to jest dla nich najważniejsze. Jednak bez w kółko wałkowanej teorii całe te studia nie byłyby warte funta kłaków, więc muszą przetrzymać nudnawe wykłady o udzielaniu pierwszej pomocy w sytuacjach nieurazowych, takich jak omdlenie, padaczka, zawał mięśnia sercowego, zadławienie u dorosłych i dzieci oraz wstrząs. Zaraz po tym wykładowcy wbijają im do głów informacje o pomocy w stanach nagłych pochodzenia urazowego, zranieniach, krwotokach, urazach kostno-stawowych. Znów prelekcje poparte są filmową wizualizacją, która najbardziej przemawia do studentów. Z sali wykładowej w końcu przechodzą do hali ćwiczeń, wyposażonej w bardziej i mniej skomplikowany sprzęt.

– Macie do dyspozycji rurki ustno-gardłowe wielorazowe typu Guedela, umożliwiające stwierdzenie obecności ciała obcego w świetle przełyku, zestaw ssący mechaniczny, ręczny z jednorazowym pojemnikiem na treść, dla dorosłych i niemowląt, worek samorozprężalny, przejrzysty, o konstrukcji umożliwiającej wentylację bierną i czynną, zapewniający częstość dziesięciu

oddechów na minutę, worek samorozprężalny dla dzieci, maski twarzowe w dwóch rozmiarach dla dzieci i dorosłych przezroczyste z mankietem silikonowym fartuchowym, jednorazową maskę krtaniową, reduktor łączący butlę tlenową z odbiornikami tlenu, zestaw jednorazowego użytku do tlenoterapii biernej z rezerwuarem, butlę tlenową aluminiową o płaskim dnie, nosze typu deska z tworzywa sztucznego, przepuszczalne dla promieni rentgenowskich, z co najmniej czterema kompletami kodowanych kolorami pasów zabezpieczających mocowanych obrotowo, z zestawem klocków do unieruchamiania głowy i kręgosłupa szyjnego, nosze podbieraki...

– Z tego wszystkiego to znam jedynie nosze – kpi Marysia, patrząc na ekwipunek zalegający ławy i stoły.

– Bez obaw. Nauczysz się. Dasz radę. – Pocieszają ją znajomi, a ona robi na wszystko wielkie oczy.

– Kolejne niezbędne do pracy ratownika wyposażenie znajdziecie tutaj. – Wykładowczyni ucisza towarzystwo wzrokiem, bo chce kontynuować. – Kołnierze szyjne z tworzywa sztucznego, wodoodporne, z możliwością regulacji rozmiaru dla dzieci i dorosłych oraz badania tętna na tętnicach szyjnych, szyny Kramera o różnych wymiarach w zdejmowalnym powleczeniu, z miękkim tworzywem nieprzepuszczalnym dla płynów, wydzielin i wydaliny, szynę wyciągową...

– A szynę kolejową? – żartuje zmęczony już Marek.

– Szynę kolejową to ci zaraz gdzieś wsadzę, młody człowieku. – Wojskowa ratownicza okazuje się równą babką. – Zobaczmy, jak się zachowasz, kiedy będziesz musiał błyskawicznie uratować komuś życie na autostradzie czy na środku zatłoczonej ulicy. Czy będziesz wtedy wiedział, po co sięgnąć, czy będziesz się zastanawiał i bawił w szukanie sprzętu, narażając tym samym czyjeś życie. Bo kiedy jesteśmy niekompetentni, to my stanowimy zagrożenie dla pacjenta. – Kiedy wszyscy poważnieją i obiecują się skupić, instruktorka wraca do tematu zajęć: – Teraz rzućcie okiem na opatrunki. Potem każdy z was dostanie je do rąk własnych. Do waszej prywatnej apteczki, którą sobie skompletujecie. Tak więc opatrunki różnią się oczywiście rozmiarem i sposobem użycia. Po kolei. Opatrunek osobisty, kompresy gazowe jałowe, gaza opatrunkowa jałowa, opaski opatrunkowe dziane, chusta trójkątna tekstylna, bandaż elastyczny, siatka opatrunkowa na kończyny i na głowę, żeby ktoś nieopatrznie nie użył bandaża elastycznego i nie wyprawił przez ten kardynalny błąd pacjenta na tamten świat. Przylepiec z opatrunkiem, przylepiec bez opatrunku, komplet szkoleniowych opatrunków hydrożelowych schładzających... – Aż brak jej tchu. – Jak widzicie, trochę tego jest, a podczas akcji ratowniczej musicie bezbłędnie wybrać odpowiedni nawet z zamkniętymi oczami.

– O Boże! Niech to szlag! To trudne... – narzekają młodzi.

– Tych fantomów to ja się boję. – Marysia jest przerażona. – Nie dotknę takiego. Są obrzydliwe. Ponoć mają funkcję wymiocin, jak coś się źle zrobi. Ble!

– Prawda. – Aga też robi zniesmaczoną minę. – Już mi taki plastikowy typek cofnął sztuczne, ale tak samo śmierdzące rzygi, kiedy za dużo powietrza w niego wdmuchnęłam. Uważaj, koleżanko.

– Niech to! A fantom dziecka do nauki resuscytacji wygląda jak rekwizyt z horroru.

– A prawdziwego chorego, wrzeszczącego, rżącego, rzygającego i srającego krwią dotkniesz?! – Instruktorka okazuje się klasyczną żołnierką i już nie chce ich głaskać po główkach, bo nadszedł najwyższy czas na kopanie po dupach. – Musicie przełamać barierę strachu i obrzydzenia. Potem będzie na to za późno – nieco łagodni ton. – W obecnych czasach najważniejsze są jednorazowe rękawiczki nitrylowe oraz worek plastikowy z zamknięciem na odpady plus płyn do dezynfekcji rąk. Pamiętajcie, żeby unikać zakażenia! Wy jesteście najważniejsi. Dopiero potem jest pacjent.

– Ja przepraszam, pani oficer. – Marysia oczywiście nie rozróżnia stopni wojskowych po pagonach, bo nigdy nie miała do czynienia z klasycznym wojskiem, a jedynie z arabskimi żołnierzami i bojownikami. – Ale ten fantom do nauki intubacji dotchawiczej dorosłego z przekrojem górnych dróg oddechowych jest przerażający. – Stojąc nad manekinem, wygina usta w podkówkę, jakby miała się rozpląkać.

– Moja droga estetko. – Ratownicza podchodzi do niej, bo trochę jej żal nowicjuszek. – To służy do nauki i oceny wzrokowej prawidłowego stosowania rurki ustno-gardłowej. Na żywym

poszkodowanym tego nie zobaczysz i nie będziesz wiedzieć, czy dobrze ustawiasz rurkę. Po to są sztuczne wargi, zęby, język, podniebienie, a nawet ruchomy przekrój kręgosłupa w odcinku szyjnym, wejście do krtani i przełyku, nagłośnia...

– Nagłośnia? Że jak? – Teraz już wszystkie żółtodzioby są sfrustrowane.

– Tutaj sprawdzicie, jak działają wasze środki pomocy. Potem w akcji będziecie działać już z automatu.

– A ten tors? Po co? – Aga pragnie, żeby wykładowczyni zrobiła już przerwę na papierosa. Jest jej niedobrze, a kiedy widzi popielatą z obrzydzenia, sniadą koleżankę, chwytą ją pod ramię, chcąc okazać wsparcie.

– Ten plastikowy manekin służy do nauki udrażniania dróg oddechowych dorosłego metodami bezprzyrządowymi i oddechu sztucznego, a także masażu pośredniego serca i badania tętna na tętnicach szyjnych – odpowiada instruktorka. – Ma wmontowane elektroniczne monitorowanie i ocenę wykonywanych czynności wraz z możliwością wydruku danych, a także metronom. Przy ofercie tego nie będzie.

– Te nowoczesne zabawki pozwolą nam na ocenę naszej własnej pracy. – Marek, jako jeden z nielicznych, nie jest zbulwersowany ani obrzydzony, bo z większością tych urządzeń mniej lub bardziej bezpośrednio miał już do czynienia. – Pani doktor ma rację: te fantomy są milusie w porównaniu z niektórymi nieszczęsnymi pacjentami.

– Dobrze, a teraz każdy z was weźmie manekin i rozpoczynamy ćwiczenia – ogłasza instruktorka.

Na początku praktyk Marysia ze zmęczenia ledwo trzymała pion, ale teraz, na finiszu, pomimo że jest całkowicie wykończona, to na pewno dużo silniejsza. Dzieje się tak dzięki obowiązkowym ćwiczeniom fizycznym oraz dodatkowemu fitnessowi, na którym dołączyła do obecnie umiędzianej i mocnej Agi. Urodzona malkontentka ciągle skarży się na ciężką i wyczerpującą naukę i przeładowany program stażu swojej przyjaciółce Salmie i młodszej koleżance Zajnab.

– To jakaś tragedia! Materiał jest tak obszerny, że studia ratownictwa medycznego powinny trwać nie trzy, ale pięć lat, jak regularna medycyna.

– Wyobraź sobie teraz, że niektórzy złodzieje i kłamcy organizują kursy kwalifikowanej pierwszej pomocy tygodniowe albo nawet ośmiogodzinne, czyli jednodniowe – uświadamia ją doświadczona lekarka.

– Jak to?

– Normalnie. Jeden dzień, egzamin i papier. A potem zmykaj i módl się, żeby nie doszło do nieszczęścia i nie trzeba było ratować ludzi. – Marokanka jest szczerze zbulwersowana. – Dobrze, że te krótkoterminowe przeprowadzają tylko dla pracowników korporacji czy wielkich przedsiębiorstw. To tak bardziej na wszelki wypadek. Szkolenie pracownicze jak z BHP.

– Taki ratownik może pacjentowi raczej zaszkodzić, niż pomóc – potwierdza Zajnab. – Rozumiem szkolenia w pigułce, ale czego z dziedziny medycyny można nauczyć w parę godzin? Gdzie leży wątroba, a gdzie serce, chyba tylko tyle.

– Właśnie tego najbardziej się boję – cicho wyznaje Marysia. – Że ja też nic nie umiem i zrobię komuś krzywdę. Ktoś przeze mnie umrze. *Wallahi!* – Teatralnie chwytą się za głowę.

– Po pierwsze, póki co nikt nie pozwoli ci samodzielnie zajmować się pacjentem. Zawsze będziesz instruowana przez lekarza i to on ponosi pełną odpowiedzialność – uspokaja przyjaciółkę ginekolożka, która doskonale zna realia. – Organizacja, z której usług szkoleniowych korzystasz, jest najlepsza w Polsce. Ręczę za nią i za instruktorów, którzy cię uczą. Praktyki odbywają tam wszyscy poważni ratownicy medyczni.

– Widziałas, ile mam materiału do opanowania i z czego na koniec będę egzaminowana? A to jeszcze nie egzamin licencjacki, jedynie mały teścik praktyczny. – Marysia wyciąga z torby tabelę z listą tematów. – Zachciało mi się indywidualnego toku nauczania i przyspieszonych studiów, to teraz

mam!

– Muszą sprawdzić efekty swojej pracy. Nie chcę cię straszyć, ale odsiewają ponad pięćdziesiąt procent studentów. Za to też ich cenię. – Salma uśmiecha się półgębkiem.

– No to mnie pocieszyłaś. Myślałam, że moja koleżanka Aga jest tylko wyjątkiem, który potwierdza regułę. Ale to widać prawda. – Marysia kręci głową. – Optymistyczna perspektywa, nie ma co.

– Daj spokój. Na pewno jesteś najlepsza, a jak masz z czymś kłopot, to mów. Byle szybko.

– Tak! My ci z chęcią pomożemy. – Zajnab też chce się podzielić swoimi umiejętnościami i doświadczeniem.

– To może przelemy szybciotko te zadania. – Marysia znów wsadza nos w papiery. – Teoria na temat organizacji ratownictwa medycznego i podstawy prawne to betka. Tezy mogę wyryć na pamięć. Zestawy ratownicze, odpowiednia utylizacja sprzętu... bla, bla bla, nie ma problemu. Elementy anatomii i fizjologii, ocena poszkodowanego, badanie wstępne i szczegółowe... To wszystko pamiętam jeszcze z Rijadu. Łatwiej byłoby mi mówić po arabsku, ale jakoś się nauczyłam polskiego nazewnictwa.

– Wiedzę książkową masz już zaliczoną! – śmieje się Salma.

– Dziękuję, pani doktor. Szkoda, że nie będzie pani w komisji, ale cóż... – Salma i Zajnab jak na komendę spuszczaają wzrok, co Marysia odczytuje jako niewysłowiony żal. – Kwalifikacja poszkodowanego nieprzytomnego... Jako tako. Ale teraz zaczynają się schody, bo nie umiem, nie lubię, brzydzę się i boję pracować na fantomach. Resuscytacja do wyboru: dorosłego, dziecka albo niemowlęcia. Potem zasady defibrylacji poszkodowanego metodą półautomatyczną i automatyczną. Okej, teoretycznie wiem co i jak, ale chyba wcześniej rzygnę, niż kogoś defibryluję.

– Kochana, nikt nie pozwoli ci nikogo defibrylować! – powtarza Salma. – Decyzję o tym inwazyjnym zabiegu również podejmuje lekarz.

– Tak że jedno rzygnięcie mniej – żartuje zazwyczaj taktowna Zajnab.

– Cieszę się – mówi Marysia, ale bynajmniej nie wygląda na zadowoloną. – Teraz opis wstrząsu i innych stanów nagłych, takich jak drgawki, cukrzyca, zawał mięśnia sercowego, udar mózgu, zatrucie, podtopienie... Może być. – Przewraca kartkę i kontynuuje: – Urazy mechaniczne i obrażenia, takie jak złamania, zwichnięcia, skręcenia, krwotoki, obrażenia klatki piersiowej, brzucha, kręgosłupa, głowy i kończyn.

– Umiesz to wszystko zabezpieczyć? – pyta Zajnab. – Założyć kołnierz, stelaż, szyny, zabandażować?

– Myślę, że tak, ale może jeszcze to przećwiczymy. Najpierw jednak dokończmy tę zabójczą litanię. Zobaczmy, czy do egzaminów zmrużę oko czy raczej nie, bo będę pruć wiedzę od rana do nocy, a po zmierzchu molestować fantomy. – Pół-Polka rechocze z szalonym wyrazem twarzy.

– Przyniosę ci parę takich plastikowych korpusików – oświadcza nagle Zajnab. – Pożyczę z uczelni na chwilkę. – Mruga figlarnie okiem. – Wtedy będziesz mogła się do nich przyzwyczaić.

– Byłoby wspaniale. Dzięki.

– Co tam jeszcze masz, kochana? – dopytuje Saudyjka.

– Betka. Zatrucia chemiczne, obrażenia termiczne i elektryczne, zagrożenia środowiskowe, akty terroru... – Marysia zawiesza wymownie głos. – To coś specjalnie dla mnie, starej działaczki antyterrorystycznej.

– Niezbędne wiadomości dla mieszkańców Arabii Saudyjskiej. Poproś o dodatkowe szkolenie.

– Zajnab dołącza do kpiniek. – Jak rozbroić terrorystę? Czy wystarczy wystrzelać go po mordzie? A potem, kiedy straci przytomność, jak bezpiecznie zrobić mu sztuczne oddychanie, żeby nas nie zainfekował swoimi szalonymi religijnymi teoriami!

– Doszywanie głów do korpusów po przejściu brygad śmierci z Państwa Islamskiego. To też byłoby na topie. – Marysię opanowuje turpistyczny nastrój, a Salma stwierdza, że ludzie żyjący obecnie na Bliskim Wschodzie powinni przejść terapię psychiatryczną.

– Dobra, lecimy dalej. Taktyka działań ratowniczych. Zdarzenie masowe, mnogie, pojedyncze,

segregacja wstępna, karta udzielonej pomocy, logistyka...

Marysia niespodziewanie odbiega myślą daleko stąd, zupełnie nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje i co się dzieje dookoła niej. Przypomina sobie tragedie rozgrywające się w Syrii, w miejscowościach Kobane, Rakka czy Aleppo. Była świadkiem tak wielu zbrodni! Pojedynczych, mnogich i masowych. Nikt nie robił żadnej segregacji. Nie prowadzono działań ratowniczych. Żołnierz, żołnierka, mężczyzna, kobieta, dziecko, dziewczynka lub chłopak, niemowlę, noworodek... Kulka dla wszystkich. Ścinanie głów maczetą. Pojedyncze, podwójne, a jak się udało, to i potrójne. Podrzynanie gardeł. Piłowanie żyłastej szyi, by oddzielić czaszkę od korpusu... Widzi jak żywo zamordowane, zmasakrowane cywilne ofiary, pogrzebane w zbiorowej mogile na Pustyni Syryjskiej. Czemu nikt ich nie ewakuował ze strefy zagrożenia? Czemu nikt nie przeprowadził badań logistycznych, jak wyprowadzić ich z tego piekła na ziemi? Może jednak by się dało...

– O czym myślisz? – Z zadumy wybudza ją spokojny głos Zajnab.

– Nie chcesz wiedzieć. – Pół-Polka wzdycha ciężko, wodząc dookoła rozbieranym wzrokiem. – Ale nic to. Teraz muszę się skupić na udzielaniu kwalifikowanej pierwszej pomocy w sytuacjach symulowanych, by za chwilę móc ratować ludzkie życie w realu.

– Właśnie. A my z Zajnab pomożemy ci się przygotować do tego egzaminu, żebyś egzamin życiowy jako ratownik na pewno zdała na piątkę. – Salma swoim zwyczajem pokrzepiająco gładzi przyjaciółkę po dłoni. – Wierzę w ciebie. Dasz radę!

– Moi drodzy, ostatnie dwa tygodnie to symulacje w terenie. – Naczelnny instruktor trochę już zmiękł i nie jest tak odrażająco opryskliwy i tragicznie niegrzeczny. – Musimy jeszcze gdzieś wcisnąć waszą wizytę na szpitalnym oddziale ratunkowym, toksykologicznym, oparzeniowym, hiper-barycznym, zakaźnym oraz w zintegrowanym stanowisku kierowania Państwowej Straży Pożarnej lub w centrum powiadamiania ratunkowego. Mamy dużo do zrobienia, więc zabierajmy się do pracy! – pogania młodych studentów i pakuje ich do busów grupami po sześć osób. Dzisiaj nie będzie nudno, bo przez cały dzień będą się przemieszczać z miejsca na miejsce.

Pierwszy postój jest na autostradach A-4 i S-8. Busy rozdzielają się i działają w mniejszych grupach, by studenci mogli się lepiej sprawdzić. Przy najbardziej ruchliwych polskich drogach przygotowano pierwszą symulację. Organizatorzy jak zawsze są ciekawi reakcji nie tylko aplikantów na ratowników, ale również kierowców, mijających to miejsce. Czy ktoś się zatrzyma? Czy ktokolwiek się zainteresuje? Firmowe busy z logo są ukryte, a studenci mają cywilne ubrania, więc sytuacja wygląda naturalnie i naprawdę przerażająco. Dwa zdezelowane samochody ze złomowiska stoją na poboczu, na brzegu jezdni zaś leży manekin z rozrzuconymi na boki blond włosami i rozchełstaną bluzką pobrudzoną sztuczną krwią. Obok oparty o balustradę siedzi sztuczny mężczyzna.

Auta przejeżdżają, nawet nie zwalniając. Nikogo nie obchodzi sytuacja poza drogą. Każdy się spieszy, bo ma mnóstwo spraw na głowie. *Niewyobrażalne!*, myśli Marysia. *W krajach arabskich już by tu stało z pięć samochodów, a ludzie kłębiliby się nad ofiarami wypadku. Każdy chciałby pomóc. Krzyczeliby, wrzeszczeli, rwali włosy z głowy, ale byliby gotowi zrobić wszystko, żeby uratować ludzkie życie. Nieumiejętnie i nieudolnie, ale zawsze.* Duma jeszcze chwilę, marszcząc brew. *Jednak nie w Saudi. Tam pomagali tylko mężczyźni mężczyznom i dlatego, do diaska, skończę te cholernie trudne studia! Nie mam co się opieprzać! To moje powołanie! Przeznaczenie!*

– Co mam robić, panie instruktorze? – Przekrzykując szum jadących samochodów, pyta mężczyznę, który na początku tak niegodziwie ją traktował. – Za kogo się zabrać?

– Ty z Agnieszką do faceta, a Marek z resztą grupy do pokancerowanej babki.

– Tak jest!

– Co najpierw zrobisz?

– Przeprowadzam wywiad ratowniczy i oceniam podstawowe czynności życiowe – szybko odpowiada. – Potem oceniam rodzaje obrażeń ciała i przeprowadzam badanie wstępne i szczegółowe. Sprawdzam podstawowe narządy i układy. Jeśli pacjent jest nieprzytomny, to z wywiadu nici i nigdy

się nie dowiem, czy jest żonaty czy nie. – Marysia się wydurnia, bo bawi ją wygląd męskiego manekina, nieudolnie ucharakteryzowanego na przystojnego faceta.

– Kurwa mać, kobieto! Tracisz na pierdolenie głupot cenne minuty, a tutaj sekundy mogą ratować ludzkie życie!

– Przepraszam. – Marysia zupełnie nie rozumie, czemu stary wyga jest takim ponurakiem. – Zapisuj. – Daje Adze formularz, który ratownik musi wypełnić, choć na pewno nie w trakcie akcji, bo nigdy na to nie ma czasu. – Co panu dolega, proszę pana? – Dalej błaznuje, zwracając się do fantoma.

– Jestem martwy – odpowiada Aga, udając męski, tubalny głos, co nie najlepiej jej wychodzi, ale za to bardzo śmiesznie. – Plastikowy ze mnie gość. Plastikowe chujki kiepsko stają, wie pani? – świntuszy i dwie siksy chichrają w rękaw.

Nagle na dwupasmówce coś się dzieje. Słysząc pisk opon, a po paru sekundach rozlega się huk. Marysia nie zdawała sobie sprawy, że zderzenie dwóch pędzących z prędkością stu czterdziestu czy stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę aut jest aż tak głośne. Jakby góry się waliły albo ziemia trzęsła, tylko że dźwięk jest zgrzytliwy i metaliczny. Całe zdarzenie rozgrywa się jak na zwolnionych obrotach, a w rzeczywistości trwa niespełna minutę czy dwie. Nadjeżdżające z tyłu samochody z trudem wyhamowują, omijając nieszczęśników, którzy ulegli kraksie.

Młodzi kandydaci na ratowników szybko rzucają okiem na swojego trenera, a widząc przyzwolenie na jego twarzy, ruszają przed siebie.

– Kto dzwoni po ambulans?! – Marek krzyczy do towarzyszy.

– Ja! – odkrzykuje instruktor. – Zabezpieczyć drogę, ustawić trójkąty! Sprowadzić naszego busa i pomoc drogową! – Krótkie, ostre polecenia brzmią jak szczeknięcia.

Młodzi przy pomocy instruktora oraz ludzi, którzy nagle wyrosli jak spod ziemi, gotowi do niesienia pomocy, przepychają samochody z drogi szybkiego ruchu na pobocze i usiłują otworzyć drzwi. W jednym aucie znajduje się cała rodzina – ojciec, matka i na oko trzyletnie dziecko w bezpiecznym foteliku samochodowym. W drugim pojeździe za kierownicą siedzi elegancko ubrana bizneswoman. Marek z dwoma kolegami i instruktorem rzucają się do auta, gdzie znajduje się wielki jak szafa trzydrzwiowa mężczyzna. Poszkodowany broczy krwią, a opuchlizny i rany dosłownie rosną na oczach ratowników.

– Złamania otwarte, krwotok otwarty z nogi... może z tętnicy udowej. Dawać kołnierz, szyny, bandaże, opatrunki... – Młodemu kierowcy ambulansu ręce trzęsą się jak motyle skrzydła.

– Spokojnie. – Instruktor jest tuż za nim i pewnym głosem koi jego nerwy. – Wszystko robisz dobrze. Przede wszystkim zatamuj krwawienie. Ja dam mu zastrzyk uspokajający i przeciwbólowy.

Poszkodowany wyje jak zarzynany tur, jego żona, najprawdopodobniej ze strachu, traci przytomność, a dziecko nie daje żadnych oznak życia; zwisa bezwolnie na pasach fotelika, nie krzyczy, nie płacze, nie woła. Z jego ust nie wydostaje się żadna wydzielina. Robi się jednak coraz bledsze, wręcz porcelanowe.

– Poszkodowana kobieta nieprzytomna. – Instruktor musi ustawić pracę spanikowanej grupy, by wszystkie ofiary zostały błyskawicznie zdiagnozowane i utrzymane przy życiu. – Rafał i Baśka, oceńcie stan matki w zakresie podstawowych funkcji życiowych, przytomności, oddychania, krążenia. Spróbujcie ją delikatnie ocucić. Zapewnijcie jej komfort cieplny, spokój i bezpieczeństwo do chwili przekazania personelowi ambulansu. Przygotować informacje o podjętych działaniach dla ratowników, którym ją przekazemy. Już! Raz-dwa! Ruchy!

– Niech nam pan pomoże! – proszą zagubieni młodzi.

– Nie dam rady. Wyciągam dziecko z fotelika. Nie oddycha. Muszę zrobić resuscytację – krótko informuje i teraz wszyscy już wiedzą, że ma do wykonania najpoważniejszą misję. – Maryśka i Aga?

– My lecimy do audi! – Dziewczyny same sobie przydzieliły zadanie, na co instruktor tylko kiwa z uznaniem głową.

– Dziecko nadal bez oddechu – oznajmia ratownik. – Jak nie zaskoczy do trzech minut, to mamy po mózgu.

Najgorsze, co może być, myśli Marysia, rzucając okiem w stronę szefa. Mój koszmar. Sztuczne oddychanie u dziecka, które w następstwie błędu umiera ratownikowi na rękach. Teraz musi jednak się skupić na swoim zadaniu. Otwiera drzwi eleganckiego wozu z równie elegancką kobietą na siedzeniu kierowcy. *Dobrze, że ta babka wygląda spoko. Aż dziw, że nic jej nie jest.* Obserwuje zgrabne sportowe autko, ze zgniecionym bagażnikiem i bokiem od strony pasażera. *Ale fuks!*, myśli, rozcinając poduszkę powietrzną.

– Witam panią. Jestem ratownikiem pierwszej pomocy – kłamie, ale nie chce przerazić chorej, mówiąc, że dopiero się uczy. – Czy czuje pani jakiś ból? Możemy w czymś pomóc?

– Głowa... – Ofiara unosi wypielęgowaną dłoń, by dotknąć posiniaczonego czoła. – I jakoś mi tak niewyraźnie...

– Już zakładam kołnierz ortopedyczny. – Przyszła ratowniczką, wyćwiczona przez swoje arabskie przyjaciółki lekarki, jednym błyskawicznym ruchem mocuje kołnierz i zapina go na ślepo. – Proszę się nie ruszać. Postaramy się zabezpieczyć wszystkie kontuzje na miejscu.

– Boli mnie biodro... Nie wiem, co mogło mi się stać...

– Proszę pokazać, gdzie konkretnie panią boli.

– Nie tak bardzo... Tylko ćmi... – Kobieta mówi coraz wolniej, a po chwili wywraca raz i drugi oczami, które uciekają jej w głąb czaszki. Zaraz jednak wraca jej świadomość. – Tutaj mam takie dziwne odczucie... – Pokazuje palcem na podbrzusze.

– Tracimy ją – Marysia szepcze do ucha Adze. – Bogu dzięki karetka już jedzie.

– Jak tam? – Instruktor podchodzi do dziewczyn, a gdy nie widzi krwi, nie słyszy krzyków, stwierdza, że drogie auta są bezpieczne nawet przy dużej prędkości. – Widzę, że się nie narobiłyście.

– Myślę, że mamy wylew wewnętrzny – Marysia wydaje poważną diagnozę. – Prawdopodobnie złamana kość łonowa przebiła tętnicę udową. Sądzę, że pani próbowała gwałtownie nacisnąć pedał hamulca, a przy kruchych kościach i osteoporozie doszło do takiego urazu.

– Możliwe... – Instruktor dyskretnie podnosi ubranie uszkodzonej i widzi nienaturalnie spuchnięty brzuch. – Pierwsza do karetki. Wylew wewnętrzny! – potwierdza rozpoznanie.

– Mój facet ma sto wylewów! – rzuca się do nich Marek, chcąc swojego pacjenta ratować jako pierwszego. – Cieknie mu z rąk i nóg! Cztery złamania otwarte, zmiażdżona kość przedramienia, rozwalona głowa...

– Czemu nie przyjechało tyle karetek, ilu mamy uszkodzonych? – Instruktor naskakuje na przybyłych kolegów po fachu. – Co to ma być?! Zgłaszałem przecież!

– Niedaleko od was też był karambol, w mieście ludzie mrą jak muchy, bo zabijają ich upały, a nad jeziora jeżdżą chyba tylko pijani rodzice, by pozbyć się swoich pociec przez utopienie – mówi mężczyzna z parodniowym zarostem. – Kolego, jestem na zmianie już siedemdziesiąt dwie godziny. Jedziemy!

Kiedy karetka rusza z piskiem opon, a za nią podjeżdżają następne ambulansy, wszystkim kamień spada z serca.

– Tak na przyszłość – instruktor zwraca się do swoich uczniów, którzy dostali dziś prawdziwą lekcję życia – ci najbardziej krwawiący i wrzeszczący najczęściej wychodzą z wypadku cało. Odchodzą ci, którzy milczą, bo śmierć to przebiegła kurwa, moje dzieci. Nie wywiesza anonsów i lubi chwycić za gardło w skrytości i ciszy. – Z uwagą lustruje swoją grupę. – Dziękuję wam w imieniu służby – mówi na koniec, patrząc z życzliwością w przerażone, podkrążone z emocji i nerwów oczy studentów. Wszystkie szczęki są zaciśnięte, by nie krzyknąć bądź nie szlochać. Teraz już nikt nie powie, że fantom jest głupi i obrzydliwy. Od tego dnia ofiary wypadków będą ich dręczyć w snach. Ich horror właśnie się zaczął.

Egzaminy praktyczne Marysia zalicza na piątkę z plusem. Obrona pracy licencjackiej, którą napisała na temat zagrożeń podczas ataku terrorystycznego i metod minimalizacji oraz likwidacji szkód, była czystą przyjemnością, a Marysia czuła się wyróżniona pytaniami zadawanymi jej, jako

specjalistce, przez komisję egzaminacyjną. Tutaj i teraz wszyscy już wiedzą, gdzie kobieta ma zamiar wykorzystać zdobyte w Polsce umiejętności, i szczerze ją podziwiają.

– Gratulujemy licencjatu. – Sam rektor ściska jej prawicę, wręczając dyplom. – Powinna pani się pokusić o tytuł magistra.

– Jest pani świetna. Najlepsza z grupy. – Twardy instruktor także jest w komisji. – Najbardziej niepokorni zawsze są najlepsi. A ta tutaj jest pyską i najbardziej krnąbrną diabolicą – żartuje już po wszystkim.

– Pani Mario, cieszymy się, że wybrała pani Polskę na szkolenie. – Salma, której do ostatniej chwili udało się utrzymać w tajemnicy przed przyjaciółką swój udział w kolegium egzaminatorskim, raduje się z sukcesu protegowanej. – Mam nadzieję jeszcze panią zobaczyć.

– Już niedługo na piwie – szepcze Marysia, po czym głośniej zwraca się do wszystkich: – Dziękuję państwu. Nie spodziewałam się, że dostąpię takiego zaszczytu. *Wallahi!* Jakie to cudowne uczucie, kiedy człowiek spełnia swoje marzenia! – Entuzjastycznie klaszcze nad głową w ręce i dwa razy podskakuje w miejscu, na co wszyscy są już całkiem rozkrochmaleni i cieszą się jej radością.

Absolwentka odbywa praktyki jako ratownik medyczny najpierw na sportowych stadionach, ochraniając mecze. Wysportowanymi młodymi zawodnikami zajmują się tam lekarze i fizjoterapeuci, a ratownicy są nastawieni raczej na niesienie pomocy publiczności. Jeśli są to rozgrywki regionalne, widownia jest prorodzinna i nic się nie dzieje, z wyjątkiem skręconych kostek czy nadgarstków u nieposłusznych, zbyt żywych dzieciaków. Parę zasłabnięć też zawsze musi być. Jednak im ważniejsze zawody, im bardziej licząca się sportowa drużyna, tym więcej pojawia się kibiców, lecz kiboli, którzy za cel wzięli sobie zepsucie każdego widowiska i polskiego dobrego imienia w świecie. Tutaj większość wypadków spowodowana jest przez wpływ używek, alkoholu, narkotyków i dopalaczy, których aktualnie w Polsce jest coraz więcej. Tę kolejną trucizną, tak samo jak narkotyki, rozprawdzają dilerzy. Ofiary bardzo często są nie do odratowania. Ratownicy medyczni cieszą się, kiedy hałastrą pseudowidzów opuszcza stadion, bo wtedy pałeczkę przejmują policja, straż miejska oraz inne służby mundurowe. Jeśli zaś na ulicach dochodzi do aktów wandalizmu i przemocy, napastnicy trafiają do więzień i na komisariaty, a ofiary do szpitali.

Marysia musi się mordować na stadionach, gdyż podczas studiów nie odbyła obowiązkowego obozu sprawnościowego w zakresie ratownictwa wodnego, sportów wodnych, takich jak wioślarstwo, kajakarstwo i żeglarstwo, gier zespołowych, jak piłka nożna czy siatkówka, nie była na obozie w zakresie ratownictwa górskiego i wysokościowego, sportów zimowych, wspinaczki i biegów terenowych. Nie pomogło tłumaczenie, że z niczym takim w Arabii Saudyjskiej nie będzie miała do czynienia, bo nie ma tam rzek, nikt nie uprawia sportów wodnych, a tym bardziej narciarstwa w temperaturze plus sześćdziesięciu stopni. A jeśli zmieni miejsce zamieszkania? Przeniesie się do Dubaju, gdzie jest stok narciarski? Polacy są skrupulatni i może dlatego cały świat tak wysoko ceni edukację zdobytą w tym kraju. Jednak młoda adeptka ratownictwa medycznego czuje już przesytną pracą, nauką i stresem. Potrzebuje relaksu.

– Co robisz dziś wieczorem? – Marek nie daje pół-Polce spokoju i wydzwania do niej, gdy tylko nie ma dyżuru w karetce pogotowia. Mężczyzna ma tak mało wolnego czasu, że Marysi aż go szkoda. Nie potrafi mu odmówić spotkania, zwłaszcza że wzorem orientalnym nigdy nie idą sami, tylko z całą szkoleniową grupą, w której nawiązały się przyjaźnie, a nawet miłości. Jednak największe uczucie zrodziło się w sercu przystojnego Polaka z piegowatym nosem. – Dzisiaj grają nasi! Trzeba to obejrzeć! – ekscytuje się patriota.

– Po ostatnich dyżurach na stadionach mam trochę dość kopania w piłkę. – Marysia jeszcze się broni, choć wie, że dzisiaj w Polsce jest niepisane święto narodowe i wszyscy, ale to wszyscy bez wyjątku będą oglądać mundial, by kibicować polskiej drużynie. – Poza tym mam już jedno zaproszenie...

– Tak? – W głosie mężczyzny słyszy zawód i od razu czuje się winna, bo już dawno powinna była mu powiedzieć, że ma męża i dzieci, żeby nie robił sobie niepotrzebnych nadziei. Ale wciąż go żałuje i ciągle ma ochotę go zobaczyć jeszcze ten jeden raz. I jeszcze jeden... I jeszcze...

– W Wilanowie jest bardzo fajna strefa kibica. Bez kiboli – dodaje. – Znajomi będą tam oglądać.

– A więc idziesz z nimi? – Marek ciężko wzdycha. – Szkoda.

– To wielka strefa kibica. Każdy może przyjść i dla wszystkich starczy miejsca. Nawet jak już nie będzie leżaków, zawsze można usiąść na trawce na kocu.

– Czyżbyś mnie zapraszała? – Głos mężczyzny znów jest pełen życia i radości.

– Jasne. Zadzwońię też do Agi i Rafała, Baški i Marcina. Możesz wziąć swoich znajomych z pogotowia.

– Jakich znajomych? Kobieto! U mnie tylko praca, dom, praca, dom. Nawet nie własny dom, lecz wynajęty. I nawet nie dom, tylko pokój z łóżkiem.

Marysia myśli sobie, że młodzi ludzie w Polsce mają całkiem przegrane życie. Dlaczego nie mają do dyspozycji nawet małych mieszkańek? I jeszcze dostają złodziejsko niskie pensje! Czemu państwo im nie pomoże? Dlaczego nie mają przyszłości tutaj, w kraju nad Wisłą, i muszą wyjeżdżać za chlebem daleko od bliskich, od rodzin. Jechać na poniewierkę. *Polacy pracują w Anglii, Irlandii czy Niemczech, a u nich Ukraińcy i Białorusini, Pakistańczycy i Hindusi. Ten świat stanął na głowie*, podsumowuje arabsko-polska obywatelka. *Nie tylko na Bliskim Wschodzie jest taka ogromna migracja ludności. Europa też się tasuje. Do czego to wszystko zmierza?* Nie umie udzielić sobie odpowiedzi na to pytanie, zresztą nie ma zamiaru zawracać sobie tym dłużej głowy. Ma poważniejsze, bliższe sercu problemy. Tak, właśnie. Niespodziewanie w jej życiu znów pojawiły się problemy sercowe.

– Widzimy się zatem przed meczem w piwiarni przy strefie kibica albo na łączce – potwierdza nierozsądna kobieta.

– Tak! Już nie mogę się doczekać – odpowiada Marek czułym, namiętym głosem. Chciałby jej wyznać coś bardziej osobistego i postanawia, że zrobi to wieczorem podczas meczu. Amerykanie oświadczają się podczas meczów bejsbolowych Jankesów, zaś on wyzna Marysi miłość podczas eliminacji mundialu, kiedy polska drużyna swoim zwyczajem sromotnie przerżnie mecz i zmarnuje kolejną szansę. Może w atmosferze rozpacz i rozżalenia Marysia przychylnie spojrzy na polskiego biedaka?

– Cześć! Jak się macie? Jak zdrowie? Jak się bawicie? – Arabsko-polskie mieszane towarzystwo – Salma z towarzyszącym jej przystojnym menem w średnim wieku, Zajnab z chudym jak ona polskim intelektualistą oraz słomiana wdowa Marysia – wita się typowo orientalnym zwyczajem, zarzucając kurtuazyjnymi pytaniami.

– Będzie nas trochę więcej – uprzedza pół-Polka, widząc zbliżającą się grupę koleżanek i kolegów ze studiów.

– Czemu ich zaprosiłaś? – Salma panikuje, rozglądając się na boki, jakby chciała uciec. – Przecież was egzaminowałam! Jestem dla nich nauczycielką, a nie kumpelką.

– No i co z tego? – Marysia całkiem nie rozumie jej oburzenia. – Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– Powiedzą, że miałaś ustawiony egzamin. Że kumoterstwo, nepotyzm!

– Żartujesz? Tak samo jak oni nie wiedziałam, kto będzie w komisji i że będziesz w niej ty. Przecież nic mi nie powiedziałaś, cholero jedna!

– Jeszcze tego brakowało!

– Mogłaś mnie choć trochę uspokoić. Chociaż po prawdzie właśnie ty piłowałaś mnie najbardziej.

– I dobrze. Nie ma forów dla koleżanek. Jednak twoi kolesie będą na to patrzeć z innej strony. Pomyślą, że właśnie ci te fory dawałam.

– Oszalałaś! W komisji było pięciu egzaminatorów. Ocena była średnią pięciu składowych. Co ty wygadujesz?! – Młodsza koleżanka podnosi głos. – Czepiasz się!

– Czepiam? – Z Salmy schodzi powietrze i spokojnie rozpatruje zarzut. – Możliwe, że trochę

się czepiam, ale nie lubię utrzymywać prywatnych kontaktów z uczniami. To naraża człowieka na zarzuty i oskarżenia.

– A Zajnab? – Marysia pokazuje brodą na szczęśliwą Saudyjkę, siedzącą obok równie zadowolonego, zapatrzonego w nią Polaka i sączącą bezalkoholowe piwo z wielkim upodobaniem.

– Ona to zupełnie co innego. Już jest lekarką. Poza tym to kontakty bardziej nacjonalistyczne i religijne niż naukowe.

– Pieprzysz! – Zbulwersowana młoda patrzy spode łba na swoją przyjaciółkę. – Religijne? Ale chrzanisz! Nie wiem, o co ci chodzi.

– Chodzi mi o to, że nie chcę być widywana wśród studentów, młodzieży akademickiej, gówniarzerii. Po prostu. Tutaj bardzo łatwo przypinają człowiekowi łatkę. Zależy mi na mojej pracy i na wykładach na uczelni. A najbardziej zależy mi na pobycie w tym kraju.

– Cóż, nie sądziłam, że rozpętam aferę stulecia. Zaraz ich wezmę i pójdziemy gdzie indziej, zwłaszcza że na tym snobistycznym Wilanowie piwo jest horrendalnie drogie. Nie na kieszeń polskiej „gówniarzerii”.

– Daj spokój... – Salma sama nie wie, co począć, ale w tej samej chwili podchodzi do nich grupka młodych.

– Dzień dobry. – Marek wita się grzecznie, uśmiechając się od ucha do ucha, a reszta towarzystwa wymownie spoziera to na swoją kumpelkę, to na doktor Salmę.

– Hejka! – Marysia każdego całuje w policzek. – Z tą panią – pokazuje palcem na wykładowczynię – łączą mnie kontakty bardziej towarzyskie, nacjonalistyczne i religijne niż naukowe.

– Okej. Super. Tak. Pewa – potwierdzają młodzi, kiwając głowami, jednak nie patrzą w oczy i podnoszą ze zdziwienia brwi.

– Wszyscy zdaliśmy, więc nie ma problemu. – Najbardziej przebojowa Aga niczym się nie przejmując.

– Mnie maglowała najdłużej i zadawała najbardziej wredne pytania – mówi Marysia. – To tak po znajomości – żartuje, ale po minach towarzystwa widzi, że nikt jej jakoś nie wierzy i wszyscy czują się skrępowani.

– Co robimy? – pyta rudzielec Rafał, drepcząc w miejscu.

– Chodźcie do Żabki po piwko. Potem wrócimy do strefy i gdzieś sobie siądziemy. – Kobieta postanawia wybawić jednych i drugich od niechcianego towarzystwa. – To nara – zwraca się do Salmę i Zajnab, po czym bierze pod ramię wysokiego Marka.

Mecze ciągną się bez końca, a kibice na zielonej trawce coraz bardziej przeżywają porażkę. Nawet najwięksi optymiści denerwują się, widząc nieudolną grę polskiej drużyny.

– Hańba! Wstyd! Co oni wyprawiają?! Po co w ogóle tu przyszliśmy? – padają negatywne komentarze.

– Co oni robili na treningach!

– Gówno! Nic nie robili! Leczyli kaca!

– A wieczorami i po nocach pili.

– Chlali! Oficjalnie mówią, że tylko trzy piwka, bo mieli wolne.

– A jak nie mają wolnego, to walą kratę na głowę, no nie?

– Na reklamy telewizyjne za grubą kasiorę czas trwonili zamiast na sportowe ćwiczenia. Focia tu, focia tam, a tysiące na konto lecą.

– Mało im płacą za przejście z klubu do klubu? Oni sprzedają się jak najdroższe dziwki.

– Tak jest na całym świecie. Sportowcy... – Ktoś próbuje bronić nieszczęsnych biało-czerwonych, którym znów się nie powiodło, ale natychmiast zostaje zakrzyczany:

– Nie pierdol! Zamknij się, jak masz głupio gadać! Idiota! Ciota!

– Oni milionami szastają, a w głupią piłkę i tak nie nauczą się kopać.

– Kopią perfekcyjnie, ale za euro. Za złotówki i dla naszych już im się nie opyla!

Marysia widzi, ile nerwów i zawodu przynosi Polakom ich narodowa drużyna. Mecz miał być świętem, a stał się stypą. Wszyscy przeżywają przegraną. Dotyczy to każdego, tak jakby stanowili teraz

jedną wielką rodzinę okrytą narodową żalobą. Młodzi ratownicy siedzą w sześciuosobowej grupie i nie dają się porwać żywej dyskusji. Dwie polskie pary czule szepczą od czasu do czasu coś sobie na ucho, całują się bez najmniejszego skrępowania i wysuszają kolejne piwa. Marek z Marysią siedzą blisko siebie, delikatnie stykając się to ramionami, to plecami, aż w końcu mężczyzna obejmuje swoją piękną towarzyszkę ramieniem. Kobieta nie oponuje, nie odsuwa się, bo jest jej bardzo dobrze, czuje ciepło zarówno na ciele, jak i na sercu. Siedzące kilka metrów dalej Salma i Zajnab co chwilę rzucają okiem na piękną mieszaną parę i zastanawiają się, dokąd zaprowadzi ich ta bliskość. Czy aby nie za daleko? Czy Marysia na czas powie „nie”, a Marek jej usłucha? Czy po całym wieczorze czułości i ostrożnych zbliżeń zaangażowany mężczyzna odpowiednio zareaguje na odmowę? I najważniejsze, czy Marysia mu odmówi? Przyjaciółki coraz bardziej w to wątpią.

Kiedy zbliża się północ, okoliczne lokale się zamykają, światła gasną, a biesiadujący kibice powoli rozchodzą się do domów. Marysia i Marek wstają ostatni.

– Odprowadzę cię – proponuje mężczyzna, mocno przytulając swoją piękną wybranekę.

– Dziękuję. – Marysia czuje, że za dużo wypiła. Dopiero teraz, kiedy przyjmuje pion, dochodzi to do niej. Nie tylko język jej się płacze, ale nogi również. W uszach słyszy ciągły, głośny szum. *Wallahi! Co ja narobiłam? Jak dojdę do domu? Jak sobie poradzę?*, tłucze się jej po głowie. *Muszę się odczepić od tego faceta! Absolutnie!*

Marek chciałby jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu, ona jednak prowadzi go dookoła, krętymi ścieżkami i sportowymi traktami. Raz za razem przysiada na ławce, popijając wodę z plastikowej butelki. To jej metoda, by się ocucić i dotrzeć do celu przy trzeźwych zmysłach. Nieomylnie przewiduje bowiem, że mężczyzna wiele się po tej nocy spodziewa.

Kiedy w końcu docierają przed wejście na strzeżone osiedle, Marysia wbija kod, a Marek bez pytania wchodzi za nią przez bramę. W milczeniu przemierzają oświetlony lampami ogród, a kobieta intensywnie myśli, co ma począć. Jaka będzie reakcja mężczyzny, któremu przez długi czas robiła nadzieje, zamiast od razu poinformować go, jak się sprawy mają? Oszukiwała go. Wejście do bloku pokonują tak samo, jeden za drugim, gdyż Marysia nie chce zaczynać rozmowy na podwórzu, na którym echem poniesie się każde słowo. Jednak gdy zatrzymują się przed drzwiami mieszkania, kobieta mocno ściska w ręce klucz i mówi:

– Marku, pożegnajmy się tutaj. – Jest już prawie całkiem trzeźwa i skoncentrowana. – Dziękuję za miły wieczór.

– Jak to, moja pani? Chyba zaprosisz mnie do siebie? Na kawę, herbatę, piwo... Oglądanie znaczków w klaserach lub seriali w necie? – Twarz Marka nadal jest pogodna, bowiem nie spodziewa się, że po takim wieczorze dostanie kosza.

– Późno jest...

– To dobrze. Nie jesteś dziećmi.

– Ty jesteś. Jestem od ciebie dużo starsza, tylko tak młodo wyglądam...

– Parę lat w tę czy w tę nie robi różnicy. – Mężczyzna uśmiecha się szczerze.

– Marku... – Marysia kładzie dłonie na jego policzkach, ale bolesna prawda nie przechodzi jej przez gardło.

– Kochana... – Nagle Marek dociska ją swoim ciałem do ściany, a ona czuje rozsadzającą jego spodnie męskość. Pragnie go tak bardzo, że aż brakuje jej tchu. – Marysiu, tak cię kocham... Dziewczyno ty moja... – Głos mu się rwie.

Przystojniak pochyla się do jej ust, nakrywając je swoimi twardymi, namiętymi wargami, by żarłocznie je pochłaniać, językiem toruje sobie drogę do ich wnętrza. Automatyczne światło gaśnie. Mężczyzna rozpina spodnie pół-Polki i wsuwa rękę pomiędzy jej szczupłe uda. Czuje pulsujące podniecenie, czuje ogień płonący w jej muszelce i sam zalewa się żarem pożądania.

– Nie mają gdzie tego robić, tylko na klatce schodowej będą się pieprzyć?! – Tuż obok otwierają się drzwi, w których staje zaspany sąsiad w piżamie. – Nie do pomyślenia! – drze się, lustrując kochanków od stóp do głów. – Rozpustne arabskie pomiotło! – Trochę miesza stereotypy, bo zgodnie z nimi błękitnooka blond dziewczica powinna być molestowana przez obrzydliwego, śniadego

Araba, ale jest mu wszystko jedno, byle tylko obrazić obcą nację.

– Przepraszam. – Marysia zupełnie baranieje, a z przerażenia i wstydu ręce drżą jej tak, że nie jest w stanie trafić kluczem do zamka.

– Już nas nie ma. – Marek wyręcza kobietę i jednym ruchem otwiera drzwi, uśmiechając się przy tym do gburą. – Dobrej nocy panu.

Gdy wpadają do środka i, ogłupiali stają w przedpokoju, Marysia stwierdza, że jest ugotowana na miękko, bo na zbyt wiele sobie pozwoliła. Zapina błyskawicznie spodnie, wygładza włosy, obciąga rozchełstaną bluzkę i głęboko nabiera powietrza. Na koniec wyciera twarz, wciąż wilgotną od pocałunków kochanka. *Jeszcze jeden głęboki oddech i pełna koncentracja*, napomina się w myślach.

– Marku, zaczęłam wyjaśniać, ale nie skończyłam...

– Zaczęliśmy coś, ale nie skończyliśmy... – Mężczyzna przyskakuje do ukochanej, lecz ta tym razem zdecydowanie cofa się o krok i wyciąga ostentacyjnie przed siebie ręce.

– Nie jest tak, jak myślisz. Źle mnie zrozumiałeś, źle odczytałeś...

– Wszystko jest jasne, kochana.

– *Shut up!*201 – wykrzykuje Marysia, bo widzi, że po dobroci nic tu nie wskóra. – Masz mnie wysłuchać, a potem stąd spierdalać! Zrozumiano?

– Nie kumam, ale w porządku. – Marek sztywnieje i zaniepokojony lustruje kobietę, która dotąd wydawała mu się delikatna jak lilijka. – Co jest grane?

– Nie sądziłam, że tak poważnie się zaangażujesz. Przepraszam. Ja... mam męża.

– Trudno, nikt nie jest doskonały. – Jeszcze próbuje żartować. – Istnieje coś takiego jak rozwód.

– Ale ja mam kochającego męża. I sama go kocham. Do ciebie poczułam... – zastanawia się przez chwilę – młodzieńczą miętę. Zauroczenie, któremu dałam się porwać.

– Zauroczenie – burczy zawiedziony kochanek.

– Mam też dwójkę dzieci, więc rozwód w ogóle nie wchodzi w grę.

– Dzieci? A to nowość.

– Nie nowość. Moja córka ma już osiem lat.

– Rzeczywiście szkoda, że wcześniej mi o tym nie powiedziałaś. – Marek jest wyraźnie rozgoryczony. – Trochę to nieuczciwe.

– Przepraszam cię. Gdybym była wolna, byłbyś jedynym mężczyzną, z którym chciałabym być. Przysięgam. Jedynym białasem.

– Jedynym co?

– Polakiem.

– To twój mąż nie jest Polakiem? – dziwi się i w tej samej chwili dochodzi do wniosku, że nic o tej kobiecie nie wie.

– Mój mąż jest Arabem. Saudyjczykiem.

Na te słowa adorator już bez dyskusji i żalu, a raczej z duszą na ramieniu opuszcza piękny apartament na Wilanowie, obiecując sobie, że w tej szpanerskiej dzielnicy jego noga więcej nie postanie.

* * *

– *Wallahi!* Pani Miriam, pani otwiera! – Marysia słyszy na korytarzu arabskie nawoływania i głośne szlochy, więc pędzi do drzwi, by ksenofobiczny sąsiad znów nie zechciał interweniować czy nie daj Bóg nie wezwał policję.

– Co się stało? Niech pani wejdzie.

Wprowadza do domu zapłakaną gospodynię pamiętnego jedyne arabskiego przyjęcia w Polsce, na którym była, matkę Zajnab. Po jej zachowaniu spodziewa się jakichś hiobowych wieści. Ostatni raz, kiedy widziała młodą lekarzkę w strefie kibica podczas mundialu, Saudyjka miała się dobrze, wręcz wyśmienicie. Siedziała wtedy w towarzystwie mężczyzny na pewno z nią niespokrewnionego, bo wyglądającego na Polaka, i z upodobaniem sączyła piwo, a za takie grzechy

w mentalności ortodoksyjnych Arabów należy się niewyobrażalna kara.

– *Saida* Miriam! – Kobieta, nadal szlochając, siada na sofie w salonie i bierze z rąk Marysi szklankę z zimną wodą. – *Binti*202 Zajnab ma problem. A jak Zajnab ma problem, to oznacza, że cała nasza rodzina go ma. Tragedia! – Znow przechodzi do zawodzenia.

– Co się jej przydarzyło?

Zrozpaczona matka nie podaje żadnych konkretów, tylko dłonią rozmazuje po twarzy łzy z *kohlem*, fluidem, różem do policzków i szminką. Wygląda jak siedem nieszczęść. Kolorową chustę ma przekrzywioną, włosy spod niej wychodzą, a niechlujny strój jest w nieładzie. Buty wzuła na stopy, zdeptując piętki i nie nakładając nawet pończochowych podkolanówek. Na domiar złego ma krzywo zapiętą tunikę.

– Proszę powiedzieć, co się dzieje? – namawia łagodnie Marysia.

– Ona się zakochała w Polaku! *Doktora* Salma wiedziała, ja wiedziałam, mąż udawał, że nic nie wie... To taki pocciwy lekarz, chudzinka jak ona. Idealnie się dobrali... – wyznaje kobieta, a łzy nadal płyną z jej oczu, jakby ktoś zapomniał zakręcić kurek.

– To dobrze czy źle? – Marysia nic już z tego nie rozumie.

– Zanosilo się, że wszystko się skończy szczęśliwie, bo Marcin chciał przejść na islam w naszym wilanowskim meczecie. Miał nosić imię proroka, niech będzie błogosławiony, i nazywać się Muhammad. Nawet już przepięknie się nauczył *shahady*203. – Kobięcina przerywa, na przemian ściskając dłonie, siakając i wycierając łzy. Siedzi zgarbiona, drżąc jak osika. Marysia jej nie pogania, bo serce jej się kraje z obawy, co przyniesie ciąg dalszy. – Ta wredna żmija – podejmuje w końcu – konwertytka Laila widziała ją w strefie kibica z chrześcijańskim mężczyzną i piwem w ręce. A mówiłam, żeby uważała, żeby póki co się z nim nie afiszowała! Wystarczyło poczekać. Za dwa tygodnie miał już być muzułmaninem, a potem odbyłby się cichy ślub.

– Niech to szlag! – przeklina Marysia, bo sama wspomina tamten mundialowy wieczór z gorzkim wstydem i czuje, że mogło się to dla niej równie tragicznie skończyć. – Co ta wiedźma Laila zrobiła?

– Doniosła, co by innego? Doniosła naszemu imamowi204. No i po wszystkim, po naszym małym arabskim rajku w Polsce. A tak nam tu było dobrze... – Zrozpaczona matka znow zanosilo się płaczem. – Jak my będziemy żyć w Qasim? Przecież już nie umiemy. A jeśli warszawski imam doniesie na naszą córeczkę do imama w naszym miasteczku i ten każe ukarać Zajnab? Co zrobimy, kiedy powiedzą, że mój mąż stracił honor i musi go odzyskać w wiadomy sposób?!

– Nie! Niemożliwe! Pani mąż nie jest taki! – Marysia nie może uwierzyć w zaściankowe, archaiczne zachowanie. – Pani mąż kocha Zajnab. Nie dopuści się żadnej zbrodni honorowej. Nie ma mowy!

– Kocha to mało powiedziane. Zawsze był z niej taki dumny. Ale tak to już u nas jest. Przed tradycją i przeznaczeniem nie uciekniesz. Sama przecież wiesz.

– Nie zgadzam się z tym. Mój mąż i jego rodzina...

– Mąż milioner, *saida* Binladen. – Sąsiadka jednak skądś się dowiedziała, z kim ma do czynienia. – U nas na saudyjskiej prowincji nadal rządzi *umma*. Jeśli społeczność człowieka odrzuci, wykreśli, to umiera on z głodu. A razem z nim cała jego rodzina.

– Skontaktuję się z mężem. Jeśli rzeczywiście będziecie musieli wrócić do Saudi, to on da pani mężowi pracę – deklaruje Marysia. – Zatrudni go od ręki. A życie w stolicy zawsze jest łatwiejsze, nawet w naszym przeklętym wahabickim kraju.

– Jeśli będziemy musieli wrócić... – Kobieta uśmiecha się ironicznie. – Już nie ma co gdybać. Mój mąż właśnie odbiera bilety w ambasadzie. Tylko w jedną stronę. Warszawa–Rijad. Zadzwoił do mnie, a ja zaraz przybiegłam do pani, bo tylko pani przysłała mi do głowy. Jako ostatnie wsparcie i pomoc, żeby cokolwiek uratować z naszego marnego dobytku.

– A gdzie Zajnab? – Marysia pyta o główną sprawczynię rodzinnego nieszczęścia.

– *Binti*... – Matka z boleścią zaciska usta. – Też w ambasadzie.

– Co? Gdzie?! – Rozmówczyni aż skóra cierpnie ze strachu. Od razu wspomina ostatnią aferę

w konsulacie saudyjskim w Stambule, gdzie bezkarnie zamordowano dysydenckiego saudyjskiego dziennikarza, a jego rozczłonkowane szczątki przesłano do Arabii pocztą kurierską. – Jest z ojcem?

– Nie. Z imamem. Ponoć się modlą.

– Dlaczego? Nie mają prawa jej przetrzymywać!

– Widać mają. Czeka tam na samolot. Przywiozą ją prosto na lotnisko... *Insz Allah.*

– Zajnab, córeczko! – Ojciec wpada do pokoju dorosłych córek, co od lat mu się nie zdarzyło, i ciągnie najstarszą za rękaw piżamy. – Budź się! Idziemy do ambasady!

– Co? O co chodzi, *baba?*²⁰⁵ – pyta zasnana dziewczyna. – Dlaczego mam iść do ambasady? Dzisiaj mam dyżur w szpitalu, a w klinice saudyjskiej dopiero jutro po południu.

– Zajnab, nie denerwuj mnie! Za dziesięć minut wychodzimy.

Wściekły mężczyzna opuszcza pokój, zostawiając obie córki w całkowitej konsternacji.

– Co jest grane? – pyta Sulejma. – Czemu cię wzywają? Kto konkretnie cię zaprasza?

– Nie mam pojęcia, ale za to mam złe przeczucia. – Zajnab zrywa się z łóżka.

– Myślisz, że dowiedzieli się o Marcinie? – Młodsza siostra od razu wali prosto z mostu, bo przecież wie o wszystkim. – Widzieli cię z nim gdzieś?

– Nie wiem... Nic nie wiem! – Zajnab cała się trzęsie, a serce wali jej jak młotem. – Czemu tata jest taki zdenerwowany? Coś złego musiało się wydarzyć. – Łzy napływają jej do oczu, ale błyskawicznie przywołuje się do porządku. – Coś bardzo złego.

– Może żona czy córki ambasadora źle się poczuły? – Młodsza siostra próbuje ją uspokoić. – Może paznokiec złamały, dłubiąc z nudów w nosie? – Sulejma usiłuje jeszcze żartować, ale widząc poważną twarz siostry, zmienia nutę. – Nie mów mi tylko, że będziemy musieli wracać do Saudi. Zaczęłam tu studia i też chcę je skończyć. Zrobię wszystko...

– Przestań pytlować, kobieto! – wykrzykuje zawsze spokojna Zajnab. – Przestań mnie stresować!

– Nałóż *abaję* i *nikab*. – Sulejma jednak nie chce się odzepić. – Może jeszcze kwef na oczy. I broń cię Allah nie używaj żadnych perfum.

– Zamknij się! Błagam!

W kuchni rodzice też dygocą z niepokoju. Stoją przy stole i pochyleni szepczą między sobą w konspiracji przed młodszymi córkami.

– Dlaczego sam ambasador dzwonił? – pyta dobra żona i idealna matka czterech córek.

– Skąd mam to wiedzieć? Mówił bardzo oziębłym tonem. – Mężczyzna jest przerażony. – To, to i to. Nawet nie zapytał o twoje zdrowie.

– Czego się spodziewasz?

– Deportacji. – Odpowiedź jest krótka.

– Ale dlaczego? Za co?! – Kobieta zaczyna lamentować.

– Powinna była poślubić kuzyna. Saudyjczyka, a nie konwertytę. Dla nas, wahabitów, taki nie jest muzułmaninem.

– Co ty opowiadasz? To dobry chłopak... Jego rodzina taka elegancka. *Wallahi!*

Zajnab stoi za ich plecami i podsłuchuje z zapiętym tchem. Nie chce jej się wierzyć, że ambasador i placówka dyplomatyczna wielkiego mocarstwa interesują się nią, maluczką, i jej miłośnikami. To nielogiczne i bezsensowne.

– Idziemy, *baba?* – odzywa się w końcu. – Nie snujcie domysłów, bo układacie jakieś wariackie scenariusze. Im szybciej pójdziemy, tym szybciej się dowiemy, o co chodzi. Na pewno o jakąś bzdurę. – Nie wiadomo, kogo chce pocieszyć: rodziców czy siebie.

– *Imszi*²⁰⁶. – Ojciec popycha swoją pierworodną do drzwi.

Wielkie metalowe zbrojne drzwi ambasady Królestwa Arabii Saudyjskiej zamykają się za

nimi z głuchym hukiem. Teraz ojciec i córka wręcz namacalnie czują, że ta właśnie brama oddziela ich od świata i swobody, wolności i niezależności. Odgranicza ich od praworządnej, nowoczesnej Polski, a zamyka na saudyjskiej ziemi, na której rządzi średniowieczne prawo szariat. Teraz są na łasce i niełasce swoich rodaków, Saudyjczyków, tych wybrańców, którzy zostali dyplomatami, dzięki czemu mogą pracować w takich wspaniałych, ekskluzywnych miejscach. Mohamed nie jest dyplomatą, ma służbowy paszport i dostał pracę w poselstwie tylko dlatego, że mieszka w Polsce, niedaleko siedziby placówki, i jest prawo-wiernym muzułmaninem wahabitą z Qasim. Nadał się na szeregowy stanowisko, do wydawania wiz i przyjmowania aplikacji. Nic szczególnego, nic trudnego, ale praca tylko dla swoich. Dla zaufanych ludzi.

– Ona tu, a ty na górę. – Mężczyzna w *tobie*, na którą ma narzuconą kurtę od wojskowego munduru, wydaje polecenie, które brzmi jak rozkaz. – Siedzi i się nie rusza – zwraca się do Zajnab, nie zatrzymując na jej zgarbionej postaci groźnego wzroku.

Młoda chudzina opuszcza oczy, choć i tak ma je skryte pod zasłoną. Wygląda jak złamany czarny kopczyk. Pamięta jeszcze, jaki ten facet był miły, kiedy wyleczyła jego żonę z grzybiczego zakażenia. Ale dzisiaj ona nie jest już *saida doktora*. Dzisiaj ona jest *szarmuta*. Czuje przez skórę, że o to chodzi.

– *Ja said* Mohamed – ambasador zwraca się zza ogromnego mahoniowego biurka do swojego pracownika, który na miękkich nogach stoi tuż za progiem. – Zwracam się teraz do pana jak do brata w naszej muzułmańskiej *ummie*. – Głos szefa, wbrew jego słowom, nie jest familiarny, ale oschły i zirytowany. – *Ja achi!* Utracił pan honor i chcąc go odzyskać, będzie pan musiał się postarać. Wahabita o skalanym honorze nie ma prawa bytu w naszym społeczeństwie. Sam pan wie...

– Nie rozumiem...

– Czego nie rozumie?! – wrzeszczy mały człowieczek pod wielkim portretem panującego króla Sulejmana. – Pokażą zdjęcia. Wszystko na nich widać. Dadzą jeszcze na piśmie zeznanie mężczyzny obciążające waszą córkę. Rozpustnica i ladacznica z niej! I ja dałem pracę człowiekowi, który ma taką nieczystą córkę, pozbawiającą ojca czci! Na Allaha! Co za wstyd dla mnie, dla naszej placówki dyplomatycznej i dla naszego wspaniałego kraju! – recytuje głupią formułkę, która według tego twardegłowego ortodoksa ma wytłumaczyć jego niegodne postępowanie i bezprawną reakcję. – Idzie precz z moich oczu! Zawiódł moje zaufanie.

– *Said safir*...207 – Mohamed próbuje jeszcze się bronić.

– *Imszi barra!*208 – wykrzykuje ordynarnie szef misji dyplomatycznej, pokazując palcem na drzwi.

Saudyjczyk dalej nie wie, o co dokładnie chodzi, choć może się już domyślać. Nie spodziewa się też niczego dobrego, przewidując odesłanie do Qasim całej jego szczęśliwej w Polsce rodziny.

Funkcjonariusz służb specjalnych, których w ambasadzie jest od groma, prowadzi Mohameda za metalową bramkę, do której ten nigdy nie dostał kodu dostępu. Schodzą do piwnicy, gdzie znajduje się wiele pomieszczeń – każde za zamkniętymi metalowymi drzwiami. Szeregowy pracownik saudyjskiej placówki nie ma pojęcia, co się w nich mieści. Wcześniej przypuszczał, że w podziemiach są archiwa, składziki i pustostany, jak to zazwyczaj w takich miejscach. Może jakiś schron przeciwbombowy. Jedne drzwi są otwarte. Pokój za nimi jest mały, bez okna, a jedynie z otworem wentylacyjnym, przez który wpada lodowate powietrze z centralnej klimatyzacji. Na środku stoi metalowy solidny stół, a po obu jego stronach po jednym krześle. W rogu jest umywalka, pod nią wiadro. Wszystko białe, septycznie czyste.

– Ma zdjęcia. Ma oświadczenie. – Saudyjski stróż bezpieczeństwa, ładu i prawa pokazuje palcem kilka arkuszy leżących na blacie.

Ze zdjęć patrzy na ojca uśmiechnięta szczuplutka Zajnab, adorująca wzrokiem białego mężczyznę, który trzyma ją za rękę. W drugiej ręce Saudyjka dzierży butelkę piwa. Widać tylko markę, ale dłoń zakrywa informację o zerowej zawartości alkoholu. Każdy wie, że niebieski kolor oznacza piwo free, lecz trzeba chcieć to odczytać.

– *Szarmuta* i alkoholiczka – podsumowuje wojskowy trep. – Mężczyzna musi odzyskać honor,

a to jedyny sposób. – Pokazuje wzrokiem na kawał przemysłowej transparentnej folii plastikowej, który już czeka na nieszczęsnego ojca. – Jeśli tego nie zrobi, pohańbi ambasadora i placówkę, która dała mu pracę.

– Co? O czym pan mówi, człowieku?

– Ja nie jestem dla ciebie żadnym człowiekiem! – Żołdak łapie pulchnego rodaka pod gardło i przydusza. – Masz jeszcze trzy inne córki. Chcesz, by żyły zniesławione, z plamą na honorze? Żaden uczciwy Saudyjczyk ich nie poślubi, nie będą miały dzieci, własnego domu... Może własnym życiem będą musiały zmasakrać hańbę, którą ich siostra okryła waszą rodzinę? Może tak będzie? Wszystko zależy od ciebie.

– Ja... Nie! Jak to one? – Po uwolnieniu z uścisku ojciec żałuje, że rządowy morderca go nie udusił. Wtedy uwolniłby go od straszego, niewyobrażalnie podłego obowiązku. – J-jak niby m-miałbym... – jąka się. – J-ja nie...

– Trzy córki. Żona – rzuca półsłówkami złoczyńca, po czym opuszcza pokój kaźni.

– *Baba*, co się dzieje? – Zajnab wpada do sali tortur po niedługiej chwili. – Jakiś typek wziął mnie niby na modły w pokoju na piętrze. Nie był to nasz imam. Wyglądał jak *mutawwa*. Kazał się modlić i modlić. Nie wiem, czemu w kółko czytał surę *Ja Sin*?

Ojcu aż serce staje, gdyż doskonale zna ten fragment Koranu, tradycyjnie odczytywany umierającym na łożu śmierci.

– Który fragment? – Chce odwlec to, co nieuniknione.

– Nic o raju, a wszystko o piekle. Coś straszego. Przestraszył mnie, *baba*. – Córka przytula się ufnie do ojca. – Jak to dobrze, że tu jesteś...

– Pamiętasz tę surę, *binti*? – Głos mężczyzny się łamie, a ręce drżą, gdy za plecami pierwородnej chwyta folię, która od razu przykleja mu się do skóry.

– „Nie czcicie szatana! Zaprawdę, on jest wrogiem jawnym! Czciecie Mnie! – to jest droga prosta! Szatan sprowadził z drogi mnóstwo spośród was”. – Zajnab podnosi zasłonę i *nikab* z twarzy. Dopiero teraz zauważa w oczach ojca niewyobrażalne przerażenie, ból i determinację. – „Czyż nie mieliście rozumu? Oto Gehenna, która nam została obiecana! Palcie się w niej dzisiaj za to, iż nie wierzyliście!209”.

Kiedy kobieta kończy recytację, ojciec nakrywa jej niewinną, młodą buzię folią, którą następnie zawija dookoła głowy. Plastik jest mocny, sprężysty i lepki, więc błyskawicznie zakleja usta i nos, nie dopuszczając tlenu do układu oddechowego ofiary honorowego zabójstwa. „Masz jeszcze trzy córki”, tłucze się mężczyźnie po głowie. „Masz jeszcze trzy córki”...

Zajnab stoi na wyprostowanych nogach naprzeciwko ukochanego taty, trzyma go obiema rękami za ramiona i ze smutkiem patrzy w jego załzawione oczy. Nie broni się. Nie kopie, nie gryzie, nie szamocze się. Po prostu zamiera w swym ostatnim tchnieniu, zastyga osłupiała przy ostatnim uderzeniu młodzieńczego serca. *Baba... baba...*

Jeszcze przed przyjściem córki Mohamed znajduje w szufladzie pod blatem stołu mocny pleciony sznur, z jednej strony zakończony pętlą. Na suficie jest hak. Widać jego pracodawcy chcieli rozwiązać swój problem ostatecznie. Mężczyzna się nie zastanawia. Po dokonaniu najgorszego z morderstw delikatnie kładzie leciutkie jak piórko ciało córeczki na podłodze i zakłada sznur na własną szyję. Robi to, bo przecież nie będzie mógł dłużej żyć z tak straszliwą zbrodnią na sumieniu. Teraz nie myśli ani o żonie, ani o pozostałych córkach. Najprawdopodobniej będą bezpieczne. Wrócą do Qasim, do jego rodziny. Cierpienie wyprało mu mózg i pozbawiło uczuć. Nic go już nie obchodzi. Chce tylko, żeby ktoś zgasił światło. Światło, które jeszcze się tli w jego duszy. Ma gdzieś raj i piekło. Boga i szatana. Wszystko w nim umarło razem z jego pierwородną. Skończyło się, kiedy Zajnab zamknęła swoje smutne, sarnie oczy, patrząc na swojego zabójcę. Na swojego tatę.

Marysia i matka Zajnab znajdują się niespełna dwa kilometry od ambasady saudyjskiej. Tak blisko, a tak daleko. Siedzą naprzeciwko siebie i przezuwają ból i gniew. *Co za niesprawiedliwość! Co*

za draństwo!, krzyczy w duchu Marysia. W imię średniowiecznych religijnych zasad skazywać człowieka na pokutę za coś, co w nowoczesnym świecie nie jest żadnym grzechem ani przewinieniem. Jak to możliwe, że takie działania są jeszcze dopuszczalne? Marnują człowiekowi życie w imię fałszywej interpretacji monoteistycznej religii, która tak jak i chrześcijańska czy żydowska mówi, żeby nie zabijać, nie krzywdzić i nie prześladować innych, a szczególnie słabszych, dzieci i kobiet.

Szeptem, jakby bojąc się, że ktoś może podsłuchać, kobiety ustalają szczegóły deportacji nieszczęsnych Saudyjczyków. Marysia zostaje wyróżniona ich zaufaniem. To na nią spada obowiązek sprzedania zebranych przez ponad dziesięć lat dóbr ruchomych i zlikwidowania pozostałego, niewiele wartego dobytku. Póki co bogata pół-Arabka wciska plik dolarów w rękę załamanej kobiety, która w jednej chwili z całkiem zamożnej rezydentki staje się ubogą matką dysydentki i grzesznicy.

– Klucze wrzucę ci do skrzynki na listy, *ja sadiqa*²¹⁰ – proponuje Saudyjka. – Nie wiadomo, o której nas deportują.

– Deportują... – Marysia powtarza to straszne słowo i z niedowierzaniem kręci głową. – Jak tylko będziesz miała w ręce bilety, prześlij mi numer lotu i godzinę waszego lądowania w Rijadzie – prosi na pożegnanie. – Na lotnisku będzie na was czekał ten człowiek. – Wyświetla w telefonie zdjęcie Hamida.

– Przystojny. – Nawet zdruzgotana kobieta zawsze pozostanie babą. – *Mabruk!*²¹¹ – Cyka językiem z uznaniem. – *Barak Allah fika*²¹² – błogosławi swoją wybawczynię, całuje ją w oba policzki i odchodzi ze schyloną głową i wzrokiem wbitym w ziemię, choć w Polsce zawsze chodziła z podniesionym czołem i uśmiechem na twarzy. Jeszcze nie wylądowała w Arabii Saudyjskiej, lecz sama perspektywa przytłacza ją tak, że powraca do dawnych zachowań i nawyków. Znow musi się stać niewidoczna dla świata.

Saudyjska żona i matka wykonuje sto różnych telefonów, dopytując o córkę i męża. Nikt w całej ambasadzie jednak nic nie wie. Wszyscy nabierają wody w usta. Na koniec z niechęcią łączy się z konwertytką Lailą.

– Dorobiła się. Dobrze jej tak – mówi jedyna szczerą osobą.

– Czego się dorobiła, moja droga? – Matka stara się być miłą, bo wie, że jeśli naskoczy na rozmówczynię, niczego już się nie dowie.

– Jak to czego? Bycie muzułmanką do czegoś zobowiązuje. Nie wolno nam się szlajać po ulicach z obcymi facetami i chlać piwo.

– W miejscu publicznym? – Saudyjka nieźle mówi po polsku, więc rozmowa przebiega płynnie i jej znaczenie dla obu stron jest klarowne. – O czym ty mówisz?

– Tak! Podczas meczów wahabitka, pani córunia Zajnab szlajała się po strefach kibica, jakby chciała dać dupy wszystkim kibolom. Tym polskim ksenofobom! – Mówi to Polka, która jeszcze nie tak dawno była podobna do całej reszty swojej nacji i nie przepadała za kolorowymi.

– Ty tam byłaś? Widziałaś ich? – dopytuje i aż się prosi, żeby powiedzieć, że jeżeli jej wolno, to czemu innym nie?

– Ja jedynie pilnuję porządku i cnoty naszych muzułmańskich owieczek. Tak jak i mój mąż.

Dopiero teraz matce rozjaśnia się w głowie. Wie już, czym się zajmuje w ambasadzie Saudyjczyk, który skonwertował tę głupią polską gęś na islam.

– Niszczysz ludzkie życie, kobieto. Zastanów się nad tym.

– Były tam też inne wasze przyjaciółeczki. Arabki! Grzech i wstyd! Marokanka! To wiadomo, kurewska nacja – Laila od razu podsumowuje cały naród. – A ta druga pseudo-Polka, pseudo-Arabka też nieźle się zabawiała. Jedzie saudyjskimi najdroższymi perfumami na sto metrów, więc żadna z niej Libijka, ale Saudyjka, wahabitka. Ją też namierzymy. Przed karzącą ręką Allaha nikt się nie uchroni! – wykrzykuje bzdury wyczytane w propagandowej muzułmańskiej literaturze, która tylko straszy i gani, nie okazując żadnej litości dla błędzących i słabych.

– Czyli wracamy do kraju, tak? – Matkę w tej chwili mało interesują inni. Chce tylko wiedzieć,

czy już ma się pakować, czy może dostaną jakąś prolongatę.

– Nie wiem, czy wszyscy...

– Córki nie mogą być bez rodziców, bez ojca... Musimy być razem. – Jeszcze ma nikłą nadzieję na pozostanie w Polsce. – Zawsze trzymamy się wszyscy razem. Taka z nas rodzina.

– Taka z was idealna rodzina, mówisz? – kpi Laila.

– Jeśli będzie taka konieczność, Sulejma da radę i u opiekunów przeżyć. – Kobieta pokornieje z nadzieją, bo jeśli nie wszystkim, to może uda się przynajmniej jednej córce, studentce medycyny, pozostać w cudownym kraju nad Wisłą. – W końcu ona również dostaje królewskie stypendium, a to nie w kij dmuchał. Jest wyróżniona, więc...

– Przekonasz się już niedługo, jaka z was familia – przerywa moralizatorka.

Saudyjka i trzy córki, siedzące wraz z matką w kuchni i przysłuchujące się rozmowie, podnoszą ze zdziwienia ramiona i robią wielkie oczy. A Laila po enigmatycznym stwierdzeniu po prostu się rozłącza.

W środku nocy do drzwi apartamentu na Sarmackiej dobijają się obcy. Raz za razem naciskają też na dzwonek. Dziewczynki i ich matka błyskawicznie budzą się z płytkiego snu i skaczą na równe nogi w pełnym rynsztunku, a więc w długich do ziemi *abajach* i *nikabach* na głowach. Nawet dziesięciolatka zasłania twarz. Żadna jednak nie ma na tyle odwagi, żeby otworzyć. Wszystkie liczą na to, że sąsiedzi zadzwonią po policję i polskie władze uchronią je przed deportacją. Przecież Saudyjczycy nie mają prawa wypędzać ich z nie swojego kraju, a władze polskie zgadzają się na ich pobyt. Mają ważne karty czasowego pobytu, jeszcze przez dwa lata, mają też zgodę na pracę i naukę. Są praworządnyimi obywatelami według międzynarodowego, normalnego prawa i wahabici mogą je tutaj pocałować w nos.

Matka pluje sobie teraz w brodę, że puściła swojego uczciwego, łatwowiernego męża do ambasady. Trzeba było zgłosić incydent nagabywania i zastraszania u tutejszych władz. Może dostaliby ochronę. Może Polacy by im pomogli. Po ostatnim bezprawnym zachowaniu Saudyjczyków na forum międzynarodowym i ich bezczelnej bezkarności zagrożona rodzina miała pełne prawo ubiegać się o azyl polityczny. *Wallahi, czemu tego nie zrobiliśmy?* Kobieta rozpacza, bo zdaje sobie sprawę, że mąż i córka są już w łapskach znieawidzonego przez nią reżimu. Teraz to ona musi ochronić resztę. Trudno, tamtą dwójkę trzeba poświęcić, by uratować pozostałych.

– Co tu się dzieje? – W końcu jakiś odważny sąsiad interweniuje. – Jest środek nocy. Cisza nocna! Wiesz, co to jest, pastuchu?

– *Uskut!*²¹³ – Saudyjczyk z rozcapierzoną na boki brodą, ściągniętymi kruczymi brwiami i oczami płonącymi szaleństwem wygląda naprawdę groźnie. – *Shut up, bulandi!*²¹⁴

– Co ty mi tu bełkoczesz?! – Sąsiad całkiem traci nerwy. – Dzwonię po policję!

Na te słowa arabskie niewiasty w mieszkaniu aż zacierają ręce.

– *Safara Saudia*²¹⁵ – nieobyty głupek kontynuuje rozmowę po arabsku, a kiedy widzi pojawiającą się w ręku mężczyzny komórkę, wrywa ją i woła wsparcie.

– Przepraszamy pana bardzo uprzejmie. – Jak spod ziemi na klatce schodowej wyrasta elegancki Arab z krótko przystrzyżoną modną bródką, perfekcyjnie mówiący po polsku. – Boimy się, że żona i córki naszego przyjaciela, pracownika ambasady, się rozchorowały i leżą w mieszkaniu nieprzytomne. Dlatego usiłujemy się do nich dostać. Mój kolega jest zbyt nerwowy, mamy przecież klucze... – Wyciąga z kieszeni pęk kluczy należących do Zajnab. Jeszcze raz bardzo przepraszam. – Oddaje telefon ogłupiałemu sąsiadowi i uprzejmie skłania przed nim głowę.

Gdy tylko agresorzy wchodzą do mieszkania, przegrane kobiety bez słowa dostają na odlew w twarz, a matka jeszcze przez krzyże i kopniaka w brzuch. Nieszczęśnica pada na środku salonu i zwija się na podłodze w pulchny, bezbronny czarny kłębek.

– *Szarmuta* – syczy nad nią przerażający brodac, biorąc kolejny zamach, a dziewczynki zbite w kącie cicho wyją, trzymając się za ręce.

– Będzie tego! – Elegant chwyta go za rękę. – Do roboty, bo samolot nam ucieknie.

Kiedy uwięzione słyszą te słowa, nadzieja na przeżycie na nowo pojawia się w ich sercach, bo już nawet to nie było pewne.

– *Baba* będzie czekał na lotnisku? Gdzie *baba*? Gdzie Zajnab? – zarzucają napastników pytaniami.

– Polecimy wszyscy razem? – Gospodyni z trudem przyjmuje pion, bo obite krzyże bardzo ją boją. – Gdzie jest mój mąż?! – Podnosi głos, bo zaczyna ją irytować ta zupełnie niewyobrażalna, absurdałna sytuacja. – Nie macie prawa oddzielać kobiet od ich *mahrama*!

Nie doczekuje się jednak odpowiedzi. Elegant wyrywa jej torebkę, którą ta ścisła obiema rękami, i wyrzuca całą jej zawartość na stół.

– Co też kobiety potrafią w takim saku zgromadzić... – mruży pod nosem z diabolicznym uśmiechem. – Tyle nikomu do niczego niepotrzebnych rzeczy! – Przerzuca wszystkie szpargały, zabierając te najważniejsze dla kobiety.

– To moje! Oddaj! – Matka rzuca się z wyciągniętymi rękami, kiedy mężczyzna wysupłuje z jej portmonetki papierowe banknoty.

– Polska waluta już ci nie będzie potrzebna.

– Ale moja *iqama*! 216 Polska *iqama*! – wrzeszczy Saudyjka, próbując wyrwać grabieżcy swój dokument. – Zgoda na pobyt jest ważna jeszcze przez dwa lata!

– Nie masz już żadnej zgody, nawet na sekundę, więc zamknij się, kobieto, bo w końcu trzeba cię będzie zdecydowanie i dotkliwie ukarać.

– Ukarać?! A co ja dziecko jestem? – oburza się, lecz w odpowiedzi dostaje tylko siarczysty policzek. Bogu dzięki, tym razem pada na sofę, bo możliwe, że uderzenie o ścianę czy kant mebla by ją zabiło.

Kobieta jednak jest nie tylko pyskata, ale też przewidująca i sprytna. Wszystkie najcenniejsze rzeczy, które mogą się jej przydać w niewoli w Arabii Saudyjskiej, ma schowane. Pieniądze od Marysi, których było ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, pod podszewką torebki, małą przestarzałą komórkę z saudyjską kartą SIM w pasku do spodni, a biżuterię pozaszywała w liczne ubrania, które ma na sobie. Numer telefonu Hamida powtarza w kółko jak mantrę. Sulejmie kazała pochować przy sobie wszystkie świadectwa i zgody oraz decyzje królewskiego biura w sprawie stypendiów. „Jeszcze tu wrócimy. Przrzekam”, obiecała zapłakanej córce.

Po ograbieniu rodziny z wszelkich dóbr materialnych oprawcy gnają kobiety na zewnątrz. Przed blokiem czeka już duży czarny bus.

– *Baba! Baba! Zajnab!* – Trudno utrzymać panicznie wystraszone dziewczyny, które tęsknią za ojcem i siostrą. – Tato? – Rzucają się pędem, podciągając za długie, niewygodne *abaje*, i szarpiają za drzwi auta. W środku jednak oprócz kierowcy nie ma nikogo.

Cztery białogłowy o kruczoczarnych włosach siadają w obstawie dwóch saudyjskich opryszków: jednego wypisz wymaluj zbója, a drugiego udawanego eleganta. Trzepocące się serca chcą im wyskoczyć z piersi, a łzy cisną się do oczu, kiedy mijają swoje ukochane, polskie kąty. Tutaj były szczęśliwe, tu się śmiały, samodzielnie spacerowały po ulicach, chodziły nawet w pojedynkę do sklepu, nie wspominając o nauce na koedukacyjnej uczelni czy w szkołach. Chłopcy ciągnęli je za warkocze, zaczepiali, ale to przecież nic nie znaczyło. Nie było niczym zdrożnym. Ot, zwyczajna zabawa. Pierwsze, czego się nauczyły, to grzecznie mówić „dzień dobry” i „dziękuję”. Te dwa magiczne słowa i uśmiech na twarzy otwierają w Polsce wszystkie drzwi i serca. Dla całej rodziny był to fortunny czas, nigdy się nie spotkali ze złością czy podłością, nikt ich nie skrzywdził. Dopiero teraz zrobiła to ambasada. Swoi, Saudyjczycy skrzywdzili je najbardziej w życiu.

Kiedy przyjeżdżają na Okęcie, głowy rodziny ani Zajnab wciąż nie widać. Kobiety o nic nie pytają; popędzane surowym wzrokiem i bolesnymi kuksańcami, szybko zmiernają do odprawy biletowo-bagażowej. Przedstawiciele tureckich linii lotniczych spozierają trochę dziwnie na cztery czarne kopce o zasłoniętych oczach, jedynie z torebkami na ramieniu. Niegodziwcy nie pozwolili im nic wziąć, bo wszystko musieliby sprawdzać, a to zajęłoby zbyt wiele czasu. Nie pomyśleli, że

podróż przez parę kontynentów bez bagażu może się wydać podejrzana.

– Należy podchodzić pojedynczo – uprzejmie, acz ozięble mówi formalistka z linii lotniczych.

– Dokumenty i bilety proszę. – Na te słowa Saudyjczyk, ten elegancki, wyciąga służbowe paszporty kobiet i brutalnie przepycha się do przodu. – Powiedziałam: jedna pani za drugą. Czego pan tu szuka?

– Zaniepokojona pracownica przyciska pod pulpitem czerwony alarmowy guzik.

Nie mija minuta, jak przy bramkach pojawia się uzbrojona ochrona lotniska, a menedżer portu biegnie za nimi, gubiąc buty.

– Co się dzieje?! Co jest grane?! – niepokoją się, a matka zaciera ręce, że teraz ich na pewno zatrzymają i pozwolą zostać w Polsce.

– Panie są niemożliwe do zidentyfikowania. – Pracownicy aż trzęsą się ręce. – Nie wiadomo nawet, czy to panie czy panowie. Nie widać twarzy! – Głos jej się łamie i wygląda, jakby zaraz miała uciec z krzykiem. – Może mają kamizelki...

– Jakie kamizelki, proszę pani? – Saudyjski tajniak błyskawicznie interweniuje i spokojnym, uprzejmym głosem wszystko wyjaśnia: – Moje kuzynki zasłoniły się tak już na przyjazd do domu – bzdurzy jakieś nonsensy, a polscy ochroniarze w kombinezonach ochronnych i z bronią automatyczną skierowaną w jego brzuch robią pełne niedowierzania skwaszone miny. – One takie mocno wierzące, rozumiecie... – Polacy nie rozumieją i nie reagują na jego gadkę. Mają coraz bardziej zacięte, nieprzychylnie twarze. – Odsłaniajcie się, kochane. – Elegancik wie, że jeśli te zdesperowane, zrozpaczone Saudyjki zostaną wzięte na osobistą kontrolę i choć na chwilę straci je z oczu, już nigdy ich nie zobaczy. – Prędziutko! *Fisa, fisa!* – Niemal zdiera im kwef z twarzy. – Jestem radcą Ambasady Arabii Saudyjskiej – dorzuca ostateczny argument funkcjonariusz królestwa.

Ochroniarze i celnicy skupiają się na studiowaniu dyplomatycznego paszportu, wywracając go na dziesiątą stronę. Potem rzucają okiem na poprawnie wystawione bilety. Na koniec pracownica spogląda na każdą z zatrzymanych; widzi, że mają czerwone, zapuchnięte twarze, ale nie może wprost zapytać, czemu płakały. Czy coś im się stało? Czy coś im grozi? Wszyscy są uprzedzająco uprzejmi i poprawni, a Saudyjki milczą, patrząc na Polaków ze smutkiem, ale i nadzieją. Rozpacz wyziera z ich czarnych oczu.

Wreszcie Polka nie wytrzymuje:

– Czy dobrze się czujecie? – pyta. – Może potrzebujecie lekarza?

Arabska matka przez ułamek sekundy zastanawia się, co odpowiedzieć. Czy wykrzyknąć, że zostały porwane? Czy błagać o azyl? Czy nazwać saudyjskiego funkcjonariusza terrorystą, żeby na miejscu go zastrzelili? Zanim zdąży podjąć decyzję, inicjatywę przejmuje tajniak.

– Dziękuję za troskę. – Opiera się o kontuar, a kobiety odpycha na drugi plan. – Niedawno zmarł im ojciec i siostra, więc są mocno zrozpaczone. Właśnie lecimy do kraju na ich pogrzeb. Stąd też brak bagażu – tłumaczy za jednym zamachem, a Polacy dłużej nie indagują, tylko w krótkich słowach i oszczędnych gestach wyrażają swoje współczucie.

Teraz saudyjska matka i jej córki wszystko już wiedzą. Otrzymały odpowiedzi na swoje pytania i wątpliwości. Królestwo Arabii Saudyjskiej jest wszechmocne, a Bóg jest wielki. *Allahu akbar!*

167 *Wadi* (arabski) – koryto wyschniętej rzeki.

168 *Szirk* (arabski) – oddawanie czci innym bogom niż Allah.

169 *Please* (angielski) – proszę.

170 *Halal* (arabski) – to, co nakazane; w islamie określenie wszystkiego, co jest dozwolone w świetle szariatu.

171 Koszerny (hebrajski, jidysz) – właściwy; pojęcie odnoszące się do reguł obowiązujących w prawie żydowskim (halacha), określających rodzaje produktów dozwolonych do spożywania (pokarmy, napoje i leki) oraz warunki, w jakich powinny być produkowane oraz spożywane. Halacha rozróżnia pokarmy dozwolone (*kaszer*) i zakazane (*teref*, *trefne*, „nieczyste”). Dopuszczone do spożywania jest mięso zwierząt mających „rozszczerzone kopyto” i przeżuujących, stworzeń wodnych mających płetwy i łuski, niektórych gatunków szarańczy, niektórych gatunków ptaków. Nie dotyczy to jednak krwi, która jest zakazana, czyli trefna. Dozwolone są mleko i jaja pochodzące od

zwierząt, których mięso jest koszerne, a także miód i inne produkty. Niekiedy pojęcie koszerności rozciągnięte bywa poza produkty spożywcze i wówczas oznacza spełnienie określonych wymogów religijnych także w odniesieniu do innych produktów i przedmiotów.

172 Poprawnie: proszę panią (o coś), proszę pani (jako zwrot grzecznościowy).

Wierszyk prof. Bańki pozwalający zapamiętać tę regułę:

Proszę pana, proszę pani,

„Proszę panią” jest do bani!

Proszę babci, cioci, mamy,

Dość już „proszę panią” mamy

I prosimy każdą panią:

Niechaj panie ten zwrot ganią!

173 *You are not a driver! Show me your driving license* (angielski) – Nie jesteś kierowcą!

Pokaż mi swoje prawo jazdy!

174 *Pakol* – slangowe, pejoratywne określenie Pakistańczyka.

175 *Iftar, futur* (arabski) – śniadanie; wieczorny posiłek na przerwanie postu.

176 *Saida doktora* (arabski) – pani doktor.

177 *Mudżahedin* (arabski) – bojownicy, l. mn. od wyrazu *mudżahid* – bojownik. Uczestniczą w ruchu religijnym, społecznym lub wywoleńczym w państwach muzułmańskich. W wielu krajach prowadzą walkę partyzancką przeciwko okupantom lub przeciw nieakceptowanej władzy.

178 *Szahid* (arabski) – męczennik.

179 *Alias* (łacina) – inaczej zwany, znany jako.

180 *Kullu quejs?* (arabski, dialekt) – Wszystko dobrze?

181 *Ismi* (arabski) – Mam na imię.

182 *Henna* (arabski) – barwnik produkowany z liści i pędów rośliny zwanej lawsonią bezbronną. Stosowany wszechstronnie na całym świecie. Obecnie henną wykonuje się modne krótkotrwałe tatuaże.

183 *Ja ummi!* (arabski) – Moja mamo! (wołacz).

184 *Hadis* (arabski) – opowieść przytaczająca wypowiedź proroka Muhammada, jego czyn lub milczącą aprobatę. Każdy hadis składa się z tekstu i łańcucha przekazicieli. Hadisy tworzą sunnę (Tradycję). Jest to najważniejsze po Koranie źródło muzułmańskiego prawa szariatu.

185 *Umma* (arabski) – naród, społeczność; w znaczeniu religijnym (islamskim) – wspólnota islamska.

186 *Jalla* (arabski) – pierwotnie: zawołanie na wielbłądy; kolokwialnie: ruchy, chodź, wychodź, w drogę.

187 *Saidati* (arabski) – moje panie, moje kobiety.

188 *Bissahha* (arabski) – Na zdrowie.

189 *Humus* (arabski) – dip lub pasta z gotowanej, zmiksowanej ciecierzycy z dodatkiem pasty tahina (z nasion sezamu) z czosnkiem i cytryną.

190 *Falafel* (arabski) – smażone kulki lub kotleciki z mielonego bobu albo ciecierzycy z przyprawami.

191 *Mutabbal* (arabski) – pasta na bazie grillowanych bakłażanów.

192 *Tabula* (arabski) – orzeźwiająca sałatka z kuskusu i pietruszki, polana dużą ilością soku z cytryny.

193 *Dolma* (arabski) – gołąbki z farszem baranym zawijanym w liście winogron.

194 *Szaj al-achdar* (arabski) – zielona herbata.

195 *Gahwa arabijja* (arabski) – kawa arabica.

196 *Kakawijja* (arabski) – ciastka makaroniki z orzeszków ziemnych.

197 *Salat* (arabski) – muzułmańska rytualna modlitwa, będąca jednym z pięciu obowiązków każdego muzułmanina, tzw. filarów wiary. Odmawia się ją pięciokrotnie w ciągu doby, tj. przed wschodem słońca (Fadžr), w południe (Zuhr), po południu (Asr), po zachodzie słońca (Maghrib)

i w pierwszej połowie nocy (Isza). Celem *salat* jest uzyskanie błogosławieństwa Allaha (*sawab*). Odmawiający powinien być w stanie rytualnej czystości, którą uzyskuje się przez obmycie wodą, ewentualnie piaskiem. Wierny rozkłada specjalny dywanik *sadżdżada*, zwraca się w kierunku Mekki i wykonuje określoną liczbę pokłonów, gestów i recytacji wersetów Koranu, przede wszystkim pierwszej sury *Al-Fatiha*. Największe znaczenie mają modlitwy piątkowe Dżumma, odmawiane wspólnie w meczecie, którym często towarzyszy kazanie *chutba*. Salat na całym świecie odbywa się tylko w języku arabskim.

198 *Ustaza* (arabski) – profesorka, nauczycielka; przenośnie oznacza kogoś mądrego, wykształconego, jest wyrazem szacunku.

199 *Image* (angielski) (wym. imidż) – wizerunek, sposób postrzegania danej osoby.

200 Lotnisko króla Chalida – międzynarodowy port lotniczy w Rijadzie.

201 *Shut up* (angielski) – Zamknij się.

202 *Bint* (arabski) – córka; *binti* – moja córka.

203 *Szahada* (arabski) – muzułmańskie wyznanie wiary, będące jednym z pięciu filarów islamu i obowiązków muzułmanina. Należy trzykrotnie, świadomie i celowo, publicznie wypowiedzieć: „*Aszszahadu la ilaha illa'llah, Muhammad rasulu'llah*” – „Zaświadczam, że nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem”, a zadecyduje to o przyjęciu islamu przez daną osobę. Po wypowiedzeniu *szahady* wszystkie wcześniej popełnione grzechy znikają, a człowiek symbolicznie rodzi się na nowo. Słowa wyznania wiary znajdują się w każdej modlitwie muzułmańskiej i stanowią podstawowy dogmat wiary.

204 *Imam* (arabski) – w tradycyjnym znaczeniu słowem imam jest określana osoba, która przewodniczy rytualnej modlitwie muzułmańskiej, czyli *salatowi*. W ogólności może to być osoba świecka bądź przełożony meczetu.

205 *Baba* (arabski, dialekt) – tata.

206 *Imszi* (arabski, dialekt) – Chodźmy.

207 *Safir* (arabski) – ambasador.

208 *Imszi barra!* (arabski) – Wynocha, precz, spierdalaj.

209 Koran, Sura XXXVI, wers 60–64, tłum. J. Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

210 *Sadiqa* (arabski) – przyjaciółka; *Ja sadiqa* – moja przyjaciółko (wołacz).

211 *Mabruk* (arabski) – Na szczęście; Niech będzie błogosławiony.

212 *Barak Allah fika* (arabski) – Niech cię Bóg błogosławi.

213 *Uskut* (arabski) – spokój, cisza; zamknąć się.

214 *Bulandi* (arabski) – polski; Polak.

215 *Safara Saudia* (arabski) – ambasada saudyjska.

216 *Iqama* – legitymacja, ID, dowód osobisty.

Strachy na Lachy

Co tam u ciebie? – Marysia, pomimo zagonienia i zapracowania, postanawia zadzwonić do jedynej obecnie przyjaciółki w Polsce.

– A u ciebie? – Relacje między kobietami ochłodziły się po pamiętnym spotkaniu w strefie kibica, gdzie ostatni raz tak dobrze bawiła się Zajnab, a Marysia była w towarzystwie polskiego adoratora Marka. – Widać, że jesteś bardzo zajęta... – Salma pije do niechlubnej znajomości mężatki z młodym chłopakiem.

– Owszem. Mam staż i praktyki jako ratownik na stadionach podczas meczów, a także ochraniam koncerty. Przy tych drugich przynajmniej jest jakaś rozrywka i przeważnie dobra muza, bo na piłkę i hokej już patrzeć nie mogę.

– Ostatnio widziałam, że piłka całkiem cię nie interesuje. Masz teraz nowe hobby.

– Tak? – Marysia spodziewa się reprimendy i zastanawia się, co złośliwego wymyśli jej starsza koleżanka.

– Granie w kulki i przyprawianie rogów. Chyba bawi cię to bardziej od zdobycia zawodu, poświęcenia czy bycia dobrą żoną i matką. – Wrzuca młodziej równo, a karcona postanawia znieść ostre słowa z pokorą. – Jeden dostaje w dupę za uczciwość, a innemu wszystko wolno. Nigdy na tym świecie nie było sprawiedliwości.

– Co ty mi tu za kazania wygłaszasz? – Potulność nie leży w naturze pół-Polki. – Sama jesteś rozwódką i co rusz widzę cię z innym chłopem! – wygarnia podniesionym głosem.

– Właśnie, jestem rozwódką. Wolną osobą. I nikogo nie krzywdzę zmianą partnerów, którzy również nie chcą się wiązać. Poza tym nie mam dzieci, które w takich sytuacjach cierpią najbardziej.

– Wygodnie jest nie mieć dzieci, prawda? Można wtedy robić, co dusza zapagnie – wypala Marysia, niewiele myśląc.

W słuchawce na chwilę zapada ciężka cisza. Kiedy Salma znów się odzywa, ma zmieniony głos:

– Moja córeczka zmarła w wieku trzech lat. Nie przetrzymaliśmy tego z mężem, wszystko się rozsypało. Dlatego wydałaś mi się tak bliska, bo sama na własnej skórze doświadczyłaś ogromnej, największej dla matki straty. Na szczęście tylko czasowo, bo twoja pociecha odnalazła się cała i zdrowa, a moja... Dzisiaj Wafa miałaby piętnaście lat. Pozostały mi tylko chodzenie na cmentarz i samotność, okraszana dobrym winem i sporadycznym seksem z facetami, którzy nic dla mnie nie znaczą. Zresztą tak jak ja dla nich.

Zapada cisza. Marysia nie ma już ochoty odpyskowywać czy drapieźnie się bronić. Nigdy nie wiadomo, jaki tragiczny bagaż noszą ludzie. Bagaż krzywd, bólu i cierpienia. Teraz musi się przyznać, że zblądziła, i mieć nadzieję, że ten niegroźny incydent jak najszybciej pójdzie w zapomnienie i nigdy nie wyjdzie na jaw. Spędza jej to bowiem sen z powiek.

– O której kończysz szycie? – pyta, żeby rozładować napiętą atmosferę.

– Za dwie godziny.

– To po pracy zabieram cię na piwko, winko, dobre jadło, co chcesz. Musimy pogadać. Dobrze?

– Ma wielką nadzieję, że wszystko między nimi się wyjaśni i ułoży.

– Niech ci będzie, latawico. – Salma jeszcze dogryza, ale już tylko dla zasady.

Marysia zasiedziała się w centrali zespołu ratownictwa medycznego, zdając raporty ze swojej pracy oraz podpisując sto papierów na zakończenie stażu, który odbywała na zasadzie wolontariatu. Oddaje też pomarańczowy odblaskowy uniform. Pod dom podjeżdża Uberem, którego kierowca znów nie był w stanie trafić do miejsca docelowego. Tym razem jechał z nią Gruzin, który zamiast skupić się na drodze czy choćby na nawigacji, zachwycał się Polską i tutejszymi pięknymi dziewczętami.

W domu wrzuca zakupy do lodówki, bierze ruski prysznic, którego zasady poznała w Polsce – psika się dezodorantem i perfumami, nie używając wcześniej mydła, wody czy ręcznika – a następnie pędzi na złamanie karku, żeby nie spóźnić się na spotkanie. Chce odebrać Salmę z pracy, żeby ta się nie rozmyśliła po drodze i jej nie związała. Idzie na skróty swoim ulubionym traktem joggingowym, po którym biega prawie codziennie, a kiedy jest zbyt zmęczona, to przynajmniej maszeruje z kijkami. Mija siłownię na świeżym powietrzu, gdzie ćwiczą umięśnieni mężczyźni w różnym wieku, przemierza łąkę przy plaży Wilanów, po czym wpada między nowo budowane bloki. Wyrosły dosłownie na jej oczach. Patrzy z podziwem na postęp robót, zastanawiając się nad zakupem małego mieszkanca. W tym miejscu droga nie jest jeszcze oddana i chodzi się tamtędy na własne ryzyko, gdyż na ubitą ziemię rzucono jedynie betonowe wielkie płyty, które wyszczerbiły się i wykrzywiły od jeżdżącego po nich ciężkiego sprzętu. Nagle, kiedy widać już budynek centrum medycznego, kobieta potyka się i upada jak długa, obcierając do krwi gołe kolana i łokcie.

– Och! Ach! Aaaaa... – krzyczy, zwijając się z bólu. Jest już tak blisko celu, ale teraz nie może się ruszyć i leży przy jednej z głównych dwupasmowych dróg Wilanova. – Niech to szlag – cicho klnie, usiłując zapanować nad łzami, które zbierają się w pięknych, miodowych oczach.

Marysia czuje, że ma potłuczony bark, którym się podparła, i otarty policzek, którego chyba użyła do hamowania. Nie wie, czy bardziej chce się jej śmiać czy płakać. Dorosła kobieta wyróciła się jak dziecko. Nie pamięta, kiedy ostatni raz jej się to zdarzyło. Cała ta nietypowa sytuacja ma miejsce po południu w pełnym świetle dnia i dookoła jest całkiem sporo osób. Nikt jednak się nie zatrzymuje, żeby pomóc poszkodowanej. Ani rowerzystka, która spoziera na Marysię bokiem i szybko odwraca głowę, ani mężczyzna uprawiający jogging i ocierający pot z czoła, ani babcia wioząca wnuczka w wózku. Leżąc na chodniku, jęcząc z bólu i trzymając się za krwawiące kolana, atrakcyjna kobieta stała się dla mijających ją Polaków niewidzialna. A przecież jest osobą, której nie sposób nie zauważyć. Ta sytuacja daje jej do myślenia. Jest całkowicie niewyobrażalna w jakimkolwiek kraju arabskim, nawet najbiedniejszym i ogarniętym wojną. Ludzka życzliwość i zainteresowanie nie zostały tam jeszcze całkowicie wypłenione, pomimo ciężkich warunków i niejednokrotnie trwającej dookoła zawieruchy. Co więc spowodowało, że w centrum Europy podstawowe ludzkie odruchy, takie jak współczucie i życzliwość, chęć ofiarowania wsparcia i wyciągnięcie pomocnej dłoni, całkowicie zanikły? Pół-Polka siedzi jeszcze jakiś czas na betonowej płycie, bo jeśli nikt na nią nie zwraca uwagi, to oznacza, że nikomu też nie przeszkadza. Czeką, aż pulsujący ból ustąpi, krwawienie ustanie pod chusteczką higieniczną i będzie mogła pokuśtykać tam, gdzie sama sobie pomoże – do pobliskiej apteki, która znajduje się w centrum medycznym. Nie będzie zawracała głowy Salmie ani pielęgniarce, bo przecież jest ratownikiem po bardzo dobrej uczelni, z praktyką i najwyższą oceną na certyfikacie.

– Ojej! Co się pani stało? – Zaniepokojona farmaceutka wychodzi zza kontuaru i usadawia ranną na fotelu w kąci do odpoczynku. – Zaraz przyniosę środki odkażające, opatrunki jałowe i bandaże.

– Dziękuję ogromnie i przepraszam, że panią fatyguję...

– Jak to? Pani potrzebuje pomocy. To mój obowiązek. Chyba że woli pani od razu udać się na piętro do gabinetu zabiegowego.

– Nie ma takiej potrzeby. – Marysia lekceważąco macha ręką. – Sama dam sobie radę.

– Przyniosłam zimną wodę. – Z zaplecza wyłania się asystentka i podaje poszkodowanej plastikowy kubeczek. – Proszę wypić. Nie jest pani słabo?

– Nie, wszystko w porządku. Dzięki wielkie. Panie takie miłe... Proszę mi powiedzieć, czemu na ulicy nikt się nie zatrzymał i choćby nie zapytał, czy nic mi nie jest?

– Pani chyba nietutejsza, nieobyta w naszych realiach... – Dwie miłe kobiety w białych kitlach smutnieją. – Najczęściej ofiarami zasłabnięć czy wywrotek i potłuczeń są... – starsza zawiesza głos, a obie robią kwaśną minę – niestety pijacy. Środek Europy, a taki wstyd. Nie w Niemczech, gdzie się chleje hektolitrami piwo, czy we Francji, gdzie nie ma posiłku bez wina. Nie! U nas, w Polsce, zdarza się to nagminnie, choć obecnie i tak jest już trochę lepiej niż te pięć, dziesięć czy dwadzieścia lat temu.

Mniej mamy alkoholików i rodzin patologicznych, ale mentalność została. W telewizji bębnią, że przez taką aspołeczną znieczulicę na zawał serca czy udar w metrze, czy właśnie przy ruchliwych arteriach umierają ludzie, których można by było uratować, ale my mamy zakodowane w naszych zaściankowych łepetynach, że ten, kto się wywraca czy leży na chodniku, pewnikiem jest nachlany. A wystarczyłoby podejść i sprawdzić.

– Tutaj, w Wilanowie, mieszkają moczymordy? Nie uwierzę! Przy tylu fitnessach, centrach SPA i parkach sportowych. – Marysia jest w szoku. – Słyszałam, że największy zbył sklepy spożywcze mają na piwie bezalkoholowym. Przez pół roku nie widziałam tu ani jednego pijanego!

– Mentalność jest globalna, a nie dzielnicowa – podśmiechuje się miła farmaceutka, po czym patrzy z podziwem na profesjonalnie założone opatrunki. – Dobrze pani poszło. Raz-dwa i wszystko gotowe.

– Jestem ratownikiem medycznym – mówi z dumą młoda adeptka.

– Brawo! Może właśnie pani zmieni polskie staroświeckie nastawienie, pomagając ofiarom na ulicy.

– Postaram się. Ale chyba jednak wolę to robić w moim kraju.

– To znaczy gdzie? Z wymowy można pomyśleć, że pani jest Polką, śniadą, ale to teraz bez znaczenia, bo mówi pani po polsku jak moja krajanka.

– Będę działać w Arabii Saudyjskiej. Już tam na mnie czekają. – Marysia nie wstydzi się, że jest Arabką.

– U siebie to raczej się pani nie pokaże z takimi gołymi nogami. – Kobiety na całym świecie znają realia najbardziej nieprzychylnego spódniczkom królestwa. – Współczuję.

– A może nikt mi nie pomógł, bo jestem ciemnoskórą Arabką? – Marysi wpada do głowy nowa myśl.

– Nie wydaje mi się. Rasizm wprawdzie ostatnio kładzie się cieniem na polskiej mentalności, ale ta lokalizacja jest bezpieczna. W Wilanowie jest pełno kolorowych.

Nagle Marysia słyszy za plecami znajomy głos:

– Miriam! Co ty tu robisz! *Wallahi!* – Kiedy Salma widzi obrażenia przyjaciółki, załamuje ręce.

– Chodźmy już stąd. – Opatrzona poszkodowana bierze przyjaciółkę pod ramię i kuśtyka do swojego ulubionego miejsca przy fontannach, gdzie ulokowała się większość tutejszych restauracji. – I tak lubię ten cholerny, snobistyczny i pełen znieczulicy Wilanów – oświadcza z uśmiechem.

– To, co kochamy, niekoniecznie musi być idealne – podsumowuje Marokanka.

– Córuniu! Słyszysz mnie?! – Marysia od długiego czasu spodziewała się tego telefonu. Matka nie zdołała dopaść jej na Skypie, więc uderzyła w inny, bardziej mobilny komunikator internetowy. Nowoczesna babcia korzysta z WhatsAppa.

– Mamuś! Jak się cieszę, że cię słyszę! – woła Marysia, choć jak zawsze ma mieszane uczucia.

– Co u ciebie? Jak się ma Aszraf? A dzieci? Hamid? Jak zdrowie? Co porabiasz?

– Marysiu, przestań arabić! – żartuje Dorota. – Jeszcze z rozpędu zapytasz o zdrowie zmarłej babci.

– Przepraszam, po prostu jestem ciekawa, co u was.

– To trzeba było się ze mną kontaktować częściej niż dwa razy przez pół roku. Wiem, że non stop gadałaś z Hamidem, i rozumiem. To twój mąż i aktualnie człowiek najbliższy twojemu sercu. Stąd zakładam, że wiesz, co u nas, i że wszystko u ciebie w porządku. Tak?

– Tak – burczy rugana kobieta. – Wiesz, że nie mogłam codziennie z tobą gawędzić, bo nie przyjechałam tu, żeby wisieć na Skypie. Miałam swoje obowiązki.

– Cieszę się, że wysłałaś mi chociaż wiadomość z wynikami obrony licencjatu. Gratuluję! Jestem z ciebie bardzo dumna.

– Dziękuję. – Marysia już nie wie, czego ma się spodziewać i o co pytać. Czego właściwie matka od niej chce?

– Przylatujemy z Aszrafem do Polski. – Dorota na szczęście sama przechodzi do konkretów. – Chcę mu pokazać moją ojczyznę, bo jeszcze nigdy nie był nad Wisłą. Wyobrażasz to sobie?

– Rzeczywiście niesamowite. – Młoda podkpiwa z oburzenia rodzicielki, bo już nie mają gdzie Saudyjczycy jeździć, tylko do Polski. – Świetnie! Cieszę się! – Stwierdza, że spełnia się czarny scenariusz zapowiadany przez Hamida. Wtedy bała się, żeby nie przeszkodzili jej w egzaminach. Teraz jest już po wszystkim, więc w zasadzie nie ma problemu, jednak odwiedziny matki to zawsze stres.

– Zanosi się na długą złotą polską jesień, więc lądujemy jutro na Okęciu – wypala Dorota.

– Jak to jutro?! – Marysia nie może w to uwierzyć. – Przecież ja muszę się jakoś przygotować, mieszkanie posprzątać, zakupy zrobić! Zdobyć dla Aszrafa jedzenie *halal*, a to nie jest tu takie proste. – Specjalnie rzuca kłody pod nogi, choć sklep Mustafa z szerokim asortymentem ma dwie przecznice od domu, lecz dla perfekcjonistki jeden dzień na przygotowanie to niemożliwy do przyjęcia termin. Wie, że matka będzie ją oceniać, a ona tak ciężko znosi szczególnie jej krytykę.

– Nie pieprz, córuniu! – wścieka się Dorota, szczerze oburzona taką niegościnnością. – Jakaś wredna się zrobiłaś! A może zawsze byłaś? – Od razu się obraża. – Niech cię głowa nie boli, prosto z lotniska jedziemy do Gdańska, do naszego rodzinnego domu, który zostawił mi Łukasz.

– Ale ja...

– Już po ptokach! Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. A jak przyjedziemy do Warszawy w połowie listopada na kongres Aszrafa, zatrzymamy się w hotelu. Myślę, że na kuchni znajdą jakiś ochłap *halal*. – Z zacierzawienia Dorota tak trąkocze, że aż brakuje jej tchu i dostaje zadyszki. – Jakbyś nie pamiętała, mój mąż nie przywiązuje wielkiej wagi do muzułmańskiego jedzeniowego reżimu. Całe lata mieszkał w Stanach!

– Mamuś...

– Mam cię w nosie! – wykrzykuje na koniec pogniewana matka i się rozłącza.

Marysia wie, że będzie musiała mocno się napracować, żeby rodzicielka przebaczyła jej nietakt. Przez pół roku rozłąki zapomniała, jak despotyczna i wymagająca potrafi być Dorota. Z nią nigdy nie było dyskusji – przeważnie wykonywało się jej polecenia lub przytakiwało. A teraz jest jeszcze gorzej. *Ależ ta moja mama się zmieniła!*, narzeka w duchu. *Istna tyranka. A kiedy aktualnie ma jeszcze wsparcie w zakochanym jak sztubak mężusiu, to jest dosłownie nieznośna.*

Po wielu próbach kontaktu, nieodebranych połączeniach, nagrywaniu się na automatyczną sekretarkę, usprawiedliwieniach, rzucanych jak grochem o ścianę, w końcu po interwencji Marysi u ukochanych Doroty mężczyzn, Hamida i Aszrafa, matka trochę mięknie i po dwóch tygodniach sama dzwoni do córki.

– Jutro przyjeżdżamy do Warszawy – znów oznajmia, a nie konsultuje. – Mam nadzieję, że znalazłaś jakiś sklep *halal* – nadal kpi z głupiego wybiegu Marysi.

– Tak, oczywiście. Pokój gościnny już na was czeka.

– Powinniśmy być z samego rana, bo innych biletów nie było – opowiada podenerwowana. – Nie rozumiem tych polskich kolei. Zawsze były beznadziejne i nieprzyjazne pasażerom i widać pozostało tak do dziś.

– A co się stało?

– Nie dość, że startujemy o szóstej rano, to na domiar złego posadzili nas oddzielnie! Tragedia jakaś! Jak jest tylu chętnych, to trzeba dostawić wagon albo nawet cały skład.

– A który jutro jest? – Marysia w zasadzie tylko się upewnia.

– Dziesiąty listopada. A co?

– Wiesz, mamuś, co jest jedenastego listopada?

– Oczywiście, kochana. Przecież jestem Polką! Narodowe Święto Odzyskania Niepodległości. A w tym roku na dokładkę będzie setna rocznica, więc pomyślałam sobie, że moglibyśmy pójść złożyć kwiaty, zmanifestować swój patriotyzm...

– Aszraf chce zmanifestować patriotyzm?

– A co? Masz coś przeciwko niemu? Ledwo pół roku mieszkasz w Polsce, a już się stałaś rasistką? – Dorota od razu atakuje, a Marysia aż się kuli w sobie, bo wie, że ani tak, ani inaczej nie

będzie dobrze. I w każdym wypadku będzie to jej wina.

– Mamuś, teraz w Polsce jest trochę nacjonalistycznie i w związku z tym niebezpiecznie. Powstają tu lokalne szowinistyczne organizacje, a na takie wielkie zadymy przyjeżdżają jakieś neofaszystowskie oszołomy z zagranicy. Lepiej się tam nie pchać.

– Ciebie już całkiem pokręciło! Wszyscy idą na tę demonstrację! Rodzice z maleńkimi dziećmi. Ma być ponad dwieście tysięcy ludzi, a tobie się wydaje, że zganiają ich tam wszystkich po to, by ich zabić? Wdeptać w ziemię? Czasy ZOMO i pałowania odeszły do lamusa, i to kilkadziesiąt lat temu. Polska jest wolna i niepodległa! – wygłasza z patriotyczną dumą.

– Mamo, po prostu Aszraf...

– Czegoś się tak do niego dopierdoliła? Zamknijcie w saudyjskiej złotej klatce tak na ciebie wpłynęło, ot co! Wszystkiemu są winni wahabici. Miejmy nadzieję, że młody następca tronu rzeczywiście odświeży trochę powietrze w Saudi.

– Co znowu z wahabitami?

– Nie wolno za długo siedzieć w zamknięciu, bo potem człowiek wariuje. Taka prawda.

Marysia doskonale o tym wszystkim wie, ale ostatnimi czasy nie narzekała na brak swobody w Arabii.

– Kiedy tylko kobieta pogodzi się z obostrzeniami i nauczy je bezpiecznie omijać, to nie jest u nas aż tak źle – stwierdza na głos.

– Twoje słowa dobitnie świadczą o tym, że się stęskniłaś za Arabią. – Dorota już trochę łagodniej zwraca się do córki. – Mam nadzieję, że niedługo wrócisz.

Teraz już młoda rozumie przyczynę rozwścieczenia matki – brak córek wyraźnie daje się jej we znaki, ot, co!

– Zatem spotykamy się na Dworcu Centralnym – potwierdza, bo nie ma co dłużej dyskutować z kochaną uparciuchą.

– Jak ci się będzie chciało przyjść i będziesz miała czas...

– Oczywiście, że mi się będzie chciało, mamo.

Po skończeniu nerwowej rozmowy, po której Marysi aż cieknie pot po plecach, pół-Polka łączy się z mężem. Tylko on może przemówić Dorocie do rozumu.

– Słuchaj, kochanie! Zapowiadają przyjazd jakichś neonazistów z Włoch, polskie organizacje faszystowskie, nacjonalistyczne, straszliwe tłumy, setki tysięcy ludzi!

– Nie przesadzasz? – spokojnie pyta Hamid, a Marysia od razu czuje błogie ciepło i ukojenie w skołatany sercu. – Czytałem trochę na ten temat. Znosi się na mnóstwo wspaniałych wydarzeń z okazji obchodów.

– Wszyscy manifestanci będą mieli włosy koloru pszenicy i oczy jak bławatki. Moja mama mogłaby być ich ikoną, ale nie Aszraf. Nie chcę po prostu, żeby coś złego się wydarzyło. Niech ten dobry chłopina żyje z nią jeszcze sto lat. Niech będą szczęśliwi... – Marysia jest tak roztrzęsiona, że głos jej drży i prawie płacze.

– Czemu masz nerwy tak zszargane? – Mąż nie może się nadziwić słabości żony. – Może już byś wróciła? Wystarczy ci tej niezależności, a przede wszystkim odpowiedzialności za każdy krok. Czekamy na ciebie, ja, dzieci, Dorota... Nawet nasza służba za tobą tęskni.

– A ja tęsknię za służbą. – Kobieta podśmiechuje się ze swojego zmanierowania. – Jeszcze tylko niech ta moja szalona mama i jej uroczy mąż przeżyją wielką polską narodową fetę i będę mogła zacząć się pakować.

– Martwisz mnie tymi swoimi lękami, ale nie wierzę w jakieś rasistowskie zamieszki tam, gdzie będzie prezydent z małżonką, rodziny z małymi dziećmi, sportowcy, przedstawiciele najwyższych władz państwowych. Nie-moż-li-we – mówi dobitnie Hamid. – Już dzień wcześniej zaczynają się pikniki historyczne, potem będzie też piknik rodzinny w kancelarii premiera, festiwal na Krakowskim Przedmieściu, otwarte będą placówki kulturalne, organizują bieg niepodległości, jakieś zabawy i konkursy. Całe centrum Warszawy w pewnym momencie ma być rozświetlone w biało-czerwonych barwach narodowych, a wieczorem na Bulwarach Wiślanych będzie pokaz fajerwerków. Wspaniałe

uroczystości! Sam się zastanawiałem, czy do ciebie nie przylecieć z tej okazji.

– Naprawdę? To mnie zaskoczyłeś. – Zapewnienia Hamida tak uspokoiły kobietę, że jest gotowa pójść na demonstrację razem z mamą i Aszrafem, by o dwunastej w południe zaśpiewać hymn ze wszystkimi patriotami w Polsce. Aż serce jej szybciej bije.

– Aktualnie Polska jest uznana za europejską oazę spokoju, a ty mówisz takie rzeczy. Nie rozczarowuj mnie. Mielіśmy przecież pomyśleć o przenosinach nad Wisłę. – Hamid oczywiście pamięta o ich przedwyjazdowych ustaleniach. – Już nie chcesz?

– Och, nie mogę jednocześnie myśleć o bezpieczeństwie mamy i jej męża, szykować się na ich odwiedzinę i na dokładkę planować naszą emigrację. Daj mi ogarnąć najpierw jedno, drugie, to dojdziemy też do trzeciego.

– Pewnie, pewnie... To co? Mam powiedzieć Dorocie, że patriotyczny piknik będzie dla niej i Aszrafa śmiertelnie niebezpieczny?

– Nie! No nie! – Marysia żywiołowo zaprzecza. – Jak tak mi naopowiadałeś, to byłoby głupio. Sama z nimi pójdę, jakby co.

– Cieszę się. Dobra decyzja. Wyjdź z domu, rozerwij się trochę. – Nietuzinkowy arabski mąż namawia żonę do rozrywek i zabawy.

Takiego ze świecą szukać, podsumowuje Marysia. *Alhamdu Lillah, ja go jakimś cudem znalazłam.*

– Co się dzieje? – Dorota nie może się nadziwić, przepychając się przez długi wagon z rzędami siedzeń po obu stronach. – Czemu takie dzikie tłumy jadą akurat pociągiem z Gdańska do Warszawy, który na dokładkę jest objęty pełną rezerwacją miejsc? – Wodzi oburzonym wzrokiem po podróżnikach siedzących gdzie popadnie, nawet na podłodze w przejściach.

– Nie wiem, kochanie, ale Miriam coś wspominała... – Aszraf urywa w pół zdania, bo Dorota piorunuje go wzrokiem.

– Mówiła głupoty, ale nie o przepelnionych pociągach, tylko o zamieszkach i rasistowskich ruchach! – wścieka się miotana menopauzą kobieta w średnim wieku.

– Te tłumy mogą niechybnie wiązać się z setkami twoich rodaków walących na święto do stolicy – mówi spokojnym głosem mąż, a jako że rozmawiają po arabsku, mogą wyrażać swoje najskrytsze uczucia i są spokojni, że nikt ich nie zrozumie.

– Przepraszam... Przepraszam... *Sorry... Aflan...217* – przepraszają w każdym znanym sobie języku, usiłując się dostać do środkowych rzędów i nie nadepnąć na kolejną stopę czy rękę.

Począwszy od korytarza przy toaletach, a skończywszy na przejściu między rzędami siedzeń w nowoczesnych wagonach, wszędzie, ale to wszędzie koczują podróżujący. Stoją, siedzą, niektórzy nawet polegają, jakby usiłowali usnąć w tym ścisku. Inni gadają czy wydzierają się do siebie, jakby byli tu sami. Ci słuchają muzyki, tamci grają w gry komputerowe, niektórzy oglądają koncerty na YouTube albo filmy na Netfliksie. Są tacy, którzy usiłują nawet pracować na laptopie. Elektroniki jest całe mnóstwo i nikt się nie boi, że zostanie okradziony, co pod tym względem dobrze wróży.

– Przepraszam, ale to moje miejsce. – Dorota kołysze się w rytm pociągu, który gna po starych, zdezelowanych i krzywych torach, pamiętających chyba czasy komuny. – Moje miejsce! – Pochyla się i wrzeszczy tłustemu facetowi prosto do ucha, a on patrzy na nią jak na głupią. – Panie! To pierwsza klasa! Całkowita rezerwacja miejsc, więc spier... – dosadnie wysławia się elegantka.

– Tata, chodź no tu! – Nastolatek, który wygodnie koczuje na podłodze, sięga do łokcia swojego papci. – Pani ma bilet. Już sobie posiedziałeś. Odpocząłeś.

– O co chodzi? – Aszraf jest już trochę zaniepokojony i żałuje, że nie wzięli prywatnego transportu, taksówki bądź nie wynajęli samochodu z kierowcą. Co z tego, że drogo, ale przynajmniej komfortowo i bezpiecznie. Była też możliwość rejsu samolotem, ale Dorota nad wszystko przedkładała koleje, bo tak zawsze się tu jeździło. – Mamy jakiś problem? Może wysiadziemy? – głupio pyta, pochylając się nad żoną, bo w wagonie jest taki harmider, że niemal nic nie słyhać.

– Nic się nie dzieje, kochanie. Siadaj. Pozostały niespełna trzy godziny. Dasz radę jakoś to przetrzymać.

– A ty dokąd? – Mężczyzna nic z tego nie rozumie.

– Ja mam miejscówkę gdzie indziej. Przykro mi. Jednak jakby co, to będziemy w zasięgu wzroku. Pod tamtymi drzwiami będę siedzieć. – Dorota pokazuje palcem.

– Tam będzie okrutnie czadziło z toalety – szepcze Aszraf, obeznany już z realiami polskich kolei. – W połączeniu z wyziewnym smrodem cebuli, czosnku, jajek i wieprzowej kiełbasy, może dojść do samozapłonu naturalnej broni biologicznej – podśmiechuje się, żeby pokrzepić Dorotę.

– Dobrze, już dobrze. U Marysi będziesz miał *halal*.

– Wręcz marzę o polskim *halal*.

– Pani już się stąd wyniesie, bo blokuje dobre stojące miejsce. – Grubas, którego usunęli z fotela, zaczyna się niecierpliwić. – Ciasno jest.

Dorota z pogardą patrzy na jego opasłe cielsko w niewypranych, śmierdzących potem ciuchach, a potem rzuca okiem na swój płaski, wyćwiczony brzuch i długie, zgrabne nogi. *Idźże, ty opasty bucu!*, myśli, po czym obraca się na pięcie i kontynuuje taniec z nogi na nogę w rytm stukotu kół o szyny.

Po chwili okazuje się, że jej miejsce też jest zajęte.

– Do cholery! Co za chamstwo! Co to jest? Pierwsza klasa, a ludzie siadają, gdzie chcą, i robią, co chcą. Jak to możliwe?! – Wścieka się, ale nie znajduje u nikogo wsparcia. – Gdzie jest konduktor? Konduktor!

– Które miejsce? – Kolejny bezczelny facet niemrawo podnosi swoje dupsko i w końcu jej ustępuje. – Niech się nie wydziera. Dzisiaj cała Polska do Warszawy jedzie i raczej nam za zryw patriotyczny kar i mandatów dawać nie będą. Chyba że jakaś wyfiokowana, śmierdząca jakimś słodkim gównem lafirynda nam koło pióra zrobi. – Patrzy na nią gniewnie, a zszokowana Dorota nie znajduje słów riposty ani na smród perfum, ani lafiryndę.

Polka i Saudyjczyk cieszą się, kiedy przejście między fotelami pustoszeje, bo mogą się widzieć i kontrolować sytuację. Raz po raz robią głupie miny lub dyskretnie zatykają nos, podśmiechując się po cichutku.

– Pan to kto taki? – Grubas, który nie może usiąść na ziemi obok syna, bo potrzebny byłby dźwig, by znów ustawić go do pionu, z nudów postanawia pokonwersować z dziwnie wyglądającym facetem. Co chwilę wyciera nos w palce – albo ma chroniczny katar, albo raczej drażnią jego zmysł powonienia, przyzwyczajony do bardziej ekologicznych i naturalnych zapaszków, męskie mocne perfumy cudzoziemca. – Pan Ukrainiec? – draży, a gdy nie otrzymuje odpowiedzi, oznajmia: – Nie lubię Ukraińców. To leniwe i brudne gnojki. W czasie wojny mordowali Polaków jak te sukinsyny. Bez umiaru i litości. Banderowcy cholerni. A teraz przyszło toto do nas i rękę nam liże. Jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie. – Uśmiecha się usatysfakcjonowany, ale zaraz markotnieje, bo nie podoba mu się ten brak odzewu. – Czego nie gada? Może też jakiś cichociemny, hę?

– Ojciec! Zostaw gościa w spokoju, bo jeszcze odpicowany goguś straż wezwie – ostrzega ostrożny syn. – Nie zagaduje się takich. Nie przeszkadza jaśnie panom.

Jak na zamówienie do wagonu wchodzi para dyżurujących ochroniarzy, a później średnio co pół godziny oni lub policjanci czy ratownicy sprawdzają stan bezpieczeństwa. Od tego momentu wszyscy stają się jacyś bardziej sztywni i pochmurni, choć z pozostałych wagonów co rusz dają się słyszeć śpiewane mocnym głosem patriotyczne pieśni *O mój rozmarynie* czy *Hej, hej, ulani*. Dolatują też pojedyncze okrzyki, które jednak zagłusza stukot kół. Do uszu Aszrafa dociera jakaś przyspiewka, której znaczenia nie rozumie, choć występujące w niej nazwisko premiera Morawieckiego i słowo „Murzyn” nie są mu obce. Saudyjczykowi bardzo podobają się ton i tembr głosu śpiewających i żałuje, że Arabowie nie są do tego stworzeni. Jedyne, co potrafią, to jęczeć albo jodłować o miłości i nieszczęściu. Saudyjczyk nigdy nie słyszał żadnej żołnierskiej pieśni w wykonaniu swoich braci. Z wyjątkiem okrzyku *Allahu akbar*, który i jego przyprawia o drżenie.

Kiedy w końcu dojeżdżają do Warszawy, na każdej stacji kolejowej zastają dzikie tłumy, do których dołączają następne i następne z kolejnych pociągów. Dorota patrzy na to wszystko

z przerażeniem i pluje sobie w brodę, że przymusiła Marysię, by odebrała ich z Dworca Centralnego.

– Maryniu, nie przyjeżdżaj po nas – spanikowana dzwoni do córki. – Dojedziemy do ciebie na Wilanów sami.

– Jestem już na peronie! Żebyś nie mówiła! – Po drugiej stronie słyszy podniesiony głos. – Za pięć minut będziecie, prawda?

– Kochana! Może nie na peronie! Idź do hali głównej! – Teraz matka panikuje, a Marysia się zżyma, że tak jak przewidywała, matce nigdy nie dogodzi.

Kiedy pociąg się zatrzymuje, wszyscy hurmem ruszają do drzwi. Masa okleja delikatne i niezaprawione w takich przepychankach małżeństwo – Dorotę na wysokim obcasie i Aszrafa z trenczem przewieszonym przez ramię i z długim męskim parasolem w dłoni.

Wygląda jak przystojny, kolorowy Brytyjczyk, który zawsze jest przygotowany na zmianę pogody i deszcz. Ale tutaj i teraz to niefortunny styl, bowiem krępuje i ogranicza ruchy. Pierwsza z pociągu zgrabnie wyskakuje Dorota, a za nią bezwładnie leci Aszraf. Nie wiadomo, czy popchnięto go celowo czy nie, ale na pewno ktoś podstawił mu nogę. Stojący za nim grubas patrzy swoimi świńskimi oczkami, jak Saudyjczyk pada na płytę peronu, waląc przy tym niefortunnie głową o ziemię.

Marysia błyskawicznie zbiera swoich przerażonych najbliższych, chwytą mocno i odciąga w zaciemniony zaułek. Tam usadawia ich na ławce i poi zimną wodą.

– Niech się pozadeptują sami – mówi, pokazując na tłum. – Jak się przewali, wtedy ruszymy. Daj mi to swoje wysokie, piękne czółko – żartuje, zwracając się do roztrzęsionego ojczyma. Otwiera podręczną apteczkę ratownika i sprawnie zakłada septyczny opatrunek. – Zasypałam ranę antybiotykiem i odkaziłam, ale jak chcesz, możemy pojechać do szpitala na zastrzyk surowicy.

– Nie, kochana. Dziękuję. Nieźle cię tu wyszkolili – chwali Aszraf, poklepując ją po dłoni. – Od razu lepiej się czuję.

Oniemiała do tej pory Dorota dopiero teraz całuje swoją pierworodną.

– Zabierz nas do swojego bezpiecznego domu, córuniu. A potem jak najszybciej zmykajmy do naszej złotej klatki. Do naszego małego raju w saudyjskim piekielku. Widać do tego jesteśmy stworzone.

217 *Aflan* (arabski) – przepraszam.

Własne kąty

Pierwsze zauroczenie Marysi Polską mija bezpowrotnie. Powoli zaczyna przezierać na oczy i stwierdza, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Ona zaś ma dość samodzielnego, choć bardziej samotnego życia i pustki wokół siebie. Nie ma już w Polsce Zajnab, którą Binladenowa chce koniecznie odnaleźć w Arabii, Salma wiedzie swój żywot wyzwolonej lekarki z coraz to nowymi partnerami przy boku i kolejnymi wyzwaniem. Marysia zrealizowała swój plan – zrobiła licencjat, zdobyła doświadczenie i szlify. Jest ratownikiem medycznym. Czas wracać na stare śmieci.

Stęskniony Hamid natomiast planuje zrobić żonie niespodziankę i odwiedzić ją w Polsce. Coraz poważniej myśli o tym, by osiąść w kraju nad Wisłą i zacząć tam robić interesy. Wiedziony impulsem, jedzie na lotnisko w Rijadzie i tak jak stoi, wsiada do samolotu. Połączenie jest tylko na dłuższe przez Dubaj, ale bez wahania kupuje bilet. Decyduje, że w stolicy Emiratów w sklepach wolnoślowych kupi europejskie ubranie i buty i zrzuci znieawidzoną *tobę* oraz czarne pogrzebowe mokasyny. Teraz nie chce sobie tym zawracać głowy.

Marysia, niewiele myśląc, wrzuca swoje eleganckie łaszki do pojemnika z używaną odzieżą, wciska tam też drogocenne perfumy, by ktoś się nimi nacieszył, dodaje kupioną w Polsce tanią odzież, a sama – w jednych spodniach na pupie, podkoszulku, bluzie i z torebką od Prady, z którą jednak nie umiała się rozstać – jedzie na Okęcie.

– Znajdzie mi pani wolne miejsce w jakimkolwiek samolocie, który jak najszybciej dowiozłby mnie do Rijadu? – pyta zaskoczoną pracownicę informacji.

– Do jakiej kwoty mam szukać biletu?

– Bez ograniczeń. – Tym razem pół-Polka nie przejmuje się kosztami, bo tęskni za rodziną i musi zrealizować swój plan w trybie zaraz-teraz-natychmiast.

– Czas podróży?

– Nie za długi, proszę.

– Liczba przesiadek?

– Najlepiej jedna. Ale jeśli będzie konieczne, to niech będą nawet dwie.

– Woli pani Abu Dhabi czy Dubaj?

– Dubaj. Kocham to miasto.

Pracownica uśmiecha się ze zrozumieniem.

– Mam tylko klasę biznes. Przykro mi.

– A mnie nie. Poproszę miejsce przy oknie – szybko decyduje Marysia. – Nadal serwują podczas startu Veuve Clicquot?

– Oczywiście. Emirackie linie lotnicze starają się trzymać poziom.

– I dobrze.

– Płaci pani... – Kobieta zawiesza głos, przyglądając się skromnie ubranej klientce.

– Oczywiście, że płacę. Na kredyt raczej mi biletu nie dacie.

– Poproszę zatem o paszport.

Marysia do Arabii musi lecieć na saudyjskim dokumencie jako Miriam Ahmed Salimi Binladen, by móc bezproblemowo przekroczyć granicę.

– Ma pani wizę? – głupio pyta już całkiem pogubiona pracownica, bowiem ma przed sobą wypisz wymaluj Arabkę, jednak ubraną, zachowującą się i mówiącą jak stuprocentowa Polka.

– Jaką wizę? Wystarczy mi obywatelstwo – kpi zniecierpliwiona Marysia.

– Muszę wezwać menedżera linii. Przepraszam. – Pani w mundurku odchodzi na bok i szepcze coś do słuchawki.

– Bylebym złapała samolot, kochanieńka. – Marysia nawet złośliwie cieszy się na przyjęcie przełożonego, bo zdenerwowała ją gówniara, która ocenia człowieka po opakowaniu. Z chęcią pogada sobie z jej szefem na temat kompetencji pracowników.

– *As-salamu alejkum* – wita się arabski mężczyzna, na wszelki wypadek nie wyciągając ręki, aby nie obrazić saudyjskiej wahabitki. Jego jeszcze bardziej dziwi podfruwajka w rozciągniętym, spranym podkoszulku i byle jakich džinsach. Rzuca okiem na chińskie zdeptane trampki, lecz gdy zatrzymuje wzrok na torebce, rozpogadza się.

– *Alejkum as-salam ja said mudir*218 – Marysia charczy w typowo arabski sposób, całkowicie zmieniając tembr głosu. Mówi też zdecydowanie głośniejszym głosem niż po polsku. – *Ana saida* Miriam Binladen219. *Al-Arabija as-Saudia*220. *Fi muszkila?*221

– *Ma fi muszkila*222, *ja saida!* – Mężczyzna na wszelki wypadek kłania się nisko. – *Absolutely!*223 – dorzuca po angielsku.

– Mogę w końcu zapłacić? – Marysia z pełnym pogardy wyrazem twarzy, który bezbłędnie opanowała w Saudi, wyciąga platynową kartę kredytową Visa z saudyjsko-amerykańskiego banku SAMBA. Chwilę obraca ją w palcach, a następnie wręcza zgłupiałej blond dziewczynie, zupełnie zapominając o regulaminie używania tego typu środków płatniczych przez kobiety upoważnione do męzowskiego konta.

Po dokonaniu błyskawicznej transakcji na zawrotną kwotę prawie siedmiu tysięcy złotych pani Binladenowa jedynie z torebką od Prady w ręce udaje się do odprawy.

W Dubaju Hamid prędko robi zakupy, bo głupio się czuje w białej sukience w normalnym kraju pełnym różnych nacji, które jednakowoż nie odróżniają się od pozostałych aż tak bardzo jak Saudyjczycy czy inni ortodoksyjni muzułmanie. Kiedy płaci w sklepie kartą, jego telefon bzyczy i wibruje.

– Co to, u diaska? – Spogląda na pierwszą z listy wiadomość o dokonanej płatności i śmiać mu się chce. – Czy my musimy wszystko robić tak samo? Mieć te same pomysły w tym samym czasie? – Chichocze. – Jednak tym razem niespodzianka należy do mnie.

Prędko pędzi do toalety, zmienia odzież, a następnie puszcza się biegiem między terminalami. Jest to niekrótka droga, bo port lotniczy w Dubaju to największe lotnisko na Bliskim Wschodzie i jedno z największych na świecie.

Saudyjczyk doskonale wie, gdzie będzie mógł złapać swoją żonę, bo czas oczekiwania na następny lot Marysia ma ponadtrzygodzinny. Przerwy w podróży „emiratczykiem” zawsze spędzają w lotniskowej poczekalni Marhaba w Dubaju, tam gdzie wieki temu Daria poznała *dżihadiego* Johna, a Marysia była wówczas jeszcze żoną Karima al-Nadźdi, zakochaną po uszy w swoim ówczesnym byłym mężu Hamidzie.

– Czy mogę się przysiąść? – pyta mężczyzna, widząc znajomą, zmizerowaną od niewyspania piękność. – Wolne? – Wskazuje na sąsiedni fotel.

– Hamid?! – Marysia skacze na równe nogi i zarzuca ukochanemu mężowi ramiona na szyję. – Co ty tu robisz?

– Jadę do ciebie do Polski – śmieje się mężczyzna pomiędzy jednym pocałunkiem a drugim. – A ty? Przecież chciałaś siedzieć w Warszawie ponad pół roku. Osiem miesięcy? Dziesięć? A może zostać tam na zawsze?

– Już mi wystarczy, kochanie. Całkiem mam dość.

– To dobrze, bo chociaż wyglądasz jak przepiękna dziewczuszka z liceum, strasznie zmarniałaś. – Hamid patrzy na żonę rozkochanym wzrokiem, nie przejmując się tym, że co chwilę ktoś ciekawski rzuca na nich okiem, a paru Saudyjczyków z dezaprobatą kręci głowami, z niesmakiem cykając językiem na całą wielką salę. – Trzeba cię dokarmić, bo połowa żony mi zniknęła.

– Nie tylko jedzenia mi brakowało.

– A czego jeszcze? – indaguje mąż, wtulając twarz w szyję ukochanej i rozkoszując się jej zapachem.

– Wszystkiego. Ale przede wszystkim ciebie... – wyznaje Marysia przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

Małżonkowie w końcu siadają obok siebie i trzymając się za ręce, rozkoszują się bliskością. Przez długą chwilę nic nie mówią, a jedynie patrzą sobie głęboko w oczy. *Ależ mam przystojnego męża*, stwierdza Marysia. *Jaką mam przepiękną żonę*, cieszy się Hamid.

– To co? Od razu wracamy do domu, do Rijadu? – indaguje mężczyzna, choć chciałby trochę odetchnąć od saudyjskich piasków i ani mu w głowie powrót.

– Coś ty! Taką dobrą okazję musimy wykorzystać! – Marysi już błyszczą oczy z podekscytowania. – To gdzie tym razem się zatrzymamy w Dubajowie? Znowu Burdż al-Arab²²⁴?

– Może nie bądźmy monotematyczni. – Hamid ma inny pomysł. – Co byś powiedziała na Atlantis?

– Och! Ten hotel też uwielbiam. Czuję się w nim jak w domu. W ogóle cieszę się, że już tu jestem. Dajmy sobie spokój z Europą. Aktualnie dość naszych pobratymców wali tam drzwiami i oknami. Zostańmy u siebie, w naszych klimatach i wśród swoich. Czasami są porąbani i okrutni, ale to nasi ludzie i prędzej zrozumiemy ich niż oziębłych jak ryby białasów – peroruje Marysia, a Hamidowi na te ostre słowa ze zdziwienia aż otwiera się buzia.

– Powiedziała półbiałaska – kwituje ironicznie. – W takim razie może przeniesiemy się tutaj? – proponuje już na poważnie. – Przynajmniej nad tą bajkową krainą nie latają żadne pociski ani nikt póki co nie ma ochoty się wysadzać.

– W bajkach ludzie się nie wysadzają – potwierdza żona, która również chciałaby tu żyć. – Ale...

– Nie? – Mąż czujnie patrzy w oczy ukochanej. – Dlaczego?

– A po co zrobiłam studia z ratownictwa medycznego? Nie było to łatwe. Tutaj ratowników jest na pęczki. Nie ma takiego pola do działania. Nie ma wyzwania...

– A czy my musimy jakoś szczególnie działać? Ciągłe zbawiać ten chory świat?

– Daj mi trochę czasu, niech przescholę parę dziewczyn w Saudi. Potem się zobaczy.

– Potem, czyli na święty nigdy – kwituje cierpliwy Saudyjczyk, ale cieszy się, iż żona tak ukochała jego ojczyznę, że pomimo zagrożenia i licznych religijnych i szowinistycznych obostrzeń nie chce jej opuścić.

218 *Ja said mudir* (arabski) – Panie kierowniku.

219 *Ana saida* (arabski) – Jestem pani Miriam Binladen.

220 *Al-Arabija as-Saudia* (arabski) – Saudyjka.

221 *Fi muszkila?* (arabski, dialekt) – Czy jest jakiś problem?

222 *Ma fi muszkila* (arabski, dialekt) – Nie ma problemu.

223 *Absolutely!* (angielski) – Absolutnie!

224 Burdż al-Arab – hotel w kształcie żagla.

OSTATNIA SZANSA

Współpraca antagonistów

Już tylko nieliczni zwolennicy narodowego pojednania błędnie wnioskuje, że Jasem będzie wspierał syna Kaddafiego i zaprowadzi go na fotel prezydencki. Swoją własną kandydaturą zszokował wielu, bo tak naprawdę nikt dobrze nie znał i nie zna tego człowieka. Nikt z wyjątkiem jego żony, Darii, która nadal idzie za nim krok w krok. Nawet przywlekła się za podłym małżonkiem do odległej i zapomnianej przez Boga Libii. Na początku sądziła, że mężczyzna nie sięgnie aż tak wysoko, lecz ambicja nie powstrzyma jej męża przed niczym. On tylko udawał – i wciąż udaje – przyjazny stosunek do Sajfa al-Islama, tak samo jak do Musy Kusy. Zaś jego miłość do Dżamili jest płytka i opiera się jedynie na zaspokajaniu chuci. Daria boi się, że kiedy upodobania i złe intencje Jasema znów ujrzą światło dzienne, ona sama albo zginie, albo zostanie oskarżona o jego zbrodnie, bo przecież po tylu latach trzymania się razem z powodzeniem może zostać uznana za współniczkę dżihadysty. Zdaje sobie sprawę z takiej ewentualności i próbuje się na to przygotować. Najbardziej niepokoi ją fakt, że ostatnimi czasy Jasem stał się łagodny jak baranek i z każdym żyje w zgodzie, nawet z Sajfem, którego nienawidzi, bowiem doskonale zdaje sobie sprawę, że jest on nie tylko jego politycznym rywalem, ale też kochankiem jego żony. Jego arabskiej żony. *Zemsta nadejdzie, a im dłużej się na nią czeka, tym lepiej smakuje*, powtarza sobie fundamentalista, kiedy widzi szczęśliwą, rozanieloną twarz Darii i lubieżne spojrzenia Kaddafiego, który goni ją wzrokiem. Cieszy się zatem, kiedy wymyśla sposób, by na jakiś przynajmniej czas ukrócić ich amory, a potem już definitywnie rozwiąże tę sprawę.

– Zrobiłaś już prawo jazdy czy dalej jeździsz na osiołku jak w popieprzonym średniowieczu? – Jasem dzwoni do pierwszej żony pewnego pięknego ranka, kiedy kochankowie leżą jeszcze w łóżku, upajając się sobą po długiej nieobecności Kaddafiego w Gharianie.

– Zrobiłam wieki temu, ale nadal nie mam samochodu – odpowiada zaskoczona Daria, zrywając się jak uczennica przyłapana na gorącym uczynku. – A co? – pyta, zarzucając na ramiona szlafrok i zmierzając do salonu.

– Potrzebowałbym cię w pewnym miejscu. Jak masz siedzieć na zmysłach w górach, to lepiej rusz dupę i bądź przydatna.

– A gdzie konkretnie? I co miałabym robić? Pamiętaj, że jestem matką małego chorego chłopca – wykręca się kobieta, bo boi się kolejnej zmiany. Tutaj już się zaaklimatyzowała i dobrze, nawet w pojedynkę daje sobie radę.

– Nie ściemniaj! – Dżihadysta nie musi przed nią ukrywać swojego temperamentu, choć aktualnie to już przed żadną żoną się nie kryguje. – Dupę po górach możesz włączyć, to i Morze Śródziemne ci nie zaszkodzi. A tym bardziej naszemu rekonwalescentowi.

– Dobrze, już dobrze! Mów, do cholery, o co biega! – Daria też jest w gorącej wodzie kąpana i nie da już sobie wejść na głowę.

– Pojedziesz do Ras Lanufa. To jedynie jakieś siedemset kilometrów. – W końcu Jasem wydaje dyrektywy. – W osiem, góra dziesięć godzin powinnaś być na miejscu.

– Niezły kawalek. – Daria, która jest młodym, niedoświadczonym kierowcą, trochę się obawia.

– Jak już się wydostaniesz z naszej górskiej Bilfingerówki i przejedziesz serpentyny, to po około stu kilometrach prostej i nudnej dwupasmówki dostaniesz się na nadmorską drogę szybkiego ruchu. Autostradą strzelisz ten dystans z kopyta.

– A co mam robić w rafinerii ropy naftowej?

– Mądra kobietka! Patrzenie państwo! Wszystko wie – kpi mąż, choć sam Musa Kusa, łebkarz pierwszej wody, podziwiał wiedzę Darii na temat Libii i światowej polityki. Od tamtego czasu dociekliwa i inteligentna młódka zrobiła jeszcze większe postępy, studiując opracowania zarówno o starożytnej, jak i nowożytnej historii kraju, opierając się na tekstach zachodnich, jak i lokalnych. Dzięki temu podciągnęła swój szkolny arabski i teraz władza *fushq* nie tylko w zakresie języka mówionego, ale też pisanego.

– Jak już się pośmiałeś, to może odpowiesz na moje pytanie? – Daria uspokaja nerwy i usiłuje zebrać jak najwięcej informacji o miejscu i celu wyprawy. – Na wysadzenie rafinerii się nie piszę – dogryza mężowi, a ten aż zgrzyta zębami z wściekłości, że baba pozwala sobie na takie żarty przez telefon.

– Jest tam pewna kobieta. Zajęłabyś się nią.

– Świetnie.

– Nabyłaś wprawy w opiekowaniu się starszymi, to teraz czas na pielęgnację młodszych. Blanka stoi już nad grobową deską i w niczym jej nie pomożesz – okrutnie stwierdza mężczyzna, a Daria zastanawia się, skąd ten drań pod nieobecność czerpie wszystkie najświeższe wiadomości.

– Oczywiście. Masz rację. – Złości się, gdyż boli ją takie podejście, zwłaszcza człowieka, który powinien okazać wdzięczność rodzinie, która go przygarnęła i wywindowała na piedestał. To dzięki tej rodzinie może teraz startować na najwyższą pozycję w ich nieszczęsnym państwie. – Najlepiej zostawić starą babkę na pastwę losu albo może wyrzucić ją z domu, oddać do domu starców czy przytułku.

– Takich instytucji tutaj nie ma. Nie w Libii, gdzie rodziny zajmują się dziadkami aż do ich śmierci. Jednak ani ja, ani ty nie zaliczamy się do członków rodziny starej Blanki, więc możemy się na to wysrać.

– No tak. Kim jest ta młódka w Ras Lanufie? – Daria widzi, że nie ma co dyskutować i już żaden argument jej nie pomoże, żeby zostać w Gharianie. Zrobiłaby wszystko, by być blisko kochanka, a użyta argumentacja jest tylko wybiegiem. Tak naprawdę starą babcie ona również ma w nosie. Przez tyle lat wspólnego życia z Jasemem nauczyła się być bezwzględna. – Kto zacz? Twoja nowa kochanka?

– Moja nowa żona – spokojnie odpowiada džihadysta, a na ustach wykwita mu szelmowski uśmiešek, kiedy wyobraża sobie głupią minę swojej pierwszej małżonki. – Jest brzemienna. Chciałbym, żebyś jej pomogła z całym tym koksem, bo przecież jesteś taką dobrą organizatorką. I cudowną matką – dorzuca cynicznie.

– Kiedy? – Daria ledwo odzyskuje dech, bo rzeczywiście słowa męża ją zszokowały.

– Co „kiedy”? Jedziesz zaraz. Jutro, najpóźniej pojutrze.

– Kiedy zdążyłeś się znów ożenić? – szepcze wstrząśnięta. – Kiedy zrobiłeś jej bachora?

– Zazdrosna? Nie udawaj.

– Dżamila wie? – Pierwsza żona uderza w czułą strunę, bo póki co Jasemowi panna Muntasir jest niezbędnie potrzebna i nie wolno mu jej do siebie zrazić. A taka podła zdrada na początku ich związku raczej by mężczyźnie w małżeńskich stosunkach nie pomogła.

– Nie interesuj się. Wie czy nie wie, to moja sprawa.

Znaczący, że nie wie. Daria współczuje kobiecie, która według niej tylko udaje nieczułość, a tak naprawdę straciła serce dla džihadysty.

– Oczywiście, że twoja. Czyli ja jadę i pomagam twojej trzeciej żonie w gospodarstwie domowym, urodzić dziecko, podchowac je... I co potem? Będę mogła wrócić do Gharianu?

– Czy całe twoje aktualne życie to ta wiocha? Zakochałaś się w niej czy w kimś tamtejszym? – Jasem cierpliwie czeka na odpowiedź, lecz w słuchawce słyszy tylko przyspieszony oddech.

– Nie chcę stać na drodze do twojego szczęścia – wydusza w końcu Daria, zastanawiając się, czy to dobry moment, żeby poprosić o rozwód. I czy powinna to zrobić przez telefon? – Jakby co, bezproblemowo się usunę.

– Wiem, kotku. Potem o tym pogadamy – odpowiada Jasem miłym, ciepłym tonem, a znajęcej go aż za dobrze kobiecie z trwogi serce dosłownie staje w miejscu.

– Dobrze. – Jak najszybciej postanawia zabrać się do roboty, bo być może jej jedyną szansą jest ucieczka, a z libijskiego wybrzeża będzie to łatwiejsze niż z gór, znajdujących się na południu kraju. – Powiedz mi, skąd wezmę wóz.

– Dżamila odstąpi ci jeden ze swoich.

– Och, dziękuję.

– Peugeot 307 CC. Rok produkcji dwa tysiące jedenasty. Ostatnie autko z serii, które

pułkownik Kaddafi ściągnął dla swoich wiernych przydupasów i podarował im tuż przed swoją śmiercią. Wziął wypasione modele, tak że będziesz się cieszyć skórzaną tapicerką, systemem audio, nawigacją i szklanym panoramicznym dachem.

– Ty też wypożyczałeś to auto, że tak dobrze je znasz?

– Nie. Przygotowałem je dla ciebie. Umowę kupna-sprzedaży przyniesie ci sługus rodzinny Mohamed Zintani. W samochodzie zostawiłem ci trochę niezbędników.

– Dziękuję. A co konkretnie?

– Worek z forszą. – Jasem parska śmiechem. – Bo tutaj niedługo po zakup chleba trzeba będzie chodzić z walizką nic niewartych papierków. – Nabija się z inflacji od lat panującej w kraju, który z bogatego mocarstwa stał się żebrakiem narodów. – Pod siedzeniem kierowcy masz broń krótką, twojego ulubionego Glocka. – Nawiązuje do dawnych czasów kalifatu. – A w bagażniku, w schowku na koło zapasowe, znajdziesz kałasznikowa.

– Dziękuję. Ale czy ja jadę na wojnę? – niepokoi się kobieta, która do tej pory spokojnie siedziała w zarośniętym, dzikim ogrodzie, włoczyła się po bezkresnych górskich szlakach, popijała zieloną herbatę i objadała się ciastkami, plotkowała i intrygowała, zupełnie zapominając o tym, że Libia nadal jest krajem policyjnym, a na domiar złego po jej wielkim terytorium hulają zgraje morderców i złoczyńców, grupy dżihadystów oraz bezkarne koczownicze plemiona, które nikogo się nie boją. – Tutaj, w górach, jest w miarę bezpiecznie, ale po drodze na urodzajnych otwartych nadmorskich ziemiach to kto wie? – Daria ma obawy przed wyprawą w nieznane.

– Też jest nieźle – uspokaja ją twardym głosem mąż. – Mogę ci dać ochronę lub Mohameda Zintani...

– Nie, tylko nie on! Na tak długiej trasie mógłby mnie śmiertelnie zacząć swoim zapaszkim – broni się estetka.

– To kiedy wyruszasz? – Chcąc nie chcąc, Jasem podziwia odwagę i przebojowość żony. Wiedział, że może na niej polegać. – Jak szybko się zbierzesz?

– Pojutrze. Jak się nazywa twoja miła? – pyta zgryźliwie kobieta, choć bardzo się stara, żeby jej głos brzmiał obojętnie.

– Huda Sulejmani. Iranka. Mieszka w Ras Lanufie, w willi marszałka Chalify Haftara.

Po tych słowach zapada ciężka cisza. Trwa długo. Za długo.

– Tego Haftara? – pyta w końcu Daria, zastanawiając się intensywnie, jakie konszachty może mieć jej mąż, dżihadysta, z byłym rewolucjonistą libijskim, ponoć demokratą, liberałem i nowoczesnym Arabem. Czyżby zadowolili się prezydenturą ograniczającą się do połowy wielkiej Libii i odpuszczał sobie roponośną Cyrenajkę? Czy póki co udaje wilka w baraniej skórze i obiecuje współpracę z wojskowym? Z samego założenia powinni być wrogami, a sytuacja każe jej myśleć, że są przyjaciółmi. *Ciekawe*, podsumowuje bystra kobieta.

– Znów za dużo wiesz, ale tego już nie zmienimy – zjadliwy komentarz Jasema przerywa jej rozmyślenia. – Zachowaj te wszystkie informacje dla siebie. Jeśli ci życie miłe – strasz.

– Od lat zachowywałam dla siebie nie tylko głupoty, ale także imiona, nazwiska, narodowości oraz miejsca spoczynku twoich ofiar. Nic się nie zmieniło, Jasem.

– Cieszę się. – Tembr głosu mężczyzny znów diametralnie się zmienia. – Grzeczna dziewczynka.

– Jestem Darin Salimi, a to mój syn Ahmed.

– Witam panią. Czym mogę służyć? – Starsza pulchna kobieta stojąca na progu wspianego bungalowu nad brzegiem morza w Ras Lanufie uśmiecha się życzliwie. – Potrzebuje pani czegoś dla dziecka? – Sięga do torebki i od razu chce wyciągnąć pieniądze, gdyż jałmużna dla Arabów nie jest niczym nadzwyczajnym i każdy z chęcią wypełnia ten arkan wiary.

– Przysłał mnie Muhamad Arabi Muntasir. Mąż Hudy. – Twarz Libijki tężeje, a Daria od razu się orientuje, że ten człowiek nie jest lubiany w tym domu. – Mam tu zamieszkać i jej pomagać. Do

odwołania.

Pół-Arabce jest bardzo przykro, bo od lat Jasem uniemożliwia jej normalną, szczęśliwą egzystencję. Tak bardzo pragnie być zwykłą kobietą, kochaną lub nie, ale żyjącą bez piętna dżihadysty.

– Ma ochotę mnie inwigilować? Będziesz mu zdawać dzienne raporty czy tygodniowe? – Iranka pyta kłótliwie, bo jest wściekła, że jej ojciec wymyślił taką głupotę i skazał ją na małżeństwo z dżihadystą, o czym oczywiście błyskawicznie dowiedziała się od swoich gospodarzy.

– O raportach nic nie wiem. Ale kiedy się dowiem, to ci powiem – sucho oświadcza zbesztana i zakrzyczana kobieta.

– Niby czemu masz tu z nami mieszkać?

– Nie mam pojęcia. Takie dostałam dyrektywy.

– A kimże ty jesteś dla nas, żebyśmy cię miały gościć w naszym domu?

– Nikim.

– A dla Jasema? – Widać znają jego prawdziwe imię.

– Jestem jego pierwszą żoną – odpowiada Daria, a kobietom szczęki opadają.

– A ja jestem którą? – pyta Huda już łagodniej, bo wielożeństwo przez wszystkie arabskie kobiety jest uważane za wielkie draństwo i niesprawiedliwość. Szczególnie im żal pierwszej małżonki bigamisty, która jest oficjalnie i legalnie zdradzana.

– Przykro mi, ale jesteś trzecia. – Darii drżą usta, bo nie potrafi pohamować śmiechu.

– To całkiem niezłe. Dla mnie nawet lepiej. – Huda, chichrając, spoziera na niewiele starszą przybyłą i w końcu otwiera na oścież drzwi, by wpuścić ją do środka. – Może rzeczywiście nie będzie chciał mnie zatrzymać?

– Może. – Daria nie jest przekonana, patrząc na wybitnie piękną twarz Iranki. W duchu stwierdza, że Jasem nie jest frajerem, żeby nie zachować takiej kobiety. – Być może będziesz miała szczęście, ale dziecko będziesz musiała mu zostawić. – Dziwi ją szokowane spojrzenie przyszłej matki. – Przecież wiesz... Takie są zasady, no nie?

– W życiu! Nie ma mowy! Niby czemu?

– Kiedy właściwie zdążył ci je zrobić? – indaguje było nie było zazdrosna, zde gustowana małżonka.

– Nigdy, kobieto! To nie jest jego dziecko. – Huda nie ma co robić tajemnicy przed osobą, która na tym obcym terenie może być jej jedyną odważną poplecniczka. – Miałam kochanka w Iranie. Posunęliśmy się za daleko. Kiedy tu przyleciałam, byłam już w szóstym miesiącu ciąży.

– Czemu nie wyszłaś za swojego ukochanego? Olać cię?

– Długo by tłumaczyć. On chciał i ja chciałam, lecz nam się nie udało. Przez zaściankowość mojego ojca i jego ośli upór.

– Jasem był tak dobroduszny, że ożenił się z brzemienną dziewczyną, żeby uratować jej honor?

– Darii coś tu nie pasuje, bo jej mąż nigdy nie był ani szlachetny, ani bezinteresowny.

– Uratował mnie też przed ukamienowaniem.

– Nie mogę w to uwierzyć... To nie w stylu mojego cudownego małżonka – szydzi, machając na boki głową. – Taka wspaniałomyślność w jego wykonaniu? W życiu!

– Nie wiesz, kim jest mój ojciec.

– Nie wiem. Ale domyślam się, że to jakiś kolejny guru czy inny autorytet. Tyle że z Iranu.

– No właśnie. W wielkiej polityce nie patrzy się na niuanse, bo ręka rękę myje – podsumowuje Fatima, żona przywódcy Cyrenajki, który wbrew sobie kooperuje z Irańczykami, a robi to dla dobra Libii, a właściwie swojej dziedziny.

– Cóż, jeśli z własnej woli zawarł ten fikcyjny związek, to powinien z własnej nieprzymuszonej woli go rozwiązać. Może ci się uda. – Daria pociesza młodą, uroczą dziewczynę.

– Taki jest plan. Bo mój ukochany przyleciał za mną aż do Libii, więc czekamy tylko na rozwiązanie tego – wskazuje na ciążowy brzuch – i rozwiązanie kontraktu ślubnego.

– A kimże jest druga żonka Jasema? – Fatima jest ciekawską kobietą.

– Dżamila Muntasir. Z byłej gwardii pułkownika Muammara Kaddafiego.

– Czy ta biedaczka zna prawdę o swojej brzydszej połowie, która na dokładkę chce robić polityczną karierę w Libii? – Stary Chalifa nie ma za dużo tajemnic przed żoną, lecz niemożliwe, by wyznał jej, że do kalifatu jeździł na dziewczynki, które z upodobaniem zaliczał w haremie, a potem bezwzględnie mordował lub okaleczał.

– Dżamila jest tego świadoma. To nowoczesna, ambitna kobieta, libijska działaczka i patriotka – odpowiada wyluzowana już Daria, rozsiadając się na miękkiej sofie na tarasie letniej rezydencji najbardziej prominentnego człowieka w Cyrenajce. – Za wszelką cenę chce przywrócić w Libii dawny ład. Pragnie, nie przebierając w środkach, zrobić z niej Libię Felix.

– I dlatego związała się z terrorystą? – Obie rozmówczynie takie nowinki przyjmują z niedowierzaniem i po arabsku z dezaprobatą ciekają językami.

– Twórcy narodowego pojednania mieli plan związany z jego osobą. – Daria krzywi się z niechęcią. – Ja twierdzę, że dość głupi, oni twierdzą, że bezprecedensowy. Prawdę mówiąc, moje panie, plan był bezsensowny.

– Idiotyczny! Kretyński! Wiązać nadzieje z terrorystą? No świat i ludzie! – Fatima, impulsywna jak każda Arabka, wyrzuca ręce w górę i przewraca oczami. – Mało to mamy tu naszych, libijskich dżihadystów? Jak psów! Żeby jeszcze obcych ze świata ściągać! Mój mąż się z takimi typkami boryka na co dzień, a kiedy był czas po temu, po prostu ich załatwiał. Jednak dość mordowania – stwierdza już spokojniej twarda babka. – Teraz nastał czas pokoju i to mój ślubny go zaprowadzi w Libii. On jest najpewniejszym i najlepszym przywódcą, prawda?

– Nie wiem, jestem przyjezdna. – Daria nie chce się ustosunkować do agitacyjnej wypowiedzi kobiety.

– Ja też przyjezdna. – Huda widzi, że raczej w tej młodej kobiecie, która spadła jej jak z nieba, znajdzie przyjaciółkę.

– Pięknego masz syna – zauważa Fatima, zmieniając drażliwy temat. – I taki grzeczny.

– Ten mały człowieczek to najlepsze, a zarazem jedyne, co w moim życiu się udało. Cała reszta to jedno wielkie gówno – kolokwialnie podsumowuje Daria, a panie, jedna przez drugą, adorują uśmiechniętego, zadowolonego Ahmeda, to głaszcząc go po buzi, to niby plując mu na kark, symbolicznie odpędzają złe oko.

– Jeśli pan potrzebuje dokument, to mogę go ściągnąć. – Daria łże jak z nut, za wszelką cenę usiłując zdobyć pracę, która jest jej potrzebna nie tyle ze względów finansowych, ile psychicznych. Chce się poczuć niezależna i udowodnić sobie, że bez Jasema i rodziny, bez kogokolwiek na świecie, da sobie radę i zdoła utrzymać swoją dwuosobową rodzinę. – To jednak może trochę potrwać, a słyszałam, że nauczyciela angielskiego nie macie już od pół roku.

– Pani Salimi, wierzę, że ma pani brytyjską maturę, jednak papier jest papier. – Dyrektor, który jest głupim formalistą, nie odpuszcza.

– W takim razie mogę pojechać do Bengazi czy nawet do Trypolisu i podejść z marszu do egzaminu British Council. Może mi to pan załatwić? Ja zapłacę, dojadę, a pan tylko mnie zapisze. Dobrze?

– Spróbuję. Słyszałem o egzaminach dla nauczycieli. To rzeczywiście rozwiązałyby nasz problem.

– Ale to potrwa. – Kandydatka nie lubi odkładać spraw na później, wolałaby wszystko załatwić od ręki. – Żegnam pana.

Daria, ponura jak chmura gradowa, jedzie do domu. Po drodze robi zakupy u zaprzyjaźnionego farmera, który ma mały markecik na skrzyżowaniu ulic, nie przejmując się, że parkujące u niego samochody utrudniają ruch pozostałym użytkownikom szosy. Już dawno zauważyła, że w Libii nie przestrzega się żadnych zasad czy przepisów ruchu drogowego. Pierwszą dobrą szkołę przeszła u Hajat Zintani, która nieomal pozbawiła ją życia na górskich wąskich i krętych drogach. Mieszkańcy libijskich miast i miasteczek, pustyni czy odludnych terenów zachowują się tak samo jak ona –

niebezpiecznie i nieodpowiedzialnie. Zatrzymują swoje pojazdy tam, gdzie im się chce, nawet na środku dwupasmówek czy autostrad, jakby jechali na wielbłądzie czy dwukółce zaprzężonej w osła. Potrzebują się zatrzymać – to stają i już. Nakupiwszy mnóstwo owoców, warzyw i innych spożywczych smakołyków, Daria postanawia zajrzeć jeszcze do zaprzyjaźnionej cukierni, która ma najlepsze wyroby w miasteczku, a może i w całej Libii.

– Witaj, moja droga. – W progu wpada na Fatimę, która coraz rzadziej je odwiedza, czując się odsunięta na boczny tor po przyjeździe młodej kobiety, z którą Huda od razu się skumała. Młode mają już nawet jakieś własne tajemnice, do których starsza nie jest oczywiście dopuszczana, co bardzo ją boli. – A co to taka zgrymaszona minka?

– Dyrektor szkoły... – zaczyna Daria, po czym wyrzuca z siebie wszystkie żale.

– Nie martw się. Znam tego dupka. – Starsza bardzo chce się znów wkupić w łaski dziewcząt, bo przy mężu nie znajduje już miejsca, a co dopiero mówić o dorosłych synach i ich rodzinach.

Kiedy Fatima bierze los Darii i Hudy we własne ręce, dziewczynom jest dużo łatwiej. Wszystkie sprawy są załatwiane lotem błyskawicy, a najszcześniejszy jest Ahmed, bo w starej Libijce znalazł prawdziwą babcię, która go faworyzuje i rozpieszcza. Życie kobiet się stabilizuje. Huda ukradkiem spotyka się z Farisem, który od czasu do czasu zostaje nawet u kochanki na noc. Daria dostaje wymarzoną pracę i z wielką przyjemnością i pasją uczy libijskie dzieci. Fatima zaś opiekuje się Ahmedem i zajmuje domem, wreszcie odnajdując sens w swoim życiu. Trzy kobiety z małym dzieckiem samotnie mieszkają w wielkim domu nad morzem i nikt nie pyta, gdzie zgubiły swojego *mahrama*. Nikt się nie śmie nawet zbliżyć do tej willi, bo wszyscy wiedzą, do kogo należy, więc ochrona nie jest potrzebna. Huda jest szczęśliwa, bo w końcu swobodnie oddycha i pomimo że większość czasu spędza w domu, robi to z własnej woli i nie jest przez nikogo do niczego przymuszana. Nie jest to internowanie ani areszt domowy, który zastosowali w stosunku do niej rodzice w Teheranie. Nienawidzi ich za to, nigdy nie zrozumie ojca sadysty i ortodoksa, a teraz, przebywając daleko, stara się jak najrzadziej o nich myśleć. Darii wydaje się, że w końcu może wziąć życie we własne ręce. Nie zdaje sobie sprawy, że pieniądze, które zarabia, nie wystarczyłyby jej na waciki nie tyle do pierwszego, ile nawet na tydzień normalnego życia. Ich domowy budżet obficie zasilają libijski marszałek, irański generał, a także Jasem Alzani, który oczywiście trzyma rękę na pulsie. Jedynie Fatima zastanawia się, jak długo potrwa ta idylla i jak to wszystko się skończy. *Taki bajzel nie może trwać wiecznie*, wielokrotnie podsumowuje w duchu. *Jedna sprowadza kochanka do domu, druga wydzwania do swojego dniami i nocami, a ich toksyczny mąż na wszystko przemyka oko, choć mordowanie jest dla niego jak bułka z masłem. Nie można grzeszyć bez kary*, stwierdza wierząca muzułmanka. *A jeśli już się to robi, to trzeba być na nią przygotowanym, bo może spaść na człowieka jak grom z jasnego nieba.*

Trzy miesiące po urodzeniu pięknego i silnego syna, Abdullaha Dariusza Pahlawiego, Huda postanawia się skontaktować ze swoim mężem i poprosić go o rozwód. Będzie to dziwne i nietypowe, ale w końcu był to układ zawarty za jej plecami. Niech jej ojciec spłaca dług. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Przyjedźcie do mnie w góry, to porozmawiamy – całkiem spokojnie oświadcza Jasem.

– Dokąd? – Huda aż się trzęsie, a wszyscy słuchający rozmowy, która toczy się przy włączonej w telefonie funkcji głośnego mówienia, wstrzymują oddechy. – Dokąd mamy się udać?

– Darin wie, to was przywiezie. Prawda, kochanie? – kpi dżihadysta, doskonale wiedząc, że Daria przysłuchuje się rozmowie.

– Tak, kochanie – odpowiada kobieta jak echo. – Przyjedziemy do Gharianu. Ja też chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

– Spokojnie. Mówiłem ci, że później się tobą zajmę, prawda?

– Tak, oczywiście.

– I zabierzcie ze sobą towarzyszącego wam pana Farisa Pahlawiego. Miło mi będzie poznać

osobiście... – Kobiety wstrzymują oddech, z przerażeniem rozglądając się po sobie. Fatima chwyta się za głowę, bo czuje, że przewidywana przez nią kara za grzechy jest już blisko. – Witam pana – sztydzi Jasem, a zebrani zastanawiają się, czy w domu są zamontowane kamery czy mężczyzna po prostu zgaduje.

– Witam, *said* Muntasir. – Przyszły szach Iranu nie może się okazać tchórzem, więc zabiera głos. – Z chęcią przejadę się na prowincję.

– Tylko niech pan czasami nie błaznuje w stroju irańskiego mułły, bo mieszkańcy pięknej libijskiej wsi rozszarpia pana gołymi rękami. Sunnici i szyici nie za bardzo za sobą przepadają. Czyżby pan o tym nie wiedział? – Dżihadysta podśmiechuje się pod nosem.

– Wiadomo. Oczywiście. – Faris podnosi wzrok, szukając kamer w kątach pokoju i przy suficie.

– Pani Fatima też chce sobie zrobić wycieczkę? – Jasem zwraca się do ostatniej osoby obecnej w pokoju. – W końcu jako mamka też wam się przyda.

– Chyba jednak wróć do Bengazi, panie Muntasir. – Wszyscy jakby się zmówili i używają fałszywego nazwiska Jasema, bo nie daj Bóg, żeby ktoś się pomylił i nazwał go jego prawdziwym imieniem terrorysty i dżihadysty, którego poszukuje Interpol na całym świecie. Wtedy zapewne od razu dostaliby od niego kulkę w łeb.

– Jak pani sobie życzy. Zatem ja i moja małżonka Dżamila oczekujemy państwa w naszej górskiej rezydencji w Gharianie.

Po skończonej rozmowie zebrani w salonie w nadmorskiej willi w miejscowości Ras Lanuf czują, jak uchodzi z nich powietrze. Ocierają pot to z czoła, to z nosa czy z górnej wargi.

– On nas wszystkich zabije – stwierdza Daria, a reszta towarzystwa nie zaprzecza hiobowym wieściom. – Wszystkich nas załatwi.

* * *

Anwar al-Saud nawiązuje roboczy kontakt z Hamidem Binladenem i pomimo że nigdy za sobą nie przepadali, postanawiają podjąć współpracę. Trzeba ratować Libię, bo kiedy osiedlą się w niej wszystkie niedobitki kalifatu, umocnią swoje flanki i nie daj Bóg dojdą do władzy, ten kraj zamieni się w piekło.

– Słyszałem, że aktualnie jesteś słomianym wdowcem, więc może chciałbyś się przewietrzyć w męskim towarzystwie? – pyta żartobliwie Anwar, którego nic nie trzyma w Rijadzie, bo tak jedna, jak i druga żona ani go ziębia, ani grzeją. Marzy mu się trzeci związek, taki z prawdziwego zdarzenia, i tęskni do tej jednej jedynej, która głęboko zapadła mu w serce i która, o dziwo, ponoć świetnie daje sobie radę w Libii.

– A dokąd to chciałbyś mnie wyciągnąć? – Hamid jest zniesmaczony i sfrustrowany rządami monarchii, a konkretnie posunięciami następcy tronu, i już absolutnie nie ma zamiaru angażować się w politykę swojego kraju. – Jak zamierzasz podrzucić mnie na kolejne spotkanie z księciem Muhammadem ibn Salmanem, to dziękuję bardzo. Można było jeszcze przypuszczać, że tragiczna śmierć narzeczonej Bin Talala to rzeczywiście wypadek, ale dwa podobne kazusy w tak krótkim czasie jego panowania... Usunięcie dwóch niewygodnych dla niego osób nie jest przypadkowe. Ibn Salman tak łatwo nie oczyści ani swoich rąk, ani sumienia po zamordowaniu opozycyjnego dziennikarza Chaszodżdżiego. I niech nie pierniczy, że zlecił tylko ucieszenie niewygodnego pismaka, a nie zabicie i posiekanie go w konsulacie Arabii Saudyjskiej w Turcji. To hańba i wstyd, które przez niego brukają dobre imię wszystkich obywateli naszego państwa – wygłasza tyradę, a księżę stwierdza, że ma do czynienia ze wspaniałym patriotą i oby takich w królestwie było jak najwięcej.

– Wielka szkoda, że tacy jak ty nie biorą udziału w rządach naszymi piaskami – myśli na głos księżę. – Mnie ta sprawa jeszcze bardziej denerwuje, bowiem zlecenie dostał królewski wywiad, czyli moja firma.

– Wiedziałeś o tym? – Hamidowi głos drży z oburzenia.

– Czyś ty oszalał?! Jakbym w tym siedział, to kiedy sprawa się wydała, byłbym też martwy albo w najlepszym wypadku gniłbym w ciemnych lochach więzienia o zaostrzonym rygorze i czekał na

wyroku śmierci. Nie jestem tak wysoko postawiony w hierarchii rodziny, że mógłbym się z tego wybronić, udając, że jestem niewinny.

– To dobrze. – Hamid oddycha z ulgą.

– Każdy wydział jest od czegoś innego. Nie pracuję w sprawach wewnętrznych, tylko w polityce zagranicznej. Tak jak i ty.

– Zawsze sądziłem, że *royal secret service*²²⁵ to zwyczajna bezpieka, która zajmuje się głównie uciszaniem i uciskaniem swoich obywateli. – Binladen jak zawsze jest szczery.

– To byłeś w błędzie.

– Co zamierzasz w obecnej sytuacji?

– Teraz zajmuję się Libią.

– Ciekawe...

– Sporo fundamentalistów i dżihadystów z Bliskiego Wschodu znalazło tam schronienie.

– A konkretniej?

– Konkretniej opowiem ci w naszym *safe house* na Bacie. Przyślę po ciebie kierowcę.

– Niezbyt ciekawa dzielnica.

– Idealna jak na taką bazę. Już niejednych oficjeli tam gościliśmy. – Książę wspomina delegację Musy Kusy i uśmiecha się z przekąsem.

Kiedy mężczyźni spotykają się na miejscu, bez wstępów i ogródek Anwar opowiada o intrydze, którą wymyślił Musa Kusa. Pomysł zdaje się szalony, ale książę liczy, że się powiedzie.

– Chcecie użyć Jasema Alzaniego jako tak zwanego szczurołapa, nieprawdaż? – Analityczny Hamid od razu neguje niemądre koncepcje, nawet jeśli przyświecają im dobre intencje. – Czyście zwariowali? Czemu nie aresztować dżihadystów w tradycyjny sposób i nie zapelnąć nimi libijskich więzień i przydrożnych dołów śmierci?

– Bo oni są jak te szczury. Chowają się i tajniaczą po wszystkich dziurach, rowach i dolinach. Nie tak łatwo ich znaleźć. A do swojego przyjdą i będą mu jeść z ręki. To przyspieszy proces oczyszczenia.

– Cholernie ryzykowny plan. Bardzo łatwo może się wymknąć spod kontroli – martwi się Binladen.

– Zgadzam się, przyjacielu. Uznaliśmy jednak, że każdego, nawet Jasema Alzaniego, można przekabacić na swoją stronę za wysoką cenę, na przykład stanowisko w rządzie, w ten sposób tłumiąc jego złe nawyki.

– Na przykład nawyk zabijania?

– Czemu jesteś taki sceptyczny?

– Znasz legendę o fleciście z Hameln?

– Nie – zaprzecza Anwar, bo nic mu do głowy nie przychodzi.

– Szczurołap z Hameln? – dalej indaguje wszechstronnie wykształcony Hamid. – To historia spisana przez braci Grimm.

– Dobra. Opowiedz mi teraz bajkę. – Książę jest zaskoczony brakiem koncentracji ponoć bystrego szpiega. – Niech ci będzie. – Wygodniej rozsiada się w fotelu i cierpliwie czeka.

– Z bajek i legend należy wyciągać wnioski, bo zawsze niosą one głębokie przesłanie. – Hamid kąśliwie się uśmiecha. – Według legendy w tysiąc dwieście osiemdziesiątym czwartym roku miasto Hameln w Niemczech nawiedziła plaga szczurów – zaczyna spokojnym głosem gawędziarz. – Wynajęty przez mieszkańców szczurołap za pomocą muzyki płynącej z cudownego fletu wywabił szczury, które następnie utopiły się w rzece Wezerze. Gdy po wykonanej pracy odmówiono fleciście obiecanej zapłaty za pozbycie się gryzoni, ten w podobny sposób wyprowadził w nieznaną wszystkie dzieci z Hameln.

Kiedy Binladen kończy, zapada cisza. Raz po raz słychać tylko siorbanie, gdy książę popija zieloną herbatę z małej czarki, która ginie w jego wielkiej dłoni.

– Myślisz, że ten człowiek zażąda więcej? – w końcu pyta Anwar. – Nie wystarczą mu obiecane stanowisko ministra, pieniądze i władza?

– Nie sądzę, żeby to zaspokoilo jego apetyt. I pamiętaj – on jest jakimś cholernym nietykalmym. Ciężko go zabić.

– To już wiemy. Potrafi się idealnie zadekować. Przeklęty kameleon... – Anwar zastanawia się nad skutecznością i celowością planu Libijczyków, na który przystał.

– A tak z innej beczki. Co się stało z jego żoną, Darin Salimi? – Hamid nie może nie poruszyć kwestii, przez którą omalże nie stracił życia. – Wiesz może, gdzie teraz przebywa?

– A myślisz, że czemu namawiam cię, byś towarzyszył mi w podróży do Libii, choć absolutnie odmawiam uczestniczenia w jakiegokolwiek ryzykownej zbrojnej akcji.

– A konkretnie? – Szczupły przystojny Arab nerwowo poprawia się na siedzeniu.

– Daria jest z nim. Najpierw mieszkała w górach Nafusa, w miejscowości Gharian, a następnie przeniosła się nad morze do Ras Lanufa. Świetnie daje sobie radę.

Anwarowi al-Saudowi wydaje się, że pozjadał wszystkie rozumy i wszystko wie, lecz Musa Kusa, nie chcąc denerwować bogatego, wpływowego współnika, nie wspomina mu o jednym, najważniejszym fakcie – że Daria ma burzliwy romans z kandydatem na prezydenta Libii Sajfem al-Islamem Kaddafim. Ich flirt stał się już tajemnicą poliszyneła i wiedzą o nim osoby nie tylko z najbliższego otoczenia. Libijski decydent liczy na to, że w czasie inspekcji nikt nic nie powie na ten temat, bo przecież dla Arabów jest to wielka hańba. Ma też nadzieję, że delegaci nie natkną się ani na krewniaczkę Hamida, ani na Jasema Alzaniego. Jeśliby do tego doszło, cała intryga mogłaby wziąć w łeb i niechybnie polałaby się krew.

– Trzeba było od tego zacząć. – Hamid zrywa się na równe nogi i zaczyna nerwowo krążyć po wielkim salonie. – Kiedy wyruszamy?

– A ile potrzebujesz czasu?

– Jutro będę gotów. – Mężczyzna, który całe życie poświęcił na pracę w wywiadzie, potrafi się zebrać w ciągu minuty, ale że ostatnio teoretycznie przeszedł na emeryturę, musi przynajmniej udawać, że wcale się nie rwie do działania. – Jak się tam dostaniemy?

– Na pewno nie prywatnym odrzutowcem – informuje Anwar.

– Jasne.

– Normalnymi rejsowymi libijskimi liniami Afriqiyah. Masz dobre ubezpieczenie na życie? – żartuje odważny al-Saud.

– Ujdzie. Zstępni nie będą narzekać – dołącza do kpinek nowy partner księcia, który rwie się do działania jak dziec-ko, ale usiłuje swój zapał ukryć pod powłoką typowego arabskiego lenistwa. – Jak będzie przebiegała nasza trasa?

– Z Rijadu polecimy do Kairu, stamtąd samochodem do Aleksandrii, by dostać się na lot do Trypolisu. Na miejscu albo pojeździmy, albo polatamy. – Z grubsza przedstawia plan.

– Kiedyś przejechałem Libię wzdłuż i wszerz – Hamid wspomina dawne czasy, a Saudyjczykowi szczęka opada ze zdziwienia.

– Kiedy?

– Podczas arabskiej wiosny.

– A niech mnie licho! Musisz mi o tym opowiedzieć.

– Będziemy mieć dużo czasu.

– Po co się tam pchałeś?

– Żeby wyciągnąć z niezłego gówna moją żonę, Miriam. – Hamid rumieni się ze wstydu, że taki z niego zapalczywy i uczuciowy kochanek.

– Właśnie... Muszę ci postawić jeden warunek.

– Jaki? – pyta ostro Hamid, bo nie znosi, gdy ktoś go ogranicza.

– Miriam nie poleci z nami.

– Oczywiście, że nie. Chociaż kiedy się dowie, to mnie zabije.

– Wiem. Trochę już ją poznałem. – Anwar uśmiecha się szczerze, bo żywi do tej mieszanej pary dużą sympatię. – Jednak wokół Jasema jest dość nieszczęsnych kobiet, które są w wielkim niebezpieczeństwie i które będę usiłował ocalić. Nie dokładaj mi jeszcze jednej, proszę.

Kiedy Saudyjczycy mają wolną chwilę, odpoczywają w komfortowym pięciogwiazdkowym hotelu Radisson Blu al-Mahary, zlokalizowanym przy jednej z głównych ulic stolicy Al-Fatah. Wspólnie zajmują luksusowy apartament z widokiem na morze.

– Nie będziemy tańczyć tak, jak nam zagra Musa Kusa. Chciałbym zobaczyć wszystko i poznać wszystkich potencjalnych kandydatów na prezydenta. – Anwar al-Saud nie daje sobą manipulować. – Muszę dokładnie wiedzieć, kogo Arabia Saudyjska będzie wspierać. Już zbyt wiele kardynalnych błędów popełniliśmy. Libia jest aktualnie podzielona na wiele stref. Uznawany przez społeczność międzynarodową rząd jedności kontroluje północno-zachodnią część kraju, i to niecałą. Najwięcej terytorium ma w swoich rękach rząd nieuznawany, a ściślej Libijska Armia Narodowa pod wodzą marszałka Chalify Haftara. W kilku ważnych miastach rządzą fundamentaliści islamscy albo lokalne klany. Od roku natomiast niczego nie kontroluje tak zwane Państwo Islamskie, które było tu poważnym i brutalnym graczem, zwłaszcza w środkowej części wybrzeża śródziemnomorskiego i przy granicy z Tunezją.

– Jednak bojownicy zostali? – Hamid zadaje retoryczne pytanie.

– Owszem – potwierdza Anwar, który aktualną sytuację w Libii ma w małym paluszku. – Po to jest tu Jasem, żeby ich wokół siebie skupić i wyprowadzić do więzień lub na tamten świat. Nasz szczurołap.

– Zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie. – Analityk nie wierzy w taki prosty sposób pozbycia się przebiegłych jak lisy dżihadystów. – Nie lekceważyłbym ich.

– Zobaczymy – potwierdza opanowany Saudyjczyk.

– Stąd niewiele rzeczy się dowiemy. – Binladen rozgląda się po ich złotej klatce.

– Dlatego idziemy na miasto spotkać się z lokalnymi informatorami. Mam dość relacji z ust Musy Kusy. Nadszedł czas, by posłuchać kogoś innego. Jedziemy do centrum.

Sceptycyzm Hamida tylko się wzmacnia, kiedy widzi, że nawet w Trypolisie trudno sobie wyobrazić powszechne wybory i demokratyczne głosowanie. W stolicy wielkiego państwa nadal walczą ze sobą różne organizacje, w tym paramilitarne, dochodzi do przemocy, oszustw i mordów, brakuje wody, prądu, a przede wszystkim gotówki. Tego nie widać z okien luksusowego hotelu, gdzie się zatrzymali, lecz ulice zioną pustkami, na murach widnieją ślady po kulach, a mieszkańcy prezentują większą biedę niż kiedykolwiek za czasów Kaddafiego.

– Jak Miriam się dowie, że siedziałem z tobą przy kawce na jej ukochanym placu Zielonym, obecnym Męczenników, to mnie zabije. – Wyrzuty sumienia wobec żony i ogromna tęsknota nie dają Hamidowi spokoju. Szczególnie tutaj, w Libii, gdzie lata temu przeżywali swoje pierwsze wzloty i upadki.

– Kiedy pozna powód, to jeszcze ci podziękuję – pociesza Anwar. – Jesteśmy już bardzo blisko. W końcu odzyskamy Darię, która po latach tułaczki i niebezpieczeństw będzie mogła wrócić do domu.

– Mam taką nadzieję – mówi bez emocji Hamid, choć wewnątrz się gotuje, że odsunięto go od najważniejszej w jego życiu sprawy. Jedynej, która całkowicie się nie powiodła. Nie chce być tylko zimnym obserwatorem lub niedołączonym emerytem informowanym o wydarzeniach, bo jeszcze się takim nie czuje.

– *As-salamu alejkum*. – Nad głowami Saudyjczyków rozlega się młody męski głos.

– *Alejkum as-salam* – odpowiadają zgodnie, podnosząc wzrok.

– *Rahmatullah wa barakatuhu*226. – Młodzieniec wygłasza tradycyjną formułkę.

– To Tarik Katrusz, szef organizacji młodzieżowej w Trypolisie oraz nasz informator. – Anwar dokonuje prezentacji, a panowie wymieniają uściski rąk. – Najlepiej zna tutejszą sytuację polityczną.

Trzej mężczyźni, wszyscy czystej krwi Arabowie, całkowicie różnie się prezentują. Tarik to typowy przedstawiciel libijskich Berberów – śniady, chudy jak tyczka, z dużym, orlim nosem, czarnymi jak noc wielkimi oczami, wysokim, dumnym czołem oraz chmarą krętych hebanowych włosów. Dwaj Saudyjczycy, jeden wielki jak szafa, a drugi szczupły i zgrabny, choćby nie wiem co

robili, wyglądają tutaj na obcych przyjezdnych. Ich karnacja ma kolor zbliżony do kości słoniowej, włosy są delikatnie falujące i modnie przycięte. Zarost też mają przystrzyżony według najnowszych trendów w stylu londyńskim – otacza on usta i podbródek wąską linią, podkreślając ich orientalne, wyraziste rysy. Unikają modnej od jakiegoś czasu na Zachodzie bujnej brody berlińskiej, która kojarzy się im z szalonymi fundamentalistami czy saudyjskimi policjantami obyczajowo-religijnymi, *mutawwami* oraz *hadżdżami*, wyświęconymi pielgrzymami z Mekki. Dzisiaj Anwar i Hamid ubrali się jak przeciętni Arabowie na całym świecie – w dżinsy i koszulkę polo, jednak zapach, który się wokół nich roztacza, jest nie do zamaskowania. Od wyjazdu z kraju nie używają saudyjskich perfum na bazie *oud*²²⁷, lecz zwykłe tanie Bossy czy Givenchy, ale ich skóra, od lat nasączana cudownym pachnidłem, nadal oddaje jego aromat i ujawnia szlachetne zepsucie obu panów. Z tego też względu wszyscy w odległości paru metrów wiedzą, że młody Libijczyk siedzi przy stoliku z dwoma Saudyjczykami.

– Co nam powiesz na temat kandydatury Kaddafiego na prezydenta Libii? – Binladen od razu chce uzyskać informacje u samego źródła i uderza w sedno sprawy, w którą także nie wierzy.

– Przeprowadzenie wyborów nie jest wykluczone, pracujemy nad tym, by było możliwe. – Tarik, w arabskim stylu, nie odpowiada wprost na zadane pytanie, za to od razu zapala papierosa i łączywie się zaciąga dymem. – Łatwiej będzie z wyborami parlamentarnymi...

– To oprócz prezydenckich chcecie zrobić jeszcze wybory parlamentarne? – Analityk z niedowierzaniem kręci głową.

– Owszem. To w nich Kaddafi prawdopodobnie chciałby wystartować ze swoim Ludowym Frontem Wyzwolenia Libii. Mówię „prawdopodobnie” – robi palcami znak cudzysłowu – bo nawet nie mam pewności, czy on żyje. Nie słyszałem żadnego jego wystąpienia, zaś w jego imieniu wypowiadają się przywódcy plemienni. – Młody Libijczyk robi zdziwioną minę. – Reprezentuje go też nieznaną osobę, ponoć o czystych rękach, niezwiązany z żadną niebezpieczną partią lider narodowego pojednania Muhamad Arabi Muntasir.

Na te wieści Saudyjczykom cierpnie skóra, a Hamid teatralnie chwyta się za głowę i uśmiecha półgębkiem.

– Mówisz: Muntasir? – indaguje, żeby pogrążyć swojego kolegę, wybitnego królewskiego szpiega i manipulatora.

– Tak. Człowiek z gór. Ponoć z tych Muntasirów – potwierdza rozmówca, nie rozumiejąc kwaśnej miny swoich towarzyszy. – Moim zdaniem Sajf al-Islam Kaddafi ma spore szanse, zwłaszcza na Południu, a w całym kraju wciąż jest wielu lojalistów, zwolenników jego ojca.

– A ten Muntasir nie stanowi dla niego zagrożenia? Tylko go promuje i tyle? – Binladen lubi stawiać kropkę nad „i”.

– Podobnież. Ale ręki nie dałbym sobie za to uciąć. W Libii jest część obywateli niezaangażowanych w rewolucję z dwa tysiące jedenastego roku, którzy po latach chaosu mogą dobrze wspominać Kaddafich. Właśnie oni popierają Sajfa. Natomiast ci, którzy prawie siedem lat temu wystąpili przeciwko dyktaturze, nie zapomnieli, że synek brutalnością nie ustępował wówczas ojcu. To oni skłaniają się ku Muntasirowi.

– A czy ktoś w Libii wie, że Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze właśnie przypomniał światu, iż na Sajfie al-Islamie ciążyą zarzuty o zbrodnie przeciwko ludzkości? – pyta dociekliwie nieprzyjemny i męczący Binladen. – I dlatego powinien być natychmiast aresztowany i postawiony przed sądem. Oskarżają Kaddafiego jako odpowiedzialnego za pośredni udział w mordowaniu i prześladowaniu cywilnych demonstrantów na początku rewolucji.

– Doszło to już do libijskiej opinii publicznej – potwierdza Tarik ze smutkiem, bo widać, że sam chciałby powrotu dawnych czasów.

– Moja żona, Miriam, była wtedy w Libii i widziała na własne oczy rannych i zamordowanych cywilów. Pracowała w tutejszym szpitalu, w którym zwolennicy reżimu też robili czystki. Chodzili od łóżka do łóżka i strzelali rewolucjonistom w łeb!

– Tak jak nie wiadomo, czy Sajf al-Islam żyje, tak nikt nie może na sto procent potwierdzić, że to on wydał rozkaz, by strzelano do ludności. – Młody lojalista jednak czuje się w obowiązku bronić

swojego lidera. – Ten Kaddafi wykazał się zaś w wielu korzystnych dla Libii sprawach. Odszkodowania dla ofiar zamachu nad Lockerbie, uwolnienie bułgarskich pielęgniarek, przyznanie się do ataku terrorystycznego na dyskotekę w Berlinie i rekompensata za winy, pomoc libijskim dzieciom zakażonym wirusem HIV, zatrzymanie fali nielegalnej imigracji z Czarnej Afryki, która biegła przez Libię, Morze Śródziemne i prowadziła do zachodniej Europy... Długo by wymieniać.

– Jednak promowanie jednego kandydata przez drugiego jest trochę pokręcone – podsumowuje Hamid, zbity z pantałyku mocnymi argumentami. – Jakie procentowe poparcie mają ci dwaj liderzy?

– *Fifty fifty*. Pół na pół.

– A co z innymi? Marszałek? Premier?

– Opuścili, licząc na zachowanie tego, co mają. Fotel prezydencki to niezła gratka, ale nie u nas. Dla niektórych ważniejsze jest życie.

– Czarno to widzę. – Binladen chce wstać od stolika, stojącego na chodniku przy placu Zielonym na zewnątrz dużej kawiarnio-cukierni, kiedy gwałtowny podmuch niedalekiego wybuchu wbija go w plastikowe krzesło. Leci aż pod ścianę budynku, wpada plecami na drewniany bar, przelatuje przez niego i błyskawicznie chowa się za wątpliwą osłoną.

– Na ziemię! – krzyczy Anwar, wyciągając zza pasa pistolet i szukając wzrokiem napastników. – *Wallahi!* Ochrona!

– Tarik! – wrzeszczy Hamid, widząc zza lady młodego patriotę leżącego nieopodal. Z jego roztrzaskanej czaszki sterczą połamane kości, a na ziemię wypływa mózg. – Chłopcze!

Przyjezdni mieli mieć zagwarantowaną obstawę i zapewnione bezpieczeństwo dwadzieścia cztery godziny na dobę, lecz widzą, że w Libii kuratela nawet rządowych przedstawicieli i VIP-ów się nie sprawdza. Celem tym razem nie byli oni sami, lecz młody kooperant, być może według niektórych lokalnych pseudopatriotów szpieg. Saudyjczycy dostali tylko ostrzeżenie, żeby nie wpychali swoich wahabickich paluchów w sprawy wewnętrznej polityki podzielonego i niebezpiecznego kraju. Teraz już obaj nie mają złudzeń, że same wybory tutaj nie pomogą. Tym krajem nie da rady władać żaden cywil, nie Sajf al-Islam Kaddafi ani kryptodżihadysta Muhamad Arabi Muntasir. Libia stała się państwem bezprawia, w którym powinna rządzić junta wojskowa, jakiś silny, uzbrojony po zęby profesjonalny wojak despota, który wzięłby Libijczyków za gardło i wytrzebił zbrodnicze nawyki. Wbrew zapewnieniom Ameryki i innych krajów Zachodu w Libii demokracja się nie sprawdziła i nie sprawdzi, a uratować ten kraj może jedynie twarda, sprawiedliwa dyktatura wojskowa²²⁸. Dlatego saudyjscy obserwatorzy, przyszli inwestorzy i sponsorzy upadającego państwa, pierwsze kroki kierują do Bengazi i marszałka wojsk połowych Chalify Haftara.

Tym razem Saudyjczycy jadą libijskim wybrzeżem w zbrojnym konwoju razem z Musą Kusą aż do Tobruku. Z Trypolisu to ponad tysiąc dwieście kilometrów. Przybysze oglądają kraj o umiarkowanym klimacie, bujnej roślinności nadmorskiej i studiują dane dotyczące pokładów i obecnego wydobywania ropy naftowej. Mają też informacje o zamrożonych aktywach Libii w bankach na całym świecie. Na krótki postój zatrzymują się w starożytnym mieście Leptis Magnum, które całkowicie ich oczarowuje.

– Toż to istny raj na ziemi! – stwierdza Hamid po zwiedzaniu świetnie zachowanej i cudownie ulokowanej perełki światowego dziedzictwa.

– Arabowie nawet raj potrafią zaorać. – Anwar kpi z własnej nacji. – Tutaj powinny być tysiące turystów, a co widzimy? Odludzie i hulający wiatr.

Jako że jadą z wizytą do marszałka Haftara, postanawiają sprawdzić też pogłoski o podpisaniu przez niego kontraktu z Irańczykami na odbudowę i obsługę nadmorskich rafinerii, szczególnie tej największej w Ras Lanufie. Taka umowa to dla Saudyjczyków potwarz, gdyż Iran jest ich odwiecznym wrogiem w regionie Bliskiego Wschodu, a obecnie antagonizm jeszcze się pogłębia. To oni jako znawcy tematu z powodzeniem mogliby się zająć wydobywaniem ropy i pomóc braciom, Arabom sunnitom. Tymczasem wpuszcza się na taki teren szyitów, których najpierw będzie tysiąc, potem dwa,

a na koniec zrobi się pięć milionów. Taki przyczółek nad Morzem Śródziemnym dla odłamu tej religii jest wart wszystkich pieniędzy. Ale dla saudyjskich ortodoksyjnych wahabitów również.

Marszałek od początku nie podoba się delegatom. Jest pyszałkowaty, dumny i ograniczony, jak każdy wojskowy trep. Jest przekonany, że jak zdobył chwilowe panowanie nad ponad połową Libii i jej największymi złożami ropy, to taka komfortowa sytuacja będzie trwała wiecznie.

– Więc uważa pan, że nie potrzebuje wsparcia? – uprzejmie pyta księżę Anwar al-Saud, który jako przewodniczący oficjalnej delegacji przyjechał tu w konkretnym celu. – Ma pan aż nadto mocarnych popleczników? – sonduje z ironią w głosie, oczekując jedynie pokrętej odpowiedzi.

– Największym poplecznikiem mojego niezależnego rządu jest naród libijski. – Bufon w galowym mundurze wygłasza slogan, a panowie z kurtuazją niemo potakują.

– To trochę mało, biorąc pod uwagę fakt, że Libijczyków jest niespełna sześć milionów, z czego ponad trzy czwarte zamieszkuje Trypolitanię, a nie pana Cyrenajkę. – Saud nie ma ochoty dłużej bawić się w konwenanse. Chce wiedzieć, na czym stoi.

– Mam podać panu naszych zagranicznych sprzymierzeńców? – indaguje rozeźlony marszałek, bo nie zwykł nikomu z niczego się opowiadać.

– Proszę. Na pewno lista jest długa – znów ironizuje Anwar, a Binladen i Musa Kusa oraz cała wojskowa obstawa Libijczyka tylko się przysłuchują.

– Wasz saudyjski bliskowschodni partner nas wspiera.

– Tak?

– Zjednoczone Emiraty Arabskie. Właśnie wysłali pierwszy statek z wszystkimi niezbędnymi częściami do naszych rafinerii – oznajmia z dumą. – Egipt po sąsiedzku cały czas z nami kooperuje. Od wieków.

– A Rosja? – indaguje księżę, który wie wszystko i nawet więcej, niż Chalifa Haftar się spodziewa.

– Oczywiście.

– Też wysłała statek? Z czym? – szydzi w żywe oczy, postępując bardzo niedyplomatycznie, lecz on już wie, że ze współpracy saudyjsko-libijskiej z tym przedstawicielem narodu nic nie będzie. – Z bronią konwencjonalną czy niekonwencjonalną?

Na dłuższą chwilę zapada cisza. Wszyscy na sali konferencyjnej czekają na ciąg dalszy i dziękują Bogu, że nie ma tu broni, bo wygląda na to, że rozpętałaby się krwawa jatka. Stół jest podzielony nie tylko nacjonalistycznie i ideowo, ale także kulturowo. Przy marszałku siedzi świecka wojskowa libijska elita, w mundurach obwieszonych licznymi medalami. Naprzeciwko saudyjski wahabicki księżę, ubrany również na galowo – w białą jak śnieg, wykrochmaloną *tobę* z brylantowymi spinkami u manszetów, na którą narzucił wyjściowy czarny satynowy płaszcz z rautem i pagonami wyszywanymi złotą nicią. Głowę zakrywa mu biało-czerwona *ghutra*, podtrzymywana czarnym *iqalem*; jej końce co chwilę nerwowo odrzuca na plecy. Po prawicy księcia siedzi drugi Saudyjczyk, ubrany podobnie, choć mniej wytwornie, bo w rudobrazowym płaszczu bez zdobień, zaś po lewej stary Libijczyk, as wywiadu Kaddafiego, założyciel partii narodowego pojednania, zagorzały antagonistą marszałka, ubrany w stylu zachodnim w elegancki, granatowy garnitur od Armaniego i białą koszulę z jedwabnym, stonowanym kolorystycznie krawatem.

– A brudna bomba już dotarła? – stawia kropkę nad „i” przedstawiciel saudyjskiego rządu, który może być krytykowany i znienawidzony na całym świecie, ale nie można mu odmówić dobrego wywiadu i najlepszych szpiegów. – Nie potrzebowała chyba całego statku. Można ją przewieźć w neseserze.

– Nie rozumiem, o czym jego wysokość mówi. – Hanifa stwierdza, że źle wybrał poplecznika, bo teraz oprócz zagrożenia ze strony starego Musy Kusy wisi nad nim śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony rządu saudyjskiego. Zastanawia się, czy jak go gdzieś dorwą, to potną go na kawałki, tak samo jak opozycyjnego dziennikarza Chaszodżdżiego, i ta straszna myśl wywołuje u dzielnego wojaka palpitacje serca. – Niby przeciwko komu miałbym użyć takiej broni?

– Wystarczy jej użyć jako straszaka, mój panie. Ale to niemądre posunięcie, z którego rozsądny

przywódca zawsze może się wycofać. – Saud daje mu jeszcze jedną szansę.

– Racja. Polityka to fałszywa dziwka, dlatego zawsze stawiam na pierwszym miejscu bycie uczciwym, lojalnym żołnierzem.

– Proszę to powiedzieć Muammarowi Kaddafiemu, kiedy spotkacie się w *dzennie229* – księżę Anwar al-Saud kończy pertraktacje. – Kto raz zdradził, na wieki pozostanie zdrajcą – stwierdza jeszcze, po czym nie mając ani zaufania do starego wojskowego, przez którego dezercję de facto upadł reżim pułkownika Kaddafiego, ani też deko sympatii jako do człowieka, opuszcza salę posiedzeń, zostawiając przywódcę Cyrenajki zdezorientowanego, ale przede wszystkim przestraszonego.

Zniesmaczeni Saudyjczycy lecą do Trypolisu. Kurtuazyjnie zwiedzają stolicę, a później koszary Kaddafiego, symbol dawnego reżimu.

– Straszne tu dziadostwo – stwierdza Anwar, przyzwyczajony do zbytków Bliskiego Wschodu. – Nie wiem, czy kiedyś było lepiej, ale chyba lepiej nie pytać. – Na żarty może sobie pozwolić tylko z Binladenem, bo przy Musie Kusie nie wypowiada się na ten temat, nie chcąc go urazić.

– Podczas rewolucji było jeszcze gorzej – uświadamia go obyty w tym regionie kolega. – Teraz widać, że trochę zniszczeń naprawili, odbudowali miasta i wioski, ale oni jakoś dziwnie to robią. – Drapie się po głowie z niedowierzaniem. – Jak dzieci w przedszkolu. Jakby dziury po wybuchach zaklejali plasteliną. Wszystko to fuszerka i łatanie. – Saudyjczyk dziwi się takiemu niechlujstwu. – I dlatego potem mamy taką złą opinię.

– Jak to „mamy”? – oburza się księżę.

– No my, Arabowie. Mówi się, że jesteśmy niechlujnymi brudasami. Widać większość Europejczyków ma częstsze kontakty z muzułmańskimi krajami nad Morzem Śródziemnym, jeżdżąc tu na urlop, niż z naszym straszliwie drogim, głównie biznesowym regionem. A u nas wszystko jest na tip-top.

– Racja. Egipt i Tunezja to najczęstsze cele wakacyjnych wyjazdów. Ale teraz to się skończyło, bo ludzie się boją.

– A dziwisz się? Zastrzelili człowieka, gdy piliśmy z nim kawę – pokpiwa Binladen.

– Mamy jeszcze parę spotkań, choć obawiam się, że nic one nie zmieniają, nie przewrócą do góry nogami naszego nastawienia do rządzących Libią elit. Tyle dobrze, że już nie w kawiarnianym ogródku, bo w końcu i nas ktoś by ustrzelił.

Mityng z premierem, poplecznikiem fundamentalizmu i zwolennikiem szariatu, jest żalony. Delegaci siedzą jak na kiepskim filmie, a Musa Kusa tryska zadowoleniem, bo przecież tego człowieka również chce wykurzyć. Aktualny minister spraw zagranicznych jest całkowicie niekompetentnym człowiekiem i zwyczajnym głupcem, który nie umie nawet się wysłowić, choćby po arabsku. Nie wiadomo, czego bardziej się boi: Binladena ze złą sławą jego rodziny czy saudyjskiego księcia, który mógłby kupić Libię i jej rząd razem z butami.

Na koniec Saudyjczycy i stary Libijczyk, który ich tu ściągnął, zbierają się w apartamencie w hotelu Radisson Blu. Siadają wygodnie w salonie i z zadumą patrzą przez duże okna na Morze Śródziemne. Widok jest oszałamiający. Z wysokości piętnastego piętra stolica Libii wydaje się pięknym i bezpiecznym miejscem.

– Tutaj nie ma kogo poprzeć – podsumowuje Hamid. – Jak chcesz im pomóc? – zwraca się do Anwara.

– Według mnie jest jeden wiarygodny kandydat na przywódcę. Sajf al-Islam Kaddafi – mówi zagadnięty, robiąc ukłon w stronę Libijczyka, który miał rację, wymyślając cały misterny plan przewrotu. – Jednak nie wiadomo, czy dożyje elekcji. Sporo ludzi czyha na jego życie, nie mówiąc, że oficjalną karę śmierci ma już zasądzoną przez stronnaczy sąd w Trypolisie i trybunał w Hadze.

– Syna Kaddafiego widzisz jako prezydenta tego państwa? Czyś ty zwariował? – obrusza się uczciwy Binladen. – Jest oskarżony o ludobójstwo!

– Z tym ludobójstwem to wierutne bzdury. Nie on wydawał rozkazy. Nie wierzę, żeby tatuś

pułkownik dopuścił go do dowodzenia wojskiem. – Al-Saud zastanawia się, czy powiedzieć całą prawdę. – Znam go z dawnych czasów z Anglii. Razem tam studiowaliśmy – wyjawia w końcu.

– Hm... A to nowinka. – O tym nie wiedział żaden z rozmówców.

– Nigdy nie należał do żadnych fundamentalistycznych ugrupowań, nawet o tym nie pomyślał. Dusza artysty i negocjatora. Nie skrzywdziłby nawet karalucha. Przez jakiś czas był wegetarianinem, bo nienawidził zabijania zwierząt. Kiedy naoglądał się programów o uboju krów, pochorował się, dostał wysokiej gorączki i wyładował na parę dni w szpitalu.

– Pamiętasz takie nic nieznaczące, kretyńskie detale? – Hamid nie może się nadziwić.

– Nic nieznaczące? To miało ogromne znaczenie! – Anwar zwyczajem człowieka o pogodnym usposobieniu, czego nigdy Binladen po nim by się wcześniej nie spodziewał, podśmiechuje się pod nosem. – Po tym wydarzeniu długie miesiące przezywaliśmy go „pedzio”, bo taki był delikatny. Niektórzy bardziej ortodoksyjni arabscy koledzy darli ryja, że nie jest dobrym muzułmaninem, bo na święto *Eid al-Adha*²³⁰ nie będzie umiał nieszczęsnemu barankowi gardła poderznąć.

– Ciekawe mieliście towarzystwo w tym Londynie. – Hamid postanawia sięgnąć do akt księcia, choć obawia się, że takowych nigdzie nie znajdzie.

– Nie powiem – podsumowuje enigmatycznie Anwar, składając usta w ciup. – Wcześniej czy później dowiesz się najciekawszego – obiecuje, a rodak spogląda na niego spod ściągniętych brwi. – Sajf to uroczy facet o szerokim światopoglądzie. Typ intelektualisty, a zarazem zabawnego rozrabiaki. Za młodu trochę poszumiał, ale już od paru lat dostaje za swoje. Śmierć ojca, upadek państwa, internowanie... – Książę zamyśla się nad zawiloscią ludzkiego życia i zmiennością losu. – Najbardziej zawsze przeginał w kontaktach damsko-męskich. Nie będę ci tu przytaczał plotek z „Expressu Wieczornego”, ale raz związał się z izraelską aktorką i modelką, a innym razem z Rosjanką, za którą poleciał aż do Moskwy. Jednak świadczy to tylko o jego romantycznej naturze. Na arenie politycznej zawsze wykazywał się uczciwością i za wszelką cenę korygował szalone i tragiczne w skutkach decyzje swojego ojca. Na pewno nie jest to masowy morderca – oznajmia twardo i teraz już Hamid całkowicie wierzy jego słowom. – Te całe jaja z najemnikami i organizacją zbiorowych mordów na ludności libijskiej to mistyfikacja i polityczna gra. Nic poza tym – książę kończy wypowiedź nieznoszącym sprzeciwu, twardym głosem.

Musa Kusa potajemnie, jedynie z najbardziej zaufaną świtą, którą dowodzi Mohamed Zintani, przywozi dwóch saudyjskich delegatów do beduińskiego miasteczka Zintan, znajdującego się niespełna sto trzydzieści kilometrów na południe od Trypolisu. To tam odbywa się najważniejsze spotkanie na szczycie. Panowie zostawili je sobie na deser.

– *Ja achi! Ja sadiqi!* Stary koniu! Ty tłusciuchu! Ty łysoniu! – Coraz bardziej swojskie i familiarne epitety padają z ust Sajfa i Anwara, z czego Hamid i Musa Kusa od razu wnioskuje, że mężczyźni łączy prawdziwa przyjaźń, która przetrwa próbę czasu i odległości. – Oto mój koleś, Hamid Binladen. – W końcu książę przedstawia nieznanego.

– Z tych Binladenów? – pada typowe pytanie.

– Z tych – jak z automatu odpowiada Hamid. – Jednak nie każdemu psu Burek i jak jeden członek z rodziny się zbiesił, to nie mogą za niego odpowiadać pozostali, bo odpowiedzialność zbiorowa objęłaby w tym przypadku ponad dwie setki Bogu ducha winnych ludzi.

– Racja. Jak jesteś z Anwarem, to znaczy, żeś brat. – Kaddafi bezwzględnie ufa przyjacielowi z młodości. – Zapraszam w moje skromne progi, których nie opuszczałem przez sześć długich, parszywych lat. *Zyft!*²³¹ – klnie z wściekłością, co najlepiej świadczy, że nie wspomina tego czasu najlepiej.

– Nie miałeś tak źle. – Al-Saud rozgląda się po piętrowej willi z ogrodem i w końcu wygodnie siada w salonie z wielkim plazmowym telewizorem na ścianie. – Wszystkie zdjęcia i doniesienia mówiły, żeś siedział w pierdlu, a ty miałeś lordowskie, VIP-owskie waruneczki. Człowieku! Takie internowanie to betka!

– Wiesz co? To perfidia losu. – Sajf otwiera litrową butelkę Johnniego Walkera i polewa do szklanek. – Smacznego. *Bissahha*. – Rozdaje mężczyznom, a żaden się nie wzbrania, choć Arabowie nie lubią pić we własnym gronie i pokazywać braciom w islamie, że popełniają grzech. Widać tych trzech – Sajf, Anwar i Musa Kusa – ma do siebie pełne zaufanie. Piją alkohol tak łączywie, jakby byli odwodnieni. Hamid do nich dołącza, nie chcąc odstawać, ale czuje, że nie jest zawodnikiem z ich ligi i może się to dla niego tragicznie skończyć.

– Masz colę, bracie? – charczy przez palące gardło.

– O, lubisz mazut²³² – śmieje się Kaddafi. – Toś ty chyba naturalizowany Libijczyk. – Poklepuje Hamida po plecach, z sympatią spoglądając w zażawione od mocnego alkoholu oczy.

– Co z tą perfidią losu? – pyta Binladen, kiedy już odzyskuje głos.

– W podobnych realiach jak ja tutaj były przetrzymywane bułgarskie pielęgniarki i pakistański lekarz. Wielki temu.

Musa Kusa spogląda smutno na Sajfa, bo to dla niego temat tabu i nadal bardzo bolesna kwestia.

– Tak mieszkali? – Hamid nie może się nadziwić. – A cały świat mówił o tragicznych warunkach w najcięższym libijskim więzieniu i o torturach.

– Na początku i owszem, ale potem udało mi się to zmienić. Bogu niech będą dzięki. – Kaddafi całuje opuszki palców, przytyka je do piersi, a następnie przepija podziękowanie whisky. – Przez ostatnie trzy lata mieli fajną willę, choć na terenie więzienia o zaostrożnym rygorze. Wybudowaliśmy ją dla nich na spacerunku, bo po co komu duży więzienny dziedziniec. Kto w tym więzieniu był w stanie spacerować, skoro wszyscy mieli mniejsze lub większe obrażenia, zadawane im z wielkim upodobaniem podczas męczarni? Prawda, wujaszku Muso? – Zwraca się oskarżycielskim tonem do swojego głównego poplecznika.

– Takie wtedy były czasy – zdawkowo stwierdza były szef libijskiego wywiadu i pierwszy kat w rządzie starego Kaddafiego.

– Wiecie, czego pragnę najbardziej, drodzy panowie? – Lider nowego nurtu w libijskiej polityce zadaje pytanie. – Chciałbym choć trochę wybielić obraz mojego świętej pamięci ojca. Pragnę, by nasze rodowe nazwisko było kojarzone przynajmniej z paroma pozytywnymi aspektami władzy.

– Ludzie wszystko, co dobre, zapominają najszybciej – uspokaja go doświadczony Musa Kusa. – Człowieku, lista zasług twojego ojca jest niewyobrażalnie długa! Począwszy od bycia największym arabskim feministą, a skończywszy na wprowadzeniu Libii w dwudziesty pierwszy wiek. Teraz cofnęliśmy się znowu do epoki średniowiecza i zaścianka. Patrzcie na te kobiety! Ubrane na czarno! *Abaje i nikaby* w Libii?! To jakaś tragedia!

– W każdym razie wiele rzeczy chciałbym zmienić, ale teraz pojawił się na mojej drodze nieoczekiwany kontrkandydat, którego ty, *saidzie* Muso, przywlokłeś na libijskie ziemie. – Oskarżycielsko wskazuje na niego palcem.

– Chciałem jak najlepiej... – tłumaczy się starzec. – Jestem już stetryczałym *szabbani*²³³, ot co. – Pochmurnieje, widząc coraz wyraźniej swoją ogromną winę i niewyobrażalną głupotę. – Nie sądziłem, że na całkiem obcym terenie ten człowiek tak szybko zabłyśnie i znajdzie tylu zwolenników. Zaskoczył mnie.

– A mnie już niczym nie zaskoczy. – Hamid dziwi się naiwności zawodowca i składa wszystko rzeczywiście na karb jego wieku. – Człowieku! Toż to cholerny, sprytny, bardzo inteligentny i kreatywny kameleon! Wszędzie się wpasuje.

– Ty też go znasz? – Sajf robi wielkie oczy. – Bo my trzej, ja, Anwar i Jasem, to jesteśmy starzy kumple z Londynu – ironizuje, nadal pamiętając, co pół-Syryjczyk zrobił jego saudyjskiemu przyjacielowi.

– I owszem. Ścigam go od lat, niestety, bez rezultatu. – Hamid jednak dowiaduje się ściślej tajemnicy.

– Rozpoznałeś go? – Do rozmowy włącza się cichy i nieoczekiwany zadumany książę. – Ja ostatnio widziałem go tylko na zdjęciach i powiem ci: musiał mieć znakomitego chirurga plastyka. Nie

wiem, czy na ulicy bym drania zidentyfikował.

– Rzeczywiście, ale plamki na tęczę nie sposób usunąć – stwierdza Kaddafi.

Hamid aż klaszcze w ręce.

– To samo! Miałem to samo! W Rijadzie, mijając go w przejściu szpitala, zauważyłem ten jedyny znak szczególny, który mu pozostał, i dzięki temu go namierzyłem. Ale twój koleś z młodości razem z panem Musą Kusą od razu się zaopiekowali sukinkotem i uchronili go przed saudyjskim i międzynarodowym wymiarem sprawiedliwości. – Binladen tego jednego nie jest w stanie Saudowi podarować.

– Nie mogłem dopuścić, żeby Darin została aresztowana razem z nim – wyznaje czuły mężczyzna, a na wspomnienie ukochanej oczy zachodzą mu mgłą. – Nie miałem pojęcia, dokąd poleci, a o całej politycznej intrydze dowiedziałem się później od naszego *szabbaniego*. – Wygląda na to, że wszyscy rozmówcy mają do Musy Kusy uzasadnione pretensje.

– Darin Salimi jest twarda i przebojowa jak jej ciotka Malika. – Kaddafi chwali kobietę, a gdy wypowiada imię kochanki, na ustach wykwita mu uśmiešek zakłopotania. – Nie wiem, jakim cudem tyle lat daje sobie radę z tym draniem, mordercą i złoczyńcą. Cudowna kobieta!

– Balansuje na cienkiej czerwonej linii – zauważa śmiertelnie poważny Anwar.

Hamid i Musa Kusa obserwują dwóch tak różnych mężczyzn, którzy w jednej chwili bardzo się do siebie upodobnili. Ich głos zmiękł, wzrok zmętniał, ręce zaczęły drżeć, a myśli odleciały daleko ku ukochanej. Doskonale widać, że przyjaciele z młodości wybrali ten sam obiekt westchnień, lecz oni wyglądają na nieświadomych własnej konkurencji.

– Chciałbym ją wyrwać z tego bagna – nieoczekiwanie wyznaje Sajf al-Islam.

– Ja także – potwierdza Anwar al-Saud.

– Kochani! – przerywa im Hamid, bo boi się konfrontacji dwóch rywali. Antagonizmy nie są im teraz potrzebne. – Ja byłem pierwszy na liście wybawców. Wprawdzie to tylko moja uparta szwagierka, więc jestem mniej zdesperowany, lecz gdybyście lepiej poznali moją żonę, zrozumielibyście siłę mojej motywacji. – Mężczyźni solidarnie się podśmiewają.

– Swoją drogą, Sajf, Jasem cię nie rozpoznał? – pyta w końcu o dość istotną sprawę Hamid, bo ta gra wydaje mu się całkiem pokręcona.

– Jakżeby! Musiał. Ja niewiele się zmieniłem. Może tylko bardziej wyłysiałem. – Kaddafi wymownie głaska się po ogolonej czaszce.

– No i? Nic nie mówi?

– A co ma powiedzieć? We dwóch udajemy Greka. – Mężczyzna wybucha niepohamowanym, zaraźliwym śmiechem, aż łzy zbierają się w kącikach jego oczu. – Dwóch Arabów udaje Greka! – rzy, a pozostali, chwilowo zrelaksowani pod wpływem alkoholu i doborowego oddanego towarzystwa, rozładowują stres, dołączając do niego i wygłupiając się jak dzieci.

– Kiedyś jeszcze będziemy hulać i sączyć łyskacza razem z naszymi żonami czy kochankami. – Po opanowaniu chwilowego szaleństwa Kaddafi szarmancko kłania się swoim gościom. – W mojej rezydencji nad brzegiem Morza Śródziemnego na Regacie pod Trypolisem. Zapraszam już dziś. – Rozkłada na boki ramiona, a Musa Kusa nie dziwi się Darii, że straciła głowę dla tego uroczego faceta. Życzy jej, oby tylko zdążyła na czas uciec przed zazdrosnym, mściwym Jasmem.

– *Sza'a Allah! Sza'a Allah!* – Mężczyźni zgodnie potwierdzają propozycję.

– Wszyscy chcemy dla Darin Salimi jak najlepiej, nawet dziadek Musa Kusa uległ jej urokowi – mówi saudyjski książę żartobliwym tonem. – Jednakowoż póki co ty, Sajfie al-Islamie Kaddafi, masz przed sobą wyższe cele. Sprawowanie rządów w tym wielkim i pięknym kraju, który chcesz doprowadzić do stabilizacji i rozkwitu. – Bierze głęboki wdech i kontynuuje, patrząc prosto w oczy swojego rodaka: – Ty, Hamidzie Binladenie, absolutnie nie angażuj się w odbicie krewniaczki, żebyś znów nie naraził swojego i tak już nadwątlonego zdrowia.

– No wiesz! – oburza się Hamid.

– Tak. Wiem, co mówię. Ja to załatwię – przyrzeka książę. – Zostaw ten problem w rękach profesjonalistów. Ty zostań analitykiem. Świetnym badaczem.

– A co ze mną? – cicho pyta Musa Kusa, spodziewając się odstawienia na boczny tor. – Co ze starym *szabbanim*?

– Stary, ale jary! – Anwar poklepuje eleganta po ramieniu. – Strzeż naszego kandydata na libijskiego prezydenta, a mojego przyjaciela Sajfa jak oka w głowie. Nie pozwól go zabić. – Słowa te brzmią przerażająco w pustych ścianach salonu na zabitej dechami, głuchej libijskiej prowincji. – Pilnuj go jak skarbu, bo aktualnie to wasza najcenniejsza perełka i jedyny atut w tej grze. Reszta to same plewy, na których nie wybudujesz ani ładu, ani stabilności, ani bezpieczeństwa, ani tym samym nie odzyskacie waszego utraconego raju. Waszego libijskiego edenu.

225 *Royal secret service* (angielski) – królewska tajna służba.

226 *Rahmatullah wa barakatuhu* (arabski) – Miłosierdzie i błogosławieństwo Boga (Allaha) niech będą z wami.

227 *Oud* (arabski) – drewno agarowe, warte półtora raza więcej niż złoto; od wieków znajdowało zastosowanie w wysokiej jakości kadzidłach. Chińczycy wykorzystują *oud* podczas uroczystości religijnych i świeckich, podobnie zresztą jak Arabowie, mieszkańcy Indii oraz Japonii. Olejek ekstrahowany z drewna agarowego stosowany jest w krajach arabskich jako perfumy. Agar to także ważny składnik wielu tradycyjnych przepisów farmaceutycznych, sięgających czasów średniowiecza. Chińscy lekarze wciąż przepisują go na przeziębienia i problemy trawienne.

228 Dyktatura wojskowa – system sprawowania władzy państwowej, w którym profesjonalni wojskowi łączą funkcje dowódcze z głównymi funkcjami w aparacie państwowym, rządzą, opierając się na armii i z wykorzystaniem wojskowych metod działania. W praktyce oznacza to: obsadzanie kierowniczych stanowisk w państwie przez profesjonalnych wojskowych, pełniących jednocześnie z funkcjami państwowymi funkcje dowódcze w armii; traktowanie armii jako głównego oparcia politycznego rządów, przy pomniejszaniu roli partii politycznych lub nawet ich likwidacji; wciąganie wojska do sprawowania władzy w większej mierze, niż wynika to z jego naturalnych funkcji, również tych związanych ze stosowaniem przemocy. Wojsko w mniejszym lub większym stopniu przejmuje część funkcji policji i organów wymiaru sprawiedliwości. Pełni też funkcje o charakterze ewidentnie cywilnym, jak np. walka z analfabetyzmem, dystrybucja żywności, wykonywanie funkcji kontrolnych nad administracją cywilną lub zarządzanie przedsiębiorstwami państwowymi; często nieprzestrzeganie prawa międzynarodowego, powodujące sankcje.

229 *Dżenna* (arabski) – raj.

230 *Eid al-Adha* (arabski) *Święto Ofiarowania* – najważniejsze święto muzułmańskie, podczas miesiąca zu al-hidżdża, kiedy muzułmanie odbywają rytualną pielgrzymkę do Mekki, obchodzone jest przez cały świat muzułmański, nie tylko przez pielgrzymów. Święto to upamiętnia ofiarę Abrahama (Ibrahima) i jego posłuszeństwo wobec Boga. Według islamu miał on złożyć w ofierze Bogu swego syna Izmaela, jednak Bóg, widząc oddanie Abrahama, pozwolił mu złożyć w ofierze baranka zamiast dziecka. Na pamiątkę czynu Abrahama każda głowa rodziny składa w ofierze owcę, barana, wielbłąda lub krowę. Zwierzę musi być zabite rytualnie, następnie dzieli się mięso tak, by 1/3 oddać potrzebującym, 1/3 krewnym, a pozostałą 1/3 spożywa się na wspólnej uczcie.

231 *Zyft* (arabski) – cholera.

232 Mazut – ciężki olej opałowy; oleista ciecz będąca pozostałością po destylacji niskogatunkowej ropy naftowej w warunkach atmosferycznych, o barwie ciemnobrunatnej do czarnej, zbliżonej do koloru coca-coli; bardzo często jego wycieki zanieczyszczały i wciąż zanieczyszczają libijskie wybrzeże. Tak nazywano napój alkoholowy spożywany na polskich kontraktach składający się bądź z polskiego bimbru, bądź z whisky z arabską colą.

233 *Szabbani* (arabski, libijski) – starzec, staruszek.

Dżihad górą

Jasem systematycznie kontaktuje się ze swoimi braćmi w dżihadzie i powoli zbiera silną, coraz liczniejszą grupę. Nie są to decydenci, nie jest to elita, którą mężczyzna planuje, według zaleceń swojego protektora Musy Kusy, zlikwidować, łącznie z samym premierem Libii, którego zostawia sobie na deser. Skupia wokół siebie zwykłych ludzi, tych, którzy pojechali do pseudo-Państwa Islamskiego z wielkimi nadziejami, a wrócili wielce zawiedzeni. Teraz Jasem obiecuje im inny świat, lepszy, bez wojny, zabijania i przemocy. Zobowiązuje się dać im raj na ziemi, oczywiście w wydaniu fundamentalistycznym, choć bardziej umiarkowanym niż w kalifacie. Świecka Libia, dla niektórych za czasów Kaddafiego będąca edenem i mająca się odrodzić zgodnie z marzeniami Musy Kusy i Dżamili, zostaje wyparta przez ortodoksyjną Libię Jasema Alzaniego z rządzącym w niej prawem szariatu. Na czele nowego odrodzonego kraju dżihadysta oczywiście widzi tylko i wyłącznie siebie. Nie ma lepszego kandydata. Sajf al-Islam Kaddafi, modernista i intelektualista, człowiek światowy, więc według fundamentalistów zepsuty, będzie musiał odejść w niepamięć. Nowy lider czeka tylko na nadarzącą się okazję, żeby wyeliminować kontrkandydata do fotela prezydenta. Oczywiście już od dłuższego czasu ma przygotowany plan. Musi tylko się uzbroić w cierpliwość. Jasem nie ma litości ani sentymentów. Gardzi nawet swymi poplecznikami, libijskimi fundamentalistami, bo przeważnie są niewykształconymi głupkami i tak łatwo pozwalają sobą manipulować, że nie daje to przywódcy żadnej satysfakcji.

Musa Kusa śledzi każdy krok swojego protegowanego i pilnie odnotowuje jego zwolenników. Nie wie, czy mężczyzna wyłuskuje ich na libijskiej prowincji, w miastach i miasteczkach, działając zgodnie z ich umową, czy realizuje jakiś swój pokrętny, tajny plan. Stwierdza jednak, że pierwsze, co trzeba będzie wybudować, to większe więzienia dla coraz liczniejszej hałastry religijnych oszołomów. Chyba że załatwi się to jak dawniej, jak za pułkownika. Ciach i w piach. Pomimo ostrzeżeń i nacisków Dżamili, przestroąg księcia Anwara al-Sauda i Hamida Binladena oraz głównego zainteresowanego – Sajfa al-Islama mężczyzna dalej wierzy, że Jasem nie sięgnie po najwyższy stołek w Libii, bo przecież nigdy nie miał aż takich aspiracji. Jego pierwsza żona, Daria, też była zaskoczona rosnącymi ambicjami męża, lecz widząc, co się dzieje i jak przebiega kampania prezydencka, teraz dostrzega nowe zagrożenie pojawiające się ze strony dżihadysty. Jest nim żądza władzy. Zaśniedziały i stetryczały Musa Kusa, zamiast błyskawicznie zareagować i ostatecznie, ale po cichu usunąć fundamentalistę, nie daje wiary w plotki i intrygi i postanawia jeszcze chwilę poczekać, bagatelizując sprawę i ufając poplecznikowi. Przecież w końcu spełnia pokładane w nim nadzieje i realizuje wytyczne, zbierając dane o fundamentalistach oraz namierzając ich. Stary Libijczyk, przed którym kiedyś drżało pół Dżamahiriji i wszyscy dysydenci, teraz stał się słabym, nieprzewidującym katastrofy dziadkiem. *Szabbanim.*

– Jesteś w Gharianie? – Daria podczas paromiesięcznego rozstania informuje swojego kochanka o wszystkim i jest z nim w stałym kontakcie telefonicznym.

– Tak. Czekam na ciebie z utęsknieniem – wyznaje Kaddafi miękkiem głosem.

– A on?

– Kto?

– Mój mąż. Muntasir.

– Mówisz o Jasemie? Nie wiem. Raczej się unikamy.

– Uważaj na niego, proszę. – Kobiety nie dziwi znajomość rzeczy kochanka, choć oczywiście nie ma pojęcia ani o Londynie, ani o przyjaźni Sajfa z Saudyjczykiem Anwarem i niedawno zawartej znajomości z Binladenem. – Dżamila powiedziała ci o wszystkim? – podpytuje.

– Tak, ale nie tylko ona. – Mężczyzna nie wdaje się w szczegóły, a Darii przychodzi do głowy

tylko Musa Kusa. – Jednak jeszcze wiele chciałbym usłyszeć bezpośrednio od ciebie. Od pierwszej żony dżihadysty. *Zoldża arabija*²³⁴. Twoja trasa od normalności do kalifatu, a potem przez Bliski Wschód do Libii to będzie ciekawa opowieść, lecz potraktujmy ją jak historie z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, które są nie mniej krwawe niż nasza współczesność. Niech to będzie relacja z życia kogoś innego, tak jakby fikcyjna. Wtedy rozdrapywanie starych ran mniej boli.

– Przerabiałeś to, mówiąc o swoim ojcu i braciach, jako trzecioosobowy narrator?

– Zgadza się.

– Ja wolałabym być z tobą całkiem szczerą – prostolinijnie wyznaje kochanka, a Libijczykowi aż serce drży, bo nigdy z żadną kobietą nie był w takim upojnym i niezakłamanym związku. Choć jest on przy tym szalony i ogromnie niebezpieczny.

– Kocham cię, *habibti* – tysięczny raz wyznaje wybrance swego serca.

– A ja ciebie, *habibi* – mówi namiętnym głosem kipiąca pożądaniem kobieta. – Ale teraz, zamiast wracać do przeszłości, wolałabym robić z tobą coś zupełnie innego...

– Oczywiście, moja droga lilijko. Usycham z tęsknoty za tobą, *habibti*. Pragnę cię. Łaknę twojej obecności, dotyku, zapachu... – Sajfowi aż gardło się ściska z podniecenia. Podczas internowania nauczył się wstrzeźliwości i poskramiania wrzących w nim chuci, choć przed izolacją nie wyobrażał sobie dnia bez seksu, tak jak i bez alkoholu czy narkotyków. Wielokrotnie w samotności konkludował, że osadzenie prawdopodobnie uratowało mu życie, uwalniając od wielu złych nałogów, które przejął nie z mlekiem matki, lecz z genami ojca.

– Jutro przyjedziemy do Gharianu w większym towarzystwie – po dłuższej chwili informuje Daria. – Ciekawa jestem, czy Jasem da Hudzie rozwód. Jeśli tak, to może i nade mną się ulituje i puści mnie wolno. Weźmie sobie w zamian tę cholerną Libię razem z Dżamilą.

– Hola, hola! Na wszystko się zgodzę, ale nie kupcz moją ukochaną ojczyzną! Nie oddam mojego kraju bez walki.

– Naprawdę? Musisz rywalizować z dżihadystą?

– Tak. Szczególnie z tym, który zniszczy moją ojczyznę i zrobi z niej nie raj, ale piekło na ziemi! – Denerwuje się i podnosi głos. – Kochana, wszystko bym dla ciebie zrobił, ale nie prosz mnie o rezygnację z marzeń i szczęścia. Nie tylko mojego, ale też milionów libijskich obywateli.

– Ten argument jest nie do obalenia... chociaż jest coś ponad.

– Co takiego? Dla mnie nie...

– Życie, mój miły. Życie jest ważniejsze od ambicji, patriotyzmu, po prostu od wszystkiego. To największy dar, który otrzymujemy od Boga, i nie wolno nam nim szafować.

– Jednakowoż nie możemy się wszystkiego bać, nie podejmować żadnego ryzyka i chować głowę w piasek. Ja nie popełniam samobójstwa ani na ochotnika nie staję przed plutonem egzekucyjnym. Spełniam jedynie moje przeznaczenie.

Stajesz, myśli Daria, lecz wie, że musi zaakceptować swój los, bo nie sposób go zmienić czy odwrócić.

– Do jutra zatem – mówi na głos. – Będę przy tobie. Zawsze.

– *Forever love*²³⁵ – zadowolony Sajf nuci pod nosem jedną z najpiękniejszych ballad Gary'ego Barlowa. – *Al-hubbu ila abadi* – tłumaczy na arabski.

Kiedy tylko Huda z Farisem i synkiem zostają ulokowani w pokoju gościnnym dużej, komfortowej willi Darii w Gharianie, niańka do ich dziecka jest zamówiona, a Ahmed odwieziony do przyszywanej babci, Blanki Muntasir, która ostatnio znów czuje się lepiej, pół-Arabka chwyta za telefon i wzywa do siebie stęsknionego Kaddafiego. Już nie może się doczekać, kiedy go zobaczy, kiedy zarzuci mu ramiona na szyję, dotknie jego umięśnionych ramion, pogłaszcze po wygolonej, pięknej czaszce. Pragnie czuć jego twarde, lecz aksamitne usta, które znają każdy centymetr jej ciała. Wypielęgowane męskie dłonie zawsze grają na jej zmysłach, doprowadzając ją do uniesienia i łez. Do tej pory nie znała takiej miłości, nie znała takiej pasji i niewyobrażalnych uniesień. Nie chce niczego

więcej, nikogo innego nie pragnie, o niczym nie marzy, byleby ten i tylko ten mężczyzna był przy niej, mówił do niej swoim stonowanym, spokojnym głosem, patrzył na nią spod czarnych, podkreślonych jak u dziewczyny rzęs, długo i namiętnie całował, całował i nie przestawał.

– Jesteś... – po pięciu minutach Sajf dyszy kobiecie do ucha.

– Jestem – odpowiada, nie szafując słowami.

– W końcu, *habibti*.

Sajf al-Islam patrzy na swoją kochankę tak, jak tylko on potrafi, i szepcze czule słówka. Posiada ją raz za razem z wielkim znanstwem, doprowadzając do wielokrotnych orgazmów. Daria, czując jego palce w swoim wnętrzu i na gładkiej skórze, wygrywające melodię na jej żebrach i ugniatające pośladki, wije się w ramionach kochanka jak piskorz, obejmuje jego szyję, wąską talię i wbija paznokcie w zgrabną, twardą pupę. Kobieta przygryza jego zgrabne, przyległe uszy, to znów wbija delikatnie zęby w umięśnioną pierś, a następnie z zapalczywością ssie jego członka, który faluje w jej dłoniach i ustach jak niekończący się przyływ. Jego słodka, pełna zapachu aromatycznych arabskich przypraw, gęsta sperma spływa jej po brodzie, cieknie po nogach, kiedy dosiada swego rumaka okrakiem, chcąc brawurowo na nim pogalopować. Pot pokrywa grubą warstwą ich ciała, kapie z uszu, nosów i bród, z łokci i stóp, gorąc uderza im do głów, by dać ujście emocjom przez krzyczące usta. Kochankowie zapominają, że nie są w domu sami, ale teraz nic i nikt nie może im przeszkodzić. Nikt nie wtargnie do jaskini seksu, która zamknęła ich ciała w kokonie zapachów, szeptów i spazmów. Obecnie nic i nikt się nie liczy. Są tylko oni, ich rozgrzane do czerwoności ręce, spuchnięte i pogryzione wargi, otarte i posiniaczone krocza. Miłość pulsuje im nie tylko w skroniach, odzywa się rytmem w podbrzuszach, zawodzi w sercach smętne ballady i wybija rytm w żyłach i aortach. Po paru godzinach upojnego seksu Daria słyszy wibracje wyciszonej komórki. Niewidzącym wzrokiem patrzy na wyświetlacz. To on. Jej zhora, jej przekleństwo.

– Już odpoczęłaś? – W głosie Jasema pobrzmiwa trujący jad. – Możecie przyjść czy spotkanie przekładamy na świętego nigdy? Jutro jadę do Trypolisu.

– Będziemy za dziesięć minut. – Daria siedzi sztywno, usiłując utrzymać telefon w dygocącej dłoni. *Nie trzeba było pod jego bokiem spotykać się z Sajfem*, stwierdza poniewczasie. *Nie wolno nam było! On przecież wszystko wie, on nas obserwuje...*

– Cieszymy się. Kochanka również przyprowadzisz? – słodko indaguje dżihadysta, na co kobieta przestaje oddychać, aż kręci jej się w głowie.

– Nie rozumiem... – Daria mówi, jakby głos wydobywała z zaświatów, i czuje, że zaraz zemdleje. – Nie...

– Nie zgrywajmy się już dłużej – z pełnym fałszu ciepłem oznajmia fundamentalista. – Ja mam drugą... o nie, nawet trzecią żonę, to ty możesz mieć kochankę, prawda?

– Przyjdę za dziesięć minut – szepcze przerażona, załamana kobieta, jakby sama wydawała na siebie wyrok.

Spotkanie jest więcej niż dziwne i więcej niż oziębłe. Dżamila wbija zazdrosny, ostry wzrok w Hudę, która z pyskatej dziewczyny w Ras Lanufie w górach zmieniła się w zagubione, przerażone dziecko. Faris Pahlawi ubrany w zachodnim stylu – w koszulę z twardym kołnierzykiem i spodnie od garnituru – trzyma wysoko czoło i pokazuje dumę swoją i rodu szachów, jakby mogło mu to teraz pomóc.

Daria, z grubą warstwą fluidu na twarzy i szyi, na której kochanek w uniesieniu odcisnął kilka malinek, siedzi cicho w kącie sofy i pragnie się rozpląnąć w powietrzu. Przy wciąż pulsujących, spuchniętych ustach trzyma szklankę z zimną wodą, która niebezpiecznie drży jej w dłoniach.

– Czego więc chcesz, moje dziecko? – Jasem czule pyta piękną Irankę.

– Rozvodu.

– Rozvodu, powiadasz. Jednak kiedy twój ojciec błagał mnie, żebym się z tobą ożenił, nie wspominał, że to pomoc krótkoterminowa. – Mężczyzna łże jak z nut, bo do przyjazdu Hudy do Libii nie miał pojęcia, o jaką przysługę chodzi generałowi Sulejmani.

– Niemożliwe, proszę pana. – Huda z przerażenia szczęka zębami i już nawet srogiej Dżamili

robi się jej żal.

– Na co ci trzecia żona, mój mężu? – Włącza się do rozmowy, chcąc zakończyć tę farsę. – W obecnej sytuacji jest to wręcz niewskazane.

– Możesz się nie wtrącać?! – Mężczyzna, który raz zasmakował bicia żony, będzie uważał, że ma otwartą furtkę i może to robić, ilekroć przyjdzie mu ochota. Dlatego od niechcenia macha ręką w kierunku policzka Libijki, lecz ta, tym razem na to przygotowana, łapie go, miażdżąc mu palce w uścisku.

– Libijski porządny naród nie pójdzie na to, żeby mieć prezydenta rozpustnika. – Otwarcie traktuje Jasema jako pretendenta na stanowisko głowy państwa, na co Darii włosy stają dęba. *A co z Kaddafim?*, krzyczy w duchu i cieszy się teraz, że Sajf odmówił udziału w tym rodzinnym cyrku. – Bigamia ledwo jest tolerowana, choć niby dopuszczalna zgodnie z Koranem i prawem szariatu. My, Libijczycy, zawsze byliśmy na bakier z muzułmańską legislacją, trzymając się raczej międzynarodowych reguł – pyskuje Dżamila przy świadkach, na domiar złego oskarżając męża o lubieżny czyn. Wygląda, jakby chciała się na niego rzucić z pazurami. – W naszym ubogim arabskim kraju dwie żony to aż nadto.

Daria wstrzymuje oddech, zastanawiając się, co ta Dżamila wyprawia. *Zwariowała czy co? Jeszcze bardziej chce go rozjuszyć?*

– A kto powiedział, że zachowam was wszystkie... – zaczyna Jasem, po czym z powagą zwraca się do Hudy: – *Anti taliq. Anti taliq. Anti taliq.* – Trzykrotnie wypowiada zwyczajową formułkę, a na zakończenie nonszalancko rzuca w stronę dziewczyny plikiem dokumentów z licznymi urzędowymi pieczęciami. – *Tafaddali236.* – Uśmiecha się sardonicznie.

– Dziękuję, panu. *Szukran džazilan.* – Huda jest w szoku, że tak łatwo poszło. Z wdzięcznością składa ręce jak do modlitwy, a następnie z czcią przytyka notarialny akt to do ust, to do czoła.

– Zatem kto teraz będzie moim dłużnikiem? Twój ojciec czy kandydat na nowożeńca? – Dżihadysta jeszcze nie dobił targu. Wskazuje palcem to na Irankę, to na Irańczyka, jakby bawił się z nimi w dziecięcą wyliczankę.

– Ja również jestem panu bardzo zobowiązany. – Faris włącza się do rozmowy, choć sytuacja jest dla niego niesłychanie upokarzająca. – Pozostanę pana dłużnikiem.

– Cóż może mi zaoferować szyicki mułła? – naigrawa się z niego facet, który w tej chwili trzyma wszystkie karty w ręce. – Niewiele.

– Doskonale pan wie, kim jestem. Kiedy obejmę należny mi tron Pahlawich...

– O tym porozmawiamy już na osobności. Panie mogą wyjść przypudrować noski. – Zmienny jak chorągiewka Jasem żartuje, sympatycznie uśmiechając się do niewiast. – Szczególnie tobie, Darin, przydałaby się dodatkowa warstwa fluidu – wrednie chichra, obserwując żonę zwężonymi ze złości oczami.

Kiedy tylko kobiety jak oparzone wyskakują z salonu i zatrząskują za sobą drzwi, Daria łapie Dżamilę za ramię i wbija w nie paznokcie.

– Sajf al-Islam jest już trupem! – krzyczy.

– Niewykluczone – odpowiada Dżamila ze stoickim spokojem.

– Ja też jestem zgubiona! Zabije mnie! – szlocha histerycznie pół-Arabka. – Mój koniec nastąpi dzisiaj...

– Uspokój się! – Liderka potrząsa nieszczęsną kochanką, po czym zwraca się do Hudy: – A ty, młoda naiwniaczko, wracaj do domu. Idź do syna i nie wychodź z pokoju. – Popycha ją w stronę ścieżki łączącej kolonialną rezydencję z willą Darii. – Nic tu po tobie.

– Był całkiem miły. – Iranka jest zdziwiona reakcją Darii, którą uważała za przebojową i niezależną babkę.

– To zły znak. – Pierwsza żona trzęsie się jak osika, bo jej obawy przekraczają jej wytrzymałość i stanowią tę kroplę, która przepełniła jej prywatny kielich goryczy.

– Boję się... – wzbrania się Huda, zachowując się jak rozkapryszony dziecko. – Nie pójdę sama.

– Zmiataj stąd, idiotko! – Libijka uderza ją w głowę, a następnie mocno popycha, nadając jej bezwolnemu ciału odpowiedni kierunek.

Następnie chwyta spoconą, lodowatą ze strachu rękę Darii i ciągnie swoimi drózkami wiodącymi wewnątrz posesji. Biegną przed siebie, nie zważając na targające ich ubranie kolce agaw ani cienkie jak mgiełka igły opuncji, na wyschnięte trzciny chlastające je po twarzach ani na śliskie liście eukaliptusów, na których co chwilę niemal łamią nogi.

Po dobrych dziesięciu minutach są już w głębi nieruchomości, w egipskich ciemnościach, które czasami rozświetla księżyc, wyglądający zza gęstych deszczowych chmur. Jaśniejsze od niego są nawet gwiazdy i Droga Mleczna, które tutaj, tak wysoko w górach i blisko pustyni, wydają się na wyciągnięcie ręki. W końcu uciekinierki docierają do piętrowego, rozsypującego się ze starości budynku, wybudowanego z kawałów wapiennej skały, zwanej w Libii *gargaresz*.

– Oto mój własny karawanseraż. Od dzieciństwa się w nim chowałam, kiedy nadchodziły kryzysowe sytuacje. – Dżamila szybko oddycha, ocierając pot z czoła. – Nadal mam tu ukryte zaopatrzenie i zabezpieczenie, gdyby trzeba było dłużej się tajniaczyć lub nawet bronić.

– Jesteś szalona – Daria szczerze podsumowuje konspiratorkę. – Jak można żyć w ciągłym zagrożeniu, budować sobie schrony lub szykować kryjówki? To jakaś tragiczna egzystencja zaszczutego zwierzęcia!

– Bzdurzysz. – Libijka macha ręką, przyzwyczajona widać do takiego życia. – Dzięki temu teraz może przetrwamy i ujdziemy z życiem. Jasem jest żądny krwi, ale niech napije się czyjejś, nie naszej.

– Czyjej? Sajfa al-Islama?! – Kochanka rzuca się do powrotu, lecz przyjaciółka zastępuje jej drogę. – Mój ty Boże! – wrzeszczy zrozpaczona Daria, drepcząc w miejscu i targając włosy.

– *Wallahi!* I owszem! – naigrawa się z niej twardzielka. – Trzeba było o tym wcześniej pomyśleć, a nie przychodzić na spotkanie ze swoim arabskim ortodoksyjnym mężem z pogryzionymi ustami, malinkami na szyi i wypachniona spermą innego chłopca. Chyba zrobiłaś to, żeby go jeszcze bardziej rozjuszyć?!

– Co ty gadasz? – oponuje Daria, ale już bezwolnie daje się prowadzić po zmurszałych podłogach do jeszcze ciemniejszych pomieszczeń we wnętrzu zajazdu, a stamtąd uszkodzonymi, wyszczerbionymi kamiennymi schodami na dach budynku, gdzie ukryte są rattanowe krzesła, stolik i kolonialna szafa. – Myślałam, że dowody zdrady udało mi się w miarę zgrabnie ukryć – tłumaczy nieszczęsna winowajczyni. – Nie sądziłam przede wszystkim, że zaraz w dniu przyjazdu zechce nas widzieć. Byłam przekonana, że da nam odetchnąć – dalej się kaja, choć nie musi. – Idiotka ze mnie. Myślisz, że sama wydałam wyrok na swojego ukochanego? – Cicho szlocha, choć dusza jej krzyczy, serce zaś bije na alarm i wzywa do działania. – Jasem dużo wcześniej wiedział o wszystkim.

– Nie zdręczaj się. – Dżamila poklepuje ją po przygarbionych plecach, a kiedy Daria impulsywnie zarzuca jej ramiona na szyję i zalewa łzami ubranie, czuje się zażenowana, bo nigdy nikt nie okazywał jej takich szczerych uczuć. – Wyrok na Sajfa już od dawna jest przesądzony. I to nie tylko z twojego powodu czy twojej winy. Startując na fotel prezydencki, w co nikt nie chciał uwierzyć, nasz dżihadysta musiał zdecydować o usunięciu rywala. Już ci to wyłuszczałam. Sajf al-Islam Kaddafi miał po prostu polityczny niefort. Całe swoje życie. Taka karma.

– Pieprzenie o przeznaczeniu, którego nie sposób uniknąć, doprowadza mnie do obłądu! – wybucha Daria. – Toż to wierutne bzdury!

– Słuchaj, jeśli tylko jeden knuje i sprzysięgnie się przeciwko człowiekowi, to jeszcze można przed tym uciec. Ale jak z kilku stron cię atakują i wielu marzy o twoim końcu, to śmierć dosięgnie cię nieodwołalnie. Nawet babcia Blanka widziała nad nim cień kostuchy.

– A ona jakieś medium czy co?

– Tak właśnie. – Dżamila uspokajająco modeluje głos, co chwilę zerkając w stronę swojej willi, którą widać stąd jak na dłoni. – Jak nasz mąż załatwi sprawę, to na pewno po cichu i nie pozostawi po sobie ani śladu – wyklada karty na stół, bo najbardziej się bała, że Sajf al-Islam Kaddafi, nadzieja narodu, zostanie zabity w jej domu, przez co ród Muntasirów zostanie pohańbiony na wieki.

Zdruzgotana Daria powoli odsuwa się od okrutnej kobiety.

– Czyli wolisz, żeby terrorysta... – prawie wykrzykuje to słowo, na co Libijka zatyka jej usta ręką. Daria wrywa się i szepcze teatralnie: – Wolisz, żeby waszym krajem rządził terrorysta niż uczciwy, normalny człowiek? Wybierasz mordercę, gdyż jest twoim mężem i przy okazji ciebie wywinduje na szczyt. Taka prawda!

– Jesteś w błędzie. Ale dla dobra sprawy nie mogę cię teraz oświecić, co i jak.

– No pewnie! – Pół-Arabka zgrzyta zębami z wściekłości. – Pewnie!

– Musimy wypić piwo, którego z Musą Kusą nawarzyliśmy, i zminimalizować skutki strasznego błędu. – Jednak Dżamila stara się coś wyjaśnić. – Teraz nie jesteśmy przygotowani, żeby zatrzymać bieg wydarzeń, które zainicjował ściągnięty przez nas dżihadysta. Nie możemy dopuścić do kolejnej wojny domowej, bo to całkowicie zniszczyłoby nasz kraj. Są pewne koszty, które trzeba zaakceptować, jako mniejsze zło.

– Pozbawienie kogoś życia jest dla ciebie mniejszym złem? – Daria nie może uwierzyć własnym uszom. – Bo to nie jest twoje życie, laluniu.

– Aktualnie zabicie Jasema spowodowałoby zbrojny atak tysięcy wyszkolonych i uzbrojonych po zęby mudżahedinów, których zebrał i zjednoczył, kiedy my łatwowiernie mu wierzyliśmy i zasypialiśmy gruszki w popiele.

– O czym ty do mnie mówisz? – Daria już nic nie rozumie. – Co wyście narobili? Co jeszcze chcecie zrobić? Jak tacy debile mogą nawet pomyśleć o rządzeniu krajem? Co za chaos! Co za gnój! – Rozpaczliwie bije się pięściami po głowie i policzkach.

– Proszę cię tylko o jedno: nie pchaj się tam, gdzie nie trzeba. I nie prosz Jasema o ten pieprzony rozwód. Niedługo będziesz wolna.

Zagubiona Daria pochyla twarz i już tylko cicho pochlipuje, wspominając podobną sytuację w Rakce, kiedy jej siostra Marysia z mężem Hamidem mieli ją odbić z haremu. Czekąca na nich grzecznie do ostatniej chwili, nie ryzykowała, nie uciekła sama – i jak to się skończyło? Żle! Fatalnie! Tragicznie! Pozostała w łapskach Jasema jeszcze długie lata. Aż do dziś. Aż do tej chwili.

– Nie mogę siedzieć beczynn timer. Muszę działać – decyduje. – Jesteśmy z innej gliny, Dżamilo!

Okręca się na pięcie i na złamanie karku biegnie do domu, jej gniazdka miłości i nadziei, żeby uratować swojego kochanka albo zginąć razem z nim.

– Póki co niewiele możesz, młody człowieku. – Jasem Alzani gnoi Farisa Pahlawiego. – Jednak poproszę cię o banalną sprawę.

– Oczywiście. Słucham pana.

– Marszałek Chalifa Haftar mocno działa mi na nerwy, burzy cały ład i porządek w Libii, na której tak bardzo mi zależy. – Mężczyźni patrzą sobie głęboko w oczy. – Dobrze by było, żeby zniknął.

– Słucham? – Faris nie może uwierzyć w beczelność rozmówcy. Każe mu popełnić zbrodnię, jakby był najemnym płatnym mordercą! – Pan chyba pomylił adresy. Ja się takimi sprawami nie param.

– I ty chcesz być władcą wielkiego mocarstwa, jakim był, jest i będzie Iran? Taki mięczak? Idiota?

– Przepraszam?

– Przepraszając będziesz później. – Jasem przyskakuje do młodego, wątlęgo Irańczyka i chwytą go jedną ręką za gardło, sukcesywnie przyduszając. – Ja wam na tacy wystawiam saudyjskich oficjeli, kooperuję z waszym *secret service*, a ty, przyszły szach, nie potrafisz wydać polecenia sprzątnięcia libijskiego pastucha, który nauczył się strzelać z karabinu maszynowego i dlatego mianowali go marszałkiem?!

– *Aflan, ja said...* – charczy nadzieja Iranu. – Oczywiście, że się tym zajmę... – Kiedy Jasem puszcza jego grdykę, Faris stacza się z krzesła na ziemię. Kucając, podparty rękami, ledwo łapie powietrze. – Spełnię... spełnię pana prośbę. Spłacę dług. Przysięgam... – Żębrze o litość ze łzami

w oczach, bo spodziewa się kulki w łeb, zwłaszcza że dopiero teraz zauważył lułę glocka wyzierającą spod poduszek.

– Twoja rodzina to robi, głupku. I niech się postara.

– Postara się – powtarza przerażony młokos, bo żądza mordu w oczach jego oprawcy jest po stokroć większa i bardziej przerażająca niż ta u irańskich więziennych katów.

– A teraz zabieraj stąd swoją chudą dupę! Natychmiast! – Jasem kopie młodego w siedzenie, a gdy ten bezradnie pada na wełniany arabski dywan, wali już gdzie popadnie, w krzyże, brzuch, klatkę piersiową, by na koniec chwycić zasmarkanego, zapłakanego i obsikanego ze strachu chłoptasia za przydługie falujące włosy, postawić do pionu i wypchnąć za drzwi.

– Won z mojej posesji i z mojego kraju! – wykrzykuje jeszcze w czarną noc, machając zapalczywie rękami. – Wynocha!

Dżihadysta czuje się rozgrzany i gotowy do najważniejszego wyczynu dzisiejszego wieczoru. Tyle czasu na to czekał, tak długo musiał się powstrzymywać, ale jego pragnienie za chwilę się spełni. Marzył wprawdzie o dwóch pieczeniach na jednym ogniu, ale przeczuwa, że sprytna Dżamila, która nie wiadomo czemu polubiła Darię, na pewno gdzieś ją ukryła. *Ta Libijka za dużo potrafi przewidzieć. Ale właśnie taka osoba jest mi potrzebna. Zupełnie jak Jasmin*, wspomina była kochankę i swoją niegdysiejszą, kalifacką drugą żonę. *Dopóki działa na moją korzyść, niech kombinuje.*

Dżihadysta daje irańskiej parze chwilę na ucieczkę, choć nie sądzi, żeby w nocy znaleźli taksówkę lub jakikolwiek inny środek transportu, który mógłby ich zawieźć na wybrzeże. Nic go to jednak nie obchodzi. To nie jest jego problem.

Po dłużących się piętnastu minutach bierze broń palną i białą oraz swoje ulubione zabawki i wolnym krokiem zmierza w kierunku willi swojej pierwszej żony. *Ależ wspaniała pogoda!*, zachwyca się nocnym chłodem, gwiazdzistym niebem i świeżym, odurzającym wręcz powietrzem. *Ta prowincja rzeczywiście mogłaby być domem szczęściarzy, ale my do takich nie należymy. My chcemy więcej.* Myśli o sobie i Dżamili, z którą obecnie, pomimo że stała się trochę krnąbrna i pyskata, czuje głęboką więź i nić porozumienia. Daria zawsze była dla niego zagadką, a jego słabość do niej zupełnie go zaskakiwała. Teraz znów niespodziewanie serce mu rośnie na myśl, że tej upartej, głupiutkiej kobiety na miejscu najprawdopodobniej nie zastanie.

– Witam cię w moim domu – mówi, stając w progu sypialni swojej żony. Z pogardą spogląda na leżącego w pościeli, zaspanego Sajfa al-Islama, swojego rywala do fotela prezydenta, ale też mężczyznę, który z wielkim upodobaniem pieprzy jego żonę.

Dżihadysta planował zastrzelić Kaddafiego jak psa, nie brudzić sobie rąk niehonorowym gnojkiem. Gdy jednak widzi go rozwalonego na wielkim małżeńskim łożu, w wymiętej pościeli, dosłownie parującej spermą i ejakulatem, wciąż noszącej zapach perfum kochanków, nie panuje nad sobą i marzy tylko o tym, żeby gachowi obić głowę. Pała żądzą, by złamać mu nos, wycisnąć krew z ust, drapać policzki i szyję i poczuć pod palcami delikatne chrząstki karku, kiedy będzie go łamał. Wypuszcza z ręki glocka, który miękko ląduje na grubym arabskim dywanie, i skacze w stronę rywala. Agresor liczy, że w ciągu paru chwil zamieni przystojną buźkę Kaddafiego w bezkształtną miazgę, jednakże Sajf od lat zewsząd i w każdej chwili spodziewa się wrogów i jest przygotowany na atak. Spod poduszki wyciąga błyszczący sztylet, przetacza się na odleglejszy brzeg łóżka, zeskakuje na podłogę i przybiera bojową pozycję na ugiętych nogach. Jasem tylko na chwilę traci pewność siebie. Zaraz jednak naciera, wykonując parę uników, by w końcu gołą ręką dosięgnąć policzka swojego przeciwnika. Cios jednak nie jest mocny i Libijczyk odparowuje ostrą białą bronią, rozcinając koszulę i skórę na przedramieniu Jasema, a z drugiej strony wali go na odlew w szczękę. Mężczyźni odskakują od siebie. Krążą po dużej ponaddwudziestometrowej sypialni jak drapieżne zwierzęta. Zdają sobie sprawę, że walczą na śmierć i życie. Żaden z nich nie zrezygnuje, żaden się nie podda i nie będzie prosił o przebaczenie. Posyłają sobie zabójcze spojrzenia, Jasem jasnymi, a Sajf czarnymi jak węgle oczami, ukrytymi za optycznymi szklami i firaną długich rzęs. Ich nogi tańczą, okrążając przeciwnika, ręce szykują się do ciosu. Każdy z nich czeka na błąd drugiego. Ten, który straci cierpliwość, wykaże się brakiem rozwagi i głupią zapalczywością, straci życie. Jasem sięga za pas po zakrzywiony kindżał,

swoją ulubioną broń jeszcze z Państwa Islamskiego. Tam właśnie znajdował przyjemność w podrzynaniu gardel za pomocą tego kozika i lubował się w ciepłej, parującej posoce, która zalewała mu ręce. Mąż i kochanek, tak różni od siebie, teraz mają jedno i to samo marzenie: pragną zabić znieawidzonego rywala. Zapalczywy Jasem znów skacze do przodu, Sajf jednak go paruje. Szybkość ciosów jest zawrotna, a szok dżihadysty ogromny, bo trafił na przeciwnika godnego siebie, a spodziewał się ciepłych kluch, które pamięta jeszcze z Londynu. Kaddafi wykorzystał czas niewoli i przetrwał ją tylko dzięki ćwiczeniom fizycznym i treningom. Nikt o tym nie wiedział, nawet międzynarodowy wywiad. Teraz zabójca żałuje, że nie sprzątnął antagonisty jednym pewnym strzałem i ryzykuje życie dla głupiej zachcianki bezpośredniego kontaktu. Jednak walka ich wciąga. Nie myślą już o niczym innym, skupiając się na pojedynku: cios i paruj, cios i paruj. Ręce i dłonie mają pocięte, policzki zakrwawione, poruszają się na coraz bardziej drżących nogach. Wiedzą, tak jeden, jak i drugi, że trzeba zaryzykować i uderzyć w ciało przeciwnika głębiej, celniej, bliżej życiodajnych arterii.

Jasem wyskakuje do przodu, Sajf robi unik, by przy kolejnym pchnięciu trafić w bok. Sztylet mija wątrobę, lecz wchodzi w miękki brzuch jak w masło. Ból jest przeszywający i rozplywa się promieniście po całym ciele dżihadysty. Jasem szuka wzrokiem pistoletu. Widzi czubek kolby pod szafką nocną, lecz dostanie się tam nie będzie łatwe. Ranny mężczyzna pokonuje łóżko przewrotką, spada na nakastlik²³⁷ i sięga po spluwę. Libijczyk jest tuż za nim, dżihadysta czuje jego oddech na swoim karku. Pomimo że dostaje kolejny cios ostrym sztyletem w krzyże, oddaje celny strzał. Sajf odbija się ze swojego miejsca, jakby skoczył z trampoliny, i pada plecami na pościel. Na jego klatce piersiowej wykwita szkarłatnoczerwona plama, która powiększa się proporcjonalnie do tego, jak uchodzi z niego życie. Wargi pokrywają się krwawą pianą, poruszają niemo, wyrażając zdziwienie i całkowitą niemoc. Oczy, zawsze tak żywe i błyszczące, gasną, zasnuwają się zasłoną śmierci, która przejmuje nad nim władanie. Jeszcze parę drgnień niepokornych, niepoddających się nerwów, ostatni głęboki wdech i Sajf al-Islam Kaddafi, niezwykle człowiek, syn wielkiego ojca, kończy swe nieszczęsne życie. Nie w glorii i chwale, jak mu przepowiadano, bez fanfar i sztucznych ogni, anonimowo, w przepoconym łóżku swojej kochanki.

Zwycięzca, zadowolony z siebie, choć również mocno pokancerowany, siada wygodnie w fotelu i patrzy z satysfakcją na swoją ofiarę. Czeka.

Daria, spocona i zziębnięta po biegu, wpada do domu i zastaje swojego męża z ciepłym jeszcze ciałem swojego kochanka Sajfa.

– Cóż ty zrobił?! – drze się wniebogłosy. Przyskakuje do wciąż parującego truchła i usiłuje wyczuć na jego szyi puls. – Morderco! – Nie znajduje żadnych oznak życia, więc cichnie, bo przecież zbrodni dokonano w jej domu i to zapewne ona będzie o nią oskarżona. – Zabieraj stąd te zwłoki! – Podchodzi do zwycięzcy i uderza go w zakrwawione ramię. – I to już!

– Czemu nie zalewasz się łzami smutku i rozpacz? – Jasem wygina wargi w nieprzyjemnym, zjadliwym uśmiechu. – Czemu nie lamentujesz i nie rwiesz włosów z głowy?

– Odpierdol się! – Kobieta macha rękami. – Ty chamie! – Wali go pięściami, gdzie popadnie, a on odgania się od niej jak od natarczywej muchy.

– Nie ma sensu nazywać cię kurwą, bo o tym, że nią jesteś, oboje doskonale wiemy. Lecz do tego jesteś także bezwzględna zdzirą, bo zabójstwo nic a nic cię nie wzrusza.

– Zrób z nim coś! Bo mnie tu zlinczują! – panikuje Daria, puszczając jego wredne, choć prawdziwe słowa mimo uszu.

– Sama sobie rozwiąż ten problem. Zobaczmy, jak ci pójdzie bez mojego wsparcia. – To mówiąc, posuwistym, niepewnym krokiem Jasem opuszcza miejsce zbrodni, nadal chichrając cicho pod nosem.

Co robić? Daria boi się, że zaraz oszaleje. *Co robić?* Biegnie do Irańczyków, których umieściła w sypialni naprzeciwko, ale nikogo tam nie znajduje. Pustki wyglądają z każdego kąta jej niegdyś ukochanego, wymarzonego domu.

– Huda? – woła, wpadając do łazienki. – Faris! Ludzie!

Odruchowo zagląda jeszcze do wnekowej szafy, a potem śmiga do kuchni, lecz nie znajduje tam ani butelki niemowlęcej, ani mleka w proszku. Wszystkie rzeczy jej gości zniknęły, tak jak oni sami. Dziękuje Bogu, że Ahmeda zaraz po przyjeździe umieściła u Blanki, bo tam synek na pewno jest bezpieczny.

Gdzie oni się podzieli? Zniknęli w środku nocy? Dokąd w górach mogli pójść? Przecież żywcem nikogo tu nie znają!

Po chwili zastanowienia kobieta puszcza się biegiem wąską ścieżką do karawanseraju. Wskakuje po dwa stopnie na dach, lecz Dżamili już tam nie ma. Z dobrego punktu widokowego obserwuje teren. Jej dom jest z jednej, a rezydencja z drugiej strony. Oba budynki wyglądają na wymarłe lub uśpione. Kiedy już ma odejść, słyszy głośny, niosący się echem odgłos zapalnego silnika dużego wozu. Po chwili na drogę dojazdową do rezydencji wtacza się jeep Dżamili, kierując się w stronę miasta i autostrady. Daria zatyka obiema rękami usta, bo z wściekłości i bezsilności chciałyby krzyknąć na całe gardło.

Zostawiają mnie! Zostawiają mnie z pieprzonym fantem, zakrwawionym, znanym na całym świecie i nieżywym. Pamiątka mojej wielkiej, jedynej miłości leży teraz w sypialni, w moim łóżku i czeka. Na mnie? Nie! Na koronera, sprawiedliwość, pochówek.

Kobieta nie ma czasu do stracenia. Domyśla się, co się stanie, kiedy zwłoki aktualnie największej legendy kraju i jedynej nadziei Libijczyków zostaną u niej znalezione. Lincz to będzie mało. Jaką karę rozwścieczony tłum zwolenników Sajfa al-Islama Kaddafiego dla niej wybierze? Rozszarpanie żywcem, rozczłonkowanie przez rozerwanie samochodem czy piłowanie przy użyciu noży i siekier, poderżnięcie gardła, powieszenie, a może najpierw gwałt, żeby ją pohańbić? Wszystkie te myśli przelatują jej przez głowę z szybkością błyskawicy. Nie ma zamiaru bezczynnie czekać. Przecież razem z nią pójdzie w piach jej niewinny synek, mały śliczny Ahmed. Nie może do tego dopuścić. Daria Nowicka vel Darin Salimi nie ucieknie od tych zwłok, to one muszą zniknąć z jej życia.

Jeszcze się ten skurwysyn, mój mąż, zdziwi, podtrzyma się na duchu, zawijając w prześcieradło, a następnie w gruby pled zbroczone krwią, podbarwione już plamami opadowymi, zmaltretowane ciało ukochanego. Jeszcze mu szczęka opadnie, jak z tego wybrnę. Muszę dać radę. Muszę... Stęka i sapie, ciągnąc ciężki pakunek po szutrze, a następnie wrzucając, jak worek mąki, do bagażnika peugeota, którego dostała od Dżamili. Postawny, choć szczupły mężczyzna ledwo się tam mieści. Daria, chcąc zamknąć klapę, dociska jego zeszytniałe członki, upychając je brutalnie w środku. Zawiozę go nad jezioro Ainzara, nad którym spędziliśmy tyle cudownych chwil, postanawia. Tylko jak ja tam dojadę takim autkiem-zabaweczką? To nie wóz terenowy ani dwukółka z osiołkiem. Drapie się po głowie zakrwawionymi rękami, ale tylko chwilę stoi bezradnie. Leci do łazienki, na szybkiego myje się, przebiera w świeże ubrania i wskakuje za kierownicę. Postanawia pożyczyć tradycyjny pojazd od babki. Musi zrobić to teraz, w nocy, żeby nikt nie zauważył jej niechlubnego bagażu.

Podjeżdżając pod rezydencję, zauważa ruch. Od razu rozpoznaje barwną suknię Hudy i bujną czuprynę Farisa. Szybko rzuca okiem na swoje ręce. Są czyste. W jednej sekundzie w jej głowie rodzi się haniebny plan.

– Darin! Jak dobrze cię widzieć! – Huda, szlochając, wpada w jej ramiona. – Wyrzucił nas! Powiedział, że mamy się wynieść! Wyobrażasz sobie? Niby dokąd?

– To jest straszny człowiek – potakuje smutno Irańczyk, a babcia stoi w cieniu i się nie odzywa, więc Daria nie wie, czy teraz dopiero dowiaduje się prawdy o Jasemie, czy Dżamila coś jej wcześniej napomknęła.

– Słuchajcie, on jest mściwy. Nie możecie tu zostać, bo wtedy może coś nawet babci zrobić – ostrzega. – Weźcie mój samochód i uciekajcie. Rano zgłoszę kradzież.

– Mój Boże! Jaka ty jesteś dobra! – Huda znów pragnie okazać wdzięczność, lecz Daria już dłużej nie może tego znieść.

– Szybko wskakujcie do auta i zwiewajcie do Ras Lanufa. Potem, jak się da, zaokręćcie się na jakiś statek albo wsiądźcie do pierwszego lepszego samolotu. Uciekajcie stąd, bo Jasem ma bardzo długie macki.

Bardzo by chciała, żeby im się udało, ale wtedy wina niechybnie spadłaby na nią, więc ma podłą nadzieję, że zostaną złapani z niezbitym dowodem zbrodni, zostawionym przez nią w bagażniku. Roztaczana przed młodymi perspektywa ratunku jest fałszywa i ułudna. Winny zbrodni na ikonie narodu musi się znaleźć. Ale Daria wierzy, że to nie będzie ona.

– Panie władzo, skradziono mi samochód. Peugeot CC w czerwonym kolorze z panoramicznym szyberdachem. – Daria telefonicznie zgłasza na policji w Gharianie, po tym, jak własnoręcznie posprzątała całe mieszkanie, spaliła pościel, a wszystkie drobiazgi po kochanku zakopała w ogrodzie lub ukryła w karawanseraju. – *Said Mohamed Zintani* zaświadczy. On jest moim *mahramem* pod nieobecność męża, Muhamada Arabiego Muntasira. Tak, tego kandydata na prezydenta. Nie muszę do pana przyjeżdżać na posterunek? To się cieszę.

Nie raduje jej jednak fakt, że libijskie media donoszą w telewizyjnych wiadomościach i na łamach gazet o zmasakrowanych zwłokach znalezionych w bagażniku skradzionego samochodu. Jest to jej czerwony peugeot. Dalej relacjonują, że sekcja wykonana przez biegłego lekarza sądowego dowodzi, że zabity był bliżej niezidentyfikowaną ofiarą, możliwe że dżihadystą, niedobitkiem z pseudo-Państwa Islamskiego, który chciał zapewne zatruć zdrowy, odrodzony i pojednany naród libijski. Kto jechał autem? Nie wiadomo. Kto był mordercą czy złodziejem samochodu? Też cisza. Kolejna nierozwiązana zagadka. Kto ukrywa fakty i zapłacił za zмовę milczenia? Czy to sprawka dżihadysty Jasema Alzaniego, czy irańskiego generała Ghasema Sulejmani lub libijskiego marszałka Chalify Haftara? A może moczyła w tym palce rodzina obalonego irańskiego szacha, kryjąc swego przyszłego monarchę Farisa Pahlawiego i jego małżonkę? Nikt nigdy nie dowie się prawdy. Najgorsze, że taki smutny koniec znalazła przeklęta przez naród rodzina, która jeszcze mogła uratować nieszczęsną Libię przed rozgrabieniem i całkowitym chaosem. Jeszcze była szansa, gdyby na drodze Sajfa al-Islama Kaddafiego nie stanął największy, przebiegły terrorysta naszych czasów, Jasem Alzani, mąż pół Polki, pół Arabki Darii Nowickiej vel Darin Salimi. Oraz ona sama.

234 *Zoldża arabija* (arabski, libijski) – arabska żona.

235 *Forever love* (angielski) – wieczna miłość, miłość na wieki.

236 *Tafaddali* (arabski) – Proszę bardzo (r. żeński).

237 *Nakastlik* (gwara krakowska; jidysz) – z niemieckiego: *nacht* – nocny + *kasten* – skrzynia, pudło; szafka nocna.

Dobro musi zwyciężyć

Po zniknięciu Sajfa al-Islama Kaddafiego, w którego uwolnienie z miejsca internowania i pozostawanie przy życiu i tak niewielu wierzyło, państwem libijskim rządzi terror, zataczający coraz szersze kręgi. Ministrowie obecnego słabego rządu bądź rezygnują ze swojej funkcji, bądź padają jak muchy w nieokreślonych okolicznościach. Ni z tego, ni z owego w wypadku samochodowym ginie premier. Tej samej nocy w koszarach w Tobruku marszałek Chalifa Haftar dostaje drugiego zawału serca i umiera na miejscu. Na ulicach libijskich miast prawie nie widać cywilnych przechodniów, a jedynie policję i wojskowe bojówki. Wszyscy spokojni obywatele barykadują się w domach, spodziewając się ponownej rewolucji albo czegoś jeszcze gorszego: powstania na terenie ich państwa kalifatu. Libia pozostała bez rządu, bez przywódców, bez wojska. Trzeba jak najszybciej ogłosić powszechne wybory. I to nie na premiera czy prezydenta, lecz na jedną osobę, która pokieruje tym nieszczęsnym krajem. Tak jak czynił to przez tyle lat pułkownik Muammar Kaddafi – najlepszy przywódca w historii tego kraju.

Partia narodowego pojednania staje się jedyną drogą ku przyszłości. Po otwarciu granic banici, którzy teraz tłumnie wracają do kraju, postanawiają nie zawracać sobie głowy starym Musą Kusą, którego wielu pamięta jako mordercę libijskiego narodu, tyрана i sadystę. Nagle na ustach wszystkich pojawia się Muhamad Arabi Muntasir. Człowiek honoru, bez żadnej skazy, niewykłany w pomówienia czy plotki. Obiecuje zrobić z Libii istny raj na ziemi, a lista jego zapewnień nie ma końca. Libijczyk z gór podbija serca narodu. Po chwili ten człowiek jest już na plakatach, graffiti na murach, w odezwach w kampanii wyborczej, która promuje tylko jego.

- Muntasir! Muntasir! Muntasir! – skandują tłumy i szepczą tchórze.
 - To człowiek z dobrej rodziny dyplomatów.
 - Jeszcze za króla Idrisa ta familia rządziła naszym krajem.
 - Człowiek czystych rąk.
 - Pierwszy libijski prawdziwy dyplomata to jego proto-plasta.
 - Taki wyprowadzi nasz kraj na prostą.
- Teraz już wszyscy w to wierzą.

Pierwsza narada śmietanki komitetu wyborczego partii narodowego pojednania przebiega z udziałem tylko Musy Kusy i Jasema. Trwa krótko.

– Jeśli i mnie zabijesz, *dżihadi* Johnie, to na ciebie też jest już podpisany wyrok śmierci – ostrzega niegdyś sprytny Libijczyk, który z powodu starczej demencji i łatwowierności zbyt długo nie chciał uwierzyć w egoistyczne intencje swojego protegowanego i jego ogromny tupet.

– Spodziewałem się takiej asekuracji z twojej strony. – Jasem niczego się nie boi i patrzy swojemu byłemu wspólnikowi prosto w oczy.

– Więc radzę ci tak tańczyć, jak ja zagram. – Musa Kusa wręcza rozmówcy gęsto zapisane kartki maszynopisu. – Oto lista ministrów i zadań. Ja jestem już za stary na tę niebezpieczną grę. Chcę tylko odzyskać forszę i zobaczyć mój kraj mlekiem i miodem płynący. Mój eden. By był przynajmniej taki jak kiedyś.

– Ja też pragnę, by kraj, którym będę rządzić, był arabskim eldorado. Państwo Islamskie nie wypaliło i nie mam zamiaru popełniać dwa razy tych samych błędów. Nie bierz mnie za głupca.

– Jakżebyś śmiał. Po tym, co mi wywinąłeś? – Kusa śmieje się z niedowierzaniem, chcąc nie chcąc, podziwiając zdolności organizacyjne i przywódcze sprytnego lisa. – Pamiętaj, że trzeba zrobić czystki wśród rewolucyjnego wojskowego rządu w Bengazi. – W zasadzie ze swoim zbrukany, odpornym na wszelką słabość sumieniem *szabbani* mógłby nawet współpracować z inteligentnym wodzem *dżihadystą*. Bo czyż mogło być coś gorszego od szalonych posunięć pułkownika Muammara

Kaddafiego, które on musiał ukrywać, prostować i ponosić za nie pełną odpowiedzialność? – Najlepiej, żeby byli rewolucjoniści z arabskiej wiosny wyróżnili islamistów z Trypolisu i okolic. A całą hałastę dżihadystów, która tu osiadła, trzeba wyplenić jak robactwo – doradza bezwzględnie, mówiąc o rzezi narodu.

– Oj, dziadku, dziadku. – Jasem robi pogardliwą minę. – W ten sposób doprowadziłbyś do kolejnej wojny, która zawiodłaby ten kraj nad przepaść i spowodowała jego całkowitą ruinę. Tutaj trzeba zagrać w inne karty, ale ty, jak sam powiedziałeś, jesteś na to za stary. Przed chwilą mi oznajmiłeś, że przechodzisz na zasłużoną emeryturę, więc zostaw rządzenie innym. – Dżihadysta zamyśla się na chwilę. – Dochodzę do wniosku, że jesteś jeszcze gorszy ode mnie, mój przyjacielu. Zły to ptak, co własne gniazdo kala – wygłasza stare jak świat przysłowie. – A ty teraz zrobiłbyś wszystko, kamienia na kamieniu w Libii byś nie zostawił, byleby stało na twoim. Tych zabić, tamtych zabić, najlepiej poszczuć jednych na drugich – wykpiwa planowaną politykę Musy Kusy. – Ciekaw jestem, jak się ma do tego jakakolwiek sztuka rządzenia? *Sza'a Allah* ja tutaj teraz będę wodzem. Dobrym i sprawiedliwym przywódcą. *Sza'a Allah*.

Jasem Alzani wierzy w swoje słowa, a jego dusza, umysł i ciało kameleona wyrażają powagę, skupienie i stanowczość. Pragnie siać ziarno i zbierać żyzny plon. Teraz już sam marzy o Libii Felix, raj na ziemi. I pragnie, by jego marzenie się spełniło. Za wszelką cenę.

Jasem nakazuje swoim dwóm żonom zaangażowanie w jego kampanię wyborczą, a Darii jak najszybszy przyjazd do Trypolisu. Elekcja ma się odbyć za miesiąc, więc czas najwyższy wziąć się do roboty.

– Jak ja mam go promować i opowiadać bzdury łatwowiernym libijskim kobietom, kiedy sama chcę od niego uciec i życzyć mu śmierci? – Pół-Arabka telefonicznie konsultuje sprawę z Dżamilą.

– Darin, zaryzykuj jeszcze ten jeden raz. Opowiadaj dyrdymały. Musisz mówić trele-morele o przedszkolach, szkołach, w ogóle o edukacji, jakieś pustosłowie, jak przy każdych wyborach w każdym miejscu na kuli ziemskiej. Tyle wytrzymałaś, to wytrzymasz jeszcze trochę. Nikt cię prześladować za takie gadki szmatki nie będzie.

– Ale później mogą mnie oskarżyć o popieranie fundamentalisty, dżihadysty, terrorysty, kurwa mać, zabójcy! – Daria denerwuje się nie na żarty. – Byłam z nim w kalifacie i Rakce, wszystkie agencje wywiadowcze o tym wiedzą. Ja się nie wykpię jak głupia baba, że o niczym nie wiedziałam.

– Czyli jak ja?

– Tak. I owszem. Jak ty. Umyjesz od tego łapki, spryciaro jedna.

– Jeśli nie zrobisz, co ci każe, nie dożyjesz ani wyborów, ani wyzwolenia.

– Jakie wyzwolenie?! Nie wierzę ci. Ani Musie Kusie. Jak Jasem chapsnie stołek prezydenta, to wszyscy macie przejebane, a ja jestem pierwsza na jego liście. Nie podaruję zdrady, może ewentualnie prolongować odwdzięczenie się pięknym za nadobne. Teraz trzeba go załatwić! – poważnie doradza, bo nie znosi odkładania spraw, zwłaszcza spraw niecierpiących zwłoki. Teraz, po śmierci kochanka, kobieta nie ma już żadnych skrupułów, a wszelkie możliwe syndromy, w tym sztokholmski, też ją opuściły.

– Daj spokój, Darin. Ile razy mam ci powtarzać. – Dżamila się niecierpliwi, bo widzi, że Daria na własne życzenie wpadnie prosto w szpony swojego męża.

– Jeśli nikt nie sprzątnie tego mordercy i nie wyśle go do Świętego Piotra czy do siedemdziesięciu dwóch czarnookich hurys²³⁸, to ja – podkreśla pierwsza żona, prawie wykrzykując – jestem już tak zdesperowana, że zrobię to własnoręcznie.

– Oszalałaś! Wydasz tym samym wyrok na siebie, swojego syna, mnie, *szabbaniego* Musę... Ile ofiar chcesz jeszcze za sobą pociągnąć? Sajf już poszedł w piach. – Libijka używa ostatecznego argumentu i najbardziej bolesnego dla Darii oskarżenia.

– Ile będzie trzeba – oznajmia zdecydowana. – Świnia jesteś, że tak do mnie mówisz i wspominasz mojego Sajfa. – Darii chce się płakać.

– Jak przyjedziesz do Trypolisu, powiem ci to, czego przez telefon nie mogę. Uzbrój się w cierpliwość przez tych parę dni i nie postępuj głupio.

– Nie rozumiem tych twoich tajemnic. Albo jest się z kimś szczerym i wszystko mu mówi, albo trzyma się gębę na kłódkę. A ty raz tak, raz tak. Doprowadzasz mnie tym do szewskiej pasji.

– Do zobaczenia, przyjaciółko. – Dżamila nieoczekiwanie ciepło kończy rozmowę. – Jeszcze mi podziękujesz.

Daria ostatecznie podejmuje decyzję niestosowania osobistej wendety i niezabijania własnymi rękami swojego długoletniego oprawcy. Zmienia taktykę. Planuje wydanie *dżihadiego* Johna w ręce międzynarodowej sprawiedliwości.

– Uciekaj od niego, kiedy tylko nadarzy się okazja – prosi Blanka, poklepując na pożegnanie swoją faworytę trzęsącą się, pokrytą wątrobowymi plamami ręką. – Już dłużej nie zwlekaj. Po prostu zmykaj.

– Nie mogę tak do śmierci się ukrywać i zwiewać. Jak jakiś tchórzliwy zając.

– Uciekaj od niego, kochana *hafida*²³⁹. A jak ci się uda zabić go jeszcze przed odejściem, to zrób to – nieoczekiwanie doradza babcia, patrząc hardo prosto w oczy Darii. – Zrób to z zemsty za własne krzywdy, za spokój dusz jego ofiar oraz dla dobra ludzkości. Nie wierz w żadną odgórną sprawiedliwość, bo ona psu na buty. Zrób to sama.

²³⁸ *Hury* (arabski) – wolna; ta, która ma czarne oczy. Według islamu to wiecznie młode i piękne dziewice w raju, kobiety idealne, mające po 33 lata, duchowo i cieleśnie nieskazitelne, które stanowią jedną z nagród dla zbawionych wiernych. Ich dziewictwo odnawia się po każdym stosunku. Każdy muzułmanin w ogrodzie Dżenna może mieć 72 hurysy i zależnie od jego woli będą one (lub nie będą) rodzić dzieci.

²³⁹ *Hafida* (arabski) – wnuczka.

Epilog

Hotel Corinthia ze wspaniałym widokiem na promenadę nadmorską w Trypolisie wybudowany przez libijsko-maltańską spółkę od samego powstania był najbardziej prestiżowym miejscem, w którym zatrzymywały się oficjalne delegacje państwowe, biznesmeni oraz ludzie z wypchanym portfelem. Jest to też ulubione miejsce cudzoziemców.

Jasem, jako lider odradzającego się państwa libijskiego, nie może rezydować gdzie indziej. Grupa popierających go Libijczyków wynajęła dla niego, jego dwóch żon, syna oraz sztabu ludzi pracujących nad jego karierą ostatnie piętro budynku. Są tu bezpieczni – na parterze wejścia pilnuje hotelowa ochrona, a na ich piętrze pracuje dodatkowo pięciu wojaków pod bronią plus Dżamila, żona, kochanka i prywatna ochroniarka nowego wodza Libii.

Nagle rozlegają się bliskie odgłosy wystrzałów. Zebrani w apartamencie prezydenta zamierają w bezruchu. Każdy zatrzymuje się tam, gdzie stoi, wstrzymuje oddech, nie zmienia pozycji. Jedyne oczy strzelają im na boki, a mięśnie się spinają. Prawie wszyscy są zaprawieni w bojach, mają na rękach krew niejednej ofiary i niejedną zbrodnię widzieli. Czekają. Trwa to może dziesięć, może trzydzieści sekund. Atakująca brygada jest szybka. Libijscy żołnierze wyciągają broń i ją repetują, Jasem kładzie swojego glocka na biurku, przy którym siedzi. Dżamila staje tuż obok swojego faworyta. Jedyne Daria jest nieuzbrojona. Tuli do siebie swojego syneczka i patrzy na tę rodzajową scenkę wybałuszonymi oczami. Wbija się w kąt sofy, jakby to miejsce miało się stać jej bunkrem.

Na korytarzu przed drzwiami zapada cisza, za oknem maluje się cudowny widok, lazur nieba miesza się z turkusem Morza Śródziemnego. Na wielkim prywatnym tarasie stoją plastikowe stoliki i krzesła. Nikogo tam nie ma, jedynie wiatr targa kolorowe płótno parasola przeciwsłonecznego. Nagle następuje to, czego wszyscy się spodziewają. Drewniane drzwi zostają wyważone silnym uderzeniem, a szklane – tarasowe – rozpryskują się w drobny mak. Do apartamentu wpada pięciu zamaskowanych komandosów w kamizelkach kuloodpornych. Na twarzach mają kominiarki i widać tylko ich ziejące nienawiścią czarne oczy. Oddają szybkie pojedyncze strzały. Libijscy żołdacy chroniący Jasema padają jak muchy. Do nowego libijskiego przywódcy, o dziwo, nikt nie strzela. Dżamila błyskawicznie wyciąga broń zza pasa i kieruje glocka w stronę mężczyzny, który tak ją rozczarował. Jednak ktoś jest od niej szybszy. Jeden z komandosów oddaje strzał. Kobieta pada na podłogę, zalewając się krwią. Jest przytomna.

– Macie go wziąć żywego! – tubalnym głosem oznajmia potężnie zbudowany, najwyższy napastnik. – Taka była umowa! – Mężczyzna pochyla się nad śmiertelnie raną Libijką. – Przepraszam, ale musimy go postawić przed międzynarodowym trybunałem. Nic mi po trupie – tłumaczy, miażdżąc w przyjacielskim uścisku mocne ramię kobiety, z której uchodzi życie.

– Rozumiem... – charczy, a na jej pełnych, młodych ustach pojawia się krew. – Tylko uważaj, żeby znowu nie uciekł... – radzi jeszcze, po czym odchodzi uspokojona, że przynajmniej za jedną jej krzywdę ktoś zapłaci.

– Jego drugiej suki też nie puścimy żywcem! – wyrывa się zamaskowany napastnik, mówiący z libijskim wiejskim akcentem, kierując broń w stronę Darii. – Na pewno jest współwinna!

– Stać! Nie strzelać, osły! – Komendant grupy nie może sobie poradzić z niesubordynacją i ryzykując życie, zasłania kobietę własną pierśią.

– Bez dwóch zdań syna likwidujemy – stwierdza nagle inny, stojący z boku niezdiscyplinowany podwładny, po czym podnosi rewolwer i strzela.

Daria, która ramionami stara się osłonić małego, pięknego jak cherubinek Ahmeda, czuje wstrząs, a następnie ciepło rozchodzące się z prawej strony jej klatki piersiowej. Chłopczyk, który z podenerwowania był wyprężony jak struna, mięknie jej w rękach. Jego mała główka, okolona czarnymi loczkami, opada bezwładnie na mamine ramię. Kobieta nie ma siły, żeby wydać krzyk. Traci czucie w rękach, a następnie w całym ciele. Odplywa. Widzi jeszcze siłacza, który chwyta jej syneczka

za kark jak kocię i rzuca go na ziemię, a następnie bierze ją na ręce.

Jasem z zabójczą nienawiścią patrzy znajomemu mężczyźnie prosto w oczy, jednak nie wypowiada ani słowa. Dżihadysta ręce ma już skute, a czyjaś mocna dłoń zakłada mu obrozę na szyję i prowadzi jak wściekłego psa na łańcuchu.

Komandos z kobietą na ręku zmierza w stronę tarasu, gdzie czeka na niego bezgłośny helikopter Bell z najnowszej amerykańskiej serii Bloody Cobra.

– Och, Darin, Darin... – Saudyjczyk, sadowiąc się w śmigłowcu, szepcze do ucha półprzytomnej kobiety. – Ileż osób musiało zginąć, by cię wyzwolić z łapsk tego terrorysty. Iluż ludzi otarło się o śmierć lub bezpowrotnie straciło zdrowie. Mam nadzieję, że jesteś tego warta, *habibti*.

Maszyna startuje.

Słowniczek obcych słów, zwrotów i nazw

A

Abaja (arabski) – wierzchnie tradycyjne okrycie w krajach muzułmańskich; szeroki, luźny płaszcz noszony przez kobiety i mężczyzn

Absolutely (angielski) – absolutnie

Adżnabija (arabski) – cudzoziemka

Aflan (arabski) – Przepraszam

Ahlan wa sahlán (arabski) – Witam, cześć

Ahlan wa sahlán, ja sadiqa (arabski) – Witaj, moja przyjaciółko

Al-Arabija as-Saudiya (arabski) – Saudyjka

Alhamdu Lillah (arabski) – *chwala Bogu, dzięki Bogu*

Alias (łacina) – inaczej zwany, znany jako

Al-Kaida (arabski) – dosłownie baza; sunnicka organizacja terrorystyczna posługująca się metodami partyzanckimi, początkowo miała się przeciwstawiać radzieckiej inwazji na Afganistan, z czasem przekształciła się w pan-islamskie ugrupowanie, którego głównym celem stało się zwalczanie wpływów Izraela, USA i szeroko pojętego Zachodu w krajach muzułmańskich

Allahu akbar! (arabski) – Allah jest największy! Bóg jest wielki!; zwrot ten stanowi *takbir* – muzułmańskie wyznanie wiary; często powtarzany w wielu codziennych sytuacjach życiowych, a przez dżihadystów i fundamentalistów uznany za okrzyk/hasło przy wszystkich niegodnych zbrodniczych czynach

Ana maszi (arabski, dialekt) – Idę

Ana saida (arabski) – Jestem pani

Anti taliq (arabski) – Jesteś rozwiedziona; Jesteś odrzucona, oddalam cię

Arabi (arabski) – arabski

Arabia Felix (łaciński) (*Arabia szczęśliwa*) – stosowana przez Rzymian nazwa południowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego (żyzne wybrzeże wraz z miastami portowymi i wyżyny Hadramautu)

As salamu alejkum – Pokój z tobą; Dzień dobry, witaj

Wa alejkum as-salam – Z tobą także (pokój); odpowiedź na powitanie

Azan (arabski) – wezwanie na modlitwę

B

Baba (arabski) – tata, tatuś, papa. *Ja baba* (wołacz) – tato, papo

Bahlawa (arabski) – orientalne ciastka z orzeszkami pistacjowymi lub ziemnymi zalane topionym masłem i miodem

Bakszysz (arabski) – łapówka

Barak Allah fika (arabski) – Niech cię Bóg błogosławi

Barra (arabski) – Wynocha, won; *Imszi barra* – Spierdalać, spierdalać

Berberowie (Berberzy) – rdzenna ludność na terytorium północnej Afryki i na Saharze. Nikt nie jest w stanie dokładnie ustalić, skąd pochodzą. Jedni twierdzą, że z Libii, inni obstawiają południową Saharę. Zagadka pozostaje nierozwiązana. W większości stanowią odrębny typ w ramach rasy białej, nazywani berberyjskim. Wielu do dziś ma niebieskie oczy, rude bądź jasne włosy. Berberowie z gór Tibesti w Libii mają czarne, proste lub lekko pofalowane włosy i ciemne oczy. Nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *barbarus* – barbarzyńca. Arabowie nie zdawali sobie sprawy z jego pogardliwego znaczenia i uważali słowo *barbar* za imię praojca tego ludu. Sami siebie Berberowie nazywają *Amazigh* – ludzie wolni

Bint (arabski) – córka; *binti* – moja córka

Bissahha (arabski) – Na zdrowie

Bulandi (arabski) – polski; Polak

Burgul (arabski) – rodzaj kaszy z ziaren pszenicy, najczęściej pszenicy twardej, sporządzony z gotowanych i następnie wysuszonych ziaren zboża, często używany w kuchni tureckiej i bliskowschodniej

Burik, brik (arabski) – paszteciki pieczone lub smażone na głębokim oleju, najpopularniejsze są z mięsem mielonym, ale także z serem feta, szpinakiem lub mieszanymi warzywami

Burka (arabski) – rodzaj nieprzezroczystego przykrycia głowy, noszonego dodatkowo oprócz chusty przez muzułmanki przestrzegające *purdah*. Podobnie do *nikabu*, *burka* zasłania całą głowę oprócz małego obszaru wokół oczu

By the way (angielski) – przy okazji, nawiasem mówiąc

C

Carpe diem (łacina) – Chwytaj dzień, ciesz się chwilą

Chalas, habibi (arabski) – Dość, kochanie

Chalati (arabski) – moja ciotka

Chamsa (arabski) – dosłownie znaczy *pięć*, ale przenośnie oznacza rękę Fatimy – symbol używany w krajach arabskich w amuletach, mający chronić przed złym okiem. Nazwa „ręka Fatimy” nawiązuje do córki proroka Muhammada

Chobza (arabski) – chleb, najczęściej w formie paluszków lub bagietki

Chobza misrija (arabski) – chleb egipski przypominający piętę, lecz dużo cieńszy

D

Daesh (daesz) (arabski) – to akronim od skrótu ISIS, czyli Islamic State of Iraq and Syria (Państwo Islamskie w Iraku i Syrii), ale u Arabów ma szersze znaczenie. Syryjczycy uznają je za określenie pejoratywne i obraźliwe, bowiem oznacza kogoś nieudolnego, ale też szkodliwego, kto sieje niezgodę i nieporządek. Synonimy tego słowa to: głupi, małostkowy, niepoważny, zacofany, ciemnogród. Daesz weszło do międzynarodowego nazewnictwa i jest używane przez polityków, takich jak François Hollande, Barack Obama czy John Kerry, którzy wolą omijać połączenie Państwo Islamskie i nie używać słowa „islam” w stosunku do terrorystycznego quasi-państwa

Diplomatic Quarter (angielski) – Dzielnica Dyplomatyczna; nazwa dzielnicy w Rijadzie; mieszkają tam głównie dyplomaci, znajdują się ambasady, konsulaty i rezydencje korpusu dyplomatycznego

Doktora (arabski) – lekarka, doktorka

Dolma (arabski) – gołąbki z farszem baranym zawijanym w liście winogron

Dzambija (arabski) – zakrzywiony nóż tradycyjnie noszony za pasem w Jemenie, ale również w innych krajach arabskich

Dżenna (arabski) – dosłownie: ogród; raj

Dżihad (arabski) – pierwotnie oznaczało walkę w imię propagowania islamu, zarówno poprzez akcję zbrojną, nawracanie niewiernych, pokojowe działania, jak i wewnętrzne zmagania wyznawcy; często rozumiany tylko jako święta wojna; fundamentaliści twierdzą, że jest to szósty filar islamu i obowiązek każdego muzułmanina, a dżihadysty mają za zadanie unicestwienie wszystkich innowierców na kuli ziemskiej

Dżihadi (arabski) – przymiotnik od słowa dżihad – zwolennik dżihadu, dżihadysta

E

Eid al-Adha (arabski) *Święto Ofiarowania* – najważniejsze święto muzułmańskie, podczas miesiąca zu al-hidżdża, kiedy muzułmanie odbywają rytualną pielgrzymkę do Mekki, ale obchodzone jest przez cały świat muzułmański, nie tylko przez pielgrzymów. Święto to upamiętnia ofiarę Abrahama (Ibrahima) i jego posłuszeństwo wobec Boga. Według islamu miał on złożyć w ofierze Bogu swego syna, Izmaela, jednak Bóg, widząc oddanie Abrahama, pozwolił mu złożyć w ofierze barana zamiast dziecka. Na pamiątkę czynu Abrahama każda głowa rodziny składa w ofierze owcę, barana, wielbłąda lub krowę. Zwierzę musi być zabite rytualnie, następnie dzieli się mięso tak, by 1/3 oddać potrzebującym, 1/3 krewnym, a pozostałą 1/3 spożywa się na wspólnej uczcie

Ejna nimszi? (arabski, dialekt) – Dokąd jedziemy?

F

Falafel (arabski) – smażone kulki lub kotleciki z mielonego bobu albo ciecierzycy z przyprawami

Felix (łacina) – szczęśliwy

Fi muszkila? (arabski, dialekt) – Czy jest jakiś problem? *Ma fi muszkila* (arabski, dialekt) – Nie ma problemu

Fisa (arabski) – szybko

Forever love (angielski) – wieczna miłość, miłość na wieki

Fusha (arabski) – klasyczny język arabski, używany przez ludzi wykształconych, język literatury i mediów (w odróżnieniu od *lehdża* – język potoczny)

G

Gahwa arabijja (arabski) – kawa Arabica

Galabija/dżalabija (arabski) – męski lub damski strój w formie długiej sukni/płaszczka z rozcięciem pod szyją

Ghutra (arabski) – chusta na głowę dla mężczyzn, biała, w biało-czerwoną lub biało-czarną kratę

H

Habibi (arabski) – mój kochany

Hadis (arabski) – opowieść przytaczająca wypowiedź proroka Muhammada, jego czyn lub milczącą aprobatę. Każdy hadis składa się z tekstu i łańcucha przekazicieli. Hadisy tworzą sunnę (Tradycję). Jest to najważniejsze po Koranie źródło muzułmańskiego prawa szariatu

Hadżdż, hadż (arabski) – pielgrzymka do świątyni Al-Kaba w Mekce. Odbycie pielgrzymki przynajmniej raz w życiu jest obowiązkiem religijnym każdego dorosłego muzułmanina płci męskiej, który jest do niej zdolny fizycznie i finansowo. Jest jednym z pięciu filarów islamu. Uważane jest za najliczniejsze coroczne zgromadzenie ludzi na świecie (w 2018 r. ok. 2 mln). Hadż jest demonstracją solidarności muzułmanów oraz ich oddania wierze w Allaha. Pielgrzymi wchodzą w stan uświęcenia, a zbliżając się do świętego terytorium Mekki, przywdziewają białą szatę. Pielgrzymka rozpoczyna się kazaniem w meczecie i siedmiokrotnym okążeniem Ka'by. Przez kolejne trzy dni wyznawcy wędrują po okolicy, docierając do różnych symbolicznych miejsc, m.in. doliny Mina, góry Arafat, wzgórza Al-Muzdalifa. W tym czasie odmawiają wiele modlitw i sprawują liczne symboliczne obrzędy, jak np. kamienowanie szatana. Przez kolejne trzy dni pielgrzymi odpoczywają. *Hadż* gromadzi corocznie kilka milionów wyznawców islamu, których nazywa się wówczas *hadżdżi* (pielgrzymi, *hadżdż* – mężczyzna, *hadżdża* – kobieta). Udział wyznawców innych religii jest zabroniony

Hafida (arabski) – wnuczka

Halal (arabski) – to, co nakazane; w islamie określenie wszystkiego, co jest dozwolone

w świetle szariatu

Haram (arabski) – zakazane, grzeszne

Harissa (arabski) – pikantna pasta z chilli

Henna (arabski) – barwnik roślinny produkowany z liści i pędów rośliny zwanej lawsonią bezbronną. Stosowany wszechstronnie na całym świecie. Obecnie wykonuje się nią modne krótkotrwałe tatuaże

Hosz (arabski, dialekt) – dom

Hidżab (arabski) – noszona przez kobiety muzułmańskie kwadratowa chusta, zakrywająca włosy, uszy i szyję; może być kolorowa

Humus (arabski) – dip lub pasta z gotowanej, zmiksowanej ciecierzycy z dodatkiem pasty tahina (z nasion sezamu) z czosnkiem i cytryną

Hurysa (arabski) – wolna; ta, która ma czarne oczy. Według islamu to wiecznie młode i piękne dziewczęta w raju, kobiety idealne, mające po 33 lata, duchowo i cieleśnie nieskazitelne, które stanowią jedną z nagród dla zbawionych wiernych. Ich dziewictwo odnawia się po każdym stosunku. Każdy muzułmanin w ogrodzie *Dżenna* może mieć 72 hurysy i zależnie od jego woli będą one (lub nie będą) rodzić dzieci

I

Iftar, futur (arabski) – śniadanie; wieczorny posiłek na przerwanie postu

Ila liqa' (arabski) – Do zobaczenia

Imam (arabski) – w tradycyjnym znaczeniu słowem imam określa się osobę, która przewodniczy rytualnej modlitwie muzułmańskiej, czyli salatowi. W ogólności może to być osoba świecka bądź przełożony meczetu

Image (angielski) – wizerunek, sposób postrzegania danej osoby

Imszi (arabski, dialekt) – Chodźmy

Indżlizija (arabski) – Brytyjka, Angielka; brytyjska, angielska

Insz Allah (arabski) – Jak Bóg zechce; jak Bóg da

Iqama – legitymacja, ID, dowód osobisty

Igal (iqal) (arabski) – obręcz pleciana z czarnego sznurka, którą umieszcza się wokół głowy dla przytrzymania chusty

Ismi (arabski) – Mam na imię

J

Ja achi (arabski) – Mój bracie (wołacz)

Ja habibti (arabski) – Moja kochana, moja droga (wołacz)

Ja habibi (arabski) – Mój kochany, mój drogi (wołacz)

Ja ummi (arabski) – Moja mamę (wołacz)

Jalla (arabski) – pierwotnie: zawołanie na wielbłądy; kolokwialnie: ruchy, chodź, wychodź, w drogę

Ja said (arabski) – Panie (wołacz)

Ja said mudir (arabski) – Panie kierownika

Ja saida – Pani (wołacz)

Jekfi (arabski) – Wystarczy

K

Kakawijja (arabski) – ciastka makaroniki z orzeszków ziemnych

Karawanseraj (perski – zajazd dla karawan) – dom zajezdny dla karawan lub miejsce postoju

karawany z pomieszczeniami dla podróżnych, niszami chroniącymi przed słońcem, magazynem do przechowania towarów, często o charakterze obronnym, budowany w krajach arabskich, Persji i Azji Środkowej

Kif halek? (arabski) – Jak się masz?

Kif halik, habibti? – Jak się masz, kochana?

Kohl (arabski) – barwnik do oczu zawierający wyselekcjonowane mieszanki ziół, dobrane tak, że nie tylko służą do upiększania oczu, ale również naturalnie je pielęgnują. Działa leczniczo na zapalenie spojówek, jęczmień czy jaglicę

Koszerny (hebrajski, jidysz) – właściwy; pojęcie odnoszące się do reguł obowiązujących w prawie żydowskim (*halacha*), określających rodzaje produktów dozwolonych do spożywania (pokarmy, napoje i leki) oraz warunki, w jakich powinny być produkowane i spożywane. *Halacha* rozróżnia pokarmy dozwolone (*koszer*) i zakazane (*teref*, trefne, nieczyste). Dopuszczone do spożywania jest mięso zwierząt mających rozszczepione kopyto i przeżuujących, stworzeń wodnych mających płetwy i łuski, niektórych gatunków szarańczy, niektórych gatunków ptaków. Nie dotyczy to jednak krwi, która jest zakazana, czyli trefna. Dozwolone są mleko i jaja pochodzące od zwierząt, których mięso jest koszerne, a także miód i inne produkty. Niekiedy pojęcie koszerności rozciągnięte bywa poza produkty spożywcze i wówczas oznacza spełnienie określonych wymogów religijnych także w odniesieniu do innych produktów i przedmiotów

Kullu quejs (arabski, dialekt) – wszystko dobrze

Kullu tamam (arabski, dialekt) – wszystko w porządku

Kwef (francuski – *coiffe*; czepek, nakrycie głowy) – zasłona na twarz noszona przez muzułmanki

L

Lahza (arabski) – zaraz, chwila

Leben (arabski) – kwaśne mleko typu maślanka

Lebneh (arabski) – biały tradycyjny twaróg

Lehdža (arabski) – dialekt

M

Mabruk (arabski) – Na szczęście; Niech będzie błogosławiony

Maam (angielski) – skrót od madam; pani, jaśnie pani

Madam (angielski) – pani, jaśnie pani

Madżnun (arabski) – szalony, szaleniec

Mahram (arabski) – męski opiekun muzułmańskich kobiet; ojciec, brat, kuzyn, dziadek

Marhaba (arabski) – Cześć

Medina (arabski) – miasto, stare miasto

Miskina (arabski) – biedna, biedaczka, nieszczęsna

Mister (angielski) – pan

Mudir (arabski) – kierownik

Mudżahedin (arabski) – bojownicy, l.mn. od wyrazu *mudżahid* – bojownik. Uczestniczą w ruchu religijnym, społecznym lub wyzwoleńczym w krajach muzułmańskich. W wielu państwach prowadzą walkę partyzancką przeciwko okupantom lub przeciw nieakceptowanej władzy

Mutabbal (arabski) – pasta na bazie grillowanych bakłażanów

Mutawwa (arabski) – funkcjonariusz policji obyczajowo-religijnej

N

Nikab (arabski) – tradycyjna muzułmańska zasłona twarzy kobiety, odsłaniająca jedynie oczy, czasami kawałek czoła; używany głównie w Arabii Saudyjskiej i Jemenie oraz Państwie Islamskim

Nota bene (łacina) – dosł. zważ dobrze, zwróć uwagę; wprowadzenie dla poważnej, istotnej wtrąconej informacji

O

Oud (arabski) – drewno agarowe, warte półtora raza tyle co złoto; od wieków znajdowało zastosowanie w wysokiej jakości kadzidłach. Chińczycy wykorzystują go podczas uroczystości religijnych i świeckich, podobnie jak Arabowie, mieszkańcy Indii oraz Japonii. Olejek ekstrahowany z drewna agarowego stosowany jest w krajach arabskich jako perfumy. Agar to także ważny składnik wielu tradycyjnych przepisów farmaceutycznych, sięgających czasów średniowiecza, a chińscy lekarze wciąż przepisują go na przeziębienia i problemy trawienne

P

Pakol – pejoratywne określenie Pakistańczyka

Pięć filarów islamu. Muzułmanin ma pięć obowiązków, *arkanów*, zwanych pięcioma filarami islamu, które nakreślają podstawowe obowiązki całej islamskiej społeczności, *ummy*. Są one traktowane bardzo poważnie przez wyznawców głównego nurtu tej religii, natomiast wiele ugrupowań religijnych uważa je tylko za zalecenia, symbole i niekoniecznie się do nich stosuje.

Wyznanie wiary – *Szahada*. Należy trzykrotnie, świadomie i celowo, publicznie wypowiedzieć: *Aszszahadu la ilaha illa 'llah, Muhammad rasulu 'llah* – *Zaświadczam, że nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem, a zadecyduje to o przyjęciu islamu przez daną osobę.*

Modlitwa – *Salat*. Muzułmanie powinni się modlić pięć razy dziennie. Nie muszą codziennie uczęszczać do meczetu, po prostu każdego dnia pięciokrotnie mają odmawiać *salat*. Mogą modlić się wszędzie, lecz zawsze twarzą w kierunku Mekki.

Jałmużna – *Zakat*. Każdy muzułmanin, biedny czy bogaty, powinien dzielić się tym, co posiada, ze swoimi współ-wyznawcami.

Post – *Saum*. Podczas dziewiątego miesiąca kalendarza islamskiego – ramadanu – muzułmanie winni pościć od świtu do zmierzchu. Z wyjątkiem chorych, starszych i kobiet w ciąży wszyscy powstrzymują się wtedy od jedzenia i picia.

Pielgrzymka do Mekki – *Hadżdż*. Wszyscy zdolni do tego muzułmanie są zobowiązani co najmniej raz w życiu odbyć pielgrzymkę do Mekki i tamtejszych świętych miejsc. Skupia się ona na odwiedzeniu sanktuarium Al-Ka'ba i obejściu go siedem razy dookoła

Please (angielski) – Proszę

Q

Qawija (arabski) – silna, mocarna

R

Rahmatullah wa barakatuhu (arabski) – Miłosierdzie i błogosławieństwo Boga (Allaha) niech będzie z wami

Ramadan (arabski) – dziewiąty miesiąc kalendarza muzułmańskiego. Dla muzułmanów jest święty, gdyż w tym miesiącu rozpoczęło się objawianie Koranu – archanioł Gabriel (arab. *Dżibril*) ukazał się prorokowi Muhammadowi, przekazując kilka wersów przyszłej świętej księgi islamu. Podczas trwania ramadanu od świtu do zmierzchu muzułmaninowi nie wolno spożywać żadnych pokarmów, pić napojów (w tym wody), palić tytoniu ani uprawiać seksu. Ostatni posiłek przed

kolejnym dniem postu jedzą przed świtem; w momencie kiedy usłyszą wołanie do porannej modlitwy *fadżr*, powstrzymują się od dalszego jedzenia i picia. W ramadanie muzułmanie zwykle spożywają dwa posiłki – *iftar* po zachodzie słońca oraz *suhur* przed świtem. Jednak obowiązkiem muzułmanina podczas ramadanu jest szczególna wstrzeźliwość nie tylko wobec doznań cielesnych, ale i wewnętrznych złych skłonności do fałszu, obłudy, obmowy, kłamstw. W czasach średniowiecza wstrzymywane były nawet działania wojenne, swary czy przekładane bitwy

S

Sabija (arabski) – niewolnica, branka; dziewczyny i kobiety porywane przez PI (Daesz) podczas ich panowania na Bliskim Wschodzie w Iraku i Syrii w latach 2014–2017; przede wszystkim jezydki, ale też chrześcijanki i sunnitki. Wykorzystywane głównie jako niewolnice seksualne

Safara Saudia (arabski) – ambasada saudyjska

Safir (arabski) – ambasador

Sadiq (arabski) – przyjaciel; *Ja sadiqi* – Mój przyjacielu (wołacz)

Sadiqa (arabski) – przyjaciółka; *Ja sadiqati* – Moja przyjaciółko (wołacz)

Safe house (angielski) – bezpieczny dom, przenośnie: kryjówka, meta, azyl, ukrycie; takie miejsca rozsiane po całym świecie posiadają wszystkie agencje wywiadowcze, począwszy od CIA, a skończywszy na KGB i MI6

Sah (arabski) – Dobrze, tak jest

Said (arabski) – pan

Saida (arabski) – pani

Saida doktora (arabski) – pani doktor

Saidati (arabski) – moje panie, moje kobiety

Salam (arabski) – pokój

Salat (arabski) – muzułmańska rytualna modlitwa, będąca jednym z pięciu obowiązków każdego muzułmanina, tzw. filarów wiary. Odmawia się ją pięciokrotnie w ciągu doby: przed wschodem słońca (*fadżr*), w południe (*zuhr*), po południu (*asr*), po zachodzie słońca (*maghrib*) i w pierwszej połowie nocy (*isza*). Celem *salat* jest uzyskanie błogosławieństwa Allaha (*sawab*). Odmawiający *salat* powinien być w stanie rytualnej czystości, którą uzyskuje się przez obmycie wodą, ewentualnie piaskiem. Rozkłada on specjalny dywanik *sadżdżada*, zwraca się w kierunku Mekki i wykonuje określoną liczbę pokłonów, gestów i recytacji wersetów Koranu, przede wszystkim pierwszej sury *Al-Fatiha*. Największe znaczenie mają modlitwy piątkowe *dżumma*, odmawiane wspólnie w meczecie, którym często towarzyszy kazanie *chutba*. *Salat* na całym świecie odbywa się tylko w języku arabskim

Secret service (angielski) – wywiad; agencja wywiadowcza

Shut up (angielski) – Zamknąć się; cisza

Suk, suq (arabski) – arabski targ, market z różnorodnymi towarami

Sunnizm – jeden z trzech głównych ortodoksyjnych odłamów islamu (pozostałe to szyizm i charydżyzm), wierny ortodoksyjnej tradycji Sunny, uznający wszystkich kalifów do 1258 r. za prawowitych następców proroka Muhammada. Stanowią oni 75–90% wszystkich muzułmanów. Sunnici sami siebie określają jako ludzi tradycji i wspólnoty. Po upadku kalifatu w 1924 r. stracili władzę zwierzchnią. Duże znaczenie wśród wielu sunnitów, głównie pochodzenia arabskiego, zdobył fundamentalistyczny ruch wahabitów w Arabii Saudyjskiej

Sunna (arabski) – dosł. droga, ścieżka; w kontekście islamu sunnickiego jest to zbiór opowieści (hadisów) z życia proroka Muhammada, jego opinie dotyczące wiary oraz prowadzenia życia

Sza'a Allah (arabski) – Allah tak chce; Jak Bóg da

Szabbani (arabski, dialekt) – starzec, staruszek

Szahada (arabski) – muzułmańskie wyznanie wiary, będące jednym z pięciu filarów islamu; obowiązek każdego muzułmanina. Należy trzykrotnie, świadomie i celowo, publicznie wypowiedzieć:

Aszszahadu la ilaha illa 'llah, Muhammad rasulu 'llah – Zaświadczam, że nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem, a zadecyduje to o przyjęciu islamu przez daną osobę. Po wypowiedzeniu *szahady* wszystkie wcześniej popełnione grzechy znikają, a człowiek symbolicznie rodzi się na nowo. Słowa wyznania wiary znajdują się w każdej muzułmańskiej modlitwie i stanowią podstawowy dogmat wiary

Szahid (arabski) – męczennik

Szaj (arabski) – herbata

Szaj al-achdar (arabski) – zielona herbata

Szariat (arabski) – dosł. droga prowadząca do wodopoju; prawo kierujące życiem wyznawców sunnickiej, jak i szyickiej odmiany islamu. Islam nie uznaje rozdziału życia świeckiego i religijnego, dlatego reguluje zarówno zwyczaje religijne, organizację władzy religijnej, jak i codzienne życie muzułmanina. Szariat opiera się na założeniu, że prawo musi dostarczać wszystkiego, co potrzebne dla duchowego i fizycznego rozwoju jednostki. Wszystkie czyny muzułmanina są podzielone na pięć kategorii: konieczne, chwalebne, dozwolone, naganne oraz zakazane. Podstawą określenia czynów koniecznych jest pięć filarów islamu

Szarmuta (arabski) – dziwka, prostytutka

Szinu tibbi? (arabski, dialekt) – Co chcesz?

Szirk (arabski) – oddawanie czci innym bogom niż Allah

Szukran dżazilan (arabski) – bardzo dziękuję

Szyizm (arabski – stronnictwo Alego) – obok sunnizmu i charydżyzmu jeden z trzech głównych nurtów współczesnego islamu, drugi po sunnizmie co do liczby wyznawców.

Rozdział islamu na sekty dokonał się w wyniku sporu o sukcesję po śmierci proroka Muhammada. Według szyitów prawowitymi następcami ostatniego proroka są jedynie członkowie jego rodziny, potomkowie Alego i córki proroka, Fatimy. Szyici nie uznają rządów trzech pierwszych sunnickich kalifów (a także ich kontynuatorów z dynastii Omajjadów i Abbasydów) jako prawowitnych, twierdząc, iż uzurpowali oni władzę należną od samego początku tylko Alemu i jego potomkom

T

Tabula (arabski) – orzeźwiająca sałatka z kuskusu i pietruszki polana dużą ilością soku z cytryny

Tafaddali (arabski) – proszę bardzo

Tasbih (arabski) – muzułmański różaniec o 33 koralikach, niejednokrotnie wykonany z kamieni półszlachetnych lub szlachetnych

Tête-à-tête (francuski) – sam na sam; twarzą w twarz

Toba (*thoba*) (arabski) – rodzaj długiej do ziemi męskiej koszuli, z tradycyjnym kołnierzykiem lub stójką i manszetami, do pasa zapinana na guziki

Tuaregowie – lud berberyjski zamieszkujący obszary Sahary, głównie w Algierii, Libii, Mali, Nigrze i Burkina Faso. Tradycyjnie są nomadami, podróżują po pustyni i jej obrzeżach, zajmują się hodowlą bydła i kóz, wytwarzaniem biżuterii i turystyką. W 2012 r. podjęli próbę utworzenia suwerennego państwa Azawad na terenie północnego Mali. W literaturze i tekstach piosenek można zetknąć się z nazwą „wolni ludzie”. Definitywne odrzucenie nazwy *tuareg* wiąże się z negatywnymi konotacjami tego słowa – po arabsku *tawariq* oznacza „bezbożnik”. Wśród tego ludu spotyka się osobniki o białej karnacji i jasnych blond włosach

U

Uhibuke (arabski) – Kocham cię

Umma (arabski) – naród, społeczność; w znaczeniu religijnym (islamskim) – wspólnota

islamska

Ummi (arabski) – moja matka

Uskut (arabski) – Spokój, cisza, zamknij się

Ustaza (arabski) – profesorka, nauczycielka; w przenośni oznacza kogoś mądrego, wykształconego, jest wyrazem szacunku

V

Vel (łacina) – lub, albo, raczej; często stosowane pomiędzy nazwiskami, co oznacza, że dana osoba znana była pod dwoma nazwiskami lub przezwiskami

W

Wadi (arabski) – koryto wyschniętej rzeki

Wahabizm, wahhabizm (arabski) – islamski ruch religijny i polityczny w obrębie islamu sunnickiego powstały w XVIII w. na terenie Arabii. Jest określany jako ultrakonserwatywny, surowy, fundamentalistyczny czy purytański. Opiera się na fundamentalizmie – głosi powrót do źródeł: pierwotnej czystości islamu, prostoty i surowości obyczajów. Za podstawy wiary wahabici uznają Koran i hadisy, interpretowane dosłownie. Nazwa *wahabizm* pochodzi od imienia twórcy tego ruchu, muzułmańskiego teologa Muhammada Ibn Abd al-Wahhaba. Wahabizm jest szczególnie popularny w Arabii Saudyjskiej, gdzie w XVIII w. wahabici zawarli sojusz z dynastią Saudów, co wywarło znaczny wpływ na późniejszy kształt tego najbardziej konserwatywnego z państw muzułmańskich. Ponieważ wahabici sprzeciwiali się zazwyczaj wprowadzaniu innowacji technologicznych i modernizacji, od dziesięcioleci trwa w tym państwie spór między ortodoksyjną i reformatorską frakcją elit saudyjskich. Wahabizm uznaje wyższość islamu nad wszystkimi religiami oraz potrzebę uzyskania dominacji nad nimi

Wallahi (arabski) – Na Boga! Na Allaha!

Warakina (arabski, dialekt) (wym. łarakina) – chlor

Who is who? (angielski) – Kto jest kto? Kto jest kim?

Y

You are not a driver! Show me your driving license (angielski) – Nie jesteś kierowcą! Pokaż mi swoje prawo jazdy!

Z

Zaharid (arabski) – dźwięk wydobywany podczas szczególnych radosnych uroczystości, który powstaje przy uderzaniu językiem o podniebienie; od wieków stosowany we wszystkich krajach arabskich. Może przypominać jodłowanie

Zoldza arabija (arabski) – arabska żona

Zyft (arabski) – cholera

Ż

Żida (arabski) – babcia

Geneza postaci serii. *Arabska i azjatycka saga*

2010 – Arabska żona

2011 – Arabska córka

2012 – Arabska krew

2013 – Arabska księżniczka

2014 – Okruchy raju

2015 – Miłość na Bali

2016 – Arabska krucjata

2017 – Arabski mąż

2018 – Arabski syn

2019 – Arabski raj

POSTAĆ

WYDARZENIA/KOLIGACJE

Dorota

Urodzona w drobnomieszczańskiej biednej rodzinie pod Poznaniem

Mąż – Libijczyk, Ahmed Salimi, doktorant polskiej uczelni

Wyjazd do Libii na wakacje z Ahmedem i córeczką Marysią

Życie w Libii

Internowanie na Saharze, ucieczka i wybawienie przez turystów

Ewakuacja z Libii z młodszą córką Darią, starsza Marysia pozostaje z libijską rodziną Salimi

Mąż – Polak, Łukasz Nowicki, jeden z wybawicieli Doroty

Narodziny syna, Adasia

Pobyt w KAS podyktowany pracą Łukasza

Odnalezienie Marysi w Rijadzie

Podróż sentymentalna z Marysią do Libii podczas arabskiej wiosny

Tragedia w rodzinie Binladenów, wyjazd Marysi z KAS

Wyjazd Nowickich do Indonezji na ślub Marysi

Rozwód z Łukaszem Nowickim

Życie na Bali – kochankowie: Balijszyk Ari, Australijszyk Brendan

Pobyt w więzieniu Kerobokan na Bali; uniewinnienie

Odniesienie ran podczas zamachu terrorystycznego w resorcie Meila na Bali

Powrót do Polski, do Gdańska, z Łukaszem i Adasiem

Ponowny ślub z Łukaszem

Wspólny wyjazd do Królestwa Arabii Saudyjskiej

Rozwód z Łukaszem Nowickim

Pozostanie w KAS pod opieką zięcia Hamida Binladena

Ahmed Salimi

Mąż Doroty

Libijczyk, urodzony w Trypolisie w bogatej, wpływowej rodzinie; zabity przez Dorotę podczas arabskiej wiosny

Malika – najstarsza siostra; asystentka pułkownika Kaddafiego, pracownica libijskiego MSZ, dyplomatka, zabita przez syna swojego narzeczonego

Muaid – syn Maliki z nieślubnego łoża z pułkownikiem Muammarem Kaddafim; samobójca zamachowiec, który targnął się na życie własnego ojca

Chadidża – siostra, popełniła samobójstwo po utracie dzieci podczas arabskiej wiosny

Romans Miriam z trenerem aerobiku, jej domniemane samobójstwo

Samira – najmłodsza siostra, jedyna ocalała spośród rodzeństwa Salimi, lekarka, mąż Syryjczyk, również lekarz, Mustafa Szukri, pracują razem w szpitalu w Rakce podczas panowania kalifatu. Samira z kalifatu udaje się do obozu dla uchodźców Zaatari w Jordanii, gdzie spotyka Marysię, której ratuje życie. Doktor Mustafa Szukri rozpoczyna pracę w szpitalu w Dosze w Katarze, gdzie rozpoznaje Jasema Alzani i denuncjuje go.

Łukasz Nowicki

Były mąż Doroty, wysokiej rangi specjalista, wysoko płatny pracownik eksportowy

Marysia Salimi/Miriam Ahmed Salimi Binladen

Urodzona pod Poznaniem, najstarsza córka Doroty i Ahmeda

Po utracie matki i wyjeździe ojca wiezie życie z kobietami z rodziny Salimi na libijskiej placówce dyplomatycznej w Ghanie

Mieszka z babcią Nadią w Trypolisie

Ucieczka przed ojcem do Jemenu; szkoła brytyjska

Ślub z Hamidem Binladenem

Śmierć babci w zamachu terrorystycznym w Jemenie

Wyjazd Binladenów do Rijadu, rodzinnego miasta Hamida

Odnalezienie matki, Doroty

Podróż do Libii z matką i romans z kuzynem Raszidem, ojcem jej dziecka

Narodziny nieślubnej Nadii, którą Hamid uznaje za swoją córkę

Porwanie Nadii przez księżniczkę Lamię

Rozwód z Hamidem Binladenem

Poszukiwanie dziecka w Tajlandii

Narodziny Adila, biologicznego syna Hamida

Oddanie dziecka ojcu

Ślub z Karimem ibn Fajsalem al-Nadźdi, pół Indonezyjczykiem, pół Saudyjczykiem

Zamieszkanie w Dżakarcie, Indonezja

Pojawienie się Hamida w Dżakarcie i powrót dawnej miłości

Wyjazd do KAS

Rozwód z Karimem

Ponowny ślub z Hamidem Binladenem

Wyjazd po Darię do stolicy samozwańczego kalifatu Rakki w Syrii

Porwanie przez Beduina, dżihadystę Haszima, wymuszony ślub

Niechciana ciąża

Pobyty w obozie dla uchodźców w Zaatari w Jordanii i utrata dziecka

Powrót do KAS i Hamida Binladena

Daria Nowicka/

Darin Salimi/

Darin Alzani/

Darina O'Sullivan/

Darin Arabi

Urodzona w Libii, córka Doroty i Ahmeda, siostra Marysi i Adasia

Wychowana w polskiej rodzinie

Ojczym Łukasz

W okresie nastoletnim wyjazd z rodziną do KAS, międzynarodowa szkoła

Studia w Wielkiej Brytanii, w High Wycombe

Praca u Pakistańczyka, przysięgłego dżihadysty szahida

Niepowodzenia w dorosłym, samodzielnym życiu

Odwiedziny u Marysi w Indonezji

Decyzja o powrocie do KAS z Marysią i Karimem

Romans z Brytyjczykiem Johnem

Wyjazd z Johnem w podróż po Bliskim Wschodzie i Europie

Ślub z Johnem w Hurghadzie

Porwanie przez dżihadystę

Pobyty w niewoli – w Damaszku, Palmirze i Rakce

Zmiana image'u i wyjazd z dżihadystą Jasemem Alzanim do Bejrutu

Bogate życie w Katarze

Narodziny dwóch synów, braci syjamskich, Ahmeda i Abdula

Śmierć Abdula z rąk brata

Wyjazd do Kliniki Gwardii Narodowej w Rijadzie w celu rozdzielenia braci

Ucieczka z mężem i synem do Bengazi w Libii

Adaś Nowicki

Urodzony w Gdańsku

Żyje w KAS, Indonezji, Polsce i znów w KAS

Hamid Binladen

Urodzony w saudyjskiej rodzinie milionerów, ojciec Saudyjszyk, matka wyemancypowana Jemenka

Afganistan z Osamą

Studia w Stanach Zjednoczonych

Upadek WTC i podjęcie decyzji o działalności antyterrorystycznej

Ojciec umiera na zawał serca

Siostra, Amira, ginie w wypadku samochodowym

Matka popełnia samobójstwo

Wyjazd do Jemenu i praca w rodzinnej korporacji Binladen Group

Ślub z Marysią

Rozwód z Marysią, szybki ślub z Zajnab

Śmierć Zajnab w zamachu terrorystycznym na Bali

Ponowny, cichy ślub z Marysią

Wyjazd do kalifatu w poszukiwaniu Darii

Otrucie przez Beduinę na Pustyni Syryjskiej i rozdzielenie z żoną

Długa rekonwalescencja, depresja

Odnalezienie ukochanej żony i ponowne połączenie małżonków

Karim ibn Fajs al-Nadźdi

Urodzony w Tugu, w Indonezji, z matki Indonezyjki i ojca Saudyjczyka

Wyjazd do KAS z ojcem, *mutawwą* Fajsalem al-Nadźdi

Pobyt rehabilitacyjny w Szpitalu Gwardii Narodowej po przejściu choroby Heinego--Medina

Studia medyczne w KAS

Stypendium w Polsce; specjalizacja I i II stopnia

Powrót do KAS i praca w Szpitalu Gwardii Narodowej i klinice plastycznej Obagy

Poszukiwanie tożsamości w Azji, Indonezji

Powrót do KAS

Śmierć w Palmirze z rąk *dżihadiego* Johna przez ścięcie

Pierwsza żona – Tajka, druga – Marysia, trzecia – Afra (Saudyjka)

John Smith/*Dżihadi* John/Jasem Alzani/Sean O'Sullivan/ Muhamad Arabi Muntasir

Urodzony w Syrii – z matki Syryjki i ojca Brytyjczyka

Wyjazd do ojca do Wielkiej Brytanii

Studia w Quintin Kynaston Community Academy in St John's Wood, w Londynie

Uniwersytet Westminsterski – dyplom z informatyki

Zaangażowanie w działalność fundamentalistycznych grup islamskich w Brytanii

Akcje w Jemenie, Afganistanie, Egipcie, Indonezji, Tajlandii, Tunezji i Iraku

Paryż – zamach na klub Brazilian Tropical

Hurghada – zamach na turystów w resorcie Marhaba

Porwanie Darii do rodzinnego Damaszku

Wspólne życie z matką Munirą Alzani, słynną syryjską śpiewaczką, i ojczymem, Ibrahimem Elkurdim, profesorem filozofii i historykiem wykładającym na Uniwersytecie Damasceńskim

Zatrucie ojczyma arszenikiem

Podróż przez Palmirę do Rakki, stolicy samozwańczego kalifatu

Życie zwycięzcy w Rakce

Zamordowanie matki przez ukamienowanie

Wywołanie poronienia u brzemiennej żony, Darii

Jasmin Rime – psycholog i lingwistka, agitatorka do PI, długoletnia kochanka, a na koniec druga żona *dżihadiego* Johna, pół-Arabka – matka Belgijka, ojciec Algierczyk; zabita przez Darię w Rakce

Zmiana rysów twarzy i tożsamości przed upadkiem Państwa Islamskiego

Wyjazd w szeroki świat z ciężarną Darią

Życie w ekskluzywnych warunkach w stolicy Kataru Doha

Namierzenie dżihadysty i błyskawiczna ucieczka do Arabii Saudyjskiej

Wyjazd z Darią i synem Ahmedem do Libii

Związek z Dżamilą Muntasir, Libijką

Muammar al-Kaddafi

Pierwsza żona, Fatiha al-Nuri (1969–1970). Jeden syn – Muhammad Kaddafi (ur. 1970). Druga

żona, Safia Farkash, pielęgniarka (1970–2011); miłość od pierwszego wejrzenia. Siedmioro biologicznych dzieci: Sajf al-Islam (ur. 1972), Al-Saadi (ur. 1973), Mutassim (1974–2011), Hannibal Muammar (ur. 1975), Aisza (ur. 1976), Saif al-Arab (1982–2011) i Chamis (1983–2011). Kaddafi adoptował ponadto dwójkę dzieci – Hannę i Milada. Podczas oficjalnego związku małżeńskiego Kaddafi miał setki nałożnic i kochanek oraz dziesiątki nieślubnych dzieci. Jedną z jego asystentek przez dziesięć lat była dr Fatma (w powieści występująca pod imieniem Maliki). Ze związku tego urodził się syn Muaid

Historia240

- XI i X w. p.n.e. – Libia kolonizowana przez Fenicjan, którzy ok. VIII w. p.n.e. na zachodnim wybrzeżu założyli trzy miasta (późniejszy Trypolis)
- VIII w. p.n.e. – na wybrzeżu wschodnim istnieją kolonie greckie
- VI w. p.n.e. – Libia należy do Kartaginy
- I w. p.n.e. – obszar Libii stanowi posiadłość Rzymu; od czasów rzymskich są używane nazwy określające trzy odrębne prowincje: Trypolitania, Cyrenajka i Fezzan, z których powstała współczesna Libia
- 431 r. n.e. – Libia zostaje podbita przez Wandalów
- połowa VII w. – Libia należy do Bizancjum
- VII w. – Libia zostaje zdobyta przez Arabów, wchodzi w skład kalifatu Umajjadów i Abbasydów, stając się jednocześnie schronieniem dla muzułmańskich ugrupowań religijnych opozycyjnych do kalifatu: charydżytów (ibadytów) i szyitów
- IX w. – rządy dynastii Aghlabidów (samodzielnymi gubernatorami Kairuanu)
- X w. – rządy szyickiej dynastii Fatymidów
- XI w. – rządy dynastii Zirydów (namiestników Kairuanu, niezależnych od egipskich Fatymidów), którzy przywrócili islam sunnicki; najazd koczowniczych plemion arabskich (Banu Hilal i Banu Sulajm) przyczynił się do niemal całkowitego zarabizowania Libii
- W następnych wiekach Cyrenajka podlega lokalnym władcom Egiptu, Trypolitania (siedlisko piratów) i Fezzan – Tunezji
- Od XVI w. – należące do Imperium Osmańskiego -tereny Libii podlegają administracji egipskich Mameluków
- 1711–1835 – rządy dejów z dynastii Karamanli, którzy uniezależnili się od sułtana, później Cyrenajka stała się odrębną prowincją turecką
- Po wojnie włosko-tureckiej 1911–1912 Libia zostaje włoską posiadłością
- Kolonizacja 1920–1932 napotkała zbrojny opór plemion libijskich, którym przewodziło religijne bractwo muzułmańskie Sanusijja. Rozszerzało się osadnictwo włoskie (plantacje oliwek, winorośli itp.)
- Od 1942 r. Trypolitania i Cyrenajka znajdują się pod okupacją brytyjską, Fezzan – pod francuską
- 1947 r. – po traktacie pokojowym Włochy zrzekają się praw do Libii
- 1949 r. – ONZ opowiada się za niepodległością Libii; Zgromadzenie Narodowe Libii wybiera emira Cyrenajki, przywódcę bractwa Sanusijja Idrisa I na króla Zjednoczonego Królestwa Libii
- 1951 r. – Zjednoczone Królestwo Libii proklamowane niepodległym państwem (początkowo federacja Trypolitanii, Cyrenajki i Fezzanu, od 1963 r. państwo jednolite)
- 1955 r. – Libia zostaje członkiem ONZ
- 1956 r. – rozpoczęcie eksploatacji złóż ropy naftowej
- Rządy króla Idrisa I, konserwatywne i utrzymujące kraj w izolacji, są przyczyną narastania wewnętrznej opozycji
- 1969 r. – wojskowy zamach stanu, obalenie monarchii, proklamowanie republiki; władzę przejmuje Rada Rewolucyjna z pułkownikiem Muammarem al-Kaddafim na czele
- 1970 r. – Muammar Kaddafi ogłasza się premierem; następuje arabizacja państwa
- Od 1971 r. jedyna legalna partia to Socjalistyczny Związek Arabski; rozpoczyna się nacjonalizacja przemysłu naftowego
- 1973 r. – Al-Kaddafi ogłasza swój program polityczno-społeczny, tzw. trzecią teorię światową
- 1975 r. – publikacja „Zielonej Książki”, programu rządów Kaddafiego, stanowiącego alternatywę dla „kapitalistycznego materializmu i komunistycznego ateizmu”. Jest to próba połączenia

muzułmańskiego fundamentalizmu z populizmem i arabskim socjalizmem. Postuluje również odrzucenie kapitalizmu i marksistowskiej koncepcji dyktatury proletariatu – rozwiązaniem ma być trzecia droga, będąca połączeniem demokracji bezpośredniej i socjalizmu

- 1977 r. – przyjęta zostaje konstytucja; zmiana nazwy państwa na Libijską Arabską Dżamahiriję Ludowo-Socjalistyczną, z najwyższym organem władzy – Powszechnym Kongresem Ludowym (rozwiązano Socjalistyczny Związek Arabski)

- 1979 r. – Kaddafi formalnie rezygnuje ze wszystkich funkcji, zachowując faktycznie pełnię władzy i tytuł Przywódcy Rewolucji 1 Września. Jego polityka powoduje pogorszenie stosunków z USA i krajami Europy Zachodniej

- 1979 r. – Libia najostrzej potępia izraelsko-egipski traktat pokojowy, zrywając stosunki z Egiptem

- 1973–1988 – zaangażowanie militarne w wojnę domową w Czadzie; znaczną część dochodów budżetowych, przede wszystkim z ropy naftowej, przeznaczono na zbrojenia, propagowanie islamu (zwłaszcza w Czarnej Afryce), wspieranie światowego terroryzmu

- 1980–1988 – rząd libijski popiera Iran w wojnie iracko-irańskiej, zarzucając Jaserowi Arafatowi ugodowość; wspiera też ekstremistyczne organizacje Palestyńczyków; powiązania z międzynarodowym terroryzmem doprowadzają do konfliktu z USA

- 1986 r. – obostrzenia w stosunkach gospodarczych, akcje lotnictwa USA na libijskie instalacje wojskowe, lotniska i domniemane bazy terrorystów; Al-Kaddafi oficjalnie potępia terroryzm jako środek walki, na krótko wycofuje się z życia politycznego, nadal jednak zajmując wyjątkową pozycję w państwie

- 1988 r. – rozpoczyna się stopniowa liberalizacja polityczna i ekonomiczna. Następuje zbliżenie z innymi krajami arabskimi (m.in. Irakiem, Jordanią, Egiptem) oraz europejskimi (Francją, Wielką Brytanią)

- 1988 r. – zamach terrorystyczny nad Lockerbie na pasażerski samolot Pan American

- W wojnie o Kuwejt (1990–1991) Libia popiera Irak i nie stosuje się do rezolucji ONZ o sankcjach wobec niego

- 1992 r. – w życie wchodzi sankcje ONZ przeciwko Libii (za odmowę wydania przez rząd Libii dwóch libijskich agentów oskarżonych o zamach bombowy na amerykański samolot pasażerski w 1988 r.)

- Od 1995 r. rzadko i z trudem przedostają się wieści o starciach fundamentalistów z siłami rządowymi, które oskarżają Egipt i Sudan o wzniecanie napięcia przez robotników z tych krajów

- 1999 r. – Muammar Kaddafi wydaje w ręce międzynarodowej sprawiedliwości libijskich sprawców zamachu na samolot nad Lockerbie

- 2003–2004 – Kaddafi potępia terroryzm i zgadza się na wypłatę odszkodowań rodzinom ofiar zamachu nad Lockerbie, co umożliwi normalizację stosunków z USA oraz z Unią Europejską

- 2011 r. – antyrządowe protesty, tłumione przez siły Muammara Kaddafiego, które przeradzają się w wojnę domową, zakończoną obaleniem dyktatora

- 2012 r. – po wyborach parlamentarnych głową państwa zostaje przewodniczący Powszechnego Kongresu Narodowego Mohammed Megarjef (do 2013 r.), premierem – Ali Zajdan (do 2014 r.)

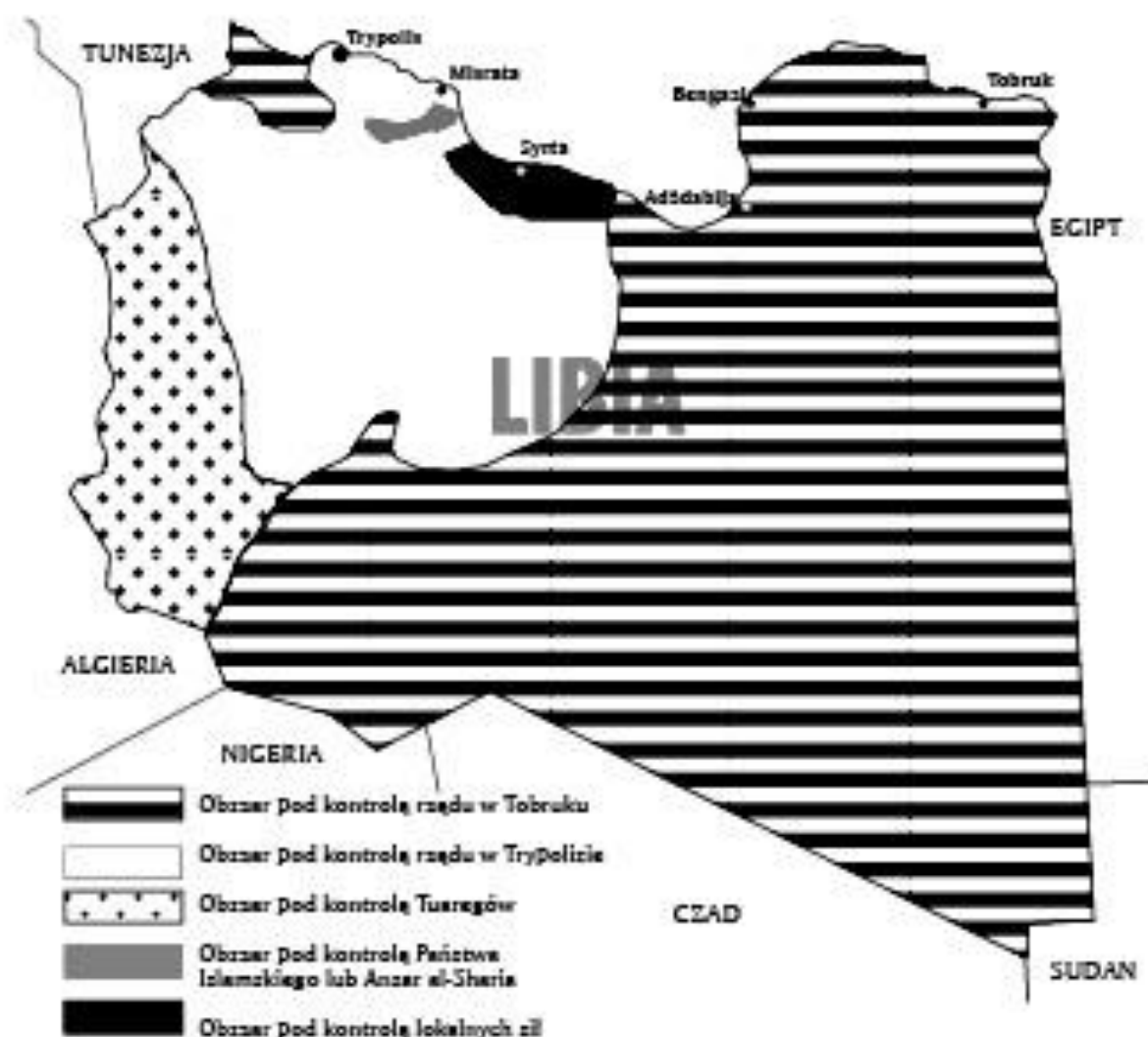
- 2014 r. – po kolejnych wyborach następuje w Libii dwuwładza z ośrodkami: w Trypolisie (Powszechny Kongres Narodowy, zdominowany przez islamistów, którzy nie uznali ważności wyborów) i w Bengazi (Zgromadzenie Konstytucyjne, mające poparcie międzynarodowe)

- 2015 r. – przejście Syrty przez bojowników Państwa Islamskiego

- 2015–2018 – chaos w Libii: główni dowódcy dżihadystycznej organizacji na świecie ISIS opuszczają Irak i Syrię i przenoszą się do Libii; Libia staje się światowym centrum handlu bronią; po zamknięciu szlaku przerzutu migrantów na trasie Turcja–Grecja wielu mieszkańców Afryki próbuje się dostać do Europy z Libii – do Włoch przez Morze Śródziemne. Jest to główny, szczególnie niebezpieczny punkt przerzutowy w Afryce, gdzie ginie wiele osób

- Jesień 2018 – starszy syn Muammara Kaddafiego Sajf al-Islam Kaddafi z ramienia partii pojednania chce kandydować na prezydenta Libii. Popiera go znaczna część wpływowych plemion kraju Najwyższa Rada Plemion i Miast Libii. Liczy na poparcie ONZ. Wybory się nie odbyły
 - Marzec 2019 r. – ponownie planowane są wybory prezydenckie i parlamentarne. Sajf al-Islam znów wystawia swoją kandydaturę. To jedyny kandydat, który może zjednoczyć ten kraj
- 240 <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/Libia-Historia;4574625.html>;
<https://www.salon24.pl/u/niewiarygodne/737517,libia-w-5-lat-po-zabojstwie-kaddafiego>.

Problematyczny podział władzy we współczesnej Libii



WARUNKI NATURALNE

Ponad 90% powierzchni Libii leży w obrębie Sahary; większą część kraju zajmuje płaskowyż (wys. 300–600 m) z rozległymi obniżeniami, ciągnącymi się równoleżnikowo; ponad jego powierzchnię wznoszą się stare masywy wulkaniczne: Dżabal as-Sauda, Al-Harudż al-Aswad, na południu (przy granicy z Czadem) fragment Tibasti z najwyższym szczytem Libii – Bikku Bitti (2286 m); przeważają pustynie piaszczyste, w zachodniej części zwane edejnami (Aubari i Marzuk); we wschodniej części Pustynia Libijska (jeden z najbardziej niedostępnych regionów Sahary), gdzie wędrujące wydmy (do ok. 100 m wysokości) przesuwają się z prędkością 4–20 m rocznie; występują również pustynie kamieniste (Al-Hamada al-Hamra, Hamadat Tinghart) i żwirowe (Tibasti, Kalansziju). Wybrzeża (długość linii brzegowej – 1950 km) przeważnie nizinne; na północnym wschodzie góry Al-Dżabal al-Achdar opadają stopniami ku morzu. W Libii nie ma rzek stałych; suche doliny (wadi) wypełniają się wodą tylko w okresie obfitych deszczów; na wybrzeżu Wielkiej Syrty

występują zasolone równiny (Wadi as-Sabha); bogate zasoby słodkich wód podziemnych wykorzystywane do nawadniania (liczne studnie artezyjskie); największe oazy: Al-Kufra i w rejonie Sabha. Klimat zwrotnikowy skrajnie suchy (pustynny), na wybrzeżach północno-zachodnich (nizina Al-Dżafara) i północno-wschodnich (góry Al-Dżabal al-Achdar) podzwrotnikowy typu śródziemnomorskiego; brak bariery gór powoduje dużą zmienność pogody (w zimie na wybrzeżu może padać śnieg, w lecie możliwy wzrost temperatury do 40–45°C); średnia temperatura w styczniu wynosi od 10–12°C na północy do 18°C na południu, w lipcu odpowiednio od 24–27°C do 35°C; dobowe wahania temperatury mogą dochodzić do 45°C; 13 września 1922 r. w miejscowości Al-Azizija zarejestrowano najwyższą temperaturę na Ziemi – 57,8°C; roczne opady 200 mm i mniej (co kilka lat zdarzają się susze), w górach Dżabal Nafusa i Al-Dżabal al-Achdar 400–500 mm; gorący, bardzo suchy wiatr ghibli, niosący duże ilości piasku z południa, występuje najczęściej na wiosnę i jesienią. Roślinność skrajnie skąpa (akacja, tamaryszki, piołuny); olbrzymie obszary są całkowicie pozbawione szaty roślinnej; na wybrzeżu zarośla typu makii oraz zadrzewienia z sosny pinii (*Pinus pinea*) i eukaliptusów; nad zatoką Wielka Syrta rozciągają się półpustynie trawiaste i piołunowe, w górach Dżabal Nafusa – roślinność stepowa z ostnicą esparto. Kilkanaście gatunków zwierząt żyjących w Libii jest zagrożonych wyginięciem (wpisane na krajową czerwoną listę, między innymi gepard, antylopa pustynna adaks, kulik, skoczek pustynny).

LUDNOŚĆ

Okolo 87% ludności stanowią Arabowie libijscy, potomkowie plemion przybyłych z Półwyspu Arabskiego (VII–XII w.), i zarabizowani Berberowie; pierwotna ludność (Berberowie i Tuaregowie) zachowała dużą odrębność językową i obyczajów; na południu, przy granicy z Nigrem i Czadem, koczują plemiona murzyńskie (między innymi Tubu). 97% mieszkańców wyznaje islam (odłam sunnicki), który jest religią państwową; Berberowie należą do ugrupowania religijnego ibadytów. Przyrost naturalny bardzo wysoki (23‰ – 2006 r.); 34% ludności w wieku poniżej 15 lat; przeciętna długość życia: mężczyźni 74 lata, kobiety 79 lat; średnia gęstość zaludnienia 4 osoby na km², rozmieszczenie bardzo nierównomierne, ok. 95% ludności skupia się w strefie przybrzeżnej (niemal 1/3 w regionie Trypolisu); ludność miejska stanowi 86%; główne miasta poza stolicą to Bengazi, Misrata, Az-Zawija (Zawia), Al-Chums (Choms).

Arabska wiosna zrujnowała Libię

Dziś Libia zeszła z czołówek serwisów informacyjnych. Agencje i światowe media piszą o niej rzadko. Najczęściej odnotowują tylko kolejne akty przemocy w tym kraju. Po pierwszej radości przyszło rozczarowanie. Jak można mówić o jakiegokolwiek poprawie, kiedy w kraju jest niebezpiecznie? Są również kłopoty z zaopatrzeniem i niejednokrotnie brakuje podstawowych produktów. Arabska wiosna zrujnowała Libię, jej przemysł i spokój mieszkańców. Libia zawsze była przyjaznym krajem, tak dla swoich obywateli, jak i cudzoziemców, a teraz każdy boi się tam żyć.

Wiele przywilejów z czasów Kaddafiego w wyniku arabskiej wiosny Libijczycy stracili bezpowrotnie:

1. Brak rachunków za prąd i wodę, które były darmowe dla wszystkich obywateli.
 2. Brak oprocentowania pożyczek; banki w Libii były państwowe, pożyczki były prawnie zagwarantowane dla wszystkich.
 3. Posiadanie mieszkania było w Libii uważane za prawo człowieka i państwo dotowało mieszkania dla młodych małżeństw.
 4. Małżeństwa posiadały tzw. książeczkę rodzinną, na którą za symboliczną kwotę kupowały sprzęt gospodarstwa domowego, wszystkie środki czyszczące i chemiczne również były dotowane.
 5. Na książeczkę rodzinną małżeństwo co miesiąc dostawało za znaczek skarbowy w wysokości 1 dinara kuskus, cukier, ryż, mąkę, makaron, przecier pomidorowy, puszki z tuńczykiem i parę litrów oliwy z oliwek. Do tego w „blaszakach”, państwowych domach towarowych, „rzucano” kartony z mrożonymi kurczakami.
 6. Nowo narodzony Libijczyk otrzymywał becikowe, a oprócz tego wyprawka dla dziecka była za darmo.
 7. Wszystkie produkty dziecięce, począwszy od odżywek, mleka w proszku po pampersy, były dotowane.
 8. Edukacja i opieka zdrowotna były bezpłatne. Przed rządami Kaddafiego tylko 25% Libijczyków umiało czytać i pisać. Dziś wskaźnik analfabetyzmu wynosi w Libii 23%. Rząd ustanawiał liczne stypendia dla studentów, w tym do Polski, gdzie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych student dostawał comiesięczne stypendium w wysokości 500 dolarów amerykańskich, darmowe mieszkanie oraz ubezpieczenie zdrowotne. Dziewczęta libijskie miały pełny dostęp do edukacji i były objęte programem stypendialnym. Dzięki temu jedna czwarta Libijczyków posiada uniwersyteckie wykształcenie.
 9. Libijczycy, którzy chcieli zostać rolnikami, otrzymywali za darmo ziemię, budynki gospodarcze, sprzęt, nasiona, żywy inwentarz, a również przepiękne farmy, w tym te wybudowane przez Poznański Kombinat Budowlany w górach Gharianu i okolicy.
 10. Jeśli Libijczyk potrzebował skomplikowanego zabiegu medycznego, rząd fundował mu wyjazd zagraniczny i w całości pokrywał koszty podróży, leczenia i rekonwalescencji.
 11. Gdy Libijczyk kupował samochód, rząd dopłacał mu połowę ceny auta, zaś osobom pracującym w urzędach państwowych i rządzie auto po prostu fundował – obdarowany musiał tylko zapłacić cło w wysokości 1% wartości pojazdu.
 12. Cena benzyny w Libii wynosiła 14 centów amerykańskich za jeden litr.
 13. Libia nie ma zagranicznych długów, a jej rezerwy, dochodzące do 150 miliardów dolarów amerykańskich, zostały zamrożone, więc teraz nowy rząd nie będzie miał z czego dotować pokrzywdzonego przez wojnę społeczeństwa.
 14. Kaddafi przeprowadził największy na świecie projekt irygacji – Great Manmade River (Wielka Sztuczna Rzeka) w celu zapewnienia dostaw wody pustynnemu krajowi.
- Ofiarowane przez rząd Kaddafiego świadczenia socjalne były bardzo bogate, ale każdy, kto dużo dostaje za darmo, chce dostawać jeszcze więcej. Z biegiem lat Libijczycy zaczęli poznawać

języki, oglądać telewizję satelitarną, podróżować po świecie i zorientowali się, że w krajach o takich ogromnych złożach ropy naftowej, jakie były i są w Libii, ludziom powodzi się lepiej. Dlatego wyszli na ulice. Libię można porównać do Arabii Saudyjskiej, Kuwejtu czy Kataru – na Bliskim Wschodzie obywatelom roponośnych mocarstw wiedzie się znakomicie. Jednak wiąże się to również z obszarem wpływów – Libia była pod protektoratem Rosji i wpływów komunistycznych, Arabia Saudyjska zaś – amerykańskich. Sami wiemy, jak wyglądało życie u nas, w Polsce, czy we wschodnich Niemczech, a jak w Niemczech Zachodnich. Komunistyczne rządy zawsze wyniszczały kraje, bo były nieudolne i zbyt wiele funduszy przeznaczały albo na bezsensowne inwestycje, albo na utrzymanie władzy. Zawsze zżerała je też korupcja i złodziejstwo, tylko na wielką skalę.

Poza tym wszystkie te socjalne udogodnienia miały miejsce w latach osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych i początku lat dwutysięcznych. Później coraz bardziej je redukowano, bo Libia i jej społeczeństwo się kapitalizowały. Libijczycy niestety wolą odpoczywać, niż pracować, i ciągle liczą na mannę z nieba.

Tuż po demokratycznych wyborach oczywiście zapanowała euforia, na placu Zielonym (obecnie placu Męczenników) odbywały się radosne manifestacje, jednak z biegiem czasu w kraju zaczął się szerzyć terror. Obywatele bali się sąsiadów i niejednokrotnie fałszywych oskarżeń. Broń, którą otrzymali rewolucjoniści, nie została oddana, bowiem Libijczycy twierdzili, że w kraju jest niebezpiecznie. To zresztą była prawda, gdyż zaczęły się tworzyć bojówki, samodzielnie wymierzające sprawiedliwość poplecznikom Kaddafiego. Jednak przy okazji stosowano wendetę, tak popularną w krajach arabskich. Mszczono się na nieprzyjaciółach rodów i plemion, wyciągano z domów nielubianych sąsiadów i strzelano im w głowę. Zdarzały się też masowe egzekucje zwolenników Kaddafiego (53 osoby pod Syrta). Rozpoczęła się masowa emigracja, bowiem nikt nie był pewien dnia ani godziny.

Ludzie uciekają z Libii do dziś, gdyż jest ona jednym z najbardziej niebezpiecznych krajów arabskich. Poza zatrważającymi aktami przemocy niebezpieczne są ogromne połacie zaminowanych ziem, których rozbrajanie potrwa lata. Niewypały można znaleźć wszędzie, także w najbardziej nieoczekiwanych miejscach.

Ambasady, które ponownie zostały otwarte w Trypolisie, do dziś dnia są uważane za placówki wojenne, a dyplomaci mają nakaz poruszania się w konwoju lub z policyjną eskortą. Firmy płacą podwójne stawki specjalistom, aby zechcieli pracować na terenie Libii, lecz rzadko kto się zgadza ryzykować życie dla pieniędzy.

Państwa Zachodu, które pomagały wyzwolić Libię, robiły to we własnym interesie, a nie dla Libijczyków. Teraz, kiedy plan zrujnowania i destabilizacji kraju w celu przejęcia kontroli nad roponośnymi terytoriami został zrealizowany, Zachód „wypiął” się na ludzi, niewinnych cywilów, którzy najbardziej ucierpieli.

Według mnie Kaddafi był jedynym stabilizatorem między Muzułmańskim Bractwem w Egipcie a Islamskim Frontem Ocalenia w Algierii. Rozliczył się z błędów młodości i zamachów terrorystycznych, grube miliony odszkodowania wypłacił rodzinom ofiar katastrofy nad Lockerbie, stał się dobrym wujkiem i lubianym politykiem. Jego przyjacielem był Berlusconi, bo z Libii gazociągiem pod Morzem Śródziemnym płynął gaz zasilający całe południowe Włochy. Głowy państw gościły go tak z oficjalnymi wizytami, jak i prywatnie, a szef Libijskiego Urzędu Bezpieczeństwa Musa Kusa jeszcze w grudniu 2011 roku uczestniczył w kolacji bożonarodzeniowej w Londynie u swoich kolegów z MI6. Tajemnica współpracy libijskich służb specjalnych z MI6 stała się tajemnicą poliszynela. CNN nakręciło reportaż o tzw. żywych paczkach przesyłanych z Europy do Libii celem przesłuchań z użyciem tortur, tak że kooperacja była bardzo zażyła, a zaufanie wielkie. Czyżby Kaddafi za dużo wiedział? Czyżby stał się niewygodny i trzeba go było zlikwidować?

Nie odpowiada mi narracja, zgodnie z którą Libijczycy (z pomocą Zachodu) wybili się na wolność, obalając autokratycznego przywódcę. Bo jaka to wolność, pod lufami kałasznikowów. Czy

może pod rządami ortodoksów, kierujących się prawem szariatu? W Libii autentycznie źle się mieli polityczni dysydenci chcący obalić reżim, którzy latami byli więzieni w Abu Salim w Trypolisie, oraz fundamentaliści, którzy albo od razu byli likwidowani, albo musieli uciekać i żyć na emigracji. Kaddafi ich nie tolerował i tępił chyba bardziej nawet niż swoich przeciwników. Dlaczego Zachód tak bardzo zaangażował się w pomoc Libii, a całe lata miał w nosie biedną Syrię? Czy Syryjczycy nie mają prawa wybić się na wolność? A może nie mają tyle ropy i funduszy, żeby być wolnymi?

Po rewolucji Libijskie Zgromadzenie Narodowe uznało prawo szariatu za podstawę państwowego prawodawstwa. Jednak nie wszystkim obywatelom podoba się, iż nowy rząd chce zrobić z niemal laickiej Libii muzułmańskie państwo rządzące się prawem szariatu. Już krótkie spojrzenie na osoby w Zgromadzeniu mówi wszystko. Są to dysydenci, którzy uciekli z Libii za rządów Kaddafiego, który ścigał i surowo karał zwolenników fundamentalizmu islamskiego. Przebywali oni w większości dziesięć – piętnaście lat w takich ortodoksyjnych muzułmańskich krajach, jak Arabia Saudyjska, Kuwejt czy Katar, a teraz wrócili szerzyć restrykcyjny islam w swojej ojczyźnie.

Szariat wiąże się z licznymi obostrzeniami, przede wszystkim w stosunku do kobiet, które w Libii miały pełną swobodę. Jeśli tak dalej pójdzie, może Libijki będą musiały przywdziać czarne *abaje* jak w Arabii Saudyjskiej? Może nie będzie respektowany ustanowiony przez prawodawstwo Kaddafiego wiek kobiety gotowej do zamążpójścia i zacznie się wydawać za mąż ośmiolatki, tak jak w Arabii Saudyjskiej czy Jemenie?

Niestety, z taką samą sytuacją restrukturyzacji prawa z międzynarodowego na szariat mamy do czynienia we wcześniej laickich arabskich krajach północnej Afryki, na przykład w Tunezji czy Egipcie. W miarę obronną ręką wychodzi z tego Tunezja, lecz i tam dążenie do demokracji okupione jest krwią ofiar zamachów terrorystycznych (w muzeum w Tunisie czy w kurorcie w Sousse).

Trzeba bowiem powiedzieć, że demokracja i islam (czytaj: muzułmańskie prawo szariatu) to dwie wykluczające się idee, dwie sprzeczności, które są nie do pogodzenia. Libia musiałaby pozostać krajem laickim, rządzonym zgodnie z prawem międzynarodowym i akceptującym wszystkie jego prawa i obowiązki. Nowy rząd raczej nie jest za takim rozwiązaniem, a jeśli jednak zechce ratyfikować międzynarodowe konwencje, to mam nadzieję, że nie będzie na nich napisane drobnym druczkiem: „Zgadzamy się, jeśli nie sprzeciwia się prawu szariatu” (vide: Arabia Saudyjska).

Kulisy sprawy bułgarskich pielęgniarek uwięzionych w Libii

Bułgarskie pielęgniarki aresztowano w mieście Bengazi na wschodzie Libii w lutym 1999 roku po wybuchu epidemii AIDS w miejscowym szpitalu dziecięcym al-Fatah. Według początkowych danych zarażonych zostało ok. 380 dzieci, później strona libijska podniosła tę liczbę do 438 (lub 426 – niewiarygodne dane), dodając, że 56 już zmarło.

Razem z Bułgarkami zatrzymano kilkunastu pracowników medycznych innych narodowości. Osoby te zostały jednak zwolnione na początkowym etapie śledztwa i ostatecznie przed sądem postawiono pięć pielęgniarek oraz dwóch lekarzy – Palestyńczyka i Bułgara. Byli to Kristiana Walczewa, Nasia Nenowa, Walentina Siropoulo, Wala Cherwieniaszka, Sneżana Dimitrova, doktor Ashraf al Hajuj oraz doktor Zdrawko Georgijew, mąż głównej oskarżonej – Kristiany. Doktor Zdrawko został współoskarżony w procesie, a następnie uwolniony od zarzutu spowodowania epidemii AIDS. W 2004 roku, gdy Bułgarki i Palestyńczyka, który od drugiego roku życia mieszkał w Libii i miał status uchodźcy oraz kartę stałego pobytu, skazano na śmierć, Georgijew usłyszał wyrok czterech lat więzienia za handel walutą i alkoholem. Ostatecznie, ze względu na zły stan zdrowia, wyszedł na wolność, ponieważ do tego czasu spędził w areszcie śledczym już pięć lat. Władze libijskie nie pozwoliły mu jednak na wyjazd z kraju i lekarz przez trzy lata mieszkał w bułgarskiej ambasadzie. To tam Tanya Valko, przebywająca wtedy w Libii, przeprowadziła z nim wywiad, przygotowując się do napisania reportażu na temat tego haniebnego precedensu. Książka nigdy nie powstała, bo Valko została zastraszona przez libijskie służby wywiadowcze, które były przeciwne ujawnieniu prawdy.

Zaraz po zatrzymaniu dwudziestu trzech Bułgarów pracujących w libijskich szpitalach na wschodzie kraju (siedemnastu z nich szybko zwolniono) było jasne, że libijski przywódca wykorzysta ich sprawę politycznie. Po pierwszych wypowiedziach Kaddafiego, który nazwał pielęgniarki i lekarzy agentami CIA i Mosadu, nikt nie miał złudzeń, że będzie to proces pokazowy, który ma coś na celu, ale mało kto wiedział co. W tym samym czasie w szpitalach libijskich, jak i w szpitalu al-Fatah w Bengazi pracowało wiele pielęgniarek polskich, w tym siostry zakonne. Oskarżenie nie padło na nie, gdyż w tym czasie Polska miała ogromne wsparcie w osobie papieża Jana Pawła II, a Libia utrzymywała poprawne stosunki dyplomatyczne z Watykanem. Większość libijskiego personelu medycznego pochodziła z Filipin, jednak Libia nie chciała opróżnić swoich szpitali. Pielęgniarki i lekarze, którzy w tym czasie pracowali w Bengazi, zostali natychmiast – nocą – deportowani przez swoją placówkę dyplomatyczną dwoma wycarterowanymi samolotami, a za każdego medyka czy pielęgniarkę Filipiny ponoć zapłaciły Libii po dwa i pół tysiąca dolarów. Tak więc padło na bezbronną, biedną Bułgarię, w której obronie mógł stanąć jedynie Związek Radziecki, który w tym czasie miał swoje problemy, w pełni go absorbujące.

Oskarżonej szóstce postawiono zarzut spiskowania przeciwko państwu libijskiemu i celowego zakażenia libijskich dzieci wirusem HIV. Na główną oskarżoną wybrano doświadczoną pielęgniarkę Kristianę, która przed wyjazdem do Libii sześć lat pracowała w szpitalu w Sofii. Koronnym dowodem przeciwko niej były woreczki po krwi znalezione w jej mieszkaniu. Musiały tam zostać podrzucone. To, że nigdy nie pracowała w szpitalu dziecięcym al-Fatah w Bengazi, nie miało najmniejszego znaczenia. By wymusić na niej przyznanie się do winy, kobietę torturowano. Strażnicy kilkanaście razy razili ją prądem, często też rozpinali ją nagą na ramie metalowego łóżka i bili kijami. Po tygodniach cierpień Bułgarka przyznała się do wszystkiego. Podczas śledztwa dwie Bułgarki złożyły samoobciążające zeznania, wycofały się z nich jednak w trakcie procesu, twierdząc, że wymuszono je torturami. Wszyscy oskarżeni mówili, że byli poddawani elektrowstrząsom, bici kijami, skakano po nich, a dwie kobiety powiedziały, że zostały zgwałcone. Podczas śledztwa jedna z pielęgniarek, Nasia Nenowa, próbowała popełnić samobójstwo. Doktor Zdrawko powiedział Tanyi Valko, że byli również straszni wygłodniałymi psami, które trzymano w klatkach na terenie więzienia, a nocami puszczano wolno; były to przeważnie owczarki niemieckie.

Syn libijskiego przywódcy Muammara Kaddafiego Sajf al-Islam przyznał w wywiadzie dla katarskiej telewizji Al-Dżazira, że bułgarskie pielęgniarki i palestyński lekarz byli torturowani w czasie przesłuchań w więzieniu w Libii. W 1997 roku założył charytatywną Międzynarodową Fundację Kaddafiego na rzecz Rozwoju, która między innymi miała na celu polepszenie warunków przetrzymywanych. W 2003 roku opublikował krytyczny raport na temat przestrzegania praw człowieka w Libii.

„Pierwszy rok był najgorszy. Najpierw mieszkaliśmy na komisariacie policji, mieliśmy jeden materac, na którym spaliśmy, i tylko jedno ubranie na grzbiecie. To nie były warunki, w jakich żyją normalni ludzie, nawet więźniowie” – opowiadał Tanyi Valko doktor Zdrawko. „Kiedy ktoś wracał po przesłuchaniu, reszta widziała jego rany i od razu bała się, że ich to też spotka. Było to takie psychologiczne zagranie. (...) Później bardzo szybko zostaliśmy przeniesieni do więzienia, gdzie rozdzielono nas do pojedynczych ciemnych cel. Było jeszcze gorzej, bo nie wiedzieliśmy, co się dzieje z pozostałymi, a słyszeliśmy tylko krzyki i zawodzenia”. Po aresztowaniu uwięzieni długo nie mogli się skontaktować z adwokatem. W ciągu pierwszego roku zostali całkowicie oddzieleni od siebie. Później, kiedy w proces zaangażował się syn Muammara Kaddafiego wraz ze swoją organizacją charytatywną, na terenie więzienia w Bengazi na spacerunku została postawiona willa, w której oskarżeni spędzili ostatnie lata pobytu w Libii. Wyposażono ją całkiem komfortowo. Każdy miał swój pokój. Była telewizja, nawet satelitarna. Jedzenie gotował im kucharz bądź przywożono posiłki z restauracji. Wszystko było bardzo smaczne. „Kiedy ktoś chciał hamburgera lub szawormę na obiad, zgłaszał to strażnikom, którzy siedzieli na zewnątrz willi, i oni jechali po zamówienie. Była to paradoksalna sytuacja” – opowiadał z uśmiechem niedowierzania doktor Zdrawko.

Libijski sąd nie uwzględnił jednak ani zaprzeczeń oskarżonych, ani opinii powołanych przez obronę biegłych, w tym odkrywcy wirusa HIV prof. Luca Montagniera. Według nich przyczyną epidemii były fatalne warunki higieniczne panujące w szpitalu oraz nieprzestrzeganie norm sanitarnych. Według licznych naukowców w części przypadków do zakażenia dzieci doszło jeszcze przed przyjazdem Bułgarów do Libii. Sąd nic sobie jednak nie robił z opinii światowej sławy naukowców. Cała szóstka w dwóch procesach została skazana na karę śmierci.

W Libii w owych latach krążyła jednak plotka (a może nie plotka), że niemożliwe jest zakażenie wirusem HIV przez wielokrotne użycie zakażonych strzykawek prawie 500 dzieci tylko w jednym szpitalu, skoro we wszystkich placówkach medycznych w tym kraju warunki były tak samo tragiczne. Chodziło o zakup ogromnej ilości niesprawdzonego osocza przez krewnego Muammara Kaddafiego, ówczesnego ministra zdrowia. Zarobił na tym miliony, a dzieci libijskie zostały zakażone. Musiał się znaleźć kozioł ofiarny.

Dziewiętnastego grudnia 2006 roku sąd w Trypolisie ponownie skazał sześcioro oskarżonych na karę śmierci. Wyrok podtrzymał Sąd Najwyższy. Dopiero w 2007 roku libijska Najwyższa Rada Sprawiedliwości zamieniła karę śmierci na dożywotnie więzienie. Umożliwiło to ekstradycję skazanych do Bułgarii na podstawie dwustronnego porozumienia o pomocy prawnej z 1984 roku. W tym czasie ze stroną libijską prowadzono negocjacje, do których aktywnie włączyła się Unia Europejska.

Rodziny zarażonych domagały się odszkodowań, analogicznych do tych, jakie Libia wypłaciła rodzinom ofiar zamachu na samolot Pan Am nad szkockim miastem Lockerbie w 1988 roku, czyli po 10 milionów dolarów za każde zarażone dziecko. Ostatecznie rodziny otrzymały po 1 milionie dolarów. Według mediów bułgarskich pieniądze dał szejk z Kataru. Po otrzymaniu odszkodowań rodziny odstąpiły od żądania kary śmierci, co pozwoliło zamienić ją na dożywocie. Powołano międzynarodowy fundusz pod egidą UE, gwarantujący środki na leczenie zarażonych dzieci i walkę z AIDS w Libii.

Jednak według obserwatorów głównym celem Libii, oprócz pieniędzy, było doprowadzenie do pełnej normalizacji stosunków politycznych i gospodarczych z Zachodem, w tym przede wszystkim z Unią Europejską, zerwanych po zamachach terrorystycznych, a także przyciągnięcie zagranicznych inwestycji. Ostatnimi warunkami postawionymi przez Libię – poza gwarancjami leczenia dzieci

zarażonych wirusem HIV – były budowa magistrali drogowej, łączącej terytorium kraju z Tunezją i Egiptem, budowa kolei łączącej libijskie porty z częścią stolic afrykańskich, a także restauracja zabytków archeologicznych. Kolej od lat osiemdziesiątych XX wieku była konikiem Muammara Kaddafiego, który chciał odbudować połączenia jeszcze z czasów kolonii włoskich. W tym celu wyszkolił kadrę kolejarzy (setki młodych Libijczyków), wysyłając ich na naukę do Polski. Nigdy jednak nie podjęli oni pracy w swoim zawodzie, a kolej nie powstała.

Po uwolnieniu pielęgniarek i lekarzy przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso oświadczył w Brukseli, że UE będzie pracować nad normalizacją stosunków z Libią. Z kolei prezydent Francji Nicolas Sarkozy udał się do Libii na rozmowy z Muammarem Kaddafim. Celem wizyty tym razem miała być „ponowna integracja Libii ze wspólnotą narodów”. Zarówno Barroso, jak i Sarkozy utrzymywali, że ani Francja, ani Unia Europejska nie zapłaciły Libii za uwolnienie sześciorga cudzoziemców. Zrobił to tajemniczy szejk, którego nazwiska nigdy nie ujawniono. O wszystkich kwestiach dotyczących porozumienia z Trypolisem informowała zaangażowana w proces uwolnienia unijna komisarz ds. stosunków zewnętrznych Benita Ferrero-Waldner, która również przylatywała do Libii na konsultacje.

Uwolnienie pięciu bułgarskich pielęgniarek było zatem sukcesem Europy i sukcesem prezydenta Francji. Jednak przede wszystkim – o czym mówi się mniej – triumfem dyplomatycznym Kaddafiego. Nie tylko jego reżim otrzymał wysokie pieniężne odszkodowania, ale także miano mu obiecać układ o stowarzyszeniu z Unią Europejską i pomoc w takich dziedzinach, jak służba zdrowia, szkolnictwo, archeologia i kontrola granic. Reżim pułkownika Kaddafiego, który bardzo długo podlegał bojkotowi za wsparcie, jakiego udzielał terroryzmowi, otrzymał jednak przede wszystkim gwarancję normalizacji swych stosunków z Europą. Obiecał mu to publicznie przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso. W konsekwencji Libia, która w 2006 roku pogodziła się ze Stanami Zjednoczonymi, otrzymała od Brukseli status podobny do tego, który przyznany został innym krajom Afryki. Europa z kolei, która poszukiwała nowych źródeł energii, znalazła je w Libii. Po dziesięciu latach embarga Libia – bogata w paliwa – zaoferowała jej swój ogromny potencjał handlowy.

Niektórzy zastanawiali się nad tym, jaką rolę w całej sprawie odegrała małżonka prezydenta Cécilia Sarkozy, która – jak się wydaje – zajmowała w niej centralną pozycję, choć nie miała po temu żadnego oficjalnego mandatu. Jak sama oświadczyła, działała najpierw jako kobieta i matka, a potem w imię europejskiej troski humanitarnej. Jej mążnek Nicolas Sarkozy określił ją mianem swego osobistego emisariusza. Oczywiście nikt nie wspomniał, że pani Sarkozy była kochanką Muammara Kaddafiego, a wódz za jedną (pierwszą) noc zaoferował jej ponoć 100 000 dolarów. Następne noce żona prezydenta Francji spędzała ze swoim libijskim kochankiem bezpłatnie i ochoczo. Na to również nie znajdzie się żadnego potwierdzenia w mediach, są jedynie przekazy osób, które w tamtych czasach żyły w Libii i obracały się w politycznym establishmencie – tak jak Tanya Valko.

By ugłaskać Kaddafiego, Francja, Unia Europejska i tajemniczy bankier z Kataru, który sfinansował część operacji uwolnienia pielęgniarek, obsypali go podarkami, kontraktami i świecidełkami. A swym przyjazdem do Libii Nicolas Sarkozy przyczynił się do jego rehabilitacji.

W 2007 roku francuski samolot rządowy z Bułgarkami i Palestyńczykiem skazanymi w Trypolisie na karę dożywotniego więzienia wylądował w Sofii. Na lotnisku z kwiatami witały ich wzruszone rodziny, a także przedstawiciele najwyższych władz państwowych Bułgarii. Prezydent Bułgarii natychmiast skorzystał z przysługującego mu prawa łaski i pięć byłych więźniarek Kaddafiego mogło spokojnie wrócić do swych rodzin. Palestyński lekarz w specjalnym ośrodku w Sofii czekał na transfer do Holandii.

I tak happy endem zakończyła się paradoksalna sprawa bułgarskich pielęgniarek w Libii. Owiana jest całą siecią tajemnic i nikt nigdy nie dowie się całej prawdy – ani poszkodowane, ani dziennikarze, ani opinia publiczna. Oto cała Libia. Nieprzenikniona i niezbadana. Taka pozostaje do dziś.